Z. URBANOWSKA

RÓŻA BEZ KOLCÓW

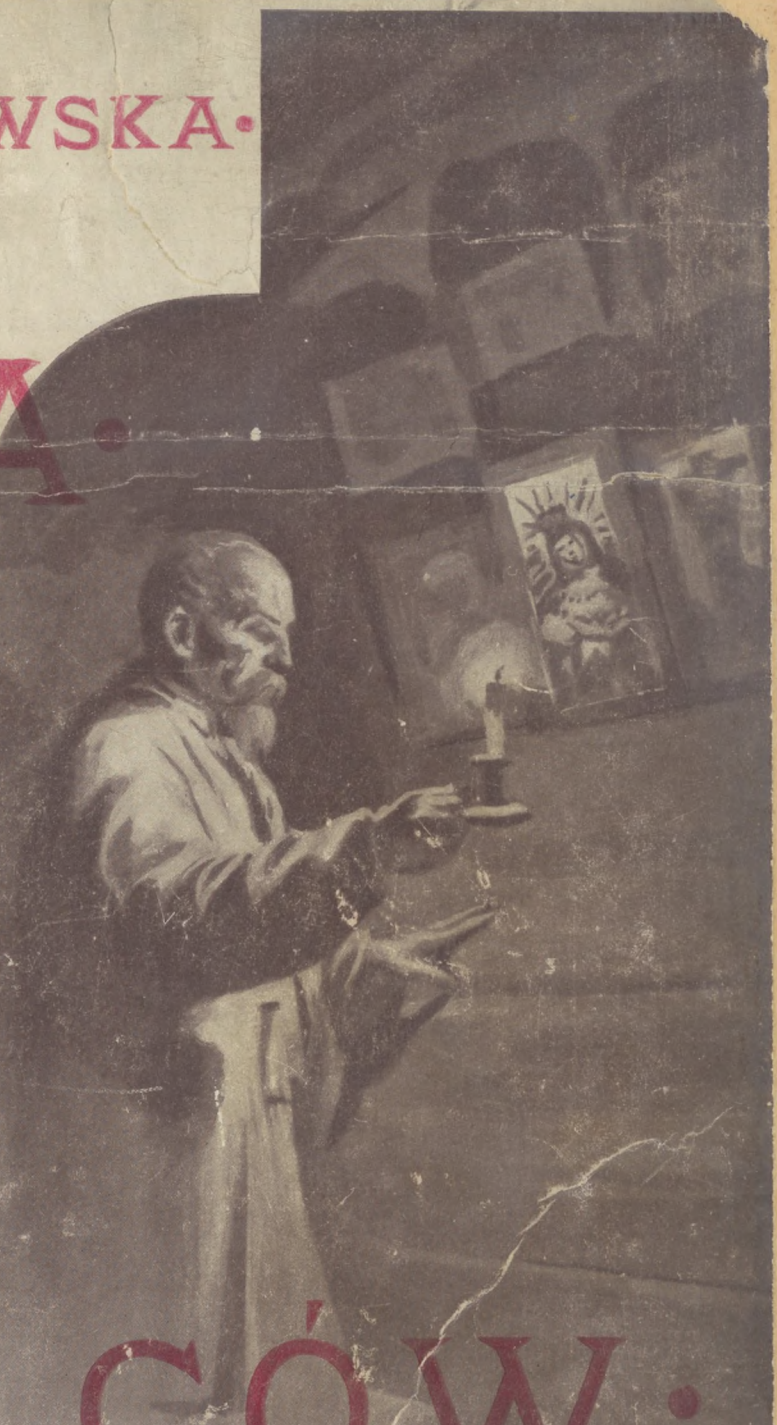

NAKŁAD K. GRENDYSZYŃSKIEGO W PE[illegible]URGU
1903.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

III 815.166

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

OPOWIADANIE,

OSNUTE NA TLE PRZYRODY TATRZAŃSKIEJ.

Z licznemi rycinami w tekście.

Okładka kompozycyi M. Kotarbińskiego.

Dr A. KRZANOWSKI

WARSZAWA.
Nakład Księgarni K. Grendyszyńskiego w Petersburgu.
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1903.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Мая 1902 года.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
A
III 815.166
1972 K 538/45

PAMIĘCI

JÓZEFA SIKORSKIEGO

ARTYSTY MUZYKA,

REDAKTORA „RUCHU MUZYCZNEGO“ I „GAZETY POLSKIEJ“.

ZE CZCIĄ I WDZIĘCZNOŚCIĄ,

PRACĘ TĘ POŚWIĘCA

AUTORKA.

I.

GOŚĆ ZAMORSKI.

. . . . . A już deszcz wciąż pluszczy
Jak z sita w gęstych kroplach; wtem rykły [pioruny,
Krople zlały się razem: to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi."

Mickiewicz. Puszcza litewska.

— Tutaj, tu, sir Edwardzie: niech wasza Miłość raczy się dobrze wspierać na lasce, bo wszystkie prawie kamienie się ruszają, a dokoła istne jezioro!

— Nic nie widzę, Walterze — była odpowiedź — ciemność taka, że gdyby nie to małe światełko, które błyszczy przed nami, myślałbym żeśmy zbłądzili.

Deszcz lał rzęsisty: słychać było plusk wody i szum potoku płynącego gdzieś blisko po dnie kamienistem.

— Niech się pan nie obawia: nie pierwszy raz jestem w tym kraju i znam dobrze drogę. Tu właśnie mieszka góral, u którego pomoc znajdziemy, bo jest potrosze i kowalem.

Błyskawica rozdarła ciemności: przy jej świetle ukazała się chata góralska, na tle amfiteatru gór okalającego rozległą dolinę, a przed chatą zwierciadło szeroko rozlanej kałuży i szereg kamieni, po których można było dostać się do proga. Kamienie te, jeden od drugiego dość odległe, wyglądały jak wyspy na morzu.

. . . ukazała się chata góralska.

Wymiana słów odbyła się po angielsku: ten, którego tytułowano sir Edwardem, stąpał ostrożnie, badając naprzód grunt laską. Gdy stanęli u proga, wsparł się na niej i odpoczywał, kryjąc się nieco pod dach, bo wicher smagał mu twarz, a towarzysz jego we drzwi zapukał.

W tejże chwili rozległ się grzmot długi, przeciągły, a echa gór jęły go sobie podawać dokoła. Przez kilka minut brzmiała istna kanonada, a deszcz spadł z podwójną gwałtownością Drzwi chaty jednak ani drgnęły. Światełko, o którem była mowa, nie pochodziło z okna, bo z tej strony chata okien wcale nie miała, ale było drobnym w ścianie otworem, między jednym a drugim płazem [1])—i gdy zapukano, światełko znikło, jakby je kto sobą zasłonił. Towarzysz sir Edwarda zaklął energicznie po polsku:

— Do stu piorunów, otwierajcie!

I uderzywszy z całej siły we drzwi żelaznem okuciem kija, potarł zapałkę, zbliżył do miejsca, w którem przed chwilą jeszcze było światło, i ujrzał w otworze oko. Zapałka zgasła, światełko zabłysło znowu i dało się słyszeć skrzypienie drewnianej zawory [2]). Odemknięto drzwi, a światło i ciepło buchnęły z wnętrza.

Obaj podróżni, acz wysokiego będący wzrostu, musieli przychylić głowy, próg przestępując, bo nie tyle drzwi były niskie, ile on wysoki. Sir Edward wszedłszy z ciemności, stanął, nic zrazu nie widząc, prócz pary unoszącej się nad kominem i przysłaniającej wszystko jakby lekką gazą — a gdy oczy jego oswoiły się ze światłem, jął rozglądać się po izbie. Była tam gromadka ludzi. Na ławie pod ścianą siedziało kilku górali w serdakach [3]), i w kapeluszach filcowych z dużemi ronda-

---

[1]) Tak nazywają w górach, grube, obrobione pnie drzew z których się domy budują.

[2]) Zasuwa.

[3]) Kożuchy krótkie bez rękawów.

mi, przez długie używanie podobnemi do grzybów. Jednym zasłaniały one połowę twarzy, ukazując tylko koniec nosa i brodę, u innych były z fantazyą zsunięte na tył głowy. Wszyscy palili fajki.

Dym unoszący się jak obłok w izbie i para dobywająca się z przemokłego, rozwieszonego u powały na żerdzi odzienia, nie pozwoliły przybyłemu dostrzedz od razu trzech turystów: siedzieli oni przy stole, na krzesłach wielce oryginalnych kształtów. Porozkładane tu i owdzie pledy, kije alpejskie i torby podróżne, pokazywały, że wrócili z dalekiej wycieczki, a górale byli to ich przewodnicy. Na wielkim kominie gorzały grube drwa bukowe i świerkowe gałęzie, wydając lekki trzask i przyjemny zapach żywicy, a około komina krzątała się wysoka, tęgo zbudowana góralka i warzyła wodę na herbatę dla gości, w tak zwanym kotliczku, czyli wielkim żelaznym imbryku. Przy kominie na ziemi siedział w koszuli stary góral z długiemi, na ramiona spadającemi włosami i obierał starannie grule [1]). Na piersiach błyszczała mu prześliczna spinka mosiężna.

Ale jeżeli oczy sir Edwarda nie mogły odrazu dojrzeć wszystkiego, to natomiast ci co znajdowali się w izbie, dokładnie mu się przyjrzeli, stojącemu w świetle ogniska: jego silnej budowie i wyniosłej postaci, z której znać było, że nawykła do rozkazywania — wyrazistym oczom, bladawej twarzy, wreszcie kasztanowatej, mocno posiwiałej brodzie, charakterystycznie u dołu rozdzielonej przez środek. Głowa z kapeluszem i czoło schowane były pod kaptur długiego, nieprzemakalnego płaszcza, z którego ściekała woda. Gaździna [2]) rzuciwszy nań okiem, zawołała ze współczuciem:

— A to ich też dolało!

Towarzysz sir Edwarda miał takiż sam płaszcz i kaptur, a z pod kapelusza wyglądał mu tylko koniec nosa, małe wąsiki i krótko przystrzyżona broda. Ten nie rozglądał się wcale po izbie, tylko się zwrócił wprost do gospodarza, który, stojąc po drugiej stronie komina, trzymał węgiel w palcach i tak spokojnie zapalał fajeczkę, jakby przybyłych wcale nie widział. Opowiedziawszy mu, że o kilkaset kroków stąd spadło u karety koło, prosił go aby udał się zaraz na miejsce wypadku i zabrał z sobą kilku ludzi, bo trzeba powóz tutaj przyprowadzić. Nalegał bardzo o pośpiech i powtarzał, że w karecie są kobiety, lękające się nietylko burzy, ale i napadu w obcym, nieznanym kraju.

Mówił twardym, wyspiarskim akcentem, wymawiając dobitnie wyrazy, a polszczyzna bardzo była kulawa i brakło w niej zupełnie litery *r*,

---

[1]) Kartofle.

[2]) Gospodyni.

która zdawała się rozpływać na podniebieniu mówiącego. Wypowiedziawszy rzecz swoją, obrócił się do sir Edwarda, pomógł mu zdjąć płaszcz i stanął przed ogniem, grzejąc się i czekając, aż wyruszy pomoc którą chciał poprowadzić. Gazda, człek już nie młody, nie wyjmując z zębów fajeczki, zadał mu kilka krótkich pytań: skąd przyjechali? po co? na jak długo? a zaspokoiwszy swą ciekawość, wyciągnął z za pieca młotek, kleszcze [1]) i toporek. Garść gwoździ wsypał do kieszeni, zapalił latarnię, zdjął z kołka kapelusz i zarzucił cuhę [2]) niby płaszcz na ramiona. Przewodnicy też, nie czekając wezwania, ruszyli się, pookrywali mokremi jeszcze cuhami, wzięli swoje ciupagi [3]) i poszli za nim.

Nieznajomy pozostawszy sam, obejrzał się, a spostrzegłszy stołek, usiadł na nim, wsparł obie ręce na lasce i patrzył w ogień. Gaździna, kręcąca się ciągle koło komina i obsługująca podróżnych herbatą, spoglądała raz po raz ciekawie na tego milczącego gościa; wreszcie, powodowana współczuciem dla jego posępnej twarzy, której wyraz przypisywała strudzeniu i zziębnięciu, wzięła krzesło stojące w kącie izby, starła je fartuchem i postawiła przy nim, mówiąc uprzejmie:

— Niech se tu siednom. Stołek je, widzicie, nie opieracny [4]), to im źle.

Ale gość się nie ruszył. Gaździna mająca dobre serce, nie zrażona, zbliżyła się znowu po chwili z kotliczkiem w jednej ręce, ze szklanką w drugiej, mówiąc:

— Niekze sie tyz napijom!

Gość, acz nie mówił po polsku, nie mógł nie zrozumieć tych słów, popartych wymownym gestem, ale poruszył głową przecząco. W izbie zapanowała cisza, przerywana tylko brzękiem łyżeczek w szklankach, ale cisza ta po chwili zaczęła się przykrzyć pijącym. Młody, szczupły brunet o śniadej, ściągłej twarzy, rzekł do blondyna zapalającego cygaro:

— Rozeszła się już cokolwiek po świecie sława Tatr, skoro przyjeżdżają do nas Anglicy.

— Nie nowina — odrzekł blondyn w okularach, z twarzą otwartą, sympatyczną i małym jasnym wąsikiem — Anglicy bywają tu co roku, od lat najmniej dziesięciu.

— Tak, ale z polskiemi nazwiskami... Anglicy, w żyłach których część krwi naszej płynie; już lepszym nabytkiem jest owa gromadka Francuzów, co tu wczoraj przybyła, lub ów admirał włoski, który tu bawił w zeszłym roku.

---

[1]) Obcęgi.

[2]) Siermięga specyalnego kroju, którą górale najczęściej noszą zarzuconą na ramiona, na podobieństwo węgierskich dolmanów.

[3]) Siekierki.

[4]) Bez poręczy.

I spoglądając na przybysza, dodał:

— Ten zdaje się być okazem czystej krwi.

— I do tego rasowym — powiedział blondyn. — Popatrz pan na ten prosty nos, z delikatnemi, wydatnie rozwiniętemi nozdrzami; na kształt ust, w których kącikach osiadł wyraz, nie wiem... goryczy czy pogardy.

— Zawsze się zastanawiałem — rzekł tamten — czemu typy narodowe najbardziej uwydatniają się w ustach. Niemca, naprzykład, poznasz odrazu, choćbyś go po turecku przebrał i twarz mu zakrył, zostawiwszy tylko dolną jej połowę odsłoniętą. Od czego to zależy?

— Od czego? ależ to jasne jak słońce: od mowy, a raczej od wymowy. Język, akcent, jednem słowem, sposób wymawiania, wpływają na ukształtowanie ust i okalających je mięśni twarzowych, a szeregi pokoleń utrwalają te różnice. Tak powstają typy narodowe.

— Jeżeli o tem mówić, to różnice klimatyczne także, może nawet więcej jeszcze, wpływają na odrębność ras, a z niemi na obyczaje.

— Czyli wszystko razem: ale powiadam panu, że niema może na świecie miejscowości, z wyjątkiem Ameryki, w którejby widzieć można tak ogromne różnice typów, jakie się napotyka w tych górach. Nie ja pierwszy czynię to spostrzeżenie: wypowiedział je już Witkiewicz w swej książce p. t.: „Na przełęczy“. Czyni on przypuszczenie, że przeszła tu jakaś nawałnica różnych ras i ludów, zostawiając ślady swego przejścia w odradzających się dotąd pierwiastkach najróżnorodniejszych odrębności. Czynił on tu gruntowne spostrzeżenia, studyował tę ludność jako artysta malarz, jako człowiek ukształcony i rozróżnia dwa typy zasadnicze: czarnowłosy o twarzy wąskiej i garbatym nosie, wielkiem czole i rysach delikatnie wykończonych, i jasnowłosy, o twarzy okrągłej i wydatnych policzkach. Na tle tych krańcowych typów, przesuwa się cała galerya charakterów ludzkich, od wykwintnego piękna, do karykaturalnej brzydoty.

Typ górala.

Typ górala.

— Prawda, rozmaitość jest wielka!

— Znaleźć tu można dzikiego Indyanina z opaloną od słońca twarzą, jak ten oto stryk [1]) gazdy, obierający grule, jakby wprost z puszczy amerykańskiej przybyły; brak mu tylko dyademu z piór na głowie — i wspaniałe, dumne postacie z delikatnie wyrzeźbionemi rysami, którychby niejeden lord pozazdrościł. Są twarze Rzymian z wydatnie zarysowanym kątem brody i twarze otwarte, czysto słowiańskie, szczere, polskich wieśniaków. Są twarze mędrców, twarze ascetów, i tęskne twarze orłów z sennemi oczyma, jak naprzykład rodzimy geniusz tatrzański, Sabała. Co za kopalnia dla etnografa! jaka zagadka do rozwiązania!

Typ góralki.

— Nietylko dla etnografa, ale dla lingwisty — odezwał się blondyn. — Tu ludzie mówią piękną gwarą, przypominającą starą polszczyznę Mikołaja Reja. Język to oryginalny, jakby siekany. Doktór Matlakowski, który się w góralszczyźnie tutejszej rozmiłował i wydał piękne dzieło o „Budownictwie na Podhalu“, utrzymuje, że wartoby sfonografować te zwroty nieznane, tę ciętość żywą i obrazową, te oryginalne zaimki i przysłówki, to akcentowanie nie do naśladowania, tak zgodne z duchem treści, zanim zaginą i utracą swą czystość pod wpływem gości przywożących tu język więcej wyrobiony, ale zakażony obfitością cudzoziemskich wyrażeń. Tylko dzięki odosobnieniu od świata murem wzniesionym przez naturę, zachował się tu w czystości ten stary złotego wieku język, w którym pozostały ślady dawnych słowiańskich pierwosłów. I doprawdy, gdyby nasz język literacki tak dziś zakażony francuszczyzną, niemczyzną i wszelkiemi kosmopolitycznemi śmieciami, zasilono czystem źródłem górskiem, piśmiennictwo zyskałoby na tem! Uwagę tę wypowiedział już Seweryn Goszczyński gdy w r. 1832 Tatry zwiedzał.

Brunet roześmiał się.

— Ho, ho! — zawołał — co za zapał! Idziesz pan trochę zadaleko. Gaździno, prosimy jeszcze herbaty!

Gospodyni powtórnie napełniła szklanki: a widząc, że blondyn wyjął z torby kromkę chleba i zabierał się do krajania jej, postawiła przed nim masło na talerzu, mówiąc:

— Dziś narobione i dobre, co cud, tylo co nie udeptane [2]), Jedzcież prosem was bars piknie.

Brunet spojrzał wymownie na swego towarzysza, mówiąc:

---

[1]) Stryj.
[2]) Nieułożone.

— Mnie tam nie zachwyca bynajmniej ta gwara: a jeżeli proza naszego języka literackiego przełknęłaby go jako tako, to poezya byłaby w niemałym kłopocie, jak z nim sobie poradzić.

— O! — zawołał blondyn — poezya już go brała pod swe rzeźbiarskie dłuto, i okazał się równie podatnym, jak wdzięcznym. Próbował tego młody poeta, Kazimierz Tetmajer.

— Doprawdy? cóż on takiego napisał?

— List Hanusi.

— List Hanusi? hm, ciekawym. Do kogoż to ona pisze?

— Nie jest tam powiedziane, ale domyślam się że do męża, który gdzieś powędrował w dalekie strony za zarobkiem. Posłuchaj pan tylko:

„Kochany Jerzy mój! Pisę tu ztela [1])
Ten list do tobie [2]), a pisęcy płacę.
Świat mi caluśki nic nie uwesela,
Kie w lesie pasę, wnet krowy potracę,
Bo syćko myślę, kielo [3]) nas ozdziela
Kraju, i cy cię tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię osmucił,
Mój złociusieńki, tobyś się haw [4]) wrócił.

Kie na odwiecerz przed chałupom stanę,
Pojrzę jak słonko za wirchy [5]) się kryje,
Wspomnę, jak my se pod tom samom ścianom
Siedzieli; żal mię mało nie zabije,
A serce moje jakoby pijane
Tłuce się w piersiach. Tęca wodę pije
Z rzeki, ale tych łez wypić nie musi [6])
Co ocy twojej wypłacom Hanusi.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
Łzy ino syćko z ocu mi sie lejom,
Nik tego niewi, za kim ja banuje [7]),
Ale sie ludzie nascy [8]) ze mnie śmiejom.
Zal mie za tobom wciągle w serce kłuje,
I nie wiem ka sie me ocy podziejom
Od tych łez. Widzi się co mnie powiezom
Wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

---

[1]) Ztąd.
[2]) Do ciebie.
[3]) Ile.
[4]) Tu.
[5]) Szczyty.
[6]) Nie zdoła.
[7]) Tęsknię.
[8]) Nasi.

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody [1]),
Takek cię ino syćko wyglondała,
A tak mi było jak rybce do wody,
Jazek się sama do się głośno śmiała.
Ale juz wsendy potajały lody
I śnig juz w turniach [2]) wyginom bez mała.
A tobie nimas jednako nikany [3]),
Mój złociusieńki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
Jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
Abo co inse, od cego chroń Boze!
Nie zabacujze tak swojej Haliny.
U nas som zdrowi w chałupie — niemoze [4])
Jeno Jagnieska Bartkowej Maryny,
Niech cię Bóg strzeze i Najświętsa Panna
Ludźmierska [5]). Twoja tu ostaję. — Anna."

— Ładny wiersz, dyalekt podhalański dobrze w nim utrzymany, ale nie widzę tu wyrazów, mogących być „cennym nabytkiem" dla naszego języka, jak pan powiadasz. Nie trzeba się nadto zapalać.

— I w mowie górali też pan nie znajdujesz nowych, a malowniczych wyrażeń? Przed chwilą mówiła gaździna, że jej „zapaska poszła na dziady."

— Nie rozumiałem jej.

— Wierzę, lecz ja się wsłuchuję w ich język, chciwie łowiąc każdą nowość; u nas służąca powiedziałaby, że podarła fartuch na nic. A co to jest fartuch? to żywy zabytek germański. O ileż od niego piękniejsza „zapaska"!

— No, no, gotów pan podziwiać i fakt, że „poszła na dziady". Cóż robić z takim zapaleńcem?

Blondyn mówił dalej.

— Naprzykład „zmięk", odwilż, piękny a prosty wyraz. Wszystko co opada z atmosfery, zowią ogólnym wyrazem „opaść", chociaż gdy drobny deszcz pada, to „siąpi kapuśniaczek"; gdy wicher zacina krupami ze śniegiem, to jest „siekawica"; para marzająca na drzewach

---

[1]) Boże Narodzenie.
[2]) Nagie, ostre skały.
[3]) Nigdzie.
[4]) Niedomaga.
[5]) W Ludźmierzu wsi nad Czarnym Dunajcem, jest bardzo starożytny kościół modrzewiowy, a w nim figura Matki Boskiej, do której górale z całych Karpat mają szczególne nabożeństwo.

w mroźne pogodne noce, to „sadzelina“. Śnieg zwisający z gałęzi drzew iglastych, to „okiść“; a gdy poobmarzane lodem brzegi potoków tamują bieg wody, górale malowniczo zowią je „splątami“. Wreszcie wszystko co żyje w lesie i na polu, to „żywina“.

Brunet słuchał nie przerywając, tylko się uśmiechał, wreszcie rzekł:

— Pierwszy raz pan tu jesteś i tyle nazbierałeś!

— Pierwszy raz, ale zdążyłem się poznać z Matlakowskim!

I wyjąwszy świeże cygaro, mówił dalej, spoglądając na tajemniczego gościa.

— Chociaż mówiliśmy przed chwilą, że na kształt ust wpływa wymowa, jednakże ja w tym dostojnym Angliku nie widzę typu wybitnie anglo-saskiego. Powiedziałbym nawet, że jest w nim coś, coś...

— Coś południowego — przerwał tamten.

— Widziałem głowę podobną w galeryi pałacu Pitti we Florencyi. Przypomina mi ona któregoś z Borgiów, z tą brodą śpiczastą, na pół rozdzieloną... Jest to charakterystyczna głowa, ale nie piękna.

— Owszem — powiedział blondyn — jest piękna, ale brak jej jakiegoś łagodniejszego rysu: same ostre linie! Widzę tu rozum, siłę woli, żelazną energię, ale nie widzę dobroci: typ despoty z wieków średnich.

— A ja widzę w tej twarzy jeszcze coś, czego nie umiem nazwać, ale na co zdaje mi się, jeżeli nie dziś, to później znajdę odpowiedni wyraz. Jeżeli szukać porównań, powiem że czyni na mnie wrażenie wygasłego wulkanu, który...

— Może jeszcze kiedy wybuchnąć. Czy tak?

— Właśnie. A gdyby mi chciał pozować do obrazu, zrobiłbym z niego dożę weneckiego w chwili, gdy stoi na okręcie i zaślubia morze.

Trzeci turysta siedzący na łóżku, nie mięszał się do rozmowy. W złotych okularach, o rysach wybitnie germańskiego typu, wyglądał na bardzo uczonego człowieka. Czoło jego było tak wysokie, że sięgało przez całą głowę aż do szyi—tylko po bokach miał gęste kępy włosów, zawsze znajdujące się w nieładzie. Twarz szczupła, przedwcześnie zwiędła, miała roztargniony wyraz; surdut wisiał na nim jak worek. Popijał w milczeniu herbatę, i obserwował z wielką uwagą cudzoziemskiego przybysza. Pocierał chwilami palcem czoło, jakby sobie chciał coś przypomnieć, przymykał oczy, poruszał głową, słowem, zachowywał się jak człowiek niepokojony myślą uporczywą.

Blondyn odezwał się znowu:

— Mówiłeś pan o przejściu tędy nawały ludów... historya niewiele o tem mówi: Główni zdobywcy, nachodzący te piękne, sąsiadujące z sobą kraje, przedzierali się przez niziny Karpackie. Niemi to wtargnęli niegdyś Węgrzy do Pannonii, niemi wdzierały się hordy Tatarskie. Przez niziny Karpackie szli do Węgier Rosyanie.

— Mongolskich typów mało tu widziałem — odrzekł brunet — więcej napotykałem południowych; pozwolę sobie jednak zrobić uwagę, że choć w historyi jest mało śladów o przejściu tędy nawały ludów, mogły się one jednak zdarzyć w czasach, w których na ziemiach słowiańskich nie spisywano jeszcze kronik. O pochodzeniu zaś rdzennej ludności tutejszej, nic pewnego orzec nie można. W pierwszych wiekach naszej ery osiadały pod Tatrami kolejno różne narody, z imienia nam zaledwie znane: Bastarnowie, Westgotowie, Gepidowie, Longobardowie i Awarowie. Dopiero w VII wieku zjawiają się Chrobaci na północnych, a Słowacy na południowych stokach.

Milczącemu gościowi snać naprzykrzyło się już patrzeć nieruchomo w ogień i słuchać rozmowy, której nie rozumiał, a do której przygrywały grzmoty od czasu do czasu — bo oczy jego, oswojone już dobrze z oświetleniem izby, zaczęły się po niej uważnie rozglądać. Już sam piec godzien był uwagi: był to tak zwany piec biegany, czyli biegac, długi a nizki, podobny do szabaśnika do pieczenia chleba. Ognisko miało głęboką czeluść, do której wchodziły płomienie i potem znowu zwracały się do frontu. W narożnikach przednich były malutkie nisze, gdzie przechowywano proch, krzesiwko, hubkę, lub zatykano gorejące karkoski czyli trzaski, któremi, gdy była potrzeba, oświetlano izbę i od których dym wychodził z niszy przez malutki kanalik. Po nad piecem w poprzek izby wisiała poleń, czyli półka na porąbane drzewo, aby tam schło.

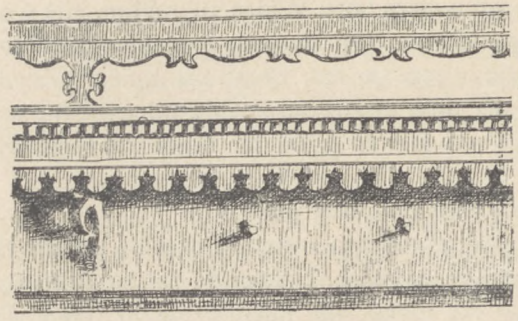

. . . listwę wyrzynaną misternie.

Wspaniałe obszerne ławy biegły dokoła izby, której ściany z szerokich ułożone płazów, zdawały się go zastanawiać; do takiej bowiem grubości, stuletnie tylko dochodzą drzewa! Gładkie jak stół, tak wybornie do siebie pasowały, że ślady spojenia mało były widoczne. Zastanowiła go również barwa ich ciemno-czerwona, jakby malowanie krwią, poczerniałe z wiekiem, i połyskujące miejsca-

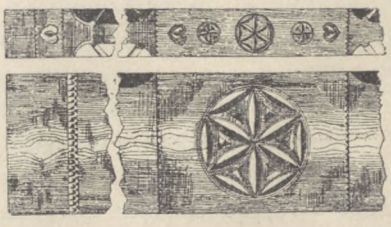

. . . ozdobnie nacinana, zwana sosrębem.

mi czarnością hebanu. Zatrzymał oczy na obsadzie okna, której kształt przypominał futryny z ciosowego kamienia, u okien w starych średniowiecznych budynkach—i spostrzegł po nad oknem u góry obiegający dokoła izby fryz naturalny, tworzący galeryę ozdobną, a na ścianie szczytowej pod fryzem listwę wyrzynaną misternie. Zauważył tam obrazy święte, pęki ziół, naczynia różne, kwieciste talerze, owoce, sery i wodząc tak dalej oczyma zatrzymał je aż pod powałą, gdzie przechodziła belka poprzeczna, zwana sosrębem, ozdobnie nacinana, czyli jak górale mówią, cyfrowana.

Na samym środku tego sosrębu znajdowało się koło otoczone promieniami, a po bokach koła gwiazdy i siekane linie, niby kratka. Był także jakiś napis, ale tego przy migającem świetle komina dojrzeć nie mógł cudzoziemiec. Nad drzwiami wyrzezano serce, a nad sercem krzyż z którego na obie strony wychodziły gałązki kwiatów; drzwi zaś same w górnej połowie, promienisto były z desek umiejętnie spojonych, utworzone, tak zwane „drzwi ze wschodzącem słońcem“

... na obie strony wychodziły gałązki kwiatów.

Zastanawiał go zmysł piękna, i to bezświadome poczucie symetryi, zlewającej się w ogólną harmonię, w kraju uważanym za barbarzyński i o którym na Zachodzie Europy ludzie mało wiedzą. Porównywał w myśli te ozdoby z ornamentyką górali szkockich. Z kolei zobaczył charakterystyczny stół, krzesła, łóżko, wreszcie kredens nadzwyczaj oryginalny o półkach ozdobnie wyrzynanych — ale szczególną jego uwagę zwrócił, wiszący między kredensem, a drzwiami łyżnik z drzewa jaworowego, na którym motywa geometryczne w połączeniu z roślinnemi,

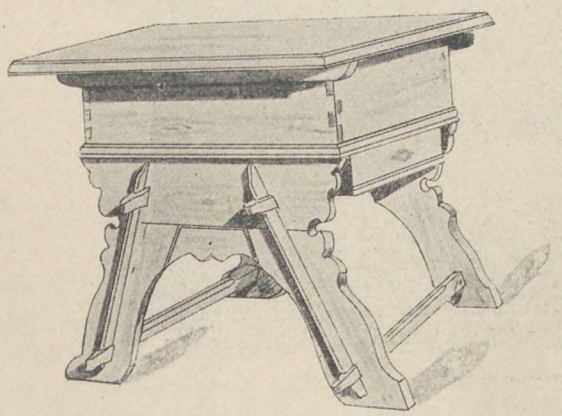

Z kolei zobaczył charakterystyczny stół.

dziwnie misternie rozwinięto; rysunek był w nacięciach farbą napuszczany

I czy to dla przypatrzenia się lepiej, czy dla wyprostowania nóg, wstał i przybliżył się do ściany, gdzie ów łyżnik wisiał. Turysta siedzą-

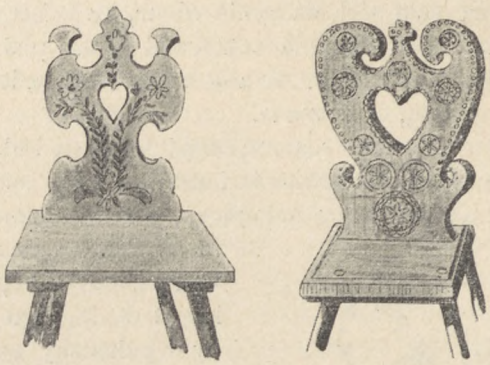

. . . krzesła wielce oryginalnych kształtów.

cy na łóżku i przypatrujący mu się ciągle, zobaczywszy gościa z profilu wstał także, podszedł ku niemu i przemówił po niemiecku:

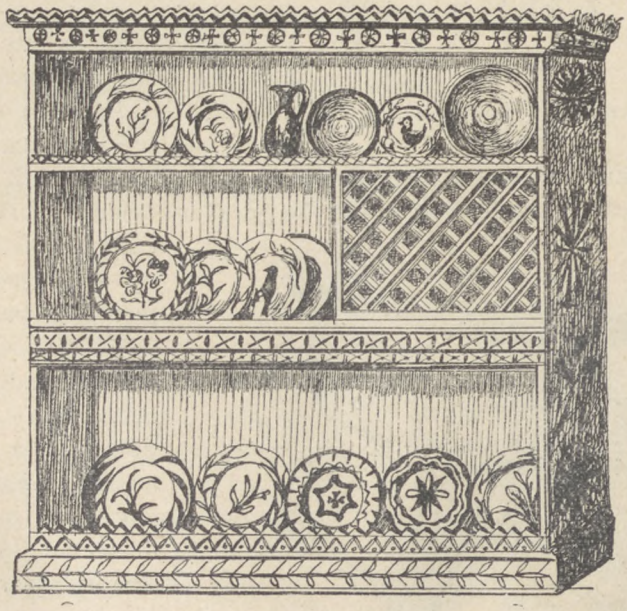

. . . wreszcie kredens.

— Przepraszam pana: zdaje mi się, że mam zaszczyt widzieć przed sobą sir Edwarda Warburtona, baroneta z Rochdale.

— Gruba ryba! — szepnął brunet do towarzysza.

Zapytany, snać człowiek nerwowy, drgnął nieznacznie, lekko brwi ściągnął i zmierzył oczyma mówiącego.

. . . ale szczególną jego uwagę zwrócił łyżnik.

— Tak jest—odrzekł sucho — ale ja nie mam zaszczytu znać pana. Czy mogę zapytać, zkąd mu jest wiadome moje nazwisko?

— Słyszałem je od pana samego, sir. Poznaliśmy się w Muzeum etnograficznem w Londynie.

Baronet milczał, zdając się szukać w pamięci.

— I byłem nawet gościem pańskim przez cały tydzień w Rochdale, gdzie badałem faunę jezior do mego dzieła o skorupiakach.

— Za które Akademia Berlińska przyznała panu nagrodę. Czytałem je panie profesorze Strand: mam je nawet w mojej bibliotece — odrzekł, uprzejmie wyciągając rękę. — Witam pana! Od czasu naszego rozstania się, upłynęło lat ośm, które nie bez śladu przeszły po nas obu, chociaż na panu ślady te są bardzo mało widoczne. Widać, że atmosfera wiedzy, w jakiej bezustannie przebywają uczeni, konserwuje ich nie gorzej niż własne ich preparaty w spirytusie!

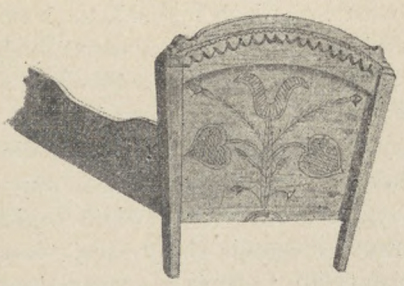

Łóżko.

— Pan także dobrze wyglądasz, sir — powiedział profesor, myśląc jednocześnie, że baronet bardzo przez te ośm lat postarzał.

— Rad jestem, że w tym kraju spotykam dobrego znajomego, któremu winienem niejednę miłą chwilę w Rochdale, i w którym obiecuję sobie znaleść tutaj miłego towarzysza i przewodnika.

— Czy państwo macie zamówione mieszkanie? — zapytał Strand.

— Nie.

— O, to trudno będzie dostać coś wygodnego, bo słyszałem, że wszystkie prawie domy pozajmowane. W każdym razie będziecie państwo musieli tutaj przenocować, bo dziś już niepodobna szukać mieszkania w taką burzę i po nocy. Ludzie się tutaj bardzo cisną. Kraj piękny, wiele piękniejszy niż Szwajcarya, która się już zanadto zużyła, i wielce oryginalny; a jako stacya klimatyczna, nie gorszy od sławnego Davos. Czy synowa pańska, lady Chester, jest tu również?

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

— Jest... i syn jej, Davy, także — odrzekł baronet, a cień niechęci przesunął się po jego obliczu.

Profesor Strand zauważył, że mówiąc to nie wyraził się: mój wnuk, tylko „jej syn“ i przypomniał sobie rozpieszczonego, nieznośnego chłopaka, którego widział w zamku Rochdale, psutego przez matkę, dogadzającą wszystkim jego fantazyom. Chciał zapytać, czy baronet przyjechał w Tatry szukać zdrowia, czy wrażeń; oraz czy on sam, czy też milady tego potrzebowała — ale zaniechał zamiaru i zapytał tylko o zdrowie.

— Dziękuję — brzmiała odpowiedź — wszyscy mamy się nieźle: milady nawet lepiej niż przed ośmiu laty.

— Zatem szukają wrażeń — pomyślał; — rzecz dziwna jednak, że baronet w tym wieku jedzie szukać wrażeń tak daleko, gdy mógłby je znaleźć bliżej.

Sir Edward, jakby odgadując te wątpliwości, dodał w charakterze objaśnienia:

— Czytaliśmy w „Graphicu“ artykuł Jazdowskiego o Tatrach. Szwajcarya już nam się sprzykrzyła, Alpy także.

Strand spuścił oczy. Właśnie to objaśnienie utwierdziło go w przekonaniu, że nie artykuł wspomniany spowodował podróż, ale inna jakaś, głębsza przyczyna. Baronet jeszcze przed ośmiu laty wydawał mu się człowiekiem zagadkowym, a zamek Rochdale ukrywającym w swych murach jakąś tajemnicę, o której nikt nie mówił, ale każdy czuł unoszącą się w powietrzu. Odgadywał ją w westchnieniach i półsłówkach milady, w zadumach pana zamku i jego zmiennym humorze, w ostrożnych, jakby lękliwych stąpaniach służby. Udał jednakże, że wzmianka o „Graphicu“ wystarczyła mu zupełnie i odezwał się, wskazując na łyżnik.

— Byłby to piękny nabytek dla brytańskiego Muzeum, jak również inne, znajdujące się tutaj przedmioty. Mają one wielką, rzadko dziś napotykaną zaletę, oryginalność. Lud tutejszy, odgrodzony od świata turniami, zasypany śniegami, miał czas tworzyć i zostawił ślady swej twórczości na całem swem otoczeniu, czerpiąc tylko z siebie i z otaczającej go przyrody. Są tu rzeczy niedociągnięte, że się tak wyrażę, do wysokości zamiaru, ale niema szablonowych i bezdusznych. Przeważnie spotyka się tu motywa geometryczne, w których uderza nadzwyczajna rozmaitość kombinacyi, oraz wysokie poczucie proporcyi i symetryi. Ten łyżnik...

— Kupię go — przerwał baronet, słuchający z niejakiem roztargnieniem. — A pan, szanowny profesorze, chyba nie dla zdrowia tu przybyłeś, bo masz bliżej Tyrol.

— O, nie — odparł, ożywiając się — poszukuję czego innego. Znajduje się w tych górach cenny skarb, który pragnę zdobyć.

— Skarb? — podchwycił zdziwiony Anglik — byłyżby tu kopalnie złota lub srebra?

— Złoto jest w Tatrach, więc nie potrzebowałbym go odkrywać— odrzekł z lekceważącym gestem — ale ktoby tam o nie się troszczył! Jest go zresztą dość na kuli ziemskiej. Ja szukam czegoś cenniejszego. mój skarb posiada ważność dla nauki.

— Cóż to jest zatem? — pytał zaciekawiony.

Profesor chwilę milczał, uśmiechając się tajemniczo; wreszcie wpatrzywszy się w swego słuchacza, zaczął mówić ostrożnie i powoli, jakby obawiał się nazbyt silne sprawić wrażenie.

— To, czego szukam, zowie się *Branchinecta Paludosa*. Jest to, uważa pan, nazwa gatunku z rodziny: Liścionogich-Branchiopoda, z rzędu **Stawonogich**.

Powiedziawszy to, cofnął się o krok jeden i badał wyraz twarzy baroneta, a sądząc że nie dość jasno się wypowiedział, dodał objaśniająco, kładąc nacisk na każdy wyraz:

— Skorupiak ten miał być pospolitym w Europie, w epoce lodowej; obecnie znaleziono go podobno w niektórych jeziorach Norwegii oraz w jednem z jezior tatrzańskich. *Branchinecta Paludosa* jest jedynym reprezentantem liścionogów w tutejszych jeziorach.

— Ależ liścionogi to nie taka osobliwość—przerwał Anglik. — Jest ich dość w Europie.

— Właśnie ten jest jedyny, jedyny... słyszysz pan? tem szczególny, że ojczyzną jego są kraje pasa podbiegunowego Europy, Azyi i Ameryki. W środkowej Europie dotychczas nie znaleziono go nigdzie, a za najniższy punkt graniczny jego południowego osiedlenia, uważano miejscowość Dovre Fjeld w Norwegii.

Baronet słuchał z powagą: w oczach profesora błyszczał prawdziwy zapał.

— Widzisz pan zatem, że to jest wielka osobliwość, że to jest skarb prawdziwy! W Tatrach żyje on podobno tylko w jednem jedynem jeziorku, choć wszystkich jezior jest przeszło sto. Zagadkową jest rzeczą, jakim sposobem to rzadkie zwierzę polarne tu się dostało! Jakie pańskie zdanie? co?

I nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:

— Prawdopodobnie było ono niegdyś pospolitem w wodach pewnej części Europy środkowej, a obecnie resztki jego przechowały się w krajach polarnych, i odpowiadających im pod względem klimatycznym, jeziorach górskich. Jednakże takie szerokie rozsiedlenie trzebaby odnieść do czasów, w których klimat Europy środkowej był innym, niż dzisiejszy, do czasów okresu lodowego.

Baronet słuchał z powagą tych uczonych wywodów, którym towarzyszyły nieustające grzmoty i błyskawice.

— I chcesz pan zapewne zdobyć ten skarb dla jakiego muzeum?

— Ach, tak: dla Muzeum berlińskiego.

— Życzę panu powodzenia: ja także szukam czegoś: pewnego rzadkiego okazu, którego brak mi do mej kolekcyi, a który chciałbym posiadać! Może pan łaskawie pomożesz mi w tem?

— Czegoż to mianowicie? — zapytał profesor mocno zdziwiony, szukając jednocześnie w pamięci, wspomnień z pobytu swego w Rochdale. Żadnych naukowych zbiorów tam nie widział... nic prócz wspaniałej biblioteki i jeszcze wspanialszych ogrodów.

Baronet milczał chwilę, wreszcie powiedział spokojnie:

— Szukam róży bez kolców.

Spinka góralska.

II.

CO W TEM JEST?

„Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie,
Aż się uspokoiło wszystko, tylko drzewa
Szumią głucho w około i szemrze ulewa“

Mickiewicz. Puszcza litewska.

Profesorowi aż okulary spadły, gdy to usłyszał. Podniósł je, nasadził na nowo i przypatrywał się baronetowi tak uważnie, jakby go widział po raz pierwszy. Anglik, wielki pan, starzec siedmdziesięcioletni, jadący z jednego krańca Europy na drugi, dla szukania róży — wyglądało to na coś tak dziwnego, tak nieprawdopodobnego, że w duszy profesora zbudziło się podejrzenie, iż róża była tylko pozorem dla osłonięcia innych zamiarów... ale jakich? Gdyby sir Edward był uczonym botanikiem, profesor Strand nie dziwiłby mu się wcale—bo sam przecie upędzał się za Branchiopodem — ale badaczem nie był, choć z zamiłowaniem hodował róże, i miał w Rochdale wspaniałe *Rosarium*. Mówiono o spółce kapitalistów francuskich, chcących eksploatować bogactwa mineralne Tatr... Kto wie, może baronet chce zawiązać spółkę kapitalistów angielskich, żeby nie dopuścić Francuzów — bo między temi dwoma narodami zawsze istnieje antagonizm. Sir Edward słynął jako wielki ekonomista, ale sprawami tego rodzaju chyba już przestał się zajmować, od czasu, gdy olbrzymi jego majątek w dwójnasób się powiększył.

A więc nie to: więc musi być coś innego. Bo gdyby nawet róży szukał, znalazłby ją bliżej, w Alpach: roślinność górska, z małemi wyjątkami, wszędzie jest jednakowa.

Dwaj młodzi turyści, rozumiejący doskonale po niemiecku, spoglądali na siebie i uśmiechali się. Blondyn, młody lekarz z Krakowa, podniósł się pierwszy i prosił profesora, żeby go baronetowi przedstawił, a gdy to zostało dopełnione, przemówił:

— Ja i mój towarzysz Witold, artysta malarz — to mówiąc spojrzał na przyjaciela, który powstawszy, zdaleka się ukłonił — odbywamy częste po górach wycieczki; będziemy upatrywali wszędzie owej róży, której pragnie wasza Miłość, aby gość z zamorza odjechał zadowolony z tego pięknego kraju. Ale wątpię, czy znajdziemy to czego szukamy. Nasze przysłowie polskie mówi: „Niema ryby bez ości; niema kobiety bez złości; niema róży bez kolców."

— Na część przysłowia odnoszącą się do kobiety, zgadzam się w zupełności — odrzekł profesor Strand, który raz jeden w życiu zdecydowawszy się ożenić, dostał kosza od swej wybranej i odtąd nabrał złego wyobrażenia o całym niewieścim rodzie. — Rybę bez ości znaleźć można, nawet więcej niż jedną: naprzykład Petromyzon fluviatilis, poprostu Minóg, z postaci podobny do węża, którego państwo zapewne wszyscy znacie, bo dobrze zamarynowany, smaczną stanowi przekąskę i nie trudno go dostać, jako przebywającego w rzekach. Drugą jest Amphioxus lanceolatus, Niślimka, długa, przejrzysta rybka, podobna raczej do ślimaka, jeszcze prostszej niż Minog budowy. Stanowi ona przejście od zwierząt mających wewnętrzny szkielet, do zwierząt takowego pozbawionych.

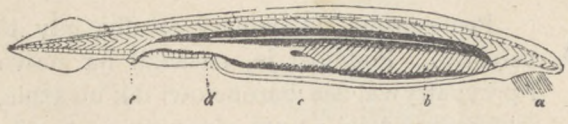

Niślimka.

I spostrzegłszy na półce kredensu kawałek kredy, narysował na ścianie sylwetkę owej Niślimki.

— Gdzież ona przebywa, ta ryba bez ości?

— W morzach, Niemieckiem i Śródziemnem — odrzekł. — Co zaś do róży bez kolców...

— Tej może niema na świecie!

— Owszem, jest, moi panowie, jedna róża, która w pewnej epoce swego życia staje się bezbronną. W pewnej epoce tylko, mówię, bo przychodzi na świat z kolcami; ma je nawet obfite, ale już w drugim roku życia je traci. Jest to Róża alpejska, *Rosa alpina*.

— Jakże ona kwitnie? biało, czy czerwono?—zapytał malarz — bo jeżeli jej szukać mamy, powinniśmy wiedzieć, po czem ją poznać można.

— To prawda, zatem słuchajcie uważnie: krzak wyrasta na cztery do pięciu stóp; kwiaty ma blado-różowe, ze słabym, delikatnym zapachem; liście pierzaste, szaro-zielone. Nie będę jej rysował, bo podobna do każdej polnej róży. Kwitnie w maju i czerwcu: wątpię, czy ją jeszcze zobaczycie kwitnącą!

Baronet, doznający już od dłuższej chwili niepokoju z powodu opóźniającego się powrotu górali wraz z karetą, zbliżył się do okna i usiłował przebić wzrokiem ciemności. Deszcz prawie ustał. Na zakręcie drogi widać było pochodnie, posuwające się powoli ku chacie, a gdy się więcej zbliżyły, można było rozróżnić sylwetkę karety, za którą toczył się duży wóz góralski.

Ponieważ godzina już była późna, na dworze ciemności coraz większe—i dalsza podróż tegoż dnia, w takich warunkach niemożebna, prosił sir Edward uprzejmego profesora, aby zapytał gospodyni, czy w bliskości niema wolnego mieszkania, gdzie możnaby znaleźć na tę noc schronienie.

Na to malarz odezwał się, że sam właściciel tej chaty pobudował o kilka kroków ztąd dom dla gości i pragnie wynająć go na całe lato; ale dom ten nie jest jeszcze gotowy, bo nie wszystkie okna oszklone, w pokojach pełno wiorów, u drzwi niema zamków, i brak jest wielu niezbędnych sprzętów. Zamienił kilka słów z gaździną i oświadczył sir Edwardowi, że jutro dom będzie zupełnie gotowy, ale dziś jeszcze nocować w nim nie można; że gospodyni oddaje „izbę czarną“, to jest tę, w której się obecnie znajdują, na sypialnię dla panów, a „białą“ po drugiej stronie domu przygotuje dla milady. Trzeba tam tylko wnieść łóżka i w piecu napalić. Służba pomieści się w nowym domu.

Baronet zgodził się na to chętnie, a malarz jął wychwalać piękne otoczenie chaty i rozległość widoku, jaki się ztąd otwiera na góry.

— A panowie gdzie spać będziecie i wasi przewodnicy?

— Przewodnicy wrócą do do Zakopanego, a my zamówiliśmy już sobie nocleg na poddaszu, na świeżem sianie.

W chwilę potem „czarna“ izba zapełniła się ludźmi.

Najprzód, ostrożnie próg przestępując, ukazała się milady z synem, czternastoletnim chłopcem, a za niemi służba i górale z gazdą na czele.

Postać pani imponowała pięknym wzrostem, pełnością kształtów, delikatną, starannie pielęgnowaną cerą i wyrazem pańskiej wyniosłości. Wyglądała conajmniej na panującą księżnę, której wyjątkowo przyszło do głowy zabawić się w zwykłą śmiertelniczkę; bo choć jej kapelusz z cienkiego popielatego filcu i jedwabny płaszczyk tego samego koloru, przedstawiały się skromnie, ale brylanty w uszach, wielkości dużego grochu, błyszczały zdaleka jak drobne gwiazdki, łamiąc się w blaski tęczowe.

— Fe, jaki tu zaduch, co za dym! — przemówiła po francusku, bo najchętniej używała tego języka. — Gdzież jest sir Edward?

— Jestem tutaj — odezwał się baronet, postępując ku niej. — Jakże się czujesz, Alicyo? Pewnie przemoczyłaś nogi, wysiadając z karety?

— Nie — odrzekła — bo górale przenieśli nas przez wodę: mnie i Fanny. Ale biedny Davy!

— Czy stało mu się co złego? — spytał zaniepokojony.

— Uparł się iść sam po kamieniach, noga mu się obsunęła i wpadł w wodę. On taki skłonny do kataru... Jerry — dodała, zwracając się do grooma — otwórz natychmiast walizkę i zmień hrabiemu Davy obuwie.

— Nic nie szkodzi; nie umiera się na katar — odrzekł baronet. — Wstyd byłoby, żeby taki duży chłopiec kazał się nosić przez wodę, sięgającą do kostek.

Milady przygryzła usta.

— Zdaje mi się, że my wszyscy przypłacimy zdrowiem tę podróż — powiedziała, siadając na krześle które jej podano, i wyciągając w kierunku ognia nogi obute w półbuciki ze złoconej skórki. — Cały dzień wczoraj i dzisiaj, deszcz. Co za szkaradny kraj!

— Miałaś czas przyzwyczaić się do deszczów w Anglii — rzekł zimno baronet. — Samej sobie przypisz winę, że się tu znajdujesz. Przypomnij sobie, żem ci to wszelkiemi siłami odradzał.

Słaby rumieniec wybił na twarz lady Alicyi.

— Twój własny lekarz nawet radził ci twoje ulubione Włochy.

Uwaga ta została bez odpowiedzi.

— Trochę cierpliwości, milady — przemówił pan Walter, którego już znamy, guwerner chłopca. — Kraj jest piękny, zdrowy, a deszcze nie ciągle padają.

Ale milady nie raczyła nawet okazać, że zauważyła te wyrazy. Zaczęła znowu narzekać na zaduch, i zwilżywszy chustkę zawartością flakonika, który jej podała towarzyszka, przyłożyła ją do nosa. W izbie rozszedł się ostry zapach eteru: górale nie przyzwyczajeni do specyfików tego rodzaju, jeden po drugim zaczęli kichać. Bawił ich wielce widok tych gości zamorskich, więc przyglądali im się ciekawie — a temu, co milady przeniósł przez wodę, snać musiała się wydać trochę cięższą niż piórko, bo rękawem pot z czoła ocierał.

— Czy długo będziemy tutaj odpoczywali? — spytała pani, zwracając się do baroneta.

— Do jutra — odrzekł. — Bardzo mi to przykro, ze względu na ciebie, bo co do mnie, zadowolony jestem z tej gospody. Są tutaj trzej turyści z Zakopanego i mówią, że tam jest bardzo liczny napływ gości; a my nie mamy zamówionego mieszkania.

— Piękna perspektywa! — szepnęła przez zęby.

— Zatem musimy tutaj zanocować. Sama wreszcie rozumiesz, że niepodobna szukać mieszkania po nocy i w taką ulewę, w miejscowości nieznanej.

— Ależ niemożna przecie spędzić nocy w tej okropnej izbie! Niech Jerry i Jack wezmą ludzi z pochodniami i szukają! Jest jeszcze dość wcześnie, a niepodobna, żeby nie znaleziono jakiegoś przyzwoitego schronienia!

— Nie — odrzekł sir Edward tonem niedopuszczającym dalszych uwag — zostaniemy tutaj. Gospodarz ma drugą, większą izbę i zgodził się nam ustąpić. Kazałem ją przygotować i ogrzać, i mam nadzieję że ci w niej tak bardzo źle nie będzie!

— Dziękuję, sir — rzekła oziębłe. — A pan?

— Ja tutaj pozostanę.

Milady spuściła oczy. Przestała ona już protestować przeciwko dokonanym faktom, tylko jęła się uskarżać na zimno w nogi. Fanny więc, młoda dziewczyna, w starannym, lecz pełnym prostoty ubiorze, podsunęła jej pod nogi futro z białych angorskich kóz, objęte czerwonem suknem.

— Doktorze — szepnął malarz do towarzysza — gdyby ta chciała mi pozować, zrobiłbym z niej Bonę Sforzia. Patrz tylko co za wymowna, niema gra wyrazu twarzy! Wrodzona gwałtowność powściągana siłą woli i jakby jakąś ukrytą pobudką, mającą cel określony i wyrozumowany. Twarz interesująca nietylko dla malarza, ale i dla psychologa.

— Ja tak głęboko nie sięgam; widzę tylko okazały typ anglosaksoński.

— O nie, nie, to nie jest Angielka, przysiągłbym! Angielki nie noszą klejnotów w podróży, a przytem akcent jest czysto francuski.

— Davy, moje dziecko czy ci nie zimno? — przemówiła milady, szukając oczyma syna, który zmieniwszy zamoczone obuwie na białe filcowe pantofle, zbliżył się także do ognia.

— Nie, mamo — odrzekł, rzucając lękliwe spojrzenie w stronę dziadka — ale jestem zmęczony i głowa mnie boli.

A nachyliwszy się do ucha matki, szepnął tak żeby sir Edward nie słyszał.

— Widziałem, że szykują dla nas pokój tam, po drugiej stronie. Chciałbym, żebyśmy stąd jak najprędzej wyszli. Tak tu duszno!

— Dziadek pewnie każe ci spać przy sobie — odrzekła cicho...

Davy był dużym chłopcem, bardzo podobnym do matki, z tą jednak różnicą, że matka była piękną, a syn niemal brzydkim. Rysy wprawdzie miał kształtne, ale oszpecone wyrazem znudzenia. Twarz

duża, pełna, nawet nieco zapełna, bladawa była i jakby nalana, a oczy nieco podpuchnięte. Jasne włosy wchodzące w odcień rudawy, były tak długie, że aż spadały na ramiona w miękkich zwojach — a z ich regularnego układu łatwo zgadnąć było można, że się znały z żelazkiem. Czarna aksamitna kurtka z wyłożonym płóciennym kołnierzem, i spodnie obcisłe z tegoż samego materyału, uwydatniały ciężkość i niezgrabność jego ruchów. Na głowie miał berecik.

— A ten okaz, czy także przyda ci się do obrazu? — spytał doktór malarza, wskazując oczyma chłopca.

— O nie, bardzo mi się niepodoba: takie to jakieś ociężałe, znudzone, a pretensyonalne! Cera chorobliwa...

— Pewnie zadobrze jada i za długo sypia. Dogadzają mu zanadto i przysposabiają nam, lekarzom, materyał do katarów żołądka, otłuszczeń serca i wątroby. Wyrośnie to na pasożyta, przeżywającego dostatki gromadzone przez kilka pokoleń. Gdyby się dostał w moje ręce, wyładniałby bardzo prędko.

— A to jakim sposobem?

— Kazałbym mu wstawać o świcie i chodzić z nami na wycieczki. Na cały dzień dawałbym mu kawał suchej kiełbasy lub sera, z chlebem.

— A pić, wcale?

— Wody ile zechce. Tak przymierając trochę głodem i dużo chodząc, utraciłby nieco tłuszczu, a zyskał na zręczności w ruchach i lekkości; oczy nabrałyby blasku, a cera zabarwiłaby się na różowo.

— Jest tu profesor Strand — mówił dalej baronet do synowej — czy przypominasz go sobie?

Gdy sir Edward wymawiał to nazwisko, profesor zbliżył się do lady Alicyi i złożywszy jej ukłon głęboki, wspomniał o swojej bytności w Rochdale przed ośmiu laty. Milady przymrużyła oczy, i popatrzyła na niego przez lornetkę osadzoną na rączce z masy perłowej, na której widniał jej monogram, z drobnych ułożony rubinów. Poznała go raczej po ubraniu wiszącem na nim, jak worek, po przesuniętym na bok krawacie, niż po twarzy mocno postarzałej — a poznawszy, wyciągnęła uprzejmie rękę.

— Miło mi spotkać znów pana — przemówiła lichą niemczyzną — cieszę się, że będziemy mieli przynajmniej kogoś z dawnych znajomych w tym kraju obcym dla nas zupełnie. Spodziewam się, że będziesz nam pan dotrzymywał towarzystwa.

Profesor, który od czasu otrzymanego niegdyś odkosza, nie bardzo lubił rozmawiać z damami, bąknął że co do towarzystwa, nie często będzie mógł służyć milady—bo cel dla którego tu podążył, ciągnie go do wycieczek w góry. Lady Alicya jęła się dopytywać, co to jest takiego i pro-

fesor zaczął znów swoją historyę o Branchiopodzie, czego grzecznie słuchała, tłumiąc ziewanie. Jedno takie ziewnięcie dostrzegł profesor i to ostudziło jego zapał. Fanny za to stojąca za krzesłem milady, słuchała uważnie, ale Strand tego nie widział.

— Będziemy mieli oprócz profesora, dwóch jeszcze przyjemnych towarzyszy, którzy, mam nadzieję, że zechcą nawiedzać nasze progi — rzekł baronet, wskazując na dwóch turystów, i wymieniwszy ich nazwiska, dodał: — Artysta malarz i doktór medycyny.

Milady teraz dopiero raczyła zauważyć tych panów, gdy powstali dla złożenia obowiązującego ukłonu.

— Pan jest doktorem — pochwycił Davy, zbliżając się do Jakóba — ach, to dobrze! Proszę pana, niech pan zobaczy mój język. Jest mi jakoś niedobrze: boli mnie głowa i suche mam ręce. Pewnie się zaziębiłem i będę miał gorączkę!

I wysunął swój długi, czerwony język, jak mógł najdalej. Milady poczerwieniała, a sir Edward zawołał z gniewem:

— Wstydź się, Dawidzie! Zadaleko posuwasz troskliwość o własne zdrowie. Jakże możesz zaczepiać w ten sposób człowieka, którego widzisz po raz pierwszy, i o którym nawet nie wiesz, czy zechce cię leczyć!

— Hrabia Davy użył tylko sposobu witania się, praktykowanego na wyspach Malajskich, gdzie pokazanie sobie nawzajem języków, jest właśnie oznaką najlepszego wychowania — rzekł śmiejąc się Jakób.

— Przepraszam... — wyjąknął Davy zmięszany.

— Ja wprawdzie, gdy w Tatry przyjeżdżam, przestaję być lekarzem, a jestem tylko turystą, ale wobec takiego objawu uprzejmości malajskiej, muszę oblec się na chwilę w skórę lekarza. My, Polacy, rzadko widujemy Anglików, ale wyobrażamy ich sobie jako ludzi wielce oryginalnych... Pan Davy nie zawiódł nas pod tym względem.

Lady Alicyi ten koncept nie bardzo się podobał, a Davy zmięszał się jeszcze więcej. Jakób wziął go za rękę, dotknął pulsu i uważnie przypatrzywszy się chłopcu, rzekł z powagą:

— Gorączki ani śladu, a język mógłby być wspaniałym okazem na Wystawie hygienicznej w Londynie.

— A jednak wilgoć i zmiany powietrza, szkodzą mu — odezwała się matka, pragnąca usprawiedliwić zachowanie się syna.

— Nie szkodziłyby, gdybyś go inaczej chowała — powiedział sir Edward tonem, w którym czuć było podrażnienie; — ale wmawiasz w niego chorobę, więc uwierzył naprawdę, że jest zagrożony i boi się wszystkiego. Zrobiłaś z niego niedołęgę, potrzebującego ciągłej opieki i usługi, i dochowasz się baby. Tak dłużej być nie może! Dosyć już te-

go domowego wychowania; od wakacyi pójdzie do szkoły w Eton, albo usunę się od wszelkiej nad nim opieki.

Davemu kręciły się łzy w oczach. Spoglądał z rozpaczą na matkę, jakby spodziewał się, że go obroni—ale matka milczała. Doktór przerwał drażliwą rozmowę, mówiąc że hrabia Davy istotnie blado wygląda, ale to ustąpi przy wycieczkach w góry i nieodłącznych od nich trudach. Chłopiec skrzywił się na wzmiankę o trudach, bo do żadnych nie był przyzwyczajony, a milady spytała, czy w Zakopanem są do wynajęcia osiołki, lub konie pod wierzch ułożone. Objaśniono ją, że osiołków niema, ale koni jest dosyć, chodzących doskonale po górskich ścieżynach; doktór jednak wyraził się z naciskiem, że Davemu radzi więcej chodzić, niż jeździć, i że tylko używając dużo ruchu, może nabrać lepszej cery.

— Co pan mówisz o tutejszym klimacie? — pytała dalej — czy nie za ostry dla mego syna?

— O to pani może być zupełnie spokojną. Klimat tatrzański nawet dla osób dotkniętych chorobami dróg oddechowych, wyższość ma nad alpejskim, pod względem zdrowotnym — odpowiedział doktór.

— Na wysokościach takich, gdzie tam rozpościerają się jeszcze lodowce, tutaj rosną ziemniaki — wtrącił malarz. — Tam są znaczniejsze różnice między stroną oświeconą promieniami słońca, a pogrążoną w cieniu, oraz między temperaturą dnia i nocy. Na górach szwajcarskich podczas nocy, w lecie, bywa po kilka stopni mrozu, a w Tatrach zdarza się to chyba wyjątkowo; tam przeto więcej jest sposobności do zaziębienia się, niż tutaj.

— Wobec takich warunków ciepłoty, o ileż łagodniejszym jest klimat Tatr, o ile bezpieczniejsze podróżowanie po tych górach — dodał doktór.

— Znajdujemy się więc w nowej Ameryce, gdzie są nieprzebrane skarby zdrowia! — powiedziała z przekąsem. — Dziwna rzecz, że przez tyle wieków nikt o niej w Europie nie wiedział, a Szwajcarya słynęła, jak słynie, daleko i szeroko! Któż był tym nowym Kolumbem, co dał ją poznać światu?

— Doktór Chałubiński. On to naprawdę odkrył Zakopane: bo chociaż przed nim przyjeżdżali tu ludzie żądni pięknych i silnych wrażeń, on dopiero ocenił własności lecznicze tych gór, rozmiłował się w Tatrach i zaczął przysyłać tu chorych.

Podczas gdy państwo zajęci byli rozmową, służba myślała o posiłku. Jack, kucharz lady Chester, personat okazałej postawy, porozumiawszy się na migi z gaździną i uzyskawszy od niej jaja, mąkę i masło, przypasał biały fartuch, który miał zawsze w swym worku podróżnym, wraz z najniezbędniejszemi przedmiotami. Na głowę włożył czap-

kę śnieżnej białości, jako oznakę swego dostojeństwa, i zabrał się do pełnienia urzędu z taką samą dokładnością i powagą, jakby się znajdował w zamku Rochdale. Jerry zaś, mały, zwinny jak wiewiórka, groom baroneta, odsunął stół od ściany i nakrył go białym irlandzkim obrusem; następnie przyniósł do izby puzdro skórzane z mosiężnem okuciem i wydobył zeń srebrne, wyzłacane sztućce i talerze, pięknie cyzelowane i zdobne w herby i monogramy. Górale pootwierali usta z podziwu — bo od czasu jak słynny Janosik chodził na zbój i łupił kupców węgierskich, nie widziano tu tak wielkiego bogactwa! Jerry wydobył także kieliszki, ustawił starannie na stole, położył biały chleb, masło, pasztet, postawił butelkę xeresu i podał na półmisku gorący omlet z szynką.

Sir Edward spojrzawszy na stół przelotnie, kazał powiększyć liczbę nakryć i współtowarzyszów uprzejmie do wieczerzy zapraszał; ale wymówili się wszyscy strudzeniem, oraz potrzebą spoczynku, i opuścili „czarną“ izbę wraz z góralami, których odesłano do domu.

Gdy przechodzili przez sień, drzwi były szeroko otwarte do izby „białej“, w której na prędce urządzono wygodną sypialnię. Malarz przystanął w progu na chwilę. Była to ozdobna świetlica, stanowiąca niejako miejsce odświętne, gdzie składano przedniejsze sprzęty i ubranie, a może i chowano pieniądze — bo małe, jedyne okienko, opatrzone było grubą żelazną kratą. Wszystko tam lśniło czystością: kredens był misterniej wyrzynany; listwa ozdobniejsza, na pięknych krokształynach, miała u dołu kołki do wieszania odzieży — a za poręczą listwy widniały ustawione obrazy świętych o barwach jaskrawych, niezbyt dawno nabyte, jak to widać było po połysku złoconych ram. Pomiędzy obrazami rozsiadł się wspaniały pas bacowski, mosiężnemi nabijany gwoździkami, a nad nim stary zardzewiały nóż zbójnicki utkwiony ostrzem w belce. Na środku stał oryginalny stół z jaworu na szeroko rozstawionych nogach, a pod oknem stare, poczerniałe od starości skrzynie, na kółkach, całe malowane zielono, w czerwone i białe kwiaty. Pod ścianą ustawiono szerokie łóżko z drzewa bukowego, z trzema wyrzezanemi w głowach liliami, napuszczanemi farbą.

Fanny, towarzyszka milady, wraz z gaździną krzątały się po izbie. Wniesiono olbrzymie kufry, wydobyto wykwintną pościel, porozkładano na ziemi kobierce, pozatykano mchem przeziory [1]) w ścianach. Przy łóżku ustawiono składaną podróżną gotowalnię, przy której nie brakowało nawet srebrnych lichtarzy. Surowe cokolwiek kształty świetlicy, poweselały od tego zamorskiego komfortu i od ognia

[1]) Otwory.

z gałęzi smerekowych, trzaskającego na kominie. Na płycie gotowalni stała maleńka spirytusowa maszynka, paląca się bladym, niebieskim płomykiem. Do srebrnego naczynia wlała Fanny kilka kropli z flakonu i rozszedł się delikatny, subtelny zapach modnych chińskich perfum *Ylang-ylang*.

Malarz wzruszył ramionami.

— To już czysta herezya! — szepnął. — W kraju, gdzie na kominie płoną wonne smereki, gdzie ściany chat pachną równie pięknie, jak ściany indyjskich świątyń, sandałowem wykładane drzewem; w kraju gdzie powietrze przesycone ozonem, jest tak orzeźwiające, jak nigdzie w Europie, zanieczyszczać je chińskiemi paskudztwami! Coby na to Matlakowski powiedział!

Trzem turystom dobrze było na „naizbiu“ [1]), na sianie okrytem derami. Gazda nie dał im świecy, ani lampki, bo to niebezpiecznie pod dachem z gontów, w obec nagromadzonego obficie palnego materyału, ale zawiesił im na haku latarnię w drewnianej obsadzie, której dziwnie proporcyonalne kształty, były wymownem stwierdzeniem tego, co profesor mówił baronetowi o poczuciu proporcyi i harmonii u tatrzańskiego ludu. W latarni płonął kaganek podobny do tych, z jakiemi jeszcze w rzymskich chodzono katakumbach: żelazne z olejem naczynie, a w niem szmatka zastępująca miejsce knota. Światło padało wprost na sąsiek, dużą, oryginalną skrzynię do mąki, ozdobnem pokrytą cyfrowaniem. Malarz głośno powtórzył teraz zdanie, wypowiedziane już przez doktora Matlakowskiego, że tylko w Pompei znaleźć można takie rozlanie form piękna na przedmiotach codziennego użytku, jakkolwiek tutaj bardzo skromny materyał do tego służy, bo nie marmur, ani bronz, tylko drzewo!

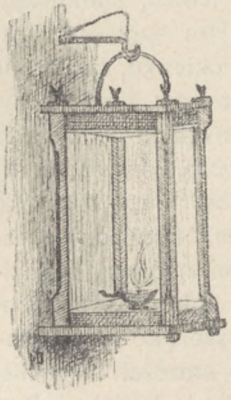

. . . zawiesił na haku latarnię.

. . . z jakiemi chodzono w katakumbach.

Profesor Strand nadmienił, że baronet chce kupić łyżnik dla Muzeum brytańskiego i rozmowa obracała się znowu dokoła Anglika, któ-

---

[1]) Na poddaszu.

rego osobistość wszystkich zaciekawiła. Malarz pokazał towarzyszom szkic tej charakterystycznej głowy w swym notatniku, i obaj uznali, że podobieństwo jest doskonale pochwycone, a twórca szkicu zwrócił się do Stranda z zapytaniem, czy ten jego dawny znajomy jest rzeczywiście takim amatorem kwiatów, że aż z jednego końca Europy jedzie na drugi, szukając róży bez kolców?

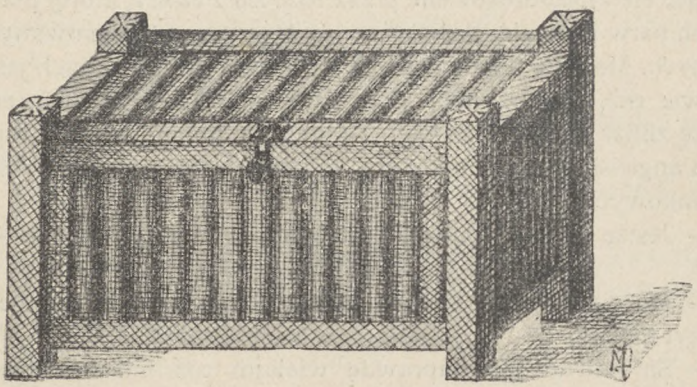

. . . skrzynię do mąki pokrytą cyfrowaniem.

— Czy jest amatorem kwiatów w ogóle, nie wiem – odrzekł Strand po namyśle — ale, że bardzo lubi róże, o tem wątpić nie można. Ma on u siebie w Rochdale wspaniałe Rosarium, w którem znajduje się aż pięć tysięcy odmian róż najrozmaitszych.

— Pięć tysięcy odmian samych róż? — zawołał malarz z najwyższem zdumieniem – ależ to brzmi jak bajka z Tysiąca nocy! Nie wiedziałem, że jest na świecie taka liczba odmian jednego rodzaju botanicznego. Co za bogactwo!

— Jest to oddzielna część ogrodów, zajmująca ogromną przestrzeń i otoczona żywopłotem z głogu. W czasie mej bytności w Rochdale cały ten płot był w rozkwicie.

W Rosarium znajdują się róże wszystkich niemal krajów świata, niejednakowej natury. Czołgają się tam one przy ziemi, pną się po kratach, zdobią krzewy, płaczą na pniach, albo dumnie wznoszą wspaniałe korony. Od drobnych kwiatków róży bukietowej *Rosa Polyantha*, aż do olbrzymów *Paul Neyron*, których kwiaty dochodzą średnicy spodków od filiżanek, wszystkie się tam znajdują. Rosną tam one podłużnemi pasami, podług barw, a każda barwa składa się z kilku rzędów, czyli odcieni, począwszy od najmocniejszego do najsłabszego. Barwy zlewają się z sobą nieznacznie, przechodząc jedna w drugą, i wyglądają niby tęcze, zwłaszcza gdy się na nie patrzy z pewnej wyniosłości. Ja właśnie patrzyłem z takiego wzniesienia, ze stojącej na wzgórzu pięknej stoż-

kowej altany, pokrytej pnącemi różami, dokąd mnie sir Edward zaprowadził, prosząc bym rzucił okiem dookoła. Gdy spojrzałem na to królestwo róż w całym jego przepychu i wspaniałości, przypomniały mi się naprawdę bajki Szecherazady. Począwszy od kwiatów ciemno czerwonych, prawie czarnych, z aksamitnemi płatkami, idzie kolejno cała gamma kolorów aż do białej. Cudowne są pasy róż złocistych, herbatnich, zlewające się z bladoróżowemi przez różę *La France*, której płatki mają obu tych barw odcienie. Prześliczne są też pasy róż paskowanych i nakrapianych. Możecie panowie sobie wyobrazić, co za zapach jest w tem królestwie róż, gdy przyjdzie pora kwitnienia! Już zdaleka podróżny czuje, że zbliża się do Rochdale! Gatunki i odmiany nie wytrzymujące klimatu angielskiego, są hodowane w cieplarniach dotykających pokojów zamkowych.

— Jestże to tylko pańska fantazya, czy manija dziwaka –zapytał doktór?

— Może prawdziwe zamiłowanie, złączone z celem praktycznym— zauważył malarz.

— Sir Edward jest naprawdę wielkim róż miłośnikiem — rzekł Strand—ale szkółki jego Rosarium dostarczają róż całej niemal Anglii.

— To się z>wie połączyć przyjemne z pożytecznem — zadecydował doktór. — Teraz już mniej się dziwię, że szuka w Tatrach róży bez kolców.

— A jednak... — zaczął profesor i uciął nagle.

— Co takiego? — zawołali obaj jednocześnie, uderzeni szczególnym tonem jego słów. — Powiedz pan, co masz na myśli?

— Eh, nic... —odrzekł, zbywając — tak sobie... powiedziałem wyraz bez znaczenia.

Doktór, trzymający ciągle w ręku notatnik z sylwetką głowy sir Edwarda, odezwał się po chwili milczenia.

— Ten pański baronet musiał się wychowywać zagranicą.

— A to dlaczego? — zapytał Strand zdziwiony.

— Akcent jego nie jest czysto angielski.

— Co za przywidzenie!

— Znam ten język, przebywałem czas jakiś w Anglii... Gdy mówi, czuję w dźwiękach jego głosu coś nieokreślonego, coś... że się tak wyrażę, obcego. W mowie rodowitych Anglików przeważa ton gardłowy; akcentują oni ostro, wydatnie, jak gdyby jednę zgłoskę od drugiej odrywali, całość więc brzmi szorstko, chropowato, a mowa baroneta jest gładka, dźwięki nie tak silnie z gardła wyrzucane.

— Zdaje się, że lata dziecinne spędził w Szkocyi...—wtrącił Strand.

— Ja tam na takich subtelnościach lingwistycznych się nie znam — powiedział malarz — więcej mnie interesuje strona moralna

człowieka, niż jego akcent. Nic o nim nie wiem, ale z mej własnej obserwacyi dzisiejszej wnoszę, że nie zasypia na różach, chociaż ma ich tysiące.

— Czemu? Jeżeli pan przypuszczasz, że miewa noce bezsenne, to może właśnie dla tego że śpi na różach.

— Róże mają kolce i... zabardzo pachną...!

— Więc nie trzeba się dziwić, że szuka róży bez kolców! — mówił dalej malarz. — W życiu jego rodzinnem też muszą tkwić kolce... Zdaje się, że dziad nie bardzo lubi swego wnuka.

— To nie jego wnuk — odrzekł Strand.

— Jakto! czyż owa lady nie jest jego synową? Sam pan to przecie powiedziałeś.

— Tak, ale syn baroneta, Ryszard, ożenił się z wdową, a Davy miał wtedy dwa lata.

— Aa... zatem potomstwa w prostej linii nie ma sir Edward?

— Nie... Synek sir Ryszarda, a prawdziwy wnuk baroneta, umarł nazajutrz po urodzeniu.

— Gdzież przebywa sir Ryszard?

— Nie żyje od dziesięciu lat. Zranił się śmiertelnie na polowaniu, gdyż nabój fuzyi w ręku mu eksplodował.

— Czy lady Alicya ma własny majątek?

— Jest prawie ubogą. Posiada tylko rentę dożywotną, którą jej stary baronet wypłaca; ale zdaje się, że niema między niemi sympatyi. Przyczyna leży, o ile wymiarkowałem, w różnicy ich poglądów i sposobie w jaki wychowuje syna. Wyborny system angielski, polegający na hartowaniu ciała i uprawianiu wszystkich sportów, nie trafia do jej przekonania. Ma swój własny system, polegający na dogadzaniu mu we wszystkiem. Zdarza jej się często słyszeć od teścia przykre uwagi, z których wprawdzie nie korzysta, ale które znosi cierpliwie. Krępuje się ona bardzo wobec niego i chciałaby go zjednać dla swego syna; bo jeśli stary baronet nie zrobi go swoim spadkobiercą, niewiadomo komu dostanie się ten olbrzymi majątek!

— Czyż sir Edward nie ma bliższej rodziny?

— Nie: jest podobno jedynym rodu swego przedstawicielem.

— Cała historya, mogąca dostarczyć przedmiotu do powieści! Nawet intrygę nie trudno byłoby zawiązać w takich warunkach — szepnął doktór.—Mówiąc między nami, lady nie jest bardzo przyjemna ze swym słodko kwaśnym humorem.

— Ani jej syn.

— Ale powiedz mi pan, skoro znasz tę rodzinę, kto jest ta młoda, piękna dziewczyna, którą milady z sobą przywiozła? Jest-że to panna służąca, czy towarzyszka?

— Wygląda raczej na towarzyszkę—odezwał się malarz — a lady Alicya przyjmowała jej usługi w taki sposób, jak gdyby była jej służącą.

— Młoda dziewczyna... młoda dziewczyna... — powtarzał Strand, szukając w pamięci; zajęty bowiem swoim Branchiopodem, nie zauważył jej wcale. — A tak, istotnie, hm, doprawdy... pewnie służąca.

— Milady nazywała ją „Fanny". Słuchała ona z uwagą pańskiego opowiadania o Branchiopodzie.

— Doprawdy! — zdziwił się profesor - czekajże pan: Fanny, miss Fanny, tak... przypominam sobie. W Rochdale było małe dziewczątko tego samego imienia, jakaś uboga krewna.. Fanny... tak, to niezawodnie ona; a ja jej nie poznałem, do licha! i nie ukłoniłem się nawet.

Zapanowało milczenie. Profesorowi oczy już do snu kleić się zaczęły, malarz także się nie odzywał. Deszcz i wiatr ustał i cisza zapanowała na dworze. Szmatka w latarni dopalała się i wkrótce miała zgasnąć, bo oleju zabrakło. Jakóbowi nie chciało się spać jeszcze. Zapragnął wypalić papierosa, ale tutaj, na sianie, nie godziło się nawet myśleć o tem. Zsunął się cicho po drabinie na dół i wyszedł na dwór. Drzwi jeszcze nie były zaparte i gaździna, cicho stąpając, przenosiła z sieni jakieś rzeczy i statki na boisko, gdzie nocować miała wraz z gazdą, strykiem i pastuchem od bydła. Sięgnął do kieszeni od kamizelki, ale nie znalazł w niej zapałek i przypomniał sobie, że je zostawił w „czarnej" izbie, na oknie przy którem siedział.

W izbie świeciło się jeszcze i nawet okno teraz było otwarte. Zdaleka widział swoje pudełko zapałek — wystarczało wyciągnąć tylko rękę. Chwilę namyślał się, czy iść po nie—i postanowił iść, przeprosiwszy sir Edwarda.

Zbliżył się do okna: Walter i Davy spali na ławach pookrywani pledami, a łóżko przygotowane dla baroneta, było jeszcze nietknięte. Sir Edward chodził po izbie bardzo zamyślony, z rękami założonemi w tył, a czoło jego przecinały gęste fałdy.

— Jakiś robak go gryzie... — pomyślał doktór i zatrzymał się.

Baronet przystanął, wziął lichtarz ze stołu i przyświecając sobie, jął przypatrywać się obrazom rozwieszonym na ścianie. Na honorowem miejscu wisiał niewielki obrazek na szkle malowany, przedstawiający słynnego Janosika z jego towarzyszami. Wszyscy strojni w wysokie kołpaki, ozdobione piórami, mieli włosy spadające na ramiona. U jednych z przodu wisiały długie loki po obu stronach twarzy, u drugich zamiast loków dwa warkoczyki. Główny bohater przedstawiony w powietrzu, w chwili jakiegoś nadzwyczajnego skoku, prawą ręką strzelał z pistoletu do wierzchołka drzewa, a w lewej trzymał butelkę. Na ziemi stał kocioł naładowany dukatami. Sir Edward przypatrzył się z zajęciem malowaniu wielce pierwotnemu, acz wykonanemu starannie,

z widocznem usiłowaniem wiernego odtworzenia szczegółow, i uśmiechnąwszy się, posunął się dalej. Były tam tandetne, jaskrawe roboty z niemieckiemi podpisami: Chrystus ukrzyżowany, święty Mikołaj, Matka Boska Ludźmierska, a dalej obraz nie napotykany prawie wcale na Podhalu

. . . przedstawiający słynnego Janosika z towarzyszami.

i pochodzący widocznie z daru od przyjezdnych gości: niezły kolorowany rysunek Ostrej Bramy, wraz z ludem klęczącym na ulicy.

Lichtarz ze świecą zachwiał się w ręku sir Edwarda. Stał długo przed tym obrazem, nie mogąc oczu od niego oderwać, potem niepewną ręką postawił lichtarz na stole, i opadł ciężko na krzesło. Wzrok jego utkwiony przed siebie, był zmącony, jakby zalękniony; cała postać przygarbiła się, skurczyła i zmalała. Możnaby powiedzieć, że zawiał zdaleka wicher i poderwał korzenie dębu, stojącego jeszcze przed chwilą mocno i niewzruszenie.

Doktór nie szukał już zapałek; odszedł w głębokiem pogrążony zamyśleniu.

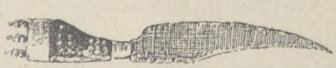

Nóż zbójnicki.

III.

WE MGLE.

„Świat owionęła mgła blada:
Już trzy dni w górach deszcz pada".
Felicyan. Odgłosy z gór.

Mgła była tak gęsta na dworze, że szyby w oknach, choć przezroczyste, wyglądały jak matowe. Cztery słabo rysujące się przed oknami cienie, pozwalały zaledwie zgadywać że to są drzewa, a z cienia załamującego się pod kątem prostym koło domu, domyślać się tylko było można, że to jest coś w rodzaju ogrodzenia—co jednak zostawiało niejakie wątpliwości.

— Co za brzydki kraj! — myślała panna Katarzyna, patrząc w okno z niezadowoleniem. — Siedzimy we mgle, zupełnie odcięci od świata, jakby uwięzieni. Moje biedne dzieciaki, co tak marzyły o górach i cieszyły się że będą chodzić na spacery, muszą siedzieć w domu!

Panna Katarzyna, zwana „babunią Kasią", mogła mieć lat przeszło sześćdziesiąt, których większa część pewnie upłynęła jej w ciężkich okolicznościach — jak świadczyła siatka zmarszczek i dwie głębokie bruzdy, od oczów idące ku ustom, ściągniętym w jakiś bolesny wyraz. Włosy miała siwe, gładko na skroniach przyczesane i jasno-niebieskie poczciwe oczy, przez które wylewała się dobroć. Suknia wełniana, okry-

wająca jej szczupłą, drobną, przygarbioną postać, wyszła z mody przynajmniej od lat dziesięciu, i nosiła ślady długiego użycia, choć była starannie wyczyszczona i pocerowana.

Westchnęła i zadumała się, co to będzie, jeżeli mgła potrwa jeszcze z tydzień, ale dumanie nie trwało długo. Posłyszała męzkie kroki na ganku, potem w sieni, wreszcie delikatne do drzwi pukanie.

— Proszę — odezwała się, zaciekawiona, ktoby to mógł być, bo nie mieli jeszcze znajomych w Zakopanem.

Drzwi otworzyły się i wszedł młody blondyn w okularach, z twarzą otwartą, sympatyczną i małemi jasnemi wąsikami, którego już widzieliśmy w chacie na Starej Polanie — a kłaniając się z uszanowaniem, przemówił:

– Szanowna pani daruje, że ją tak nieproszony nachodzę, ale dowiedziałem się dziś od księdza proboszcza, o przybyciu pani do Zakopanego i pragnę przypomnieć się jej pamięci.

Zamilkł na chwilę i jakby czekając na coś, dodał:

— Czy pani... nie poznaje mnie?

Panna Katarzyna słuchała uważnie przybyłego, bystro mu się przypatrując, jakby szukała czegoś w pamięci, i przemówiła z zakłopotaniem:

— To jest... tak... coś, niby znajomego, ale doprawdy... nie mogę sobie przypomnieć. Może łaskawy pan... pomylił się...

— Widocznie zmieniłem się bardzo... Muszę więc pamięci szanownej pani dopomódz. Zna pani wieś Łomiska, sąsiadujące z Miratyczami, w okolicach Świtezi?

— Jakżebym znać nie miała! W Łomiskach mieszka nasz stary, dawny przyjaciel, Mineyko... Ach — dodała, patrząc nań bystro — czy pan czasem nie jesteś jego synowcem, Kubusiem, co przyjeżdżał z Warszawy na wakacye?

— Tak jest — dodał, całując serdecznie jej ręce. — Jestem tym samym Kubusiem co tak przepadał za suszonemi śliwkami na słomianych rożenkach, któremi mnie pani zawsze obficie częstowała. Rad jestem serdecznie, żem panią tu spotkał i mogę z nią o swoich stronach nagadać się dowoli.

— I ja się bardzo cieszę — odrzekła, całując jego głowę i patrząc nań poczciwemi, lekko zamglonemi w tej chwili oczami. — Jak też to Kubuś—chciałam powiedzieć, pan Jakób... wyrósł, jak zmężniał! Słuszny kawaler! Mówiliśmy często o tobie z twoim stryjem. Jakże ci się tutaj wiedzie?

— Nieźle: skończywszy moje studya medyczne, zostałem doktorem.

— Mówił nam to twój stryj.

— Zajmuję się więc praktyką lekarską, a w chwilach wolnych, nauką. Pracuję nad Historyą medycyny w Polsce, która wkrótce drukować się zacznie. Tymczasem zrobiłem sobie wakacye na kilka tygodni, i bawię się, zbierając zielnik roślin górskich.

— No, patrzcie, moi państwo — mówiła panna Katarzyna — anim się tego spodziewała! Góra z górą nie zejdzie się, ale człowiek z człowiekiem... Siadajże, mój Kubusiu, chciałam powiedzieć, panie Jakóbie. Jak się to dzieci ucieszą! Henryczku, Marysiu, chodźcie! Mamy gościa!

— A pan Marcin jak się ma, czy zdrów? — zapytał młodzieniec.

— Trzyma się jeszcze jako tako — odpowiedziała — ale bardzo skruszał. Zjadły go troski i strapienia, swoje i cudze!

Dzieci, zjawiły się na wezwanie: ośmioletnia dziewczynka i chłopiec, którego już nie można było nazwać dzieckiem, bo wyglądał na lat przeszło czternaście. Przywitanie i zapoznanie się, pod wpływem serdecznych słów panny Katarzyny, nastąpiło bardzo prędko. Pan Jakób przypomniał Henryczkowi, że go dawniej widywał i chodził nawet z nim razem po lasach i polach; tylko siostrzyczki jego nie znał wcale, bo nie było jej jeszcze na świecie, gdy ostatni raz odwiedzał Miratycze.

Przypatrywał jej się teraz uważnie i z zajęciem. Dziewczynka była bardzo szczupła i wątła: miała owalną, przezroczystą twarzyczkę, przypominającą obrazy znakomitego malarza francuskiego, Greuza, odznaczające się nadzwyczajną delikatnością pendzla i wdziękiem malowanych główek. Ciemne, bujne włosy, splecione w jeden warkocz, niebieską przewiązany wstążką, spadały jej na plecy, a wielkie czarne oczy, przysłonięte były długiemi rzęsami, od których padający cień sprawiał, że twarzyczka wydawała się jeszcze bledszą. Chwilami pod wpływem silniejszego wrażenia, uderzały na nią słabe rumieńce, a wtedy siatka żyłek niebieskich uwydatniała się na skroniach.

Z ciekawością przypatrywała się ona nieznajomemu panu, którego babcia znała, i odrazu zaczęła go traktować po przyjacielsku. Opowiedziała mu, że góral jeden przyniósł jej parę królików, i że ich posiadanie uszczęśliwia ją niezmiernie.

W zachowaniu się chłopca widać było, że występował wobec dziewczynki w roli opiekuna. Wyrosły bujnie, może zbyt bujnie jak na lat czternaście, miał wobec niej przewagę starszeństwa, siły, zdrowia i rozumu. Niebieskie jego oczy patrzyły śmiało i pogodnie, niemal wesoło, szlachetne rysy twarzy tchnęły prostotą, a gęsta, falująca nad czołem czupryna, nadawała mu coś junackiego.

Rozmawiano o sprawach najbliższych sercu pana Jakóba, o znajomej mu okolicy, a potem z kolei zwrócono się do chwili obecnej. Panna Katarzyna bardzo narzekała na Zakopane.

— Tyle się nasłuchałam o niem pochwał, od tych co tutaj przyjeżdżali — mówiła — takie opowiadano o tej krainie cuda, że choć nie lubię wyruszać się z domu, i od lat dwudziestu nie wyjeżdżałam dalej jak do kościoła i w sąsiedztwo, jednak zgodziłam się chętnie na tę podróż, gdy pan brat mi ją zaproponował, bo chciałam te cuda ujrzeć na własne oczy. Tymczasem jestem tu już trzeci dzień i wcale gór nie widziałam.

Pan Jakób chciał odpowiedzieć, ale staruszka mówiła dalej z żywością:

— To nasz doktór wszystkiemu winien: tak zachwalał Zakopane, że wszystkim u nas w domu głowy pozawracał. Brat mój ciągle potem o Tatrach tylko myślał: a gdy jeszcze i sędzia K., któremu on wierzy tak, jak księdzu proboszczowi, wspomniał nawiasowo, że klimat górski byłby dobrym dla Marysi, wyprawił nas tutaj, choć przyszło mu to z wielką trudnością. Czasy na wsiach zmieniły się... Kubuś wie... i gospodarstwo nie daje nawet części tego, co dawniej!

Westchnęła.

— Co się wyda na Zakopane w tym roku, to się oszczędzi później na lekarstwach — odrzekł Jakób — bardzo rad jestem, żeście tu państwo przyjechali.

— Ale ja nie jestem rada: od chwili gdyśmy wsiedli na wózek, deszcz ciągle pada! I to nie taki porządny, jak naprzykład u nas, co się wyleje jak z cebra, popada czas jakiś i ustanie; ale drobny, a ciągły, a gęsty, jakby jaka zasłona. Nie widzieliśmy przed sobą nic oprócz koni... Ale, co ja mówię, nic! Z jednej i drugiej strony była przepaść.

Doktór uśmiechnął się.

— Wiem, wiem — rzekł pobłażliwie — znam tę drogę.

— Jezus Marya! — myślę sobie — jak się tu wóz razem z nami w przepaść stoczy, tak śmierć! Włosy mi stanęły na głowie: zamknęłam oczy i zaczęłam odmawiać modlitwę do świętej Katarzyny, mojej patronki.

— A dzieci czy bardzo się bały?

— Zwyczajnie jak dzieci; bawi je każda nowość. Henryś zawsze udaje zucha: zamłody jest, żeby rozumieć niebezpieczeństwo, a Marysia znów bardzo lubi jeździć: mieszkałaby na wózku gdyby mogła. Góral też potem rozwiązał sznur, podtrzymujący płótno wozu i opuścił je na boki, bo bardzo zaciekało i połowa sukni mi zamokła. Ale ja myślę, że on to zrobił dla tego, żebyśmy drogi nie widzieli. Odtąd nie wiedziałam już co nam grozi: modliłam się tylko i zdałam wszystko na Opatrzność!

Jakób z uśmiechem patrzył na mówiącą, której twarz łagodna, dobrotliwym zawsze nacechowana wyrazem, mocno była teraz poru-

szona opisywaniem przebytych przygód. Z tonu głosu i przejęcia, z jakiem mówiła, widać było, iż pewna jest że cudem tylko uniknęła śmierci. Niebieskie jej oczy były prawie wylęknione.

— Niech mi szanowna pani wierzy, że podróż z Chabówki do Zakopanego nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa — odpowiedział tonem perswazyi. — Droga bita, doskonale utrzymana: jedzie się po niej jak po stole, a przytem wozy zaopatrzone są w hamulce. Gdyby nie ten deszcz, który gęstą płachtą zasłonił widok na obie strony, przekonałaby się pani naocznie, że przy drodze niema żadnych przepaści.

— Ale, co mi Kubuś mówi! — przerwała z pewnem rozdrażnieniem — widziałam na własne oczy przepaście okropne, a w jednem miejscu, coś w połowie drogi między Chabówką a Nowym Targiem, o mało nas wicher razem z wozem nie strącił z góry na dół. Wicher, powiadam ci, zaczął dąć z taką gwałtownością, że aż płótna powydymane jęczały, a podtrzymujące je obręcze trzeszczały. Smagał nas przytem po twarzy tak ostro, że aż łzy z oczów wyciskał. Myślałam, że nie wydostaniemy się żywi z tej krainy wichrów.

— Góra, którą pani bardzo właściwie „krainą wichrów“ nazwała, zowie się Obidowa. Jest to stałe mieszkanie wiatrów, nie opuszczających jej nigdy, nawet w najpogodniejsze dni upalnego lata; ale wypadki przewracania wozów rzadko się tam zdarzają.

— Aa, więc zdarzają się jednak! I ten rzadki wypadek mógł się był właśnie nam przytrafić... Gdybym to była naprzód wiedziała, nie ruszyłabym się z Miratycz za nic w świecie! Kubuś się ciągle uśmiecha?

— Bo poznałem już szanowną panią i wiem, że gdyby nietylko przez krainę wichrów trzeba było jechać, ale przez krainę ognia, pani pojechałaby bez wahania dla zdrowia Marysi.

— Oj, to prawda! — przyznała i dodała tonem przyciszonym: — Kiedy już tak otwarcie mówimy, to przyznam się Kubusiowi... chciałam powiedzieć, panu Jakóbowi...

— Niech będzie Kubuś, bez tytułu pana — przerwał młodzieniec, całując jej rękę.

— Ale czyż się to godzi — wzdragała się — taki słuszny kawaler!.. Przyznam się panu Kubusiowi, że ja tam nie bardzo za temi widokami... i że puścić się w drogę, była to dla mnie ciężka rzecz! W moim wieku, z moim reumatyzmem, ma się już swoje nawyknienia i potrzeby, wynikające ze starości: swój pokój, swoje łóżko, swoje krzesło nakoniec... a tutaj, doprawdy, niewiem nawet, jak przyjdzie przetrwać dwa miesiące! Proste ławy, twarde krzesła, w łóżkach siano zamiast materaców i ani śladu zrozumienia potrzeb ludzi cywilizowanych. To dobre dla górali, ale nie dla gości, chyba tylko dla młodych i zdrowych.

— Mieszkania wygodniejsze są, ale trzeba je naprzód zamawiać i to bardzo wcześnie. Tyle tu ludzi przyjeżdża, że gdyby nawet chaty

jeszcze gorzej były zaopatrzone, wszystkieby mimo to wynajęto. Wiedzą to górale i dla tego nie bardzo się o wygody gości swych troszczą! Braki, co prawda, wynagradza piękna natura i zdrowe powietrze. Miękkie krzesło dla pani, nawet materace, znajdziemy powoli.

— Mówiłam naszemu gospodarzowi, że mógł był przecie jakieś wygodniejsze siedzenie przysposobić: i wie Kubuś, co mi odpowiedział? „Kto chce dobrze siedzieć, niechaj siedzi doma!“

Jakób rozśmiał się, a panna Katarzyna mówiła dalej:

— A co do widoku, mój Kubusiu, czy to w naszych Miratyczach brakuje pięknych widoków? Jest las, jest jezioro, a gdy słońce wschodzi lub zachodzi i przegląda się w wodzie, to jest tak ślicznie, że grzech doprawdy żądać więcej od Pana Boga. Piękna natura...! Na owej górze Obidowej góral powiedział nam, że ztąd widać już Tatry i wskazywał biczyskiem przed siebie, ale my widzieliśmy tylko w dali ciemny, a długi płat chmury, nic więcej. Ach, co to była za droga! Płótno się w kilku miejscach rozdarło, a wilgoć i chłód przenikały do kości. Dzieci pytały się ciągle, czy jeszcze daleko do Zakopanego, a góral ciągle odpowiadał: „nie prec,“ to niby, że niedaleko. Powtarzało się to tyle razy, że aż mi się naprzykrzyło słuchać. Myślałam, że ta podróż nigdy się nie skończy. Już zupełna noc była, gdy przybyliśmy. Łaska Boska, żeśmy nie zbłądzili.

— Tego wypadku nigdy jeszcze nie było — odrzekł Jakób — góral tak zna swoje góry, że zabłądzić w nich nie może, zwłaszcza na bitej drodze. Wyobrażam sobie, jak państwo dobrze spali po tak męczącej podróży.

— Dzieci zaraz posnęły, ale ja nie mogłam. Szum potoku płynącego tu gdzieś bardzo blisko, nie dał mi się nawet zdrzemnąć. W dodatku miałam nad samem oknem wodospad z deszczowej wody, spływającej po rynnie na kamienne płyty chodnika. Duet ten nie mógł mnie ukołysać.

— Dla mnie to bardzo przyjemna muzyka — wtrącił młodzieniec.

— Już ja za nią dziękuję!

— Bardzo łatwo można się do niej przyzwyczaić. Jestem pewny, że dziś już pani będzie lepiej spała.

— Myśli pan Kubuś, że to koniec? Gdy uszy moje już się nieco oswoiły z łoskotem strumienia i szumem wodospadu, a oczy zaczęły mi się kleić, posłyszałam jednostajny, miarowy odgłos, niby spadających kropli i poczułam, że poduszka moja jest mokra. Zerwałam się, zapaliłam świecę; patrzę, a to z pułapu kapie! Co było robić? Odsunęłam łóżko od ściany, i krople padały już na podłogę, aż ustały nad ranem, gdy i deszcz ustał.

— Dach jest widocznie uszkodzony. Gazda powinien go naprawić.

— Właśnie dziś z rana posłałam po naszego gospodarza, i gdym mu pokazała wilgotną plamę na suficie i strugę na podłodze, i opowiedziałam że trzeba było aż łóżko odsunąć, odrzekł mi na to: „Wiecie co? a toście dobrze zrobili!“

Jakób roześmiał się znowu.

— Zdumiałam. Żadnego zakłopotania, powiadam Kubusiowi! Nie przestał ani na chwilę palić swej krótkiej fajeczki; przeciwnie, na twarzy jego był jakiś dobrotliwy uśmiech, jakby pobłażanie dla mnie, że z takiej drobnostki robię wielkie rzeczy! Potem zwróciłam jego uwagę, że w chacie niema najniezbędniejszych rzeczy, że brakuje nawet szafy do sukien, i że jemu samemu o to chodzić przecież powinno, żeby goście byli zadowoleni. Wie Kubuś co mi odpowiedział? „Takie pudło to mnie ta nie cieszy!“ I jakby stał na stopie zupełnej równości towarzyskiej z nami, zasiadł nuprzeciw mnie, na tem tu oto miejscu, gdzie siedzisz i zaczął wypytywać o drogę, o zdrowie nasze, z jak daleka przybywamy i tym podobnie, a w obejściu jego przytem była najzupełniejsza swoboda, a nawet powiedziałabym, że pewne poczucie wyższości, jakby występował w roli opiekuna i protektora. Słychane rzeczy!

— Szanowna pani przywykła do tego, że chłopi kłaniają się do kolan i stają u drzwi nieśmiało; ale tu są inne obyczaje, innemi stosunkami wytworzone od wieków. Tu góral nie zależy, ani nie zależał nigdy od dworu, więc i w zachowaniu się jego niema pokory, a jest natomiast swoboda, pewność siebie i szlachetna godność w obejściu. Jest on u siebie panem, i uważa się za zupełnie równego temu, komu wynajmuje dom, a nawet do pewnego stopnia czuje się wyższym, bo tu jest gospodarzem, a my tylko gośćmi. Z pewnym przekąsem nazywa przyjezdnych „kieszonkowymi panami“, podczas gdy on sam czuje się „panem gruntowym“. Obyczaj odmienny, jaki goście z sobą przynoszą, jest mu równie obojętny, jak ich sposób wyrazania się i ich ubiór, z którego się pewnie śmieje. Góral jest sprytny: rozumie, że przyjeżdżający mają więcej od niego wiadomości o świecie i o tem wszystkiem, co się na nim dzieje; ale własne swoje wiadomości uważa za wystarczające dla siebie, a swój sposób widzenia rzeczy, jego zwłaszcza spraw dotyczący, często ma za lepszy od naszego, w czem się rzadko myli. Ztąd wynika, że nie obawia się rozmowy z ludźmi wykształconymi, wygłasza zdania śmiałe i stanowcze, zapuszczając się nawet w długie dysputy. Pogląd ma przytem jasny, sąd zdrowy, stoi też niezaprzeczenie wyżej od naszego chłopa. Ztąd wynika, że taki naprzykład prosty góral jak Wojciech Roj, był serdecznym przyjacielem doktora Chałubińskiego, człowieka wielkiego rozumu i olbrzymiej wiedzy.

— Roj, dziwne nazwisko! Czytałam niegdyś powieść Walter Skota, pod tytułem: Rob Roy.

— Nazwiska góralskie istotnie dają wiele do myślenia — odrzekł Jakób.

— Babuniu! — odezwała się dziewczynka — czy babunia wie jak się nazywa nasz gazda?

— Wiem, Ślimak.

— A żona jego nazywa się z domu Gąsienica. Ślimak i gąsienica, jakie to zabawne! Prawda babuniu?

— Ta trzpiotka miała czas już wszystkiego się dowiedzieć — zauważyła panna Katarzyna, a uśmiech słoneczny twarz jej rozjaśnił. — Co za dziwaczne nazwiska! Zoologia tu widzę kwitnie: Kubusiowi, jako przyrodnikowi, pewnie się podobają.

— I pani będą się podobały, gdy powiem że należą do najwyższej arystokracyi góralskiej, jeżeli pod tem mianem rozumieć będziemy dawność rodów. Gąsienicom przywileje posiadania polan w Zakopanem, nadał jeszcze król Stefan Batory.

— Któż widział te dokumenty?

— Może je widzieć każdy we Lwowie, w aktach grodzkich. Mają też przywileje Topory, Jarząbkowie, Kalatowie: trzeba więc mieć respekt dla nazwisk góralskich. Jest w Zakopanem miejscowość należąca do rodziny Chramców i nosząca nazwę „Chramcówki". Wskazówka to, że niegdyś tam stał pogański chram, i że ten ród góralski z kapłanów się wywodzi, choć nie posiada udowadniających swą starożytność dyplomów.

— To jeszcze nie koniec, babuniu — mówiła Marysia — u Ślimaka i Gąsienicy służy za pasterza Król, zupełnie jak w bajce zaklętej.

— Co też ta mała wygaduje!

— Ależ tak, babuniu, doprawdy! A wie babunia, jak się nazywa góralka, którą gaździna nam naraiła do służby?

— Mów, ty trzpiocie, bo ja wcale nie jestem domyślna: Jagusia!

— Jagusia Papież! Mieszkamy pod jednym dachem z Królem i Papieżem. Czy babunia spodziewała się tego w Miratyczach?

— I przed przybyciem tutaj znajdowaliśmy się w tatarskiej mocy, bo nas przywiózł Tatar — dodał Henryk.

Doktór i panna Katarzyna, spojrzawszy na siebie, rozśmieleli się jednocześnie, a staruszka, patrząc na rozweseloną twarzyczkę dziewczynki, powiedziała:

— Możeby nam tu i nieźle było, gdyby nie ta mgła.

— A wie babunia, jak Papież tę mgłę nazywa?

— No, jak? — spytała z uśmiechem.

— Szmatą, babuniu! Dziś opowiadała Jagusia, jak jej matki krowę „szmata zawinęła i prasnęła dołu na skole.“

— Mój ty dzieciaczku, tak już po góralsku szczebioczesz, że nic nie rozumiem.

— Babuniu — tłomaczył Henryk — Marysia mówi, że krowa dostała się we mgłę, jak w szmatę, czyli chustę, i że ją szmata zrzuciła na kamienie.

— A to malowniczy język! Co się stało dalej?

— Bigos, babuniu! — wołała, skacząc filutka — tylko że go nikt nie jadł, bo „krowę prasło łońskiej jesieni, a latosiej wiosny juhasy naśli jej kości.“

— Aj ty figlarko! widzę, że listy do dziadunia gotowaś pisywać po góralsku. Ale bo też tu jesteśmy, jakby na innym świecie — dodała zwracając się do doktora — jak pod dzwonem ze szkła matowego. Dziś zrana wstaję, patrzę w okno: nic nie widać! Myślę sobie, jak też to długo będzie tej niepogody? i idę zobaczyć, co robi mój kapucyn.

— Kapucyn?

— Ja mam takiego kapucyna, wie Kubuś, co mi zawsze przepowiada pogodę i nigdy się nie myli. Przywiózł mi go z Warszawy pan sędzia. Ten kapucyn, proszę Kubusia, jak pogoda, wychodzi z kapliczki aż do krzyża; a gdy się na deszcz zanosi, naciąga kaptur na głowę i do kapliczki wraca. Wzięłam go tu z sobą, bo takem się do niego przyzwyczaiła, że bez kapucyna ani rusz! Pierwsza rzecz, jak wstanę, patrzę, co kapucyn robi. i nawet w Miratyczach brat z robotami w gospodarstwie na niego się oglądał, choć miał swój barometr. Otóż niech Kubuś sobie wyobrazi, kapucyn dziś kaptur aż do kolan sobie ściągnął. Podaj no go, Marysiu, niech pan sam zobaczy.

Jakób parsknął śmiechem na widok tekturowej figurki, którą dziewczynka przed nim postawiła.

— Księżyna widocznie był nie przygotowany na taką wilgotność powietrza, jaką tu zastał — mówił, przypatrując mu się — więc włożywszy kaptur na głowę, z wielkiego ździwienia, coraz niżej go sobie ściągał. Pani zapewne wie, na czem ten figiel polega?

— Tłomaczono mi, że jest tam struna, która się pod wpływem wilgoci rozkręca, a skręca pod wpływem suszy w powietrzu — odrzekła. — Ale Henryś to ma prawdziwy barometr i też narzeka, że mu się w drodze popsuł. Niech Kubuś sobie wyobrazi, że wskazówka opadła niżej niż „susza“ stoi: a szkoda, bo to kosztowało kilka rubli i chłopiec się tak cieszył, że będzie mógł obserwować na nim zmiany powietrza i zapisywać swoje spostrzeżenia, bo podobno wszyscy wielcy podróżnicy tak robią.

— Chciałbym widzieć ten barometr — powiedział Jakób.

— Henryczku — rzekła, zwracając się do chłopca panna Katarzyna — pan Jakób zna się na barometrach, przynieśno swój.

— Ach panie! — mówił Henryk z żalem — taki śliczny, nowiutki przyrząd! Dostałem go od dziadka.

Był to średniej wielkości aneroid. Pan Jakób obejrzał go starannie i rzekł:

— Aneroid ten nie jest wcale zepsuty: Henryś przekona się o tem, gdy państwo powrócicie na równiny. Tam wskazówka jego wróci do dawnego zwyczaju.

— Nie rozumiem, Kubusiu. Jakże coś może być dobrem w Miratyczach, a złem w Zakopanem, jeżeli się nie zepsuło! — rzekła panna Katarzyna, wzruszając ramionami.

— Bo podziałka tego aneroidu, nie jest zastosowana do górskiego ciśnienia powietrza. Wskazówka opadła tak nisko, że aż przeszła granicę deszczów i suszy na równinach. Zdarzył się tu ten sam wypadek co z kapucynem, nie przygotowanym wcale na nadmiar wilgoci w górach, która, rozkręcając zanadto strunę na jakiej go uwiązano, jest powodem, że ściąga swój kaptur aż do kolan.

— Więc to wilgoć jest powodem zmian w barometrach? A pan mówił, że ciśnienie!

— Jedno i drugie. Powietrze suche i spokojne wywiera większe ciśnienie, niż wilgotne i wietrzne. Dla tego zwykle barometr wznosi się na pogodę, a opada na deszcz i burzę.

— A jak mam rozumieć obecnie ruchy mego aneroidu — pytał Henryk — kiedy on już wcale stanu pogody nie pokazuje, choć, o ile zauważyłem, skazówka także zmienia położenie?

— Znaczy to tylko, że barometr twój przygotowany dla równin, dobrym jest w tych miejscowościach, gdzie ciśnienie powietrza waha się między 700 a 790 milimetrami; a dla miejscowości wysoko położonych, jak np. Zakopane, gdzie to ciśnienie tylko od 660 do 697 milimetrów wynosi, trzeba zrobić aneroid z odpowiednią podziałką i napisami. Podróżnicy też zwykle używają odpowiednio urządzonych barometrów rtęciowych, które służyć mogą dla każdej miejscowości, a nawet używane bywają do mierzenia wysokości gór z tej przyczyny, iż prawie na każde $10\frac{1}{2}$ metrów wzniesienia, rtęć w barometrze opada na 1 milimetr.

— Szkoda, że o tem nie wiedziałem — rzekł chłopiec — byłbym prosił dziadunia o kupienie mi prawdziwego podróżniczego barometru, zamiast tego który mi się tutaj na nic nie przyda!

— Barometr taki, mój chłopcze, jest narzędziem kosztownem, a i obchodzenie się z nim nie jest tak łatwem, jak ci się zdaje; wymaga

dużo wiadomości i nauki, których ty jeszcze posiadać nie możesz, z barometru więc takiego nie umiałbyś korzystać.

— Czy deszcze tutaj długo trwają? — zapytał chłopiec.

— Rozmaicie: kilka godzin, kilka dni, albo dwa i trzy tygodnie.

— A to piękna pociecha! — zawołała z przestrachem panna Katarzyna.

Mieczyk, *Gladiolus*.

— Nie pociecha, babuniu, tylko „psota". Jagusia mówi, że tak górale deszcz nazywają — wtrąciła znów Marysia, dumna ze swych wiadomości.

— A w tej mgle, czy długo uwięzieni będziemy?

Doktór popatrzył uważnie w okno.

— Tego nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, że już niedługo. Niech pani zdobędzie się na trochę jeszcze cierpliwości.

— Przewiduję, że będę jej wiele potrzebowała — odrzekła z westchnieniem.—Czy wie Kubuś, że nie mam najmniejszego pojęcia o tem w jakiem ten dom stoi otoczeniu. Ksiądz proboszcz pisał do znajomego tu księdza, żeby wynajął mieszkanie dla nas pod lasem, i żeby był widok na góry; domyślam się jednak, że ani jednego, ani drugiego ztąd nie widać! Ale się jakoś wyjaśnia, czy uważacie?

— Zdaje się, że będziemy mieli pogodę! — zawołał Henryk.

Dziwne zaszło zjawisko. Dzwon z matowego szkła, jak trafnie się wyraziła panna Katarzyna, nagle tak się rozjaśnił, jakby na niego z góry padły promienie światła. I widać czarodziejska to była lampa, bo cudowne pod jej wpływem działy się rzeczy. Ściany dzwonu rozszerzyły się, a cienie płotu i czterech drzew stały się rzeczywistością. Wyłoniła się ze mgły łączka z bujnie rosnącym na niej Rdestem, dzikim Rumiankiem i Podbiałem, a za nią zielony owies gęsto przetykany czerwonem kwieciem Mieczyków. Ściany dzwonu rozszerzały się coraz bardziej, a łączka rosła coraz więcej, więcej i więcej... Na łące, jak w bajce, ukazało się kilka chat rozrzuconych malowniczo i strumień pędem biegnący po kamieniach, a potem ciemne drzewa lasu.

Wszyscy cisnęli się do okna, patrząc ze wzrastającym podziwem, a doktór miał na twarzy wyraz blizkiego a pewnego tryumfu.

— Chwała Bogu, że mamy widok na las — odezwała się panna Katarzyna — ale szkoda, że gór nie widać! Zapewne są w innej stronie. Lasek jakiś młody, nizki, ale lepszy taki, niż żaden.

Gdy to mówiła, lasek nagle urósł; ukazały się drzew wierzchołki, a ponad niemi jeszcze wzgórza lasami iglastemi porosłe, a nad wzgórzami pasma gór, ciągle rosnących na wysokość— aż zakończyły się ostremi, ośnieżonemi szczytami. Niewidzialna, a potężna ręka unosiła powoli zasłonę, aż zajaśniał czysty błękit, a nad nim promienie słońca zalały cały krajobraz.

Zapanowała najpiękniejsza pogoda. Ukazał się wspaniały łuk tęczy, której jeden koniec opierał się na wzgórzach Antałówki, a drugi na Gubałówce. Podziw, zachwyt patrzących, były nieopisane. Babunia Kasia pierwsza zawołała:

— Co za cudowny kraj!

Typ górala.

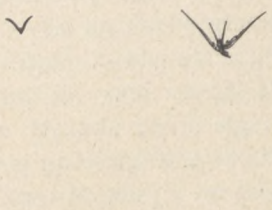

IV.

PRZY BLASKU SŁOŃCA.

Jak potopu świata fale
Powstrzymane w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu
By graniczny słup, zuchwale!
Pol. Tatry.

Wszyscy wyszli na ganek i patrzyli na amfiteatr gór wznoszących się piętrami, i na ich kontury odrzynające się ostro na jasnym błękicie. Strumień błyszczał jak roztopione srebro — i pieniąc się, spadał coraz niżej małemi kaskadami, a szum jego miał jakieś metaliczne dźwięki, niby granie surm nastrojonych na ton radosny. Łąka błyszczała wszystkiemi odcieniami zieloności i bogactwem kwiecia. Był to wzorzysty kobierzec, utkany z Bratków, Rumianków, Dzwoneczków i Jaskrów, a pomiędzy niemi gdzie niegdzie, jak złote gwiazdy, błyszczały jasne, połyskujące liście Tłustoszów. Nad temi gwiazdami, na cienkiej, zaledwie widzialnej łodyżce, unosiły się drobne, ciemno-błękitne kwiateczki, niby muszki bujające swobodnie. Cała dolina nagle zaroiła się ludźmi i zawrzała życiem. Ptactwo zabrzmiało hymnem radosnym wzbijając się pod obłoki. Pasterze wyprowadzili krowy na pastwisko, a dźwięki dzwonków, uwiązanych na ich szyjach i nawoływania, napełniły powietrze.

— O tak! — zawołał z zapałem pan Jakób — cudowny kraj! kraj nieustającej wiosny, bo przykrości lata, dające nam się na równinach uczuwać, tutaj prawie nie istnieją. Drzewa jego i łąki są wiecznie zielone; słońce w zimie grzeje jakby w maju, a latem jędrne, chłodne poranki, krzepią zwątlałe siły chorych i starców rzeźwiącem tchnieniem. Cudo-

wny kraj, gdzie ludzie przemoknąwszy nie dostają katarów, a mgła i wilgoć, gdzieindziej roznoszące nasiona chorób, tutaj niosą płucom życiodawczy zasiłek, bo powietrze tak jest przesycone obfitością ozonu, jak mało gdzie w Europie!

Tłustosz, *Pinguicula*.

— Przepraszam pana, że przerywam — odezwał się Henryk — ale... co to jest ozon?

— A czy wiesz, co jest tlen?

— Wiem. Tlen jest częścią składową powietrza.

— A więc ozon jest odmianą tlenu, posiadającą wszystkie jego własności chemiczne, w wyższym znacznie stopniu. Jest to bezbarwny gaz, charakterystycznego fosforowego zapachu, który zawsze znajduje się w powietrzu wilgotnem po burzy z piorunami, ponieważ powstaje przy wyładowywaniu się elektryczności. Najwięcej go jest w lasach sosnowych, gdzie tworzy się pod wpływem żywicy i olejku terpentynowego.

— Czy ten gaz jest taki zdrowy, że, jak pan mówi: „niesie płucom życiodawczy zasiłek?“

— Nietylko zdrowy, ale prawdziwie dobroczynny; wszelkie cząsteczki organiczne zawieszone w wodzie lub powietrzu, w zetknięciu z ozonem, ulegają spaleniu, czyli utlenieniu. On poprostu pożera bakterye, więc jako środek dezynfekcyjny i leczniczy, ma niezmiernie ważne znaczenie. W Zakopanem znajduje się go bardzo wiele, a powietrze tu jest czystości nadzwyczajnej. Badał je profesor Bujwid i nie znalazł w niem wiele bakteryi chorobotwórczych. Dlatego, gdy w innych krajach ludzie chronią się do domu przed wilgocią, z obawy zaziębienia, tutaj swobodnie używają spaceru. Jest to cudowny kraj, gdzie lud w pięknym, malowniczym stroju, chodzi lekko i wdzięcznie, gdzie ściany chat pachną wanilią, a kamienie fijołkami!

— Kubuś się, doprawdy, w Tatrach rozkochał! — zrobiła uwagę babunia Kasia.

— I państwo się prędko rozkochacie, bo codzień nowe będziecie odkrywali w nich piękności. Choćby się szanowna pani wcale nie ru-

szała z domu, zawsze będzie pani miała na co patrzeć, gdyż Tatry co chwila, co godzina; w innem ukazują się oświetleniu. W dzień słońce przechadza się po nich ze swą bogatą paletą i na różne kolory je maluje, a w nocy księżyc zachodzi z lampą z coraz innej strony, a i lampa jego także rozmaicie się pali. Tatry niejednego już natchnęły poetę, ale nie będę słów ich przytaczał, bo to nasi poeci, którzy kochają wszystko co nasze; muszę jednak powtórzyć pani słowa Prusaka, Stephana, dyrektora poczt państwa niemieckiego, który tu w tych czasach przyjeżdżał. Wiersz jego w przekładzie polskim tak brzmi:

„Sterczą Karpaty jak niebios kolumny:
Lodowy potok łamie skał granity,
I w kraj Sarmatów czarowny a tłumny
Zsyła urodzaj bujny a obfity.
Z ołtarzy skalnych lśni słońce rumiane,
Harmonią świateł śpiące szczyty bieli,
Królowa niebios wita Zakopane,
Tę Tatr dziecinę, na lasów pościeli."

— Prusak tak mówi o nas?—odezwała się, kiwając głową ze zdziwienia — to proszę Kubusia, chyba już świat się kończy!

— Tatry są taką osobliwością — mówił dalej — że znawcy nie wiedzą, z jakiemi je górami porównać na ziemi. Słynny podróżnik i autor, Jerzy Brandes, zwiedziwszy wprzód Alpy szwajcarskie, tyrolskie i austryackie, Pireneye, Sierra Newada, Sierra Morena i Guadarama, Apeniny, góry szkockie, skandynawskie i greckie, powiedział, gdy przed Tatrami stanął po raz pierwszy, że „takich gór nigdy nie widział, i że podobnych nietylko niema w Europie, ale chyba na całej ziemi." Wprawiły go one w zdumienie i podziw.

— Hm, hm — kiwała głową babunia Kasia. — Nie dziwię się wcale, mój kochany Kubusiu, tylko widzisz, dotąd tak zawsze bywało, że od nas wyjeżdżano za granicę i zachwycano się tam wszystkiem, co tylko napotkano, a o naszym kraju było cicho, jakby makiem zasiał, jakby już u nas nic nie było godnego widzenia. A tutaj i cudzoziemcy zlatują się... No proszę! Chwała Bogu.

— Tatry, jak oni sami powiadają, są piękniejsze i bardziej malownicze od Alp, bo gdy tam przeważnie są skały pokryte śniegiem, lub stoki roślinnością okryte, nasze Tatry nie tak wysokie, ale dziksze, przeważnie lasami porosłe, które tak w lecie, jak w zimie, piękną im nadają zieloność. Dla tego też nazwałem je krajem wiecznej wiosny, bo zielo-

ności tak cudownej, tak świeżej, w tak bogatych jak tutaj odcieniach, nie widziałem nigdzie!

— Ale gdy pan mówił, że ściany tutaj pachną wanilią, to pan żartował — spytała figlarnie Marysia — prawda?

— Żartowałem? Ależ bynajmniej! Czyż nie czujecie delikatnej woni, wydzielającej się z drzewa pod wpływem słońca. Proszę tylko powąchać.

Dziewczynka z niedowierzaniem przyłożyła nosek do parapetu ganku i uderzywszy w dłonie, radośnie zawołała:

— Prawda, wanilia! bardzo nawet przypomina babki wielkanocne. Dla czego to, panie Jakóbie?

— Pochodzi to ztąd, że drzewo świerkowe zawiera w sobie materyę, mającą zapach zbliżony do zapachu wanilii. Jest to tak zwana *koniferyna.*

Panna Katarzyna, której bardzo zaimponowało to co Jakób mówił o cudzoziemcach, odezwała się:

— Dzieci słyszały coś o Anglikach od naszej gaździny. Podobno jakiś baronet przyjechał z całym dworem: ale ja zaraz powiedziałam, że to pewno bajka.

— Na ten raz bajka jest prawdziwą.

— A widzi babcia! – zawołała z tryumfem Marysia.

— Więc to, proszę Kubusia, naprawdę Anglicy?

— I nie pierwsi, łaskawa pani: miewaliśmy już tu Anglików, chociaż nie tak wspaniałych. Anglicy lubią oryginalność, uganiają się za nowemi, nieznanemi wrażeniami, a Szwajcarya i Włochy, których każdy zakątek jest znany aż do znudzenia, już im się uprzykrzyły. Tu ich nęci urok nowości, a Tatry są dla nich ziemią jakby świeżo odkrytą. Nic o nich nie wiedzieli, bo i geografia naszego kraju jest tam przedmiotem prawie wcale nieznanym. Tymczasem teraz gazety angielskie zaczynają rozpisywać się o tej nowej Ameryce, i dają piękne nawet ilustracye, przedstawiające widoki z Tatr. Jest nadzieja, że będziemy tu mieli więcej wyspiarzy.

— Więc ci Anglicy przyjechali tu tylko zobaczyć Tatry, czy też dla kuracyi?

— Mają jeszcze inny cel przytem.

— Jaki? — zawołali wszyscy razem, wpatrując się w Jakóba z ciekawością.

— Baronet szuka róży bez kolców.

— Róży bez kolców! — powtórzyła zdumiona dziewczynka — to taka róża jest na świecie?

— Profesor Strand, znakomity naturalista, utrzymuje że istnieje; powiedział nam wczoraj nawet jej nazwisko i dał wskazówki, gdzie jej szukać: zowie się *Rosa alpina*.

— A więc Kubuś widział tych Anglików i rozmawiał z niemi? — pytała panna Katarzyna.

— Odpoczywaliśmy właśnie we trzech po wycieczce, w chacie Parzonki na Starej Polanie, gdy oni tam przybyli, szukając schronienia przed burzą. Zepsuło im się koło u karety i nie mogli dalej jechać. Tam nawet z konieczności zanocować musieli z całym dworem.

— Proszę pana — spytał Henryk — jeżeli ona nazywa się *alpina*, to dowód, że ojczyzną jej są Alpy. Czemuż jej ten baronet w Alpach nie szuka?

Jakób wzruszył ramionami.

— Pańska fantazya! — odpowiedział. — Wreszcie baronet chce się przekonać, jak daleko sięga rozprzestrzenienie tego kwiatka.

— W jakim wieku ten pański baronet? — spytała babunia Kasia.

— Może mieć lat siedmdziesiąt, ale trzyma się doskonale.

— Osobliwy człowiek... w tym wieku gonić za różą!

— Posiada on podobno słynny na całą Anglię zbiór róż przy swym zamku, bo jest wielkim tych kwiatów miłośnikiem; tylko mu róży bez kolców brakuje. Chce mieć zbiór zupełny.

— Czy to bogaci ludzie? — pytała dalej.

— Tak się zdaje, z objętości kufrów i wykwintnych przyborów podróżnych, wreszcie z licznej służby, jaką z sobą przywieźli. Profesor Strand zna ich i utrzymuje, że tam jest kolosalna fortuna, tylko baronet nie ma jej komu przekazać.

— A czyż nie ma dziedzica w prostej linii?

— Nie.

— Biedny — szepnęła — szczerze go żałuję. Umierać bezdzietnie, to bardzo smutno.

— A może ten baronet szuka skarbów ukrytych w górach, a róża bez kolców jest tylko pozorem dla osłonięcia prawdziwych jego zamiarów, dla odwrócenia od nich uwagi? — wtrącił Henryk. — Czy pan nie przypuszcza tego?

— Skarbów zbójeckich może? — powtórzył, śmiejąc się Jakób. — O, nie, możesz być tego pewny! Gdyby szukał skarbów, to w takim razie mielibyśmy tu już jakieś Towarzystwo angielskie, rozporządzające kapitałem zebranym przez akcye, i spółka ta sprowadziłaby tutaj cały sztab inżynierów i górników. Nie, baronet nie szuka skarbów, jest on dość bogaty; a czy co innego chce tu jeszcze znaleźć oprócz róży, tego nikt nie wie. Zresztą, ludzie mają rozmaite o skarbach pojęcia. Jest tu jeden uczony przyrodnik, dla którego skarbem najcenniejszym jest pe-

wne, bardzo małe zwierzątko, znajdujące się podobno w jednem z tutejszych jezior, bo dla niego tu przyjechał, i zaręczam że nie oddałby go za trzos złota.

— A pan, panie Jakóbie, czy także szukasz czego?

— Zbieram rośliny lecznicze, z których zielnik sobie układam. Gdybym — dodał, spoglądając z wyraźną intencyą na Henryka, do tych poszukiwań znalazł towarzysza, któryby mi w układaniu i suszeniu pomagał, zabrałbym go chętnie z sobą na wycieczkę. Może przypadkiem znajdziemy i różę bez kolców...

— Niech pan mnie weźmie! — zawołał gorąco Henryk — będę panu gorliwie pomagał. Ja umiem zbierać i suszyć rośliny. Robiłem to nieraz.

— Niech pan i mnie zabierze! — prosiła, składając ręce dziewczynka — ja będę panu wynajdywała najśliczniejsze kwiaty.

— Moje dziecko — odrzekł pan Jakób — botanika nie zna kwiatów pięknych, ani brzydkich. Dla niej wszystkie są godne podziwu, bo wszystkie są cudownym tworem Bożej ręki.

— A mnie starą chcecie samą tu zostawić!—odezwała się babunia Kasia z pewnym żalem.—Weźcie i mnie. Pójdę z wami tak daleko, jak tylko będę mogła. Ale ja bardzo niewiele mogę, mój dobry Kubusiu, najwyżej jakiś mały spacer... Na wycieczki się nie wybieram. To nie na mój wiek, ani na moje siły; nogi mi nie dopisują. Henryś niech podziwia te cuda! Odprowadzimy was obie z Marysią kawałek drogi i wrócimy, bo i to moje dziewczątko nie może się męczyć — dodała, gładząc z miłością ciemną główkę. — Doktór zabronił.

Dziewczynka zaczęła płakać.

— Nie płacz, dziecko — mówiła, tuląc ją panna Katarzyna; — i jabym też chciała z wysokiego szczytu zobaczyć kawał świata i oglądać te wszystkie cudowności, o których się nasłuchałam, ale trudno: jak nie można to nie można! Jeżeli tutaj u podnóża gór jest tak pięknie, jakże tam dopiero być musi! Słyszałam, że ci, co chodzą bardzo wysoko, widzą obłoki czołgające się u stóp swoich. Czy to prawda Kubusiu?

— Więcej jeszcze, szanowna pani: widzą nieraz nad sobą czyste niebo, podczas gdy poniżej ich stóp szaleje burza i biją pioruny.

— Ach, panie, to musi być wspaniałe! — zawołał Henryk. — Boję się piorunów, ale chciałbym to widzieć!

— O tak — odrzekł Jakób — kto nie był choć na jednym szczycie i nie zajrzał w łono gór, ten o ich piękności nie może mieć żadnego wyobrażenia. Ja także jestem doktorem i zdaje mi się, że ruch umiarkowany na świeżem powietrzu, może tylko na dobre wyjść panience. Zresztą, są sposoby ułatwiające odbywanie wycieczek osobom słabym: wózki góralskie dość daleko podwożą w górę, a koniki przyuczone do

chodzenia pod wierzch, są tak mądre, że probują każdy kamień, zanim nogę na nim postawią.

— To wszystko bardzo kosztowne są rzeczy — powiedziała głosem nieco przyciszonym panna Katarzyna — a my z małemi przybyliśmy tu środkami, i musimy się liczyć... Przyjechaliśmy dla kuracyi, nie dla przyjemności. Jeżeli się da jedno z drugiem połączyć, to i owszem, byle nie kosztem pieniędzy przeznaczonych na leczenie. Panu bratu jest bardzo ciężko na tych trzydziestu włókach, bo Miratycze były obdłużone, więc ciągle spłaca i spłaca. Jak się przytem opędzi wydatki gospodarstwa i zapłaci podatki, to ledwie się koniec z końcem zwiąże. Do tej podróży nigdyby nie przyszło, gdyby doktór nie powiedział że to jest dla Marychny koniecznie potrzebne. Więc tedy Marcin wyjął ze skrzyni pieniądze, które zachował na czarną godzinę; ja też miałam trochę grosza, schowanego na wypadek choroby, i tak jedno do drugiego, zebrała się sumka. O mój Kubusiu, gospodarować na wsi teraz bardzo ciężko!

— Słyszałem, że baron L. chciał to kupić.

— Tak, chciał nawet grubo zapłacić, ale mój Kubusiu, nie godzi się tam świętej ziemi sprzedawać; choćby przyszło ręce pourabiać po łokcie i żyć suchym tylko chlebem, trzeba wytrwać.

— To prawda.

— Głodu nie mamy. Chodzimy cało i dzieci kształcimy, ale musimy każdy grosz obejrzeć dwa razy, zanim go się wyda. Sprzedawszy, możnaby żyć nawet dostatnio, bo baron ostrzy na to zęby i nawet by się nie targował. Potrzebny mu ten kawał ziemi dla zaokrąglenia majoratu; ale czyż takie przeklęte pieniądze przyniosłyby szczęście! Brat prosi Boga, żeby pozwolił wytrwać chociaż do czasu, gdy Henryś urośnie i młodemi siłami i młodą głową podniesie gospodarstwo. Ale nim do tego przyjdzie, brat starga siły do reszty...

— Sądzę, że potrafimy wszystko pogodzić — odrzekł doktór. — Na początek pojedziemy wszyscy wózkiem do doliny Kościeliskiej, a potem będziemy chodzili w góry z Henrysiem, jeżeli szanowna pani pozwoli, aby mi towarzyszył. Później, gdy panie wzmocnią się tutejszem powietrzem, wybierzemy się znowu wszyscy razem. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda — zawołali wszyscy rązem, a panna Katarzyna z wdzięcznością uścisnęła rękę Jakóba.

— Troszczyłam się o moje dzieci, mówiłam sobie: co za bieda, że nie mają z kim chodzić! A tu Opatrzność nam ciebie zesłała... Jakiż Kubuś dobry!

— A ja będę oglądała jeziora, wodospady i przepaście! — wołała dziewczynka, skacząc z radości. — Będę widziała jaskinie, w których kryli się rozbójnicy! A może my i skarby zbójeckie znajdziemy?

— Jest! i tej się już skarbów zachciewa — powiedziała, śmiejąc się, babunia Kasia.

Ganek, przy którym rozmawiający siedzieli, obsadzony był chmielem; w ogródku rosły cztery jesiony i dwie małe limby, a pod płotem był zagonek kartofli. Gaździna przyszła je okopać, a zobaczywszy swych gości na ganku, skinęła im głową uprzejmie, mówiąc:

— Dzień dobry: fałaz Panu Jezusowi, Matce Boskiej co nam dali piknom pogode. Jakoz wom się tu u nas spodobało?

— O, bardzo nam się podoba! — odpowiedziała Marysia.

— Fała Panu Jezusowi. Spało wom się dobrze?

Tu panna Katarzyna nie mogła wytrzymać i opowiedziała nocne przygody z łóżkiem.

Gaździna, kobieta już niemłoda, ale zdrowa, rumiana, z twarzą okrągłą i bystrym wyrazem niewielkich siwych oczu, słuchała uważnie; a gdy babunia Kasia skończyła, uśmiechnęła się sprytnie mrugnąwszy okiem i rzekła:

— Dobrzeście zrobili: fała Panu Jezusowi!

I wziąwszy motykę, pochyliła się nad zagonem kartofli.

Cała dolina kąpała się w słońcu: ptaki bujały wesoło w powietrzu, a liczna kapela muszek, grała dokoła ganku, to wzbijając się w górę, to siadając na liściach chmielowych. Z łączki dochodziło ostrzenie kosy. To Ślimak kosił swój kawałek, tuż przy ziemi—bo góral nie zmarnuje ani zdźbła cennego siana; on właściwie łąki nie kosi, ale goli ją. A miał u pasa zawieszoną, prześlicznie cyfrowaną kózkę, w której tkwiła kamienna osełka, czyli jak górale mówią „oselnik".

Pełno osób wyległo na spacer bo jak po piasku morskim suchą chodzi się nogą tam, gdzie przed chwilą lizały go fale, tak w Zakopanem, po największej ulewie iść można na spacer bez kaloszy, zwłaszcza pod górę, bo woda przepada gdzieś między kamieniami i zwirem.

Kózka.

V.

PORTRET BEZ RYSÓW.

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta —
Lecz lasy i skały,
Wkrąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.
Goszczyński. Sobótka.

Panna Katarzyna, pomimo że pragnęła przyjrzeć się górom zblizka, jednakże ze względów na koszta, wymawiała się od wycieczek i utrzymywała, że wystarczy jej patrzeć na nie z Zakopanego. Ale od czasu, gdy pan Jakób zaprowadził całą rodzinę na Gubałówkę, wygodną, łatwą drożyną, gdzie staruszka mogła co chwila odpoczywać na trawie w cieniu drzew — i ztamtąd pokazał jej całe Tatry w chwili, gdy zahód słońca malował je na różowo, tak została oczarowana tym widokiem, że sama zapragnęła obejrzeć Kościeliską dolinę, o której słyszała, że jest „perłą Tatr“ najpiękniejszą, i że do niej wózkiem wygodnie można dojechać.

Wyruszono więc o dziesiątej rano przy pięknej pogodzie. Panna Katarzyna włożyła czarny słomkowy kapelusz z dużem rondem, i popielatą perkalową suknię świeżej daty, w której jej było bardzo ładnie, a Marysia w ponsowej, kretonowej sukience, której odblask zabarwił nieco jej bladą twarzyczkę i w pasterce z białej słomki, wyglądała jak piękny polny mak ze złotą główką, i nie osiadała się z radości, że jedzie.

Gdy minęli stary drewniany kościołek, przysadzistą staroświecką dzwonnicę i wjechali w ulicę Kościeliską, Marysia, widująca dotąd tylko chaty góralskie pojedyńczo rozrzucone, wydziwić się nie mogła wielkiej ich tutaj ilości; kształty ich oryginalne uderzały ją więcej teraz, gdy je widziała nagromadzone jedne przy drugich.

. . . Wesoło potoczył się wózek.

— Babuniu, to jak miasto! — wołała — a jakie śmieszne te domki! Dachy wyglądają jak śpiczaste kapelusze, obszyte sztywnemi, szeroko rozpiętemi falbankami.

— A to, wicie, na to, coby wom na nos nie padało, kie wyjdziecie z ganecka pozierać [1]) — wtrącił Jasiek woźnica, dziarski, ośmnastoletni chłopak.

Skończyło się Zakopane: droga wieszała się na stokach tak stromych, że panna Katarzyna aż zasłaniała oczy, lub załamując ręce, wołała:

— Kubusiu, toś nas wywiódł nad przepaście! Matko Ostrobramska, ratuj! Ostatnia godzina! Henryku, trzymaj Marysię!...

— Nie bójcie się — mówił Jasiek — jo hamujem.

I w jednej chwili znikł jak kamfora, co zwiększyło jeszcze niepokój panny Katarzyny—lecz wnet ukazała się znowu figlarna twarz Jaśka.

— Jescek śmierci nie widział — żartował niecnota — nie idzie po was, to se i nie bójcie. Wie dalii! Wist [2]), wiśta siwy! Pokażże pani, jako ją grzecznie powieziesz!

I raźno odskakując od licznych kamieni, wesoło potoczył się wózek na samo dno mniemanej przepaści. Jasiek już znowu siedział na swojem miejscu. Było to ciągłe zeskakiwanie i wskakiwanie, w miarę tego, czy wózek jechał pod górę, czy z góry. Góral bardzo miłuje konie i wtedy tylko siedzi na wózku ze spokojnem sumieniem, kiedy wie że koniowi nie cięży.

Panna Katarzyna wkrótce się udobruchała. Tymczasem wjechano na prześliczną drogę pod Reglami, mając po jednej stronie faliste łąki

---

[1]) Spoglądać.

[2]) Na lewo.

gęsto przetykane kwieciem i lasy świerkowe, przy których od czasu do czasu stały na straży rozłożyste jesiony i buki posiwiałe, a po drugiej rozległe na stokach wyrębiska, młodą i jasną zdaleka błyszczące ziele-

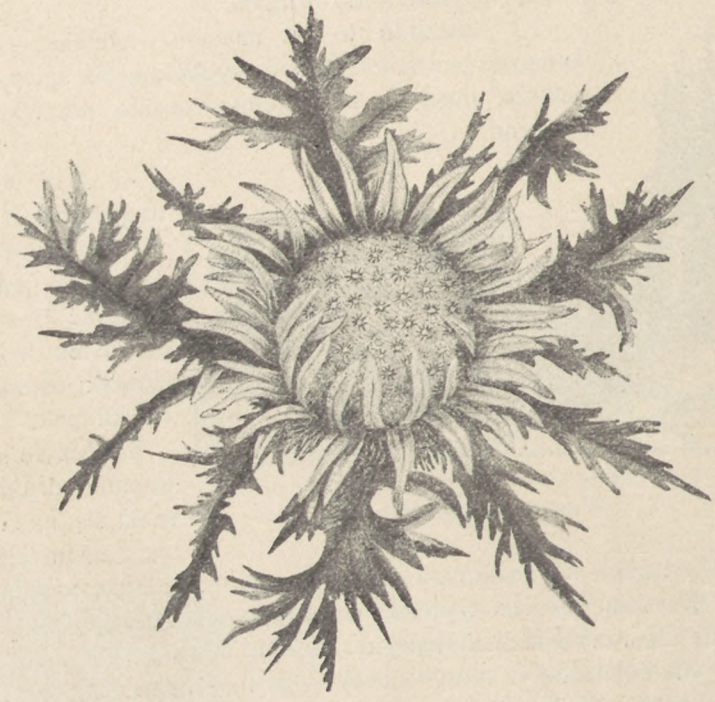

Kąsina nizka *Carlina acaulis.*

nią. Wyrastało tam bujnie młode pokolenie, w miejsce tego które padło pod toporem—a pomiędzy niem czernice, poziomki, maliny, wonne trawy i turzyce, Storczyki, Mleczaje, Chabry górskie i moc różnobarwnego kwiecia. W próchniejących pniach żyły liczne gatunki paproci — a tu i owdzie, poprzypinane do gruntu długiemi, pierzasto wycinanemi liśćmi, błyszczały jak gwiazdy, złociste, różowe i białe, Kąsiny nizkie. Kwiat ten dziwny, otulony w srebrzystą okrywę, rozstrzępioną nakształt licznych, słomianych źdźiebełek, uchodził niegdyś za cudowne lekarstwo na wszystkie choroby, ztąd lud dawał mu nazwę: „Dziewięć sił."

Pomiędzy kamieniami jaśniały białe Dziewięciorniki, złote Jastruny, Wieczerniki damskie o kwiatach jaskrawych, i wonne fijołkowe Miesięcznice, a nad tem wszystkiem panowała wszechwładnie Wierzbówka wązkolistna. Różowe jej bukiety na wysokich łodyżkach tak się tam bujnie rozrastają, że zagłuszają wszystkie inne rośliny. Całe stoki bywają od niej różowe, jakby się w brzasku jutrzenki kąpały.

Wrażliwą dziewczynkę tak zachwycił ten widok, że aż na bladą jej twarzyczkę wystąpiły rumieńce. Różowa góra przypomniała jej baj-

Wierzbówka wąskolistna *Epilobium.*

Dziewięciornik, *Parnassia.*

ki o złotych pałacach, koralowych dachach i różnych cudownościach. Pan Jakób odezwał się, że kupcy handlujący herbatą, zrobiliby tu dobry interes.

— Cóż te kwiaty mogą mieć za związek z herbatą? — zapytała panna Katarzyna.

— Używane są do fałszowania — odrzekł. — Wązkie, ząbkowane liście Wierzbówki, podobne są z kształtu i barwy do liści krzewu herbatniego. Otóż listki te, poddane takiej samej czynności, jak liście herbaty, naśladują je do złudzenia; fabrykanci zwijają je w dłoniach, suszą i po ususzeniu mięszają z herbatą prawdziwą. Wprawne tylko oko dostrzeże zafałszowanie.

Wieczernik damski, *Hesperis.*

Marysia zaczęła prosić, żeby wóz przystanął, bo chciała urwać sobie trochę kwiatów, ale góral sprzeciwił się temu, mówiąc:

— Trza nam się spieszyć, coby my zaś z deszczem nie wracali.

— Co mówicie o deszczu, przy takiej pięknej pogodzie! — obruszyła się panna Katarzyna.

— Ale Babia góra w czepcu — odrzekł, wskazując biczyskiem na zachód, gdzie widniało pasmo Beskidów i szczyt, który mgły owijały.

— Może też słońce zdejmie ten czepiec — pocieszał doktór — po co się martwić zawczasu? Mam nadzieję, że dolina Kościeliska pokaże nam się w całej swej krasie, choć nie jest to zupełnie bezzasadne, co mówi nasz woźnica. Górale mają dwa barometry, rzadko ich zawodzące: Gewont i Babią górę. O tej ostatniej Felicyan Faleński tak mówi:

U widnokręgu, hej! w dali,
W stronie, gdzie niebo się pali,
Siedzi starucha;
Śniegami siwa, mgłą skrzepła,
Od słońca blasków oślepła,
Od grzmotów głucha.
W pożary gdzieś zachodowe
Zwróciwszy głowę,
Przy tem ognisku ze słońca,
Grzeje się drżąca.

Dopóki łyse jej ciemie
W tłach szafirowych snem drzemie,
Aż zazdrość bierze —
Dopóki szumią w niej gaje,
Że starowina się zdaje
Mruczyć pacierze —
Idź gdzie cię oczy poniosą:
Z strzelbą, czy z kosą,
Lub pędzić w leśne manowce
Bydło i owce.

Lecz jeśli jejmość pękata,
Wspomniawszy odwieczne lata,
Gdy była młodą,
W czepiec obciąga łysinę,
I wstęgi z błyskawic sine
Wiąże pod brodą —
Nim się w niej wichry zakrztuszą,
Uciekaj z duszą!
Bo ci po pierwszym piorunie,
Z ramienia runie.

Wiersz ten rozśmieszył wszystkich: Henryk oświadczył, że teraz z większem poszanowaniem będzie spoglądał na Babią górę, a Marysia której różana góra nie dawała spokoju, zapytała:

— Czy te kwiaty, z których się robi herbata, rosną tylko w górach?

— O, nie, to nie są kwiaty wyłącznie górskie; można je często spotkać na równinach.

— A ja ich nigdy nie widziałam!

— Bo rosną pojedyńczo, więc nikt nie zwraca na nie uwagi, a tutaj występują w całej masie, więc biją w oczy barwą swoją zdaleka.

Wóz to spuszczał się na dół, to wspinał do góry, a woźnica szedł przy nim, rozmawiając wciąż z końmi i hamując koła wedle potrzeby. W wozie także rozmawiano wesoło, a panna Katarzyna, patrząc na rozpromienione twarze dzieci, wdzięczną była z całego serca doktorowi, że ją do tej wycieczki nakłonił. Zwiędła jej twarz, pod wpływem nowych, niespodziewanych wrażeń, jakby odmłodniała. Wreszcie po godzinie zjechano na łąkę około tartaka, przy której stoi chatka gajowego.

— To je jarec — objaśnił.

— Jak się zwie ta polanka? — spytał Henryk.

— Kiry.

Panna Katarzyna doznała niemiłego uczucia i przeżegnała się nieznacznie.

— Jezus Marya! — szepnęła — czyż jedziemy w krainę żałoby! Kiry strzegą drogi do Kościelisk...

— Niech się pani uspokoi — rzekł, uśmiechając się Jakób — nic żałobnego niema w tej krainie, zwłaszcza w takim dniu słonecznym, jak dzisiejszy.

— Przeciwnie — powiedziała z pewnym naciskiem — te stoki gór ciemnym lasem porosłe, wyglądają doprawdy, jakby kirem pokryte.

Jasiek zatrzymał konie, podbiegł ku skale, i odłupawszy kawałek siekierką, przyniósł Marysi, mówiąc:

— Niech se sowajom. [1])

— Co to takiego? — zapytała dziewczynka ze zdziwieniem, przypatrując się niespodzianemu podarkowi, podczas gdy wóz ruszył dalej.

— To je jarec — objaśnił Jasiek.

---

[1]) Schowają.

— Coś jakby skamieniałe zboże — zauważył Henryk.

— Podobne do ziarn jęczmienia — dodała panna Katarzyna.

— Bo też jęczmień po góralsku zwie się jarcem — rzekł doktór — opowiadają nawet legendę, skąd się tu wziął, ale to nic nie ma wspólnego ze zbożem. Ziarnka te, są to muszelki skamieniałe, w których niegdyś mieszkały drobne żyjątka. Gromadziły się tu powoli całe ich pokolenia i powstała stąd skała. Mineralogia zwie takie skały wapienne „numulitowemi".

— Kiedyż to było, panie Jakóbie? — spytał chłopiec.

— Bardzo dawno, jeszcze przed stworzeniem człowieka... w owych czasach zamierzchłych, o których mówi Pismo Święte: „I duch Boży unosił się nad wodami." Tatry były wtedy łożyskiem oceanu.

— Ale nie wszystkie skały powstały z takiego jęczmienia?

— Nie: wiele jest pochodzenia ogniowego, znów inne składają się z tak drobniutkich skorupek zwierzęcych, że dojrzeć ich nie można bez mikroskopu, a wszystko to żyło niegdyś w wodzie. Zwolna dopiero morze ustępować zaczęło, a z głębi wód wynurzały się różne pokłady, poosadzane przedtem na dnach morskich. W wielu miejscach na ziemi tym sposobem powstały całe łańcuchy gór i wielkie obszary lądów.

— Nie może mi się to w głowie pomieścić, jak uczeni mogą wiedzieć, co się działo przed stworzeniem człowieka — powiedziała panna Katarzyna, wzruszając lekko ramionami. — A co się kiedyś stanie, czy także wiedzą?

— Z tego co było i jest, wnoszą o tem co będzie.

— A czy Anglik znajdzie różę bez kolców? — zapytała Marysia.

— Skoro uczeni wszystko wiedzą, to może nam pan odpowie na to pytanie — wtrącił z uśmiechem Henryk, nie chcąc się przyznać, że sam różę bez kolców ciągle miał na myśli, i że jej wzdłuż drogi, którą przebywali, upatrywał.

Panna Katarzyna zwróciła na Jakóba oczy z wyrazem oczekiwania, bo i ją także interesował cudzoziemiec.

— Sądzę, że znajdzie to czego szuka — odrzekł poważnie.

Odpowiedź, choć niezupełnie jasna, zadowolniła wszystkich.

Przejechawszy od tej skały kawałek drogi wśród lasu, wóz dotarł pierwszej bramy Kościeliskiej z olbrzymich skał utworzonej, gdzie Towarzystwo Tatrzańskie umieściło tablicę, poświęconą pamięci posła Kantaka, który w Berlinie, wobec Niemców, dzielnie się za prawami ludności polskiej ujmował. Widok od tej bramy dawał już niejakie pojęcie o tem, czego się po za nią spodziewać było można, i dzieci wydawały okrzyki zachwytu i radości — a tu pan Jakób mówił, że dalej będzie jeszcze piękniej!

Wody uchodzą ztamtąd z szumem wielkim, a nad potokiem jest droga usłana z głazów. Po tej drodze wóz przejechał na rozległą polanę, otoczoną dokoła lasem, po nad którym stoją olbrzymie turnie — i minąwszy pasterskie szałasy, posuwał się obok rozpadających się w gruzy budynków. Tu były dawniej kuźnie obrabiające żelazo, i huty przerabiające rudę dobywaną w Kościeliskach. Gdy się wierzchnie pokłady wyczerpały, zaniechano głębszego kopania, jako nieopłacającego się. Tutaj zwracają uwagę podróżnych dwie stare lipy, wielka osobliwość botaniczna, bo lipa nie zwykła rosnąć na takiej wysokości.

— Niegdyś było tu gwarno i ludno — odezwał się doktór — a teraz jest cisza i pustka, i mech porasta na gruzach budynków. Tam, gdzie ten komin sterczy na prawo, a przez jedyne okno pozostałe w ścianie, widać rosnące wewnątrz świerki, była gospoda. Nocowała w niej w roku 1860 wraz z rodzicami, Deotyma.

— Deotyma, wielka poetka! — zawołali jednocześnie wszyscy, była tutaj?

— Nietylko była, ale opisała swoją wycieczkę w Gazecie Warszawskiej, p. t. „Wspomnienia z Karpat".

— I nie bała się tutaj nocować..! — zdziwiła się Marysia.

— Byłto już wtedy napół rozwalony budynek, który dopiero zaczęto odnawiać. Gospodarz i gospodyni głęboko się zdumieli, gdy państwo Łuszczewscy, których wieczór zaskoczył w Dolinie, zażądali noclegu, i usiłowali im to wszelkiemi sposobami odradzić — ale zapóźno już było na powrót do Zakopanego, więc cieszył ich widok i takiego schronienia. Pokazano im dwie izby: do jednej deszcz zaciekał i rozbity komin gruzami zaścielał ziemię, druga była obszerniejsza, z trzema oknami, ale bez drzwi i bez sprzętów. Znalazł się stół i świeczniki. Była to niedziela: górale przybyli na zabawę, przypatrywali się przez okno ich wieczerzy, do której też zaprosili spotkanych w dolinie artystów-malarzy, znajomych z Warszawy. Noc przeszła spokojnie, mimo krzyków ucztujących górali, a nazajutrz gospodarz przyszedł rozpromieniony, i winszował im że noc przeszła bez wypadku, dodając, że to pierwsza jaką tam przepędził. Gdy zdziwieni, nie mogli go zrozumieć, objaśnił, że przed kilku laty przyszli tu zbójnicy z Węgier, dom napadli, zrabowali, i poprzednika jego z całą rodziną zabili. „To też ja — mówił — nigdy tu nie nocuję. Co wieczór z żoną i dziećmi wynoszę się do wioski leżącej za doliną, i dopiero wczoraj, widząc że państwo zostają, myśmy także zostali."

— Babuniu, ale my tu nocować nie będziemy? — spytała niespokojnie Marysia.

— Nie, moje dziecko, — odrzekła panna Katarzyna — wrócimy przed wieczorem.

— Szkoda, że Deotyma, zamiast przed laty, nie teraz dopiero w Tatry się wybrała! — westchnęła panna Katarzyna. — Czytałam jej „Branki w jassyrze“ i chciałabym mieć sposobność podziękowania jej za naukę, jak trzeba znosić cierpienia.

— A ja za za wszystkie piękne rzeczy, a zwłaszcza za „Piosnkę w Karpatach“—gdzie każda strofa inny maluje obraz górskiej przyrody, a wszystkie są jak sznur pereł, nanizanych na złotą nić zawołał Henryk z zapałem i zadeklamował pierwszą strofę.

Każda góra ma swą chwałę,
Swe podanie i swój szczyt,
Na nich leżą śniegi białe,
Jakby jakiś wieczny świt...

— Masz słuszność — rzekł Jakób — Piosnka jest prześliczna!

— Proszę pana — odezwał się Henryk, którego myśl oprócz piosnki Deotymy i róży bez kolców, zajęta była także zbójnickiemi napadami — dziwi mnie to, że rozbójnicy mogli napadać tak blizko Zakopanego.

— Mój chłopcze, Zakopane, takie dziś głośne ze swych własności uzdrawiających, wtedy było nieznaną wioszczyną. Jest tu w lesie kapliczka, postawiona na miejscu dawnego kościołka, który dla całej dalekiej okolicy podtatrzańskiej był jedyną świątynią Bożą.

— Więc Zakopane nie miało kościoła? — spytała panna Katarzyna.

— Nie. Postawił go dopiero ksiądz Stolarczyk, najpierwszy proboszcz zakopański. Lud tam siedział zdziczały, i trzeba było długiego czasu, zanim proboszczowi udało się nakłonić go do chodzenia na nabożeństwo. Początkowo, górale przychodzili do kościoła z fajkami i zapalali je u lampki, wiszącej przed ołtarzem. Gdy ksiądz mówił kazanie, rozkładali się na ziemi, jak w lesie u ogniska, przy słuchaniu zbójeckich powieści, a kiedy po raz pierwszy w kościele zagrały organy, puścili się w taniec z dziewczętami. Niełatwe miał ksiądz zadanie, zanim zdołał złagodzić dzikość i poprawić obyczaje ludzi, żadnego przedtem nie znających hamulca. Uczył on ich z ambony, przekładał, wzruszał, gniewał się. Żył życiem swych owieczek, tępił zbójnictwo i pijaństwo, doradzał w interesach prawnych, sądził zatargi majątkowe, wszystko bez cienia sentymentalności, nawet z pewną twardością, zgodną z wymaganiami natury nietylko duchowej, ale i materyalnej, co mu nie ujmowało, ale dodawało szacunku. Góral z rodu, przemawiał do nich ich własnym językiem; używał dosadnych wyrażeń i najlepiej trafiających do ich umysłu porównań, a przytem obdarzony ogro-

mnym wzrostem i nadzwyczajną siłą, zjednywał sobie powagę i wpływ nad tymi, którzy jedynie dla siły mieli poszanowanie. Sabała, gdy pierwszy raz księdza Stolarczyka zobaczył, wykrzyknął zdziwiony widokiem jego olbrzymiej postaci: „E, jegomość! Wyros tez s was chłop! Ej, ha! Je, kaz tez ta teli wyros? No s wami tobyk się nie namyślał, ale byk sie dziś we dwok do Luptowa ponios.“

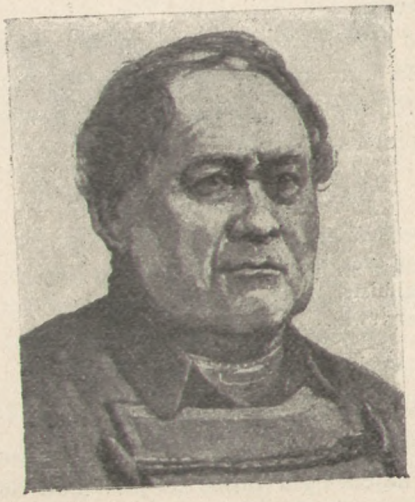

Ksiądz Stolarczyk.

— Nic nie rozumiem — przerwała panna Katarzyna.

— Słynny zbójnik tatrzański, Janosik, przebywał najwięcej na Liptowie [1]), Sabała dawał więc księdzu do zrozumienia, że dzielny byłby zbójnik z niego. Pochwała to największa dla górala. Doszło do tego, że górale nietylko modlili się z książek, ale śpiewali ułożone przez proboszcza pieśni. A ile to pracy, ile trudu i zabiegów kosztowało! Gdy Zakopane z nieznanej wioski stało się głośną stacyą klimatyczną, skarżył się na spustoszenie moralne, jakie goście między góralami szerzyli, przyuczając do zbytkownego życia i próżniactwa. Lekki chleb przewodnika smakował wielu bardziej, niż ciężka praca przy roli. Wzdychał więc za dawnemi czasami, a skarga ta co rok była żałośniejsza. Umarł sparaliżowany, mając lat osiemdziesiąt.

— A wicie — wtrącił Jasiek — jako z kścinami psyjeali, a cem jegomość z kościelnym psyśli, mróz ju okścił dzieciątko!

— Jakże to było? — pytała zaciekawiona panna Katarzyna.

— A to wicie [2]), na Olcy [3]), Bóg dał syna Miałowemu [4]) Staskowi i Majchrowej Jagnie, więc psyjeali z kumami kścić go w Zakopane. Kościelny wicie, Ślimak, był u organistego, to i poseł po jegomości, a łopi [5]) myślom: „jako tu cekać po próżnicy?“ Największy wyśmiesnik [6]),

---

[1]) Liptowski komitat, znajdujący się na węgierskiej stronie, jest krajem górzystym, przerzniętym odnogami Karpat. Zamieszkują go Słowacy.

[2]) Wiecie.

[3]) Olcza, wieś blizko Zakopanego.

[4]) Michałowemu.

[5]) Chłopi.

[6]) Żartowniś.

Gąsienica swok [1]), radzi: „Poślibyśmy do zyda, Stasiek paleńki [2]) nie pozałuje na zdrowie syna". Idą se pośpiewując:

„Radak cie widziała, jescebyk cie lepi,
Kieby se huncwocie gozałecki nie pił."

Kuma w krasnej wizytce [3]) miała ostać w kruchcie, ale słysy baba piosnecki i cni [4]) jej się strasecnie [5]), tak se myśli: „Oni se w karcmie kielusek [6]) po kielusku pijom, o mnie ani zastojom. Haw ja zmarznionta i samotna: abo pójde ozgzać sie kapecką! Ty nieboze pocekaj tu krzynkę [7])!" Owiązała dzicię w nowiusieńką smatę [8]) i powiesiła zwitek na klamce u kościelnych dźwierzy [9]). Ozgzewa się kuma, kielusek po kielusku pije, piosenkę po piosence śpiewa, a dzieciątko wisi, mróz po śniegu skrzypi, a jegomość pisom. Napisał, kładzie kozuch, idzie do kościoła... pusto. Kaz [10]) kściny? kaz kumowie? Kaz kogoz najdzie, kie wsyscy u zyda! Wyodzi z kościoła: cosik uwidział u dźwierzy. Jakowe haw [11]) dziady [12]) wisom? Poziera do smatki: w niej skostniałe, sine ciałko Staśkowego syna...

W poćciwym jegomości dusa sie zatrzęsła. Kija sękatego wzion i do karcmy poseł, hań [13]) łopów ogrzmocił i ozpędził. Gęślicki [14]) ucichły i piosenki ustały — a tako byli łopy popici, ze nijako nie mogli zrozumieć, jakowym cudem jegomość o pogrzebie mówiom, kie oni se kściny oblewali.

Wóz, minąwszy kapliczkę, zatrzymał się na żądanie pana Jakóba, który zapowiedział, że ma tu coś osobliwego do pokazania — i pomógłszy wysiąść staruszce, pociągnął wszystkich nad potok, w miejsce gdzie słychać było coś w rodzaju głośnego bulgotania.

— Macie tu państwo przed sobą źródło, jakiego jeszcze nie widzieliście i może nigdy nie zobaczycie— powiedział.—Woda wydobywa się z pod ziemi wprost do góry i rozlewa na boki trzema strumieniami tak

---

[1]) Szwagier.
[2]) Okowity.
[3]) Kaftaniku.
[4]) Tęskni.
[5]) Strasznie.
[6]) Kieliszek.
[7]) Troszkę.
[8]) Chustkę.
[9]) Drzwi.
[10]) Gdzież?
[11]) Tutaj.
[12]) Torby.
[13]) Tam.
[14]) Skrzypki.

silnemi, że każdy z nich dawniej obracał młotem w kuźnicy. Przypatrzcie się tylko: można dokładnie rozróżnić trzy prądy, jakby trzy źródła, każdy w inną dążący stronę.

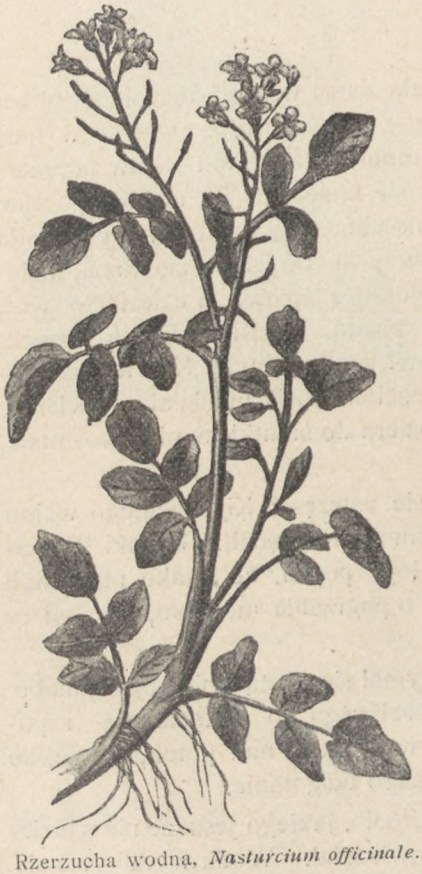

Rzerzucha wodna, *Nasturcium officinale.*

— A prawda! widać to doskonale — rzekł Henryk — ale co to za roślina tak gęsto rozrasta się w wodzie przy brzegach?

— To jest Rzeżucha wodna, roślina bardzo ceniona przez smakoszów, jako przyprawa do mięsa. U nas mało jest używana, ale w innych krajach ubiegają się o nią. W ogrodach erfurckich uprawiają ją w wodzie źródlanej. Tutaj rozrasta się bujnie, choć jej nikt nie uprawia.

Henryk zerwał gałązkę i gryząc ją, chwalił przyjemną gorycz tej sałatki.

— To biało kwitnie! — zawołała dziewczynka, spróbowawszy także i zerwała łodyżkę, na wierzchołku której skupione były białe, drobne kielichy. — Ładne kwiateczki. Ale pić mi się chce po tej gorzkiej sałacie.

Wyjąwszy kubeczek z kieszeni, chciała zaczerpnąć wody, ale pan Jakób powstrzymał ją, mówiąc:

— Nikt nie pije tej wody wprost ze źródła, bo jest tak zimna że zęby od niej cierpną. Musi stać czas jakiś w szklance, żeby się ogrzała. — Zwracając się do panny Katarzyny, dodał: — ciepłoty ma tylko 3 stopnie Reamura; dla tego zapewne źródło to zowie się Lodowem.

Ale nikt nie chciał czekać aż się woda ogrzeje, bo wszystkim było pilno iść dalej. Przytem strumień miał im towarzyszyć, więc pragnienie wszędzie łatwo zaspokoić mogli.

Obecnie przy źródle Lodowem stoi wygodny hotel dla podróżnych, ale wówczas, gdy nasi znajomi zwiedzali Kościeliską dolinę, by-

ła tam tylko prosta buda z desek. Turyści w niej zazwyczaj odpoczywali i posilali się, a górale mieli przystanek dla wozów. Dziś już trzy wózki tam stały, a konie odprzężone jadły owies z uwiązanych na

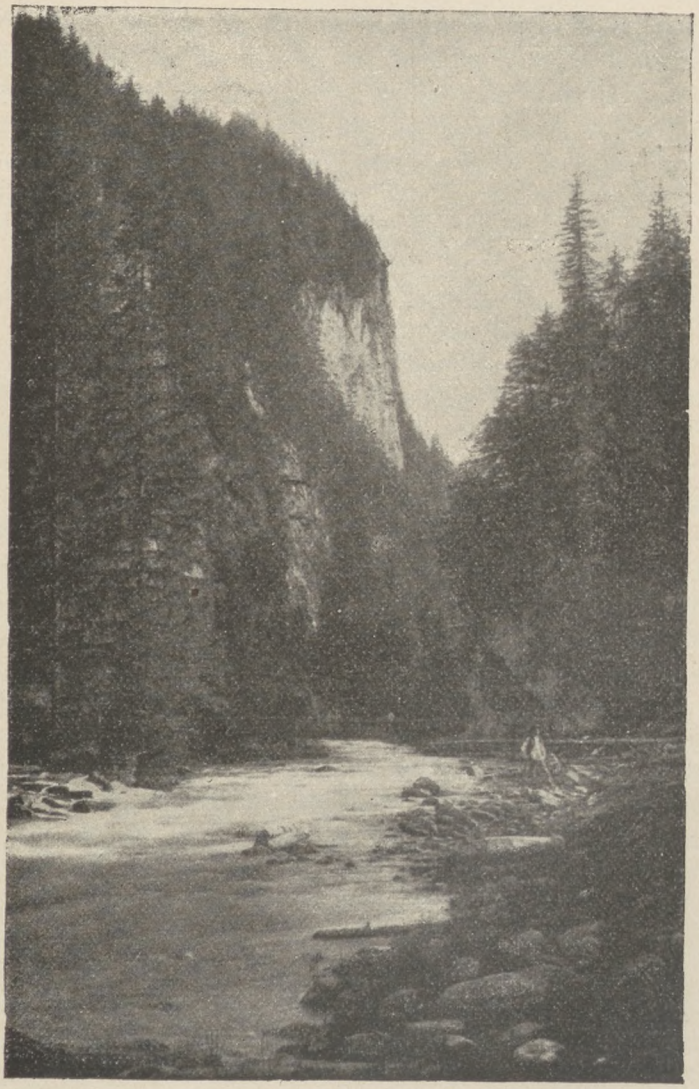

. . . najwspanialszą, jak można sobie wyobrazić bramę.

karkach płóciennych woreczków. Nieopodal na trawie rozłożeni woźnice, palili tytuń z krótkich fajeczek, rozmawiając wesoło.

— Są już goście w dolinie i raniej wstali od nas — zauważył pan Jakób.

Po krótkim odpoczynku wyruszyli wszyscy wraz z Jaśkiem, który napoiwszy konie i nasypawszy im owsa, zostawił wóz pod opieką znajomych górali i ofiarował się za przewodnika.

Skały zwężające się w tem miejscu, tworzą najwspanialszą, jak można sobie wyobrazić, bramę. Skorzystało z tego położenia Towarzystwo Tatrzańskie, pragnąc uczcić pamięć Kraszewskiego, który niegdyś, jak tak samo Goszczyński, szukał w Tatrach zdrowia i wypoczynku — i umieściwszy w skale marmurową tablicę z odpowiednim napisem, nadało temu miejscu nazwę „Bramy Kraszewskiego". Żeby odczytać napis na tablicy, trzeba przejść kładką przez potok. Z tej strony widzi się tylko wspaniałą bramę, z tamtej przez bramę otwartą spogląda się w krainę czarowną.

— Teraz możecie patrzeć do woli i podziwiać — rzekł Jakób, gdy przeszli na drugą stronę potoku.

Spełniło się to, co przepowiedział. Tyle wyszafowano słów na wyrażenie zachwytu przy wjeździe na Kirę i przy „Bramie Kantaka", że teraz ich brakło na razie, bo widok jaki mieli przed oczyma, przeszedł wszelkie oczekiwania. Wszyscy stali milczący i zdumieni. Panna Katarzyna pierwsza przemówiła, składając ręce.

— Najświętsza Panno Ostrobramska, jakżeż tu pięknie! Mój dobry Kubusiu, ja nawet nie domyślałam się w Miratyczach, że są na świecie takie cuda!

Doktór uśmiechnął się.

— Żeby tylko dopisała nam pogoda — wyrzekł, patrząc na pływające po niebie, białe, rzadkie obłoczki, nakształt waty. Niektóre z nich zaczepiały się o szczyty piętrzącej się turni i rozdzierały.—Wieść niesie, że rzadko komu udaje się widzieć dolinę Kościeliską bez deszczu. Żałowałbym, gdyby tak dzisiaj być miało, bo choć ona zawsze jest piękna, ale dla uwydatnienia wszystkich jej uroków, potrzeba koniecznie słońca. Goszczyński o niej mówi:

Rozkoszna jedyna,
Pochmurna dolina,
Od całych Tatrów kochana.
Lecz na niej mgły gęste
I deszcze w niej częste,
Dolina często spłakana.

— Będzie lało, ino nie zara — wygłosił filozoficznie Jasiek.
— A kiedy? — zapytał Henryk.
— Ku wieczorowi.

Dzieci, którym na razie podziw zamknął usta, prześcigały się teraz w radosnych okrzykach. Brzmiała w nich cała ich wrażliwość na piękno i gorący zachwyt młodości. Tylu już poetów opisywało ten uroczy zakątek tatrzański, a nikt jeszcze nie zdołał odmalować wiernie jego piękności. Zachwycony Goszczyński, zowie ją „rozkoszną, jedyną“, a Felicyan szepce głosem, w którym zdumienie i groza zdaje się tamować oddech w piersiach:

Idziemy, i oto znów znagła krok śmiały
Do ziemi ziębiący przykuwa nam strach.
Tam lasy lecące w powietrzu zostały!
Tam sterczą niesione na obłokach skały!
I cisza coś mówi do siebie jak w snach.

Możnaby tu spędzać dnie całe na przyglądaniu się. Białe wapienie, bramowane świerkami; czysty kryształ potoku, spadający w kaskadach srebrną miejscami zabielonych pianą; głazy ciemnemi pokryte porostami, od których woda w płynny zamienia się szmaragd — wreszcie fantastycznie piętrzące się skały — wszystko to daje niewyczerpane pole do porównań, i każdy bujniejszą nieco obdarzony wyobraźnią, dopatruje w nich jakieś podobieństwa, choć każdy co innego widzi. Na jedno tylko zgadzają się wszyscy niemal zwiedzający, na podobieństwo pozarpanych szczytów do skamieniałych potworów: tylko gdy jedni widzą w nich sowy i orły olbrzymie, inni dopatrują niedźwiedzie, rumaki, a nawet smoki legendowe. Goszczyński wziął Kościeliską dolinę za tło do kilku scen w swej pięknej powieści z czasów Bolesława Chrobrego, p. t. Oda i do poematu p. t. „Sobótka“, a Deotyma rozpoczyna w niej cudnej piękności prolog do swej tragedyi p. t. Wanda.

Henryk, marzący zawsze o czasach rycerskich, widział w fantastycznych kształtach turni średniowieczne zamki z murami i basztami, a bujna wyobraźnia chłopca w jednej chwili zaludniła krużganki owych zamków, tłumami giermków, dam i rycerzy. Gdy się z swych wrażeń głośno spowiadał, Marysia mająca świeżo w pamięci bajkę o Śpiącej królewnie i zamku, do którego wszystkie drogi pozarastały, twierdziła, że musiał być podobny jak dwie krople wody do tych skał, których ściany widziała wyglądające z pośród drzew. Zachwycała ją bogata roślinność i przepych zieloności we wszystkich odcieniach.

Jasiek wymieniał nazwy.

— Niekze słuchajom: ta tu skała zowie się Dudowe kominy, a na niej som Organy. A tam dalej ta naga turnia, to som Stoły. A dalej jest Ratusz, Zamek, Dzwonnica, Groby...

— A cóż za dziwne nazwy! — zawołał Henryk — przyjechaliśmy do doliny przez Kiry... Czytałem gdzieś, że z nazw miejscowości, można pierwotne ich dzieje odgadnąć. Z tych tutaj możnaby wnosić, że w dolinie Kościeliskiej odegrał się kiedyś straszliwy dramat! A co to za otwory czworokątne w Dudowych kominach, zupełnie jakby okna w murach?

— To som Zbójeckie okna.

— A dla czego tak się nazywają?

— Bo to są otwory do jaskiń, w których ukrywali się zbójnicy — odpowiedział Jakób.

— Dawno to było? — zapytał Henryk, zwracając się do Jaśka.

— Et, dawno — odrzekł niechętnie.

— Górale nie lubią mówić o zbójnikach — szepnął mu Jakób półgłosem.

— Dla czego?

— Najpewniej dla tego, że wielu jest pomiędzy nimi potomków samych zbójników, a żyją jeszcze tacy, którzy zbójowali.

— Ale tu nas nikt nie napadnie? — zapytała dziewczynka, oglądając się trwożliwie.

— Niema obawy: nie kryją się już oni, chodzą spokojnie między ludźmi i o żadnych napaściach nie myślą.

— Ale nikt o tem nie wie?

— Wszyscy wiedzą: takim jest słynny bard tatrzański, Sabała.

— Doprawdy! — zawołali ze zdumieniem brat i siostra.

— Niestworzone rzeczy Kubuś opowiada — odezwała się panna Katarzyna. — To być nie może, nigdy temu nie uwierzę!

— A jednak tak jest. Cała zagadka polega na różnicy między wyrazem zbójnik a rozbójnik. Górale brzydzą się rozbojem, a zbójowanie mieli sobie za pewnego rodzaju bohaterstwo. Zbójnik zabierał pieniądze bogatym, a dawał biednym; zabijał zaś tylko w razie koniecznej potrzeby, to jest we własnej obronie. Zbójnik, to junak, bohater!

— Typ Rinaldo-Rinaldiniego — szepnęła, kręcąc głową.

Tak rozmawiając, znajomi nasi posuwali się coraz głębiej w dolinę i upatrywali róży bez kolców, bo choć nikt o niej nie mówił, myśleli jednak wszyscy. Nawet babunia Kasia nie mogła się obronić chęci znalezienia jej przypadkiem, choć się z tem nie wydawała. Nie spotkano jednak róży ani jednej, nawet z kolcami. Za to zdobyto Szarotki, tak zwane przez górali „Kocie łapki“, ten klejnot górskiej flory, rosnące kępami na krawędziach skał wapiennych, w mniej dostępnych miejscach. Ale ta niedostępność drobnostką była dla Jaśka; poskoczył, wspiął się jak kot na skałę i przyniósł kilka kwiatów, których śnieżno-aksamitna białość, czyni je tak niepodobnemi do wszystkich innych, a kształt pro-

mienisty przypomina gwiazdy. Znaleziono Zawojek, wspaniałą lilję, której różowe kielichy, ciemnemi są usiane punktami. Na wysmukłej łodydze, stoi ona zazwyczaj samotna, wzniesiona po nad tłum kwiecisty, a choć niema w niej żadnych barw złotych, zowią ją powszechnie Zło-

Szarotka. *Gnaphalium Leontopodium.*

Skalnica czyli Łomikamień. *Saxifraga.*

togłowiem. Sąsiedztwo jej blizkie stanowiły Skalnice. Rośliny należące do rodziny Skalnicowatych, prawie wszystkie rosną na znacznych wysokościach, wśród skał i kamieni: ztąd też ich nazwa pochodzi. Liście ich języczkowate, drobno piłkowane, rozpostarte są na ziemi w ró-

życzkę, a kwiaty ułożone w grono na wysmukłej łodyżce, białe, niewielkie, purpurowemi punkcikami znaczone, niby drobnemi kropelkami krwi. Wreszcie znaleziono mięsiste Rojniki, z listkami w łuskę dachów-

Zawojek. *Lilium Martagon.*

kowato ułożonemi, niby maleńkie węże, podnoszące z pośród mchów łebki, zakończone złocistemi, fijoletowemi lub różowemi kwiatami z metalicznym połyskiem.

Nad brzegami strumienia, zraszane pianą jego kryształowych kaskad, rosły wysokie, dumne Naparstnice, ukazujące żółte naparstki koron i ponure Tojady, przyodziane w fijolety. Rosły rozmaite Dzwonki i Goryczki, błękitnemi z pośród traw i mchów patrzące na przechodniów oczyma i białe wysmukłe Ciemierzyce.

Łomikamień modry.
Saxifraga caesia.

Henryk i Marysia z niemilknącemi okrzykami radości, zrywali piękne kwiaty, a dziewczynka miała już tak wielki pęk, że nie mogąc go objąć w dłoniach, obiema rękami przyciskała do piersi.

— Jaki ładny, oryginalny mech! — zawołał chłopiec, wskazując na puszyste pokrycie skały, gdy przystanęli na chwilę.

— To nie jest mech — odrzekł Jakób: — w szczelinach skalnych sadowić się lubią przedewszystkiem drobnolistne roślinki, o darnistym wzroście. Te, które tu widzisz, żyją zawsze wspólnie i tem się odznaczają, że liczne ich łodygi łącząc się z sobą, chłoną chciwie wilgoć, którą nasycone niby gąbka, długo przechowują. Trzeba widzieć te darninki na wiosnę, gdy się barwnem pokryją kwieciem! Ja je widziałem i powiem, że niczem przy nich perskie kobierce, taka tu puszystość, takie bogactwo zachodzących na siebie kolorów, taka fantazya w rysunku!

Lepnica bezłodygowa, *Silene acaulis.*

— Jak się nazywają te roślinki?

— Lepnica bezłodygowa, Naradka, Mokrzyca modrzewiolistna, Piaskownica rzęsowata, Cherberka rozchodnikowa, albo Cżobin i kilka innych.

— A te większe okrągławe liście z czerwonym spodem, tak podobne do liści Cyklamenów?

Naparstnica, *Digitalis.*

— To jest Jaślinek, ma drobne kwiatki jasno-fijoletowe.

W miejscu gdzie dolina rozszerza się w obie strony, a na zachód i wschód rozciągają się piękne polany z szałasami i szopami na siano, stoi pod skałą skromne schronisko. Podróżni nasi skierowali się ku niemu, żeby się posilić i napić herbaty, bo już zbliżało się południe.

Schronisko było puste, ale na stole znajdowały się już czyjeś bagaże. Doktór tylko rzucił okiem, zaraz poznał eleganckie puzdro skórzane z mosiężnem okuciem, oraz piękny szkocki pled i rzekł:

— Anglicy tu są!

Jaślinek, *Soldanella alpina.*

Słowa te magiczne na wszystkich sprawiły wrażenie. Zobaczyć zblizka Anglika, i to jeszcze Anglika szukającego róży bez kolców, była to gratka nie lada. Nawet na twarzy babuni Kasi odmalowała się gorąca ciekawość. Wszyscy troje oczów oderwać nie mogli od spoczywających na stole przedmiotów, jakby pociągani siłą magnetyczną.

— Tu gdzieś blizko musi być ogień — odezwała się panna Katarzyna — czuję dym.

Doktór obejrzał się i zobaczył nieco dalej nad strumieniem palący się stos gałęzi, a przy ogniu poważną osobistość z rudemi faworytami, w białym fartuchu i białej czapce na głowie. Kręcił się przy niej góral, zbierał suche gałęzie i rzucał na ogień. Porozumiewali się na migi. Nieco dalej na trawie stało kilka błyszczących metalowych naczyń.

— Ale gdzież oni są, ci Anglicy? — szepnęła dziewczynka, chwytając Jakóba za połę od surduta, a oczy jej pełne były ciekawości. Nigdzie ich nie widać!

— Pewnie poszli naprzód — odpowiedział — spotkamy ich wracających.

— A więc chodźmy za niemi — prosiła — chodźmy prędko! Ja chcę widzieć Anglików!

— Ależ Marysiu, babunia musi odpocząć i pan Jakób także — zrobił uwagę chłopiec. — Wszyscy już głodni jesteśmy; pewnie i ty także.

Dziewczynka nie zaprzeczyła. Jasiek postawił koszyk z żywnością i wziąwszy samowar, poszedł z nim do ognia; w schronisku tymczasem posilano się, rozmawiając ciągle o Anglikach. Odpoczynek nie trwał długo; samowar był wkrótce gotów i po herbacie ruszono dalej, pomimo że doktór perswadował pannie Katarzynie, iż powinna dłużej wypocząć.

— Nie jestem zmęczona, doprawdy że nie, upewniam Kubusia — tłomaczyła się staruszka, trapiona ciekawością prędszego ujrzenia Anglików.

Uszedłszy nie więcej nad kilkadziesiąt kroków, ujrzeli w miejscu cienistem, pod dużym świerkiem, pled na mchu rozłożony. Na pledzie, oparta plecami o głaz olbrzymi, siedziała piękna, bardzo dystyngowana dama, w jasnym płaszczyku z surowego jedwabiu i bawiła się machinalnie kosztowną rączką parasolki; na twarzy miała wyraz tylko co stłumionego rozdrażnienia. Obok niej leżał kapelusz z cienkiego włókna palmowego, jasną przepasany wstążką — a z pod kapelusza wyglądała książka z czerwonemi brzegami. U stóp damy, młoda jej towarzyszka układała bukiet z liści paproci i kwiatów dokoła rozsypanych. Skromna jej suknia z jasno-popielatej wełny, za jedyną ozdobę miała wstążkę niebieską związaną pod szyją i takąż samą w pasie przepaskę. Były to Angielki.

Pan Jakób zdjął kapelusz, gdy mijał tę grupę. Milady raczyła się dość grzecznie odkłonić, poczem podniosła do oczu lornetkę i przypatrzyła się uważnie przechodzącym.

— Piękna, ale niesympatyczna osoba — zauważyła panna Katarzyna. — Ma jakiś kwaśny wyraz twarzy i wygląda na bardzo dumną. Musi być chora, kiedy zamiast iść dalej, wolała tutaj pozostać.

— Czy pan uważał, że ona wzięła z sobą książkę? — odezwał się Henryk z oburzeniem. — Książka w Kościeliskiej dolinie — a to czysta herezya!

— Może do nabożeństwa — zrobiła uwagę panna Katarzyna.

— Nie zdaje mi się — powiedział, uśmiechając się doktór. — Z tego, czego byłem świadkiem na Starej Polanie, wywnioskowałem, że ta pani przyjechała w Tatry niechętnie.

— Widocznie jest przywiązaną do starego baroneta i nie chciała go puścić samego w tak daleką podróż.

— Wątpię: byłem nawet świadkiem, jak sir Warburton słysząc jej narzekanie na ten „szkaradny kraj“, czemu zresztą dziwić się nie

można było, bo mówiła to w czasie ulewy, wymawiał jej, że się „uparła“ tu jechać, mimo jego odradzania i wbrew własnej chęci.

— Cóż ją więc zmuszało do tego?

— To tylko ona sama wie. Ale oto jesteśmy przy Pisanej.

Takie nosi nazwisko wysoka, gładka, prostopadła skała, pokryta napisami do wysokości człowieka i mająca przez to pozór olbrzymiej karty. Mięki wapień łatwo daje ryć po sobie, a jest równie jak papier cierpliwy; czy na nim kładą mądre myśli, czy liche koncepta, wszystkie z jednaką znosi rezygnacyą. I tem cierpliwiej znosi, że usłużni przewodnicy zacierają siekierkami dawniejsze napisy, aby przysporzyć miejsca dla świeżych nazwisk, które znowu z kolei innym ustąpić muszą. Podróżni nasi z ciekawością odczytywali różne zdania, cytacye z poetów, wreszcie nazwiska, między któremi wiele było znanych i sławnych — i umieścili własne na brzeżku skały, w miejscu niewidocznem wprawdzie, ale nie pokrytem jeszcze napisami.

— Czy też Anglicy zapisali się tutaj? — mówił Henryk, pilnie szukając. — A jest, jest! dużemi wydatnemi literami: *Edward Warburton z Rochdale*; *Dawid hrabia Chester*, *Walter Dowmond*... hm, dziwne nazwisko, jak na Anglika, i *Johan Strand*.

— A, i profesor tu jest — rzekł Jakób, przyjemnie zdziwiony; — widzę, że dotrzymuje towarzystwa swoim dawnym znajomym.

Z pod Pisanej, jak z czeluści wytryska gwałtownie strumień, a prąd powietrza jest tak silny, że nachyliwszy się, czuje się go na twarzy. Jasiek występujący w roli przewodnika, oświadczył poważnie, że w pieczarze śpi wojsko zaklęte; że otwór sięga bardzo daleko i niewiadomo dokąd prowadzi, oraz że tu jest źródło Czarnego Dunajca. Ale doktór zaprzeczył tym dwom ostatnim dowodzeniom.

— Woda wypływająca z pod skały, nie jest wcale źródłem, tylko częścią rozszczepionego wyżej potoku Kościeliskiego. Co zaś do długości i rozmiaru tej pieczary, badał ją dawniej poeta Seweryn Goszczyński, a w tych czasach dr. Jan Pawlikowski. Dostawali się tam oni z wielkiemi trudnościami, i odkryli w tej skale kilka jaskiń, przez które przepływa potok. Do końca jednak labiryntu żadnemu dostać się nie udało, bo trafili na tak wązkie przejście, że tylko woda przezeń dalsze miała ujście.

Jasiek słuchał opowiadania z drwiącym półuśmiechem. Miał on własne o tem zdanie, ale milczał.

— Znaleźli tam jednak rzecz dziwną, rzecz której nie szukali: ślady ludzkiej pracy. Dno pod wodą wyłożone jest drzewem, poprzykładanem kamieniami, i w dwóch miejscach strop podstemplowany dylami. Kto tego dokonał, w jakim celu i kiedy, to zagadka!

— Może zbójnicy ukrywali tam swoje skarby — zrobił uwagę Henryk.

— Może i to być — odrzekł Jakób. — Chodźmy teraz do miejsca, zkąd dobywano złoto.

Słowa te wstrząsnęły wszyskich jak iskra elektryczna.

— Co! gdzie? Czy być może! — wołali naprzemian Henryk i Marysia — złoto tu, w dolinie Kościeliskiej?

— Kubuś chyba żartuje — odezwała się panna Katarzyna, patrząc na doktora z niedowierzaniem.

— Mówię najprawdziwszą prawdę!

— Hm, hm, a czy to daleko? — spytała. — Idziemy ciągle pod górę... jestem zmęczona i chciałabym przysiąść.

— Niedaleko. Przejdziemy mostek, potem jeszcze kawałek drogi pod skałą i będziemy u celu. Dolina tam znowu się rozszerza, a na prawo jest mała polanka.

Wkrótce zatrzymano się przy owej polance: na jej środku, wśród głazów mchem obrosłych, stał krzyż żelazny wprawiony w podstawę z młyńskiego kamienia Na ramionach krzyża wpisane były słowa Ś-go Pawła:

„I nic nad Boga."

Krzyż ten, w tem miejscu, wobec wspaniałej natury, taki samotny i cichy, taki mały i taki zarazem wielki w swej prostocie, głębokie sprawia wrażenie. Odczuli je wszyscy. Panna Katarzyna uklękła i modliła się gorąco, aby Bóg pozwolił wyrosnąć zdrowo Marysi, a dzieci uwiły wieniec z kwiatów i liści paproci, których tu rosła obfitość i złożyły go u stóp krzyża.

— Dziękuję Kubusiowi, żeś nas tu przyprowadził — rzekła staruszka, siadając na kamieniu obok. — A teraz powiedz nam, co wiesz o tem złocie.

— Tu, na tem mniej więcej miejscu — rzekł doktór, siadając także — ale bliżej potoku, stała za czasów Zygmunta I-go płuczka, czyli młyn, jak mówią górale, w której woda ściekająca po równi pochyłej, oddzielała złoto od piasku. Ślady jakiejś budowli i dwa młyńskie kamienie znalazł jeszcze Pol w 1852 r., gdy był tutaj z towarzyszami. Nie ulega wątpliwości, że złoto w dawnych czasach znajdowano w Kościeliskim potoku; z czasem jednak wyczerpało się ono i nie opłaciło kosztów dobywania. Zdaje się, że to nastąpiło jeszcze za czasów wspomnianego króla. Starzy ludzie powiadają, że ostatni młynarz który tu

złoto dla króla wypłukiwał, został zabity przez opryszków i tutaj pochowany. Krzyż stoi na jego mogile.

— Musiałby mieć zatem około czterystu lat — odezwał się Henryk — a wygląda jakby go niedawno wzniesiono.

. . . taki mały, i taki zarazem wielki w swej prostocie.

— Krzyż pierwotny burza obaliła, zniszczyły słoty, kamień zaś z mogiły obsunął się po pochyłości nad brzeg potoku. Towarzysze Pola wyciosali krzyż świerkowy, wyryli napis i dźwignęli kamień na da-

wne miejsce. Potem krzyż kilkakrotnie ulegał zniszczeniu, aż Towarzystwo Tatrzańskie kazało go odlać z żelaza.

— A co znaczy ten stos suchych gałęzi na boku? — pytał Henryk.

— Jakiś bezbożny Podhalanin, który duszę dyablu zapisał, założył się, że obrobiony kamień młyński zawiezie w niedzielę, w czasie nabożeństwa, na Ornak.[1]) Wioząc go, tam właśnie wywrócił i kamień go zabił; tam też go pochowano, a każdy przechodzień rzuca świerkową gałęź na mogiłę, według starego zwyczaju. Co rok powstaje z tych gałęzi nowy stos, który w jesieni zapalają, odmawiając pacierz za duszę grzesznika.

— Dzień dobry, doktorze — dał się słyszeć nagle głos znany i z po za dwóch dużych głazów wyszedł malarz — a uchyliwszy kapelusza w stronę pań, przystąpił do Jakóba, mówiąc:

— Niedawno odszedł ztąd sir Edward Warburton ze swoim orszakiem. Wyobraź pan sobie, siedział przy krzyżu pół godziny z głową opartą na dłoni i nie odsłonił twarzy ani razu.

— Cóż to panu szkodzi?

— Co? dobry pan sobie jesteś! Od samego początku doliny idę krok w krok za nim w pewnej odległości, tak, żeby nie być widzianym i czatuję na sposobność narysowania go *en face*. Szkic, zrobiony przezemnie na Starej Polanie, przedstawia tylko profil, a mój doża zaślubiający morze, musi stać na przodzie okrętu, patrząc wprost na widza, w pełnem oświetleniu, w całym majestacie potęgi i poczuciu własnej siły. Pojmujesz pan, iż Anglik nie powinien wiedzieć że mi pozuje, bo wszystko byłoby stracone. Zdjąłem wprawdzie szkic z niego, gdy siedział zadumany, ale to tylko tak, dla własnej przyjemności.

Wyjął z teki kartkę i podał Jakóbowi.

— O kim panowie mówicie? — spytała panna Katarzyna, posłyszawszy ostatnie słowa tej rozmowy.

— O sir Edwardzie Warburtonie.

— Czy i ja mogę zobaczyć ten szkic?

— I owszem — rzekł Witold uprzejmie, podając kartkę — oto jest.

— Ależ tu niema wcale twarzy! — powiedziała ze zdziwieniem. — Ręka podpierająca głowę, zasłania ją zupełnie.

— A jednak jest wyraz w tej postaci, chociaż twarzy nie widać — zauważył doktór.

---

[1]) Hala i góra, noszą tę nazwę.

— Tak, jest wyraz — powtórzyła — wieje z niej smutek bezdenny.

— Jest coś zagadkowego w tym człowieku — mówił malarz. — Patrzyłem na niego, gdy stał przy Pisanej; byłem bardzo blizko, ale nie widział mnie. Rozglądał się w napisach, jakby one mogły interesować cudzoziemca! wreszcie zatrzymał wzrok na cytacyi znanego wiersza Pola, którą wyrył ktoś w samym środku:

A czy znasz ty, w której stronie
Takich jezior takie tonie;
Takie chmury na górami,
Takie niebo nad chmurami!

Otóż, oczy jego szły w kierunku wiersza, od początku do końca, jakby czytał; uważałem to dobrze.

— Pewnie się panu zdawało...—powiedział doktór zamyślony. — Czy profesor był razem z baronetem? Widziałem podpis jego na skale, obok ich podpisów.

— Tak, poszli razem w kierunku Pysznej. Idę za nimi, może mi się lepiej powiedzie. Chodź pan zemną!

— Nie jestem sam — szepnął Jakób.

— Ależ idź, idź Kubusiu — prosiła panna Katarzyna, domyśliwszy się tych słów — i zabierz z sobą Henryka. Jasiek zostanie z nami i zaprowadzi nas do schroniska. Czy prędko będziecie z powrotem?

— Nie umiem pani tego powiedzieć: ale gdybyśmy nie wrócili przed zachodem słońca, niech panie siadają na wóz i wracają do Zakopanego, bo wieczory w dolinach bywają chłodne, a chłód może zaszkodzić Marysi. My z Henrykiem towarzyszyć będziemy panu Witoldowi i choćby nas długo nie było widać, niech pani o nas będzie zupełnie spokojną.

— Wiem, że pod opieką twoją nic mu się złego nie stanie — odpowiedziała. — Ufam ci zupełnie, Kubusiu. Do widzenia.

Marysia miała ochotę rozpłakać się, że nie idzie także na wycieczkę, ale Henryk jej szepnął do uszka, że babunia Kasia nie mogłaby tak tu zostać bez żadnej opieki — i to nietylko łzy dziewczynce wstrzymało, ale napełniło ją zadowoleniem, iż jest tak ważną i poważną osobą, że może nawet opiekować się starszymi od siebie.

Obie z babunią przeprowadziły wzrokiem trzy oddalające się postacie, a gdy zniknęły na zakręcie wijącej się pod skałą drożyny, staruszka spostrzegła, że szkic malarza pozostał w jej ręku.

Wyjęła z kieszeni okulary, przetarła je i zaczęła się znowu przypatrywać; wreszcie położyła kartkę i zamyśliła się głęboko.

Jak czasem nuta posłyszanej niespodzianie piosenki, lub widok jakiegoś przedmiotu budzi echa przeszłości, nawiązując nić wspomnień, po której przychodzą kolejno przed oczy duszy przeżyte boleści i radości, tak widok tej postaci z twarzą zasłoniętą, postaci nieznanego człowieka, obudził w duszy staruszki najboleśniejsze wspomnienia z jej życia. Przeszłość tak żywo przed nią stanęła, jakby to była chwila obecna: przycichłe bóle odżyły na nowo i dwie ciężkie łzy stoczyły się z jej oczu...

VI.

DOŻA WENECKI.

Orzeł wisi na szafirze,
Jak na tarczy rznięty znak.
Prąd potoku brnie po żwirze,
Jakby twardy życia szlak.
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Droga od krzyża wiedzie cienistym lasem do polany, gdzie też wydaje się zawsze podróżnikowi, że doszedł do końca doliny Kościeliskiej, zamkniętej dokoła górami. Ale tu niespodzianie odsłaniają się dalsze przestrzenie w rozległy okrąg rozwinięte. Droga na Bystrą, przez Pyszną dość łatwa, a w połowie mniej więcej góry napotyka się halę prześliczną, zwaną Ornakiem. Płynące przez nią z gór trzy strumienie, łączą się tu w jeden i pędzą w dolinę; jest to właśnie początek Czarnego Dunajca.

Jakób i Witold rozmawiali, a Henryk rozmyślał, że idzie oto brzegiem potoku, którego wody niegdyś niosły złotodajny piasek. Kto wie, czy i dziś jeszcze, poszukawszy, nie znalazłoby się w nim złota! Może nagromadziły się nawet całe pokłady... bo od czasu gdy poszukiwania przerwano, upłynęło już parę wieków. A gdyby też jemu danem było odkryć te pokłady... coby to była za radość! Wszyscy w Miratyczach odetchnęliby swobodniej! Zapłaciłoby się długi, i ustałyby procenta pochłaniające plony z pól. Dziadek przestałby chodzić w łatanym szlafroku; sprawiłby mu zaraz nowy, z miękkiej ciepłej flaneli. Kazałby mu pokryć świeżą skórą fotel, który babunia Kasia od wielu już lat pracowicie łatała ceratą. O, ta babunia, która im obojgu zastępowała matkę, jak ona ubogo chodziła!...

Westchnął.

Tutaj podróżni nasi chwilę odpoczęli, stojąc; uderzył ich widok mnóstwa drzew złamanych do połowy. Był to ślad jakiejś starej katastrofy: istne pobojowisko! Jedne już zupełnie uschłe, służyły za podstawę dla całych pokoleń mchów i paproci; inne zieleniły się u spodu od świeżych, bujnych pędów.

— Oto robota lawiny, o której mi opowiadano w Zakopanem — odezwał się Jakób. — Lawina ta, staczając się gwałtownie w dolinę, zabiła kilku ludzi, a las rosnący na pochyłości Ornaku tak zwaliła, jakby kto kosą drzewa popodcinał. Wiele drzew ztąd uprzątnięto, inne rozsypują się w proch, pod działaniem powietrza i roślin pasożytnych.

— Jest to widocznie robota z poprawkami — dodał Witold — bo są też złamania świeżej daty. W Alpach takie klęski zdarzają się często, ale w Tatrach podobno bardzo rzadko.

— Powiedz pan, że rzadko w postaci katastrofy; bo gdzie są góry tak wysokie, tam powstawać muszą i lawiny. Byłem raz zimą w Zakopanem i sam widziałem lawinę staczającą się z Gewontu, z odgłosem podobnym do grzmotu i słyszałem huk przy spadaniu, jakby kilka piorunów uderzyło naraz.

— Wspaniała to rzecz być musi, ale i zarazem straszna—odezwał się Henryk. — Ciekawy jestem, jak taka lawina powstaje?

— Nie odrazu powstaje ona—rzekł Jakób.—W zimie śniegu nie brakuje, zwłaszcza na szczytach gór, gdzie leżąc, twardnieje. Otóż gdy na pochyłej powierzchni starego śniegu, nagromadzi się w dużej ilości śnieg świeży a wilgotny, wtedy najmniejsze wstrząśnienie powietrza, a nawet krzyk lub odgłos wystrzału, odrywa te nagromadzone masy od ich podstawy. Sypią się one jedne na drugie, zlepiają, wirują, pędzą z hukiem ku dołowi coraz szybciej, i rosną, rosną, a w tym szalonym pędzie unosi się tuman śnieżnego pyłu i otacza lawinę obłokiem; powietrze porwane jej pędem, wytwarza silny wicher i przygina drzewa. Lawina niszczy wszystko, co spotka na drodze.

— Straszną więc śmiercią zginęli ci ludzie na Ornaku—rzekł Henryk — ale przynajmniej zginęli w jednej chwili, bo siła tak potężna, zabija chyba odrazu.

— Słyszałem o takich, którzy w Alpach porwani zostali przez lawinę, a jednak nie zginęli — mówił dalej doktór. — Podobno w czasie pędu, mogli swobodnie poruszać członkami i doznawali takiego wrażenia, jakby płynęli; ale gdy się lawina zatrzymała, uczuli, że są przygwożdżeni do zlodowaciałego śniegu. Dopiero po pewnym czasie, gdy ciepło ich własnego ciała stopiło nieco otaczającego ich śniegu, uwięzieni mogli się poruszać, oswobodzić rękę lub nogę, lub wreszcie część ubrania, za które zostali schwytani.

— Czy owa lawina na Ornaku była taka sama, jak tamta w Alpach?

— Nie wiem. Może to była wiosenna lawina i spadła w czasie odwilży, podobnie jak śnieg zsuwający się z dachów. Pokład takiego śniegu zsuwa się z gór w całej swej grubości aż do gruntu, szorując tak mocno, że aż zostawia po sobie ciemne płaty. Zsuwanie się takiej lawiny zamienia się czasem na staczanie: rośnie ona ciągle od napotykanego po drodze śniegu, ale nie wytwarza dokoła siebie tumanu. Za to odbija się o sterczące występy skalne, czasami nawet czyni olbrzymie skoki. Przesadza naprzykład drzewa, nie zrządzając im szkody.

— Straszne są siły niszczące natury — odezwał się malarz. — Ludzie wprawdzie bronią się przeciwko nim jak mogą i umieją, ale nie zawsze im się to udaje. Do takich środków należy stawianie domów z dachami tak pochyłemi, żeby lawinę oszukać mogły, uchodząc za dalszy stok góry. Wtedy lawina przelatuje po dachu dalej. Muszę kiedy namalować obraz, przedstawiający ludzi zaskoczonych przez lawinę; ale żeby dzieło moje miało wszelkie cechy prawdy, chciałbym wprzód sam tego doświadczyć.

— A jeżeli pan zostaniesz zasypany? — zapytał, śmiejąc się Jakób.

— Ha, to obrazu nie będzie — odrzekł z rezygnacyą. — Lepiej zginąć, niż zostawić potomności dzieło słabe, niezgodne z prawdą. Ale co to jest? — dodał, zatrzymując się — jakieś doły i kupy gruzów!

— To są szczątki kopalni, z której dobywano rudę żelazną.

— Idźmy więc ostrożnie, bo kto wie, czy pod nami niema jakich zapadających się sztolni — mówił malarz, badając ostrożnie grunt laską. — Ale widzę szałas po nad lasem: podobno tu najlepsze na całe Tatry, sery wyrabiają. Czy pójdziemy tam mleka się napić?

Henryk na wzmiankę o mleku poczuł głód i pragnienie.

— Ten szałas wśród szmaragdowej zieleni, to hala Pyszna; pewnie tam znajdziemy Anglików odpoczywających.

— Niema nikogo — odrzekł malarz, dobrym obdarzonym wzrokiem. — Przed szałasem siedzi juhas i pali fajkę.

Wkrótce byli przy szałasie. Wyniesiono im mleka, a gdy się napili i spoczęli trochę, Henryk zaczął wypytywać o turystów, którzy tędy iść mieli. Juhas [1]) odpowiedział że byli, ale poszli na Bystrą.

— Jakże, czy idziecie ze mną? — zapytał Witold, zwracając się do towarzyszy.

— Naturalnie, że idziemy!

---

[1]) Pasterz.

— A więc chodźcie, bo czas! Musimy wejść na górę, póki słońce jeszcze wysoko, i naturalnie odpocząć z godzinę na szczycie.

Ścieżką dobrze było iść ku górze, choć nieco stromo, między rosnącą po bokach kosodrzewiną. Trawa po której stąpali, była śliska, a przedzieranie się przez głazy pokrywające górę, dość trudne. Ale po niedługim stosunkowo mozole, ścieżka ta wywiodła podróżnych naszych na pienny grzbiet góry, na której stoku z drugiej, węgierskiej strony, widzieli leżący śnieg. Grzbietem postępując coraz wyżej, doszli aż na sam wierzch, gdzie widniał słup graniczny oddzielający Galicyę od Węgier: znajdowali się na wysokości 2,249 metrów.

Na najwyższym punkcie szczytu, wśród głazów olbrzymich, stał ten, o którym mówiono przy krzyżu — milczący, dumny, majestatyczny i zagadkowy.

— Mam go! — szepnął malarz — postać jak stworzona do purpury i gronostajów.

I wyjąwszy teczkę i ołówek, ukryty za głazem, jął szkicować cudzoziemca w całej postaci.

Towarzysze baroneta, jedni na pół leżąc, inni w siedzącej postawie, napawali się wspaniałym widokiem z tego szczytu i orzeźwiającem powietrzem wirchów. Najwyższy to punkt w zachodnich Tatrach i dlatego widnokrąg dokoła tak jest rozległy na węgierską stronę, na wioski, miasteczka, doliny, na półka małe, pokryte zielonością różnych odcieni, wreszcie na Tatry. Boki szczytów z tej strony są więcej spadziste, pokryte płatami śniegu podczas lata, co im nadaje większą dzikość, a zwierciadłom ich jezior większą uroczystość. I roślinność uboższą północny polski stok posiada. Po stronie południowej krajobrazy weselne, barwy żywsze i stoki słodkim pokryte winogradem.

Sir Edward stał i patrzył... w lewej ręce trzymał kapelusz, a prawą wspierał się na ciupadze. Oczy jego ogarniały widnokrąg z wyrazem nieopisanej tęsknoty, a czoło kąpało się w blasku przechylającego się już ku zachodowi słońca — czoło genialne, ze znacznemi wypukłościami nad oczami i przecinającą je pionowo głęboką fałdą. Na ustach napół przysłoniętych wąsem, błąkał się jakiś gorzki wyraz.

Malarz rysował i podziwiał niespożytą siłę tego człowieka, wchodzącego bez widocznych śladów utrudzenia, na wysokie szczyty i uganiającego się za różą z młodzieńczym zapałem.

— Gdybym był powieściopisarzem — myślał — wziąłbym go za bohatera.

Górale baroneta nie pytając o rozkazy, zajęli się przysposobieniem herbaty. Na szczycie wprawdzie nie było ani wody, ani paliwa, ale od czego spryt przewodników? Kosodrzewiny nazbierano w pęki po drodze, a wody zaczerpnięto u zlewiska trzech potoków na Ornaku.

Trzask łamanych gałęzi wyrwał Anglika z zadumy. Odwrócił się i spostrzegł przybyłych.

— A, witam panów —przemówił po niemiecku, wyciągając uprzejmie rękę do doktora i malarza; — rad jestem, żeśmy się tu spotkali! Zapraszam was na „*five o clock*"; będzie nam weselej.

Pan Jakób przedstawił Henryka jako swego przyjaciela, a sir Edward lekko skinął głową, zaledwie spojrzawszy na chłopca. Mimo to, jak gentleman prawdziwy, zapoznał go z Dawidem, któremu szepnął, żeby starał się być uprzejmym dla gościa.

Obaj chłopcy spoglądali na siebie ciekawie: Henryk obserwował elegancki ubiór wycieczkowy małego Anglika: jego zamszowe spodnie, piękne buty podkute żelazem, kurtkę z błyszczącemi guzikami i zielonym kołnierzem, ładną torbę z jasnej skóry przewieszoną przez ramię i wysoki kapelusz tyrolski z piórem. Twarz, wyglądająca z pod tego kapelusza, duża i nalana, nie była ani pociągająca, ani odstręczająca: zmęczenie zabarwiło ją lekkiemi kolorami, nadając pozory życia, którego zazwyczaj nie miała. Najwięcej zaś dziwił się Henryk długim fryzowanym włosom. Duży alpejski kij dopełniał tego stroju, zrobionego podług najświeższej mody sportu górskiego.

Młody hrabia ze swej strony przypatrywał się z pewnem lekceważeniem skromnemu ubraniu rówieśnika, sporządzonemu z taniego materyału. Lekkie i wygodne, uwydatniało smagłą budowę chłopca, nie krępując jego ruchów, a w serdaku naszywanym barwną skórą, było mu bardzo do twarzy.

Posłuszny wezwaniu dziadka, Dawid podał Henrykowi rękę i powitał niemieckiem: „dobry wieczór". Ale Henryk mało rozumiał ten język, więc odpowiedział po francuzku i na tem się skończyło.

— Czy nie spotkaliście panowie po drodze profesora Stranda? — zapytał sir Warburton. — Zginął nam w lesie, jeszcze przed Ornakiem. Czekaliśmy na niego, wołaliśmy, ale się nie pokazał.

— Może mu się odechciało iść dalej i odpoczywa sobie w jakiem miejscu cienistem — odrzekł malarz. — Znajdziemy go, wracając.

— Obawiam się raczej, że zbłądził... On taki roztargniony! Ale mam nadzieję, że znajdziemy go przy pomocy naszych przewodników, którym jak widzę, szkoccy górale nie potrafią dorównać.

I wskazując na najbliższe szczyty, mówił dalej:

— Myślałem właśnie, że możnaby ztąd na sąsiednią górę przejść grzebieniem, a ztamtąd na dalsze, zwłaszcza na tę wysoką, szaroskalistą, pokrytą tu i owdzie płatami śniegu. Taka przechadzka po szczytach, bez schodzenia w doliny, może być bardzo przyjemną!

Witold i Jakób wymienili spojrzenia. Sir Edward mówił o tem, jakby o zwykłym spacerze po londyńskim parku. Czy naprawdę mu się

czegoś podobnego zachciewa? Czego on chce, zatem? Po co przyjechał w Tatry? Czego szuka? Jeżeli jako zwykły, pragnący wrażeń turysta, czemu nie przyznaje się do tego otwarcie?

Baronet nie zauważył wrażenia, jakie sprawił, i mówił dalej:

— Zadawałem sobie przed chwilą pytanie, skąd się tu wzięły te olbrzymie głazy, zdające się być granitem? Widocznie są to resztki osypanego, wyższego dawniej szczytu. Złomy jego kruszeją od wpływów atmosferycznych, pękają; woda spycha je z góry, rozbija, i spadają rumowiskiem w dolinę, której poziom tym sposobem ciągle się podnosi. Te rozległe grzbiety i szczyty niegdyś ku niebu sięgały. Każda zima rozsadza skały, każdy piorun je strąca, zniżając powoli te harde głowy. Po upływie wieków, z tej wspaniałej rzeźby gór niebotycznych, pozostaną może tylko wzgórza! Dobrze, że zdążyliśmy urodzić się teraz, póki jest patrzeć na co i co podziwiać.

Gdy to mówił, dał się słyszeć w górze przerażający świst i głos żałosny.

— Kia, Kiach..!

Warburton żywo podniósł głowę i ujrzał wspaniałego ptaka płynącego majestatycznie po nad szczytami, a rudawe jego upierzenie w blasku słońca miało złociste połyski. Jakby się przypatrzyć chciał spoczywającym wędrowcom, królewski ptak zawisł nieruchomo w powietrzu, poruszając zaledwie końcami lotek, prawie bez pomocy skrzydeł.

— *Aquila aurea* — rzekł Strand — czyli Złoty orzeł. Co za wspaniały okaz!

Wszyscy podziwiali go, czyniąc różne uwagi, mianowicie czy wytrwa długo w tej pozycyi, ale potężne skrzydła poruszyły się, i orzeł popłynął ku bielejącym w dali szczytom Krywania.

— Pierwszy to mieszkaniec szczytów jakiego tu spotykam—odezwał się baronet, który najdłużej ścigał go oczyma.

— Jakież wrażenie Tatry zrobiły na panu? — zapytał malarz.

— Nie znam ich jeszcze: z tego co widzę, dzikość ich uderza mnie więcej jeszcze, niż piękność.

— A dolina Kościeliska?

— O, to jest najdziwniejsza, jaką można sobie wyobrazić, fantazya natury — odpowiedział z ożywieniem.

— Gród skamieniały zbudowany przez olbrzymów — wtrącił Jakób — nieprawdaż?

— Jest to czysty gotyk– mówił dalej baronet—wspaniała świątynia, której stropem jest błękit nieba, a podłogą szmaragdowy kryształ potoku. W świątyni tej stoją setki kamiennych filarów, i tysiące posągów delikatnie kowanych. Silić się na określenie piękności tej doliny,

byłoby rzeczą zbyteczną; trzeba być na to poetą lub artystą. Nie jestem ani jednym, ani drugim. Dla tego, gdy mnie pan pytasz o wrażenie, zamknę je w dwóch słowach: jestem zdumiony!

Doktór wtrącił zapytanie, czy sir Warburton nie spotkał róży bez kolców.

— Upatrywałem jej na stokach i zboczach, oraz w okolicach strumienia, ale nie dostrzegłem nigdzie. Walter wytłomaczył góralom, czego szukam, i zdawało się że go zrozumieli, bo rozbiegli się w różne strony i przynieśli kilka okazów tej oto roślinki, nie będącej w dalszem nawet z różą pokrewieństwie.

Skinął na swego grooma, a gdy ten podał mu zieloną puszkę blaszaną, wyjął z niej ostrożnie niewielką roślinkę z pierzastemi liśćmi i żółtym kwiatem, którego płatki ułożone były na podobieństwo płatków róży.

Pełnik europejski, *Troiluś europaeus.*

— Pełnik europejski, *Troilus europaeus* — powiedział Jakób, oglądając ją. — Ładny okaz: jest to kwiat uważany przez górali za najpiękniejszy i nazywany przez nich „Leliją". Kształt i układ płatków korony, wprowadziły ich w błąd. Walter umiejący trochę po polsku, objaśnił ich że szukamy czego innego, więc rozbiegli się znowu i przynieśli mi cały bukiet, ale róży w nim ani śladu. Oto jest!

Były tam: Gwoździk pierzasty, Jaskier alpejski, przez górali „pieprzem halnym" zwany, Ostróżka wyniosła, dwa gatunki Tojadu, liczne Jastrzębce, Pluskiewniki i kilka rzadkich roślin strączkowych, jak Miesięcznice. Te ostatnie górale cenią bardzo, jako ozdobę do kapeluszy na uroczystości weselne — bo srebrzysta wewnętrzna błonka strączka wygląda bogato, gdy po wypadnięciu nasienia, obie połowy odwrócą się na lewą stronę. Wtedy nadają się do układania kiści, wspaniałych jak pióra strusie, a połyskujących jak atłas. Wszystkie te rośliny gromadzą się na mniej stromych skałach wapiennych, poprze-

rywanych piargami [1]), gdzie z biegiem czasu skupi się więcej czarnoziemu.

— Wasza Miłość posiada podobno największy i najkompletniejszy zbiór róż w całej Anglii — zagadnął Jakób — musisz być, sir, wielkim tego kwiatu lubownikiem?

— Istotnie, posiadam komplet wszystkich znanych odmian — odrzekł — brak mi tylko róży bez kolców, której szukam i róży błękitnej, za którą się nie ubiegam, bo jej istnienie zaliczam do bajek. Jest wprawdzie podanie, że Maurowie hiszpańscy posiadali róże niebieskie, otrzymane wskutek podlewania roślin roztworem *indygo* z wodą, ale doświadczenie przekonało mnie, że to nieprawda. Powiadasz pan, że muszę być wielkim miłośnikiem: tak jest istotnie. I cóż zresztą dziwnego? My, Anglicy, mamy słabość do zbierania kolekcyi. Jedni zbierają książki, dzieła sztuki, starożytności, inni laski, kapelusze lub guziki; ja zbieram róże, słabość nietylko nieszkodliwa, ale nawet przynosząca korzyść. Kwiaty lubiłem zawsze, a kwiat róży nad wszystkie inne przenoszę, bo to kwiat prawdziwie królewski, i zdaniem mojem, żaden inny nie może się z nim porównać. Żaden też chyba nie jest tak rozpowszechniony. Róża zajmuje większą część naszego globu, mianowicie całą północną półkulę. Jedna tylko Australia jest upośledzoną pod tym względem przez naturę, gdyż mimo poszukiwań botaników, nie znaleziono tam róż w stanie dzikim rosnących, podobnie jak pod samym równikiem i na półkuli południowej. Przypuszczam, że Opatrzność dając róży tak szerokie rozsiedlenie, musiała, oprócz rozkoszy, jaką ludziom sprawia jej piękność i woń przepyszna, mieć jeszcze inne cele. Pan jako doktór, może co wiesz o tem?

Tojad, *Aconitum*.

— Rzymianie uważali ją jako środek leczniczy, zwłaszcza przeciw wściekliźnie — odrzekł Jakób — i ztąd prawdopodobnie pochodzi nazwa Róży psiej: *Rosa canina*.

---

[1]) Usypiska kamieni.

— Czy wasza Miłość zna legendę o kolcach róży? — odezwał się Witold.

— O kolcach róży? nie, mów pan!

— Rapin, pisarz francuski, podaje taką opowieść: Rodanthe, królowa Koryntu, wskutek nadzwyczajnej piękności, wzbudziła miłość licznych książąt, lecz wzgardziła ich hołdami. Doprowadzeni do rozpaczy, oblegli ją w świątyni Dyany, gdzie się schroniła ze swym ludem, który olśniony jej pięknością, domagał się by zajęła miejsce bogini. Apollo, rozgniewany za zniewagę wyrządzoną Dyanie, jego siostrze, zamienił Rodanthe w krzak róży. Poddani, cisnący się na pomoc królowej, zostali przemienieni w kolce: z książąt jeden w motyla, inni we dwa skrzydlate owady i wszyscy odtąd krążą bezprzestannie dokoła ukochanego kwiatu.

— Legenda bardzo poetyczna — rzekł baronet z uśmiechem — ale mnie więcej jeszcze podoba się to, co wielki liryk grecki Anakreon powiedział o róży: „że śmieje się swym powabem i płacze kolcami."

— Wasza Miłość nie lubi łez, skoro poszukuje róży bez kolców — wtrącił od niechcenia Witold.

— O tak — odrzekł Anglik — ja sam nie płaczę nigdy... chociaż słyszę, że to niekiedy daje chwilę szczęścia.

— Jest to rodzajem leku cudownego w pewnych cierpieniach — wtrącił Jakób.

Baronet lekko brwiami poruszył, co wskazywało że przedmiot rozmowy nie przypada mu do smaku, i z przymuszonym uśmiechem powiedział:

— Jak to znać zaraz, że mamy między sobą lekarza..!

Herbata już była gotowa: górale zabrali się do nalewania jej w szklanki i roznoszenia, a czynili to zręcznie i szybko. Groom baroneta nie miał tu nic do roboty: rozłożył tylko paczkę biszkoptów i wydobył butelkę madery, mającej zastąpić koniak. Dolewano jej tylko potrosze, bo było to wino stare i mocne. Sir Edward do jedzenia uprzejmie zapraszał, ale sam niczego nie dotknął. Pił tylko czystą herbatę małemi łykami, bardzo wolno.

Rozmowa toczyła się o górskiej przyrodzie. Walter z zapałem mówił o Szkocyi, a sir Edward spoglądał raz po raz przez lunetę w kierunku hali, gdzie spodziewał się dojrzeć profesora Stranda. Gdy słońce zaczęło się zniżać, baronet spojrzał na zegarek i wstał.

— Idźmy — rzekł — odszukać naszą zgubę, póki jeszcze dzień. Musimy dokładnie zbadać las do krzyża, gdzie straciliśmy go z oczu.

— Może pije mleko w szałasie na Smytnej i zagryza serem—zrobił uwagę Witold.

— Raczej poszedł nad staw Smereczyński, wiedziony instynktem badacza fauny głębinowej i szuka swego Branchiopoda — odezwał się doktór.

— I to być może: gdzież ten staw się znajduje?

— O kwadrans drogi od krzyża: ukryty jest w lesie, więc nie wielu turystów wie o jego istnieniu.

— Zatem chodźmy: wprawdzie nie jest jeszcze późno, ale niewiadomo, jak długo będziemy szukali profesora: „Komu w drogę, temu czas!“

Malarz zdumionym wzrokiem spojrzał na baroneta i podniósł się wraz z innymi. Powiodło mu się: w teczce miał szkic upragniony, ale nie o nim myślał w tej chwili. Zkąd Anglik znał polskie przysłowia? To, które przytoczył, było dosłownem tłomaczeniem z polskiego.

Gwoździk lodowy, *Dianthus glacialis*

Jeden z górali jako przewodnik szedł naprzód, drugi zamykał pochód. Gdy schodzić zaczęli, Henryk spojrzawszy na dół, zawołał radośnie:

— O, co ja widzę, Gwoździk lodowy!

Wszyscy się obejrzeli na ten wykrzyknik, a chłopiec zerwał różowy mały kwiatek o delikatnym zapachu, nie przypominającym woni gwoździków, które żyją na równinach.

— *Dianthus glacialis* — objaśnił doktór, biorąc od niego roślinkę i pokazując sir Edwardowi. — Patrz pan, jakie to skromne, a jakie wdzięczne! A zkąd wiedziałeś Henryku, że on się zwie „lodowym“?

— Mówił mi pasterz, który nam wczoraj przyniósł bukiecik takich samych gwoździków.

Baronet poraz pierwszy spojrzał uważniej na chłopca i powiedział, odwracając się do wnuka.

— A ty, Dawidzie, nic nie zbierasz? nic cię nie interesuje?

Chłopiec zmilczał, bo i nie mógłby nawet w tej chwili odpowiedzieć. Usta miał pełne biszkoptów, któremi naładował sobie kieszenie. Wyraz niesmaku odmalował się na twarzy sir Edwarda i nie czekając odpowiedzi, począł schodzić.

Doktór rozglądał się z pewnym niepokojem po horyzoncie; cieszył się już nadzieją, że wbrew tradycyi ominie go deszcz w Kościeliskiej dolinie, ale mała drobna chmurka, wisząca nieruchomo ponad ich głowami, zaczynała go niepokoić.

— Może wytrzyma do wieczora — myślał — a może też wiatr tę chmurkę rozpędzi!

I wielki miłośnik przyrody, zaczął uważnie przypatrywać się roślinności, pokrywającej stok góry tem obficiej, im niżej zstępowali. Interesowały go szczególniej małe, drobne roślinki przy samej ziemi: były to listki Pierwiosnka, jednego z najmniejszych, jakie istnieją, *Primula minima.* Zawołał na Henryka i pokazał mu tę osobliwość.

Pierwiosnek najmniejszy.
Primula minima.

— Pierwiosnek ten zakwitnie dopiero za parę tygodni; ma śliczne jasno-purpurowe korony, znacznie większe od liści, czasem białe lub lila. Najwięcej jednak pierwiosnków kwitnie na wiosnę. One najpierwsze wychylają barwne główki z pod śniegu i radują oczy ludzkie, stęsknione za ciepłem, słońcem i zielonością.

— W Tatrach, w zimie nie tęskni się tyle za słońcem, ciepłem i zielonością, ile na równinach — odezwał się Witold. — Świerki, jeżeli tylko ich śnieg nie pokryje, są wiecznie zielone; słońce tyle daje ciepła, że w południe bywa czasem po 20 stopni Reaumura, a ja sam raz w Nowy Rok wybrałem się na spacer na Gubałówkę i tak mi było gorąco, że aż musiałem zdjąć wierzchnie ubranie.

— A to wicie — wtrącił jeden z przewodników — musicie tu psyjeać wiosnom. Tedy to haw ładna dolina; wicie, na łąkach to tako: po rowak jescy śnieg sie bieli, a na trawie wysej pełno fiotecków... takie ślicne co cud na świecie, jako kieluski naryktowane: jedne białe, drugie wicie niebieskie, to ik je tyle co gwiazd na niebie. To jedna pani z Warsiawy siedziała se u nas na zime i miała fiotecki w donickak, ba syćkie płone; a ze ja dopiro poseł do pola na fiotki i psyniosłek jej cuhę pełniutkom, a ona pedziała, że to som jakoweś krakusy.

— *Crokusy* — poprawił Henryk, czyli Szafrany.

— No, no, krokusy, to wicie jakie to je.

Wtem odwołał go doktór, wskazując nowe rośliny: Dzwonki, Jastruny, Wietrznice, Woskówkę.

Henryk, klęknąwszy na ziemi, wyjmował ostrożnie roślinki, aby korzeni nie uszkodzić; mały hrabia patrzył na to zajęcie z lekceważeniem. Jemu nie chciało się zadawać sobie tyle trudu: miał wprawdzie ozdobną puszkę do zbierania roślin, ale ta ciągle była pusta, jeżeli nie służyła za skrytkę do łakoci. Nie lubił on dużo chodzić: nudził więc ciągle Waltera narzekaniem na zmęczenie nóg, to na ból głowy, to na bicie serca, i wyrażaniem swych obaw o przypuszczalne skutki tej wycieczki, dla zdrowia. Wreszcie zarzekał się, że odtąd nigdy nie wyruszy w góry inaczej, jak konno.

Gdy się spuścili na halę, sir Edward posłał górala do szałasów z zapytaniem o profesora, ale go tam nie widziano. Malarz odezwał się, że należało się tego spodziewać, bo gdyby się tam znajdował, dojrzanoby go gołem okiem z Bystrej, zkąd halę widać jak na dłoni. Nie tracąc czasu, ruszono dalej ku lasowi Ornaku. Górale zaczęli hukać, nawołując, czy profesor się nie odezwie, ale echo tylko odpowiadało. Weszli w las hukając ciągle. Nagle rozstąpiły się drzewa i znaleźli się nad stawem, który powinien czarnym się nazywać, tak ciemnemi są jego wody, tak ponure otoczenie z wyniosłych, posępnych jodeł.

Pływało po nim kilka dzikich kaczek i te za zbliżeniem się turystów, wzleciały w powietrze. Malarz żałował, że nie miał z sobą strzelby: przydałoby się świeże pieczyste na kolacyę.

Zaczął się uważnie dokoła rozglądać, ale na razie nikogo nie dostrzegł; tylko nieco dalej między nadbrzeżnemi kamieniami zobaczył porzucony kapelusz, laskę i rysujący się na ziemi wydłużony cień człowieka. Człowiek ten pochylony, zdawał się upatrywać czegoś na brzegu stawu.

— A, do licha! — zawołał — gdzież się pan podziewasz! Myśleliśmy już, żeś zabłądził.

— Czy pan co zgubiłeś? — zapytał sir Edward.

Profesor zaklął.

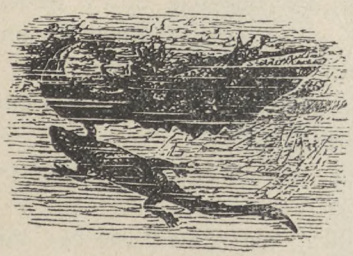

Traszka alpejska.
Triton alpestris.

— A niechże was, moi panowie! Spłoszyliście mi śliczną Traszkę alpejską, *Triton alpestris*. Patrzyłem na nią, jak wyszła z wody, a teraz schowała się gdzieś, między kamienie. Tak długo na nią czatowałem, i na nic cały trud...!

— Jakże ta dama wygląda, skoro pan nazywasz ją śliczną? — zapytał Witold.

— Niebieskawa, w ciemne punkciki, mój panie — odrzekł zadąsany — skóra chropowata.

— Bywają popielate i brunatne — wtrącił doktór.

— Ależ wyraźnie mówię, że ta była niebieskawa — upierał się profesor, mocno zirytowany. — Nazwałeś ją pan damą bardzo nietrafnie — dodał, zwracając się do malarza.—Gdybyś widział jak pływała w wodzie lekko i zwinnie, cofnąłbyś to wyrażenie. Żadna dama nie posiada tyle wdzięku!

Podniósł się niechętnie i zaczął szukać swoich okularów, które spadły mu, gdy siedział pochylony. Włosy miał w nieładzie, a krawat zwyczajem swoim na bok przekręcony.

— Oto są — rzekł sir Edward, podnosząc je. — Czemże tu żyje pańska traszka, kiedy staw wygląda jak martwy. Nie widzę nawet żadnych nadbrzeżnych owadów, a na kaczki, wątpię aby traszki polowały.

— Ma tu gąsienicę Komara, *Corethra pluviorum*, gąsienice Ważek, kilka gatunków Chrząszczów pływakowatych, a w razie koniecznej potrzeby, potrafi zjeść drugą traszkę.

— A, to oburzające! Czy są tu jakie Skorupiaki?

— Zauważyłem jeden gatunek, *Scapholeoris macronata*. Staw ten nie posiada warunków do rozwinięcia się bogatszego życia zwierzęcego, choć kaczki, będące wybornemi roznosicielkami zwierząt, obdarzają go niezawodnie co rok kilku nowemi gatunkami.

— Kaczki! — zdziwił się Henryk — a w jaki sposób, proszę pana?

— W sposób bardzo prosty: stworzonka te przyczepiają się do nóg pływającej kaczki, która rada nie rada, przenosi z sobą takiego pasażera do innego stawu.

— No proszę — rozśmiał się Walter — podczas gdy ludzie mozolą się nad sposobami żeglugi powietrznej, owady i ślimaki praktycznie rozwiązały kwestyę.

— To też znalazł się człowiek chcący je naśladować — powiedział Strand — niejaki Reisner. Napisał on dzieło dowodzące, że orły są przeznaczone do kierowania balonami, i przywiązawszy swój balon do skrzydeł orła, puścił się z nim pod obłoki; ale zaledwie żywy wrócił z tej podróży, w której przekonał się, że orzeł nie zniesie wędzidła ani pozwoli sobą kierować. Było to w pierwszej połowie XIX wieku.

— Czyż orzeł jest tak wielki, że może udźwignąć i człowieka i balon?—zapytał Henryk, zwracając się do Jakóba.

— Kluk pisze o nim, że jest wielkości „sążnistego człowieka“ — odrzekł zapytany.

— A ten którego widzieliśmy na Bystrej, nie zdawał się być tak dużym.

— Bo pływał zawysoko.

— Idźmy ztąd, panowie; — powiedział Witold — powietrze tu jest jakieś niezdrowe. Staw nie ma żadnego odpływu.

— Tak — odrzekł profesor — dno jego bezwątpienia pokrywa gruby pokład namułu, w którym gniją resztki roślin, przynoszonych przez wiatr z otaczającego lasu; ztąd pochodzi ciemna barwa tej wody. Jest ona nasycona gazami, wytwarzającemi się przy gniciu tych resztek, i dla tego to, mimo znacznych rozmiarów i zacisznego położenia, staw Smereczyński jest tak ubogim w zwierzęta.

— A jednak uchodzi on w tych górach za osobliwość, wraz ze stawkiem Toporowym, znajdującym się w okolicy Jaszczurówki — odezwał się doktór.

— A to pod jakim względem? — spytał Strand.

— Bo ma dno wapieniowe, gdy wszystkie jeziora tatrzańskie leżą na granitach, co im też daje kryształową przezroczystość.

Powojnica alpejska. *Atragene alpina.*

— Nie mam pretensyi do takiej uczoności, jak profesor — mówił baronet, gdy zawrócili w las — ale skoro staw ten nie ma przypływu, ani odpływu, zatem woda jego pochodzi tylko z topniejącego śniegu

i ścieków deszczowych, jak wnoszę z jego nieruchomości. Przypuszczam więc, że tu niema pańskiego Branchiopoda.

— Ach, naturalnie. Branchiopod może na znaczniejszych tylko żyć wysokościach. Co do stawu, zdaje się, że on leży na gruncie moreny byłego lodowca — odrzekł Strand.

I zabierał się do przedstawienia teoryi powstawania lodowców, ale doktór przeszkodził mu, wołając:

— Patrzcie panowie, co za prześliczny okaz Powojnicy alpejskiej, *Atragene alpina!* Rodzina Jaskrowatych.

Wszyscy skupili się koło niego, a on ukazał im zwieszoną na gałęziach roślinę o dużych czteropłatkowych koronach błękitnej barwy, pnącą się niby bluszcz na drzewa, bogatemi w liście i kwiat splotami.

— Prawda, że piękna — potwierdził sir Edward, zrywając kwiat— warto ją zabrać do zielnika.

— Po szarotce, jest to bezwarunkowo najpiękniejsza w dziedzinie lasów roślina — powiedział Jakób. — Spotkać ją można dość często w Tatrach i Pieninach.

— A propos szarotek, moi panowie, albo ich tu jest u was większa obfitość, niż w Alpach, albo też Towarzystwo Tatrzańskie rozmyślnie wyniszczać je pozwala. Nie można się prawie opędzić chłopcom sprzedającym spore ich wiązki, a kwiaty wyrywane są po barbarzyńsku, z korzeniami.

— Istotnie, dotąd dzieje się to bezkarnie. Wszystko co zrobiono, ogranicza się na zasianiu szarotek w niektórych miejscach, i wzbronieniu chodzenia tam turystom.

Davy, którego kapelusz tyrolski ozdobiony był kilkoma szarotkami, zapytał Waltera, czy z kosmatych płatków tego kwiatu, jakby z sukna białego wyciętych, nie próbowano wyrabiać materyału na ubranie. Baronet, posłyszawszy to pytanie, rad że chłopiec czemś się interesuje, odpowiedział:

— Nie słyszałem o próbach tego rodzaju, ale przypuszczam, że przy sporej dozie cierpliwości i zręczności, możnaby zrobić płaszcz damski, czy suknię przez spajanie pojedyńczych kwiatów. Sądzę nawet, że byłaby to suknia dość ciepła, a chociaż niezbyt trwała, trwalsza jednak od sukni ze skrzydeł owadzich, jaką widziałem w Indyach.

Wszyscy zwrócili oczy na mówiącego, nawet na twarzy profesora odmalowało się zaciekawienie.

— Widział to pan, naprawdę? — zapytał.

Baronet uśmiechnął się.

— Tak jest — powiedział — widziałem na własne oczy. Indye są jedynym na świecie krajem, gdzie wyrabiają taką tkaninę, ale tylko córkom książąt wolno jest nosić szaty z tego rzadkiego i kosztownego

materyału. Właściwie jest to ciężka, biała, srebrna lama, przetykana owemi skrzydłami, odpowiednio przyrządzonemi, aby mniej były kruche, i miały blask jeszcze większy. Ze skrzydeł mających jeden cal, do jednego i dwóch centymetrów długości, układane są liście i gałęzie kwiatów w przeróżne fantastyczne wzory, otoczone złotemi nitkami. Przy świetle, tkanina taka wywołuje wspaniałe efekta. Na suknię, którą widziałem, wyszło przeszło pięć tysięcy mieniących się różnemi barwami skrzydeł owadzich.

— Kobiety są istotami bez serca — wybuchnął gwałtownie profesor, nie mogąc dotąd strawić otrzymanego niegdyś odkosza. — Ile to ofiar niewinnych kosztuje corocznie nasycanie ich próżności! Śmieszna moda noszenia ptaków na kapeluszach, przejmuje zgrozą i woła o pomstę do nieba. Czy uwierzycie panowie, że w samej Japonii zamówiono sto tysięcy Kolibrów! Czy uwierzycie, że wspaniały Rajski ptak zamieszkujący Nową Gwineę, którego ogon i skrzydła zdobią prześliczne pióra, blizkim jest wytępienia! Niewinne stworzenia, napełniające miłym śpiewem lasy, giną milionami: próżność niewieścia zamienia je w głuche pustynie! Płytkie, bezmyślne istoty!

Malarz na te słowa uśmiechnął się, mówiąc:

— Największy nasz poeta wyraził się o nich równie niekorzystnie jak pan, bo kobietę nazwał: „puchem marnym i wietrzną istotą".

Słowa te trafiły bardzo do przekonania profesora.

— Wie pan co — rzekł z ożywieniem — miał wielką słuszność ten poeta, to jakiś geniusz' Jak się nazywał?

— Adam Mickiewicz.

— A co, odrazu zgadłem! Zasłużył na nieśmiertelność.

Gdy wyszli z lasu, spotkał ich prowadzony przez górala kucharz lady Chester, przysłany z zapytaniem, czy jego Miłość prędko pojedzie, bo robi się chłodno, a milady obawia się przeziębić.

Fałda, pionowo przecinająca czoło baroneta, pogłębiła się; oczy jego strzeliły stalowym błyskiem.

— Powiedz milady, że będę nocował w dolinie Kościeliskiej — powiedział tonem, który słuchającym wydał się twardym. — Jeżeli chce, może odjechać. Ty będziesz towarzyszył milady, a Jerry zostanie ze mną.

— Czy wasza Miłość chce zatrzymać przy sobie Dawida? — zapytał Walter.

— Dla czego nie? Młody chłopiec powinien przywykać do trudów, bo tylko tym sposobem hartuje się i wyrabia fizycznie.

Sługa skłonił się i odszedł. Davy nie wiedział, czy cieszyć się, czy smucić, a Witold i Jakób spoglądali po sobie zdziwieni postanowieniem Anglika, co tenże zauważywszy, powiedział:

— Chcę widzieć dolinę Kościeliską przy świetle księżyca i proszę was, panowie, żebyście mi dotrzymali towarzystwa.

Wezwani zgodzili się chętnie, a doktór napisał kartkę z zawiadomieniem do panny Katarzyny, dla oszczędzenia staruszce niepokoju o wnuka. Kartkę tę jeden z górali zaniósł do pierwszego schroniska, gdzie stały wozy i polecił woźnicy lady Chester, żeby zaraz po przybyciu do Zakopanego, doręczył ją podług adresu.

Henryk nie posiadał się z radości, że zostaje i gorąco dziękował doktorowi.

Spinka góralska.

VII.

SKARBY TATRZAŃSKIE.

„Nietylko mędrzec zaziera w głąb naszą,
Zajrzał i górnik o lampie znikomej.“
Deotyma. Góry.

Szałas.

Turyści znużeni długą drogą, usiedli—a sir Edward, interesujący się coraz więcej otaczającą go przyrodą, wydobył cygarnicę i poczęstowawszy towarzyszy, zadał doktorowi pytanie, czy Tatry bogate są w kruszce i minerały.

— Nie — odrzekł tenże po pewnym namyśle.— Górale mieli niegdyś bardzo przesadne wyobrażenie o bogactwach swych gór, ale były to fantastyczne rojenia na niczem nie oparte. W rzeczywistości zasoby te są bardzo skromne: jest żelazo, miedź, ale w ilościach nie opłacających kosztów wydobywania. Najobfitsze kopalnie rudy żelaznej były pod Kopą Magory, pod Tomanową polską i pod Świstową w dolinie Jaworowej. Obecnie wszystkie są zarzucone.

— Fantastyczne rojenia górali datują się od czasu, gdy tu była kopalnia złota — przerwał Witold.

— Co? złoto nawet jest — zapytał baronet ze zdziwieniem.

— Jest, ale także nie opłaci się go dobywać.

— I gdzież to?

— W kilku miejscach, a mianowicie tutaj, w dolinie Kościeliskiej.

— Czy być może? Nie domyślałem się nawet że jestem w złotodajnej krainie!

— Dobywano je na Ornaku i pod Bystrą jeszcze w XVI wieku, a także pod Łomnicą i Krywaniem. Kopalnie te nie opłacały się już wtedy, a tembardziej nie mogą opłacić się teraz, wobec nowo odkrytych złotodajnych krajów zamorskich. Jest tu i srebro, rzadsze jeszcze od złota. Za Władysława IV go dobywano je w Kościeliskach i w Starej Robocie, ot tam — dodał, wskazując ręką górę, której szczyt z poza turni dalszej wystawał. — Nazwa pokazuje, że i dawniej szukano tam cennego kruszcu.

— Marmurów nie macie?

— Są pokłady w pasmie Tatr Bielskich, w okolicy Kardolina. Z niego to została zrobiona tablica poświęcona pamięci Kraszewskiego.

— Widziałem ją: piękny, czerwony marmur. Cóż więcej?

— U stóp Kesmarskiego szczytu jest żyła lazurowa, *Lapis lazuli*.

— A, ten piękny minerał ciemno-niebieskiej barwy, którego ojczyzną Syberya i Chiny, tu się znajduje? Widywałem go w bezkształtnych bryłach i pięknie obrobiony.

— Ten człowiek był w Chinach — szepnął do siebie malarz — no, no! Ależ to jakiś „Żyd wieczny tułacz“... I za jaką też pokutuje winę?

— W okolicy Kesmarku także — mówił dalej doktór — w wiosce Zdżar znajdują się granitowe skały, z których wydobywają ziarna bismutowe wielkości migdałów. Mamy i dyamenty.

— Dyamenty! — zawołali ze zdumieniem wszyscy procz profesora, lekceważącego sobie skarby tego rodzaju, a baronet strzepując popiół z cygara, powiedział zwolna:

— O, to zaczyna być ciekawe!

— W okolicy Żdżaru, na roli, zjawiają się lśniące kryształy; gwałtowne deszcze znoszą je tam z gór i opłukują z gliniastego łupku jasno szarej barwy. Mineralogowie nazywają je kwarcem, czyli kryształem górnym, bo zupełnie podobne są do tak zwanych „dyamentów marmaroskich.“

— Gdzież jest owo Marmarosz? — zapytał baronet.

— Na węgierskiej stronie, tak samo jak Kesmark.

— Myślałem, że pan mówi o dyamentach prawdziwych — odezwał się Henryk z rozczarowaniem — a to tylko kryształy górne!

— Ale kryształy te, szlifowane, mogą zastąpić dyamenty prawdziwe, bo pięknie łamią światło.

— A prawdziwych drogich kamieni, czy niema w Tatrach? — pytał Henryk.

— Doktór Chałubiński znajdował kryształy i granaty na Gerlachu. W dolinie Wielickiej, czyli Felce, znajdują się też granaty w drobnych kryształkach, lecz mało przezroczyste i kruche, a tak są na wierzchu, że można je ciupagami ze skały wydobywać. Są także turmaliny występujące zawsze obok granatów.

— Turmaliny? co to jest takiego? Pierwszy raz słyszę o kamieniach takiej nazwy.

— Jest to kamień zielonej, modrej, albo ciemno-czerwonej barwy — odrzekł doktór. — Najcenniejszemi są odmiany przezroczyste, albo wpół przezroczyste, pięknie łamiące światło.

— Na tem już pewnie i koniec skarbów tatrzańskich — zrobił uwagę sir Edward.

— Jeszcze nie: są w okolicy Żelaznych Wrót białe i błękitne agaty średniej wielkości. Jednem słowem, są różne rzadsze i cenniejsze minerały, lecz cenniejszemi niż złoto i srebro, bo praktyczną korzyść mogącemi przynieść dla Podhala, są w ostatnich czasach odkryte w okolicy Czarnego Dunajca pokłady brunatnego węgla, oraz pokłady wybornego wapna w okolicach Żdżaru.

— Tatry nie zostały jeszcze zupełnie zbadane — odezwał się malarz — przyszłość jest przed niemi. Kto wie, czy to co dziś wydaje nam się marnem, nie jest wskazówką odkryć późniejszych! Najdawniejsze zapiski o tych górach, wymieniają „wszelkie kruszce i drogie kamienie“, jakoby tutaj napotykane. O nich też mówią stare rękopisy czarodziejskie, przechowywane przez górali i przekazywane dziedzictwem, z pokolenia w pokolenie, rękopisy z któremi szukają zaklętych skarbów. Jeżeli to ma być bajka, trzeba pamiętać o przysłowiu: „W każdej bajce jest pół prawdy.“

— Bądź co bądź, okolica to bardzo ciekawa pod względem mineralogicznym — zauważył baronet. — Ale co to jest? Widzę wracającego posłańca mej synowej... Czego chcesz? — zapytał, gdy sługa stanął przed nim.

— Milady prosi, aby Jego Miłość pozwolił wrócić hrabiemu Davy, bo ma katar i milady obawia się, aby się nie zaziębił.

Sir Edward Warburton przygryzł wargi.

— Niech wraca — rzekł, spojrzawszy niechętnie na chłopca — ale ty Walterze — dodał, zwracając się do guwernera — zostaniesz ze mną.

Davemu żal trochę było wyrzec się dalszej wycieczki, zaczynającej go interesować i zapowiadającej niejednę jeszcze przyjemność — ale z drugiej strony, wolał przepędzić noc na wygodnem łóżku, niż pod gołem niebem. Skłonił się więc w milczeniu i oddalił ze służącym. Popsuło to humor baronetowi. Siedział milczący, zadumany, wreszcie rzucił niedopalone cygaro i odezwał się:

— W górach szkockich krążą różne legendy, o ukrytych w pieczarach zaklętych skarbach, które znaleźć jest bardzo łatwo, ale do których nikt trafić nie może, bo zawsze przeszkadza mu jakaś siła nieczysta. Zapewne i Tatry mają takie podania?

Henryk spojrzał uważnie na cudzoziemca: podejrzenie, że róża bez kolców jest tylko pozorem do szukania czego innego, mianowicie skarbów, nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy.

— Legend nie brakuje — odrzekł doktór. — Jednę z nich opisuje rodak pański, Szkot, Robert Townson, który zwiedził Tatry w wieku XVIII. Był on jednym z pierwszych, co tu czynili spostrzeżenia barometryczne, i opisał Florę i faunę tatrzańską. Otóż gdy się wybrał ku Zielonemu stawowi w blizkości Wrót skalnych, opowiadali mu tam przewodnicy, że na szczycie turni Jastrzębiej czyli Karbunkułowej, był drogi kamień niezmiernej wielkości, „karbunkułem“ zwany, podobny do gwiazdy z nieba. Wielu usiłowało dostać się na szczyt tej turni, ale usiłowania te długo były daremne z powodu jej niedostępności. Wreszcie strącono go ztamtąd, ale co dalej się z nim stało, niewiadomo. W innem zaś miejscu leży skarb, lecz do tego stopnia zaczarowany, że nikt nie może do niego przystąpić; a jeszcze gdzieindziej jest roślina, zamieniająca miedź w złoto, ale nikt nie wie gdzie!

— Szkoda — rzekł śmiejąc się baronet — mogłaby bowiem zastąpić ów kamień filozoficzny, nad którego wynalezieniem mozolili się napróżno średniowieczni alchemicy. Możebyśmy wybrali się, panowie, na poszukiwanie jej? Ale doktór nie powiedział nam, w jakiej mniej więcej stronie Tatr szukać jej trzeba.

— Wszystkie te cuda znajdują się w turniach naokoło Zielonego stawu, na węgierskiej stronie — powiedział Jakób. — Sir Warburton wolałby może znaleźć tę cudowną roślinę, której podobnej niema na całym świecie, niż różę bez kolców?

Warburton uśmiechnął się.

— Nie opłaci się, sir Edwardzie, upędzać za rośliną wytwarzającą złoto — odezwał się Strand. — Przy dzisiejszych postępach chemii, gdy Moissan wynalazł sposób otrzymywania sztucznych dyamentów, niczem nie różniących się od prawdziwych; gdy produkuje granaty, szafiry i inne drogie kamienie, jest nadzieja, że lada dzień odkryje także tajemnicę tworzenia złota. Doczekamy się jeszcze, że stanie się ono materyałem codziennego użytku, jak stal lub inne metale; a wtedy kobiety, ubiegające się za kosztownościami, będą w kłopocie w co oprawiać swoje klejnoty, z jakiego metalu nosić ozdoby.

— Ten wiecznie przypina łatki kobietom—szepnął doktór do malarza.

— Dyament był dotąd królem drogich kamieni i celem pożądań— mówił Strand dalej. — Niejeden dla zdobycia go nie cofnął się nawet przed zbrodnią; a ile trudu, ile pracy kosztuje wydobycie go z kopalni! Moissan obywa się bez tego zachodu: bierze czysty węgiel, wykrystalizowywa go w roztopionem żelazie lub srebrze, oziębia następnie tę mięszaninę i oto jest dyament równie prawdziwy i równie szlachetny, jak ten co się urodził w kopalni!

— Ależ to są dopiero drobniutkie kryształki, będące zaledwie śladami dyamentów — zrobił uwagę Warburton.

— Wielkość ich jest tylko kwestyą czasu — odrzekł profesor.

— Prócz Moissana — rzekł Jakób, — Amerykanin, Emmens, usiłuje wyrabiać złoto ze srebra i podobno mu się nieźle udaje.

— Zdaje się jednak, że sposób owego Emmensa jest zakosztowny — wtrącił Walter, — i że taniej byłoby dobywać złoto z wody morskiej.

— Z wody morskiej?—zapytał Witold ze zdziwieniem — gdzie to analiza chemiczna nie dotrze!

— Ach, o tem wiedziano już oddawna. Słyszałem że utworzyła się nawet kompania, wydobywająca złoto z morskiej wody, zapomocą prądu elektrycznego, i że użyte są do tego dynamo-maszyny. Pomyślcie tylko: gdy eksploatacya oceanów na dobre się rozpocznie, ile miliardów dobywać się będzie corocznie z tych kopalni bezdennych, nigdy niewyczerpanych, nie mówiąc już o ujściach, gdzie rzeki zlewają do mórz piaski złotonośne, grzebiąc je w toni. Będziemy zasypani złotem!

— Bywały już takie czasy, że w niektórych miejscach było ono tańszem od żelaza — wtrącił Strand — choć czasy to bardzo dawne! Herodot pisze, że pewien król Etyopii zakuwał niewolników swoich w złote kajdany, żelazo bowiem rzadszym było wtedy kruszcem od złota i droższym.

— Powiedziałeś pan, że dla zdobycia złota, niejeden nie cofnął się nawet przed zbrodnią — odezwał się Witold — i masz słuszność. Tępiono nawet z tego powodu całe narody, jak mamy w dziejach okropny przykład na pierwotnych mieszkańcach Meksyku, wytępionych przez chciwych ich złota Hiszpanów! W Tatrach też złoto bywało przyczyną rozlewu krwi. Piotr Wydżga, starosta czorsztyński, dobywał je w górach Sądeckich, w Roztoce, w Słotninie pod Krościenkiem, i między Jaworkami a Szczawnicą. Chciwy i zazdrosny, zmuszał ludzi do ciężkiej pracy górniczej, a potem zabijał, aby nie wydali tajemnicy.

— A, co! Gdy przyjdzie czas, że złoto stanieje, nic podobnego miejsca mieć nie będzie. Przestaną mu się ludzie kłaniać, jak bożyszczu.

— Wynajdą sobie co innego!

Dr A. KRZANOWSKI

— Piękny to istotnie metal i szlachetny—powiedział Warburton— więc ubiegają się za nim wszyscy, zarówno ludy pierwotne, jak i cywilizowane. Jeden ze znanych mi przyrodników, Józef Sioma, w taki sposób tłomaczy kult złota u dzikich: Zauważyli oni, że wszystko co ich otacza, ulega zmianom: wiekowe drzewa próchnieją i walą się; głazy się kruszą; rzeki zmieniają bieg lub wysychają; ludzie i zwierzęta z wiekiem niedołężnieją i umierają... tylko kula słoneczna na sklepieniu niebios i złoty, pięknie błyszczący kruszec na ziemi, nie podlegają zmianie. Te dwie rzeczy jedynie posiadają wszystkie cechy wieczności... Dlatego u wszystkich ludów dzikich spotykamy kult słońca i złote ozdoby.

Witold trącił Jakóba i szepnął:

— Oto człowiek, który ukochał złoto po nad wszystko!

— A potem niem pogardził — rzekł równie cicho doktór i zamyślił się.

— Kto wie, czy nie wzgardzi z czasem i różami, wśród których płynęło mu dotąd życie. Zbyt wielka ilość kwiatów, zatruwa organizm, a on czyni na mnie wrażenie człowieka, któremu chwilami tchu brakuje.

Jakób nic nie odpowiedział — a widząc na siebie zwrócone oczy Warburtona, rzekł:

— Nie skończyłem jeszcze wyliczać wszystkich osobliwości tych gór. Jest podobno w okolicy Zielonego stawu podziwienia godna jama: górale utrzymują, że po wrzuceniu do niej kamienia, wydobywają się ztamtąd dymy i mgły, a potem następuje burza tak straszna, że od niej drżą wszystkie turnie.

— Ze słów pańskich wygląda to na jakiś przybytek czarów, ale naturalnie nikt nigdy owych dymów nie widział?

— Ja widziałem, sir—odezwał się malarz, słuchający dotąd w milczeniu.

— Pan! — zawołali wszyscy jednogłośnie, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

— Tak, tylko zachodzi różnica co do miejscowości. Ja widziałem ów dziw przyrody w zachodnio-południowej stronie Kesmarku, przy wiosce Żdżar.

— Ten Żdżar, to istotnie jakaś zaczarowana miejscowość — powiedział Warburton — skoro dokoła niej znajdują się skarby i dzieją się rzeczy nadzwyczajne.

— Żdżar po węgiersku znaczy jutrzenka — objaśnił Witold. — Jest tam góra zwana Magorą; w Tatrach nazwa ta często się powtarza: otóż u stóp tej góry znajduje się w skale wielka i głęboka jama, z której wnętrza wybucha czasem słup gazów, do mgły podobnych. Wiedzie do niej głęboki loch. Jest to prostopadła komnata, piętnaście sążni wysoka, zawsze prawie mglistą parą napełniona, w której o kil-

kanaście kroków od wstępu, znajdują się niezgłębione przepaście. Nikt jeszcze nie odważył się przeniknąć w owe tajemnic pełne podziemia: grunt gliniasty, wilgotny, śliski, wstrzymuje kroki. Ołowianki zapuścić nie można z powodu wystających odłamów. Gdym wystrzelił z rewolweru, echo przez kilka minut z głuchym rozlegało się hukiem; dowód to, że jaskinia ciągnie się w głąb góry i że przejścia w różnych kierunkach się rozchodzą. Przy blasku pochodni rozpoznać można wiszące u sklepienia, długie, poczerniałe, ciemne sople, najdziwaczniejszych kształtów; niekiedy daje się czuć ciąg powietrza. Wydobywające się z tej jaskini mgły, są dla okolicznych mieszkańców najpewniejszą zapowiedzią zbliżającej się burzy, która prawie zawsze tego samego jeszcze dnia, po kilku godzinach następuje, jak to sam naocznie się przekonałem. Jest to dla tamtejszych mieszkańców barometr równie nieomylny, jak dla Podhala czepiec Babiej góry.

— Dziwne zjawisko — przerwał baronet.

— Zjawisko takie samo daje się widzieć na górze Jos, o pięćset kroków oddalonej od małej Łomnicy. Góra ta składa się z mniejszych i większych pieczar, podobnie jak Magora. Czasami w najgorętszy dzień w lecie, przy najczystszem powietrzu, powstają z jej łona kolumny mgły piętrzące się, jak dymy wielkiego pożaru. Zapowiadają one zwykle burzę z gradem i piorunami.

— Jakaż przyczyna tego zjawiska?

— Przyczyna jest bardzo prosta — odezwał się Strand. — Zmniejszenie ciśnienia powietrza przed burzą, sprowadza silniejsze wydobywanie się z jaskiń prądów nasyconego wilgocią powietrza. Wilgoć ta skrapla się przy zetknięciu z powietrzem chłodnem, tworząc słupy mgły i chmurki pod nad otworami pieczar.

— Powiadasz więc, doktorze, że rodak mój, Townson, pierwszy zwiedził Tatry — odezwał się baronet.

— Nie mówiłem, że pierwszy je zwiedził, ale że jeden z pierwszych czynił tu spostrzeżenia barometryczne. Pierwszy je zwiedził Fröhlich, Niemiec ze Spiża i opisał swoją wycieczkę na któryś szczyt tatrzański. Było to w wieku XVII.

— To późno!

— W tym samym wieku Bucholz z Kesmarku a w wieku następnym dwaj jego synowie, wreszcie Bel, Madziar, także zwiedzali i opisywali Tatry. Na początku bieżącego wieku Wahlenberg, słynny botanik szwedzki, przybył tutaj i owoce swej podróży zamknął w znakomitem dziele o florze karpackiej. Z Polaków, nie będę wymieniał tych co pobieżnie o Tatrach pisali: badań poważnych dokonał pierwszy Staszyc w r. 1804. Wdzierał się on na najwyższe szczyty i czynił pomiary naukowe, czego owocem było piękne dzieło „O ziemiorodztwie Karpat.“ Później Zeiszner

studya swe geologiczne nad temi górami ogłaszał, a Janota i Nowicki wielkie w poznaniu Tatr położyli zasługi: pierwszy mierzył wzniesienia, drugi badał faunę tatrzańską i zwrócił uwagę na język Podhalan. Opisywali Tatry cudzoziemcy i Polacy, ale szerszy ogół długo nic o nich nie wiedział. Naprawdę odkrył je dopiero doktór Chałubiński, człowiek wielkiej nauki, który tak się w tych górach rozkochał, że niema prawie szczytu, któregoby stopą swą ją nie dotknął. On urządzał ciekawe po górach wyprawy, zachęcał młodych przyrodników do ich badania, on zebrał i opisał mchy tatrzańskie; on nietylko sam przyjeżdżał tu corocznie, ale przysyłał swoich pacyentów i podniósł Zakopane do znaczenia stacyi klimatycznej. Wyprawy Chałubińskiego powtarzały się przez lata całe i stały się czemś niemal legendowem. Z gromadą górali, z zaproszonymi gośćmi, z namiotami i muzyką, szedł niby wódz na zdobycie nowych, nieznanych krajów i brał po kolei szturmem wszystkie niedostępne szczyty. Niema jednego wirchu, z któregoby nie brzmiały na jego rozkaz pieśni, drobne i rozwodne [1]); niema takiej turni, gdzieby nie tańczono zapamiętale „zbójeckiego“ dokoła ogniska.

— Zdaje mi się, że słyszę niezwykłą i bardzo zajmującą balladę — powiedział z uśmiechem Warburton. — Pięknie i romantycznie wygląda ten orszak błędnych rycerzy, szukających przygód i podbijających niedostępne krainy!

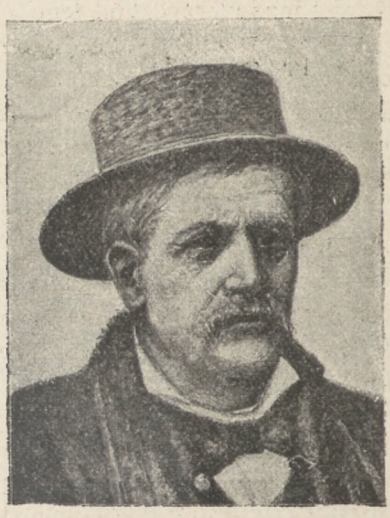

Tytus Chałubiński.

— Nie samych on przygód szukał, ale piękna, którego nie znajdował na równinach tyle, ile pragnęła jego dusza poetyczna, a gorąca. Ukochał przyrodę tatrzańską i lud góralski, troszczył się o jego byt; leczył nietylko ciało, ale i duszę, jak jego przyjaciel, ksiądz Stolarczyk, i zbierał nietylko mchy, ale i melodye wraz z Kleczyńskim, Paderewskim i Janothówną. On rozumiał najlepiej pieśni „drobne i rozwodne“, jak najlepiej odczuwał ducha górskiej przyrody i duszę ludu. Był też prawdziwym królem Tatr, i jak króla witala go coroku konna banderya górali, gdy przyjeżdżał do swego państwa. Tutaj umarł i na tutejszym cmentarzu spoczął przy kościele.

[1]) Wesołe i tęskne.

— Znalazł się nawet głos jeden w dziennikarstwie, proponujący grób dla tego niezwyklego człowieka na Gewoncie: ale sądzę, że lepiej mu tam gdzie jest, bliżej tych których ukochał.

— Pomysł był dziwaczny — odrzekł Warburton — bo choć postać króla Tatr, nakreślona przez was, wystrzela po nad tłum wysoko, zmalałaby jednak przy widmie śpiącego rycerza, panującem nad całym amfiteatrem gór. Widziałem to widmo przy księżycu i zrobiło na mnie potężne wrażenie! Wygląda jak skamieniały fragment pieśni... Któż więcej jeszcze badał te piękne góry?

Jakób zamyślił się, jakby szukając w pamięci.

— Zapominasz pan o Walerym Eliaszu, autorze „Przewodnika“, pracującym już lat czterdzieści na niwie tatrzańskiej — ujął się malarz za bratem w sztuce.

— Nie zapomniałem: w książce Eliasza można znaleźć streszczenie wszystkich wiadomości o Tatrach. On uczy podróżnika, jak się ma na wycieczce zachować, co oglądać i jak patrzeć.

— W ostatnich latach badanie tych gór bardzo postąpiło — rzekł Witold. — Zmierzono głębokość i powierzchnie jezior, zbadano skały, poczyniono spostrzeżenia klimatyczne, opisano zwierzęta i rośliny.

Warburton spojrzał na wierzchołki turni, po za któremi słońce oddawna się już skrylo i rzekł:

— Dobrze nam tu jest, ale wracajmy, bo zaczynam uczuwać głód.

— I ja także — powiedział Strand.

W kwadrans potem doszli do schroniska, gdzie stół już zastano nakryty, a na nim pasztet na zimno, chleb, bryndzę, ser owczy, koniak i wino. Kucharz był przy ognisku, bo nie odjechał z lady Chester, jak rozporządził baronet dla wygody synowej, ale pilnował przygotowanego obiadu i podał na stół półmisek z gorącym roast-beefem, nad którym długo biadał dostojny kucharz, że mięso chude i twarde. Marudząc przecież, tak umiał go przyprawić, że wszystkim wydał się kruchy i wyborny. Może część zasługi przypadła tatrzańskiemu powietrzu i trudom wycieczki raczej, niż sekretom mistrza gastronomii.

Zapach ten miłym był dla zgłodniałych turystów: zabrali się energicznie do jedzenia, i przez czas jakiś słychać było tylko brzęk noży i widelcy. Gdy pierwszy głód zaspokojono, sir Edward odezwał się:

— Mam tu wino kupione na Węgrzech, a pochodzące z winnic rosnących na południowych stokach Tatr: Jerry, nalewaj!

Był to przedni stary tokaj, od którego krew szybciej krążyć zaczęła w żyłach ucztujących. Łagodny a zdradliwy, barwę miał starego złota i przepyszny aromat. Butelka była zapleśniała. Malarz przyglądał mu się pod światło okiem znawcy, przybliżał i oddalał, badał ów aromat subtelny, wreszcie odezwał się:

— To wino przypomina mi coś, co słyszałem od pewnego Niemca, mającego własne na Węgrzech winnice. Znał on doktora Chałubińskiego i podziwiał jego umysł wszechstronny, a więcej jeszcze zaostrzony do najwyższego stopnia zmysł powonienia i wyborną pamięć. Częstował on go winem własnego wyrobu i zapytał jak mu smakuje: — Dobre jest — była odpowiedź — ale w aromacie jego odróżniam zapach pewnej *Gentiany*, która rośnie tam a tam. Niemiec zdumiony przyznał, że winnice jego istotnie znajdują się w miejscowości, gdzie te Gentiany rosną obficie.

— To mi wygląda nieprawdopodobnie — rzekł baronet; — winne jagody mogły się przejąć do pewnego stopnia zapachem owej Gentiany, jednakże w tak słabym stosunku, iż zdaje się niemal niepodobieństwem, aby węch człowieka mógł go odróżnić.

— A to dla czego? — zapytał Strand. — Jeżeli chemik metodą rozbioru widmowego potrafi odkryć w płomieniu jedną milion czterechsettysięczną część miligrama metalu *Sodium*[1]), to dobry nos jest kilkaset razy czulszy od najczulszego spektroskopu, i jest w stanie wykryć w powietrzu ilość 250 razy mniejszą, jeżeli naprzykład ma do czynienia z piżmem sztucznem. Bóg żywe organizmy obdarzył tak delikatnemi narządami, jakich człowiek najuczeńszy nigdy zbudować nie zdoła. Ten delikatny narząd widocznie posiadał doktór Chałubiński, skoro w winie potrafił odróżnić zapach Gentiany.

— Miał on i słuch niezwyczajny — dodał Witold: — Jak Indyanin wychowany w preryach słyszy co się dzieje w dalekiej odległości, tak on chwytał uchem wszystkie najdelikatniejsze szmery i szelesty, i wsłuchiwał się z rozkoszą w wielki hymn natury. Grały mu turnie, trącane wiatrem i szumiące smereki, grały potężne siklawy, spadające z wysokości olbrzymich, inaczej niż nam wszystkim grają! Znał nietylko kierunek i siłę wód tatrzańskich, ale wiedział który strumień jaki ton bierze w wielkiej orkiestrze. Chodząc, nasłuchiwał i probował głosem wziąć ten sam ton — a znał wszystkie tak, że zdaje się, zamknąwszy oczy, poznałby każdy po dźwięku.

Aż raz doczekał się oryginalnego koncertu, jakiego chyba nikt z nas nie słyszał i pewnie nie posłyszy — odezwał się doktór. — W drodze na Zawrat, po nad Czarnym Stawem Gąsienicowym, znajduje się mały stawek, zwany Zmarzłym. Otóż zbliżając się doń, usłyszał z podziwieniem Chałubiński donośne, bardzo dziwne dźwięki, jakby olbrzymiej szklanej harmonijki. Tony były wysokie i nizkie, nie wiążące się

[1]) *Sodium*, po polsku sod, jest to metal należący do grupy Alkali, bardzo pospolity, lecz tylko w związkach z których najbardziej znane są: sól kuchenna t. j. chlorek sodu i soda zwykła, jako węglan lub dwuwęglan.

w harmonię, ale rażące dzikim rozstrojem. Po zbadaniu przyczyny okazało się, że lód, który tu przez lata całe utrzymuje się mniejszemi i większemi wysepkami, stanowił jądro, a około tego jądra na znacznej przestrzeni potworzyły się nowe, duże, mniej więcej równoległe kryształy i sople. Silny wiatr wstrząsający powierzchnią wody sprawił, że te improwizowane klawisze uderzały o siebie. Jeszcze na kilkaset stóp wyżej, dochodziła Chałubińskiego ta jaskrawa, dzika, pełna rozdźwięków i chaosu muzyka.

— Gdy król Tatr spędzał tu ostatnią zimę, po której już miał do snu wiecznego się położyć, grały mu salwy marznącego śniegu i huki łamiących się turni, bo jak wiadomo, woda marznąca w szczelinach, rozsadza skały.

Wieczór powoli zapadał i mroki zapanowały w dolinie. Z załomów skał występowały liczne cienie i zaludniały ową świątynię, do której przyrównano ten uroczy zakątek. Z nad potoku unosiły się mgły i szły w górę niby dymy ofiarnych kadzideł, a księżyc płonął łagodnem, czystem światłem. Chłód lekki czuć się już dawał: baronet kazał powtórnie napełnić kieliszki i odezwał się:

— Słyszałem że jest tu jakiś wąwóz, w którym kształty skał naśladują w zmniejszeniu kształty murów starożytnego miasta. Prawdaż to?

— Prawda, sir. Wąwóz ten nazywa się Krakowem: przy odrobinie dobrej woli i fantazyi, znaleźć tu można kościół Maryacki, Rynek, Sukiennice, Zamek królewski, nawet Smoczą jamę. Jutro pokażemy panu ten wąwóz.

— Smocza jama! — powtórzył. — Czyżby apokaliptyczne smoki żyły w waszych Tatrach? W takim razie nie chcę czekać jutra. Weźmy pochodnie i idźmy na spotkanie smoka!

— Nie — odrzekł, śmiejąc się malarz — badacze fauny tatrzańskiej nie wpadli nigdzie na ślad smoka; ale jest grota długa na sto kilkadziesiąt metrów, którą można przejść na wskroś górę.

— A to ciekawe! Dla czego jednakże nazywają ją Smoczą?

— Bo jest podobna do innej, znajdującej się pod górą Wawel w Krakowie, gdzie żył prawdziwy smok mający siedm głów.

Tu opowiedział znaną legendę o Krakusie, która bardzo się podobała cudzoziemcom. Doktór wspomniał, że istnieje też legenda o wojsku śpiącem pod Tisaną i sir Edward zapragnął ją usłyszeć — ale żaden z panów nie znał jej dobrze, a górale mówić nie chcieli, wymawiając się, że to potrafi najlepiej Sabała. A że baronet okazywał wielkie zainteresowanie, więc postanowiono przy pierwszej sposobności sprowadzić mu Sabałę.

— Któż to jest ów Sabała? — zapytał Warburton, któremu wszystko co się mówiło po polsku, tłomaczono na język angielski.

— Jest to stary góral, mający już około ośmdziesięciu lat, a chodzący po szczytach jakby miał dopiero dwadzieścia; poeta i zarazem filozof, postać bardzo oryginalna. Całym jego majątkiem są gęśliki, czyli skrzypki, które nosi zaszyte w rękawie swej cuchy.

— Zaciekawiacie mnie. Radbym poznać tego Sabałę!

— Osobistość to z dawnych pozostała czasów, gdy całą dolinę Zakopanego pokrywał jeden las, gdy nie było kościoła ani dróg jezdnych, a w chatach zrzadka gdzie niegdzie rozsypanych, żelazne kraty w oknach zabezpieczały od napadu zbójników, których sława rozbrzmiewała po górach, siejąc postrach.

Doktór zamilkł, a sir Edward zapytał:

— Jest to zatem artysta muzyk, czy improwizator?

— Jest to wyborny opowiadacz przedewszystkiem — wtrącił malarz. — Pasterstwo, myślistwo, zbójnictwo, są głównym przedmiotem jego opowiadań, jak były głównemi przejawami życia górali. Żyjący tu lud pasterski toczyć musiał walkę z wilkiem, orłem, niedźwiedziem i potężnemi siłami przyrody, a także z sąsiadami po drugiej stronie gór żyjącymi.

— Z Węgrami zatem — wtrącił baronet.

— Nie, z Liptakami, należącymi do szczepu słowackiego. Zmuszała ich do tego często konieczność. Ziemie górskie są bardzo ubogie; pod cienką warstwą wierzchnią jest lita skała. Ze zbóż rodzi się tylko owies; z jarzyn kartofle i kapustą, która jednak w głowy zwijać się tutaj nie chce. Ztąd nawet urodziła się piosenka:

Oj biedna biedna ta nasza kraina,
Gdzie chleb się kończy, a skała zaczyna.

Doktór Chałubiński dopiero nauczył górali siać koniczynę, co wielkiem jest dla nich dobrodziejstwem.

Góral mówi o sobie, że „żyje powietrzem, wodą i głodem“. Gdy brakowało owsianego chleba po tej, czy tamtej stronie gór, to jedna strona zdobywała sobie, czego jej było trzeba, przemocą na drugiej, i ztąd urosła istniejąca do dziś jeszcze nienawiść plemienna. Sabała pamięta te czasy. Otóż z obrazów walk z ludźmi, zwierzętami i naturą, ze starych legend i bajek, składają się jego opowiadania.

— To musi być ciekawe!

— Mój kolega w sztuce, Stanisław Witkiewicz, mieszkający od lat kilku w Zakopanem, w książce swej: „Na przełęczy“, odmalował po mistrzowsku fizyczny i duchowy portret Sabały. Żałuję, że panowie nie znacie języka polskiego i nie możecie czytać tego dzieła, tchnącego go-

rącą miłością Tatr! Witkiewicz przyrównywa jego opowiadania do pieśni Homera — bo odrzuciwszy tylko formę wiersza, której Sabała nie używa, życie ludzkie, życie pasterzy, u jednego i drugiego tak są podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów „Iliady“ lub „Odysei“, postawimy naszych Walczaków lub Gąsieniców, niewiele więcej dodać będziemy musieli. Materyały, z których zbudowane są obrazy, tu i tam są te same, a natura górska do tych samych prowadzi porównań. Witkiewicz czytał „Odyseę“ góralom, siedząc z niemi u ogniska w Roztoce, gospodzie na drodze do Morskiego Oka, i słuchali jej z takiem zajęciem, jak słuchają opowiadań Sabały; a sam Sabała cieszył się niewymownie z pomysłów Odyseusza.

— Hm — rzekł Warburton zamyślony — Tatry wasze, moi panowie, niepodobne są do żadnych gór, jakie widziałem, a zwiedziłem szeroki kawał świata... i ludzie tutaj inni są niż gdzieindziej, choć pozornie zdają się być tacy sami. Muszę koniecznie poznać tego tatrzańskiego Homera. Ale jeden z panów nazwał go filozofem: na czemże, proszę was, polega jego filozofia?

— Mówi, że nigdy smutnym nie był, że smutkiem żyć się nie opłaci; że Pan Bóg nawet, gdy widzi człowieka smutnym, „banuje“ [1]), że takiego stworzył. Ostatniej swej krowie, gdy mu ją zabierano za podatki, grał orawskiego marsza!... Spotkałem go raz na pogrzebie wspólnego naszego przyjaciela, którego strata bezwątpienia nie była mu obojętną. Szedł za trumną z troską na twarzy, ale gdy ja wyraziłem mu swój żal, rzekł: „Fała Bogu, fała Bogu, pikne som casy.“ Śmierć uważał on za fakt dokonany, którego próżny żal nie odwróci, wynalazł więc dobrą stronę tego faktu i cieszył się, że pogrzeb wypadł w pogodę. Umieć znaleźć w każdej rzeczy stronę dobrą, nie jest-że to filozofia?

— Nawet więcej niż filozofia, to jest mądrość; rzadko kto do tego dojść potrafi.

— Górale wielką wagę przywiązują do tego, żeby leżeć w poświęconej ziemi na cmentarzu — mówił dalej Witold — a Sabała mówi: „Wszystko jedno, czy pod Krzywaniem czy w Zakopanem, na cmentarzu leżeć, jedna rzec. Niechaj ciało leży, jako kce. Pan Bóg ta ma ocy, to mie pod Krzywaniem najdzie, kie mu bedem potrzebny“.

— To także filozofja — rzekł Warburton. — Słyszałem, że Sabała nosi skrzypki przy sobie: jest-że więc grajkiem?

— Wygrywa starodawne melodye góralskie i improwizuje, a muzyka jego jest pełna charakteru: są w niej silne, oryginalne motywa, za-

---

[1]) Żałuje.

gadkowe tęskne tony, które mało kto rozumie i o których on sam zdaje się nie wiedzieć, choć odtwarzają stan jego duszy. Był on nieodstępnym towarzyszem wypraw Chałubińskiego, który lubił jego filozofię i przepadał za jego muzyką.

Anglik patrzył w ogień tak zadumany, jakby nie słyszał tych wyrazów. Myślał on w tej chwili, że i w jego duszy odzywają się coraz silniej motywa, o których sam nie wiedział, lub mniemał, że wymarły— oraz że najtrudniej jest znać samego siebie.

Chłód go widocznie owiał, bo zażądał jeszcze wina i wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, duszkiem wychylił. Cienie padające od skał i świerków, przybierały fantastyczne kształty, do ludzkich podobne postaci. Rozmowa prowadzona półgłosem przez towarzyszy baroneta, przycichła. Słychać było tylko granie potoku i jakieś tajemnicze szmery, zmieniające się chwilami w długie, przeciągłe westchnienia. Słuch siedzących przy ogniu pochwycił w tych szmerach dalekie jakieś tony, posępne, żałosne, podobne do jęku chodzącego po szczytach wichru, lub do płaczu dziecka.

Wszyscy wytężyli uwagę, a najodważniejszych mimowolny przebiegł dreszcz... Henryk czuł jak mu włosy jeżyły się na głowie: patrzył na cienie padające od skał i zdawało mu się, że się one poruszają. Dźwięki przybliżały się i stawały coraz wyraźniejsze: można było nawet odróżnić skrzypki, których głos zdradzał konstrukcyę bardzo pierwotną. Tony szły od wirchu, a towarzyszył im śpiew.

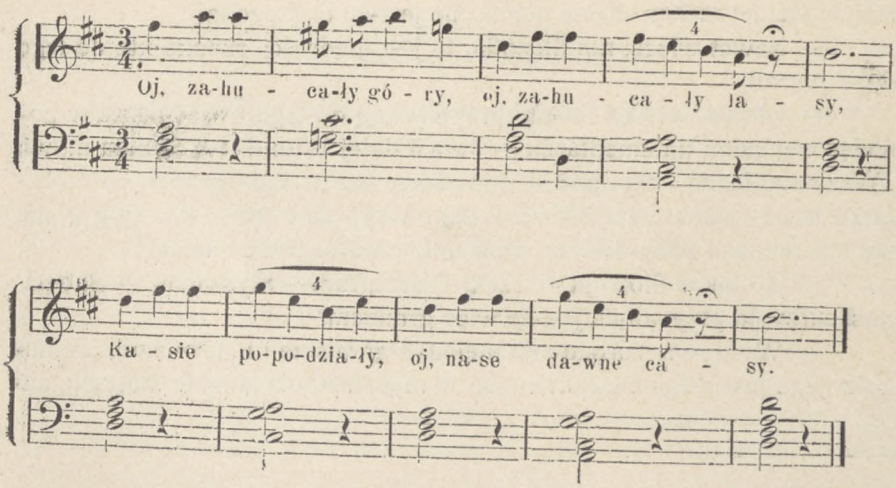

Wszyscy wytężyli wzrok w stronę, zkąd śpiew pochodził. Z góry, skalistą granią zstępowała jakaś postać, a cień jej, rysujący się na skale, nadawał jej kształty olbrzymie. Był wielki niemal jak wieża i opuszczał się powoli coraz niżej. Można było rozróżnić góralski kapelusz wielkoluda, z piórem, cuchę, siekierkę i jakiś przedmiot, z którego dobywały się tony. Górale patrzący z pootwieranemi szeroko oczyma, zawołali jednogłośnie:

— Sabała!

VIII.

BAŚŃ SABAŁY.

„Szumi kobza — szumią drzewa.
Grajek słucha pieśni gór,
Każda góra swoją śpiewa,
Tysiąc szczytów, jeden chór.“
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

On to był rzeczywiście: zbliżał się powoli ku ognisku, nie przestając grać i śpiewając głosem starganym:

„Oj na Orawskim zamku,
Oj świecom siubienicki,
W to za bedzie wisiał?
Jaśko z Brzezawicki?“

— Pieśń zbójecka — szepnął doktór.

„Oj kieby ja se wiedzioł,
Oj kany bedem wisiał;
Od wierchu do dołu,
Piekniebym wybić dał.

Oj z wirchu dukatami,
Oj z dołu talarkami,
Na pośrodku srebłem,
Pok se chłopcem dobrym.“

W czerwonem świetle ogniska ujrzano przygarbionego starca, zdającego się sto lat dźwigać na sobie. Długie siwe włosy, wydobywające się z pod kapelusza, ostre rysy, rysy „orła z sennemi oczyma“, jak o nim mówi Witkiewicz, były tak wyraziste, że wrażały się na zawsze w pamięć; zapadłe policzki, wązka linia ust, na których spoczywał w tej chwili wyraz niewysłowionego smutku, będący w sprzeczności z tem, co mówiono o jego filozofii — wszystko to razem składało się na całość typową, niezwykłą, rzecby można, legendową. Gdy zdjął kapelusz, mówiąc: „Pokwalony“ [1])—odsłonił czoło wysokie, zadumane, poorane szerokiemi bruzdami Cała ta postać, którą Sienkiewicz porównał do postaci starego sępa, wyglądała jak zabytek dawno minionych czasów.

Anglicy przypatrywali się przybyłemu z angielską flegmą; górale obstąpili go, zarzucając pytaniami, a doktór i malarz, powitawszy uściskiem dłoni, przywiedli przed baroneta. Powiedziano starcowi, co to za gość i z jak daleka przybywa, dodając, że słyszał o Sabale, że chce go poznać i usłyszeć bajkę o „Śpiących rycerzach“ Sabała uśmiechnął się łagodnie i pozwalał z sobą robić co chciano, ale od opowiadania bardzo się wypraszał. Malarz więc szepnął mu, że gość zamorski ma smutek na duszy, który nosi z sobą po świecie i którego pozbyć się chce a nie może; że przyjechał z nim w Tatry, w nadziei że go tu może zatraci. Skoro pragnie tej bajki, Sabała zrobi dobry uczynek, gdy mu ją opowie, bo to gościa rozerwie.

Sabała.

Stary pokiwał głową i popatrzył na cudzoziemca, mówiąc:

— Hm, hm, wyjechali do świata, coby telo kielo smutek potracić. Zgryzota i smutek, to zła chorość: pilno człeka złupi. Człekowi ze smutke wnuku [2]) to tak żyć, jak niedźwiedziowi z kulkom w brzuku. Ale bajka o zaśpianem wojsku, to wicie... nie dla zamorskich panów.

Baronet przygryzł wargi i zapytał:

— Co on mówi?

Powtórzono mu słowa Sabały, a sir Edward powiedział:

---

[1]) Niech będzie pochwalony.

[2]) Wewnątrz.

— Porównanie smutku do kuli ukrytej we wnętrznościach, jest trafne. Twarz tatrzańskiego barda przypomina mi twarz Miltona, tylko że ta ma ostrzejsze i głębsze linie, jakby ślady przeżytych tragedyi i zastygłych nagle wybuchów.

— Sienkiewicz dostrzegł także to podobieństwo — zrobił uwagę malarz.

Posadzono Sabałę na kamieniu i uczęstowano: nalano raz i drugi tokaju, a gdy blada twarz starca lekkim zabarwiła się rumieńcem, sir Warburton wyraził życzenie usłyszenia jakiej innej powieści, jeżeli Sabała nie chce mówić o „Śpiących rycerzach.“ Doktór spojrzał na proszącego badawczo, mówiąc:

— Wasza Dostojność nie rozumie po polsku, a cóż dopiero po podhalańsku!

— Będę słuchał przez tłomacza — odpowiedział — a zresztą, chcę go słyszeć.

Wytłomaczono Sabale o co idzie, a baronet kazał napełnić trzecią czarkę. Starzec nie dał się długo prosić. Wychylił ją, wstał, rozpostarł ręce i zrobiwszy kilka ruchów w powietrzu, jakby niemi zakreślał tło do obrazu, zaczął głosem cichym, matowym, który w miarę opowiadania nabierał siły, dźwięku i modulacyi: iskra schowana pod popiołem rozżarzała się powoli, ogarniając płomieniem coraz szersze kręgi. W miarę tego garb niknął, starzec rósł, twarz młodniała.

— Słuchajcie mię teraz jako im powiem o nasyk Kościeliskak:

Tam ka sie skręca na hale Smytniom, jest turnia wysoka, a nazywa się Pisana — haj.

Drzewień [1]) jom inacy nazywali, ale dzisiak jom panowie przekrzcieli, bo sie tam na tej turni pisajom — haj.

Rózne ta o niej ludzie gadki gwarzom, ze tam wnuku w tej skale jest staw, co ś niego Donajec idzie, a na tym stawie pływa złota kacka, co dyamentowe jajka niesie, ale ino jedno na rok — haj.

Raz co sie nie robi, zabrał sie ta juhas po te kacke, ale nie doseł, bo ta woda straśnie zimna, a źleb [2]) co nim woda idzie, ciasny i ze o malućko sie nie utopieł — haj.

Boginki stawu strzegom, tozto nikogo tam puścić nie kcom bo go bałamucom, coby sie ś niemi bawieł — haj.

Mnie zaś pedniał stary Fakla, co był dziuge porażony, takom gware, ze w tej turni ma być wojsko zaśpione — haj!

Było zaś prosem pieknie Wasyk Miłości, tak.

Raz przyhodzem [3]) do tego Fakli, a tu stary ledwo zywy lezy na

---

[1]) Dawniej.

[2]) Wąwóz.

[3]) Spółgłoski *ch* wymawiają na Podhalu jak *h*:

pościeli. Ja se siednam na pościeli przy nim i pytam sie go, coby mu brakować miało. A on mi tak pada:

— Miały, mocny Boze! hłopce, se mnom źle, Bóg mie pokarał i jako widzis, lezem tu juz, Łazarz, moc roków. Dziecko, tyś młodsy, do światuś, a ja dziś a jutro.

Słuchaj mie, to ci powiem moje zywobycie [1]). I ja był kiejsi tęgi hłop, do rzecy, a miałek kuźniom i kułek co komu było trza. Kowal był se mnie setny [2]), toz to robotyk miał wse mocki [3]) — haj.

Raz co sie nie robi, kujem ku wiecorkowi, a tu wlazi do kuźnic jakisi cłek.

Ładnie, pieknie pozdrowieł Pana Boga, toz tok mu odpedział i zgłupiałek, bok sie na niego przypatrzył i jescek w zyciu takiego cłeka nie widzioł. Niby wojak, bo zbroj na nim, broda po pas, a głowa ze stali, a gęba taka ładna, jak u janioła w niebie.

I, dobrze nie barzo, pyta sie mie, cybyk mu podków złotyk nie narobieł.

Ja padam:

— Cemusby nie, dyćjek od tego kowal.

I dobrze nie barzo [4]), zacynimy te robote. Ja kujem, on mieche rusa i robota sła.

Narobieliśmy podków i klińcy [5]) mnohenko, toz to mój wojak pada, coby zabrać to syćko w torbe i iść ś nim.

Dyć padam mu, cemusby nie, dyćjeś cłek i nie źle ci z ocy patrzy. Kie iść, to iść. Myśliwskie prawo krótkie.

Zebrałek sie. Idziemy. On na przodku, ja zaś z podkowami za nim. I tak idziemy przez Kiery do Kościelisk.

Zachodzimy ku Pisanej, a on sie do mnie obraca i tak pada:

— Nie bójże się, a cicho sie sprawuj, a strzez cie Boze nakłońć kie tam weńdziemy.

Włazimy w jakiesi źleby i dziury, a turnie to jakby sie ozestempowały przed nami. Idziemy, idziemy i zaślimy do nuka.

Patrzem, a tu telo luda, a sićko lezy, głowy na siodłak, a sićkie brody som jest dłuzaźne po pas — haj.

Zacynimy konie kuć. Ja wbijał klińce i podkowyk do kopytów zdajał [6]), a on nogi trzymał. A kiek juz sićko, ka co brakowało, ponaprawiał, nabrał wojak struzyn z kopyt i wsuł mi w torbe i tak pada:

---

[1]) Życiorys.
[2]) Tęgi.
[3]) Dużo.
[4]) Przysłowie Sabały.
[5]) Gwoździe z dużemi głowami do przybijania podków.
[6]) Przybijał.

— Mas tu placom!

Pomyślałek se, ze kpi se ze mnie, ale mu sie sprzycał nie bedzies, choć mi straśnie markotno było, bok cały dzień minon.

Wzionek torbe i wychodzęcy wyskułek te struzyny, ale kiek wyseł na pole, patrzem w torbe, a tu nima struzyn, bok nie sickie wysuł, bo mi sie po torbie obrały, ino som jest dukaty. Było ik kielka.

Kiebyk był syćkik struzyn nie wysypał, byłbyk sie zratował dość godnie, alejek musiał być niegodny.

Pomyślałek se:

— Dziadowi nie daj konia, ba torbe i kij i posełek.

Zachodzem do hałupy, a baba mie ze zębami przyjena:

— Kaś ty był tele casy, co cie trzy dni doma nie było?—haj.

Nie wiedziałek, kie ten cas tak wartko [1]) przelecioł, bo mi sie to ino kwilka widziało, ale se myślem: Nie bedem sie z głupiom babom dogadował, bo to u nik włosy długie, ale rozum straśnie krótki — haj.

I kulek pote dalej, to siekiery, to co sie kany trafieło, jaz tu znowu po kielku rokak psyseł mój wojak i znowujek mu robieł podkowy, a jak juzek dość narobieł, to my pośli tam ka i pryndzej. Myślem se, nie bedem ja juz taki głupi. Nie bedem struzyn praskał. [2])

Kujemy. Ja sie ucion w palec — haj —toz tok naklon głośno, a tu co sie nie robi, wstajom ci naokoło mnie. Mnie strak obujon.

Jeden sie pyta: „Bracie! cy juz cas?

Ale mój wojak mu tak pada: „Nie jeszcze, śpij dalej!“

Na mnie sie ostro popatrzał i pogroził mi palcem.

Jak my kuć skończyli, to mi znowu wsuł przygarznie [3]) struzyn do torby — haj.

Idem. Kiek wyseł, patrzem w torbe. Kielo bedem dudków [4]) miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Ja sie ospajeździeł [5]), bo mi casu było zal, alek se pote pedział: „Zej ja tu bez to dziadem nie bedem.“ Wysułek trzaski i poseł Na Kierak wskocyłek — haj — telęzego [6]) do zyda. Wypiłek, a kie sie ozor pomaści, to i lekcej hodzi.

I tak wypaplałek syćko zydowi. Zyd ozgadał po świecie, cok mu napedział — haj.

I teraz co sie nie robi, roki lecom i lecom, a konie nie kute, bo ta teraz bodaś kogo nie puscom, bo musi być taki parobek, co na dziewki

---

[1]) Prędko.
[2]) Rzucał.
[3]) Garstkę.
[4]) Dukatów.
[5]) Rozłościł.
[6]) Tutejszego.

nie patrzy—haj. Ja za kare sie zaraz oznimóg i lezem tak juz moc roków. Z Panem Bogiem nie będzies w karty grał — haj.

Tak to prosem pieknie — gadał mi ten Fakla, a świercki to mu ciurecke z ocy leciały — haj.

Ponieważ Sabała robił częste przestanki, jakby się namyślał lub wątek sobie przypominał, więc malarz tłomaczył na język angielski legendę prawie jednocześnie. Sir Edward nie spuszczał oczów z opowiadającego, a doktór nie spuszczał oczu ze słuchacza, którego twarz nieruchoma wyglądała jak zagadka, a palce zanurzone w skręty brody, zaciskały się ruchem nerwowym. Witold, obserwujący także cudzoziemca, pomyślał:

— Muszę narysować tę rękę: jest pełna charakteru. Długie jej, ostro zakończone palce, mają w sobie coś przejmującego.

Gdy Sabała umilkł, ogólne zapanowało milczenie: ogień na chwilę przygasł, a sir Edward spuścił głowę i rzekł:

— Wasz filozof tatrzański umie opowiadać: jego głos potargany i matowy, przeobraża się cudownie pod wpływem zapału i uczucia i całą gammą tonów rozbrzmiewa. Giesta jego są obrazowe, a twarz ruchliwa, zmienia wyraz w miarę opowiadania; farby na obraz kładzie jaskrawe i maluje grubemi rysami, ale z tego rysunku bije jasne światło. Rad jestem, że go słyszałem: jak góry wasze są niepodobne do innych gór, tak wasze baśnie ludowe inne są, niż u wszystkich ludów. Człowiek jest wszędzie ten sam, pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi, choć różnemi przemawia językami; ale wszędzie inną ma duszę i inne ideały. Wasza jest jak złoto, które się czyści w ogniu, a wasz ideał — to miłość bliźniego, większa od miłości samego siebie. Tę duszę, ten ideał słyszę w baśni Sabały i słyszałem w niejednej pieśni z tych stron, których echo płynęło do mnie przez morza...

Umilkł, i jakby się namyślając, mówił dalej.

— Kwiaty poezyi kwitną na waszej ziemi, i róż jest wśród nich obfitość, chociaż zaczynam już wątpić, czy znajdę tu różę bez kolców. Znam człowieka, który się urodził na wyspie skalistej, rzuconej samotnie wśród oceanu. Ziemi urodzajnej, tak jak tu pod Tatrami, było tam mało; uprawiano ją przeto w pocie czoła, broniąc przed niszczącemi siłami przyrody: wiatry bowiem północne zwiewały rodzajniejsze na skałach podkłady, a z zachodu bałwany zalewały łąki i pola uprawne. Dróg wygodnych nie było, bo je zawalały olbrzymie zwały morenowe. Drożyny wązkie wiodły nad przepaście i krawędzie skał ostre. Człowiek ów nie chciał kaleczyć rąk, ani w pocie czoła walczyć z deszczem i wiatrem o każdą piędź ziemi; poszedł w świat... znalazł łagodniejszy klimat, lepsze drogi, urodzajniejszą ziemię, a los mu sypał złoto pod nogi. Poszczęściło mu się, ale spostrzegł, że zgubił w drodze duszę, któ-

rą był zabrał z domu. Szuka jej po świecie, jak ja róży bez kolców, i jak ja znaleźć jej nie może...! Cierpi on za życia czyściec, który czasami zamienia się w prawdziwe piekło. Złoto, którego pragnął, ma dziś dla niego znaczenie takie samo, jak owe strużyny, które w torbie zamiast dukatów znalazł stary kowal Fakla.

Słuchano tych słów ze zdumieniem. Co znaczyła ta powieść? Kto był ów człowiek, o którym mówił — i czy to utwór fantazyi, czy rzeczywistość? Pierwszy to raz, on, oszczędny dotąd w słowa, dał się unieść wrażeniu, czy zapałowi.

Ogień podsycony świeżą wiązką smereczyny znów większym zajaśniał blaskiem i oświecił twarz baroneta, zawsze spokojną, ale bladą jak płótno. Milczeli wszyscy. Ciszę przerwał głos dziecinny, ale poważny, prawie uroczysty:

— Ten człowiek powinien wrócić na wyspę, bo inaczej nie odnajdzie swej zguby!

Sir Edward odwrócił się zdziwiony:

Był to głos chłopca, który znalazł na szczycie Bystrej gwoździk lodowy. Starzec i dziecko patrzyli przez chwilę na siebie, jakby badając się wzajemnie. Baronet lekko brwi zsunął, i nie chcąc snać wdawać się z dzieckiem w rozmowę, rzekł swobodnie, prawie wesoło:

— Jeżeli nie znajdę w tych górach róży bez kolców, zabiorę przynajmniej z sobą do Anglii wiązkę legend. Hej, Jerry, jeszcze wina!

Walter, znający zwykłą wstrzemięźliwość sir Edwarda, wydziwić się nie mógł, że wbrew zwyczajowi pił dzisiaj tak wiele.

Przewodnicy tatrzańscy mają już ustaloną sławę; inteligencyą, przytomnością umysłu i roztropnością, przewyższają o wiele swych kolegów z Alp i Pireneyów. Turysta, oddawszy się im w opiekę, nie potrzebuje wcale myśleć o sobie, troszczyć się o nic, bo oni się za niego troszczą, oni myślą o wszystkiem. Ponieważ magnat angielski chciał nocować w dolinie— nie czekając rozkazów pobiegli, na Smytną do szałasów pasterzy, i wrócili obładowani dużemi wiązkami siana na posłanie. Szło tylko o to, czy w schronisku nocleg urządzić, czy też gdzieindziej. Miejsca tam nie brakowało, ale była to tylko buda z desek, dobrą dająca we dnie ochronę od zbyt skwarnych promieni słońca, nie zabezpieczająca jednak dostatecznie od nocnego chłodu. Teraz w dolinie Kościeliskiej jest hotel zaopatrzony we wszystkie potrzeby, ale wówczas nie było go jeszcze, a podróżni nasi nie mieli z sobą kołder, tylko derki z wozów, pledy i jeden płaszcz, własność bąroneta, dla którego też, ze względu na jego wiek, należało wynaleźć zaciszniejsze schronienie.

Malarz zaproponował nocleg w Krakowie, w grocie znajdującej się niedaleko wejścia do wąwozu. Długa a wązka, nadawała się wybornie do noclegu — choć przystęp do niej nie łatwy, zwłaszcza po nocy, ale czego nie widać przy księżycu, to się dojrzy przy świetle pochodni. Zabrano ich kilka z Zakopanego, bo od czasu jak Pawlikowski odkrył nieznane dotąd groty, rzadko kto wybiera się do Kościelisk bez pochodni. Pytano Sabały o zdanie.

— Hm — rzekł — godne to miejsce dla nik: grota je głemboka, wiater nie mąci, ino że do Krakowa czasem zaglądają niedźwiedzie, bo te po turniach Kościeliskik rade chadzają. Blizko im do cieliczek na Smytnią i do owieczek na Kirę.

Powtórzono sir Edwardowi tę uwagę, na co rzekł:

— Nie jesteśmy bez broni na taki wypadek. Mam nóż przy sobie i sześciostrzałowy rewolwer.

— Noży znajdzie się więcej — wtrącił doktór.

— Jest skole [1]) — dodał Sabała.

Warburton mówił dalej:

— Niedźwiedź może i do schroniska trafić, a w szerokiej otwartej budzie, trudniejsza obrona niż w grocie z wązkim otworem. Wszystko zatem jedno. gdzie obierzemy sobie nocleg, bo wszędzie spotkać nas mogą niepożądane odwiedziny. W dzień polowanie takie miałoby dla mnie nawet urok nowości, bo w Anglii niema wcale niedźwiedzi, ale w nocy, gdy się pragnie spoczynku, przyznaję że wolałbym, żeby się bez polowania obyło.

I wyjąwszy z kieszeni nóż składany w oprawie z kości słoniowej, przyglądał się ostrzu z uwagą, co widząc Sabała, rzekł z flegmą:

— On je grzecny, bo je tchórz: zdrowego niema co się bać, cheba jak sie nie zabije od razu a postrzeli, a obali, to potem obces skoczy do ciebie.

A gdy panowie uśmiechali się na to określenie, dodał:

— To je gazda od hal i od lasa: ma swoje dogadanie i swój sposób, jako i ludzie. Nie sieje, nie orze, nie kosi, nie juhasi, a ma wszystko. Na wiosnę. latem, chodzi w cuse potarganej jako dziad, biedy jednak nijakiej nie cierpi. Jak mu trza, bije owce po halak, zje jałówkę na lotku, źre borówki, rozn aite korzonki, ścina tłustą trawę na szałasiskak; jak mu sie kce. idzie na owies do dziedziny [2]). Przed zimą je glony po źródliskak z biedy, albo sywarek ka najdzie. Gości się dziś nie spodziewa, bo ik nie prosieł.

---

[1]) Kamień.

[2]) Do wsi.

— To samo mówi o nim Witkiewicz, który przepysznie opisał niedźwiedzia — rzekł Witold — i zwracając się do Sabały, zapytał gdzie radzi nocować?

— W Kościeliskak o gospody nie bieda, ino bieda wybierać. Na ten przykład Zbójeckie okna, ka Janosik ze swymi hłopcami przebywał. Gospoda piekna, przestronna.

— Więc idźmy tam! — rzekł malarz — prowadźcie nas.

Sabała się nie ruszał.

— Ino że tak głemboko schowana w lesie, co i po dniu nie łatwo do niej trafić.

— Taak?

— Jakież więcej macie gospody? Wy tu gazda od wielu lat i znacie Kościeliska na wylot.

— Do Zimnej groty was nie mogę prowadzić, bo tam lód leży miejscami, toby was zamroziło. Mam parę grot pod Pisaną, ale to nie dla was, bo wejście do nik za trudne. Wziąłbym was do Niżniej pod Zamkiem; widać z niej turnie Organów i Ratusz. A możebyście kcieli nocować w Grobak?

— Nie, żywcem w grobach kłaść się nie chcemy — rzekł śmiejąc się doktór. — Znam tę grotę, pełno w niej dziur, wgłębień, skrzel, występów, kominków fantastycznych, kaplic. Szukano tam widocznie skarbów kiedyś, jak tego ślady zostały w podziurawionych ścianach. Miejsce godne widzenia dla swej oryginalności, ale nie jako schronienie dla ludzi zmęczonych całodzienną wycieczką i pragnących zacisznego spoczynku. Przytem jest tam mokro i ciągle z góry kapie.

— Mnie się zdaje, że Sabała naumyślnie wylicza swoje gospody, żeby nam ich mnogością zaimponować, choć wie, że żadna z dotąd wymienionych nie może się nam przydać. To jest figlarz! — odezwał się malarz.

Ten którego posądzono, uśmiechnął się na te wyrazy, a znając słabość turystów, dodał jakby od niechcenia:

— Kamiennego mleka tam dość.

— O jakiem mleku mowa? — zapytał Henryk.

— O wapiennem, które dla jego gęstości należałoby raczej nazwać śmietaną. Osadza się ono na ścianach groty i na sklepieniu, tworząc wzorzyste rzeźby, a z rzeźb tych później powstają stalaktyty.

Sabała mówił dalej:

— Jest też niezgorsza gospoda w Dzwonnicy, ale dostać się do niej bieda i nie można inaczej, ino trza smerek ściąć, poprzycinać gałęzie, wstawić go do dziury i dopiero spuścić się po nim na dół jak po drabinie.

— To i na cóż nam wyliczacie gospody, które nie zdały się na nic? A pan co na to mówisz, panie profesorze?

— Wszystko mi jedno, gdzie będę nocował — odrzekł Strand, który dotąd darować nie mógł malarzowi, że mu spłoszył traszkę.

Na to odezwał się przewodnik.

— Jest tu bliziutko za potokiem Raptawica, a w niej groty, co je odkrył pan Pawlikowski.

— Czy ta wielka turnia na prawo, gdzie są Dudowe kominy? — zapytał doktór.

— Tak, panie. Są tam obszerne komory i okna dwa, jedno wychodzi na dolinę, a drugie na zbocze. Iść trzeba pod górę, po piargu [1]); wejście łatwe, ale pod granią [2]) trzeba będzie pochodnią przyświecić.

— Nie mógł to Sabała od tego zacząć — mruknął doktór — tylko nam czas zmitrężył wyliczaniem swych gospód!

[1]) Usypisko z drobnych ruchomych kamieni.
[2]) Krawędź.

IX.

BŁĘKITNA WSTĄŻKA.

„Kobieto, puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę masz gorszą, niżeli...“
Mickiewicz. Dziady.

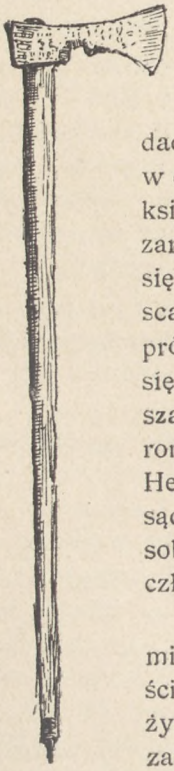

Baronet, któremu zdano relacyę o wszystkich gospodach, zgodził się odrazu na Raptawicę. Ruszono więc zaraz w drogę, wziąwszy pochodnie, ale ich nie zapalono, bo księżyc dość jasno świecił. Ścieżki nie było widać, tylko zarośla, a potem usypisko drobnych kamieni, ruszających się pod nogami i staczających na dół przy stąpaniu. Miejscami usypisko to pokryte było śliską warstwą czarnej próchnicy, więc przewodnik zalecał ostrożność i trzymanie się ściany, pod którą szli, mając nad sobą ostrą grań poszarpanych turni. Przewodnik szedł naprzód, za nim baronet, za baronetem profesor, dalej doktór, malarz i Walter. Henryk postępował ostatni. Szereg zamykali górale, niosący płachty z sianem na plecach i bagaże. Sabała szedł sobie bokiem po usypisku, swobodnie, z niedbałością człowieka, który jest u siebie w domu i zna każdy kąt.

Posuwając się tak powoli, ale ciągle pod górę, weszli między oryginalne oderwy skalne, stojące samotnie jak ściany zwalonego budynku. Tu już srebrny promień księżyca dosięgnąć nie mógł. Przewodnik przystanął i kazał zatrzymać się wszystkim. Zapalono teraz pochodnie: światło ich ponuro błyskało między szczelinami skalnemi, przez które przechodzili. Ujrzano jakąś czeluść otwartą,

ale przewodnik minął ją i zatrzymał się dopiero o kilkanaście kroków dalej.

Tutaj byli już u celu mozolnej i niezbyt bezpiecznej wędrówki. Przewodnik podniósł pochodnię wysoko do góry, i oświetliwszy otwór do groty i tuż przy otworze okno, cisnął ją na ziemię i zagasił nogami ogień — a za jego przykładem inni uczynili to samo ze swojemi pochodniami. Zapanowała zupełna ciemność i cisza, bo prowadzeni nie rozumieli co to znaczy, i myśl o zasadzce przeleciała Anglikom przez głowę. Ale dał się słyszeć trzask pocieranej zapałki. Przewodnik zapalił świecę stearynową, którą wyjął z kieszeni i jął pierwszy na dół zstępować. Na zapytanie, dla czego tak uczynił, skoro pochodnia lepiej oświeciłaby podziemie, odpowiedział, że dym pochodni smoli kamienne mleko i białe ulice w grotach na czarne zamienia.

Wejście było prawie ciasne, a pierwsza część groty nizka, ale dalej jama rozszerzała się i przedłużała, kończąc oknem którego dolny otwór dotykał poziomu. Była to obszerna komnata, dwadzieścia kilka metrów długa, a za nią ciągnął się cały szereg mniejszych i większych.

— No, tu im będzie przestronno — powiedział przewodnik, stanąwszy na środku i usiłując całość oświecić, ale drobny migocący płomyczek świecy nie mógł tego dokazać. Witold wpadł na myśl, żeby zapaloną pochodnię zatknąć w szczelinę skały na wprost bocznego okna, a światło jak z latarni, ztamtąd do środka płynąć będzie — i uznano że pomysł jest dobry. Wnętrze jaskini otrzymało rembrantowskie oświetlenie — większa część jednak pozostać musiała w cieniu.

— Gospodę mamy obszerną—rzekł Jakób, rozglądając się — komnat w niej tyle, że każdy z nas mógłby mieć oddzielnie sypialnię, jadalnię, gabinet do pracy, nawet dobrze poszukawszy, znalazłaby się może i sala balowa. Ale zimno wieje ze ścian i korytarzy, i może lepiej byłoby przeprowadzić się do Krakowa. Jakie jest zdanie waszej Miłości? Czy nie obawiasz się, sir, przeziębienia? Czuję wilgoć i słyszę krople wody, sączącej się ze sklepienia.

— Jeżeli panowie chcecie się ztąd wyprowadzić, nie będę się temu sprzeciwiał — odpowiedział — ale jeżeli mówiąc to, moją tylko osobę macie na względzie, zapewniam was, że możemy śmiało nocować w tym podziemnym pałacu. Reumatyzmu nie znam, płuca mam mocne i jestem zahartowany na zmiany temperatury. W dzieciństwie — dodał, zawahawszy się — długie lata spędziłem w zimnym klimacie, a klimat Anglii także do łagodnych nie należy. Może dla was tu jest za zimno, zwłaszcza że macie z sobą dziecko. Nie chcę brać odpowiedzialności za jego zdrowie.

Wyraz „dziecko“ — głęboko dotknął Henryka. Uważał się już za

mężczyznę i umiał zapracować jeśli nie na chleb, to na książki, bo uczył młodszych od siebie.

— Przepraszam pana, sir — odezwał się drżącym głosem: — Nie jestem już dzieckiem. — Zahartowano mnie bardzo wcześnie na wszelkie niewygody i zmiany powietrza. Urodziłem się w skromnym dworku i nikt mnie nie rozpieszczał.

Anglik spojrzał zdziwiony na szlachetną twarz chłopca, który po raz trzeci zachowaniem się swojem zwracał jego uwagę. Przypatrywał mu się przez chwilę i nie znalazłszy odpowiedzi, mówił w dalszym ciągu do doktora.

— Pozwolę sobie tylko zaproponować panom, aby każdy z was zrzekł się oddzielnego apartamentu na rzecz ogólnego dobra. Ta oto grota jest dość obszerna, aby wszystkich nas wygodnie pomieścić, a przez dwa znajdujące się w niej okna, płynie ciepłe powietrze z zewnątrz i łagodzi jej temperaturę wewnętrzną. Jestem pewny, że będzie tu znacznie ciepłej niż w innych komnatach; może więc tutaj razem nocować będziemy? Jakże, czy zgadzacie się na to?

— Jak najchętniej — odpowiedzieli. — Wreszcie, jeżeli nam będzie bardzo źle, zawsze jeszcze możemy się przeprowadzić.

— Mamy serdaki, siano i koce — dodał baronet — czegóż więcej nam potrzeba?

To powiedziawszy, przybliżył do ściany stoczek, który mu podał malarz i przypatrywał się bogatej rzeźbie, naśladującej fantastyczne kwiaty i arabeski. Były to nacieki przypominające zwierzokrzewy morskie, zwane pospolicie białemi koralami, a ze sklepienia zwieszały się sople stalaktytów. Na końcach sopli błyszczały białawe krople wody, nakształt łez. Profesor, postępujący za nim, odezwał się:

— Podpatrujemy naturę w chwili tworzenia. Bóg kreśli plany budowy, a woda posłuszna prawom Stwórcy, wykonywa je. Jest ona zarazem budowniczym i artystą.

— Przyznam się panu — odrzekł baronet — że chociaż ją widzę w tej chwili przy robocie, jednak nie bardzo sobie zdaję sprawę z jej czynności. Materyał, zwłaszcza sposób przygotowania go, ma dla mnie coś zagadkowego. Chemikiem, ani geologiem nie jestem. Zawsze interesowały mnie tylko kwiaty.

— Materyał? poprostu woda nasycona kwasem węglanym: rozpuszcza ona skały wapienne, i przenikając szpary w nich będące, ukazuje się na ścianach sklepienia w postaci kropli, które pan widzisz. Tu kwas węglany ulatnia się, a rozpuszczony w niej węglan wapnia osadza się i tężeje. Tak powstają rysunki na ścianach, do wschodnich arabesków podobne, tak stalaktyty i stalagmity, czyli sople górne i dolne. To jest praca rzeźbiarska. Ale woda czyni więcej: ona buduje te pieczary.

Zaczął rozwijać swoje teorye naukowe, mówić o wieku powstania tych jaskiń, nie spostrzegając że Warburton słuchał go tylko przez grzeczność, tłumiąc ziewanie.

Górale urządzili dla wszystkich posłanie: siana było poddostatkiem, więc chociaż kolder nie stawało, derki i wierzchnie ubrania je zastępowały. Nikomu nie było zimno. Na wygodę baroneta szczególną zwrócono uwagę, i własny groom jego nie miał tu nic do poprawienia.

Doktorowi posłano obok Waltera; szczupły ten, skromny, ciągle prawie milczący młodzieniec, od początku był mu sympatycznym. Rozmawiał z nim chętnie, ilekroć nadarzyła się do tego sposobność. Teraz przysunął się do niego i zapytał półgłosem:

— Czy pański baronet istotnie jest tak nietykalnym, że żadne choroby go się nie imają, czy się tylko zdrowiem swojem przechwala?

— Trzeba nie znać Edwarda Warburtona, żeby go posądzić o możność przechwalania się — odrzekł przyciszonym także głosem młodzieniec. — Człowiek ten zawsze mówi prawdę, bez względu czy się ona komu podoba, czy nie. Od czasu jak jestem w Rochdale, nie chorował jeszcze, wyjąwszy...

— Wyjąwszy... kiedy?

— Wyjąwszy owego dnia, gdy mu przyniesiono z polowania martwego syna. Wówczas stracił na chwilę przytomność. Cios ten nagły, niespodziewany, ogłuszył go, ale nie złamał, bo to jest człowiek, którego nic złamać nie zdoła. Ten syn urzeczywistniał wszystkie jego pragnienia i nadzieje: zdolny, rozumny, silny, piękny, odziedziczyć miał nietylko tytuł i wielki majątek, ale szlachetne pomysły i cele ojca prowadzić dalej i rozwijać. Robotnicy w jego fabrykach i fermerzy w jego dobrach, nie znają biedy, a wszyscy go błogosławią, bo los ich żywo bierze do serca, a dziećmi ich interesuje się jakby własnemi.

— Dawno się zdarzył ten wypadek?

— Ośm lat temu. Sir Edward kochał syna do szaleństwa, chociaż mu jawnie tego nie okazywał. Z jego śmiercią zmienił się bardzo. Dawniej lubiący ciągle przebywać w swojem Rochdale, które bezustannie upiększał, rozszerzał i zdobił dziełami sztuki, zaczął uciekać z domu. Ogarnęła go gorączka podróży: zwiedził Indye, Egipt, Japonię, Chiny, a Jerry który mu towarzyszył, powiada, że sir Edward narażał się na największe niebezpieczeństwa, jakby umyślnie szukał śmierci. Ale śmierć widocznie ucieka od niego, bo wszystko uchodzi mu bezkarnie. Miewa pewne dolegliwości, ale im się nie poddaje, a gdy przebywa w Anglii, oddaje się pracy gorączkowej. Po całych dniach, a często i nocach przegląda rachunki, wchodzi w najdrobniejsze szczegóły administracyi.

— Szuka zapomnienia w pracy — szepnął doktór.

— Walczy mężnie ze swą boleścią i nie może jej zwalczyć. W tym roku pożółkł i pochylił się, a choć utrzymywał ciągle, że jest zdrów, lekarz domowy nie taił przedemną wielkiej obawy o niego. Przed dwoma tygodniami, sir Edward zupełnie niespodzianie powziął zamiar jechania w Tatry, i od tej chwili stan jego zdrowia jakby się poprawił. Uważałem nawet, że w miarę zbliżania się do celu podróży, stawał się mniej posępnym i odzyskiwał dawniejszą cerę, jakby zdaleka już odczuwał dobroczynny wpływ tutejszego klimatu. Trzeba mu widać chłodnego, orzeźwiającego powietrza waszego kraju, a nie Alp, które mu radzono, i gdzie niejednokrotnie przebywał. Przewiduję, że w niedalekiej przyszłości Tatry odbiorą Szwajcaryi jej ustaloną sławę, i tutaj będzie główny gościniec osób szukających nowych sił i nowych wrażeń.

— A róża bez kolców?

— Sir Edward szuka tej róży, bo jest to jedyna odmiana, jakiej mu brakuje dla uzupełnienia wspaniałej kolekcyi.

Doktór pomyślał sobie, że chęć szukania tutaj właśnie, a nie gdzieindziej, owej róży, natchnął baronetowi instynkt właściwy każdemu człowiekowi, podszeptujący czasem najlepsze środki lecznicze.

— Organizm jego ma jednak dziwną odporność — powiedział; — w tym wieku, jak on chodzi po górach! To człowiek ze stali. Jeden to więcej dowód, że nie ciało jego jest chore.

— Nazywając go „człowiekiem ze stali", trafnie go pan określa. Zawsze on budził podziw i poszanowanie połączone z pewną obawą: bywał wymagający, surowy, nawet groźny, zwłaszcza gdy szło o wykonanie obowiązku. A od czasu owej katastrofy, niezwykły ten charakter, który nigdy otwartym nie był, zamknął się więcej jeszcze w sobie, powiedziałbym, skrystalizował się, stwardniał. Serce jego nieobojętne na ludzką niedolę, nieprzystępne jest ludzkim słabościom. Ztąd pochodzi, że choć baronet czyni wiele dobrego, nie jest tak kochanym, jak na to zasługuje.

— Ale pan mówisz o nim tak gorąco, jakbyś go kochał.

— Uwielbiam go — powiedział z uczuciem młodzieniec; — kochałbym go, gdyby na to pozwolił. Ale on nie potrzebuje niczyjej miłości: sam sobie wystarcza.

— Ma rodzinę... — szepnął doktór.

— Tak, ma rodzinę—powtórzył Walter — ale nie własną — i obaj zamilkli.

— Gdzie to sir Edward spędził młodość? — zapytał doktór, zajęty ciągle jedną myślą. — Mówił coś o chłodnym klimacie...

— Nie wiem — odrzekł Walter — nie mówi nigdy o przeszłości. Czy się panu nie chce spać jeszcze?

— Nie.

— Mnie się już oczy kleją. Dobranoc.

Doktór domyślił się, że Walter chciał przerwać rozmowę, a wkrótce równy, rytmiczny oddech młodzieńca przekonał go, że zasnął naprawdę. Jakób chwilę jeszcze myślał o bajce Sabały i bajce Warburtona, aż sen skleił mu znużone powieki.

Sir Edward długo nie spał. Przy dogasającem świetle zawieszonej w szczelinie skalnej pochodni, widział jak chłopiec którego mimowolnie obraził, nazwawszy go dzieckiem, podciągnął swoje posłanie pod okno, tak, aby jeden z płaskich kamieni mieć pod głowę; jak położywszy się potem, próbował czy będzie dobrze, a upewniwszy się o tem, ukląkł na posłaniu, przeżegnał się i zaczął mówić pacierz. Widok ten poruszył Anglika do głębi: podparł się na łokciu i ukryty w cieniu framugi, przypatrywał się tej twarzy dziecinnej, na której nie dziecinna malowała się powaga i gorącość uczucia. Wydało mu się, że w tem dziecku widzi siebie samego w domu rodzicielskim, gdy był jeszcze małym, niewinnym, pobożnym, kochającym i kochanym — a obok niego klęczało rodzeństwo: brat i siostra. A potem, gdy już pokładli się w łóżeczkach, przychodziła matka, otulała każde troskliwie i przeżegnawszy, całowała w czoło na dobranoc. Wspomnienia z całą siłą zaczęły stawiać mu przed oczy, obrazy dawno minione. Uczuł wrażenie tego słodkiego pocałunku, zobaczył pokój sypialny z nizką belkowaną powałą, klęcznik, a nad nim obraz Matki Boskiej i srebrną lampkę, wiszącą na łańcuszku, w której zawsze paliła się oliwa. Światło tej lampki było słabe, niebieskiem szkłem przyćmione, a oblicze Matki Zbawiciela łagodne i pełne miłosierdzia, nabierało życia przy lekkim migotliwym płomyku.

Pochodnia tkwiąca w szczelinie skalnej, dopaliła się i z sykiem upadła na kamienie. Wszystko pogrążyło się w ciemnościach. Anglik usnął, a dobroczynny anioł snu co koi wszystkie cierpienia, zaniósł go na skrzydłach w daleką krainę nad jezioro, pod dach ubogiej strzechy, zdala od Tatr i od Anglii.

Profesor Strand był bardzo strudzony, ale sen nie kleił mu powiek. Tatry i wszystko, co miało z niemi związek, interesowało go bardzo, a obecnie zajmowała go zagadka ich wieku geologicznego. Chwila obecna nie istniała dla niego; myśl podążyła w zamierzchłe czasy, usiłując uprzytomnić sobie to, co się działo przed lat tysiącami. Przewracał się na posłaniu, poprawiał, wzdychał, wreszcie wstał.

Cisza panująca w pieczarze dowodziła, że wszyscy śpią. Strand zbliżył się do posłania baroneta, a przekonawszy się, że ten oddycha

równo i spokojnie, jak człowiek w głębokim śnie pogrążony, wyciągnął rękę i namacawszy stoczek, który był poprzednio zauważył, zapalił go, patrząc lękliwie, czy głos pocieranej zapałki, którego z towarzyszów nie obudzi — ale nikt się nie poruszył. Osłaniając dłonią światło i stąpając jak najciszej, zapuścił się w podziemia.

Korytarz, którym szedł, miał na sklepieniu i z boków ślady oskardów, okazujące że niegdyś był wązkiem przejściem, ale je rozszerzono dla wygody zwiedzających. Strand przybliżył stoczek do ściany i odłupał ciupagą kawałek; były to doskonale zachowane odciski korzeniożek czyli otwornic. Przypatrzył im się, schował do kieszeni i szedł dalej.

. . . były to Otwornice.

Korytarz załamywał się pod kątem prostym. Strand podniósł do góry stoczek i ujrzał przed sobą długi, wązki otwór, którego koniec ginął gdzieś w ciemnościach nocy. U wejścia do otworu, przyczepiony pazurami do skalnego występu, wisiał głową na dół zwieszony nietoperz. Za zbliżeniem się światła poruszył skrzydłami, uniósł się i znikł w ciemnościach nocy. Słychać było tylko czas jakiś łomot skrzydeł obijających się o sklepienia.

— Nie wyrzucam sobie, żem go spłoszył — rzekł do siebie profesor — bo teraz najlepsza pora do polowania na owady, które on lubi. Poleciał w stronę sypialni, aby ztamtąd wydostać się na dwór i gotów jeszcze przestraszyć tego małego Polaka, co się położył przy samem oknie. Niesłusznie ludzie tak obawiają się tych brzydkich, ale pożytecznych stworzeń, niszczących owady. Wszystkie podania o wkręcaniu się ich we włosy człowieka, to wierutne bajki! Co prawda i ja nie szukam spotkania z niemi, ale wolę już spotkać się z nietoperzem, niż... niż naprzykład z kobietą!

I na samą myśl, że w tej chwili, w tej pustce i samotni mógłby zjawić się przy nim „puch marny i wietrzna istota“, jedna z tych, co niosą śmierć ptaszkom niewinnym dla podniesienia wdzięków—wstrząsnął się uczony profesor.

Ciekawy dokąd też prowadzi otwór, zapuścił się weń, a uszedłszy kilkanaście kroków, znalazł z boku okienko, a raczej skrzelę głazu, i wsunąwszy rękę ze stoczkiem w otwór okna, zobaczył długą, coraz bardziej zwężającą się szparę, której ściany ociekały wilgocią.

— Ten tu korytarz stanowi zapewne główny pień tych pieczar i będzie miał liczne boczne otwory — rzekł do siebie. — Zdaje mi się, że znajdę tu niejednę niespodziankę: trzeba iść dalej.

Ale zaledwie uszedł kilkanaście kroków, znalazł się u zbiegu dwóch dróg; korytarz rozdzielał się w dwie strony. Stanął zakłopotany, nie wiedząc którą wybrać: ale miał sobie zawsze za zasadę trzymać się drogi prostej, więc machnąwszy ręką, ruszył przed siebie. Po chwili jednak uczuł wątpliwość, czy zrobił dobry wybór. Sklepienie opuszczało się coraz niżej i wkrótce nie można było iść inaczej, jak na czworakach. Profesor cofać się nie lubił i był człowiekiem niełatwo się zniechęcającym — posuwając więc naprzód przed sobą stoczek, czołgał się powoli i ostrożnie, przyczem okulary dwukrotnie mu spadły. Szczęściem niewygodna ta droga, nie długo trwała. W końcu ukazała się wysoka, obszerna komora.

Profesor podniósł się z trudnością, i przyglądając się kształtom sklepienia obwieszonego stalaktytami, rzekł:

— Robota rzeźbiarska na sklepieniu niedaleko się tu jeszcze posunęła. Sopleńce małe... szkoda że nie obudziłem Warburtona, i nie namówiłem aby mi towarzyszył. Wyjaśniłbym mu przystępnie to, czego nie rozumie ten szlachetny, w różach zakochany dziwak. On lubi tylko kwiaty: ale jakkolwiek każdy kwiat, choćby najmniejszy, jest cudem stworzenia, wszystkie razem nie mówią tyle co kamienie, opowiadające roczniki ziemi z przed tysięcy lat. Wymowa kamieni jest potężniejszą i więcej przekonywającą nad wszystkie wyrazy!

Obejrzał się dokoła i ogarniając wzrokiem całość komory, rzekł:

— Wspaniała komnata! możnaby w niej bal urządzić na kilkadziesiąt par. A musi tu być takich więcej! I pomyśleć, że to wszystko potworzyła woda... nie ów potok, co biegnąc w szalonym pędzie z szumem wielkim, wszystko po drodze niszczy i łamie, ale drobne, ciche, zaledwie widoczne dla oka kropelki wody! One to biorą się za bary ze skałą i powoli ją zwyciężają. Wsiąkają w nią małemi, nieznacznemi otworkami, podobnemi do nakłócia szpilek, i litego, niewzruszonego na pozór olbrzyma, zamieniają w porowatą gąbkę... Przenikają coraz głębiej, głębiej, korzystają z każdej napotkanej w jego wnętrzu szpary lub szczeliny, żeby ułatwić sobie pracę mechaniczną. Mądry, rozważny człowiek nie lepiej wziąłby się do rzeczy! Krople wydłużają się, rosną, nie spadają już, ale ciekną cienkiemi niteczkami, zmieniającemi się w strumienie, przenikają pokłady skał, kruszą je, niszczą i zwiększając coraz bardziej swe podziemne przypływy, tworzą we wnętrzu ziemi takie, jak ta oto, pieczary i groty. Bo strumień musi dążyć kędyś siłą swej ciężkości, a biegnąc unosi z sobą cząsteczki skały, którą wydrążył. O, ileż ludzie nauczyć się mogą od jednej kropli wody! Taka mała, a przecież góry z miejsca na miejsce przenosi! Bóg wielkich dzieł swoich małemi często dokonywa środkami.

Duża kropla ze sklepienia spadła mu na rękę, i to przerwało jego zadumę. Szelest spadających kropli ciągle było słychać, ale Strand zauważył, że między jedną a drugą upływała chwila dość długa. Wyjął zegarek i rachował.

— Pięć minut — rzekł, gdy nowa kropla spadła — hm, to prędko. Czasem bywa, że między jedną a drugą upływa minut kilkanaście... tak wolno przecieka woda; a wtedy do wytworzenia sopleńca długiego na kilka metrów, trzeba kilkanaście tysięcy lat. Wiek tych tu wiszących u góry sopleńców, mógłbym w przybliżeniu obrachować, omyliwszy się co najwyżej, o jaki tysiąc lat. W wieku ziemi, to drobnostka... W każdym razie nie doczekam się, aby sopleńce te urosły przy mnie w stalaktyty. Pójdę dalej.

W komorze były dwa otwory, czarnemi zwrócone ku niemu paszczami. Profesor szukający zawsze drogi prostej, puścił się bez wahania przed siebie—ale zaledwie wszedł do otworu, zobaczył, że będzie musiał iść na czworakach. A że już doświadczył niewygody takiego podróżowania, więc odstąpił na ten raz od zasady i wszedł w drugi otwór. Ten jednak równie był nizki, więc rad nie rad musiał znowu się czołgać. Przebywszy tak kilkanaście metrów ze stoczkiem ciągle posuwanym naprzód, zobaczył ścianę zamykającą dalsze przejście. Cofnął się więc i doszedłszy do miejsca, gdzie przeniewierzył się swej zasadzie kroczenia zawsze prostą drogą, znalazł niewielką komorę, zkąd wązką, ciasną szparką doszedłszy do końca, stanął znowu przed litą skałą.

— Zaczynam rozumieć plan tych podziemi — myślał: — jest pień główny z dwiema na końcu odnogami. Ale z pnia głównego muszą wychodzić boczne gałęzie; wracajmy zatem i zbadajmy je także. Tym sposobem będę mógł sobie sporządzić mapę.

I przyświecając stoczkiem po ścianach, mówił dalej.

— Ale warto było tu przyjść: co za obfitość kamiennego mleka, jaki fantastyczny rysunek! Przypomina mi to ściany Alhambry, gdzie jedna rzeźba przykrywa drugą, jakby delikatną siatką. Wprawdzie to szkic dopiero, który wieki następne cieniować i wykonywać będą, ale i ten szkic już jest prześliczny i bogaty. Czego tu niema! Arabeski zachodzą jedne na drugie, linie łączą się lub rozdzielają, a wśród nich zwoje liści, tajemnicze hieroglify, lub kwiaty nieistniejące na kuli ziemskiej. A jaka niepokalana białość! snać światło pochodni jeszcze tu nie zajrzało.

I raz jeszcze podniósłszy rękę ze stoczkiem w górę, rzucił ostatnie spojrzenie i zawrócił się. Na zakręcie potknął się o kamień i spostrzegł na ziemi skrawek błękitu. Zdziwiony schylił się i podniósł go: była to wstążka atłasowa, na widok której wzruszył ramionami.

— Chodziła tu dziś widać jakaś kobieta! Co to za wścibskie stworzenia! W najciaśniejszą dziurę to wleźć musi.

Wstrząsnął się z obrzydzeniem i machinalnie włożył wstążkę do kieszeni.

Idąc głównym pniem podziemia, był już jak u siebie, poznawał miejsca niedawno przebywane. Zbadał parę bocznych odnóg i doszedł do punktu, gdzie korytarz załamywał się pod kątem prostym.

— Aha — pomyślał — jestem już blizko naszej sypialni: moi towarzysze pewnie w tej chwili się przewracają na drugi bok.

Był bardzo znużony i z przyjemnością myślał o posłaniu dobrowolnie opuszczonem. Spojrzał na zegarek: była już dwunasta.

— No — pomyślał — dość długo się zabawiłem.

Ale korytarz, którym szedł, jakoś się nie kończył. Profesorowi wydało się, że gdy go poprzednio przebywał, znacznie był krótszy.

— Widocznie jestem bardzo znużony, i dlatego wydaje mi się teraz tak długim, ale za pięć minut powinienem już być na miejscu. A ot, nareszcie! Ale co to jest? słyszę szmer podziemnego strumienia, którego nie słyszałem wychodząc ztąd. Czyżby w czasie tych dwóch godzin woda przerwała jaką szczelinę? To byłoby ciekawe!

Wszedł do sypialni i zwrócił się odrazu na prawo w stronę swego posłania, ale go na miejscu nie znalazł. W rogu komnaty, gdzie niedawno leżało świeże pachnące siano, okryte kocem, leżał teraz duży głaz. Zdziwiony, szukał dalej, przysłaniając ręką światło — ale ani posłania, ani towarzyszy nie znalazł. Co to jest? Czyżby opuścili grotę? A może tylko przenieśli się w inny kąt, w jakieś zagłębienie? Może im było zbyt zimno i przysunęli się do okna. Ale okno zniknęło! Zatem... zatem chyba zabłądził w tych podziemiach—i zamiast do sypialni, wszedł do innej komory. Był sam, tylko strumień dotrzymywał mu towarzystwa, szemrząc po dawnemu, jedyny odgłos życia w tej pustce.

Profesorowi zrobiło się gorąco, pomimo chłodu panującego w grocie. Uczuwał mocne strudzenie i nogi już odmawiały mu posłuszeństwa, a spoczynek do którego wzdychał, oddalił się znowu od niego. Komora była obszerna, wysoka; po obu stronach miała jakieś ganki i zagłębienia. Usiłował się zoryentować, jak się to stało że pobłądził i w którem mianowicie miejscu wszedł na mylną drogę? Aż do załamania korytarza pod kątem prostym, powrót był prawidłowy... Ach! przypomina sobie teraz, że nie widział nigdzie okna, czyli otworu zasłoniętego skrzelą głazu. Zatem nie dochodząc do niego, zrobił wycieczkę w bok i tam powinien wrócić, bo zresztą, ztamtąd naprawdę jest już tylko kilkanaście kroków do sypialni. A może wtedy zmylił drogę gdy się potknął i znalazł wstążkę? Gdyby zamiast schylać się i oglądać, zdeptał ją był nogą, teraz już zabierałby się do wygodnego spoczynku. Nie pierwszy

to raz kobieta dokuczyła mu do żywego. Ale ciekawa rzecz, w jakiem też położeniu do doliny znajduje się ta komora? Strumień siłą spadku dąży do strumienia płynącego środkiem doliny, a po kierunku płomienia i po ruchu powietrza wnosił, że w górze są kominy, któremi można wydostać się na świat, gdyby było po czem — choć jeżeli one wiodły na inną stronę góry, możnaby zejść do innej doliny, zamiast do Kościeliskiej i byłby kłopot z odszukaniem towarzyszy.

Usiadł na kamieniu i wyjąwszy notatnik, usiłował nakreślić plan groty, tak jak go sobie wyobrażał, a rysując, zastanawiał się dla czego nie trafił nigdzie na wapień półkrystaliczny, ani na pokłady piaskowca.

Odpocząwszy, schował notatnik i zabrał się do odwrotu, ale zaledwie postąpił kilka kroków, nierówność zniżającego się nagle gruntu, czego poprzednio nie zauważył, spowodowała poślizgnięcie; upadł, upuszczając stoczek, który zetknąwszy się z mokrym gruntem, zgasł. Ogarnęła go zupełna ciemność. Podniósł się i zaczął po omacku szukać stoczka, a znalazłszy nie bez trudności między odłamami kamieni, sięgnął do kieszeni kamizelki po zapałki, ale zapałek nie było. Obszukał wszystkie kieszenie nadaremnie i przypomniał sobie dopiero, że ich nie wziął z sobą, a stoczek zapalił woskowemi zapałkami Warburtona i pudełko napowrót przy nim położył.

Pot wystąpił mu na czoło: będzie musiał wracać po omacku, z wyciągniętemi naprzód rękami, i kto wie, czy nie natrafi na jaką dziurę. Żeby choć ciupagę miał z sobą! ale cóż, wiecznie roztargniony profesor Strand zgubił ją w podziemiach; nawet nie mógł sobie przypomnieć gdzie — najpewniej tam, gdzie był zmuszony czołgać się na czworakach.

— Ha, cóż robić! — szepnął zrezygnowany — może ją jeszcze znajdę.

Wyciągniętą ręką poszukał ściany, i trzymając się jej stąpał ostrożnie, ale musiał wkrótce schylić głowę. Zabłądził znowu: zamiast szerokiego korytarza, którym wszedł do tej odnogi, wstąpił w wązką jakąś, ciasną szparę. Powrócił więc do komory i namacawszy inny otwór znowu się weń zapuścił. Ale i tu spostrzegł wkrótce, że to nie jest korytarz, którego szukał: przejście było wązkie i ciasne, a nizkość sklepienia wymagała trzymania się ciągle w pochylonej postawie. Profesor zawrócił po raz trzeci, a różne niepokojące myśli zaczęły mu się snuć po głowie — między innemi, co będzie jeżeli nie wydostanie się z tego labiryntu, ale natychmiast uspokoiła go myśl, że towarzysze go odnajdą. Pocieszał się jednak nadzieją, że sam do nich trafi. Nagle spostrzegł, że nie słyszy już głosu strumienia, że przeto musiał oddalić się od komory, z której rozchodziły się trzy boczne korytarze i mniemając—że do niej idzie, wszedł w jakąś inną odnogę, z której już sam nie wiedział

w jaką zwrócić się stronę, w tył czy naprzód. Oddalił się widocznie od strumienia i szedł w kierunku grzbietu gór.

Uczuł takie zniechęcenie i wyczerpanie, że aż musiał oprzeć się o ścianę, bo w głowie mu się kręciło. Gdyby choć strumień z nim pozostał, strumień którego odgłos rzeźwiący, miły, był objawem jakiegoś ruchu, jakiegoś życia, byłoby mu raźniej i weselej. Co robić! Trzeba powziąść jakieś postanowienie: zatem powróci do swej zasady trzymania się drogi prostej i będzie szedł przed siebie. Może odnoga ta szczęśliwszym trafem wywiedzie go ztąd — a jeżeli nie, zawróci się i trzymając lewej strony ściany, obejdzie wszystkie próżne odnogi — a nie pomijając żadnej, musi nareszcie odnaleźć komorę i korytarz, wychodzący z głównego pnia.

— Czy nie lepiej byłoby zawołać o pomoc? — pomyślał. — Grota ma swoją akustyczność; głos dojdzie do śpiących towarzyszy i zaraz przyjdą tu ze światłem.

Już chciał wołać, ale wstyd go powstrzymał. Obawiał się żartów doktora i postanowił tylko w ostatecznym razie uciec się do tego środka.

I rozpoczęła się wędrówka w ciemności, po omacku, na nogach i na kolanach, z zawracaniem i kołowaniem z góry na dół i z dołu pod górę; wędrówka bez końca, w której odnalazłszy komorę i upuszczony tam notatnik i ołówek, zgubił je na nowo, a znalazł natomiast ciupagę. Jak długo to trwało nie wiedział, ale wydało mu się, że tym sposobem uszedł kilka kilometrów drogi. O, gdyby miał zapałkę! Nareszcie osłabiony, wyczerpany, zaczął wołać o pomoc, ale echo wracające doń kilkakrotnie, nie sprowadziło mu pomocy — a to co z jego brzmienia mógł wnosić o rozległości pieczar, nie miało w sobie nic pocieszającego. Był sam jeden w pustce, w ciemności, tylko zegarek szeptał mu ciągle: tik-tak, tik-tak.

Nagle straszny huk wstrząsnął podziemia. Profesor pomyślał sobie, że pewnie jakiś wielki odłam skały spadł w pobliżu i zatarasował wyjście. Może żywcem został pogrzebany i towarzysze nie odnajdą go, a on sam nie zdobędzie już Branchiopoda, i nie ukończy dzieła, nad którem pracuje kilka lat. Cały jego trud, wszystkie materyały, owoce licznych badań i poszukiwań, stracone zostaną dla nauki! To go więcej przeraziło, niż widmo śmierci. I pomyśleć, że to wszystko przez głupią wstążkę! Co to za czcze, bezmyślne istoty te kobiety! Po co to obwiesza się gałganami?

Uczony profesor nie domyślał się nawet, że taki gałgan w roztargnieniu włożył do kieszeni.

Poczucie niebezpieczeństwa wzmogło jego siły: uczuł na twarzy świeży powiew wiatru i śmiało zapuścił się w otwór, który obie jego wyciągnięte ręce namacały i zkąd wiał zbawczy prąd. Czuł takie pra-

gnienie, że język niemal przysychał mu do podniebienia. Przybliżył twarz do ściany i chwytał spieczonemi wargami krople wilgoci, spływające po skale. Powiew był coraz silniejszy, a na końcu korytarza pobłyskiwało coś, jakby światełko. Rzucił się ku temu zbawczemu światłu i uderzył głową o sklepienie, znowu tutaj zniżające się. Czołgał się więc ku niemu na czworakach i domyślił się, że to jest promień księżyca ślizgający się po ścianie. Tu więc gdzieś blizko musi być otwór, którym możnaby wydostać się na świat...

Nagle powstrzymał oddech: usłyszał ruch jakiś w pobliżu i szelest wielce podejrzany. Przysunął się do ściany, nie śmiejąc się poruszyć, a pot kroplami spływał mu po twarzy i serce biło jak młotem. Poczuł dotknięcie czegoś miękkiego, i ciepły oddech owiewający jego twarz. Straszna myśl przebiegła mu przez głowę i stracił przytomność.

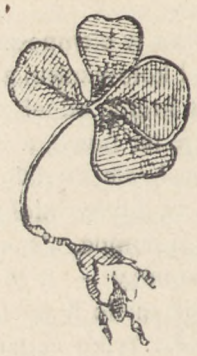

X.

SREBRNY SZLAK.

„Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przezroczyste
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste —
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzie niegdzie gwiazdy przetykały złote."

Asnyk. Noc pod Wysoką.

kończywszy pacierz, Henryk położył się, ale także nie mógł zasnąć. Zawiele wrażeń w tym dniu doznał, więc nie zdołały się jeszcze uporządkować w jego umyśle. Urok Kościeliskiej doliny, kopalnie złota i krzyż nad potokiem, Anglicy, Sabała, legenda o „Śpiących rycerzach", wreszcie opowiadanie sir Edwarda, które go bardzo zaciekawiło. Myśli tłumnie cisnęły mu się do głowy, ale były bezładnie splątane, i dopiero powoli zaczęły się wyróżniać pojedyńcze nici, z których dalsze snuło się przędziwo. Przewracał się na swem posłaniu i dziwił, że nie może zasnąć, choć mu jest wygodnie i ciepło nawet. Może za wiele wypił wina? Było ono dziwnie mocne choć łagodne, a on do wina nie był przyzwyczajony; w Miratyczach używano go tylko na lekarstwo — więc zawróciło mu w głowie. Myślał ciągle o Warburtonie i o bohaterze jego opowiadania.

— Co za dziwny człowiek — rzekł do siebie — żeby po świecie szukać tego, co jedynie na skalistej wyspie znaleźć może. Że też nie wpadł odrazu na tę myśl!

I przypomniał sobie szczególne zachowanie się baroneta, który na jego uwagę wcale odpowiedzieć nie raczył.

— Lekceważy mnie: za mały jestem aby warto było ze mną mówić — myślał z goryczą, czując piekący ból zranionej dumy.

Okno groty dolną częścią dotykało poziomu; ktoś dla umocnienia. czy innej jakiej przyczyny, wcisnął tam kawał obłupanego z kory smereka — i tym sposobem utworzyło się coś nakształt nizkiego progu lub parapetu. Przy oknie leżało kilka dużych kamieni; Henryk nie mogąc spać, usiadł na jednym z nich i wyglądał przez okno.

Tylko poeci w marzeniach widują tak czarowne obrazy, jak ten na który chłopiec patrzył w tej chwili. Z wysokości tej turnie przedstawiały się inaczej niż z dołu: były jeszcze więcej poszarpane, jeszcze podobniejsze do kamiennych dziwolągów i potworów, od których kładły się w dolinę olbrzymie cienie. Cienkie nitki wody, sączące się po skałach, błyszczały niby srebrne przędziwo tajemniczej a potężnej dłoni; potok płynący w dole zamienił się w srebrny szlak, a szlak ten ciągle drgał, mienił się i połyskiwał. Nad nim unosiły się mgły, to przysłaniając go jakby lekką gazą, to rozpraszając się zupełnie.

Henryk czuł w głowie wielką ociężałość, ból nawet i szumiało mu w uszach; chwilami zdawało mu się, że to jest szum potoku, ale z nim razem mięszały się jeszcze jakieś inne odgłosy. Wytężył słuch i odróżnił wyraźnie dźwięk dzwonów, z początku cichy, oddalony, niby dźwięk sygnaturki, potem coraz głośniejszy, coraz potężniejszy, jakby się razem rozkołysały serca stu conajmniej dzwonów. Przypomniał sobie, że tam na prawo jest turnia Dzwonnica, i przyszło mu do głowy że odgłos ztamtąd pochodzi—ale zmiarkował się natychmiast, że to tylko taka nazwa, i żadnego dzwonienia być nie może; chyba zasnął naprawdę i śni mu się tak. Przyszedłszy zaś do tego przekonania, nie usiłował już walczyć rozumem przeciwko temu co słyszał i widział.

A widział dziwne rzeczy: od strony Pisanej czołgały się nizko mgły nad potokiem, a potem wstawały i rosnąc coraz wyżej, wyżej i wyżej, przybierały kształty wyraźne ludzkich postaci na koniach, ze skrzydłami u ramion, w hełmach na głowach, a postacie to były tak olbrzymie, że pióropusze hełmów sięgały wierzchołków turni. Zwolna i uroczyście posuwały się srebrnym szlakiem w stronę skalistego wąwozu, noszącego nazwę starożytnego miasta, ale rzecz dziwna, wszyscy mieli przymknięte powieki.

— Śpiący rycerze! — szepnął chłopiec i ogarnął go strach. Chciał zawołać na Jakóba i Witolda, ale mimo kilkakrotnych wysileń, głosu

wydobyć nie mógł. A postacie skrzydlate, przejrzyste jak duchy, płynęły coraz tłumniej po srebrnym szlaku, a pochód ten zdawał się nie mieć końca, bo w miejsce tych co zniknęli w wąwozie, nowe wstawały postacie z mgieł czołgających się po ziemi. Wreszcie ostatni rycerz rozpłynął się w powietrzu, a z nim razem srebrny szlak zniknął, jakby wprzód leżał tam po to tylko, aby służyć za most dla rycerzy.

Henryk siedział oszołomiony, nie mogąc oczu oderwać od miejsca, którędy przed chwilą przesunął się pochód olbrzymów. Pulsa mocno biły mu w skroniach, a jemu się zdawało że słyszy tętent kopyt gdzieś w górze, i powiedział sobie że rycerze wjeżdżają na zamek, bo ta oto turnia nad wąwozem, Zamkiem się nazywa. Potem coś mu się majaczyło o pannie młodej przecudnej urody, ze złotą na głowie przepaską i o weselu, a potem jeszcze zabrzmiał mu w uszach słaby, jakby oddalony dźwięk organów, który wzmagał się stopniowo, aż rozlał się w powietrzu potężnym hymnem. Turnia Organy znajduje się tuż nad Zamkiem, a za nią jest turnia Stoły. Tam rycerze zasiądą do uczty. Chłopiec widział już oczyma wyobraźni, długie ich brody mchem porosłe i surowe oblicza, patrzące głębią minionych wieków. Do uczty usługiwały im boginki, w lekkich powiewnych szatach; na obrusie z mgły gęstej leżała przed każdym biesiadnikiem roża, ale wszystkie miały kolce...

Henryk przetarł oczy, chcąc się przekonać czy śni, czy marzy na jawie. Naokoło była cisza i tylko potok grał po dawnemu, ale oto zaszumiało, jakby wiatr potrząsnął wierzchołkami świerków, lub z jakiejś potężnej piersi żałosne wydobyło się westchnienie. Chłopca przebiegł dreszcz grozy: szary obłoczek podniósł się nad strumieniem i kołysząc się to tu, to tam, wyglądał jak człowiek zabłąkany, szukający drogi rozpaczliwie. Henrykowi, niewiadomo czemu, przyszedł na myśl bohater opowiadania sir Edwarda: chciał wyciągnąć rękę w stronę wąwozu, ale nie mógł się poruszyć, taka ogarnęła go niemoc—a gdy obłoczek uniósł się trochę wyżej, wydał mu się z ramion i postaci podobnym do Warburtona.

Nagle jakiś drobny kamyk potoczył się, jakby go kto potrącił. Henryk wytężył słuch i wzrok i zdało mu się, że widzi jakiś cień czarny czołgający się z dołu pod górę; powiedział sobie jednak, że to pewnie takie samo złudzenie jak tamto, a powieki ciążyły mu jak ołów i już, już miał zasnąć snem twardym, ale potoczył się drugi kamień i to wytrzeźwiło go odrazu. Ów cień posuwał się coraz wyżej w kierunku groty, a z pod stóp jego toczyły się drobne kamienie z usypiska. Henryk wstał; instynkt mu szeptał, że powinien zachować się jak najciszej. Cień ów podobny do człowieka skradającego się na czworakach, zatrzymał się i podniósł głowę, jakby coś czuł lub czegoś nasłuchiwał. A stał właśnie w promieniu księżyca, którego tarcza prze-

suwając się po za wyszczerbionemi turniami, rzucała podłużne smugi. Chłopiec zobaczył rudą sierść, wypukłą głowę i dwoje błyszczących oczu. Poznał go: był to niedźwiedź!

Stał i węszył. Chłopcu jak błyskawica przebiegło przez głowę pytanie, czy przebudzić śpiących, czy dać pokój. Spojrzał na kamień leżący przy oknie i dał pokój.

Poznał go: był to niedźwiedź!

— Dowiodę, że jestem mężczyzną—rzekł do siebie, czując odwagę wstępującą weń na myśl, że bezpieczeństwo wszystkich w tej chwili zależy od jego przytomności umysłu, a także bezpieczeństwo tego, który go nazwał dzieckiem. A może też niedźwiedź tu nie wejdzie! Po co przelewać krew bez potrzeby? Sabała powiedział przecie: „On je grzecny, bo je tchórz."

Niedźwiedź stał, jakby się wahał, wreszcie posunął się ku oknu.

Ale Henryk nie czekał tego: położył się na ziemi, obie ręce wsparł na kamieniu, a stopami zaparł się w ziemię i pchał. Kamień ani drgnął. Pot kroplisty wystąpił na czoło chłopca: wstrzymał oddech i wyprężył się: kamień się poruszył i zakołysał na krawędzi okna. Jeszcze jeden wysiłek—i zniknął w otworze. Straszny ryk rozległ się w uśpionej dolinie, a z nim razem huk staczającego się w przepaść i obijającego o występy skalne kamienia.

Śpiący zerwali się na równe nogi, a baronet najpierwszy zdołał wydobyć zapałkę i oświeciwszy wnętrze groty, zobaczył przy oknie Henryka bladego jak ściana, który wyszeptał:

— Niedźwiedź!

Teraz Anglik spostrzegł brak wielkiego kamienia przy oknie i domyślił się wszystkiego. Nikt tego zrobić mógł, tylko ten chłopiec, którego uważał za dziecko, bo wszyscy inni spali. Ale jakim cudem dziecko zdołało dźwignąć taki ciężar? Sięgnął po stoczek, ale stoczka nie było, zapalił więc drugą zapałkę. Tymczasem górale zbiegali już na dół z pochodniami. Przy ich świetle widać było z góry zwierzę rozciągnięte na piargu, poruszające łapami w śmiertelnych konwulsyach i Sabałę, pochylonego nad nim z nożem w ręku.

Malarz, doktór i Walter, narzuciwszy prędko wierzchnie ubranie zeszli także zaciekawieni i mocno poruszeni. Za nimi, owinięty w derkę,

stąpał ostrożnie baronet, trzymając się skały i nasłuchując kroków postępującego za nim chłopca, gotowy pospieszyć mu z pomocą, na wypadek gdyby obsunęła mu się noga, bo ściana rzucała cień na ścieżkę, i nie było jej wcale widać.

Obstąpiono niedźwiedzia dokoła. Górale najwięcej uradowani tą zdobyczą, odwracali go, badając czy skóra jest w całości, ale w kilku miejscach była poszarpana. Każdy chciał wiedzieć jak się to stało, z najdrobniejszemi szczegółami, i nastąpiło ogólne zdumienie, gdy się wyjaśniło, kto był pogromcą niedźwiedzia. Zarzucono pytaniami Henryka, który dla zaspokojenia ogólnej ciekawości, musiał kilkakrotnie powtarzać jedno i to samo: jak szmer posłyszał, jak kamyk jeden i drugi się potoczył pod nogami niedźwiedzia; jak wchodził na górę, z której strony, i gdzie przystanął. Wreszcie wyrażano domysły, coby też było, gdyby nie poczuł węchem że ludzie są w pobliżu—a domysły te wiodły do innych, które innym jeszcze otwierały drogę, bo chciano kwestyę do dna wyczerpać. Jeden z juhasów schyliwszy się, sprobował ciężaru kamienia i dziwił się, że takie małe chłopię dźwignęło taki ciężar, na co Henryk odparł z uśmiechem, że strach wiele może. Warburton obserwujący go, zauważył, że chłopiec nie wygląda na szczęśliwego pogromcę. Nie było na jego twarzy ani śladu tryumfu, a w odpowiedziach ani cienia przechwałki. Wreszcie zagadnął:

— Zabiłeś niedźwiedzia i nie jesteś z tego dumny?

— Stało się to tylko przypadkiem—odrzekł z prostotą.

Baronet słuchał zdziwiony.

— Przypadkiem, powiadasz? Nie rozumiem. Ale dla czego nie obudziłeś żadnego z nas, spostrzegłszy zbliżającego się nieprzyjaciela?

— Z początku nie wiedziałem co to za cień się skrada, zwierzę czy człowiek; a później, gdym go już rozpoznał, miałem nadzieję że się zwróci w innym kierunku, więc nie chciałem robić hałasu. Była chwila, że niedźwiedź się zawahał: potem, gdy postawił łapę w kierunku okna, miałem tylko tyle czasu, żeby spuścić kamień. Był bardzo ciężki i myślałem już, że mu nie dam rady.

— Dałeś dowód niemałej przytomności umysłu...

— Ale teraz myślę, że może lepiej byłoby, gdybym panów obudził, Niedźwiedź, widząc nas w takiej liczbie, nie odważyłby się na nas rzucić i odszedłby sobie w swoją stronę. Sabała utrzymuje, że to tchórz, a musi znać się na tem. Uniknęłoby się przez to nieużytecznego zabójstwa.

— Ach, więc to ci jest przykrem! — rzekł Warburton, patrząc z wzrastającem zajęciem na chłopca—bądź spokojny. Gdybyś nie zabił niedźwiedzia, poszedłby do szałasów i mordował jagnięta; a gdybyś nas

pobudził, niedźwiedź nie uszedłby żywcem, bo mamy rewolwery i noże, których nie wahalibyśmy się użyć we własnej obronie.

— To co pan mówi, sir, uspokaja mnie; rozumiem bowiem zabijanie dla potrzeby rzeczywistej lub we własnej obronie, ale bezużyteczny rozlew krwi wstręt we mnie budzi, a to sobie właśnie wyrzucałem.

— Mój chłopcze — powiedział baronet, żywą pociągnięty sympatyą — nazwałem cię dzieckiem, a jesteś odważny jak mężczyzna, i mówisz jak człowiek dojrzały. Dopiero cię poznałem, a już cię muszę szanować. Podaj mi swoją rękę. Cóż to, wahasz się?

— Zanim to uczynię, muszę panu coś powiedzieć — rzekł Henryk poważnie — bo może pan nie zechce podać mi swojej. Mówi pan, że jestem odważny jak mężczyzna, a źródłem tej mojej odwagi nie co innego było, tylko słabość!

— Nie rozumiem.

— A raczej zraniona miłość własna, co na jedno wychodzi. Byłem dotknięty, gdy pan nazwał mnie dzieckiem i prosiłem Boga, żeby mi pozwolił spełnić jaki czyn męzki. Dla tego to nie obudziłem nikogo... A mogłem był wszystkich narazić, gdybym nie potrafił zepchnąć kamienia. Był tak ciężki, że zaledwie zdołałem to uczynić z największym wysiłkiem. Choćbym wtedy krzyczeć nawet zaczął, nicby już nie pomogło, bo niedźwiedź tymczasem znalazłby się w jaskini. Nie chcę, żeby pan myślał o mnie lepiej, niż na to zasługuję.

Zamilkł na chwilę i po krótkiem wahaniu dokończył.

— Przyznaję też, że gdy ujrzałem niedźwiedzia, miałem chwilę okropnej trwogi i byłbym wolał, aby ominęła mnie sposobność wykierowania się na bohatera.

— Daj mi swoją rękę — rzekł baronet wzruszony — jesteś skromny i prawy. Od tej chwili masz we mnie przyjaciela, i gdybym mógł coś dla ciebie uczynić...

— Dziękuję panu — odrzekł chłopiec — nic mi nie trzeba. Pańska przyjaźń cennym jest darem, na który doprawdy nie zasłużyłem dotąd, ale... chciałbym zasłużyć...

W tej chwili był naprawdę dumnym. Jeden z najpierwszych panów Anglii nazwał się jego przyjacielem, a przytem Henryk czuł dziwny, niewytłomaczony pociąg do tego człowieka.

— Dobrze — odrzekł Anglik z uśmiechem: — mam nadzieję, że sposobność łatwo się znajdzie, bo tu w górach przecież często widywać się będziemy.

Rozmowa ta odbyła się po francuzku, bo Henryk chociaż rozumiał po niemiecku, trudność miał w wyrażaniu się tym językiem, a angielskiego nie znał wcale. Około zabitego tymczasem większa skupiła się gromadka. Juhasy usłyszawszy ryk niedźwiedzia, przylecieli z pobliz-

kich szałasów, a za jednym przybiegł pies kudłaty, i rzuciwszy się na martwego już olbrzyma, węszył, szczekał zajadle, i targał go za uszy — a wszystko to przy świetle pochodni przedstawiało fantastyczny obraz.

— Ale gdzie to jest profesor Strand? — zapytał Warburton, szukając go oczyma.

— Pewnie pozostał w grocie i wygląda przez okno — odrzekł Walter.

— Być może, choć dziwnem mi się to zdaje, że nie jest ciekawy obejrzeć niedźwiedzia. Taki zapalony naturalista!

— Pewnie odkłada do jutra. Gdyby to był Branchiopod, którego poszukuje, niezawodnie profesor wyprzedziłby tu nas wszystkich. Niedźwiedź nie wzbudza w nim takiego zapału.

— Jakaś kropla spadła mi na rękę — rzekł baronet. — Czyżby deszcz miał padać? A taki był pogodny wieczór!

— Na mnie już kilka kropli spadło i wiatr się zrywa — odezwał się doktór. — W górach nigdy nie można być pewnym pogody, a Tatry są krainą niespodzianek. Słyszałem też, że nie zdarzyło się nigdy, aby Babia góra napróżno kładła czepiec.

I opowiedział Anglikowi, w jaki sposób stała się ona barometrem dla Podhala.

Teraz już zaczęły padać gęste, grube krople, a zdala odzywały się pierwsze pomruki nadchodzącej burzy. Księżyc utonął gdzieś w chmurach i zrobiło się zupełnie ciemno. Wiatr się zerwał i szedł górą, potrząsając zozpostartemi na stokach lasami, które poczęły jęczeć i szumieć. Górale żwawo zaciągnęli niedźwiedzia do dziury, aby mu skóra nie zmokła i wszyscy przy gasnących od deszczu pochodniach, powrócili do groty.

Profesora nie było jednakże w grocie, choć przeszukano ją ze światłem i wołano na wszystkie strony. Baronet zauważył też brak stoczka i udzielił swego spostrzeżenia towarzyszom. Nie ulegało wątpliwości, że Strand zapuścił się w podziemia, party ciekawością geologa.

— Ale że go dotąd niema, to rzecz dziwna! — powiedział doktór — czas już było obejrzeć co jest do obejrzenia i powrócić.

— Pewnie pobłądził — wtrącił Sabała — dy to je grota Mylna, i kto tu nieznający, może cały dzień w kółko chodzić i nie wyjdzie, bo drogi się w niej krzyżują i między ulicami jest takie podobieństwo, że zdaje ci się, że z pieczar wychodzisz, a ty ino kręcisz się w kółko — haj.

Doktór powtórzył to baronetowi, a ten rzekł z żywością:

— A więc chodźmy natychmiast na odszukanie go.

I ruszyli wszyscy: Sabała ze świecą szedł naprzód, za nim baronet, dwaj górale i juhas ze swoim kudłaczem. Dalej, z drugą świecą w ręku szedł Jakob i Henryk, Witold i Jerry, wiedziony także ciekawo-

ścią. Gdy doszli do miejsca, gdzie korytarz załamuje się pod kątem prostym, Sabała nachylił się i pilnie czegoś upatrywał na ziemi, a dostrzegłszy ślady nakapanego wosku, oświadczył, że profesor szedł korytarzem na prawo. Udano się więc we wskazanym kierunku, przebywając tę samą utrudzającą i mozolną drogę, którą przebył profesor i czołgając się często na czworakach.

Jakób przy tej mozolnej wędrówce, kilkakrotnie zwracał uwagę towarzyszy na kształt nacieków, wreszcie rzekł:

— Tatry posiadają obfitość pieczar, ale najwspanialsze są pieczary Bialskie po węgierskiej stronie, w Kobylim wirchu, który teraz Górą Koboldów przezwano. Krople wody spadające tam ze stropu, potworzyły kolumny, wieże gotyckie, drzewa, krzewy, draperye, koronki, postacie ludzi i zwierząt, zastygłe wodospady i obłoki, słowem cuda prawdziwe!

— Jeżeli tu dłużej pozostanę, to gotów jestem tam pojechać — odparł Warburton.

— Poznawanie Tatr jest dopiero w zaczątku: wiele jeszcze niespodzianek nas czeka – dodał Jakób.

Najraźniej i najzręczniej ruszał się Sabała, pomimo swoich ośmiu krzyżyków; prześlizgiwał się on w najwęższych miejscach z chyżością kota, a gdy teren zmieniał się niespodzianie, wyprostowywał się nagle z młodzieńczą żywością. Chwilami zatrzymywano się, wołano profesora po imieniu i chwilę zachowywano najgłębsze milczenie, nasłuchując odpowiedzi—ale odpowiedzi nie było. W niektórych miejscach Sabała uderzał ciupagą w ścianę, i z odgłosu uderzeń poznawano, że za ścianą jest próżnia, ale echo tylko odpowiadało na te uderzenia. W dużej komnacie, którą Strand uznał za przydatną na salę balową, Sabała pilnie szukał śladów stoczka koło otworów wyjściowych, ale ich nie znalazł, baronet za to dostrzegł przedmiot błyszczący: były to okulary profesora, leżały jednak w takiem miejscu, że nic nie mówiły o kierunku, w jakim dalej się udał. Juhas odezwał się, że to jest miejsce z którego najtrudniej się wydostać, bo jeden z korytarzy po długiem kołowaniu wiedzie tutaj napowrót, a w drugim też są odnogi mające z nim komunikacyę. A ponieważ znał te pieczary, więc chciał wziąć świecę z rąk Sabały i wieść dalej pochód—ale stary nie ustąpił, szli więc korytarzem, przecinającym inne drogi i coraz przystawali nasłuchując. Gdy doszli do pieczary podobnej do tej, jaka służyła turystom za sypialnię, Sabała upatrujący ciągle na ziemi śladów wosku, znalazł je dość wyraźne i oświadczył, że tutaj profesorowi stoczek wypadł z ręki, i prawdopodobnie zgasł.

— Biedny profesor!—zawołał Henryk—został pozbawiony światła, bo zapałki jego widziałem leżące na posłaniu. Gdzież on jest teraz? Może wpadł w jaką przepaść!

— I, nie—odrzekł Sabała—on tu już jest blizko.

I zwrócił się w stronę skąd wiał świeży prąd powietrza. Czas jakiś wszyscy szli w milczeniu: nikt się nie odzywał, bo temu i owemu niewesołe myśli przychodziły do głowy. Pies biegnący ciągle przed nogami idących, wysunął się teraz naprzód i przepadł gdzieś. Wreszcie usłyszano jego oddalone szczekanie. Przyspieszono kroku i po jakimś czasie, ujrzano pod ścianą leżącego bez przytomności profesora, a nad nim stał pies, obwąchując go i machając ogonem. W zaciśniętej pięści Strand trzymał zagasły stoczek, a obok leżała jego laska.

Doktór uniósł głowę zemdlonego i wlał mu w usta trochę wina z flaszki, którą zawsze nosił przy sobie, następnie zaczął mu lekko piersi rozcierać, poczem wkrótce Strand otworzył oczy. Błędnym wzrokiem powiódł po obecnych i zatrzymał go na kudłaczu, przyczem uśmiech rozjaśnił jego rysy.

— Pójdź tu pieśku — rzekł, dotykając jego łba — i wybacz moją omyłkę. Ja ciebie w ciemności wziąłem za niedźwiedzia!

I opowiedział szczegółowo swoje przygody, nie wspomniawszy jedynie o błękitnej wstążce, bo lękał się żartów i konceptów przyjaciół.

Pociągnąwszy jeszcze kilka łyków z butelki doktora, Strand uczuł się tak wzmocnionym, że wstał i oświadczył, iż może iść. A gdy mu powiedziano jaką nazwę specyalną noszą te pieczary, przyznał, że trafniejszej niepodobna wynaleźć. Jednej tylko rzeczy nie mógł sobie wytłomaczyć: owego huku, którego echo słyszał w podziemiach — i zwierzył się z tem przed towarzyszami, gdy już wróciwszy do sypialni, wyciągnął się na posłaniu, do którego tak długo wzdychał nadaremnie. Wtedy dopiero opowiedziano mu o niedźwiedziu i o zepchnięciu z góry kamienia.

Profesor usiadł na posłaniu, wyjął z kieszeni chustkę, sięgnął do oczu, gdzie powinny być okulary, ale spostrzegł że ich niema na zwykłem miejscu.

— Moje okulary...—szepnął zdziwiony.

— Są—rzekł baronet, podając mu—zgubiłeś je pan.

Strand machinalnie wyciągnął rękę, nie pytając jak i gdzie zostały znalezione; przetarłszy szkła starannie, umieścił je na nosie i jął przypatrywać się Henrykowi z taką uwagą, jakby napotkał jakiś ciekawy zoologiczny okaz.

— Czy on we mnie upatruje podobieństwo do swego Branchiopoda, czy co — myślał chłopiec, rumieniąc się pod tym badawczym wzrokiem.

— Młodzieńcze—rzekł wreszcie profesor — widzę, że jesteś człowiekiem poważnym: dla tego też opowiem ci moje domysły, dla czego *Branchinecta paludosa* Branchiopoda z epoki lodowej, przetrwał aż do naszych czasów w jeziorze tatrzańskiem.

Wybuch ogólnej wesołości przerwał zapał niestrudzonego badacza, a baronet rzekł:

— Ależ kochany profesorze, odłóż to pan na jutro. Chłopiec jest zmęczony i my wszyscy także. Pan sam najwięcej potrzebujesz wypoczynku. Starajmy się zasnąć jak najprędzej, bo inaczej nie obudzimy się o wschodzie słońca.

Wszyscy uznali słuszność tej uwagi, ale przewodnik troskliwy o zdrowie uczonego, podał mu szklankę gorącej herbaty, którą tenże wypił chciwie, i jak posłuszne dziecko, nie odzywając się już wcale, zawinął się w kołdrę i odwróciwszy się do ściany, usnął.

Pomruki burzy były coraz częstsze, aż zamieniły się w nieustające prawie ryki. Podmuch wiatru zagasił świecę, ale oślepiające błyskawice rozświecały co chwila wnętrze groty. Nad głowami podróżnych długo jeszcze rozlegały się echa piorunów. Wreszcie wszyscy posnęli.

Górale nie spali. W szczelinie skalnej osłoniętej od deszczu, rozpalili ognisko i popijając herbatę, długo jeszcze rozmawiali, a przedmiotem tej rozmowy były różne walki z niedźwiedziami! Sabała największy w tem brał udział. Wszyscy słuchali z oczyma utkwionemi w starca, a on prawił:

— Raz co nie było: Matus Karpiel miał syna; miało chłopczysko z piętnaście roków, sam zaś był tęgi hruby chłop i pośli na niedźwiedzie—haj. Toż to dopadli niedźwiedzice z dwoimi małemi, ale małe były młode, i to zaś siednom na grzybiecie tej matki, ucepiom się pazdurami, dopiro niedźwiedzica jedzie ś nimi jak wóz do lasa..!

XI.

FANTAZYA TATRZAŃSKA.

„Sto źródełek z jam bulgocze,
Jakby kłótnia srebrnych larw.
Przez obłoczki pół przezrocze,
Sto bajecznych świeci barw"
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Burza trwała całą noc: nad ranem dopiero ucichła, a gdy słońce weszło, dolina Kościeliska ukazała się jeszcze piękniejsza niż wczoraj. Wszystkie odcienia zieloności, wszystkiemi jaśniały barwami, a krople wody wiszące na drzewach, paprociach, chropowatościach skał, łamały się w słońcu, czyniąc ją iskrzącą milionami dyamentów, rubinów i szafirów. Na jej świeżo obmytych turniach opierały się trzy łuki tęcz—co jeden to bledszy. Katedra gotycka, do której ją wczoraj porównano, otrzymała wspaniałe zakończenie swych kolumn pilastrów i kapiteli. Mieszkańcy groty ujrzawszy z rana te łuki tęczowe i blaski zorzy, malującej turnie na różowo, stali zdumieni i długo nie mogli słowa przemówić, a profesor nawet wyraził się, że chyba niema na świecie równie pięknej, jak ta doliny. Baronet upajał się w milczeniu pięknością tego obrazu. Artystyczna jego dusza doznawała prawdziwej rozkoszy.

Mgły jeszcze czołgały się miejscami i czepiały ścian jak ptaki płochliwe, ale powoli ustępowały pod ciepłem tchnieniem słońca. Gdzie dosięgły jego promienie, tam jak za dotknięciem czarodziejskiej laski opadały wnet zasłony.

— Po kilkakroć od wczoraj Bóg zmienił nad nami sklepienie swej świątyni — odezwał się sir Warburton. — W południe kąpała się cała w złocie; zachód słońca przybrał ją w czerwień i fijolety; noc nakryła płaszczem gwiaździstym; burza oświeciła ogniem błyskawic i zygzakami piorunów, a teraz widzimy ją w brzaskach jutrzenki, w snopach iskier zmieniających się w podłużne promienie, jak na obrazach, w których malarze usiłują przedstawić Boga zstępującego z obłoków..! Dzisiejszej pogody, zdaje się, że nam już nic nie zakłóci. Czy meteorologia tatrzańska jest zbadana?—zapytał zwracając się do doktora.

— Towarzystwo Tatrzańskie urządziło dwadzieścia pięć stacyi w różnych miejscowościach gór — odrzekł Jakób — a Wierzbicki opracowuje zebrany przez siebie i innych materyał meteorologiczny i klimatologiczny.

Łuków tęczowych nie było już gdy podróżni schodzili z góry do schroniska, gdzie zastawiono śniadanie. Profesor znacznie ich wyprzedził; podejrzewano go, że po nocnej przygodzie, która wyczerpała jego siły, jeść mu się chce.

Przed schroniskiem na trawie leżał rozciągnięty niedźwiedź. Zbiegli się juhasy ze Smytnej, z Ornaku i z Kiry i obstąpiwszy wspaniały okaz, oglądali go z właściwem sobie znawstwem, objawiającem się krótkiemi a dosadnemi okrzykami. Przypatrywali się krępej, niezgrabnej postaci, pokrytej bujnemi kudłami burej maści, ciemniejsze miejscami mającej odcienia—grubej strzaskanej głowie, okrągławym uszom sterczącym po bokach. Jeden otworzył ściągły pysk zwierzęcia, z którego błysnęły dwa duże boczne kły, i rachował zęby; inny przypatrywał się krótkim, szerokim łapom z nagiemi podeszwami o pięciu tęgich palcach, ostremi opatrzonych pazurami. Z chciwością niemal przyglądano się tej zdobyczy, a z zarumienionych i ożywionych twarzy widać było, że jest to wypadek dla nich uroczysty i że rachują iż będą mieli z niego ucztę. Jerry i Jack przypatrywali się na pozór obojętnie, ale także z ciekawością, niedźwiedzi bowiem niema w Anglii i widywać je tam można tylko w menażeryach. Z wyspiarską praktycznością obliczali jego przypuszczalną wagę i na prędce zaraz zrobili zakład. Nie mogli jednak dowiedzieć się kto wygrał, bo wagi nie było.

Gdy baronet z towarzyszami zbliżył się do schroniska, mając obok siebie chłopca, juhasy zaczęli machać kapeluszami, wychwalając odwagę i spryt młodego bohatera. Henryk przyjmował te hołdy zarumieniony i zmięszany. Wczoraj nikt nie zwracał na niego uwagi, a dziś stał się

prawie pierwszą w tem gronie osobą, i zdobył taki mir między góralami. Nie mógł się zaprzeć przed sobą, że mu to sprawiało przyjemność, i że niewiele brakowało, aby uwierzył w zasługę tego co uważał tylko za przypadek.

— Zabiłeś największe i najpotężniejsze z drapieżnych zwierząt ogólno europejskich — rzekł do niego Walter — ładny okaz, niema co mówić! We Francyi i Niemczech niedźwiedź jest już prawie wytępiony, a i tu zniknie wkrótce, jeżeli nie będą go oszczędzać.

— O ile wiem—rzekł doktór—to w r. 1879 w całych Tatrach było tylko 15 sztuk niedźwiedzi, tak je wytępili myśliwi; ale teraz nie brak ich od Tatr aż do Czarnohory. Chowają się one głównie w borach Liptowskich, zkąd urządzają wycieczki na Podhale i Spiż. Są jednak tacy, co widzieli niedźwiedzia w Reglach, jak szedł na dwóch tylnych nogach, podpierając się gałęzią smerekową. Spotkanie niezbyt przyjemne!

— Mimo to — odezwał się Witold — nie godzi się tych zwierząt tępić bez potrzeby. Zresztą, niedźwiedź nie jest tak znów bardzo niebezpiecznym napastnikiem. Człowieka unika: a jeżeli napada, nie czyni tego znienacka, ale otwarcie, ufny w swoją siłę.

— Więc gdybym go nie zabił—odezwał się Henryk—niedźwiedź wszedłszy do jaskini, może powąchałby każdego z nas i oddaliłby się w pokojowem usposobieniu?

Górale zaczęli się śmiać.

— Miej sumienie spokojne — rzekł Witold — zabijając go, uratowałeś jakie łagodne cielę, albo niewinną owcę. Zuch jesteś i koniec!

— Napiszę o tem dziadkowi — powiedział doktór—to mu sprawi przyjemność.

— Walterze—szepnął baronet do stojącego obok młodzieńca—czy pomyślałeś, jak też Davy znalazłby się w podobnym wypadku? Pobudziłby wszystkich swoim krzykiem, a sam schowałby się w najciaśniejszy kąt jaskini. A potem gdy inni uporali się z niedźwiedziem, położyłby się i wołał że jest chory. Nieprawdaż?

Młodzieniec milczał: to co sir Warburton mówił, było najzupełniejszą prawdą i dowodziło, że znał dobrze Dawida. Ale widząc niechęć opiekuna do chłopca, nie chciał jeszcze powiększać jej swemi słowy.

— Tak zwykle bywa z chłopcami, w których wychowaniu przeważa wpływ niewieści—odezwał się, stając niejako w jego obronie.

— I gdy matka jest kobietą nerwową i kapryśną, jak zwykle Francuzki—dokończył baronet.

— Mój wychowaniec najczęściej nie wie, czego się trzymać, kogo słuchać—mówił Walter dalej—bo matka chce nim ciągle kierować, a poglądy moje w sprawie wychowania, nie zgadzają się z pojęciami milady.

Wskutek tego nawet moje stanowisko w domu waszej Miłości jest cokolwiek drażliwe i wolałbym...

— Nie kończ, proszę cię, Walterze: wiesz jak cię cenię i jak pragnę żebyś pozostał. Czy nie sądzisz, że dobre towarzystwo mogłoby wpłynąć na niego dodatnio?

— Mówisz sir o tym młodym Polaku?

— Tak. Dzielny chłopiec! prawy, szlachetny charakter. Jeszcze dziecko, a już mężczyzna. Szczęśliwi rodzice!

— On nie ma rodziców—rzekł Walter.

— Zkąd to wiesz?

— Mówił mi doktór, bo on zna tę rodzinę. Jest tam stary dziadek i babka, stara panna, która tu z dziećmi przyjechała. Ludzie bardzo niezamożni, prawie ubodzy i czynią nadludzkie wysilenia, by się utrzymać przy lichej, obciążonej długami wioszczynie, a procenta pochłaniają większą część ich dochodów.

— Czemuż jej nie sprzedadzą?

— Zrobiłem tę samą uwagę, ale doktór objaśnił mię, że tam każdy dobrze myślący człowiek woli żyć o chlebie i wodzie, niż do sprzedaży dopuścić.

Baronet zadumał się.

— Więc to drugie dziecko chyba jest chore, skoro w tak ciężkich warunkach zdobyli się na podróż w Tatry?

— Bardzo wątła ośmioletnia dziewczynka, z usposobieniem do płucnej choroby.

Stół już był nakryty i herbata gotowa. Wszyscy chętnie się do niej zabrali. Górale rozsiedli się na trawie, jedząc chleb z bryndzą i czekając na opróżnienie szklanek; tylko profesora nie było — gdzieś zniknął. Warburton próżno się za nim oglądał. Rozmawiano ciągle o niedźwiedziu; górale chcieli zaraz ściągnąć skórę, a mięso piec—i pytali się młodego pogromcy, do którego ubita sztuka prawnie należała, czy nie ma nic przeciwko temu — na co łatwo otrzymali zezwolenie. Warburton zaś odezwał się:

— Ponieważ nasze zapasy żywności są już prawie wyczerpane, przeto zamawiam sobie udziec. Spodziewam się, że mój Jerry potrafi z niego zrobić pieczeń, chociaż nie widział nigdy niedźwiedzia. Jack musi zaraz wracać do Zakopanego.

Sabała odezwał się, że to „godnie smakuje". Raz gdy zabił niedźwiedzia, urznął jedną szynkę, upiekł przy ogniu, a z sadła zrobił skwarki—ale zachciało mu się do tego kluski. Rozpalił więc kamień w ogniu do czerwoności i włożył do dołka na skale, gdzie wprzód nalał wody. Nasuł tam mąki. omaścił skwarkami i była kluska. A raz znów wziął sadła na patyk i piekł na ogniu — i wnet naciurało mu w kapelusz.

Ale potem nie miał go gdzie podziać, a kapelusza mu było na głowę trza i sadła było żal, więc je wypił. To go tak wymaściło w płucach, że pięć roków nijakiej krzepoty [1]) nie miał.

Słuchacze tylko spoglądali po sobie, a Warburton, któremu to przetłomaczono, uśmiechał się. Prosił aby spytano starego myśliwca, ile też sztuk niedźwiedzi ubił w życiu. Odpowiedział że trzynaście, a drugie tyle postrzelił.

— Coby te niebościki stanyny cok ich wybił, toby hetki w Zakopanem i Kościelisku sicko pojadły i ludziby się pote chyciły.

Wpadłszy na ulubiony temat, Sabała opowiadał dalej, że raz cały tydzień szukał niedźwiedzia, którego postrzelił; śladów jego upatrywał na mule wodnym, na mchu, a on tymczasem „na wirchy wszedł i tam zdek. Pote owcarze naleźli go potarganego, a kuny i liski rozniosły jego kości."

Na łące nieopodal schroniska, gdzie widne były szałasy pasterzy, rozpalono olbrzymie ognisko. Obciągniętego ze skóry i poćwiertowanego niedźwiedzia pieczono na węglach, a woń smereczyny mięszała się z zapachem tłuszczu, milszego dla powonienia górali niż najwonniejsze kwiaty. Widok ten przypominał owe zamierzchłe czasy, gdy ludzie żyli w lasach, a potrzeby swoje zaspakajali na sposób pierwotny. Służący baroneta, przyznając wyższość w przyprawianiu tej mianowicie zwierzyny góralom, stał zdaleka w białym fartuchu, z miną obojętną i założonemi w tył rękami, paląc cygaro. Juhasy za to żwawo uwijali się koło ognia, dorzucając gałęzi i rozszerzonemi nozdrzami wciągając woń niedźwiedziny, zwłaszcza sadła, uważanego w Tatrach za przysmak i lekarstwo na wszystkie choroby. Całe lato spędzając z owcami lub krowami na halach, nie widzą chleba ani mięsa, i żyją tylko serem i żętycą; oblizywali się więc zawczasu na smaczny kąsek, należący im się po kilkomiesięcznym przymusowym poście. Czarni, zasmoleni, obdarci, z dzikiemi twarzami i błyszczącemi uciechą oczyma, wyglądali jak szatany. Jeden z nich ujął się pod boki, i puścił „drobnego" śpiewając, a Sabała na gęślikach jął przygrywać:

„Owieczki beczały, kiej się redykały, [2])
Juhasiczek płakał, nóżki go bolały.
Bolom nóżki, bolom, bolom i podeszwy,
Bo one niejeden wierszyczek obeszły."

---

[1]) Kaszlu.
[2]) Szły do hal.

Przykład ten podziałał zaraźliwie na innych; puszczali się także w taniec, śpiewając kolejno:

„Hej, cóże temu padnie
Co owieczki kradnie?
Hej, cóże by mu padło,
Hej, stryczek na gardło!"

Taniec ten, zwany „drobnym" powstał prawdopodobnie w ciasnym szałasie lub na krawędzi skały, gdzie szczupłość przestrzeni zmuszała do przebierania nogami w jednem miejscu. Przebieranie to z niesłychaną odbywające się zręcznością, jest tak szybkie, że wymyka się oczom patrzących; zapał stopniowo wzrasta, a włosy w nieładzie przedstawiają obraz jakiegoś dzikiego szału.

Czarni zasmoleni, obdarci...

Góral tańczący wygląda jak baletnik, palcami nóg zaledwie dotykając ziemi. Rozwija on największą stosunkowo siłę rzutu w najmniejszej przestrzeni.

Baronet patrząc na to zrobił uwagę, że w tańcu tym przejawia się gwałtowność temperamentu; że bije z niego siła utajona, która zwrócona w inną stronę, mogłaby wielkich rzeczy dokonać. Na to odparł Jakób, że ta siła właśnie, szukała niegdyś ujścia w zbójnictwie, a dziś tylko w tańcu wybucha.

Kto taniec ten widzi poraz pierwszy, tego najprzód ogarnia podziw, potem niepokój, a wreszcie obawa, gdy twarz tancerza zbieleje jak płótno, a nogi nie przestają z trudnem do opisania wirtuozowstwem wirować — bo zdaje się, że chwila jeszcze, a padnie martwy na ziemię!

Sabała przygrywał z zapałem, gęśliki jego wydały kilka ostrych, przenikliwych tonów, a z piersi starganej wydobył się śpiew:

„Bratowie, bratowie, kochani bratowie,
Będą nam ścinali główeczki katowie."

Na to inny odśpiewał mu:

„Jeszczem nie zbójował, dopiero ten roczyk,
Już mnie chcą zawiesić na żelazny haczyk."

Gęśliki zabrzmiały nutą tańca „zbójeckiego", a w tancerzy nowa wstąpiła ochota: ci nawet co dotąd przypatrywali się tylko, teraz jakby tajemniczą pociągnięci siłą, puścili się w taniec, śpiewając chórem:

„Baca nasz, baca nasz,
Tęgich chłopców na zbój masz;
Jeszczebyś ich lepszych miał,
Żebyś im sera dał."

. . . wygląda jak baletnik.

Ciupagi trzęsły się w powietrzu, potem upadły jednocześnie na ziemię, a dokoła nich rozpoczął się ów dziki, szalony, trudny do opisania taniec. Jeden z tancerzy skacze w górę wysoko, w locie uderzając się rękami po piętach; inny przypada całem ciałem do ziemi i wylatuje nagle w powietrze—inni potrząsają rękami nad głową jak opętani, a wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią.

Muzyka wolnieje, a z nią i ruchy tańczących. Chwytają znów ciupagi, podnoszą w górę, zaczepiają ostrzami i tańczą z niemi w koło, zwolna, jakby dla wypoczynku. Ale oto Sabała podnosi nagle głowę, błyska oczyma, ściska konwulsyjnie

skrzypki i rznie jeszcze szaleńszym rytmem. Cała gromada tańczy z większym jeszcze ogniem, rzuca się i szaleje. Witkiewicz powiedział o tańczących zbójeckiego góralach, że zdają się być zębami jednego koła lecącego w najszybszym obrocie: latają w powietrzu ręce i nogi, błyska

Wszystko się mięszą w jakiś chaos.

stal ciupag, wszystko się mięsza w jakiś chaos, a najtęższe chłopy bledną jak trupy ze wzruszenia.

Baronet przypatrywał się z zajęciem.

— Taniec ten – powiedział—przypomina mi „fantazyę“ arabską, którą widziałem w Tunisie, i która miłem mi pozostała wspomnieniem. Arab, gdy chce uczcić gościa, przyjmuje go zawsze fantazyą, jakby w dodatku do chleba i soli. Gościłem w Algierze u pewnego szeika, posiadacza przepysznego rumaka i widziałem fantazyę nad brzegiem jeziora El-Bahira, na tle lasu kaktusów, aloesów, oliwnych drzew, cyprysów i różnorodnego kwiecia.

Dzień był piękny, mnóstwo ludzi wyległo na wybrzeże. Ukazali się dwaj jeźdźcy i rozpoczęła się fantazya przy dźwięku tamburina i fletu, rozpoczętych jakąś dziwną arabską melodyą, tajemniczą, niby monotonną a porywającą. Synowie pustyni bledną pod wpływem tej

czarodziejskiej piosenki o tajemniczej potędze i tańczą w takt, zjednoczeni najzupełniej z rumakami. Szable i strzelby służą za kastaniety czy wachlarze. Na właściwy akcent muzyczny huknie wystrzał i pta-

. . . a tancerze toczą końmi zawsze w takt.

szyna przelatująca spada na głowy, a tancerze toczą końmi zawsze w takt, walcząc naprawdę jak w śmiertelnym pojedynku, ale z własną fantazyą tylko.

— To musi być piękny widok — wtrącił malarz, rysując w swoim notatniku; baronet mówił dalej:

— Bo choćby zaczęli spokojnie, to muzyka i taniec upaja i odurza ich i ich rumaki, jak haczysz, jak opium. To upojenie jest widoczne i wzrasta coraz bardziej, a zręczność, siła, wdzięk, zamiast wyczerpywać, potęguje się z każdą chwilą. Zapał dochodzi do najwyższych granic, aż jeden z tancerzy pada jak martwy na piasek, upojony czarem fantazyi. Rumak zdający się mieć w tej walce jedną duszę z jeźdźcem, pochyla się w tej chwili, aby pan jego lżej upadł, a potem stoi nad nim drgając widocznie wszystkiemi muskułami, dotyka delikatnie nozdrzami jego skroni, i drobną stopą uderza w piasek nerwowo, dopóki czary nie miną. Tłum widzów wstrzymuje oddech, a gdy blady, z płonącemi oczyma Arab powstaje, okrzyk uwielbienia wstrząsa powietrze i odrazu przywraca mu przytomność. Tancerz wskakuje na konia, trzeźwy jak wiatr pustyni, i obaj z koniem gotowi rozpocząć fantazyę na nowo. Wspólnie ze mną przypatrywał się temu, rodak wasz panowie, książę Sapieha.

— I fantazyę arabską opisał — wtrącił malarz — opis jego zgadza się zupełnie z opowiadaniem waszej Miłości. Książe Sapieha zamiłowanym jest podróżnikiem: zwiedził kawał świata! Narysowałem tutaj tę fantazyę arabską — dodał podając kartkę baronetowi. Czy daje choć słabe wyobrażenie tego, co pan widziałeś, sir?

— Ależ świetnie, wybornie! — zawołał Warburton — przypatrując się z podziwieniem. — Jak doskonale uchwyciłeś pan ruch! Co to jest mieć talent!

Górale zmęczeni usiedli na trawie około ogniska, a gęśliki ciągle jeszcze grały. Sabała śpiewał:

„Jaworu, jaworu szerokiego liścia,
Dajże Panie Boże zbójnikowi szczęścia.

Ciemna nocka była, kiedy na zbój pośli,
Nie dał Pan Bóg szczęścia, nic my nie przynieśli.

Boże nam pomagaj i tym naszym nóżkom;
Dzisiaj powędrujem ku liptowskim wirszkom.“ [1])

— Taniec zbójecki, pieczary zbójeckie, skarby zbójeckie, te wyrazy obijające mi się ciągle o uszy, dowodzą że rozbójnictwo kwitło w Tatrach—mówił baronet, zwracając się do doktora—czy tak?

---

[1]) Wirchom.

Doktór począł tłomaczyć różnicę między rozbojem a zbójowaniem.

— Zbójnikiem—mówił—był człowiek zręczny, piękny, odważny, dowcipny, roztropny i dobroduszny, jednem słowem, bohater. Podhalanin brzydzi się rozbójnikiem, a uwielbia zbójnika.

— Aż sześć warunkowych przymiotów — wtrącił z uśmiechem Anglik.

— Zabierał bogatym, a dawał ubogim.

— Coś zakrawającego niby na socyalizm.

— Zbójnicy bywali pobożni, i idąc na zbój, prosili Pana Boga o powodzenie wyprawy. Legenda mówi, że starożytny kościół w Nowym Targu wzniesiony został rękami zbójników. Tak dbali o chwałę Bożą!

— To bardzo przypomina zwyczaje bandytów włoskich.

— Prawdziwymi zbójnikami byli w Tatrach najdzielniejsi młodzieńcy, synowie bogatych gazdów, bo zbijanie było przedewszystkiem junakieryą, dającą ujście młodzieńczej żądzy czynu. Waleczność ich, śmiałość, były niemal bajeczne. Nachodzili hale, wybierali daninę w serkach i baranach, urządzali wyprawy na wielkich właścicieli, rozbijali zamki, ale rzadko bywali mordercami. Zabójstwa dopuszczali się tylko we własnej obronie.

— Jak ja—pomyślał Henryk, który uczuwał jeszcze pewne skrupuły sumienia.

— Lub w razie silnego oporu ze strony napadniętego. Ale opór rzadko się zdarzał: każdy kto spojrzał na zbójnika, umierał ze strachu, tak przerażającym był jego widok z powodu uzbrojenia wielu nożami i pistoletami. Najsłynniejszym był Janosik, o którym liczne krążą piosenki i legendy. Zbójnictwo istniało jeszcze w Tatrach przed kilkudziesięciu laty, a żelazne kraty w oknach wielu domów w Zakopanem i wsiach okolicznych, datują z tych czasów. Sabała także zbójował za młodu.

— Doprawdy—zdziwił się Warburton, i nałożywszy binokle, przypatrywał mu się uważnie. — No, a tenże Janosik, którego pan wspomniałeś? Gdzież on teraz się obraca?

— Żył za czasów Maryi Teresy. Był śmiały, zręczny, litościwy dla biednych, a pamięć jego do dziś dnia wielbią Słowacy i Podhalanie. Historya o nim upiększana w ciągu całego wieku, stała się cudowną historyą „Tysiąca i jednej nocy“. Ma ona jednak w sobie pewną dozę prawdy. W tym Janosiku złączyli górale wszystkie przymioty ciała i umysłu, góralom przypisywane. Dzieje jego życia oprócz różnych cudownych powieści, upiększono jeszcze przygodami życia wszystkich zbójników tego samego imienia.

— Pan znasz tę legendę?

— Znam. Górale w niej jaskrawo przedstawiają swoje pojęcia o zbójnikach i zbójnictwie.

— Opowiedz pan, proszę. Jestem jej bardzo ciekawy.

Wyjął cygarnicę, poczęstował wszystkich i sam zapalił.

— Słuchamy—rzekł.

Doktór zaczął opowiadanie po niemiecku.

— „Raz student szedł ze szkół na wakacye do domu. Przechodząc przez wielki las, zbłądził i noc go tam zaskoczyła; nie mógł się w żaden sposób z tego boru wydostać. Wlazł wreszcie na wysokie drzewo i patrzał na wszystkie strony, czy końca lasu nie ujrzy. Spostrzegł w oddaleniu światełko, rzucił czapkę w tym kierunku, ażeby drogi nie zmylić, a zlazłszy z drzewa, poszedł za czapką i trafił do małej chatki. W oknie błyskało światełko i student wędrowny obaczył siedzącą w chacie staruszkę. Otworzył drzwi, wszedł do izdebki, a stara go zapytała:

— Coś ty za jeden i czego tu chcesz?

— Szedłem do domu ze szkół i zbłądziłem w lesie; proszę was, matko, przyjmijcie mnie na nocleg do waszej chatki. Nazywam się Janosik.

— Nie mogę ja ciebie przyjąć na nocleg—odrzekła stara—bo jak przyjdzie starsza moja siostra, to cię z pewnością zabije.

Poznał z tych słów staruszki, że trafił do mieszkania czarownic; nie uląkł się jednak i odpowiedział:

— Niech się już co chce dzieje, nie odejdę ztąd, jestem zmęczony i muszę tu przenocować.

Widząc czarownica, że niema z nim rady, zawołała młodzieńca do wieczerzy, a gdy zjedli oboje, schowała go za piecem. Wkrótce wleciała oknem na miotle starsza siostra, zaczęła nosem kręcić i zawołała:

— Ej! musi tu być gdzieś człowiek schowany w chacie?

— A co! wychodź, Janosik! — wykrzyknęła młodsza. Musiał więc rad nie rad wyjść z ukrycia.

— Siadaj ze mną do wieczerzy—powiedziała starsza czarownica; on zasiadł z nią do stołu, a gdy zjedli, stara rzekła:

— A teraz ruszaj ztąd, jeżeli ci życie miłe; bo jak powróci najstarsza nasza siostra, zabije cię niezawodnie.

A on i teraz się nie zatrwożył.

— Nie pójdę nigdzie i tu nocować będę—odparł, i za piec odszedł.

Przyleciała trzecia siostra najstarsza i zaraz zawołała, tak samo jak i średnia:

— Oj! gdzieś tu człowiek musi być schowany?

Znowu musiał Janosik wyjść ze swojej kryjówki; zaprosiła go najstarsza czarownica na wieczerzę, a gdy zjadłszy spać się położył, one wszystkie trzy naradzać się zaczęły, co z nim zrobić? Ale chłopak nie spał, udawał tylko i słyszał wszystko co mówiły.

— Połóżmy mu węgiel gorejący na żywe ciało—powiedziała jedna z sióstr—jeżeli ból zniesie i nie przebudzi się, to będzie z niego człek wytrzymały.

Jak rzekły, tak uczyniły: położyły mu na żywem ciele węgiel rozpalony; on się nie poruszył, ból znosił w milczeniu, póki węgiel nie zgasł. Czarownice wówczas powiedziały:

— Będzie z niego człek dzielny i wytrwały; warto, żeby został zbójnikiem. Musimy go oporządzić jak należy, do tego rzemiosła.

— Ja mu dam ciupagę—rzekła jedna.

— A ja koszulę—mówiła druga.

— A ja pas—dodała trzecia.

Z dalszej rozmowy czarownic dowiedział się Janosik, że na tej ciupadze, jak się uniesie, trzy mile przeskoczy, a w koszuli i pasie mieć będzie nadzwyczajną siłę. Najstarsza czarownica, co koszulę mu szyć miała, z wieczora zaraz zasiała na nią konopie —a na rano już i koszula była gotowa. Gdy wstał Janosik, trzy siostry oddały mu te dary, mówiąc:

— Nie będziesz ty uczonym ani księdzem, ino zbójnikiem. Oto masz ciupagę: jak się na niej uniesiesz, to trzy mile przeskoczysz; ona cię obroni od wszelkiego niebezpieczeństwa. W tej koszuli i pasie będziesz miał znów siłę nadzwyczajną. Ale żebyś był zbójnikiem nad wszystkimi zbójnikami, musisz najpierw własnego ojca zrabować.

Odszedł Janosik, zabierając ze sobą ten strój nowy; nie wziął go jednak na siebie, tylko schował w zawiniątko, a w mundurze swoim studenckim przybył do ojcowskiej chaty. Smutny był i zamyślony przez dzień cały; wieczorem ojciec powiedział, że się wybiera nazajutrz na kiermasz [1]) i bierze z sobą 150 złotych reńskich, bo woły kupić potrzebuje.

— Ej! nie idźcie, tatusiu—rzekł mu Janosik — żeby was zbóje nie zrabowali.

---

[1]) Jarmark.

— Oho!—odparł ojciec—możebyś ty się dał zbójom zrabować; ja ich się nie boję.

— Zobaczymy—szepnął Janosik.

Janosik.

Ojciec poszedł, a on w kilka godzin później ubrał się w swój mundur zbójecki, od czarownic otrzymany; siadł na ciupagę, w lot ojca dogonił, zaszedł mu drogę w lesie, ciupagą o ziemię stuknął i zapytał:

— Gdzie idziesz?

— Po woły—odrzekł stary, a ledwo mówić mógł ze strachu.

— Dawaj pieniądze!—krzyknął, a stary w tej chwili mu je oddał.

— Czy wszystkie?—spytał Janosik.

— Wszystkie — odpowiedział ojciec — nawet na drogę nie będę miał ani grosza.

Więc dał mu Janosik parę groszy na drogę i w las umknął z pieniędzmi — potem znów na swojej ciupadze w lot do domu powrócił; ojciec przywlókł się ledwo wieczorem. Nie poznał on rodzonego syna w zbójeckim mundurze; w chacie zastał go znów ubranego po studencku, siedzącego spokojnie, jakby nigdzie nie wychodził. Rzekł więc do niego z żałością wielką:

— Dobrześ ty mówił, synu; szkoda żem ciebie nie słuchał?

— A cóż to się wam przytrafiło, tatusiu?

— Oj, to mi się przytrafiło, że zbójnik jakiś zaskoczył mię w lesie, pieniądze zabrał: parę groszy mi tylko zostawił na drogę.

— Widzicie, tatusiu — mówił Janosik — mówiłem wam, żebyście nie szli, bo was zrabują, i tak się stało. A czyście się przypatrzyli owemu zbójnikowi? czybyście go poznali?

— O, poznałbym odrazu; taką miał na sobie straszną koszulę i pas okropny, a ręku ciupagę ogromną!

Janosik ukrył się w komorze, wziął na siebie mundur swój zbójnicki, wszedł napowrót do izby i zapytał ojca:

— A czy ten zbójnik nie tak czasem wyglądał?

— Ach! tak samo—zawołał stary.

On się rozśmiał, oddał ojcu pieniądze, a potem powiedział:

— Już ja nie będę uczonym, ani księdzem, do szkół nie powrócę, ino na zbója pójdę. Bywajcie zdrowi, tatusiu!

I ruszył w góry. Dobrał sobie wkrótce pomocników i towarzyszy; miał pod sobą dwunastu zbójników — a chociaż żaden Janosikowi dorównać nie mógł, wszyscy jednakże musieli się czemś nadzwyczajnem odznaczyć, ażeby on ich przyjął pod swoją komendę. Każdemu kazał wprzód próby odbywać i różnych sztuk dokazywać w swojej obecności.

Jeden naprzykład podskakiwał do wierzchołka wysokiej jodły i ścinał go szablą, albo z pistoletu odstrzeliwał. Drugi łamał w ręku pnie drzew najgrubszych, trzeci kruszył w garści najtwardze kamienie. Janosik sam to wszystko robił z łatwością: nieraz, dla zabawki, jak skoczył, ręką chwytał wierzchołek największego smereka. Są jeszcze w niektórych chatach obrazki na szkle malowane, przedstawiające te nadzwyczajne sztuki, jak to panowie mieliście sposobność widzieć w „czarnej“ izbie na Starej Polanie. Stałe mieszkanie obrał on sobie w Liptowie; tam w lesie ukrywał się ze swoją bandą i w okolicę na zbójeckie wyprawy się puszczał.

Janosik rabował tylko bogaczów, ubogim nigdy krzywdy żadnej nie czynił, przeciwnie, wspomagał ich często i hojnie pieniądze rozdawał. Jeżeli spotkał górala co szedł na kiermasz, a mało miał pieniędzy, to mu dodał. Raz 400 reńskich dał biedakowi na kupienie wołów; że zaś tak drogich bydląt nie było, więc najlepsze woły kupił i jeszcze mu 100 reńskich zostało. To znów obaczywszy staruszkę bosą, dał jej pieniądze, aby sobie buty kupiła; lecz srodze się rozgniewał, gdy tego przez skąpstwo nie zrobiła i z kiermaszu znów boso wracała. Tak okropnie jej wygrażał, że stara o mało nie umarła ze strachu i byłaby wolała danych pieniędzy się wyrzec.

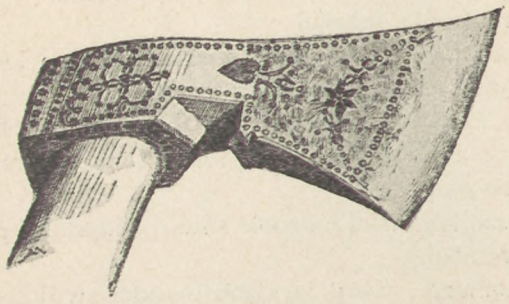

Siekiera zbójnicka.

Raz posłał do pewnego bogatego pana, zapowiadając, że przyjdzie do niego na obiad z dwunastoma swoimi kamratami, więc żeby wszystko dla nich przygotowano. Pan odpowiedział, że bardzo dobrze, czekać będzie Janosika i towarzyszy jego z obiadem. A tymczasem kazał zwołać z całej wsi swojej, a nawet z okolicznych wiosek najsilniejszych ludzi, uzbroił ich w kije i tak czekali, sądząc że łatwo Janosika pokonają. Nie wiedział ów pan o jego czarodziejskiej sile, o koszuli, o pasie i ciupadze, darowanych przez trzy czarownice.

Jak tylko nadszedł Janosik, zaraz spostrzegł jaka zdrada przeciw niemu była uknuta; ale poradził sobie: wywinął tylko ciupagą i połowa napastników padła na ziemię. Potem chwytał wozy i bryczki, przez pałac przerzucał, przebiegał na drugą stronę i chwytał w lot. Dużo napędziwszy strachu, zabrał panu, co miał pieniędzy w domu, i odszedł do lasu.

Doszły nakoniec te sprawki Janosika aż do uszu cesarza w Wiedniu: mieszkańcy Liptowa ciągle na niego zanosili skargi, więc cesarz wysłał cały pułk żołnierzy, aby go schwytali. Nie ukrywał się Janosik przed nimi, lecz śmiało stanął ze swoją ciupagą naprzeciw żołnierzy, uzbrojonych w broń palną. Oni strzelali a on kule chwytał w powietrzu i na nich ciskał, bo czarodziejska koszula nie dopuszczała kul do niego. Potem wypuścił ciupagę, wołając tylko:

— Ciupaga, bij!

Ciupaga tak biła i rąbała na wszystkie strony, że pułk żołnierzy uciekł w końcu w popłochu. Innym razem zdrajca jakiś zeszedł Jano-

sika w chwili, gdy klęcząc pacierze odmawiał. Stanąwszy z tyłu, strzelił zdrajca do niego, bo nie wiedział, że on się kul nie obawia. Gdy jedna kula nie dosięgła go i odskoczyła, strzelił raz drugi—a gdy i tym razem odskoczyła, zdrajca przestraszony uciekać zaczął, lecz Janosik tymczasem ukończył pacierze, dogonił go i zabił.

Raz cesarz z drugim królem wydali sobie wojnę i w końcu na tem stanęło, że dwaj rycerze z obu stron wybrani, mieli się potykać w pojedynku i trzy wojny rozstrzygnąć. Posłał tedy cesarz po Janosika, aby po jego stronie stawał. Przybył do Liptowa pułk huzarów: pięknego konia dla niego przyprowadzili, szukali go wszędzie, pytali gdzie Janosik mieszka, a ludzie im pokazali, że w lesie. Poszli do lasu, spotkali samego Janosika, ale go nie poznali—i znów pytają gdzie mieszka? On chwycił drzewo, wyrwał je z korzeniami, pokazał, i powiedział że to jest jego mieszkanie. Domyślili się, że to on sam stoi przed nimi, opowiedzieli czego cesarz żąda od niego i podali mu konia. Ale on nie chciał konno jechać, rzekł im tylko:

— Ja tam prędzej będę od was!

I w rzeczy samej, w trzy dni po nich wyruszył na swojej ciupadze, a już go na miejscu zastali, gdy przybyli i zaraz prowadzili do cesarza. Chciano mu dać zbroję żelazną i pancerz, szablę i wierzchowca pięknego przygotowano – lecz on nic z tego wszystkiego nie chciał; ciupagę wziął do ręki i szedł pieszo naprzód, a za nim cesarz z całem wojskiem. Tak przyszli na plac boju, gdzie czekał nieprzyjaciel, i rycerz co miał stanąć do pojedynku z Janosikiem, wystąpił naprzód. Był on cały zakuty w żelazo, i siedział na dzielnym rumaku. Gdy obaczył przeciwnika idącego pieszo naprzeciw niemu, chciał go zaraz zastrzelić z pistoletu, lub ciąć szablą; ale Janosik chwycił tylko konia za nogę, i noga mu w ręku została, a rycerz obalony na ziemię, nie mógł już dalej walczyć.

Chciał cesarz zabrać z sobą Janosika, ale on nie miał ochoty iść: powiedział tylko że już swoje zrobił, a teraz wraca do domu, i skoczył na ciupadze do Liptowa, gdzie mu było najlepiej. Ale Liptacy sprzysięgli się na niego i w końcu też go zgubili. Wiedzieli że Janosik ma siłę nadzwyczajną i starali się dojść, zkąd ona pochodziła. Udało im się w końcu przekupić kobietę, do której on czasem przychodził ze swoimi kamratami i uczty wyprawiał. Gdy raz był trochę podchmielony, chytra ta kobieta zaczęła się go rozpytywać, wyciągać na słówka, aż w końcu powiedział jej, że tę siłę czarodziejską daje mu koszula, pas i ciupaga, dary trzech sióstr czarownic.

Tego tylko potrzeba było mieszkańcom Liptowa; zaczaili się w domu tej kobiety i gdy Janosik przyszedł znowu ucztę wyprawiać, a uczęstowawszy się trochę zanadto, spać się położył, oni mu ciupagę

wykradli i zamknęli tak daleko, że ją od niego dziecięcioro drzwi dzieliło. Potem rzucili się na śpiącego, porozcinali na nim pas i koszulę, ściągnęli jedno i drugie; zaraz też Janosik wielką swą siłę utracił. Mogli go związać, zaprowadzić do więzienia, zrobić z nim wszystko co chcieli. Ciupaga ruszyła się wprawdzie na pomoc Janosikowi i ośmioro drzwi przebiła, lecz w dziewiątych ugrzęzła.

Sędziowie skazali na śmierć Janosika i wyrok wykonali jak najspieszniej, a gdy z Wiednia od cesarza nadeszło ułaskawienie, już było za późno. Cesarz nie darował tego mieszkańcom Liptowa: za to że powiesili Janosika, który mu oddał taką usługę w owym pojedynku, nałożył na nich wielki podatek, do dzisiejszego dnia opłacany.

Tak Janosik przez kobietę skończył.“

— Szkoda że Strand tego nie słyszy — szepnął Witold — miałby nowy materyał do wymysłów na ród niewieści.

— Powieść bardzo zajmująca—powiedział baronet, wysłuchawszy uważnie — i silnie miejscowym zabarwiona kolorytem.

— Dodam na zakończenie, że trudno znaleźć Podhalanina lub Słowaka, któryby historyę o Janosiku w wątpliwość podawał, albo takiego któryby nie miał współczucia dla tego bohatera. Jeżeli państwo chcielibyście wiedzieć jak wyglądał, mogę zaspokoić waszą ciekawość, oto jego autentyczny portret: darował mi go kolega Alesz.

I wyjąwszy z kieszonki notatnika niewielką kartkę podał ją Warburtonowi, który jej się długo i uważnie i przyglądał.

— Ideałem ludu Podhalańskiego, jest jak widzę dzielność, a Janosik uosabia ten ideał — odrzekł baronet, zapalając świeże cygaro.

— Ta dzielność góralska, dochodzi często do zuchwalstwa, niemal legendowego. Dla górala uniesionego gniewem lub namiętnością, niema niepodobieństwa—mówił dalej Witold.—Opowiadał mi Witkiewicz o jednym, który się zwał Marduła. Ten pod wpływem uniesienia rzucał się jak ryś do oczu nie tylko pojedyńczym ludziom, ale całym tłumom. Raz poszedł na Węgry i sam napadł na karczmę, w której było sześćdziesięciu Liptaków. Rzucił się między nich, wołając: „Gadajta psia kość po polsku, a nie, to won!“ Ciskał się z ciupagą do oczu każdemu, krzycząc: „Tyś tu, tyś tu!“ aż wygnał wszystkich na dwór. Potem ich zaprosił do karczmy, płacił za wódkę i hulał z nimi przez noc całą.

— Wspominaliście wczoraj panowie, że Sabała wyliczając szereg gospód swoich, wymienił między innemi jakąś grotę zbójecką z dziedzińcem, gdzie ów Janosik przebywał — odezwał się znów baronet. — Teraz, gdy go z pańskiego opowiadania poznałem, radbym tę grotę obejrzeć.

— Jeżeli wasza Miłość sobie życzy, możemy tam iść, Sabała nas poprowadzi; ale ponieważ ona jest bliżej pierwszej bramy, więc możemy ją obejrzeć za powrotem.

— Hm — rzekł niedbale Warburton, jabym chciał powrócić inną drogą. Chodźmy teraz!

Jakubowi i Witoldowi dziwnemi się wydały te wyrazy, ale nie protestowali.

XII.

ZDOBYCZ PROFESORA STRANDA.

„ . . . tu kostnica starych dni się ściele,
Tu krętorogie leżą Ammonity,
Niby Jońskich kolumn kapitele.
Gdzie spojrzę, widzę wytłoczone wzory
Nieznanych istot: paprociowe bory,
Skrzydlate smoki. Rozszalałe życie.
Z gruba ciosane stworzenia początki."
Deotyma. Kamienie.

— Ale jakże pójdziemy bez profesora Stranda—rzekł zafrasowany Warburton;—jeżeli chciał użyć rannego spaceru, to doprawdy czas już aby był z powrotem. Któż chodzi na dalszy spacer bez śniadania!

I spojrzawszy na zegarek, dodał:

— Dziesiąta godzina: dziwna rzecz, że jego żołądek dotąd się nie upomniał o należną daninę.

— Może co z sobą wziął — zrobił uwagę Walter.

— Wziął — odrzekł Jakób — czarkę do wina i nóż z grajcarkiem, które wczoraj wieczorem przy jego posłaniu zauważyłem, ale zostawił natomiast butelkę i bułkę z szynką.

— Ach, co za roztargniony człowiek! Cóż on będzie pił swoją czarką, chyba wodę w strumieniu?

— Która nawet z powodu swej przedziwnej czystości, nie jest tak pożywną, jak wody na równinach zawierające sporo cząstek organicznych — odpowiedział, śmiejąc się.

— Że też po nocnej przygodzie, która go tak wyczerpała, że aż omdlał, chciało mu się jeszcze iść szukać awantury... Gotów znowu zabłądzić!

— Profesor Strand ma przy sobie wyborną mapę Tatr, na której wszystkie ścieżki są oznaczone. Zbłądzić nie może: pewnie poszedł nad staw Smereczyński szukać drugiej traszki, w miejsce tej którą mu wczoraj spłoszyliśmy — powiedział Witold i przypuszczenie to wydało się wszystkim bardzo prawdopodobne.

Warburton przywołał Jerrego i upomniał, żeby dla profesora była gorąca herbata.

W tej chwili na zakręcie drogi ukazał się Strand, a twarz jego czerwona od zmęczenia, promieniała wyrazem cichego a wielkiego rozradowania.

— A, jesteś pan nareszcie! — zawołał uradowany baronet — pewnie pana głód przypędził. Bo też kto widział chodzić na czczo na spacer! Siadajże coprędzej do śniadania, i powiedz nam gdzieś bywał.

Ale Strand na wesołe powitanie nie odpowiedział w taki sam sposób: stanął i wyrzekł tonem dziwnie poważnym i uroczystym.

— Byłem na cmentarzu.

— Na cmentarzu! — zawołali wszyscy jednogłośnie — co pan mówisz?

— Albo jest cmentarz w dolinie Kościeliskiej? — zapytał doktór.

— W Kościeliskach nie chowano nigdy umarłych, wyjąwszy młynarza spoczywającego przy krzyżu—oświadczył stanowczo malarz — a jeden z przewodników wyrzekł do drugiego znane góralskie przysłowie:

— Jemu cosi chybia: „wrzekomo je mądry, a głupio gada; jakisi niedosolony.“

Strand uśmiechnął się z politowaniem i poczekawszy aż wszyscy umilkli, przemówił jeszcze uroczyściej.

— I znalazłem szczątki istot dawno zamarłych.

To powiedziawszy, podniósł w górę brunatny, zwęglony przedmiot, ukrywany dotąd starannie pod pachą. Wszyscy obecni spoglądali po sobie zdziwieni, a Jakób przypatrzywszy się nieco przedmiotowi, zawołał:

— Wiem już, wiem, pan byłeś nad Smereczyńskim stawem wysoko, na Tomanowej, między krzesanicami [1]). Zdaleka uderza tam pstrokacizną kilka źlebków [2]), które górale zwą Czerwonemi.

— A pan zkąd wiesz o tem? — zapytał Strand, spoglądając na mówiącego niechętnie z pod brwi zmarszczonych.

— Mniejsza o to, opowiadaj pan coś tam robił i jakim sposobem odkryłeś ów cmentarz, bo to jest najciekawsze — przerwał Warburton.

---

[1]) Skały strome, gładkie i wysokie.

[2]) Parowy.

— A więc słuchajcie: już wczoraj siedząc nad stawem Smereczyńskim, zwróciłem uwagę na widniejący zdaleka pas pstrej, czerwonej ziemi, i gdyby sir Edward nie postanowił przepędzić nocy w dolinie Kościeliskiej, ja sam byłbym pozostał, żeby zbadać te źlebki. Dziś więc poszedłem tam i zacząłem kopać moją ciupagą. W łupkach czarnych, między ławami kwarcytowemi, znalazłem odciski roślin przedpotowych, przypominających Widłaki leśne, Paprocie drzewiaste, Skrzypy olbrzymie. Takich skrzypów i paproci, moi panowie, próżnobyśmy dziś w dolinie Kościeliskiej szukali. Wszystko nędzne i skarłowaciałe!...

— Szkoda, żeś się pan nie urodził przed potopem—wtrącił malarz z uśmiechem.

— O tak, szkoda, myślałem to sobie właśnie schodząc z Tomanowej. Znalazłem tedy część skamieniałego pnia Sagowca: co za świetny nabytek! Zazdrościłem nieraz Sturowi, geologowi wiedeńskiemu, że znalazł szczątki olbrzymiego skrzypa, a tymczasem niebo pozwoliło mi także zrobić w Tatrach odkrycie, równające się tamtemu. Patrzcie jak wybornie zachowany: będzie to cenny dar dla Muzeum berlińskiego. Pnie podobne w ogóle są bardzo rzadkie: napotykają się w południowej Anglii, Francyi, Włoszech, oraz w Ameryce Północnej. Zwracały już one na siebie uwagę starożytnych Etrusków, którzy ozdabiali niemi swe groby.

— Muszę pana zmartwić — odezwał się Jakób. — Trzy lata temu odkrył to cmentarzysko, znakomity nasz botanik profesor Maryan Raciborski. Znalazł on tam odciski przedpotopowych liści, łodyg i owoców; znalazł grube, jak kolana ludzkie, łodygi skrzypów, gałązki iglastych Palisyi spowinowaconych z Cyprysami japońskiemi.

Twarz uczonego Stranda przeciągnęła się.

— Więc on tam był przedemną... — wyjąknął zmartwiony — szczęśliwy człowiek!

— A potem przyjaciel mój, botanik także, Mieczysław Limanowski. Oni obaj, wielcy tych gór miłośnicy, opowiedzieli mi o Tatrach baśń bardzo, bardzo starą.

— Opowiedz nam ją pan — prosił Warburton, podając mu cygarnicę — a pan, panie profesorze, siadaj do śniadania.

Profesor usiadł posłusznie obok baroneta, położywszy swą zdobycz na stole, i zabrał się do herbaty którą mu podał Jerry. Warburton sam ukroił mu kawałek chleba, posmarował masłem i podał, a Strand machinalnie wziąwszy, jeść zaczął, cały pochłonięty swem odkryciem.

Jakób zapaliwszy cygaro, tak zaczął.

— Czy myślicie, że ojczyzna Kozicy i Kosodrzewiu, zawsze tak dziką była jak obecnie; że kraina wiecznych śniegów i turni, nie zaznała nigdy zielonej wiosny?

— O, to będzie cóś ładnego — pomyślał Henryk i odezwał się:

— Proszę pana, jaki jest tytuł tej pańskiej baśni?

Jakób zastanowił się chwilę i odpowiedział:

— Tytuł: „Pratatry."

I puściwszy kilka misternych kółek dymu, mówił dalej.

— Był ląd prastary, a góry strzelały wysoko nad modro siną falą. Może kraj ten pokrywały wymarłe już dziś Walchie o cudownych kształtach i tworzyły głuche bory, na podobieństwo dzisiejszych smerekowych. Może to były bujne lasy wspaniałych i potężnych Paproci drzewiastych, złudnie do Palm podobnych, o pniach prostych, wysmukłych, uwieńczonych na szczycie głową łusk złocistych, z których wybiegały kilkometrowej długości liście, wykrawane w najdelikatniejsze wzory — paproci, których skarlałe pokolenia po dziś dzień przetrwały między mchem i kosówką. A może mięszane lasy drobnolistnych Widryngtonii i pnących się w górę Kordaitów, o owockach spłaszczonego grochu, wespół z Sagowcami, wysmukłemi królewiętami flory ówczesnej, a w cieniu tych drzew cały świat drobnych paproci najrozmaitszych kształtów, o ślicznej siatce nerwacyjnej.

Z krainy wiecznych śniegów, schodziły opalowo się w słońcu mieniące lodowce nad morze, w nadbrzeżne puszcze bagniste, między szarozielone mchy Kalamitów, skrzypów olbrzymich, podobnych do potężnych mioteł powtykanych przez czarownice, a na brzegach porastały paprocie Glosopteris o szlachetnym rysunku liści Wierzbówki, strojącej dzisiaj Regle.

— A kwiaty?—zapytał Henryk, oczarowany tym obrazem.

— Jednostajnej zieleni zwartych gąszczy nie bramowały żadne pstre kwiaty; w odurzających oparzeliskach nie kołysały się Nenufary. Nie było ani złotych Aurykuli, ani szafirowych kielichów Goryczek, ani bladych rozet Ostów jesiennych, nic!

— Ale pan wymieniłeś drzewa, rosnąć mogące tylko w gorącym klimacie—zrobił uwagę Walter.

— Bo klimat Tatr był wówczas gorący, jak zresztą niemal na całej kuli ziemskiej — odparł Jakób. — Ogrzewało ją ciepło wewnętrzne od spodu, bo skorupa wierzchnia była jeszcze stosunkowo cienka i stopniowo dopiero, z upływem wieków, coraz grubszą pokrywała się warstwą ziemi rodzajnej, powstałej z wietrzenia skał, z odnawiającej się ciągle roślinności, coraz nowym pokrywającej ją kobiercem.

— Dziwny więc widok przedstawiały te czasy—powiedział Warburton.

— O tak, bardzo dziwny. Wyobraźmy sobie sylwetki skarłowaciałych dziś Skrzypów rozdęte do potwornych rozmiarów, na tle dzikiej orgii barw i łun, odblasków niedalekich wulkanów Pratatr, w okolicy

górnego Wagu [1]) ogniem ziejących. Była to epoka trzęsień i wybuchów gwałtownych lawy, a kłęby dymów wulkanicznych ziemię zaciemniały, albo tarczę słońca czyniły trawiastą niby grynszpan, lub błękitną, i okalały ją obrączką cisawą lub zieloną, tworząc tony piekielne, albo łuny krwawych języków, co w dzikich pomrokach gąszczy i puszczach się mieniąc, tworzyły świat z bajki. I było ponuro wtedy, gdy na tle orgii barw, potwornych rozmiarów Ważki, których skrzydła miały po 70 centymetrów długości, głucho po powietrzu latały, sterując niby olbrzymie nietoperze, a plazy moczarowe odgłosem wtórowały głuchemu, ponuremu szelestowi trących o siebie i przesiąkłych krzemionką liści Skrzypów.

— A świat ptasi? a błyszczące Motyle i Chrząszcze? — pytał Henryk.

— Nie istniały: lasy pełne były dziwnej fauny. W mrocznych, parnych gąszczach, po śliskiej ziemi pełzały Stonogi i kryły się pod kamieniami lub w próchniejącem drzewie przed Archeogosaurem i Brauchiosaurem, którego kijankami o trójkątnych głowach, roiły się ówczesne moczarowe wody. Bez liku było olbrzymich Skorpionów krwi chciwych, bez liku Pająków polujących na srebrne Jętki i Ważki, których chmury nad parzeliskami zygzakowato się uwijały, mieniąc się przepysznie w powietrzu i siadając na skrzypach nadwodnych i pastorałach paprociowych. Chrząszcze dziurawiły drewno Kalamitów, Ślimaki w butwiejących pniach dumały, a Szarańczaki, te najstarsze owady w świecie, wieczorem za żerem bujały, jak to dziś potomkowie ich czynią, wieczorem wyłażąc z dziupli i szczelin.

I w morzu opasującem ten dziwny ląd, pleniło się życie pełne gwaru i walki o byt: Ryby, Raki, Mięczaki morskie.

— Czy wszystko w tej bajce jest prawdziwe? — zapytał Henryk.

— Nie wiem: może część, a może i wszystko. Jedno tylko jest prawdą niechybną, że rzeźba Tatr piętrzyła się w tem samem miejscu, gdzie teraz, że trwały długie wieki, aż przyszła chwila zgładzenia ich do szczętu.

— Jakto! — zawołali chórem wszyscy, prócz profesora — Tatry przestały istnieć?

— Tak. Fale morza jęły się przelewać ku południowi i sięgały pratatrowego trzonu granitowego. Nastała walka na śmierć i życie obu żywiołów: ląd uległ tłoczącej go fali. Tatry zanurzały się pod wodę bezwiednie, kierowane temi samemi siłami, które zanurzają bogate równiny Holandyi i brzegi Baltyku, a wynurzają Skandynawię z wody

---

[1]) Rzeka w Tatrach węgierskich, powstająca z dwóch potoków: Czarnej i Białej Wagi.

temi samemi, które topią Pomorze i Wenecyę i budzą ciche legendy o zatopionych miastach.

— Jakież mogły być przyczyny tych zmian tak nadzwyczajnych, panie?

— Przyczyny te nieznane nam są dokładnie, a kto wie, czy nie spowodowane były przez zmianę położenia osi ziemskiej — dodał Strand.

— Woda stała się narzędziem zguby—mówił Jakób dalej:—rozpoczęło się bezlitosne heblowanie i ścieranie. Woda była olbrzymim, po widnokręgi sięgającym nożem, którego powierzchnią było stalowo sine morze, a ostrzem, pianą ząbkowana nadbrzeżna linia. Klinga ta straszliwa a potężna, niby tajemniczemu fatum posłuszna, wciskała się coraz bardziej, coraz głębiej w Pratatry, ścieląc za sobą na wygładzonej równinie, piasek, zwir i gruz. Jak Atlantyk liże skaliste brzegi Bretanii, a Adryatyk liguryjskie ściany, lub brzegi Sorento, tak Tatry lizała fala.

— A więc potop.

— Tak. Potop zgładził Tatry, a morze chwilowo syte, zaległo widnokrąg na długie szeregi niezliczonych milionów lat.

— Ten pański przyjaciel, to poeta — odezwał się Warburton, gdy Jakób umilkł.—Obrazy maluje z siłą Dantejską. Nie jest to zwykła baśń, ale tragedya w wielkim stylu!

— Czy już skończona?—zapytał Walter.

— Ależ nie! - zawołał Warburton.—Zgładziłeś pan Tatry, musisz je wznieść na nowo.

— Skończyłem pierwszą część—powiedział Jakób.

— To dobrze: zapal pan nowe cygaro i rozpocznij budowanie.

— Słuchamy—rzekł Witold, rysując w notatniku.

— Wieki trwały i Tatry powstały z prochu Pratatr przez potop zgładzonych. Długo morze kołowało się nad zalanym lądem, składając na dnie potężnych rozmiarów osady. Najprzód były to wyspy bez śladu skał, porosłe zwrotnikową roślinnością, podobną do tej jaka została potopem zniszczona. Aż dnia jednego, siły wnętrza ziemi, gorotwórcze moce, wypiętrzać zaczęły osady złożone na dnie.

— Wiele byłoby o tem mówić—mruknął Strand.—Utrzymywano dotąd, że góry wypchnięte zostały z wnętrza ziemi siłą wulkanów, a teraz są tacy, co to podają w wątpliwość i utrzymują, że góry są wynikiem kurczenia się powierzchni ziemi, na podobieństwo skórki na wysychającem jabłku. I czy panowie myślicie, że ja wierzę tej hypotezie, mającej wszelkie pozory prawdopodobieństwa?

Wzruszył ramionami.

— Teorye naukowe podlegają niestety modzie, jak stroje u niewiast!

— Jest... ten niecierpi niewiast, a ciągle o nich mówi—szepnął ze złośliwym uśmiechem Witold do Jakóba.

— Zrobi ktoś odkrycie w mózgu własnym i sądzi, że je uczynił w naturze, a wszyscy owczym pędem uznają to za prawdę rzeczywistą i zaczynają na niej budować swoje własne teorye, a na ich teoryach budują znowu inni, i tak powstają gmachy kilkopiętrowe, stojące dopóty, dopóki ktoś drugi nie odkryje znów w swoim mózgu czegoś innego, mającego więcej pozorów prawdy... Wtedy tamte padają jak domki z kart. Długie wieki przecież mniemano, że ziemia jest płaską, a sklepienie niebios wspiera się na kolumnach; potem że słońce spaceruje dokoła ziemi, aż przyszedł Kopernik i przekonał wszystkich, że jest inaczej.

— Czyż pan byłbyś przeciwnikiem dociekań naukowych, pan, uczony?—zapytał Warburton zdziwiony.

— Przeciwnikiem? bynajmniej, jestem tylko przeciwnikiem pychy uczonych. Ja sam uczę się ciągle, badam, szukam, ale nie chełpię się nigdy, że wiem coś na pewno, bo przekonałem się nieraz, że gdy mi się wydawało iż jestem u źródła prawdy, byłem od niej daleko... Bóg tylko jeden jest prawdą nieomylną. On trzyma w swych potężnych dłoniach końce osi ziemskiej i kieruje przelewaniem się oceanów od bieguna do bieguna. On nadał światu prawa niezmienne i wyznaczył drogi gwiazdom. On niepojęty i niezbadany, korzy pychę rozumu ludzkiego, ukazując mu w dawnych cmentarzyskach szczątki wymarłej od wieków fauny i flory, i mówi: „Proch jesteś i w proch się obrócisz.“

Strand mówił z zapałem, a ostatnie jego wyrazy pogrążyły wszystkich w zamyślenie. Chwilę panowało milczenie, wreszcie Warburton przerwał je, zwracając się do Jakóba.

— Czekamy drugiego aktu tragedyi, doktorze. A najprzód, jak wyglądały Tatry zmartwychpowstałe?

— Nie były one tak wysokie jak dziś, ale stanowiły raczej grupę wzgórz. Krajobraz był różny od poprzedniego. Liczne Dęby o liściach zawsze zielonych, tworzyły razem z Figowcami, Magnoliami oraz gatunkami Protaceów i Merikaceów, las mięszany, uderzający rozmaitością typów, mięszaniną rodzajów właściwych obecnie strefie zwrotnikowej z jednej, a strefie drzew zielonych z drugiej strony. Skąpe są drzewa iglaste podobne do Cedrów i Cyprysów, ale są Palmy o liściach wachlarzowatych i pierzastych, są gęstwiny Bambusów, Pandany o długich, wązkich liściach, wsparte na rusztowaniu korzeni powietrznych, są jeszcze tu i owdzie przysadziste pnie Sagowców, wysmukłe pnie drzewiastych Paproci, a przedewszystkiem las wyniosłych drzew zwrotnikowych o liściach wielkich, Lip, Fig, drzew Chlebowych, z ljanami pnących się Winorośli i Bluszczów.

— Co za czarujący malujesz pan krajobraz — odezwał się Walter — szkoda, że już nie istnieje! Z rozkoszą zjadłbym w tej chwili świeżą figę, lub kawałek owocu chlebowego. Gdyby istnieli już wtedy tatrzańscy górale, nie mogliby śpiewać:

„Oj biedna, biedna, ta nasza kraina,
Gdzie chleb się kończy a skała zaczyna."

— Morze zatokami wdzierało się na ląd, pokrywało lasy warstwami zwiru, to znów cofało się, a ziemia ponownie zieleniła się od roślin. Jak długo to trwało, tego nawet profesor Strand nie umiałby nam powiedzieć. Wreszcie pod wpływem potężnej, poziomo działającej siły, wypiętrzają się szczyty i turnie tatrzańskie. Były one wyższe niż są dzisiaj, ale wody i wiatry wyrzeźbiły dzisiejsze grzebienie, maczugi i iglice.

— Jest zatem nowy akt w pańskiej tragedyi! A jakież były dekoracye?

— Krajobraz roślinny ówczesnych Tatr, przypominał brzegi dzisiejsze morza Śródziemnego, lub Japonię. Lasy drzew zawsze zielonych, pośród których przeważały liczne Wawrzyny, Kasztany, Dęby, pokrywały stoki tych gór. Brzegi rzek i jeziora, porastały Topole i Klony: wśród nich występuje pospolity wówczas wszędzie Glyptostrobus, podobny do Cyprysu. Zjawiają się z dalekiej północy przybyłe Lipy, o liściach szerokich.

— A gdzież są Sagowce i Palmy?

— Cofnęły się na południowe stoki Karpat; znikły Paprocie drzewiaste, a rośliny wymagające klimatu zwrotnikowego, cofnęły się ku Równikowi, wygnane przez zimno.

— Zimno zjawiło się niby Anioł wypędzający Adama z raju — odezwał się Walter — ale opowiedz pan, proszę, jak się to stało!

— Karta świata wyglądała wtedy inaczej, niż dziś. Był wśród mórz południowej półkuli, olbrzymi ląd obejmujący część dzisiejszej Brazylii, przez Atlantyk, Afrykę, Afganistan i Indye, sięgający do Australii. Był pokryty siecią olbrzymich jezior i rzeźbą wysokich gór; na górach tych rodziły się lodowce. Na północnej zaś półkuli, gdzie dziś Europa, całe szeregi wysp i wysepek się słały, a pomiędzy niemi Pratatry. Dziwna godzina wtedy przyszła na ziemię, jakby słońce zaczęło wstrzymywać żar swój. Z gór tego dalekiego lądu, lodowce zaczęły spływać ku dolinom parnym, a wraz z zimnem cała armia przewrotu, cały nieprzeliczony orszak roślin chłodnego klimatu, wypierając dotychczasowych mieszkańców. Rozpoczęła się głucha walka dwóch

żywiołów o piędź ziemi. Prastare Sygilarye i Kordaity wygryzane zimnem, wypierane przez żołnierzy nowej armii, ustępowały—bo zdobywcy, raz zdobytej ziemi już nie oddawali, jak to dziś czynią smereki, co wygryzają rozłożyste Buki na Reglach.

— Znów zmiana dekoracyi — wtrącił Warburton.

— O, nawet bardzo znaczna. Zalesione dziś Regle były zapewne pokryte drobną roślinnością turni dzisiejszych, śród której porosty skal-

... krajobraz olbrzymich Paprotników.

ne pierwsze zajmują miejsce. Karłowate Brzozy i Wierzby, kępy Różanecznika, poduszki Łomikamieni, lasy Modrzewi sybirskich, Sosen, Limb i Brzóz, przetrwały tę chłodną epokę.

Cygaro zgasło opowiadającemu, wyciągnął rękę po zapałkę.

— Czy już koniec? — zapytał Warburton.

— Prawie: jeszcze kilka słów zamiast epilogu i jeszcze jedna zmiana dekoracyi. Lodowce zniknęły, następuje emigracya roślin z Południa i Północy; zajmują one puste poprzednio łoża lodowców, pokrywają lasami Regle, nizka wegetacya alpejska pokrywa turnie. W walce o byt z nowymi przybyszami, ze zmienionemi warunkami klimatu, giną zwolna dawniejsi obywatele roślinni Tatr; wymiera Modrzew, Cis, Różanecznik, wreszcie zjawia się człowiek, aby swym wpływem, rolnictwem hodowlą bydła, jeszcze bardziej zmienić kwiecistą szatę gór naszych. Jakże, czy panów zajęło opowiadanie?

— Bardzo — zawołali wszyscy jednogłośnie — zasłużyłeś pan na szczery poklask.

I baronet pierwszy w dłoń uderzył, a za nim wszyscy, i przez chwilę brzmiał odgłos oklasków w całej dolinie, jakby w sali teatralnej, a gdy ustały, Jakób rzekł jeszcze:

Nad płynącą rzeką ścielą się Skrzypy.

— Wieki miną i Tatry znikną znowu, jak zniknęły olbrzymie Kaledońskie góry lodowcami bramowane, sięgające ze Szkocyi do Norwegii, jak góry Armorykańskie w Bretanii a Waryskijskie w Niemczech, jak moc innych gór.

— Zamilknij proroku złowieszczy — zawołał z przesadą Witold — i nie przeszkadzaj nam cieszyć się dzisiejszą Tatr pięknością, fantazyą tatrzańską i pieśniami zbójeckiemi. Zrobiłem naprędce ilustracye do opowiadania pana Jakóba: może chcecie je obejrzeć. Na tej pierwszej jest przypuszczalny krajobraz olbrzymich Paprotników. Na szczycie potężny Lepidodendron i kilka miotlowatych Sigilaryi. Paprocie przy samej ziemi. A na tej drugiej...

— Krajobraz zupełnie inny — wtrącił Henryk przypatrując się z ciekawością.

— Na drugiej jest roślinność, przypuszczalna naturalnie, wysepek podtatrzańskich. Nad płynącą rzeką ścielą się Skrzypy, w głębi Sagowce i Widryngtonie; po lewej stronie są Paprocie drzewiaste, i iglaste Palisye.

I podał swój notatnik z naszkicowanemi efektownie dwoma krajobrazami przypuszczalnemi. Chwalili je wszyscy i podziwiali, a notatnik kolejno z rąk do rąk przechodził. Henryk, na którym stara baśń o Pratatrach wielkie uczyniła wrażenie, zbliżył się do profesora i zapytał:

— Proszę pana, w całej tej sprawie jednej rzeczy nie rozumiem: Wspomniał pan, że czerwonawy kolor ziemi nad stawem Smereczyńskim, wprowadził pana wczoraj jeszcze na domysł, że tam znajdować się może prastare cmentarzysko. Co za znaczenie tu ma taki lub inny kolor ziemi?

— Czerwony ten kolor pochodzi ze startego na proch przez fale morskie granitu, który był pierwotnym gruntem Pratatr. W utworzonych w ten sposób osadach, miejscami morze sypało mogiły padającym pod naciskiem jego fali, olbrzymom prastarej roślinności, jak gdyby szerząc dokoła zniszczenie, chciało coś zachować na podziw i naukę dla przyszłych pokoleń. W świecie naukowym ta pstra barwa ziemi nosi nazwę *laterytu*.

— Dobrze byłoby, żeby bajkę dwóch pańskich przyjaciół, można zobaczyć uzmysłowioną, nietylko na rysunku, ale na okazach geologicznych—odezwał się, baronet do Jakóba.

— Limanowski właśnie nad tem pracuje: zbiera on okazy sciągające się do historyi powstania Tatr, które wyjaśnią ich układ i budowę— a Morozewicz zebrał skrzętnie minerały tatrzańskie, i pokrajał skały na cieńsze od papieru listki. Przypatrując im się przez mikroskop, można odgadnąć niejednę ich tajemnicę.

— Widziałeś je pan?

— Widziałem w Muzeum Tatrzańskiem i byłem zachwycony.

— Panowie — odezwał się Warburton — zanim profesor Strand nadszedł ze swego cmentarzyska, mieliśmy iść oglądać grotę zbójecką. Chodźmy zaraz; upiecze nam się tymczasem udziec niedźwiedzi, a po obiedzie pójdziemy w dalszą drogę.

Nikt się nie sprzeciwiał. Sabała szedł naprzód wygrywając na gęślikach i śpiewając:

„Idzie zbójnik z za Liptowa,
Ciecze mu krew z za rękawa;
Z za rękawa i z główeczki,
Wszystko przez zdradę dzieweczki.“

Henryk zabrał swoją puszkę blaszaną z roślinami i pospieszył za innymi, i on chciał zobaczyć miejsce w którem ukrywali się zbójnicy. Miał też nadzieję, że co nowego, czego jeszcze nie posiadał, znajdzie po drodze. Postępowali wązką drożyną pod skałą, a potem zaczęli kręto lasem iść w górę.

— Czy daleko do tych okien zbójeckich? — zapytał Henryk.

— Nie prec — odrzekł Sabała — i w tejże chwili drzewa lasu rozstąpiły się, a podróżni ujrzeli turnię tworzącą bramę, której otwór miał kształt dużego okna.

— Ktoby to przypuścił, że stanowisko zbójców znajduje się tak blizko głównej drogi—rzekł Witold.— Jest tak wybornie w lesie ukryte, że trudno go się nawet domyśleć.

— Ale dobrze obmyślane — odrzekł doktór — przez dolinę Kościeliską jest przejście do Węgier. Może kupcy tędy chadzali z towarami i stawali się łatwą zdobyczą zbójników.

Wewnętrzna lewa ściana bramy jest pośrodku otwarta i tędy wprowadził Sabała podróżnych do skalistego kotła, niby do fortecznego obszernego podwórca, w którego ścianach były dwa otwory: wejście do groty i szczelina po nad przepaścią. Stanęli orzeźwieni panującym tu chłodem; profesor ocierał pot z czoła, a Warburton wodził okiem po ścianach, podziwiając piękną strukturę kotła.

— Widziałem różne jaskinie — powiedział — ale ta jest jedyną w swoim rodzaju; miejsce jakby umyślnie stworzone dla uczt i obrad, lub zebrań tajemniczych. Legendowy Janosik mógł tu wygodnie swoją gwardyę mustrować. Dzikość tych ścian z ziejącą w głębi pieczarą i czarnym lasem chwiejącym się u góry, prześliczny tworzy kontrast z jasną, słoneczną doliną, śmiejącą się gdzieś w dole przez rozłupę skalną.

Wszyscy z kolei przez okno spoglądali: jeden tylko profesor zachowywał się obojętnie wobec efektów tego obrazu. Kręcił się on niespokojnie na miejscu, a nozdrza jego poruszały się, jakby zaleciała go jakaś woń, której nie spodziewał się tu spotkać. Nakoniec odezwał się:

— Czy nie czujecie panowie zapachu piżma?

— Nie — odrzekł Witold — zkądżeby znowu piżmo się tutaj wzięło?

— Mnie się zdaje, że czuję — wtrącił Henryk.

— Zdaje ci się?—powtórzył z uśmiechem—to już wpływ suggestyi. Teraz, gdy profesor powiedział że czuje piżmo, wszystkim nam to samo zdawać się będzie.

— Mnie się jednak nie zdaje — odezwał się profesor z urazą.

— Nie przeczę; ale jaka mogłaby tego być przyczyna, bo pan profesor chyba nie zaprzeczy, że wszystko mieć musi swoją przyczynę.

— Sam się nad tem zastanawiam; chybaby tu w tych miejscach znajdowało się pewne rzadkie zwierzątko, które...

— Które wydaje zapach piżma. Czy tak?

— Tak.

— Ale go niema.

— Nie widać go przynajmniej. Ale spostrzegam za to co innego— dodał, przesuwając oczyma po grani kotła, której czepiały się rozmaite rośliny, mianowicie paprocie i różne porosty, i zatrzymał je w jednym punkcie. — *Limax Schwabii*, co za prześliczny egzemplarz!

I wskazał palcem wielkiego nagiego Ślimaka, ciemno-szafirowej barwy, z malachitowym połyskiem. Poczem spiął się na palce i wyciągnął rękę, ale nie mógł go dostać; więc jeden z górali zdjął go końcem ciupagi i podał rozpromienionemu profesorowi, który wyjąwszy z kieszeni pudełko, z największą ostrożnością umieścił w nim swoją zdobycz. Ślimak ten po polsku zowie się Pomrowiem.

Młodsza część towarzystwa poszła z pochodniami do groty. Wiódł ich Sabała przyśpiewując:

„Oj mamicko miła, cemuś mnie nie biła?
Kie mnie wiesać bedom, bedziesz się hańbiła!“

Warburton i Strand wyglądali przez okno, paląc cygara i wsłuchując się w echo ginącego w podziemiach głosu gęślików. Anglik wolał zachwycać się ztąd urokiem kontrastu między ponurym kotłem a śmiejącą się doliną. Myśliciel, artysta i filozof, patrzył spokojnie w prostopadłą przepaść, nad którą wisiało okno. Ciągnęła go ona ku sobie nieprzepartym urokiem i myślał o chwili bardzo, bardzo już dawnej, gdy opuszczał kraj znajdujący się nad przepaścią, wynosząc zeń swoje skarby: młodość, zdolności, siłę do pracy... I choć ten czyn świetne przyniósł owoce, ma poczucie że skradł z kasy ogólnej, a sumienie woła na niego żeby oddał co wziął—i że nie zawsze jest zaszczytnem czepiać się brzegu. Uczuł zawrot głowy i wychylił się zanadto, ale Strand przestraszony pochwycił go za ramię.

— Ostrożnie sir Edwardzie, bo mógłbyś pan spaść!

Sabała z resztą towarzystwa wkrótce powrócił i wszyscy zgodzili się na to, że kto oglądał grotę Mylną, tutaj napróżno się trudził. Korytarz był długi, ostro sklepiony, po ścianach spływało kamienne mleko, ot i wszystko. Nie było tu co robić dłużej. Gdy opuszczali kocioł i wychodzili przez bramę, doktór powiedział:

— Teraz i ja już czuję piżmo.

Wtem profesor krzyknął i rzucił się naprzód: jakieś małe zwinne zwierzątko przeleciało mu pod nogami i zniknęło w lesie.

— Co się stało? Coś pan zobaczył? — pytali wszyscy, a doktór chwycił go za połę, mówiąc. — Co panu jest, gdzie pan chcesz biedz?

Ale profesor rozdrażniony na razie, wyrwał mu się i pobiegł jak młodzieniec w kierunku zwierzątka, lecz napróżno. Po chwili stanął zmęczony, zziajany i ocierał pot z czoła.

— Recek halny, *Sorex Alpinus*—skarżył się tonem dziecka, któremu odebrano cukierek — wyobraźcie sobie, że okaz ten rzadkim jest nawet w Alpach, a tu go niespodzianie znalazłem i straciłem z oczu, nie przypatrzywszy mu się nawet! Zapach piżma właściwy temu zwierzątku, dawał mi już do myślenia, że ono tu gdzieś blizko przebywa, jakoż nie omyliłem się. Przyszedł widocznie na polowanie, bo ślimaki spadają z drzew do groty przez wierzch kotła.

Recek halny. *Sorex alpinus.*

— Recek, czyli Kretomysz—powtórzył doktór. — Słyszałem, że to jest amator myszek.

— Doprawdy?—zdziwił się Henryk, a sam jest podobny do myszy!

— Tylko ma pyszczek więcej wydłużony i zakończony ryjkiem. Zwierzątko to żyjące do wysokości 2,000 metrów nad poziomem morza, jest bardzo pożyteczne jako najlepiej ochraniające lasy, ponieważ tępi niesłychaną moc liszek, poczwarek, ślimaków i innych szkodników, których nigdy mu nie dosyć. Roślinnych pokarmów nie tyka wcale, nawet wtedy gdy jest głodne.

— Tatry mają jeszcze dwie odmiany Recka, panie Strand — odezwał się doktór — widziałem je w Muzeum Tatrzańskiem, Pygmejczyka i Rzęsorka.

Henryk chciał się dowiedzieć jak te zwierzątka mieszkają, a profesor, rad że znalazł uważnego słuchacza, powiedział mu że Rzęsorek ryje sobie nory w miękkim gruncie, w pobliżu wody, albo korzysta z nor kretów i myszy. Nora jego ma liczne ujścia: w wodzie, na powierzchni wody i na lądzie. W wodzie porusza się bardzo szybko, biegnąc po dnie, a myszy, żaby i ryby, znajdują w nim niebezpiecznego wroga. Przepada za ikrą.

— No, w potoku kościeliskim chyba nie ma co jeść — wtrącił Witold.

— Ja też nietylko o potoku kościeliskim mówię, ale o ich ogólnych zwyczajach. Sposób łowienia przez nie ryb, świadczy o wielkiej ich zmyślności. Taki Rzęsorek napędza zarybek w płytkie miejsca i mąci wodę dokoła. Gdy rybka chce obok zwierzątka przepłynąć, zostaje natychmiast schwytaną.

— Proszę pana—rzekł Henryk zwracając się do profesora Stranda—czy to prawda, że zapachy można wytwarzać sztucznie?

— Prawda, mój młody przyjacielu, i to całe szczęście, bo inaczej kobiety wytępiłyby wszystkie rośliny, jak wytępiają ptaki! Chemia, ta prawdziwa czarodziejka, dała nam sposoby wyrabiania bardzo pięknych i delikatnych perfum, bez udziału kwiatów. Kobiety rozkoszujące się zapachem jaśminu i fijołków, nie domyślają się nawet, że woń ta jest wydobyta z czarnej, wstrętnej smoły, będącej pobocznym produktem przy fabrykacyi gazu oświetlającego z węgla kamiennego. Wkrótce stary sposób wyciągania wonnych olejków z kwiatów, zostanie zupełnie zarzucony, jako zbyt kosztowny; kobiety, wąchając smołę, przywykną zawczasu do tego, co im przeznaczono po śmierci.

— Pan jednak, mimo wszystko, musisz mieć słabość do kobiet—odezwał się Witold—bo widzę, że myśl o nich nie odstępuje pana. Jest pewne stare, ale mądre, polskie przysłowie: „Kto się kocha, ten się kłóci."

Strand aż zbladł z oburzenia na te wyrazy. Chciał ostro skarcić Witolda za ten żart, jak na to zasługiwał, ale poślizgnął się na pniu próchniejącego drzewa i upadł. Kapelusz, laska, okulary, wszystko rozleciało się w różne strony, i współtowarzysze wraz z przewodnikami, rzucili się na ich poszukiwanie. Karcące wyrazy skonały na ustach zakłopotanego profesora, a niezwykły gatunek porostu, jaki dostrzegł na skale, pochłonął całkowicie jego uwagę.

— O czem myślisz? — zapytał doktór Henryka, który stał zadumany.

— Myślę, panie Jakóbie, że skoro ślimak i kretomysz, tak wzruszają profesora, co to będzie, gdy znajdzie swego Branhiopoda? Chyba nie zniesie takiego szczęścia!

Było już około południa, gdy turyści nasi wrócili do schroniska, gdzie zastali już obiad gotowy. Jerry, gdy ujrzał nadchodzących, wziął ostry nóż, ukrajał kilkanaście wierzchnich zrazów tej rzadkiej i osobliwej zwierzyny i podał na stół. Nie zagustowano jednak w niedźwiedzinie, choć każdy obowiązkowo ją chwalił. Czy nieprzyzwyczajenie do tej potrawy, czy niedostateczna ilość soli, czy smak nieco słodkawy, sprawiały, że wszyscy przymuszali się tylko. Ten i ów wziął parę kęsów i położył widelec. Walter zrobił nawiasową uwagę, że szkoda iż morze nie oblewa już stóp Tatr, bo możnaby mieć ostrygi, które smakowałyby lepiej, niż to mięso niedźwiedzie. Sir Edward odezwał się, że pieczeń byłaby wyborna, gdyby ją można jeść z sałatą. Doktór usłyszawszy to życzenie, zapytał, czy byłoby czem zaprawić sałatę, gdyby się przypadkiem znalazła, bo jak wiadomo, do sałaty trzeba koniecznie octu i oliwy.

Baronet spojrzał przenikliwie na Jakóba i odgadując, że zapytanie zostało nie bez celu zrobione, odezwał się:

— Więc gdybyśmy mieli oliwę i ocet, pan podjąłbyś się nam dostarczyć sałaty?

— Podjąłbym się.

— Wydaje mi się to dziwnem: sałaty bowiem nie rosną na skałach; potrzebują odpowiednich warunków i starannej uprawy.

— A jednak nie cofam obietnicy.

— Rozumiem już — rzekł Warburton z domyślnym uśmiechem— została przywiezioną z Zakopanego.

— Nie: urosła w dolinie Kościeliskiej.

Baronet pokręcił głową, zawołał Jerrego i zapytał, czy miałby czem przyprawić sałatę, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zwrócił wyczekujące spojrzenie na doktora.

Jakób skinął na górala, a ten podał mu koszyk napełniony rzeżuchą, której narwać kazał w Lodowym potoku, aby ją zawieźć do Zakopanego. Gdy podniósł przykrywę, nastąpiło ogólne zdumienie, a doktór rzekł:

— Nie jest to zwyczajna sałata głowiasta, ale drobnolistna soczysta Rzeżucha wodna, za którą upędzają się smakosze!

Jerry jak tylko spojrzał na rzeżuchę, zaraz się poznał na jej wartości i oświadczył, że gdy służył u księcia Buckingham, podawano ją często na stół. Zabrał koszyk i wkrótce przyniósł sałatę na salaterce, przyrządzoną podług wszelkich prawideł kuchni angielskiej—z musztardą, octem, oliwą i żółtkiem. Teraz pieczeń z niedźwiedzia zupełnie inaczej smakowała; wszyscy zajadali z apetytem, a sir Edward dziękował Henrykowi i doktorowi, że z ich łaski jadł obiad prawdziwie tatrzański— i zachęcał do wina, będącego także produktem południowej strony tych gór.

Jakób odezwał się, że obiad bez pieczystego nie jest kompletny, i że gdyby była fuzya, możnaby się o nie postarać. W Kościeliskach oprócz dzikich kaczek, jakie widzieli nad stawem Smereczyńskim pokazują się Głuszcze i Cietrzewie: te ostatnie lubią siedzieć w kosówkach. Warburton posłyszawszy to, ożywił się bardzo, bo lubił namiętnie polować. Więc Witold, także myśliwy, powiedział mu, że w Zakopanem znajdował na mokrych miejscach Słonki, pod lasem Jarząbki, a na owsiskach, w cieniu, Kuropatwy. Z drobnych łatwo jest spotkać Kuligi, Drozdy, Skowronki.

— Ach, ktoby strzelał do skowronka, to już byłby zbrodniarz!— rzekł Jakób: — On co rano zwołuje ludzi do pracy, on rozbrzmiewa wszędzie, gdzie słońce świeci; on głosi radość i wesele.

— To ptaszek Matki Boskiej!—szepnął Henryk.

Warburton spojrzał nań i zapytał zwracając się do Jakóba:

— A ptactwo przelotne?

— Z południa przylatują dzikie kaczki, Gęsi perkozy, Bojowniki, Warzęchy i Gile; z Baltyku Mewy; z Adryatyku Kormorany.

— Z nad morza, aż tutaj zalatują?—zdziwił się Henryk.

— Zalatują nawet z Egiptu Ibisy, ale te bardzo rzadko się trafiają.

Górale i juhasy użyli niedźwiedziny do syta. Objedli mięso do kości, a sadło topione łykali, jak największy przysmak. Używał też pies kudłaty, który wytropił profesora w grocie.

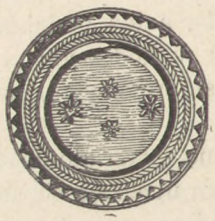

Talerz zakopański.

XIII.

TĘCZA NA ZIEMI.

„Gemza śmiga przez otchłanie,
Za nią strzelec, iskra gór.
Owce zwisły na polanie,
Jakby biały pereł sznur.“

Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Po śniadaniu spakowano bagaże i ruszono w drogę do Krakowa. Idzie się tam po ściółce z granitowych kamieni, zasypującej niewielki trójkąt. Górny jego koniec prowadzi do szczeliny różnie szerokiej. Bywa tak wązka, że tylko jeden człowiek nią wejdzie — wówczas na bokach są jakieś pieczary w skale, nad głowami sklepienie popękane, poprzerywane, i drzewa rosnące po ścianach, więc tkwiące korzeniami w drobnych rozpadlinach. Bywa i tak, że kilkunastu ludzi mogłoby iść szeregiem, gdyby natura gruntu na to zezwoliła. Turyści nasi postępowali coraz wyżej, po złomach pokrytych mchem i porostami obślizgłemi od wilgoci, przez kłody drzew dawno zwalonych, napół spróchniałych, po ogromnych stosach kamieni, a cała ta droga dzika, pełna była niespodzianek. Miejscami było prawie mroczno, z powodu wybiegających ponad głowami skał. Woda sączy się tam cieniutkiemi nitkami z gór i spływa pod głazy, przepadając między niemi, a szmer ten cichy,

brzmi jak nieśmiałe szepty, lub skarga duchów górskich. Ze szczelin wychylają się wspaniałe wachlarze paproci, a po Lokach wieszają bogate festony roślin. Z głazu na głaz przeskakując, spinając się po wysokich progach, szli ciągle w górę, a malarz zwracał uwagę cudzoziemców na fantastyczne kształty skał, w których upatrywano podobieństwo do gmachów Krakowa i nazywał je po kolei: Sukiennice, Kościół Panny Maryi, Ratusz, Rynek, Zamek... Profesor trzymał się ręką skały, Henryk dwa razy się poślizgnął, ale był w doskonałym humorze, bo u wejścia do Krakowa znalazł żółte fijołki, które przecudnie pachniały.

— Gdzież jest owa Smocza jama, o której słyszałem? — zapytał baronet.—Gdyby mi się udało znaleść w niej smoka, pokonać go i zabrać do mego muzeum w Rochdale, zazdrościłaby mi tego cała Anglia!

— A jeżeli w Smoczej jamie siedzi niedźwiedzica z młodemi, i rzuci się na nas?—wtrącił żartobliwie doktór.

— Mamy z sobą noże—odrzekł malarz.

— I rewolwer—dodał sir Edward.

— I skole [1])—dokończył Sabała.

— A zresztą mamy z sobą młodego bohatera, który nas obroni — dodał Walter, spoglądając życzliwie na Henryka.

Fijołek alpejski
Viola alpina.

W Smoczej jamie nie było nietylko smoka, ale nawet niedźwiedzia. Wprawdzie posłyszano jakiś szelest, ale nie dzikie zwierzęta go sprawiały, tylko dwie małe góralki siedzące u wylotu z pękami szarotek i lodowych goździków, obskoczyły one turystów, ofiarując kwiaty. Baronet kupił dwa bukieciki: jeden dla lady Chester, drugi dla Fanny.

Miejsce, na którem się znajdowali, było wysoko położoną halą, gdzie się bydło pasie i zkąd owce rozchodzą się na okoliczne skały. Widać je było zdala na turniach, nakształt ruchomych paciorków, czarnych i białych, a odgłos dzwonków, jakie mają przyczepione do szyi, aż dotąd dochodził.

Panowie siadłszy u wylotu, zapalili cygara i złożono naradę co do kierunku drogi powrotnej. Sabała tutaj rozstał się z niemi, bo dogodnie mu było tędy zejść do wsi Kościelisk, gdzie miał stałe mieszkanie. Można było pójść jego śladem, bo to skracało drogę do Zakopanego, ale baronetowi przyszła ochota iść na Czerwone Wierchy. Po krótkim więc odpoczynku wrócili do Krakowa i pięli się w górę szczeliną ku wierchom, przez dzikie, ślizkie bezdroże, a tak niebezpieczne miejscami, że tylko dzięki przytomności przewodników, umiejących w danej chwili

---

[1]) Kamienie.

podać rękę, pociągnąć lub podeprzeć, wyszli z tej wyprawy bez szwanku. Ubranie darło się, zaczepiane ustawicznie o ostre kanty, a na rękach były krwawe ślady. Baronet kilkakrotnie obejrzał się na Henryka, ale chłopiec szedł bardzo dobrze, a profesor więcej posuwał się na czworakach, niż szedł, czyniąc przytem spostrzeżenia nad uwarstwowaniem skał — przyczem o mało znowu nie zgubił okularów. Góral unosił go prawie. Gdyby nie jego nieustanna pomoc, uczony wpadłby niezawodnie w przepaść.

Gdy wydobyli się na szczyt Małołączniaka, dotykającego Czerwonych Wierchów, padli jak bez duszy na ziemię; płuca z trudnością chwytały powietrze, a pot kroplisty spływał im z czoła.

Nagle Henryk z radością zawołał:

— Sarny! sarny!—i wskazał ręką w stronę przeciwległego lasu.

Rzeczywiście trzy sarny spłoszone w las uciekały; w pierwszej chwili jednak, znajdowały się nie dalej jak o dwadzieścia kroków od naszych podróżników. Przyglądano się mimo zmęczenia, pięknym, zwinnym zwierzątkom.

Jeden z przewodników tymczasem nie czekając rozkazów, wydobył butelkę z winem i nalewał wszystkim w kolej. Wino pokrzepiło wkrótce strudzonych: mogli nietylko oddychać swobodnie, ale rozmawiać i cieszyć się widokiem osiągniętym z takim trudem.

. . . zawołał:—Sarny! Sarny!

— Jesteśmy na wysokości przeszło 2101 metrów nad poziomem morza — oświadczył Strand—i możemy ztąd zajrzeć w głąb świata zaczarowanego.

Cyfra ta zaimponowała wszystkim:

— No — zawołał Henryk — ten Gewont taki wspaniały i dumny, gdy się nań patrzy z Zakopanego, tutaj wydaje się prawie małym, a Czerwony Wierch o wiele go przerasta. Rozumiem teraz owe lawiny zsuwające się z niego w zimie, bo śniegi nagromadzone na Czerwonych Wierchach, własnym ciężarem się obsuwają na jego zbocza.

— Niezła uwaga — rzekł profesor — szczyt Czerwonego Wierchu jest kopulasty.

— Bardzo dogodny do obozowania — dodał baronet. — Gdybym miał z sobą namiot, chętniebym tu zanocował, bo przepyszna ztąd rozciąga się panorama. Ale bez namiotu nocować niepodobna, bo zabardzo bylibyśmy wystawieni na wiatr.

— A gdyby przyszedł wicher halny, toby nas zmiótł jak lawinę po zboczach Gewontu, bo przychodzi zawsze z Południa.

— Słyszałem o tym wichrze — powiedział sir Edward: — czy istotnie taki straszny?

— Kto go nie spotkał, nie może mieć o nim wyobrażenia — dodał Witold.

— Dla czego Wierchy te nazywają się Czerwone?

— Przyczyną tej nazwy są trawy porastające szczyty, i czerwieniące się w miarę postępowania lata.

Gdy baronet mówił o noclegu, przyjaciele porozumieli się oczyma, które mówiły: A to niespożyty starzec! Przeszedł Kraków, co w jego wieku równa się przejściu Alp przez Napoleona i nie tęskni do wygodnego łóżka!

Z miejsca na którem obozowali, najpierw od wschodu wpada w oczy imponujący szczyt owego złotodajnego Krywania, który rozpoczyna szereg dziko potarganych grzbietów Wysokich Tatr. Przewodnik nazywał po kolei wszystkie szczyty i pokazawszy długą i śnieżystą smugę obok Mięguszowieckiego Wierchu, rzekł:

— Tam są Rysy, a pod niemi Morskie Oko.

— A nad niemi piętrzy się Gałruch, król Tatr — dodał doktór — zkąd widzieć można czterdzieści stawów i powtórzyć wiersz Deotymy:

„Gra w pozłocie zielonawej
Roztoczony wachlarz gór;
Błękitnieją na nim stawy,
Niby oczy pawich piór.“

— A oto Murań i Hawrań z Kobylim Wierchem, w którym są groty Bialskie — dodał profesor.

— Te, o których pan Jakób mówił, że w nich są takie cuda — rzekł Henryk. — Ale skąd pan to wie, skoro pan tu jest pierwszy raz?

— Rozpatrzyłem się na mapie, żeby się módz oryentować, w razie gdybym się zbłąkał.

— Jacy ci uczeni są przewidujący! — żartował Witold.

— A tu Świnica — mówił dalej przewodnik z wyciągniętem ramieniem ku górom — i potargane grzbiety Granatów; z poza nich wyziera Lodowy szczyt.

— A co to za przełęcz od południa, poza którą widać odrębne pasmo gór?

— To są Niżne Tatry.

— A tu na zachód za Czerwonemi Wirchami, co to za góra, co nam zasłania dalszy widnokrąg?

— To jest Krzesanica, najwyzszy z Czerwonych Wirchów, których jest trzy. Kto zechce puścić się na niego, co najwyżej 25 minut zajmie, temu odchyla się widok na zachodnie krańce Tatr, na ciągnący się u stóp łańcuch gór nieprzerwany, którym przejść można wzdłuż, aż po Osobitą — objaśniał Jakób.

Baronet wyjął z futerału lunetę, zawieszoną na pasku rzemiennym, i nastawiwszy ją, rozglądał się dokoła. Gdy zwrócił się na północ twarzą do Gewontu, gdzie rozwijał się jak na dłoni widok na całe Podhale, a za niem na Beskidy, malarz zwrócił mu uwagę na pewien drobny punkt i powiedział, że to jest Kraków, już nie ten fantastyczny z kamienia, ale prawdziwy—i że przy dniu pogodnym i czystem powietrzu, dojrzeć go można.

Anglik długo patrzył i potwierdził, że widzi grupę punktów, ale nic więcej; potem gdy zwrócił lunetę na południe, Witold dodał, wskazując na obszary Liptowa.

— Górale nasi w swych zagonach po obszarze Tatr, spotykali się od zachodu z Orawcami, od południa z Liptakami, a od schodu ze Spiżakami. Siedząc na pograniczu, wyrobili sobie wcześnie pojęcie swej odrębności narodowej, zacieśnionej do obrazu Podhala, siebie tylko uważając za Polaków. Lud polski w dolinach, to już nie Polacy: to Lachy! Były to zatem, jakby oddzielne narodki walczące z sobą, a że takie sąsiedztwo rzadko prowadzi do zgody, więc też na granicach wirchów granicznych wrzała plemienna nienawiść. Z Liptakami mieli oni krwawe rachunki, to o zwierzynę, to o wzajemne napady na szałasy pasterskie i zwali ich „Źli ptacy.“ Doktór Chałubiński w jakiejś książce o Węgrach, wyczytał następującą legendę:

„Onego czasu Liptacy oddawali się zbójectwu, kradzieżom i wszelkim najgorszym zbrodniom. Stali się oni najnieznośniejszymi dla swych sąsiadów, którzy nazywali ich „Źli ptacy.“ Liptacy rozgniewani i znudzeni tem przezwiskiem, postanowili prosić króla Atyllę, aby ich od niego uwolnił, nadając inne miano. Wyprawili tedy dwóch posłów do niego, dołączając wielki kosz jaj, bo Atylla bardzo jajecznicę lubił. Jeden z posłów miał powitać króla, mówiąc: „Wielki królu Atyllo“, a drugi miał dodać: „Niech cię Bóg błogosławi.“ Po tem powitaniu miało nastąpić ofiarowanie jaj, oraz przedstawienie samej prośby o zamianę nazwiska. Kosz był ciężki i posłowie naprzemian nieśli go na głowie. Nareszcie przybyli oni do rezydencyi króla, który siedział

w dolnej izbie, a próg tej izby był bardzo wysoki. Posłaniec będący bez ciężaru, wszedł pierwszy, skłonił się królowi i rzekł: „Wielki królu Atyllo!“ lecz drugi, dźwigający na głowie kosz z jajami, progu nie spostrzegł, potknął się i jaja rozsypał, a widząc je potłuczone, wykrzyknął z gniewem: „Niech cię dyabli porwą!“ Król Atylla, biorąc ten wykrzyk do siebie, wpadł w gniew, nie chciał prośby wysłuchać i rozkazał, żeby nazwa „źli ptacy“ na wszystkie wieki pozostała.“

Opowiadanie to rozweseliło wszystkich: śmieli się z niefortunnej przygody posłów, zapomniawszy o trudach przejścia przez szczelinę Krakowa. Widok gromadki turystów zwabił młodego juhasa, pasącego owce w pobliżu. Biegł w podskokach, hukając i przysiadłszy się do górali, wdał się z nimi w rozmowę.

Za opaską kapelusza zatkniętą miał gałązkę różanego kwiecia, przy którem były ciemne połyskujące liście. Doktór jak tylko spostrzegł gałązkę, zawołał do siebie chłopaka, a wziąwszy od niego kapelusz, wyjął ją, przypatrzył się z nieukrywanem zdziwieniem i jął dopytywać chłopca, gdzie ją zerwał. Odpowiedział, że rośnie tego jeden krzak na Gewoncie. Wszyscy zaciekawieni zachowaniem się doktora, chcieli gałązkę obejrzeć, a baronet rzuciwszy na nią okiem, rzekł:

— Rhododendron.

Różanecznik szorstki.
Rhododendron hirsutum.

— Tak, *Rhododendron hirsutum*, czyli Różanecznik szorstki, drobny krzew z rodziny wrzosowatych — potwierdził doktór — w którego istnienie w Tatrach dotąd nikt nie wierzył. Gdy przed kilkunastu laty profesor berliński Acherson znalazł na Gewoncie jeden okaz, wszyscy to uważali za bajkę. Uderzającą nawet było rzeczą, że tutaj w krainie kosodrzewu, brakuje różaneczników, skoro w Siedmiogrodzie, na Czarnej horze i we wschodnich galicyjskich Karpatach, rosną w obfitości.

— I rosły w czasach gdy baśń opowiedziana przez pana Jakóba, była prawdziwą — wtrącił Strand. — Różaneczniki są roślinami żyjącemi gromadnie, jeżeli zaś pojedyńcze krzaki tu się znajdują, dowód to, że różaneczniki żyły tu kiedyś w obfitości, lecz wyginęły, lub są blizkie wyginięcia wskutek zmian klimatycznych. Węgierskie Towarzystwo Tatrzańskie, które bardzo się stara o przyozdobienie Tatr po swojej stronie, sprowadziło okazy różanecznika z Alp, ale te posadzone w kilku

miejscach, z wyjątkiem jednego, wyginęły. Najlepszy to dowód, że klimat nie służy tej roślinie.

Gałązka Rhododendronu pozostała przy doktorze, a centy przeszły z kieszeni jego do ręki chłopaka. Malarz zaczął go rozpytywać, czy nie widział gdzie róży bez kolców i opisał krzak jak mógł najdokładniej, i juhas z wielkiem wszystkich zdumieniem odpowiedział, że widział róże na niejednem miejscu w Dolinie Kościeliskiej, ale nie pamiętał, czy miały kolce lub nie. Powtórzono tę relacyę baronetowi, który dziwił się bardzo; rozglądał się bowiem uważnie po dolinie, szukał wszędzie, gdzie tylko oczyma mógł dosięgnąć i żadnych róż nie dojrzał, a wzrok miał dobry.

— Wracać się nie będę—powiedział—może znajdę jeszcze gdzieindziej moją różę; niepodobna żeby te rośliny w tem jednem tylko miejscu miały się osiedlić.

— A najpewniej on nie wie, czego szukamy, tak jak górale, którzy waszej Miłości przynieśli pęki kwiatów, mających być niby ową różą, a wcale do niej nie podobnych.

— A jeżeli on jednak widział różę bez kolców — rzekł Warburton—powiedzcie mu panowie, gdzie mieszkam, niech ją tam przyniesie, a otrzyma nagrodę sowitą.

Juhas pobiegł do swoich owiec, a doktór trzymał w ręku gałązkę zamyślony, wreszcie odezwał się do reszty towarzystwa:

— Czy panowie nie weźmiecie mi za złe, że urządzę ztąd małą wycieczkę na własną rękę, i zaczekacie na mój powrót?

— Jak długo ta wycieczka potrwa?—zapytał baronet:

— Z godzinę: to dosyć dla mnie, a dla was pewnie nie zawiele po utrudzającej podróży przez Kraków. Chcę iść na Gewont.

— Czy wolno zapytać co pana tam pociąga? Jeżeli Czerwony Wierch jest znacznie wyższy od Gewontu, to szerszego widoku nie możesz się pan spodziewać. Musi być przeto inna przyczyna.

— Widok nie będzie szerszy, ani piękniejszy, ale inny. Zgadleś pan, że jest przyczyna. Chcę odszukać krzak Różanecznika.

— A to zapalony z pana miłośnik kwiatów!... Przyjedź pan do Rochdale, pokażę ci jeden tylko kwiat, ale w tysiącznych odmianach.

— Słyszałem o pańskiem Rosarium, opowiadał mi profesor.

— Ja pójdę z panem—zawołał Henryk, a gdy mu wszyscy odradzać zaczęli, mówiąc że to zbyt wielki trud na jdgo siły, po przejściu Krakowa, odrzekł z zapałem:

— Trud, cóż to znaczy! ale jest wielka za trud nagroda, gdy się go pokona i dokaże tego, czego się chciało. Pragnę się oprzeć o szczerbę Gewontu, na który patrzę codzień z Zakopanego. Nic na ziemi niezdobywa się bez trudu, a ja lubię bardzo pokonywać trudności.

— Więc chodź — rzekł doktór.

— Moi panowie! — wołał za niemi profesor — przynieście mi, jeżeli łaska, trochę muszli: takich płaskich, okrągłych skorupek, podobnych do pieniążków.

— Muszli? — powtórzył ze zdziwieniem Warburton, sądząc że się przesłyszał.

— Ależ tak! Czyż zapomniałeś, sir, że chodzimy po dnie przedhistorycznego morza? Tam pod Gewontem, obok Sarniej skały, dochowały się dotąd rafy koralowe: w ciemnym, wapiennym ile, znajdują się miliony muszli, znajdują się Rogowce, przepełnione igłami Gąbek i skorupkami Radyolaryi. Dobrze poszukawszy, znaleśćby nawet można, żyjące niegdyś na koralach, Terebratule.

Sir Edward słuchał z pozornem zajęciem, a myślał widocznie o czem innem, bo patrząc za oddalającymi się, szepnął.

— Dzielny chłopiec, ten dojdzie do celu jaki sobie zamierzy.

Pozostał także Walter, bo czuł się bardzo zmęczonym; więc baronet dał mu swoją lunetę, a młodzieniec jął się przyglądać szczegółom rozległej panoramy. Profesor, któremu przy jego uczoności, przychodziły czasem refleksye że jest człowiekiem światowym, obowiązanym do jakiejś uprzejmości towarzyskiej, znalazłszy się teraz prawie sam na sam z Anglikiem, bo malarz zajął się rysowaniem, rozpoczął rozmowę o jego stosunkach domowych, mianowicie o lady Chester i jej zbyt wielkiej o syna troskliwości, przeszkadzającej mu się cieszyć przyjemnościami takiej jak ta, wycieczki. A spostrzegłszy że baronet zsunął nieco brwi, i zgadując, że go dręczy troska o przyszły charakter chłopca pod rozmiękczającym wpływem matki — mówił dalej, że dzieci w tym wieku, a zwłaszcza chłopcy, nie zdradzają jeszcze tego czem będą w przyszłości; że natury zrazu uśpione i apatyczne, budzą się potem z podwójną energią, gdy dostaną się między ruchliwych kolegów, co nastąpi, skoro baronet ma zamiar oddać Dawida do Eton, jednej z najlepszych szkół Anglii. Należy się spodziewać, że chłopiec się tam wyrobi i wyrośnie na człowieka rozumnego i pożytecznego, jakim być powinien dziedzic tak wielkiego mienia. Warburton milczał i gdyby profesor lepszym był psychologiem, odgadłby że jest to przedmiot niemiły słuchającemu — a gdy Strand umilkł, pewien że sprawił najlepsze wrażenie, odpowiedział zimno:

— Źle pan jesteś poinformowany, panie Strand, nie powiedziałem nigdy, że Dawid będzie po mnie dziedziczył.

Profesorowi aż okulary spadły, w takie zdumienie wprawiły go te wyrazy. Cóż więc ten dziwny, zagadkowy człowiek zamierza zrobić ze swoją olbrzymią fortuną? Jakie zamiary, jakie cele leżą w jego planach? Spojrzał na Waltera, ale nie zauważył żadnego zdziwienia na

twarzy młodzieńca. Zsuwał i rozsuwał spokojnie szkła lunety, chociaż przybladł nieco.

— Ten musi się czegoś domyślać — powiedział sobie — ale co mi tam! Widzę że lepiej było nie poruszać tego przedmiotu. Popełniłem niezręczność. Nie jestem człowiekiem światowym!

I przerzucił się na inne pole, po którem stąpał pewniejszym krokiem. Zaczął mówić o epoce powstania Tatr.

Warburton nie słuchał tych uczonych wywodów, myślał on o tym, którego wszyscy mieli za domyślnego następcę majoratu i wielkiego mienia. Ale w co się obróci owa olbrzymia fortuna, zbierana długie lata, w co założone przez niego instytucye, zakłady przemysłowe i dobroczynne, w niedołężnych rękach? Chłopiec nie był zły z gruntu, lecz apatyczny. Profesor widząc poważny wyraz twarzy baroneta, przekonany był, że jest słuchany z natężeniem.

— Z czego się składa oś rdzenna tych gór?—zapytał Walter, odejmując na chwilę od oczu lunetę, żeby spojrzeć na profesora.

— Główny ich grzbiet składa się z granitu, gnejsu i łupków krystalicznych.

— Widzę że je pan znasz, jakby swój własny dom — rzekł z uśmiechem młodzieniec.

— Lepiej, mój przyjacielu odrzekł smętnie uczony — do poznania tych gór pomogła mi znakomita M o n o g r a f i a wiedeńskiego profesora Uhliga. Dam ją panu, jeżeli chcesz. Otóż Tatry wschodnie czyli Wysokie, składają się przeważnie z granitu, zachodnie z gnejsu, łupków krystalicznych i niewielkiej ilości granitu, z dodatkiem w obu tych częściach górskich, skał osadowych.

— Nasi przyjaciele idą na czworakach — odezwał się Walter, patrzący ciągle przez lunetę—wejście musi być bardzo trudne.

Czas jakiś panowało zupełne milczenie. Wszyscy trzej patrzyli na Gewont, po którego stromej wyniosłości gołem okiem nawet dobrze odróżnić było można trzy ludzkie postacie, wspinające się coraz wyżej. Białe lekkie chmurki czołgające się niżej, przesłaniały je raz po raz. Wreszcie jedna wysunęła się naprzód, i stanąwszy na najwyższym garbie Gewontu, machać zaczęła kapeluszem w stronę pozostałych. Baronet wziął lunetę z rąk Waltera i długo patrzył, a lekki uśmiech spoczął na jego ustach.

— Mały dokazał swego — odezwał się—stanął na Gewoncie. Ma wytrwałość. Ale idzie ku nim duża chmura; nie będą nic widzieli. Spojrz Walterze!

Młodzieniec podniósł lunetę do oczu i rzekł po chwili:

— Chmury rozdarły się: widzę ich.

I podał lunetę profesorowi, ale tego więcej interesował sam Gewont, niż podróżnicy stojący na jego szczycie.

— Zwiedzają wielką osobliwość w tych stronach—odezwał się— szczyt Tatr wapieniowy, całkiem odmienny od granitowych wierzchołków i samotnie stojący między niemi, niby wyspa na morzu. Pokrywa go żółty porost, w szczelinach czarny, jak zwykle na wapieniach. Stromość zadziwiająca!

— Schodzą—rzekł Walter.—Powrót pójdzie prędko.

— Ale jest trudniejszy niż wejście — powiedział baronet — po tak wygładzonym przez lawiny wapieniu. Żeby tylko obeszło się bez wypadku!

— Mają dobrego przewodnika. Wycieczka na Gewont należy do łatwiejszych.

W pół godziny potem wędrowcy byli z powrotem i mieli pęki kwiatów, ale nie było między niemi róży bez kolców! Doktór opowiadał, że nie znalazł Różanecznika, który musi być gdzieś niżej między turniami Gewontu, a schodzić tam nie mógł, bo na to czasu nie było—ale widział zdaleka krzak podobny do krzaka tej rośliny. Za to znalazł rzadki gatunek Traganku, bardzo ładną roślinkę z błękitnemi motylkowatemi kwiatami, podobnemi do kwiatów Akacyi i drobniutkiemi listkami, na wspólnej osadzonemi łodydze.

Ostróżka wyniosła.
Delphinium elatuum.

Henryk dziwił się, że ten mały traganek i takie duże drzewo jak akacya, mają tak wiele wspólnego podobieństwa, iż botanicy do jednej zaliczają je rodziny, to jest rodziny Motylkowatych. Kwiaty ich istotnie wyglądają jak motylki. On sam znalazł prześliczną Ostróżkę o wielkich szafirowych kwiatach, zwaną Ostróżką wyniosłą: Widział tam duże krzaki, okryte temi wspaniałemi kwiatami. Przynieśli także z korzeniami Jaślinek zwyczajny, wdzięczny drobny lila kwiateczek, Dębik ośmiopłatkowy, Szczodrzycę ośmiopłatkową, takie drobne białe kwiateczki, nizko przy ziemi rosnące—żółty Kuklik górski i piękny Mak alpejski, biały i żółty.

Baronet patrząc odezwał się, że wiele tych roślin widział w Kościeliskiej, co było słuszną uwagą, gdyż na wapieniach, tu czy gdzieindziej, jedne i te same spotykają się gatunki.

Obaj ze swej wycieczki bardzo byli zadowoleni. Na łączce między turniami Gewontu widzieli pasące się stadko kozic, a widok ze szczerby mieli wspaniały. U stóp, gdzieś w straszliwej głębinie, widzieli całą dolinę Strążyską, wraz ze spływającą z niższego Gewontu siklawą.

Dębik ośmiopłatkowy.
Dryas octopetala.

Po całodziennym wypoczynku, schodzono z Czerwonych Wierchów ścieżką w zakosy przez Piekło—tak się zowie przełęcz, zasypana olbrzymiemi rumowiskami kamieni — aż napotkali obszerną polanę, otoczoną zewsząd trawiastemi górami. Była to hala Kondratowa z licznemi szałasami krowiemi i owczemi. Tam wypili po szklance mleka słodkiego i po krótkim spoczynku ruszyli do Kalatówek, gdzie przewodnicy chcieli im pokazać Wywierzyska Bystrej. Baronet prosił doktora, aby zapytał juhasów o różę bez kolców i ku zdumieniu swojemu dowiedział się, że rośnie pod Gewontem. Więc znów powiedział gdzie mieszka i obiecał nagrodę za dostarczony sobie krzak z korzeniem.

— Dziwna rzecz—mówił—jestem blizko tego, czego szukam i spotkać go nie mogę. Gdybym był przesądnym, powiedziałbym że to fatalizm!

— Co to są Wywierzyska, panie Jakóbie?—zapytał Henryk.—Pierwszy raz słyszę tę nazwę.

— Jest to gwałtowne wydobycie się wód podziemnych na wierzch. Wody deszczowe zwilżające tak obficie powierzchnię gór tutejszych, dostają się bezustannie do wnętrza ziemi. Przedarłszy się szybko pomiędzy mchy leśne i trawy zaścielające ziemię, torują sobie drogę przez pokłady zwirów i kamieni, a natrafiwszy prędzej lub później na litą skałę, ściekają po niej, jako tak zwana woda gruntowa, przebywając nieraz znaczne przestrzenie pod powierzchnią ziemi. Jeżeli uda im się potem przełamać zapory powstrzymujące je w biegu, wydobywają się nagle, niespodzianie, na powierzchnię ziemi. Taki jest początek źródła Lodowego w Kościeliskiej dolinie, taki Wywierzysk Bystrej na Kalatówkach, dokąd idziemy.

— A gdzie jest jego początek?

— Tu w Kondratowej, w Suchej dolinie.

— Ależ tutaj niema żadnych potoków!

— Widocznych niema, ale są ukryte. Górale przyłożywszy ucho do ziemi, słyszą łoskot podziemnych wód.

— A gdzież jest źródło Białego Dunajca? Słyszałem że ono właśnie jest na Kalatówkach.

— Nazywano tak rzeczywiście ów wodospad, ale nazwa była błędna. Dunajec, tak Biały jak Czarny, rosną z różnych drobnych strumyków rozmaicie się nazywających, i dopiero w większy strumień poniżej złączone, przybierają właściwą nazwę. Biały Dunajec powstaje dalej z połączenia tejże Bystrzycy z innemi potokami. Z Czarnym Dunajcem łączy się pod Nowym Targiem i ubiegłszy mil 34, pod miastem Opatowem wpada do Wisły, która go z sobą do morza zabiera.

— Piękną i malowniczą jest gwara podhalska — odezwał się Witold.—Wyrażenia takie naprzykład jak „Wywierzyska“,„Siklawa“,„Wodogrzmoty“, są tak charakterystyczne, tak wybornie malują rzecz, że niczem innem nie dadzą się zastąpić! W tych dniach zebrałem wiązkę bardzo trafnych wyrażeń: nieużytki rolne, to „pustacie“; konfesyał to „słuchanica“; skrzynia gospodarska z przegrodami, to „safarnia“; drzewo zbutwiałe, to „tlarka“ i słusznie, bo się zetliło. Wszystko, wyrazy piękne i czysto polskie.

— A co! Zaczynasz się pan przekonywać do góralskiej mowy, a niedawno jeszcze na Starej Polanie, śmiałeś się z mego zapału, gdym mówił, że naszemu językowi literackiemu wyszłoby na lepsze, gdyby czerpać zaczął ze źródeł górskich, a otrząsnął się z obcych naleciałości, psujących jego właściwy charakter. Doktór Matlakowski idzie dalej odemnie: mówi że „góral jest taki stylista, iż nie można go słuchać spokojnie, tyle uczucia, wyrazu lub grozy prostej kładzie w opowiadanie.“ Sabała z Chałubińskim do dnia raz na Koperszadach szlakowali niedźwiedzia: „Pożrem — mówił Sabała — coś się na piargu jarzębaci. Mój dziadek, jak nas uźrał, dalej uciekać. Wpadł w kosówkę która mu się z pół godziny kłaniała, tak ją rozruszał“. Czy to nie jest obrazowe?

— Prawda: widzi się tego niedźwiedzia!

— Kozice, choć góral widuje nieraz, nigdy tego wdzięcznego stworzenia napatrzeć się dość nie może: „Wyszła —mówi— stara i dwie młode cisawiutkie, takie pikne, co cud! A stajają, a nóżkami wyży oprą się na skole, a spozierają, a pasą się, zaś hukają, bodą się, ty młode kozicki!“ Czy to także nie obrazowe? Jaka plastyka, a jak prostemi osięgnięta środkami!

— O, bo też pan ze szczególną wpatrujesz się w to miłością — rzekł Witold, a Henryk odezwał się.

— Gdy byliśmy z panem Jakóbem na Gewoncie, przewodnik nasz powiedział:—„Gdy tak stoję na wirchu, a słońce świeci, to mi świat kwitnie!“

Na polanę zwaną Kalatówkami, szli przez las i bujne, barwnem kwieciem błyszczące trawy. Tu posłyszeli nadzwyczajny szum i łoskot, i szli w kierunku tego szumu, drożyną wiodącą nad przepaścią; wkrótce ujrzeli z góry olbrzymi strumień wody wybuchający z pomiędzy kamieni porosłych bujną zielonością, który rozbijając się o zawadzające mu głazy, szumi, huczy, wre i pieni się, zanim spłynie w potok i popędzi doliną. Aby się lepiej przypatrzeć temu ciekawemu zjawisku, zeszli na dół, zkąd Wywierzyska przedstawiały im się w całej okazałości. Wspaniale wyglądała ta biała jak śnieg piana, przy ciemnej zieloności świerków, zwieszających się z wysokości skał okolicznych. Szum był taki, że stojący u stóp wodospadu, nie słyszeli własnego głosu, a na twarzach czuli chłodny powiew od silnego prądu wody.

. . . huczy, wre i pieni się.

Malarz patrzył na wspaniałe widowisko okiem artysty, profesor okiem geologa i uczonego; interesowała go zwłaszcza massa wielkich głazów, które zawalały znaczną przestrzeń, jakby olbrzymie rumowisko. Henryk był zachwycony, bo jeszcze nigdy w życiu nie widział wodospadu, a sir Warburton, który już wiele widział, podziwiał bogactwo wytryskującej wody. Na to odezwał się profesor, odprowadziwszy go trochę na bok, gdzie huk był mniejszy, że Tatry właściwe odznaczają się nadzwyczajnem bogactwem wód i że niema z pewnością nietylko w całym systemie Karpat, ale w ogóle między górami środkowej Europy drugiego pasma, któreby im pod tym względem dorównywało. Oprócz wartkich potoków, wijących się pośród zielonych łąk środkiem dolin, wydobywają się tu ze skalistych szczelin, lub z wałów kamiennych olbrzymie zasoby wody, tworząc źródła tak potężne, że każde z nich mogłoby dać początek wielkiej rzece.

Baronet usiadł na jednym z blizkich głazów i wyjąwszy z kieszeni składaną srebrną szklaneczkę, zaczerpnął wody, ale nie mógł jej pić samej: była zbyt zimna. Miała tylko trzy stopnie ciepłoty. Zawołał więc na Jerrego o wino, i dolał go do wody.

Słońce zachodzące barwiło szczyty na wszystkie odcienia fijoletu, bramując ich zarysy złotem, a w rozpylonej mgle wodospadu i jego kryształach, grało siedm kolorów. Każda kropla wydawała oddzielny blask łamiącego się światła, a wszystkie razem układały się w tęczę.

— Witaliśmy dzień pod trzema łukami tęcz, i żegnamy go tęczą kładącą się u stóp naszych — przemówił baronet; — spędziliśmy razem dwa piękne dni i dzięki panom dowiedziałem się niejednej rzeczy, której istnienia nie przeczuwałem, i zobaczyłem niejednę piękność, którejbym sam był nie dojrzał. Nie znalazłem wprawdzie róży bez kolców, ale mam nadzieję, że ją jeszcze spotkam na mej drodze. Dobrze nam było razem i spodziewam się, że się jeszcze spotkamy. A teraz wracajmy, bo czas na czas; chciałbym być w domu przed nocą.

Wozy czekały w Kuźnicach i tam nastąpiło rozstanie.

Powrót Henryka do Zakopanego był prawdziwym wjazdem tryumfalnym. Jechał wprawdzie skromnie na wózku wraz z malarzem i doktorem, ale wyprzedził go wóz przybrany jedliną, z niedźwiedziem, którego skórę juhasom przyszło na myśl wypchać sianem i zaszyć, aby udawał żywego. Niedźwiedziowi temu zlatywali się wszyscy przypatrywać, a sława młodego bohatera rozbrzmiewała w całem Zakopanem.

. . . puszczając poważnie dym z fajeczki.

Z nic nie znaczącej osoby, urosł nagle na osobistość rozgłośną, a Ślimak nawet puszczając poważnie dym z fajeczki, wyraził się o nim, że wart być zbójnikiem. Przygody Henryka w Dolinie Kościeliskiej przechodząc z ust do ust, urosły do tak potężnych rozmiarów, i tak przeobrażone do niego wracały, że sam ich nie poznawał. Babunia Kasia dumną była ze swego wnuka; siadła zaraz pisać list do ojca i nie pominęła szczegółu o przyjaźni z angielskim magnatem—a Marysia która bardzo kochała braciszka, zapomniała na całą godzinę o swoich królikach. Ściskała go, całowała i mówiła, że jest

najmędrszym, najpiękniejszym rycerzem i że warto o nim książkę napisać. Henryk syt sławy zamiast spocząć na laurach, puścił się w taniec góralski po pokoju, jakby nie czuł strudzenia, i przebierając nogami na jednem miejscu, spoglądał figlarnie na siostrzyczkę i śpiewał piosenkę słyszaną od jednego z górali:

„Bodaj ty dziewczyno maliniaka zjadła,
Coś ty Janiczkowi do serduszka wpadła,
Chyba cię dziewczyno dyabli malowali,
Że do twoich liczek takiej krasy dali.
— Ej dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba.
Bo do moich liczek takiej krasy trzeba.“

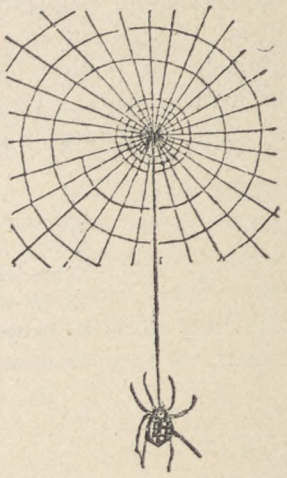

XIV.

NITKA ZERWANA.

„Cierpi człowiek, bo sobie sam służy za kata:
Sam sobie robi koło, i sam się w nie wplata“
Mickiewicz. Myśli i zdania.

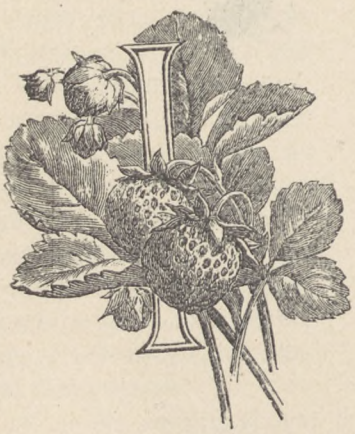

naczej było na Starej Polanie, nie tak wesoło: snać dobry humor nie zawsze idzie w parze z bogactwem.

Skromny domek Parzonki tak pięknie został urządzony, że samego gospodarza przejmował podziwem i zazdrością. Piękność to bowiem była czysto miejscowa, góralska. Sir Warburton, wielki piękna wszelkiego wielbiciel, tak sobie upodobał styl zakopański którego próbki widział w starych, poczerniałych sprzętach swego gazdy, że i własne mieszkanie zapragnął w podobne zaopatrzyć. Wieść o tych wyrobach doszła już do niego do Anglii, za pośrednictwem organu dworskiego „The queen. The Ladys Newspapers and court Cronicle“. Pismo to zachęcało współpracowników do sprowadzania wzorów mebli zakopańskich i rozpowszechnienia wśród licznych szkół wiejskich, zostających pod opieką pań angielskich. Potem inne jeszcze angielskie gazety powtarzały gorące pochwały, za wiedeńską „Die Presse“ której sprawozdawca z okazyi Wystawy Jubileuszowej

1889 r. wyraził się, że „czynią takie wrażenie, jakby do salonu pełnego fraków i mundurów, wszedł ktoś strojny w malownicze staropolskie szaty. A już gdy Cesarz Franciszek Józef oglądający Wystawę, wyraził głośno swój zachwyt nad niemi; gdy minister Gautsch z hr. Badenim przyjechali umyślnie do Zakopanego, dla zbadania rzeczy u źródła—stało się wiadomem że odkryto nową krynicę piękna oryginalnego, pod nazwą „polskiego stylu", a wszystkie pierwszorzędne ilustracye europejskie, na wyścigi podawały podobizny tych mebli. Pojawiły się zamówienia z obcych, dalekich stron, a w ślad za niemi i rzeźbiarze zakopańscy rozeszli się po świecie, osiedlając się w Budapeszcie, w Londynie, w New-Yorku.

Ale słyszeć lub czytać o czemś, a widzieć na własne oczy, to jeszcze co innego. Sir Edwardowi podobał się niezmiernie styl ten oryginalny, prostemi środkami artystyczne wywołujący efekta: ta lekka płaskorzeźba na gładkiem tle napuszczanem farbą czerwoną, niebieską i czarną. Dyrektor Muzeum przemysłowego w Wiedniu, Folke, niepospolity znawca sztuki, upatrywał w tem podobieństwo do gotyku — ale Warburton miał własny swój sąd o tem—i twierdził że to jest styl odrębny, niepodobny do żadnych innych.

Dowiedziawszy się, że szkoła snycerska w Zakopanem wyrabia podług dawnych, starych modeli, sprzęty zastosowane do potrzeb ludzi cywilizowanych, i tworzy z motywów miejscowych bardzo szczęśliwe, artystyczną wartość mające kombinacye — sir Edward udał się tam zaraz. Znalazł trzy gotowe garnitury: umeblowanie sypialni, jadalni, gabinetu do pracy, i tak się zapalił do tego stylu, w niczem nie przypominającego banalnych, do zbytku już znanych produkcyi szwajcarskich i tyrolskich, że zakupił wszystko co było, wydawszy na to ogromną sumę dwustu funtów szterlingów. Sprzęty te przeznaczone do jego zameczku myśliwskiego w Szkocyi, tymczasem służyć miały ku wygodzie właściciela przez cały czas pobytu jego w Zakopanem.

W domu Parzonki były cztery izby przedzielone sienią — po dwie z każdej strony: na prawo znajdowała się sypialnia milady i pokój jadalny, na lewo mieścił się sir Edward, oraz Walter z Dawidem.

Trzy zatem izby, to jest sypialnia lady, pokój jadalny i gabinet baroneta, umeblowane zostały świeżo zakupionemi sprzętami z jasnego bukowego drzewa. Na szafach, łóżkach, krzesłach, znajdowały się rzeźby oryginalne, wizerunki kwiatów, słońc, gadów, napuszczane farbą w nacięciach, lub kolorowem drzewem wykładane. Było nawet biórko dla sir Edwarda i toaleta dla milady — choć górale biórek ani toalet nigdy nie używali; ale lustro umieszczono w ramie naśladującej stare oddrzwia, a biórko było z szafkami zamykanemi na misterne zasuwy. Każdy góral miejscowy mógł je uznać za swoje, bo

nie wychodziły z zakresu typowości. A już co kredens, biblioteka, skrzynie i półki wszelkiego rodzaju, te były prawdziwemi arcydziełami dobrego smaku i oryginalności form. To też gazda, choć rad takiemu ozdobieniu wnętrza swego domu, choć z dumą na nie patrzył, ale myślał zarazem z żalem, że to wszystko wraz z gośćmi zamorskiemi, wyjedzie daleko za morze.

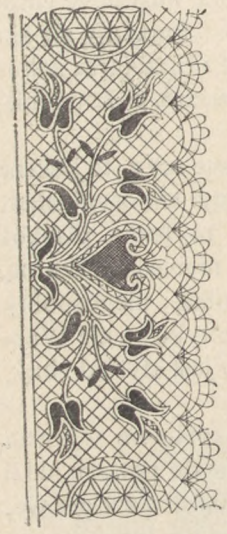

Koronka stylowa z liliami.

Podłogi pokryły częściowo kołomyjskie kilimki, których dużo do Zakopanego zwieziono i które goście chętnie kupowali — słowem wnętrze mieszkania Anglików przedstawiało się bardzo ozdobnie i barwnie.

Lady Chester nie tak zapalona do okazów sztuki góralskiej, znalazła jednak też coś i dla siebie w Zakopanem, mianowicie w szkole koronkarskiej, którą raczyła zwiedzić. Odkryła tam doskonałe, niczem nie ustępujące oryginałom kopije starych niemieckich i brukselskich koronek, włoskich *reticello*, a co najważniejsza, wspaniałe wielkiej delikatności koronki stylowe, w których do form staroświeckich zastosowano umiejętnie w rysunku motywa miejscowe. Wachlarze z szarotkami rozpiętemi na pajęczej delikatności tle; gipiurowa kapa na łóżko w stylu czysto zakopańskim, gdzie lilije Martago i niezapominajki, tak były misternie splątane, że zachwyciłyby największego znawcę; koronkowy serdak, który nawet na przyjęcie u dworu włożyć było można—były to rzeczy nowe, oryginalne, jakich nie posiadały najbogatsze lady Wielkiej Brytanii. Milady oglądała je już na wystawie w Glasgowie, gdzie staraniem pań: Giełgudowej i Jazdowskiej, wystawione zostały jako wyrób *polski*. Wszystko co było piękniejszego, zakupiono wtedy dla księżnej Walii i dla Muzeum Brytańskiego, a te które teraz szkoła wyrabiała, przewyższały stokroć tamte i królowa nawet nie pogardziłaby niemi.

Od tego czasu, szkoła koronkarska w Zakopanem brała medale i dyplomy honorowe: w Czerniowcach, Krakowie, Wiedniu, i rozszerzyła zakres swoich wyrobów. Teraz oprócz zakopańskich, były tam koronki irlandzkie, stare weneckie, *duchesse*, po 30 złr. za metr. Milady znała się na tych rzeczach, i oglądała je z prawdziwem amatorstwem. Gdy zaś dowiedziała się, że dla hr. Potockiej szkoła dostarczyła koronek do całej wyprawy, i że te koronki wzbudziły podziw krawców paryzkich, zachwyt jej doszedł do najwyższego stopnia — była bowiem czystej krwi paryżanką.

To odkrycie poprawiło bardzo humor wielkiej pani; przyznała, że warto było tu przyjechać i kupiła koronek za pięćdziesiąt funtów szterlingów. Przytem wynalazła sobie zajęcie. Przypatrując się w szkole robocie dziewcząt góralskich, powiedziała sobie, że to będzie wyborny sposób zabijania czasu i zażądała lekcyi od pani Neużilowej, dyrektorki zakładu. Arystokratyczna uczennica okazała się nad wszelkie spodziewanie pojętną—i po kilku lekcyach zrozumiała główne zasady tej roboty. Z zadowoleniem wkładała szpilki w poduszkę i przekładała na krzyż koleczki z ponawijanemi na nich nićmi.

Było już koło godziny dziesiątej zrana: zapowiadał się dzień pogodny, a po czystym błękicie, lekkie obłoczki przesuwały się zwolna

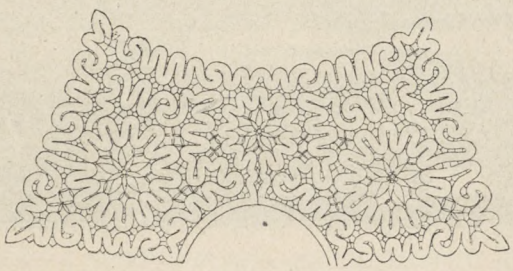

Część kołnierza koronkowego z szarotkami.

i poważnie. Z ganku, na którym siedziała lady Chester, piękny odsłaniał się widok na Zakopane, na kamieniste brzegi strumienia i gromady świerków, z pomiędzy których wyglądały dachy domków, licznie tam osiadłych gości. Nad tem wszystkiem górowały wzgórza Antałówki i szczyty dalekie Murania i Hawrania, świecące białemi płatami śniegu.

Lady na krajobraz najmniejszej nie zwracała uwagi, ani na kwiaty stojące w wazonie na stole, choć między niemi były Storczyki bladoniebieskawe prześlicznie pachnące, były Szarotki, delikatne złociste Balsaminy i jedwabiste Sitniki na moczarach zrywane—a wszystko na podkładzie z najdelikatniejszych Paproci, zwanych włosami Wenery *Adiantum capillus Veneris*. Lud góralski zowie je: „Matki Boskiej włoski". Całą jej uwagę zdawała się pochłaniać leżąca przed nią podłużna walcowata poduszka, gdzie setki poutykanych szpilek stały w wojskowym ordynku, przytrzymując nici krzyżujące się na wszystkie strony. Kawałek ćwierćmetrowej koronki zwieszał się z owej poduszki, dzieło rąk własnych milady, a białe pierścionkami ozdobione ręce, były w ustawicznym ruchu, przerzucając koleczki w różne strony. Ktoby jednak znał bliżej tę panią, ten na nią dziś spojrzawszy, zauważyłby że jest jeszcze coś innego, zajmującego ją więcej niż robota. Zauważyła to już Fanny, siedząca na progu i zajęta garnirowaniem czepeczka dla milady.

Ta, lub tamta ręka zatrzymywała się chwilami w powietrzu, wzrok milady spoczywał nieruchomo na jakimś przedmiocie, ale znać było, że nie widzi tego na co patrzy — a na twarzy żywsze niż zwykle miała rumieńce, choć był to może refleks od różowego satynkowego szlafroczka, suto ozdobionego wstążkami i koronkami. Z tych szczegółów ubrania, z tego zamiłowania do falbanek i wstążek, widać było że lady Chester nie jest rodowitą Angielką. Angielki lubią prostotę.

. . . odsłaniał się widok na Zakopane.

Obok wazonika z kwiatami, leżał „Times“, świeży numer „Graphica“ i złoty malutki zegarek z brylantowym monogramem. Lady spojrzawszy na cyferblat, zadzwoniła, a gdy się zjawił służący, spytała.

— Czy sir Warburton już się przebudził?

— Tak jest milady, w tej chwili podałem Jego Miłości herbatę.

— A pan Walter?

— Pan Walter wstał o siódmej i przekłada bibułą rośliny przyniesione z wycieczki.

— Proś pana Waltera!

Wkrótce na ganku ukazał się znajomy nam młodzieniec i złożył milady ukłon, w którym widać było uprzejmość człowieka dobrze wychowanego i uszanowanie, bez cienia uniżoności. Ukłon jego natomiast skierowany w stronę młodej dziewczyny, miał cechę wyraźnej życzliwości.

— Dzień dobry panie Walterze—rzekła pani z lekkiem skinieniem głowy—siadajże i opowiedz mi o waszej dwudniowej wycieczce. Wczoraj już byłam w łóżku, gdy wróciliście i nic nie wiem jak wam się powiodło, a jestem niesłychanie ciekawa szczegółów. Przedewszystkiem jak zdrowie Sir Edwarda?

— Bardzo dobre.

— A czy znaleźliście różę bez kolców?

— Dotąd nie; ale sir Edward ma wszelką nadzieję, że ją znajdzie.

— O, nie wątpię — odrzekła tonem źle zamaskowanej ironii — Gdy się jedzie czegoś szukać z jednego końca Europy na drugi, powinno się znaleźć, pod groźbą narażenia się na śmieszność!

— „Szukajcie, a znajdziecie“ mówi Pismo Święte — odrzekł młodzieniec, udając że tej ironii nie spostrzega. — W szukaniu potrzebna jest wytrwałość, a sir Edward dużo jej posiada. Nasi też towarzysze dali nam ważne wskazówki, których trzymając się, znajdziemy różę z pewnością. Zresztą baronet oświadczył, że będzie jej szukał aż do skutku.

— A to winszuję! — odrzekła ze słodko kwaśnym uśmiechem — tym sposobem przyjdzie nam zabawić do jesieni w tej krainie deszczów.

— Sądzę, że trochę krócej, milady. Sir Warburton pragnie mieć różę w kwiecie, a ona już w lipcu przekwita.

— To bardzo szczęśliwie — dodała. — Ale, ale, panie Walterze, Jerry całą historyę opowiedział Fanny o niedźwiedziu: chciej mnie objaśnić, ile jest w tem prawdy.

Młodzieniec opowiedział treściwie całe dzieje wycieczki: nocleg w jaskini, przygodę z niedźwiedziem—odmalowawszy wiernie sympatyczną postać polskiego chłopca, jego odwagę, skromne zachowanie się, prostotę i pobożność; wreszcie skwapliwość, z jaką pospieszył sprostować ogólne wyobrażenie o swojem bohaterstwie, sprowadzając je do rozmiarów prostego przypadku. Lady słuchała, przygryzając wargi, a ręce jej przerzucające kłeczki, zatrzymywały się często w powietrzu. Gdy skończył opowiadanie, przemówiła głosem ostrym jak stal.

— Wszystko to naturalnie musiało wzruszyć szlachetne serce sir Edwarda.

I podniosłszy oczy z nad roboty, utkwiła badawcze spojrzenie w młodzieńcu z wyrazem takiego oczekiwania, jakby pochłonąć chciała wyrazy mające wyjść z jego ust.

— Nie dostrzegłem tego; sir Edward zresztą rzadko kiedy ujawnia swoje uczucia. Zauważyłem jednak, że odwaga chłopca i jego wytrwałość na trudy, zrobiły na nim bardzo dobre wrażenie. Z tej okazyi nawet mówił ze mną o Dawidzie.

— Aa! dowód to wielkiej dobroci z jego strony. I cóż takiego był łaskaw mówić, jeżeli wiedzieć można?

Młodzieniec odczuł głębokość ironii; o ile kochał sir Edwarda, o tyle nie lubił jego synowej. To też odpowiedział z całą szczerością.

— Sir Warburton ubolewał, że Davy nie ma dotąd żadnych cech prawdziwego Anglika i mężczyzny, nie pociąga go bowiem żaden sport;

że lubi zabardzo wygodne życie, osłabiające ducha i ciało. W końcu dodał, że to nie jego jest winą.

— A a!

— Zapytał mnie wreszcie, co Dawid zrobiłby, znalazłszy się na miejscu owego Polaka, w cztery oczy z niedźwiedziem.

— A pan co odpowiedziałeś?

— Nie odpowiedziałem wcale; milczałem, ale on dodał, że Davy najpewniej schowałby się w najciaśniejszy kąt.

Lady Chester tak gwałtownie szarpnęła koleczkiem, że aż nić się zerwała.

— O tak!—zawołała—sir Edward nie lubi mojego syna, i zawsze sobie coś do niego upatrzy; zawsze go łaje, więc chłopiec na sam jego widok traci wszelką śmiałość i przytomność umysłu! W obecności dziadka jest niezgrabny i wydaje się jak najgorzej. Baronet nie chce zrozumieć, że Davy jest bardzo wątły, że go trzeba oszczędzać! Mój drogi, biedny chłopczyna! Czy pan uważasz, jaki on mizerny?

Walter miał dobre serce. Odczuwszy boleść w głosie kobiety, zmiękł.

— Milady — rzekł—chciej mi pani wierzyć, że gdyby Davy mniej był oszczędzany, byłby silniejszy i zdrowszy. Tego samego zdania jest młody doktór polski, w którego towarzystwie odbyliśmy wycieczkę. Niech mu pani każe rano wstawać i dużo chodzić, a nabierze apetytu, lepszej cery i pozbędzie się ociężałości. Ja to już pani oddawna powtarzam, i baronet jest tego samego zdania. Sir Warburton projektuje kilkodniową wycieczkę w góry. Jeżeli zechce zabrać Dawida, niech mu się pani nie sprzeciwia, dla dobra syna!

Lady Chester słuchała tych słów w zamyśleniu: ważyła w głowie różne za i przeciw. Widocznem było, że myśl jej pracowała i że pragnęła coś zrobić w duchu życzeń baroneta; trudno jej było jednak rozstać się z dotychczasowemi pojęciami. Fanny zaś pochylając się nieco w stronę Waltera, spytała z cicha:

— Czy nie znaleźliście panowie przypadkiem w grocie mojej wstążki?

— Wstążki pani? — zapytał zdziwiony młodzieniec — alboż panie zwiedzałyście grotę Błędną, czyli Mylną?

— Dla milady nie przedstawiało to żadnego interesu, więc pozostała w schronisku, ale ja sama zwiedziłam ją z przewodnikiem, i nie wiem gdzie zgubiłam moją wstążkę błękitną.

— Czy ta, którą pani miała wczoraj związaną pod szyją?

— Ta sama.

— Nie, nikt z naszego grona jej nie znalazł. Ale—dodał z uśmiechem—miejmy nadzieję że znajdzie się jaki błędny rycerz, szczęśliwszy od nas, i złoży ją u stóp pani.

— Jeż li pięciu błędnych rycerzy nie znalazło jej wczoraj, to już wątpię czy ją odzyskam—odparła uśmiechnąwszy się także.

Gdy tak rozmawiali na stronie, wszedł Davy i pocałowawszy matkę, usiadł obok Waltera.

— Co tak blado wyglądasz?—spytała, patrząc troskliwie w twarz jedynaka—czy głowa cię boli?

— Nie mamo, tylko źle spałem.

— Gdybyś chodził tyle co my, nie znałbyś co to bezsenność—powiedział Walter.

Jerry zaczął nakrywać do śniadania. Lady uniosła nieco swój warsztat koronkarski, gdy kładziono serwetę i umieściła go na nowo przy sobie, zająwszy się wiązaniem zerwanej nici, podczas gdy Davy pozie wając słuchał opowiadania o niedźwiedziu, bo przygoda ta i o jego obiła się uszy. Przyniesiono jajka, szynkę, herbatę i cienkie plasterki słoniny, smarzone na patelni — ulubiony przysmak Anglików. Mleko podano w stylowym dzbanku góralskim, a chleb i bułki na talerzach z drzewa bukowego prześlicznie rzeźbionych. Wkrótce potem zjawił się sir Edward już ubrany, w serdaku, w którym mu było bardzo do twarzy. Wyglądał jak odmłodzony.

. . . w stylowym dzbanuszku.

Podał rękę lady, która podniosła się na powitanie, spojrzał na Dawida z roztargnieniem i skinąwszy głową uprzejmie Fanny i Walterowi, zapytał młodzieńca czy już uporządkował jego zbiory botaniczne. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, oświadczył że po kilkodniowym wypoczynku, zamierza urządzić dłuższą wycieczkę w góry; że zabierze z sobą namiot, hamak—aby mógł wygodnie nocować — i Jerrego, żeby pełnił obowiązki kucharza w drodze. Mówił z zapałem o piękności krajobrazów widzianych ze szczytów i sowicie opłacającym się trudzie wchodzenia na góry. W oczach Dawida słuchającego dziadka z zajęciem, błysnęło coś nakształt iskry, a na twarzy, coś nakształt nagle zbudzonej ochoty—ale jedno i drugie wnet zgasło, i rozlała się na niej zwykła ociężałość i znudzenie. Walter obserwujący to, pomyślał:

— Materyał na człowieka jest i dałoby się coś z niego wykrzesać, choć z trudem wielkim, bo wierzchni pokład lenistwa i obojętności, jest bardzo gruby.

Sir Edward jadł z apetytem, jakiego dawno u niego nie widziano, Walter także. Milady była bardzo zamyślona, i przez pomyłkę wlała sobie do herbaty koniaku, zamiast śmietanki.

— Czy chcesz żebym wziął z sobą Dawida? — zapytał baronet, zwracając się nagle do synowej.

Piękna pani zmięszała się. Pytanie zaskoczyło ją niedostatecznie przygotowaną. Myśl że jej syn przez dni kilka będzie sypiał na ziemi, pod gołem niebem, narażony na wszelkie niewygody i niebezpieczeństwa, przerażała ją.

— Jeżeli ojciec sobie tego życzy...— odrzekła niepewnym głosem, chociaż... obawiam się... Davy ma ciągle katar, a chłodne wieczory i zimne noce pod gołem niebem...

— Dajże mu pokój z tym katarem! Zdaniem mojem, jeden to właśnie powód żeby go się pozbył. Zakopane jest stacyą klimatyczną i ludzie tutaj gubią swoje katary, jeżeli cały dzień spędzają na powietrzu! Ponieważ jestem opiekunem Dawida, nie mogę pozwolić na to aby był nadal chowany jak dziewczyna. Ma już czternaście lat: to czas żeby go uważać za chłopaka, i dziwię się nawet, że w nim samym dotąd nie obudziło się takie pragnienie; dziwię się że znosi cierpliwie te wszystkie koronki, jedwabie i włosy trefione, w które go ubierasz. To jest poprostu śmieszne! Chłopiec jest ospały i apatyczny; chcę żeby się rozruszał i zahartował, zanim pójdzie do Eton, bo inaczej, zostanie pośmiewiskiem kolegów.

— Rok jeszcze mógłby się w domu kształcić—szepnęła nieśmiało matka.

— Nie. Nigdy się na to nie zgodzę; byłby z niego skończony niedołęga, zdolny tylko do wygodnego, próżniaczego życia. Davy musi wziąść się gorliwie do pracy, żeby mógł potem wyrobić sobie stanowisko i stanąć o własnych siłach, nie posiada bowiem nic prócz lichego zameczku na kilkudziesięciu akrach ziemi i tytułu, który dla ubogiego szlachcica jest tylko niewygodnym ciężarem. Jeżeli nie zrozumie wcześnie swego położenia, i nie zabierze się energicznie do nauki, pozostanie mu tylko służba wojskowa, do której bynajmniej nie jest uzdolniony.

Walter nie patrząc na lady Chester, widział jednak że jest śmiertelnie bladą. Davy patrzył na dziadka przerażonemi oczyma, a baronet który umyślnie wymierzył ten cios, pragnąc by on był zbawiennem dla matki i syna wstrząśnieniem, nalał sobie mleka i wziąwszy „Timesa“, przeglądał obojętnie wiadomości polityczne. Głuche zapanowało milczenie, które sir Edward przerwał znowu, podnosząc oczy z nad gazety:

— Pojutrze zatem Dawidzie, jeżeli to będzie zgodne z wolą twej matki, bądź gotów na wycieczkę; ale zastrzegam sobie, żebyś się ubrał przyzwoicie i przystrzygł włosy.

Byłby co może jeszcze dodał, ale przyniesiono listy, więc zaczął je przeglądać, poczem wstał i opuścił towarzystwo. Milady, która w obecności sir Edwarda wstrzymywała się od płaczu tylko siłą woli, choć usta jej mocno drżały, teraz gdy odszedł, wybuchnęła.

— To już za wiele, doprawdy! To barbarzyństwo pastwić się tak nad biednem dzieckiem, a potem grozić mu ubóstwem! To taka nagroda za moje życie w Rochdale, przy boku zgryźliwego i zrzędnego starca, narzucającego we wszystkiem swoją wolę! O, gdyby mój biedny Ryszard to przewidział, on który mnie powierzył ojcu w opiekę!.. Boże! jakiemże nieszczęściem jest brak pieniędzy! Gdybym posiadała ze sto tysięcy funtów, ani chwili dłużej nie ulegałabym jego tyranii i kaprysom. I cóż on zrobi ze swoją olbrzymią fortuną, ten stary dziwak, jeżeli nas chce wykierować na żebraków! Ale nie!—zawołała, zrywając się— nie, nie, to niepodobna, ja tego nie dopuszczę! On nas chciał tylko zastraszyć!

— Nie rozumiem czego mama tak desperuje? — odezwał się Davy.

— Boś głupi!— wybuchnęła. — Jeżeli nie będziesz posłuszny dziadkowi, to cię wydziedziczy. Rozumiesz?

— Więc ja miałem dziedziczyć po nim? Nie wiedziałem. Przecież mam swój własny majątek?

Lady wzruszyła ramionami.

— Przecież ktoś po nim dziedziczyć musi—powiedziała, ubolewając w tej chwili po raz pierwszy może, nad tępością umysłu syna.—Niema innej rodziny prócz nas; jesteśmy mu najbliżsi.

Koziomków nie kupiom?

Wymawiając te wyrazy, wiedziała że ma w duszy wielką wątpliwość, chwilami zmieniającą się niemal w pewność, i przeniknął ją dreszcz trwogi. Majątek dziedziczny Dawida uszczęśliwiłby nie jednego śmiertelnika, nie mającego zbyt wygórowanych wymagań — ale dla lady Chester była to poprostu nędza. Pragnęła dla swego jedynaka milionów.

— Jeżeli nie będziesz się starał przypodobać dziadkowi, to ktoś inny, obcy, może się wkraść w jego łaskę, pamiętaj o tem!

Słaby rumieniec wybił się na twarz chłopca. Obojętność, z jaką syn słuchał namiętnej mowy matki, zniecierpliwiła ją do najwyższego stopnia.

— Rusz-że się!—zawołała—odezwij się, o ciebie tu idzie. Dziadek ma słuszność, mówiąc że jesteś niedołęgą! Nic cię nie obchodzi: ani los własny, ani łzy matki!

A gdy chłopcu usta zadrgały jak do płaczu, porwała go w objęcia i zaczęła namiętnie ściskać i całować.

— Słuchaj — mówiła, przerywając pieszczoty — zajmij się botaniką, którą dziadek tak lubi. Ty nigdy nie myślisz o tem, żeby mu zrobić przyjemność. Wiesz, że on szuka róży bez kolców! Idźże z nim na tę wycieczkę i postaraj się znaleźć ją koniecznie. Kto wie, może od tej rośliny zależy twoja przyszłość!

Tu obejrzała się trwożliwie, czy jej kto nie słyszy — ale na ganku nie było nikogo. Walter dyskretnie się wysunął, a Fanny będącej częstym świadkiem wybuchów lady, która nie krępowała się przy niej, nie uważano za osobę.

Dawid spojrzawszy na matkę zdziwionym wzrokiem, oddalił się. Ona zaś zabrała się na nowo do roboty i przerzucała gorączkowo koleczki z nićmi z jednej strony na drugą, ale myliła się ciągle. Do niecierpliwości też doprowadzały ją góralki ze wsi poblizkich, tak zwane „wsiówki“, przychodzące z różnemi garneczkami i koszykami. Zatrzymywały się one co chwila przed gankiem i przemawiały do niej językiem, którego nie rozumiała.

— Koutków nie kupiom?

— Jajów nie kupiom?

— Koziomki pikne, maliny, biercież, biercież, biercież!

Lady odprawiała je gniewnym giestem, ale sprzykrzyło się jej nareszcie: wsiówki ciągnęły sznurem jedna za drugą, bo to był jarmark, a że chata Parzonki stała przy drodze, więc jej nie pomijały. Lady Chester wstała zirytowana i opuściła ganek, trzasnąwszy drzwiami.

Cyfrowanie na sosrębie,

XV.

DUJAWA.

„Jakby rumak rży lawina,
Orkan puścił cugle wód,
Skrzącą kosą bory ścina
Jak śmierć ludzki ścina ród"

De tyma. Piosnka w Karpatach.

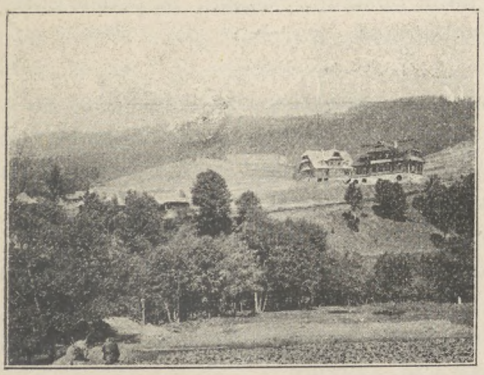

W domku Ślimaka za to było wesoło: barometr wprawdzie stał jak zaklęty, i kapucyn ciągle kaptur ściągał do kolan, ale humory były dobre. Henryk spoczywał na laurach. Siostrzyczka uważała go za wielkiego bohatera; codzień kazała mu sobie opowiadać bajkę o niedźwiedziu, słuchała z przerażonemi oczyma, płakała nad dziećmi które pewnie pozostawił, i uspakajała się gdy ją zapewniano, że gdyby go braciszek nie zabił, niedźwiedź pozjadałby wszystkich podróżnych. A gdy Henryk skończył, pytała:

— A dalej co?

On sam nie wiedział co będzie dalej, ale czuł w sobie pragnienie ruchu, marzył o nowej wycieczce, o nowej sposobności do okazania męstwa i odwagi. Gaździna spoglądała na niego z wielkim respektem, i często do niego zagadywała, wypytując o szczegóły tego ważnego wypadku. A słuchając dziesiąty raz jednych i tych samych, przerywała:

— No, no, widzicie, mądrzeście się sprawili. Fała Panu Jezusowi.

Gazda znów, flegmatycznego więcej usposobienia, nie wyjmując z ust nieodstępnej fajki, od czasu do czasu powtarzał:

— Wiecie co, toście dobrze zrobili!

Skórę niedźwiedzia posłano do Nowego Targu do wyprawienia, bo chłopiec przeznaczył ją na podarunek dla dziadka, któremu już napisano o rycerskiej przygodzie wnuka.

Skromny domek na Krupówkach ożywił się, bo doktór często do niego zaglądał i przyprowadzał malarza, w którego towarzystwie tak sobie upodobała staruszka, że prosiła Jakóba aby z przyjacielem swoim jak najczęściej przychodził. Polacy z dawien dawna zwykli byli wszelkie swoje afekta łączyć z gościnnością. Kogo mile widzieli, z tym musieli koniecznie przełamać się chlebem—i troszczyli się o to, aby ten chleb przedniego był gatunku. To też gdy raz kupiono pięknych, tłustych kogutków, kazała Henrykowi napisać do obu panów list z zaproszeniem na obiad, ponieważ razem mieszkali. Chłopiec zasiadł z piórem, a panna Katarzyna powiedziała:

— Napisz, żem ich obu parę dni nie widziała, więc chcę ich dziś zobaczyć, a przypuszczam, że i oni się do nas stęsknili.

— Dobrze babuniu.

— Że proszę żeby zjedli z nami obiadek. Dodaj, że będzie skromny, ale postaramy się żeby im smakował.

— Dobrze babuniu.

— Hm, pan Jakób ma zwyczaj jadać wcześnie drugie śniadanie. Napisz jeszcze że wymawiam sobie, by dzisiaj śniadanie zostało wykreślone z programu, bo gospodynie nie lubią, żeby goście przychodzili najedzeni. Obiad nasz będzie gotów na pierwszą.

— Dobrze babuniu.

— I żeby przynieśli z sobą swoje łyżki, noże i widelce, bo nam sztućców brak. Mamy tylko po trzy sztuki.

Henryk pisał, aż pióro skrzypiało po papierze, a pisząc uśmiechał się. Wreszcie przerwawszy na chwilę, zapytał:

— Co będzie na obiad, babuniu?

— Zupa grzybowa, kurczęta pieczone ze śmietaną, jarzynka, poziomki... Ale słuchaj, powiedz Jagusi, jak pójdzie z listem, żeby przyniosła koszyk, który pan Jakób dać nam obiecał. Czy już skończyłeś?

— Już. Chodź Maryś, przypisz się i ty.

— Nie chcę, wolę z Jagusią obiad gotować.

— Przeczytaj—rzekła panna Katarzyna.

Chłopiec położył pióro i rzuciwszy na pannę Katarzynę figlarne spojrzenie, czytać zaczął.

„Babunia wiedzom co wom się strasznie cni [1]) przez nik [2]), temuby kcieli tutok [3]) wos uwidzieć [4]), cobymy razem zjedli se połednine. Bedzie wszystko masno i dobre co cud, i dość wszystkiego, coby krzywdy nie było. Już koutki siedzom w gorku; gołąbki [5]) na polewke od wczora połednia sie warzom; moskol [6]) je w piecu od tyźnia [7]), watra [8]) sie poli styry dwadzieścia godzin [9]), grulów naskrobalim, oscypków [10]) i brusków [11]) nakupilim, masło je udeptane i cukier do koziomków wsulim do śklonki [12]) A kie smakować wom nie bedzie, to wom domy habryke [13]) i gorzołki dość i herba [14]) sie też najdzie. A nie psyodźcie pryndzej, aż słońce na Giewoncie na pierwszą pokaże z połednia, żeby sie wszystko miało cas bars piknie uwarzyć. A przynieście swoje łyżki, widelce i noże, bo my takik ludzi nie radzi widzimy, co z gołemi rencami przyodzom. Jagusie po koszyk posyłamy z gembom, bo ju nie wiemy z kielo rozumu do pisania wziąść.

P. S. Marysia nie pisze, bo ona musi w gorki patrzyć i baczyć by dużo i dobrze nagazdować i nie pióro ino warzechę w gorści trzymie.“

Panna Katarzyna bardzo się z tego listu, w narzeczu góralskiem napisanego, uśmiała—ale wyraziła obawę, że goście będą się bali obiadu złożonego z takich potraw, z których jedna gotuje się „od wcora wiecera“ a druga siedzi w „piecu od tyźnia“ — co Henryś skomponował, gwoli większego nagromadzenia charakterystycznych wyrażeń góralskich. Przytem pan Witold może się za zbytnią poufałość obrazić, bo co Kubuś, to nie. Zaadresowano więc do pana Jakóba i babunia Kasia dodała małe objaśnienie dotyczące „golych renców.“

Jakoż goście nietylko nie obrazili się, ale nawet bardzo im się koncept podobał.

Dało to znowu powód do rozmowy o tem narzeczu bogatem w stare polskie formy i zwroty, a pan Jakób bardzo zapalony goralszczyzny wielbiciel, powtórzył słowa A. Brücknera, badacza dziejów kultury polskiej, że język jest najstarszą dziejów ludzkich kroniką, najstarszem narodów archiwum. Archeolog wnosi na zasadzie wykopalisk, jak w czasach zamierzchłych ludzie żyli, jak mieszkali, jak chowali umarłych — mówi Brückner — jakiemi drogami kroczył ich handel,

---

[1]) Tęskno.
[2]) Bez niej.
[3]) Tutaj.
[4]) Zobaczyć.
[5]) Nazwa grzybów.
[6]) Placek owsiany.
[7]) Od tygodnia.
[8]) Ogień.
[9]) Dwadzieścia cztery.
[10]) Serki małe.
[11]) Serki duże okrągłe.
[12]) Do butelki.
[13]) Tytoń.
[14]) Herbata.

nawet w co wierzyli, ale jakie ludy dane ziemie zamieszkiwały, o tem rozstrzyga dopiero język. Nazwisko lub słowo trafnie wytłomaczone, rozświeca nagle mgły i ciemności. Lingwista odgraniczy ściśle na podstawie nazw miejscowych, pierwotne ludów siedziby, a w mowie ludu wyczyta jego dawne z innemi narodami stosunki.

— O, tak — odezwał się Witold — gwara góralska jest także zwierciadłem, w którem można dzieje ludu tatrzańskiego odczytać.

Rozprawę tę przerwała Jagusia, niosąca wazę na stół. Rozmowa przeszła na inne, lżejsze tory. Mówiono o różnych rzeczach, a mianowicie o Anglikach, bo Anglicy wtedy byli na ustach wszystkich, którzy na ten czas znajdowali się w Zakopanem. Wiedziano o każdym ich niemal ruchu i powtarzano sobie z dodatkami—tak że niewiele brakowało, aby urośli na jakieś legendowe postacie. Witoldowi opowiadano na poczcie, że baronet telegrafem zamówił w Wiedniu namiot i ten dziś właśnie nadszedł w kilku pakach. A doktór, któremu sir Edward zwierzył się z projektem przepędzenia kilku dni w górach, dodał, że to będzie coś nakształt owych słynnych wypraw doktora Chałubińskiego, które ten zamiłowany taternik od czasu do czasu urządzał we dwunastu górali, z muzyką i licznem towarzystwem. Panna Katarzyna dopytywała się, czy goście jej wezmą udział w tej wycieczce, ale odpowiedzieli, że nie otrzymali dotąd zaproszenia. Jedynie profesor Strand, najdawniejszy baroneta znajomy, na pewno się wybierał, spodziewając się w jednem z jezior, obok których mieli przechodzić, znaleźć swego Branchiopoda.

Panna Katarzyna po raz pierwszy słysząca to nazwisko, z dodatkiem nazwy gatunkowej, *Branchinecta Paludosa* jęła dopytywać ciekawie o tajemniczą, noszącą je istotę. Przypuszczała, że to jest nazwa damy posiadającej afekt profesora—i dziwiła się bardzo, gdy jej powiedziano że to gatunek małego, niepozornego skorupiaka, który oprócz Tatr znajduje się w jednej tylko, jedynej miejscowości w Europie.

— I cóż on zrobi z tym Branchiopodem, gdy go znajdzie?—spytała.

— Włoży zapewne w spirytus i zawiezie do Berlina.

Uśmiechnęła się, żałując w duchu uczonych upędzających się za takiemi rzeczami.

Henryk słuchając tego, tajemnie wzdychał żeby i on mógł należeć do wyprawy—ale nie wiedział czy babka nie będzie się temu sprzeciwiała. A co ważniejsza, wątpił aby jego towarzystwo tam było pożądane, skoro ci panowie nie otrzymali zaproszenia—oni, których wiedza gruntowna i rozum, czyniły istotnie pożądanymi towarzyszami.

Obiad bardzo smakował gościom, bo nietylko wszystko było wybornie przyrządzone, ale miał jednę przyprawę, przy której najskromniejsze potrawy stają się wyśmienite: polską gościnność i szczery

polski humor. Przy czarnej kawie Jagusia podała swej pani bilet wizytowy.

— Walter Dowmond—przeczytała—to ktoś z naszych stron, tylko rzecz dziwna, że ma takie cudzoziemskie imię.

— Bo to jest cudzoziemiec, guwerner małego hrabiego — odezwał się Jakób — ród jego widocznie ztamtąd pochodzi, ale on sam zupełnym już jest Anglikiem, chociaż rozumie po polsku, bo był raz w Zakopanem i trochę się nauczył.

— Proś — rzekła, ciekawy wzrok ku drzwiom zwracając.

Dowmond złożył babuni Kasi ukłon głęboki, i przywitawszy się ze znajomymi panami, zaczął od objaśnienia że przychodzi do pani tego domu od sir Warburtona, z pozdrowieniem i powinszowaniem, że dochowała się tak odważnego wnuka. A oprócz tego—tu zwrócił się w stronę Henryka — przynosi młodemu pogromcy niedźwiedzia zaproszenie do uczestnictwa w nowej, kilkodniowej wyprawie w góry, którą sir Edward urządza, i w której można spotkać nietylko niedźwiedzie, ale i inne okazy fauny tatrzańskiej: Baronet ma nadzieję, że szanowna babka Henryka nie odmówi swego zezwolenia. Mówił po francuzku, domyślając się że panna Katarzyna nie rozumie po angielsku.

I jakby chcąc dać staruszce czas do ochłonięcia ze zdziwienia w jakie ją wprawiła ta propozycya, zwrócił się do obu panów, mówiąc że był w ich mieszkaniu z takiemże samem zaproszeniem, ale żadnego z nich nie zastawszy, zostawił tylko bilety.

Henryk aż poczerwieniał z radości: oczy utkwił w twarz babki jak w tęczę, czekając jej wyroku — ona zaś spotkawszy się z tym wzrokiem błagalnym, dała zezwolenie, dziwiąc się w duszy, że magnat angielski tak zagustował w towarzystwie jej wnuka, będącego jeszcze dzieckiem. Było to coś tak niezwykłego, tak nadspodziewanie pomyślnego, że aż obudziło w duszy panny Katarzyny pewien niepokój — choć mówiła sobie, że ten niepokój jest bezzasadny i wytłomaczyć się niczem nie dawał. Bo i cóż mogłoby jej lub chłopcu grozić ze strony tego Anglika? Przelotna to tylko znajomość, nic więcej, a przytem, tak dobrze o nim mówiono...

Walter, skromny młodzieniec z poczciwemi szaremi oczyma, pociągnął ją odrazu: zapytała go, jak się to stało że nosi litewskie nazwisko, i dodała że zna rodzinę Dowmuntów; dwie tylko litery stanowią różnicę w pisowni.

— Bardzo być może, że to jest gałęź tego samego co i ja rodu — odpowiedział — dziad mój pochodził ztamtąd. Babka była Angielką, stąd i ojciec mój bardzo źle mówił po polsku. Matka moja Angielka także, i ja nie umiałem ani jednego polskiego słowa, ale przyjeżdżałem

już w roku zeszłym w Tatry i tutaj poduczyłem się trochę, biorąc lekcye od jednego studenta, którego w zamian uczyłem po angielsku.

— Ach, więc skoro pan umiesz trochę i rozumiesz, będziemy po polsku mówili — powiedziała — czy dobrze?

— Jak najchętniej, szanowna pani — odrzekł całując jej ręce.

— Dowmunt... — powtórzyła — Dowmunt był przyjacielem mego starszego brata.

— Pani miała starszego brata? — zapytał Jakób zdziwiony.

— Miałam — odrzekła posępnie. — Powiedz mi panie Dowmoncie, jeżeli urodziłeś się już zupełnym Anglikiem, co cię skłoniło przyjeżdżać w Tatry w zeszłym roku i uczyć się po polsku? Bo że teraz towarzyszysz rodzinie baroneta, to rzecz naturalna.

— Namówili mnie tacy jak ja Anglicy z polskiemi nazwiskami, których tak samo jak mnie, ciągnie do starego gniazda.

Witold zagadnął przybyłego, jakim sposobem dostał się do domu Warburtona. Odpowiedział, że zapoznał się z synem jego w Eton, i jeździł z nim do Rochdale na wakacye. A później, gdy ukończył szkoły i chciał pójść na drogę przemysłową, baronet odradził mu to, zajął się nim serdecznie i pomógł do ukończenia studyów uniwersyteckich. Był to jakiś dawny stosunek z jego ojcem, który umarł gdy Walter był jeszcze wyrostkiem. Od dwóch lat jest nauczycielem małego hrabiego, która to rola nie jest wcale godną zazdrości; grunt dobry ale bardzo trudny do uprawy.

Typ góralki.

Rozmowa toczyła się o górach, góralszczyźnie i góralach: Witold pokazał narysowny przez siebie ładny typ góralki. Mówiono o dziele Witkiewicza „Na przełęczy“ i o pracach Matlakowskiego.

— Niech państwo patrzą, co barometr wyprawia!—zawołał nagle Henryk. — On, który po przybyciu naszem do Zakopanego spadł tak nizko, że przeszedłszy granicę deszczów, posunął się ku pogodzie, teraz wkroczył na pogodę stałą, czego jeszcze dotąd nie bywało. Co to znaczy panie Jakóbie? Chyba będzie jeszcze większy deszcz! Ale od czasu naszego powrotu z wycieczki, ciągle leje, z małemi przerwami, więc barometr mógłby stać na tem samem miejscu jak stał. I dziś rano jeszcze był nieporuszony. Nawet przed godziną patrzyłem na niego i nie zauważyłem żadnej zmiany.

— Mój kapucyn zsunął swój kaptur niemal do samych pięt — odezwała się panna Katarzyna — stoi bezradny i strapiony. Te góry, to prawdziwa kraina deszczów, które zamieniają się w mgły po to tylko, aby znowu spuścić się ulewą na ziemię. Nie wiem czy kto z państwa doświadcza tego samego co ja, ale czuję dziś w powietrzu, czy może w sobie, jakiś dziwny niepokój, jakby miało zajść coś nadzwyczajnego. W tym kraju wszystkiego spodziewać się można i odzwyczaić od dziwienia się czemukolwiek. Zrana wyjaśniło się: myślałam że już będzie stała pogoda, i zdawało mi się nawet że powietrze jest przezroczyste, a szczyty Kościelca i Świnicy zbliżyły się.

Pan Jakób patrzył z uwagą na szczyty gór, na których gromadziły się drobne, małe chmurki i posiedziawszy tam chwilkę płynęły ku wschodowi i północy.

— Czy państwo czujecie ciepłe powiewy od strony południowo-zachodniej — zapytał.

— One nie są ciepłe, ale gorące — powiedział Witold.

— Otóż zdaje mi się, że będziemy mieli wiatr halny: wysyła on te powiewy, jako przednie straże.

— Czy to nie grozi jakiem niebezpieczeństwem?—spytała babunia Kasia.

— Żadnem, jak dla nas tutaj.

— Dla nas, powiada pan!... dla kogoż zatem jest niebezpieczny?

— Dla wszystkich co nie są w tej chwili pod dachem. Wyrywa on drzewa z korzeniami, lub drze je na kawały, ciskając na boki, a łamie tak nagle, że ani człowiek ani zwierzę nie ma czasu do ucieczki. Kędy las przejdzie, tam potem sterczą tylko pniaki. Rozmiata ze szczętem skoszone zboże, chałupy na bok przekręca.

— Jezus Marya! — zawołała staruszka — to okropność. Może i naszą chałupę rozniesie!

— Niech się pani nie obawia; stara jest, mocno zbudowana, i od lat wielu opiera się wichrom halnym.

— Eh, zdaje mi się, że pan Jakób napróżno panie straszy — odezwał się Witold.—Czy nie widzicie państwo jak pięknie słońce zachodzi? Oświetlenie gór nawet jest żywsze. Koszysta i Granaty lśnią barwą ciemno-purpurową, wpadającą w fijolet i gdyby tylko nie te chmurki, których jest coraz więcej...

— I które zasłonią wkrótce cały obraz — dokończył doktór. — Właśnie te chmurki tak niewinne na pozór, bardzo są niedobre. Tak ich już jest dużo, że wyglądają jak kurniawa, i wielu szczytów już z poza nich rozpoznać nie można. Ale cicho, czy słyszycie panowie?

Wszyscy umilkli nasłuchując z natężeniem. Zdala od strony gór dochodził szum i zdawał się zbliżać, bo coraz był silniejszy. W gąszczu,

blizko domu, odzywało się ćwierkanie ptaszków żałosne i przejmujące.

— Wiatr halny będzie tu wkrótce — rzekł doktór — ja go znam. To są sygnały jego, że idzie. Chodźmy do pokoju: trzeba okna na gwałt pozamykać i ogień w kuchni kazać zagasić.

Ale ogień już był zgaszony, na zalecenie gaździny dbającej bardzo o całość swego domostwa. Goście chcieli się pożegnać i uciec do domu przed wichrem, ale panna Katarzyna tak się tej nieznanej sobie potęgi obawiała, że uprosiła wszystkich trzech, aby z nią pozostali.

— Ciekawa jestem, zkąd on się bierze, ten wiatr — pytała.

— Dawniej myślano z powodu jego gorącości, że wieje z Afryki, z Sahary — powiedział doktór — ale najnowsze badania wykazały, że rodzi się on w samych górach. Jestto prąd powietrza, przechodzący główny grzbiet górski i spadający ku północy z szaloną siłą.

— A zkąd pochodzi jego gorąco?

— Siła z jaką spada, ogrzewa go. Jest on zupełnie podobny do Föhnu alpejskiego, który takie samo ma pochodzenie: tak samo zrzuca głazy z gór i zrywa dachy.

— Dla czego nie miałby iść z Afryki?—przerwał Witold—to przypuszczenie zdaje się być prawdopodobniejsze.

— Dla tego, że wiatr przybywający do nas z Sahary, musiałby uledz zupełnemu ochłodzeniu, mijając wyżyny tatrzańskie. Tak utrzymuje Rehman, autor dzieła p. t. „Tatry pod względem fizyczno-geograficznym.“

— Nie rozumiem znów zkąd ten mus!

— Bo powietrze wznoszące się w górę, traci ciepło wskutek rozrzedzenia, tak jak powietrze spuszczające się z gór w doliny musi uledz zgęszczeniu. Nieodzownem znów następstwem zgęszczenia powietrza, jest podwyższenie jego ciepłoty; wskutek czego każdy wiatr, który minąwszy grzbiet gór, spuszcza się w doliny, w Föhn zmienić się musi.

— Hm, a mnie to wydawało się tak naturalnem...

— W Alpach zdarza się niekiedy Föhn z północy wiejący, a Sahary przecież na północy niema. Zjawia się też on w Grenlandyi w porze zimowej i podnosi ciepłotę wybrzeży o 12 do 20° Celsyusza.

— A tam zkąd przybywa?

— Z oceanu Atlantyckiego, który w tej porze pokryty jest przeważnie lodami. Minąwszy wnętrze Grenlandyi, wzniesione do 2,000 stóp nad poziomem morza, spada z wielką siłą w fiordy zachodnich wybrzeży, a dobroczynny jego wpływ na ciepłotę tych posępnych zlodowaciałych okolic, daje się czuć jeszcze pod 82° szerokości geograficznej.

Dzieci bały się także, ale ciekawość przeważała, więc nie odchodziły od okna i czekały co będzie, a Henryk nawet od czasu do czasu

wychodził na ganek, rozglądając się po niebie. Nad Czerwonemi Wierchami i Giewontem zjawił się olbrzymi wał chmur, sięgający aż do Świnicy, a te pędziły kłębiąc się w dolinę, niby pijane szałem i ziały gorącem tchnieniem, a za niemi szedł groźny pomruk, niby ryk wzburzonego morza.

Nagle zatrzęsły się wierzchołki drzew najwyższych, zadrżały kalenice dachów, zadygotały kanty strzechy, jakby jakaś potężna ręka potrząsnęła niemi z wściekłością. Dach jęknął, zatrzeszczały ściany ślimakowego domostwa, i dał się słyszeć skrzyp, jakby przeciąganie się węgłów.

Panna Katarzyna przeżegnała się: usta jej poruszały się szepcząc cichą modlitwę, a oczy patrzyły przerażone jak kurniawa obejmowała całą dolinę, jak ginęły w niej sylwety drzew, płotu, domów, a zapanował chaos!

Marysia przypomniała sobie swoje króliki, które zostawiła na dworze w małem ogrodzeniu za oborą, i pomyślała że biedne zwierzątka pewnie są w śmiertelnym strachu. Zdjęta litością wybiegła, chcąc je przenieść do kuchni.

Króliki te były powodem jej nieustannej troskliwości: Gdy słońce świeciło i pogoda była piękna, bała się żeby ich jastrząb nie porwał; a znów gdy padał deszcz, niepokoiła się że im futerko zamoknie i wilgoć zaszkodzi.

Drzwi z sieni prowadzące na dziedziniec, były zamknięte na zaworę; odsunęła ją i wybiegła za budynki. Wiatr już dął silny, tak że ujść było trudno, ale dziewczynka trzymając się ściany domostwa, a potem ściany obory, doszła do zagrodzenia, gdzie w kąciku strwożone siedziały króliki. Ucieszona wzięła je na ręce i chciała iść ku domowi, ale ta jedna chwila wystarczyła, aby jej powrót uniemożebnić. Gdyby jeszcze trzymała się mocno ściany, jak to czyniła idąc tutaj, doszłaby do domu choć z trudnością; ale przytuliwszy króliki do piersi, miała obie ręce zajęte. A tu w tej jednej chwili właśnie stało się coś dziwnego: ogarnęła ją nagła ciemność, posłyszała szum, świst, ryk, jęki i wycia. Wiatr zarzucił jej spódniczkę na głowę; podmuch jego szedł od strony gór potężny, straszliwy, i grał najrozmaitszemi głosami, unosząc przerażoną dziewczynkę w kierunku przeciwnym domowi. Na drodze tańczyły potężne tumany piasku i zwiru, wciągając w wir tańca drobne kamyki, a świerki gięły się jak trzciny i biły czołem o ziemię, strząsając szyszki ulatujące na wietrze. Wody potoku rozbiegły się na boki mnóstwem strug białych i pędziły spienione. Ponad szczytami niebo zawalone było olbrzymiemi kłębami chmur ciemnych: leciały one na pozór z szaloną szybkością, a w rzeczywistości przewalały się i szamotały na miejscu. Potężny wir powietrza tańczący w środku doliny,

szarpał całe to morze chmur spływających z góry, darł je z wściekłością na szmaty i ciskał na boki!

Ze spódniczką zarzuconą na oczy, od której napróżno ruchem głowy oswobodzić się usiłowała, biegła Marysia nie dotykając prawie ziemi, łąką nad potokiem, przerażona, z płaczem głośnym którego nikt nie słyszał, przyciskając mocno króliki do piersi. Nie wiedziała gdzie

Świerki gięły się jak trzciny.

jest i w którą zwrócić się stronę. Jeszcze chwila, a wicher wpędzi ją w potok, którego nurt spieniony po wielkich tutaj płynął głazach, bełkocąc gniewnie, niby pomruk dzikiego a podrażnionego zwierza. Tak lecąca zatrzymała się nagle w pędzie o jakąś wysoką zaporę, która na razie wydała się jej drzewem. Jakieś ręce objęły ją i głos łagodny, niżki, przemówił:

— Nie bój się maleńka!

Chociaż Marysia pierwszy raz w życiu słyszała ten głos, jednakże od razu natchnął ją ufnością. Przestrach pierzchnął w jednej chwili,

czuła że znalazła ocalenie i przytuliła się cała do nieznajomego, który rzekł:

— Musimy położyć się na ziemi, aż ten prąd przejdzie, bo iść dalej niepodobna.

Dziewczynka posłusznie położyła się przy nim, trzymając ciągle swoje króliki, z których jeden tylnemi łapkami uczynił taki ruch, jakby się chciał oswobodzić.

— Panie, panie, niech pan trzyma!—szepnęła błagalnie.

— Co takiego?—zapytał, czując że oprócz dziewczynki, którą prawem obejmował ramieniem, coś innego jeszcze się przy niej rusza.

— Królik — odrzekła głosem, w którym czuć było chęć do płaczu—a ten okropny wiatr go zabije!

Nieznajomy wyciągnął rękę w kierunku dezertera i przytrzymał go.

Wicher przelatywał nad ich głowami, a z nim liście, szyszki, drobne kamyki i strzępy chmur, a potem wszystko ucichło: drzewa się wyprostowały, tumany piasku opadły, i blady promyk słońca przedarł się przez chmury. Nieznajomy wstał i podniósł dziewczynkę, która teraz dopiero mogła spojrzeć w twarz swemu wybawcy. Był to starzec z rudawą, śpiczastą, posiwiałą brodą, ostremi rysami twarzy i ciemnemi wypukłemi oczyma, w których w tej chwili był ciepły, prawie tkliwy blask. Głowę schowaną miał w kaptur popielatego sukiennego płaszcza, zkąd wyglądał tylko brzeg pilśniowego kapelusza.

— Gdzie mieszkasz, maleńka?—zapytał.

— Na Krupówkach pod lasem, ot tam — rzekła, wskazując ręką.

— Odprowadzę cię. A gdzież to niosłaś te króliki?

— Do pokoju: bo one były na dworze widzi pan, więc jak się ten okropny wiatr zerwał, tak mi się żal zrobiło, że się będą bały, albo im się jeszcze co stanie! Wyszłam, ale nie mogłam trafić do domu... tak było ciemno na polu.

— I o mało nie wpadłaś do potoku — dokończył nieznajomy.— Chodź, musimy się spieszyć, żeby dojść do chat najbliższych, zanim drugi podmuch nadejdzie.

Ale drobne kroki Marysi nie mogły nadążyć nieznajomemu, zwłaszcza że dźwigała swoje króliki, ciągle się bojąc o nie. Więc wziął ją na ręce i podniósłszy pelerynę swego płaszcza, okrył nią dziewczynkę.

— Trzymaj mnie się dobrze, maleńka—przemówił—żeby mi cię wiatr nie porwał, bo drugi podmuch zaraz przyjdzie.

— Pan jest bardzo dobry — powiedziała, obejmując go za szyję jedną ręką, bo drugą trzymać musiała króliki – zupełnie jak mój dziadunio. On także mówi do mnie „maleńka.“

Nieznajomy nie szedł ale biegł ze swoim ciężarem, aż dotarł do chat stojących na poprzek łąki wśród drzew. Drugi podmuch wiatru nadchodził silniejszy od pierwszego.

— Nie boisz się?—zapytał, pochylając twarz ku dziewczynce?

— Nie — odrzekła — ale jeden królik znowu się rusza i chce uciec!

— Bądź spokojna, nie puścimy go.

— I tak mokro na łące...

— Dostałby niezawodnie kataru — dodał rozśmieszony tą troskliwością.

Gdy to mówił, byli już pod ścianą chaty. Nieznajomy stanął pod okapem dachu i rzekł:

— Tu poczekamy trochę aż podmuch przejdzie.

— Czy długo będziemy czekali?—spytała, przypomniawszy sobie, że w domu nic nie wiedzą o jej przygodzie i pewnie jej szukają.

— Niedługo. A czy ci bardzo pilno?

— Tak, bo widzi pan, babunia nie wie że ja wyszłam na podwórze, i pewnie myśli że zginęłam; braciszek także.

— To maleńka ma braciszka?

— A mam; jest duży i bardzo mądry. Wie pan, on się zna na barometrze!

— A to dopiero!

— I bardzo silny: zabił niedawno żywego niedźwiedzia, aż się Anglicy dziwowali, że on to potrafi. Może pan mi nie wierzy? Ale skóra jest, to można panu pokazać!

Marysia poczuła żywe poruszenie nieznajomego, ale dziwiła się bardzo, że tak spokojnie wysłuchał tej wiadomości—bez okrzyku zdziwienia, jakby to była rzecz zwyczajna i uczuła nawet za to do niego urazę.

— Pan się pewnie na tem nie zna!—rzekła z politowaniem.

— Tak jest, maleńka, nie znam się—odrzekł poważnie.

— I nigdy pan nikogo nie zabił?

Nieznajomy milczał. Pierś jego podniosła się ciężkiem westchnieniem.

— Proszę pana, niech pan przytrzyma mego królika bo go upuszczę.

Nieznajomy posłusznie spełnił wolę dziewczynki.

— Powiedz mi maleńka, gdzie są twoi rodzice? — zapytał.

— Tatko i mamusia umarli — rzekła poważnie — ale babunią Kasia i dziadzio bardzo nas kochają.

— A gdzież jest twój dziadunio?

— O, bardzo daleko stąd. Nasza wieś nazywa się Miratycze i leży

niedaleko Świtezi. Pan pewnie nie wie co to Świteź: takie duże jezioro w lesie, co się po niem łódką jeździ, i ryby są tam.

Nieznajomy zachwiał się i Marysia się zlękła, żeby jej nie upuścił; ale on przycisnął ją do siebie tak mocno, że aż krzyknęła ze strachu o swoje króliki. W powietrzu zapanowała znowu cisza, ale blady promień słońca już się nie pokazał; skryło się ono zupełnie. Był zmrok. Nieznajomy szedł prędko, zmierzając ku domowi który mu wskazała dziewczynka, i skąd przez okno migotało światło. Wicher znowu dąć począł z wielką siłą; mieli go teraz z przodu, ale nieznajomy szedł mimo to, przyspieszając kroku. Chwilami przystawał pod ścianami chat, potem szedł jeszcze prędzej. Tylne drzwi domu były odchylone; służąca dopiero co wyszła do obory z dzbankiem po mleko.

Nieznajomy wszedłszy do sieni, postawił dziewczynkę na ziemi, a ona powiedziała mu „dziękuję“ — i nadstawiła buzię do pocałowania — poczem uważając że wypada aby mu jeszcze ktoś więcej podziękował, pociągnęła go za sobą i otworzywszy drzwi do pokoju jasno oświetlonego, gdzie wszyscy byli zgromadzeni przy stole, zawołała:

— Babuniu, ja wcale nie zginęłam, wiatr mnie chciał porwać i wrzucić do wody, ale jeden bardzo dobry stary pan uratował mnie i przyniósł tutaj na ręku. I króliki są zdrowe, nic im się nie stało!

Teraz dopiero dowiedziano się, jakie niebezpieczeństwo groziło dziewczynce, której nieobecności nikt nie zauważył. Babunia Kasia zerwała się i wybiegła do sieni, chcąc wprowadzić gościa do pokoju i dziękować mu, ale w sieni nie było nikogo. Zarzucono dziewczynkę pytaniami i powoli dowiedziano się od niej wszystkiego. Babunia Kasia ściskała dziecko, płacząc z radości. Zachodzono w głowę kto mógł być ten nieznajomy, i dziwiono się że tak prędko zniknął. Pytano jak wyglądał, i dziewczynka wiernie go odmalowała. Walter odezwał się, że z opisu podobny do baroneta, a doktór któremu ta sama myśl przyszła, zagadnął:

— W jakim języku rozmawiał z tobą ten stary pan?

— W jakim, tak jak wszyscy, po polsku.

— A więc to nie mógł być sir Warburton — zadecydował Henryk.

To rozstrzygnęło wszystkie wątpliwości.

Na pannie Katarzynie zniknięcie to i opowiadanie o nieznajomym, dziwne sprawiło wrażenie. Była mu wdzięczną i bała się czegoś. Jakiś ciężar spadł jej na serce i tłoczył jakby przeczuciem nieszczęścia.

Wiatr halny szalał całą noc, aż do południa dnia następnego; szyby brzęczały w oknach, ściany trzeszczały, i chwilami zdawało się, że się zawalą — a na dachu było takie dudnienie, jak gdyby po nim tańczyło sto czarownic, lub szatan jechał we sto koni. Dzieci znużone nasłuchi-

waniem tej dziwnej muzyki, posnęły, tylko panna Katarzyna długo spać się nie kładła. Chodziła po pokoju przesuwając paciorki różańca i raz po raz patrzyła w okno, jakby w niem spodziewała się kogoś ujrzeć. Na niebie płomyki gwiazd ostro migotały, jakby chwiejąc się od podmuchów wiatru — a czarne chmury przesłaniające je raz po raz, przybierały postacie różnych widziadeł; każda postać podobna była do tajemniczego nieznajomego, który uratował Marysię, a jej samej widzieć nie chciał. Pragnęła go zobaczyć i niewiadomo czemu lękała się.

Na Starej Polanie także nie spano. Lady Chester wyrzekała na szkaradny kraj, i nie dawała spać nikomu. Szalona jazda wichru tak ją rozdrażniła, że w końcu zalewała się rzewnemi łzami, żałując ciszy i wygód zamku Rochdale, który opuściła dobrowolnie.

— I żeby to jeszcze zdało się na co! — powtarzała wśród łez.

Spazmy długo nie ustawały i musiała zażyć trzy dozy bromu zanim usnęła, zwolniwszy tem od potrzeby czuwania przy sobie miss Fanny, umęczoną dziś więcej niż kiedykolwiek.

Nazajutrz wstał dzień pochmurny; dolinę zalewało blade słońce. Podmuchy stawały się coraz rzadsze, a chmury wznosiły się coraz wyżej, odsłaniając niższe podstawy Regli, których szczyty ciągle były we mgły spowite. Wreszcie zaczęły się ukazywać coraz większe kawałki błękitu, tylko nad szczytami gór kręciły się jeszcze mgły, niby dymy wulkanów. Wieczorem spadł deszcz rzęsisty.

Wieszak od łyżnika.

XVI.

DWAJ POECI.

„Ogień pryska z piersi pstrąga.
Puchem fijołków pachnie głaz.
A kosodrzew się przeciąga,
Jak zaklęty w drzewo płaz".

Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Następnego dnia chłodne, orzeźwiające powietrze, przesiąknięte było zapachem świerkowych iglic i fijołków, zwłaszcza nad potokami, w których leżące głazy i kamienie czerwonym pokryte porostem, wydawały ten miły zapach. Lekki wietrzyk poruszał czasami gałęzie drzew, więc w powietrzu drżały jakby ciche szepty i westchnienia, a kryształowe wody potoku spadając kaskadami, grały po dawnemu metalicznym dźwiękiem.

Drogą przez Krupówki, ku lasowi zmierzali nasi znajomi, Witold, Jakób i Henryk, z dwoma przewodnikami.

Chłopiec z rozkoszą wciągał w płuca aromatyczne, żywicą przesycone powietrze i powiedział zwracając się do Jakóba:

— Proszę pana, czuję że tu oddycham inaczej niż w Miratyczach, a chciałbym wiedzieć co jest tego przyczyną: czy wysokość na jakiej się znajdujemy?

— Tak. W miarę wznoszenia się gruntu nad poziom morza, nietylko ilość wszelkich drobnoustrojów zmniejsza się w atmosferze, ale

także i powietrze jest rzadsze, ciśnienie mniejsze, co sprawia, że oddechy są głębsze, częstsze, a wskutek tego wzmacnia się energja ruchu serca i krążenia krwi.

Dochodząc do starej typowej chaty Kuby, stojącej wśród poważnych jesionów, ujrzeli dwóch ludzi: Jeden w dużym okrągłym kapeluszu z czarnego filcu, miał twarz śniadawą z czarnemi wyrazistemi oczyma i ciemnym zarostem, i wyglądał na Włocha; drugi w niewielkim słomianym kapeluszu, z pod którego widać było włosy ciemno blond i piękne klasyczne rysy, miał oczy modre, żywe i bystre, i wyglądał na marzyciela i poetę. Cera delikatna, jak u kobiety, bladą była, a policzki nieco zapadłe.

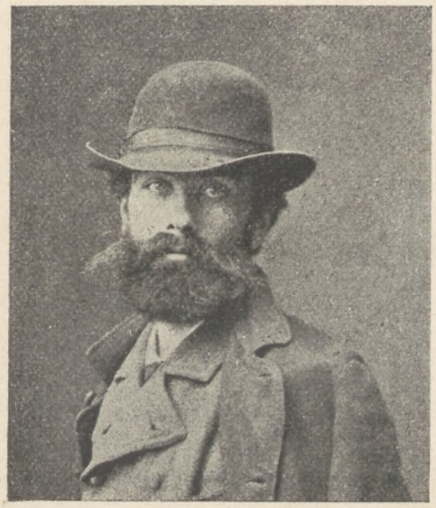

Stanisław Witkiewicz.

— Oto dwaj ludzie najwięcej rozkochani w Tatrach — odezwał się pan Jakób: malarz Stanisław Witkiewicz, autor książki „Na przełęczy“ i doktór Matlakowski, który napisał: „Budownictwo ludowe na Podhalu“. Jest on bardzo chory i szuka tutaj zdrowia, ale pomimo choroby pracuje ciągle, a obecnie przygotowuje dzieło o „Zdobieniu ludowem na Podhalu“.

Witkiewicz rysował, trzymając w ręku teczkę, a towarzysz jego wskazywał ręką małą i wychudzoną, na jakiś szczegół chaty. Mówili z ożywieniem. Gdy nasi znajomi nadeszli, nastąpiło przywitanie i przedstawienie obu panom młodego pogromcy niedźwiedzia, o którego przygodzie już tamci wiedzieli. Doktór Matlakowski zajęty przedewszystkiem swem dziełem, zaczął:

Władysław Matlakowski.

— Mówimy właśnie, że jakkolwiek budowa to niesłychanie prosta i nie złożona, jednakże we wszystkich jej częściach leży piętno pewnego stylu,

pewnego motywu linii. Od zacięcia belki, do ostrego szczytu, od pazdura do ornamentów rzniętych wewnątrz, wszystko prawie ma ten sam charakter linii przecinających się pod dość ostrym kątem.

Na to odezwał się Witkiewicz:

— Tylko łukowato wygięte drzwi wchodowe, wyrywają się z ogólnego charakteru i stanowią całość odrębną, niezależną, oryginalną i pełną. Wydają się jakby osobno skądinąd przeniesione i wstawione między dwa zręby ścian, bez względu na związek organiczny z niemi. Drzwi takie rude od starości, ozdobione dziwnym ornamentem z pracowicie ostruganych kołków, wyglądają jakby jakieś znaki symboliczne. Na tle szerokich, gładkich balów, złączone wrąbanemi w nie i wyciętemi w kształt rogów wiązadłami, z leżącemi u progu głazami, ze sterczącemi dokoła końcami belek, drzwi takie wydają się wejściem do jakiejś tajemniczej świątyni. Na tle czarnych ścian chaty, świecą one jak mosiężna spinka na piersiach zasmolonego juhasa.

. . . do starej, typowej chaty Kuby.

— A dla czego belki krzyżujące się na węgłach chaty, tak bardzo wystają? — zapytał Henryk.

— To jest właśnie charakter podhalskiego budownictwa — odrzekł pan Jakób — to jego ozdobność. Czy widzisz, jak te końce belek są harmonijnie rznięte? Zowią się one rysiami.

— A co to jest pazdur?

— To ta wysoka na końcu dachu ozdoba, przypominająca zakończeniem czapkę książęcą lub królewską koronę. Wszystko to razem składa się na harmonijną całość.

Pazdur.

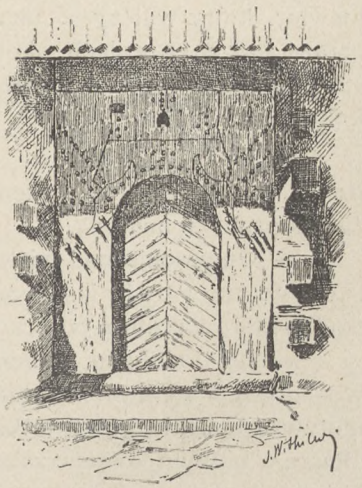

. . . i stanowią całość odrębną.

— Uważam je za tak piękne, racyonalne i stylowe — odezwał się doktór Matlakowski, siadając na leżącym pniu drzewa — że pragnę aby

ten sposób budowania rozpowszechnił się jak najwięcej i żeby młodzież zwłaszcza, nauczyła się miłować i oceniać piękno rodzime. Gdyby odemnie zależało, kazałbym robić dla dzieci zabawki poglądowe, np. „budownictwo“ ułożone z modeli chat góralskich, w miejsce zagranicznej brzydkiej i oklepanej tandety. Człowiek cywilizowany z Warszawy, spoglądając obojętnie na niepozorną izbę górala, ani czuje że on mieszka prawdziwie artystycznie, bo go otaczają utwory indywidualnej sztuki, podczas gdy dumny przybysz ze stolicy żyje wśród banalności zmiennej mody. Publiczność nasza tak jeszcze nie dorosła umysłowo, że nie jest wstanie odróżnić i należycie uszanować tych świadectw skromnej, ale niewątpliwej, szczerej sztuki ludu. Za jej radą lub grymasem, górale heblują rzeźby i napisy, i stawiają brzydkie, banalne domki, byle się przypodobać gościom którzy nie wiele lepiej zachowują się w tym razie, jak „blade twarze“ wobec Azteków i Murzynów. Za lat kilkanaście, nie pozostałoby śladu z dawnego staroświeckiego stylu, wypartego już w Zakopanem przez formy cudzoziemskie, gdyby nie pan Witkiewicz, który walczy z niemi energicznie. Zakała ta szerzy się jak zaraza nawet po wsiach okolicznych, zatruwając smak ludu, niszcząc stary porządek. Wielki czas otoczyć opieką te zabytki samorodnej kultury.

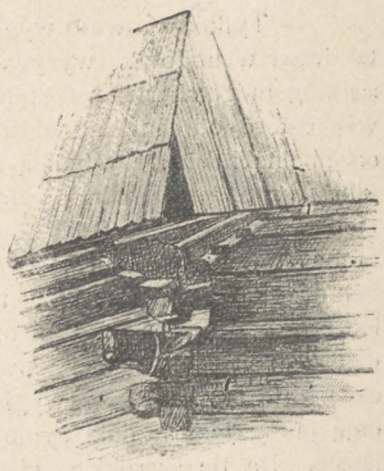

Węgieł domu z rysiami.

— Pańskie dzieło o „Budownictwie ludowem na Podhalu“, uratuje je od zniszczenia—powiedział Jakób.—Czytałem je: czuć że jest pisane z miłością.

— On pracuje nad większem jeszcze dziełem p. t. „Zdobienie ludowe na Podhalu“, dziełem prawdziwie pomnikowem, jakiem rzadko która literatura poszczycić się może—powiedział Witkiewicz.

— Ale dodaj pan, że bez twej pomocy nie dokonałbym go tak łatwo—dodał Matlakowski z uśmiechem — i że pan pierwszy zastosowałeś motywa góralskie do wszystkich sprzętów. Dzięki panu Witkiewiczowi, ołtarze w nowym kościele zakopańskim będą w stylu miejscowym i dzięki jemu, budują się wille prywatne, które będą prawdziwemi w tym duchu arcydziełami.

— Byle mocno stały na gruncie, żeby ich wiatr halny nie poznosił — rzekł pan Jakób.

— Ach, ten wiatr, to orkan prawdziwy — powiedział Matlakowski — urządza on prawdziwie Dantejskie widowisko!

— Potężniejsze od Dantejskiego — wtrącił Witkiewicz.

— Już sam prolog jest wspaniały i zarazem straszliwy: na głównym łańcuchu gór od południa, położył się ciężki wał chmur, niby czarny potwór, z jaśniejszym prześwietlonym grzbietem, i jął się posuwać wolno na wschód. Miejscami kotłowało się w nim, targały się kudły grzywy, a wicher odrywał jeden kędzior po drugim, rzucając je w bezdenne, niebieskie topiele. Bo choć w górach zrywały się już szalone podmuchy ze swych pieleszy, na Czerwonym Wierchu słońce przygrzewało jeszcze, na północy wisiały prześwietlone chmurki srebrne na niebieskim atłasie, a atłas ten był niebywałej czystości, jak wśród najpiękniejszej pogody. Ale w naturze wisiała już groza, którą ptaki odczuwały, odzywając się żałośnie w gąszczach, a w górze słychać było głuchy szum, jak ryk dalekiego oceanu.

— Straszna była noc:—rzekł Witkiewicz—myślałem że wicher ten nie wypuści nas żywych. Zdawało się, że skrzydła olbrzymiego ptaka z szumem piór wielkich, jak masztowe sosny, uderzają o ściany chałupy, zmiatają łby świerków i znowu gdzieś giną w bezdeń czarnej nocy. Grał najrozmaitszemi głosami, dudnił po dranicach dachu, jakby jakieś bose stopy tańczyły tam zapamiętale, świszczał i jęczał w konarach świerków, furkotał roztrącając się o ściany chałupy, a w przerwach jego podmuchów, groźnie ryczał i bełkotał wezbrany ulewą potok. Mój gazda powiedział o nim: „O to je morowy wiatr. On ta i nie powinienby teraz duć, by to nie jego pora, cheba że cosi, kajsi w niebie gazdowstwo się popsowało, kiej duje. Kieby to zawsze tak po leku duł, jak dzisiok. Ale wiecie panie, jak on to duchnie jesieniom, to, ludzie na świecie! Kany co najdzie: las, to skręci i wyłamie; chałupę praśnie o ziem, a owies albo i jarec, potardze, wiecie, do znaku, het, wyłamie, co i ździebełka nie ostanie“.

Tu pan Jakób odezwał się, że dla niego i dla Witolda noc ta była obfitą w przygody. Mają pokoik na górze w lichym, niedawno zbudowanym domku nad potokiem, w miejscu nie osłoniętem nawet drzewami i bezbronnem wobec wściekłości wichru. Drzwi jeszcze nie mają kluczy, a klamki się źle zamykają, co im obu dotąd nie wadziło. Ale wicher halny jak wziął trząść domem, tak szyby im z okien powytrącał, a drzwi ustawicznie z trzaskiem otwierał i zamykał. Byli obaj jak Robinson z Piętaszkiem na bezludnej wyspie, bo na dole nikt nie mieszka, a wszystkie poblizkie chaty szczelnie pozamykano przed wichrem, i przy jego ryku niktby nawet nie posłyszał głosu lub pukania. Wpadli więc na pomysł, żeby do klamki u drzwi przywiązać ciężki kuferek, ale kuferek zaczął jeździć tam i napowrót, a drzwi nie przestawały się otwierać.

— No — pomyślałem sobie — mam ja inny pewniejszy sposób, który stanowczo złemu zaradzi. Przywiązałem grubym sznurem klamkę do nóg łóżka i położyłem się na niem.

— No i cóż? — zapytali jednocześnie Matlakowski z Witkiewiczem—to nareszcie pomogło?

— A cóż, jeździłem z łóżkiem całą noc i zrobiłem pewnie ze dwadzieścia kilometrów drogi.

To rozśmieszyło wszystkich.

— Gdzież to panowie idziecie? – zapytał Matlakowski.

— Na wycieczkę.

— To widzę; ale dokąd?

— Nie wiemy.

— Jakto! wybraliście się na wycieczkę i nie wiecie dokąd idziecie?

— W dolinie Jaworzynki mamy się spotkać z Warburtonem, i tam dopiero dowiemy się o kierunku wyprawy. Spotkanie naznaczone na dziesiątą, więc mamy jeszcze czas.

— Widzieliśmy tutaj przeciągający cały jego orszak: wyprawa, na wzór słynnych wypraw Chałubińskiego. Narachowaliśmy dziesięciu górali. Niesiono także namiot.

— A, to coś na wielką skalę — dodał Witkiewicz — chyba na kilka dni zamierzona wyprawa! Jakże się Anglikowi podobają Tatry?

— Jeżeli Anglik może się czem zachwycić, to śmiało twierdzę że jest zachwycony.

— O! — rzekł Matlakowski — trzeba być gruboskórym fizycznie i moralnie, żeby uroków tego kraju nie odczuwać. Na łąkach, w lasach, nad brzegami potoków buja tu przepyszna roślinność, suta, rozpanoszona, soczysta tak, że prawie aż źdźbła są przejrzyste; jędrna od wody tak, że w ręku po zerwaniu więdnie, a jaka barwna! Trawy tu są zieleńsze, Chabry modrzejsze, Jaskry żółciejsze. U nas gdy ktoś przez niedbalstwo pola nie obsieje, nie wyrośnie na niem nic, prócz bursztynowej Ognichy i psiego Rumianku, a na wiosnę Głodomorku. Tutaj przestrzeń zostawiona samej sobie, w pierwszym roku zmieniłaby się w cudowną, kwiecistą preryę. Łąka, to wielki bukiet, w którym na tle przedziwnej delikatności zieleni, bieli się tysiące białych Chryzantemów i Parnassyi, różowieje tysiące Mieczyków, błękitnieją Dzwoneczki, i złoci się nieprzeliczona moc Dzwońców i Bratków; kobierzec, po którym rozsypane niezliczone oczy żółtych okrążków, promieniste, fijoletowe kółeczka Chabrów, potężne łby Szczerbaków na wybujałych łodygach, oryginalne łodygi z niebieskiemi kłosami Wilczyńców. A nad tem bujają ogromne kity tymotki, drżą kłoski drżączki, chwieją się nikłe jak pajęczyna Wikliny polne, pochylają stokłosy i inne dziesiątki gatunków najzieleńszych, najdelikatniejszych, prawie bezcielesnych źdźbeł trawek.

Co za cudowny kontrast barw szarej turni, wystającej wśród ciemnozielonego lasu, lub dalekich szczytów granatowo modrych, w zmroku chmury, a prześwietlonych, eterycznych, prawie niecielesnych, pod zachód słońca w dni pogodne?

— Pan jesteś poetą!

— Zewsząd, z łąk, pól, od kwiecia, od bojowniczej świerczyny w Reglach, od kosówki wkraczającej na nagie turnie, od Niezapominajek lazurowej barwy, rosnących na brzegu tającego śniegu, bije taka woń przecudna, że ta woń, ta niebieszcz przeczysta dali, ta zieleń łąk, ta para w powietrzu, i ta rzeźwość atmosfery sprawia, iż życie samo, o ile bóle lub widok innych ludzi nie przerywa złudzenia, zdaje się marzeniem, nie rzeczywistością, i wśród ciszy na szczycie przychodzą złudy w kształcie drgających przed oczyma mroków. Słychać najsubtelniejsze szmery, których źródłem tylko krew krążąca w uchu; czuć jakieś mrowienia, których źródło nie z zewnątrz pochodzi. Człowiek mimowoli ogląda się za muchą, spędza ją z brwi, a to elektryczność podnosi włosy na skroni.

— O panie, pan ukochałeś Tatry prawdziwie, bo widzisz i czujesz rzeczy niedostępne dla innych!

— W tej błogości wreszcie zdrowy człowiek po raz pierwszy spostrzega, że on oddycha czemś co w niego wchodzi; poznaje zmysłami powietrze, które tylko albo znał z fizyki, albo zdradzał mu je węch, gdy było zanieczyszczone. Tu po raz pierwszy oddychanie sprawia mu nieznaną przyjemność, wytwarza uczucie rzeźwości i świeżości!

Piękna twarz mówiącego słabym pokryła się rumieńcem, pod wpływem uniesienia z jakiem mówił. Zmęczyło go to. Witkiewicz jakby chcąc to przerwać, zapytał.

— Jakże Anglik zapoznał się z Sabałą?

— Schodził właśnie granią Kościeliskiej doliny w chwili, gdy Anglikowi opowiadałem o nim i jego oryginalnej filozofii. Zatrzymaliśmy go więc na wieczór i na noc, i słuchaliśmy jego opowiadania „O śpiących rycerzach."

— Ależ Anglik nie mógł tego rozumieć!

— Tłomaczyliśmy mu na poczekaniu.

— O! — rzekł pan Stanisław Witkiewicz — Sabała, to też jedna z największych osobliwości tych gór. Umie zaledwie czytać i pisać, a cała jego nauka zasadza się na obserwacyach zebranych w walce z dziką naturą, ale dusza niepospolita rzuca na jego postać światło bijące od dzieł wszystkich wielkich poetów! Cały świat górski żyje w jego mowie: Wierchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki i kozice, blaski słońc, cienie chmur i mroki nocy; skały i śniegi i wonna zieleń smereków i czarne krzaki kosodrzewiny, i szum wód spienionych. Jego nieporównanie ruchliwa twarz mieni się wszystkiemi odcieniami

uczuć, jakie wspomina. Sabała w opowiadaniu jest i sobą i niedźwiedziem i orłem i skałą i Liptakiem i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub ważą się jak orle skrzydła nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: „do wirchu“ wznosząc oczy i palce ku górze, to widzi się szczyt zaobłoczny. Temperament Sabały, to temperament arabskiego rumaka, ognisty, lotny, odważny, zręczny a łagodny.

— O, pan także jesteś poetą!—rzekł Jakób, a pan Witkiewicz mówił dalej:

— Gwara góralska uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, użyta przez Sabałę, staje się czemś tak artystycznem, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonemi wzorami doskonałości wyrażenia ludzkiej duszy, za pomocą słowa. Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność jego określeń, jest niezrównana! Ale widzę, że my tu panów zatrzymujemy, a „komu w drogę, temu czas“. Idźcie już, idźcie, a my będziemy rysowali.

— Nam znów nie tak bardzo pilno. Mamy tam być na dziesiątą, a do dziesiątej jeszcze daleko. Pójdziemy sobie nie zanadto się spiesząc i oszczędzając nóg na później. Do widzenia.

Zamieniono uściski dłoni i dwaj poeci zostali przy starej chacie, a trzej nasi wędrowcy ze swymi przewodnikami szli przez las i Kuźnice, zmierzając do Jaworzynki. Henryk po tem co słyszał od doktora Matlakowskiego, innemi oczyma teraz patrzył na otoczenie.

. . . spłoszył wiewiórkę.

Po łące rozlegały się dzwonki krów i nawoływania pasterzy. Słońce przygrzewało, ale w lesie był miły chłód i rosa leżała na liściach. Henryk wywijając ciupagą, spłoszył Wiewiórkę, która sunęła w jednej chwili na wierzchołek drzewa, i patrzyła na niego wystraszona, puszystym nakrywszy się ogonem. Na smerekach wieszały się i wspinały po gałęziach, przy pomocy skrzyżowanego dzioba, całe gromady Krzywonosów, dobywając ziarno z szyszek, które obficie obrodziły w tym roku. Dzięcioł opukiwał drzewa, niby lekarz badający chorego i wyszukiwał w korze owadów, a środkiem drogi biegła po ziemi siwa ptaszyna z białą piersią, skacząc i potrząsając bezustannie ogonkiem na dół i do góry.

Krzywonos.

— Pliszka biała, śliczny, wesoły ptaszek — rzekł Jakób, patrząc nań z upodobaniem—*Motacilla alba*. Są jeszcze dwie inne pliszki w Zakopanem, pstra i żółta: widywałem je po łąkach i młakach [1]). Żółta pliszka cieszy się szczególnemi względami pasterzy; towarzyszy zwykle trzodom zwierząt domowych i uwalnia je od owadów dokuczliwych, jak liszki, muchy, koniki polne i inne tym podobne stworzenia. Jest to ich dobrodziejka! Widziałem raz jak się uwijała między odpoczywającemi owcami. Ciemne jej oczęta bystro przypatrują się runi, a gdy owad spostrzegą, ptaszek pochyla się, czai jak kot i spada z szybkością strzały na upatrzoną ofiarę.

— O, to należałoby te pliszki pożyteczne jak najwięcej rozmnożyć—rzekł Witold poważnie. Ale co to za ptaszek cały nakrapiany, siedzi na lewo na korze smereka, przypięty do pnia. Rozczapierzył skrzydełka i pełza ku górze, podpierając się ogonkiem jak dzięcioł. Czyby to była odmiana dzięcioła?

— To jest Pełzacz, bardzo pożyteczny ptaszek. Nie kuje w korę, ale wydobywa pędraki długim swoim dziobem.

Czas jakiś szli nad brzegiem strumienia, przysłuchując się jego graniu: nagle chłopiec zatrzymał się, mówiąc:

— Jak tu fijołki pachną! Czy pan czuje, panie Jakóbie?

— Niepodobna nie czuć — odpowiedział — zapach miejscami jest bardzo silny.

— Czuję ten zapach już od pół godziny, a jednak niema tu nigdzie fijołków, bo okrągławe ich listki poznałbym odrazu — mówił chłopiec dalej. — Myślałem, że to tylko moje osobiste złudzenie, ale skoro i pan to zauważył...

— I ja także wtrącił Witold.

Jakób uśmiechnął się.

— Czyż nie pachniały wam fijołki w dolinie Kościeliskiej?—zapytał.

— Pachniały, ale tam przynajmniej widzieliśmy je.

— To prawda—przyznał Henryk— a dziwna rzecz, że fijołki najwięcej pachniały mi nad strumieniem.

— Mianowicie tam, gdzie była obfitość kamyków ciemno-czerwonych, jak te oto. Nieprawdaż?

— Być może, ale nie zwróciłem na to uwagi. Ach! już wiem: to one pachną! Pamiętam jak pan Jakób, unosząc się raz nad pięknościami tego kraju, mówił nam że tu ściany pachną wanilią, a kamienie fiołkami. Było to wtedy, gdy ujrzałem pierwszy raz góry, wychylające się ze mgły, w której byliśmy uwięzieni.

---

[1]) Mokradła.

I rzucił się do zbierania woniejących kamyków. Wyglądały one jakby proszkiem czerwonym obsypane. Jakób tłomaczył mu, ze ten proszek jest gatunkiem P o r o s t u zwanego Bisiorkiem fijołkowym, który mocniej pachnie za potarciem, a po deszczu wydaje woń jeszcze silniejszą, zwłaszcza gdy go słońce przygrzeje—i dodał, że Bisiorek znajduje się nietylko w Tatrach, ale i w innych górach, mianowicie w Alpach.

Chłopiec ucieszył się bardzo z tego odkrycia, pozwalającego mu obdarzyć siostrzyczkę taniemi perfumami.

— Doktorze—odezwał się malarz—nie jestem przyrodnikiem, ale niektóre rzeczy z dziedziny przyrody budzą moją ciekawość. Słyszałem, że te drobne twory roślinne są bardzo różnorodne i nie mają wcale liści. Prawdaż to?

— Formalnych liści rzeczywiście nie mają, ale składają się z blaszek rozmaitych kształtów, które botanicy nazwali skórkoliściami. Na skórkoliściu dojrzeć można owocniki: jedne wyglądają jak kubeczki, inne jak krążki, inne jeszcze jak miseczki, lub jagódki ładnie zabarwione. Nie są to ani kwiaty, ani owoce, ale przyrządy zawierające zarodniki, z których się rozmnażają.

— Widziałem tutaj w lesie bardzo ładny porost, składający się z malutkich kubeczków, przybranych koralami – mówił Henryk—a także na domu w którym mieszkamy, żółty, jakby z zeschłych liści złożony, wogóle zresztą często na starych płotach, murach i kamieniach napotykany.

— Najpospolitszy ale także najszkodliwszy dla drzew jest porost *Usnea barbata*, Brodacz, porastający całe drzewa świerkowe, jakby siwemi włosami i wyniszczający je doszczętnie — powiedział Jakób — jest go tu dosyć.

— Ach, tak — rzekł Witold — znamy go dobrze!

— Skąd pan to wszystko wie?

— O, to rzecz powszechnie znana! Ja bardzo mało umiem, ale są tacy, co dowiedzieli się wielu rzeczy nowych i ciekawych przez długie i pracowite badania. Opisał P o r o s t y tatrzańskie dr. Rehman, a Gutwiński opisał G l o n y, czyli W o d o r o s t y.

— Że też to uczeni tak drobnemi zajmują się istotami!

— Te drobne istoty są najwytrwalsze ze wszystkich na ziemi. Na nagich, twardych skałach, gdzie żadne ziarnko utrzymać się nie jest wstanie, porosty ukazują się najpierwsze. Do nich zastosować można słowa Pisma Świętego, że „przysposabiają drogi Pańskie". Są to najpierwsi osadnicy. One to rozkruszają kamień i gnijąc powlekają go cieniutką warstwą ziemi rodzajnej; one kładą się niejako pod stopy następnych pokoleń, a te z kolei po sobie następując, ukazują się coraz bujniejsze, doskonalsze, aż utworzy się grunt rodzajny, w którym drze-

wa bezpiecznie zapuszczają korzenie. Porosty—to skromni pracownicy, bez których potężne dęby nie mogłyby istnieć! Bóg, jak słusznie mówi profesor Strand, często używa maluczkich do wielkich spraw swoich.

— To prawda — pomyślał Henryk — Dżdżownice są także małe i tak brzydkie, że spostrzegłszy je między grudkami ziemi, odwracamy się od nich ze wstrętem, a przecież pracują bezustanku nad spulchnieniem ziemi. Jakże my, ludzie, pracować powinniśmy żeby nie doznawać upokorzenia wobec porostów i dżdżownic!

Ślady wichru halnego spotykali wszędzie po drodze. Miejscami, drzewa wyrwane z korzeniami leżały pokotem.

Na zakręcie drogi, ujrzeli rysującą się zdala sylwetkę mężczyzny. Wzrost średni, ubranie popielate, okrywające szczupłą figurę, włosy ciemno blond wyglądające z pod słomianego kapelusza, wreszcie krok żywy, elastyczny, składały się na całość sympatyczną. Zmierzał prosto ku nim.

— Oto trzeci poeta — odezwał się Witold poznawszy idącego. Zbiera on z zapałem, nawet z namiętnością, zabytki góralskie z dawnych czasów. Dom jego, to Muzeum etnograficzne Podhala. Bo i czego tam niema! Od rzeźbionych listew, sprzętów, naczyń, do zarzuconych już dziś staroświeckich ubiorów. Są tam pasy juhaskie, noże zbójnickie, spinki mosiężne; są fajki, gęśliki i bogata kolekcya najrozmaitszych łyżników. Człowiek ten objeżdża Podhale i kupuje wszystko co tylko ma jakąś wartość, chroniąc tym sposobem stare zabytki od zniszczenia. Niema chaty, do której nie zajrzał.

— Któż to jest, ten pan, ten poeta, jak się pan o nim wyraził?— zapytał Henryk zaciekawiony.

— Bronisław Dembowski, autor „Słownika gwary podhalskiej".

— Więc on zbiera nietylko sprzęty i ubrania, ale i wyrazy?

— One takie są cennemi zabytkami, które może wkrótce ustąpią pod wpływem niwelacyjnej kultury przybyszów z równin — odrzekł Jakób.

Ten o którym była mowa, przystanął zrównawszy się z niemi, i uścisnąwszy im dłonie, zaczął od razu:

— Wyobraź sobie, panie Witoldzie, że był tu w jednej chałupie prześliczny sosrąb bogato cyfrowany: mówię panu, koronka! Chciałem go nabyć do moich zbiorów i nie targowałem się nawet o cenę; tymczasem zheblowali go. Ach, co za barbarzyństwo!

Zaczerwienił się cały, mówiąc to, z oburzenia, i targnął długi, płowy wąs, a w szarych rozumnych oczach, był gniew i żal zarazem.

Jakób pokręcił głową.

— To dziwne — rzekł — górale cenią swoje dawne zabytki i ob-

chodzą się z niemi z nabożeństwem, o jakiem my „ludzie dólscy“ nie mamy pojęcia. A przytem, nie targowałeś się pan, jak mówisz, o cenę!

— Tu właśnie tkwiła przyczyna złego. Nie właściciel chaty, w której był ów sosrąb to zrobił, ale inny góral, mój przyjaciel, pod nieobecność tamtego, z wielkiej o moją kieszeń troskliwości, bo mu się wydało że za wiele wyrzucam pieniędzy na te rzeczy. Ach, co za zbrodniarz!

— Niedźwiedzia przysługa — mruknął Witold—ale i ja mam panu coś do powiedzenia. Widziałem na Chramcówkach starożytny kostyum góralski: jedwabną wzorzystą spódnicę, żółte buty i gorset uszyty z makaty przerabianej złotem. Deseń przypomina ornaty kościelne.

— U kogo? gdzie? — zapytał z żywością — idę tam zaraz!

— I jeszcze kożuszek barani z rękawami kryty czerwonem suknem i haftowany srebrną nicią.

— Na miłość Boską, mów pan prędko, gdzie i u kogo?

— Już nic niema. Nabył te rzeczy profesor Gerson.

— No, to w dobre dostały się ręce — rzekł uspokojony.

— A ja nabyłem starożytną koszulę męzką, z rękawami tylko do łokcia.

— Mam i ja taką.

— Przyjdziemy kiedy obejrzeć pańskie Muzeum i przyprowadzimy Warburtona.

— Dobrze, przyprowadźcie, a ja panu powiem, że wkrótce wzbogacę je czemś, co już zupełnie zaginęło, bo i wyraz nawet istnieć przestał. Staszyc w swem „Ziemiorodztwie Karpat“ wspomina o naszyjniku męzkim, złożonym z kilkunastu sznurków różnobarwnych szkiełek, który się zwał „gombica“, a spinał się pod brodą na sprzęgę mosiężną z pod której kilka łańcuszków mosiężnych także, spadało na piersi. Trzeba uratować od zagłady, ten jedyny może zabytek, choćby mnie to miało

Kierpce.

niewiem co kosztować! Źle, źle się dzieje! Już kobiety zarzucają białe rańtuchy w które się owijały, wyglądając jak istoty nie z tego świata, a zaczynają nosić szkaradną niemiecką tandetę. Mężczyzni strzygą włosy i chodzą w butach z cholewami, choć nie znam nic wygodniejszego i piękniejszego, jak kierpce. Jest to obuwie prawdziwie klasyczne.

— A tak — przemówił śmiejąc się Henryk — że wygodne, to pewno; nabierze się w nie wody, góral podniesie nogę, potrząśnie nią i już znowu ma sucho.

— Do chodzenia po górach, jedyne — dodał Jakób — stopa, mięką podeszwą obejmuje kamień jak ręką.

— I warkoczyków już górale nie plotą z przodu, koło uszów, ale tego niema co żałować, bo to nie było piękne—powiedział Witold.— Widzieć jeszcze można ten obyczaj u starych, gdy się zejdą ze wsi okolicznych, na mszę do kościoła.

— Czy górale oglądają kiedy pańskie Muzeum? — zapytał znowu Henryk.

— A jakże! Pokazuję każdemu, kto tylko chce oglądać. Oglądają i cieszą się, widząc tyle miłych swym oczom przedmiotów, zgromadzonych razem.

— Niemała pańska zasługa!

— To moja żona dała początek: odkryła na Furmanowej oryginalny łyżnik i ten stał się kamieniem węgielnym mych zbiorów. Zaczęła też zbierać wyszycia góralskie na suknie, i wedle góralskich motywów robić dywany. To była pierwsza sztuka stosowana. P. Butowt Andrzejkowiczówna pracowała w tym samym kierunku, rysowała sprzęty, a już najwięcej dokazał Witkiewicz z Matlakowskim.

— Zostawiliśmy ich obu przy chacie Kuby.

— A, to bądźcie zdrowi, bo właśnie mam do nich interes. Wy pewnie na wycieczkę, co?

— A jakże, idziemy z Anglikiem, tak sobie, wygodnie, nie spiesząc się, bo punkt zborny w Jaworzynce naznaczony na dziesiątą.

— Piecuchy! jak ja idę na wycieczkę, to wyruszam przed wschodem słońca.

Po obu stronach drogi były mokradła, a wśród mokradeł bujnie rosły Sitniki, chwiejąc jedwabnemi pióropuszami, za najlżejszym wiatru powiewem; błyszczały złotem Kaczeńce i niebieściły się Niezapominajki, tak żywej, tak prześlicznej barwy, jakiej nie mają nigdy na równinach! Rosły wreszcie Storczyki, rośliny ozdobne na wysokich łodyżkach, których piękne kwiaty blado-lila i fijoletowe, zebrane były w kłosy. Dorodniejsze były te, które liście miały ciemno-centkowane, ale nie pachniały, a blado lila i białe, które rzadko się tylko ukazywały, wydawały miłą, delikatną woń. Nie były to wyłącznie górskie rośliny, bo na równinach naszych, po lasach i po łąkach spotkać je można; ale klimat tatrzański szczególniej im dobrze służy, więc tworzą tu liczne osady, zdala dające znać o sobie barwami i wonią. Doktór wyjął z kieszeni małą żelazną łopatkę, którą zawsze przy sobie nosił, i schylał się raz po raz, wykopując roślinki z korzeniami, przyczem mo-

żna było zauważyć, że każda miała małą bulwę. Bulwki te odcinał i wsuwał do kieszeni, a kwiaty zbierał w bukiet. Henryk znający zamiłowanie Jakóba do roślin, nie dziwił się temu, ale nie pojmował co za

Storczyk, *Orchis.*

użytek może być z korzeni storczyków. Czyżby doktór miał zamiar te bulwki zasadzić w ogrodzie w Zakopanem? Ale w takim razie, dla czego pomijał storczyki plamiste, mające kwiaty okazalsze?

Znajoma góralka zastąpiła im drogę z koszykiem poziomek. Doktór skorzystał z tej okazyi, żeby posłać bukiet storczyków pannie Katarzynie, a Henryk wręczył jej fijołkowe kamienie dla Marysi. Natomiast kupili od niej poziomek, które zjedli na poczekaniu.

Przewodnicy, nie lubiący ciągłego zatrzymywania się, naglili do dalszej drogi; ruszyli więc dalej żwawo, a doktór nie przestawał mówić z takim zapałem o storczykach, że nawet Witold spoglądający z litościwym uśmiechem na botaniczną manię przyjaciela, słuchał z zajęciem.

— Są to najdziwaczniejsze w świecie rośliny — mówił Jakób — napotkać je można na całej kuli ziemskiej. W sferach umiarkowanych storczyki żyją w ziemi i wyrastają z bulw; w zwrotnikowych krajach najczęściej sadowią się na drzewach, czepiają się korzonkami szczelin, gdzie czasem natrafiają na grudkę ziemi. Większość zresztą obchodzi się bez niej, żyjąc tylko zbutwiałą korą, wilgocią i powietrzem. Storczyki są największą ozdobą lasów zwrotnikowych, gdzie kwiaty ich wśród masy zieloności, przybierają najjaskrawsze barwy i najdziwaczniejsze postacie. Są one podobne do pantofelków, pszczół, much, do motyli, ptaków, nawet i do zwierząt. Gdy się je widzi w cieplarniach, trudno uwierzyć że te wspaniałe zamorskie rośliny, są braćmi naszych skromnych kwiatków łąkowych!

— A to co za gatunek? - zapytał Henryk, zrywając roślinkę, której kwiaty ułożone były kulisto.

— To jest storczyk kulisty, wysokim tylko górom właściwy: *Orchis globosa.*

— Ani trochę niepodobny do kłosowych — powiedział Henryk.— Ale jeżeli storczyki są tak rozmaite, po czemże je można poznać?

— Każdy z nich ma kwiat nieforemny i zawsze jakieś podobieństwo do hełmu; każdy ma dwa rozpostarte skrzydełka i część szerszą (miodowargę) jakby zwisłą klapkę. Złożone są z kilku płatków korony, pięknie i całkiem różnie zabarwionych i bogate rysunki na sobie posiadających. W środku zaś niema, jak w innych kwiatach, cienkich nitek z woreczkami, z których delikatny wysypuje się pyłek, ale w głębi osadzona jest jakby mała gruszeczka, złożona ze zrośniętych pylników. Storczyki gruntowe mają jeszcze jedną cechę osobliwą: są to rośliny wędrujące.

— Jakto? Czy wiatr je przenosi z miejsca na miejsce?

— Nie. Bulwa ich składa się właśnie z dwóch bulwek połączonych, z których jedna jest znacznie większa i z tej właśnie wychodzi łodyga; druga zaś mniejsza szykuje się na rok następny, aby dorosłszy, taką samą łodyżkę wydać. Co rok nowa bulwka starą za sobą pozostawia i tym sposobem roślina ciagle posuwa się naprzód. Powolny to pochód, jeden krok na rok i jeszcze krok taki maleńki! W ciągu lat

dwudziestu, storczyk posunąć się może zaledwie o jedną stopę; w ciągu całego wieku, o pięć.

— O, jakiż to marudny wędrowiec! Proszę pana, czy... na drodze, którą idziemy, można napotkać róże?

— Można, o ile nie pójdziemy bardzo wysoko. Pewnie ci idzie o różę bez kolców. Nieprawdaż?

Chłopiec zaczerwienił się.

— Tak jest—powiedział otwarcie.—Sir Edward w dolinie Kościeliskiej okazał mi tyle dobroci, że radbym...

— Przysłużyć mu się...

— Pomódz, jeżeli można, do znalezienia tej osobliwej róży.

— Podoba ci się więc sir Warburton?

— Bardzo, i dziwię się temu co mówi pan Walter, że robotnicy jego są mu wdzięczni, ale go nie kochają. Zdaje mi się, że pokochać go musi być bardzo łatwo: jest dobry i nieszczęśliwy... Ale czy pan widzi? tam, tam, krzak róży! Prawda?

— Zdaje się — odrzekł przysłaniając oczy. — Idź zobacz.

Witold idący ciągle naprzód w milczeniu, przystanął, spojrzał na doktora, otworzył nawet usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Wreszcie, gdy Henryk odbiegł na stronę, odezwał się półgłosem:

— Zrobiłem odkrycie: nasz przybysz z za morza ma polskie upodobania.

— Skądże pan to wiesz?—zapytał Jakób.

— Poszedłem wczoraj na gazety do restauracyi pod Różą, gdy wszedł Anglik. Nie widział mnie, bo siedziałem w drugim pokoju, zasłonięty uchylonemi do połowy drzwiami, ale ja doskonale widziałem go w lustrze wiszącem naprzeciw. Wszedłszy, rzucił badawczem okiem po sali: nie było jeszcze nikogo, bo zegar wskazywał zaledwie pół do dwunastej. Zażądał po niemiecku karty i wybrał... zgadnij pan jaką zupę!

— Anglicy zup nie jadają.

— A jednak baronet jadł zupę.

— Hm... a więc chyba bulion.

— Jadł... wyobraź pan sobie... chłodnik litewski!

— Tak? to ryzykowne... w takim wieku... Chołodziec jest zupą wyborną i co do mnie, daję mu pierwszeństwo przed innemi; ale trzeba na to młodego, bardzo zdrowego żołądka.

— Ale czy pana nie dziwi, że to smakowało Anglikowi? Przypuszczałem że dysponując, nie wiedział co mu dadzą i gdy sprobuje, położy łyżkę. Tymczasem zjadł wszystko!

— Widocznie mu przypadł do gustu — rzekł obojętnie na pozór Jakób, któremu stanęła w myśli noc spędzona na Starej Polanie. My Polacy tyle jadamy zamorskich przysmaków... czas, żeby cudzoziemcy odwzajemnili się nam i zasmakowali w naszych. Bolesław Prus oddawna już nawołuje, abyśmy niektóre nasze narodowe potrawy zaczęli wysyłać za granicę. Sprowadzamy w zalutowanych puszkach pasztety sztrasburskie, za drogie pieniądze, choć zawierają tylko chorobliwie powiększoną wątrobę pospolitych gęsi; moglibyśmy natomiast posyłać cudzoziemcom w zalutowanych również puszkach, polski bigos lub flaki i zrazy. Cóż sir Warburton jadł więcej?

— Właśnie to, czem pan chcesz obdarzyć cudzoziemców: zrazy z kaszą. Zrazy są wprawdzie znane w Anglii, bo je nawet Nelson wymyślił, ale kasza... Anglik jedzący kaszę, to osobliwość taka sama, jak Anglik jedzący chłodnik.

— Najwidoczniej chce poznać naszą kuchnię narodową i jeżeli w niej zagustuje, pewnie każe niektórych potraw wyuczyć się swemu kucharzowi. Dzięki jemu, sława polskiej kuchni rozejdzie się po całem państwie Wielkiej Brytanii. Czy był jaki deser?

— Był, ale go nie tknął. Za to zjadł do okruszyny chleb razowy, którego spory kawał leżał obok białego chleba. Na widok tego chleba oczy jego zabłysły, jak na widok starego, dawno niewidzianego przyjaciela, i gdy po niego sięgał, uważałem że ręka mu drżała.

— Przesadzasz pan. Chleb Grahama jest wynalazkiem angielskim.

— Tylko że to nie był chleb Grahama, ale zwyczajny gruby razowiec, pieczony na liściach Ajeru.

— Ajeru?

— Tataraku, jeżeli pan wolisz.

— Co za przywidzenie! Tataraku nie znajdziesz pan w Tatrach. Nie znosi on płytkiego, kamienistego dna górskich strumieni. Wyrasta po brzegach odlewisk rzecznych i stawów. Trzebaby iść po niego aż w Beskidy.

— Ależ posłuchaj mnie pan cierpliwie: u nas, na Litwie, po małych dworach szlacheckich wypiekają ten chleb, i gdy ma iść w piec, kładą go na liściach ajeru, od którego nabiera przyjemnego, charakterystycznego smaku. Jest tutaj pewien stary Litwin z pod Kowna, który innego chleba nie jada; restaurator miejscowy sprowadza umyślnie ajer dla niego raz na tydzień aż z Żywca.

— Hm... Zdaje mi się, że pan przeceniasz znaczenie tych szczegółów. Jeżeli Anglik wybrał polskie potrawy,nie znaczy to jeszcze, aby był z niemi dawniej obeznany. Wiadomą jest przysłowiowa oryginalność Anglików: chciwi są wrażeń i pohopniejsi od innych do próbowania różnych obrzydliwości chińskich, afrykańskich, czemużby polskich

potraw obawiać się mieli, smaczniejszych dla ich podniebień, jak przypuszczam, od gniazd jaskółczych, lub smażonej szarańczy, albo wreszcie od wielkich brazylijskich pająków, uważanych jednak przez krajowców za wielki przysmak.

— Ja zaś inne wyrobiłem sobie o tem pojęcie i wymyśliłem sposób przekonania się, czy moje domysły są prawdziwe.

— Jakiż to sposób?

— To już moja tajemnica.

I począł gwizdać ulubioną piosenkę, co czynił zwykle, gdy był z siebie zadowolniony.

— Ma kolce! — wołał żałośnie Henryk — wracając z gałązką różanego kwiecia.—Co za szkoda!

Jakób wziął gałązkę i rzekł:

— Róża polna, czyli psia, której Rzymianie przypisywali własności lecznicze.

Około dziesiątej stanęli w dolinie Jaworzynki, przy potoku rozbijającym się z hukiem o głazy. Henryk wyraził głośno swój zachwyt nad malowniczością tego ustronia, na to odezwał się przewodnik:

— U nas w Tatrach nic brzyćkiego niema, ale dopiero z hali Królowej coś ujrzycie.

I spojrzawszy w górę, zawołał:

— Patrzcie, no, patrzcie! czy widzicie? Myszołów!

Wszyscy podnieśli głowy, i ujrzeli w górze dużego ptaka, z rozpostartemi skrzydłami, wiszącego w powietrzu. Czy stał, czy leżał, nie można było widzieć, ale był nieruchomy, bo nie poruszał wcale skrzydłami.

Róża polna czyli psia. *Rosa canina.*

— Jak on się może tak utrzymać w powietrzu?—zawołał Henryk.

— To jego sztuka. Potrafi tak wisieć przez kilka minut, i zdaje się że mu to przychodzi bez wysiłku. Pewnie upatruje tu sobie zdobyczy. Biedne myszki polne, biedne zajączki i ptaszki!

— On jada także szczury, węże i owady—wtrącił przewodnik.

— To znak że idziemy w krainę orłów. W tej dolinie zjawia się też czasem Sokół pastułka. Ale jak tu cicho!

Myszołów.

— Tylko strumień gra, a w strumieniu uwijają się pstrągi — rzekł Henryk patrząc w wodę.

— Jednej rzeczy brak uczuwam w górach, to świata skrzydlatego—rzekł Witold. — Czasem odezwie się jakiś ptaszek pojedyńczo, jak ten oto, niby głos wołającego na puszczy; ale gromadnej skrzydlatej orkiestry, odzywającej się ciągle na równinach, nie słychać tutaj wcale. W krainie orłów, jastrzębi i puhaczy, niema widać miejsca dla drobiazgu, który jednakże jest taki miły i wdzięczny, tak ożywia lasy i pola!

— Tak znowu źle nie jest — odrzekł doktór.—Przyjedź pan tu na wiosnę, a usłyszysz w kniejach tokujące Głuszcze i Jarząbki, lub z kosodrzewiny odzywający się głos Cietrzewia.

— Ja mówię o drobnych ptaszkach.

— I te można często widzieć, tylko nie urządzają koncertów tak tłumnych jak na równinach. Jaskółki krążą koło domów, z świstem przecinając powietrze; Kukułki odzywają się w lasach; Siwarniki, świergocą w miejscach wilgotnych, a wśród młaków odzywają się Czyżyki, obsiadłszy czuby olch. Skowronki dzwonią w górze, wznosząc się na tysiące stóp wysoko, a żaden ton z ich pieśni nie ginie. Nie dokaże tego żaden Słowik!

— Widzę, że pan jesteś szczególnym wielbicielem skowronka.

— O, bo też żadne gardło nie może iść w zawody z gardziołkiem skowronka, tak pod względem pełni i dźwięczności śpiewu, jak i wytrwałości! Obok tego znakomitego solisty, śmiało stanąć może jako primadonna, Zięba sosnówka. Znakomity ornitolog niemiecki, Bechstein, utrzymywał, że śpiew zięby zbliża się najwięcej do mowy ludzkiej i studyował z zamiłowaniem tę oryginalną muzykę. A srebrne głosiki Sikorek, to skracając, to przedłużając tony, czy nie śliczną wygrywają melodyę? Drozd, krewny Kwiczoła, to także śpiewak nie bez zalet. Regestr jego tonów jest bardzo bogaty: począwszy od jednostajnego świergotania, przebiega całą skalę aż do tonów najwyższych, a głos ma srebrzysty i rozległy. A maleńki zwinny Ogniczek, *Cinclus aquaticus* koliber tatrzański? Czy go pan nigdy nie widziałeś, jak buja uczepiony do liści, z drobnego gardziołka wyrzucając ton dźwięczny, metaliczny i donośny?

— Jakże on wygląda?

— Upierzenie ma żółtawe i ognisto czerwoną łatkę. A nie zdarzyło się panu kiedy słyszeć w górze odgłosu podobnego do warczenia bębna?

Witold namyślał się.

— Słyszałem błądząc po zaroślach i mokradłach.

— Wydają go Kuligi.

— Rodzina Bekasowatych?

— Tak, one to reprezentują bas w tej orkiestrze.

— Ależ ja właśnie utrzymuję, że nie słyszę nigdy orkiestry, tylko same sola, same duety, wreszcie tercety i kwartety. Raz tylko słyszałem bardzo lichy chór Trznadli, odzywający się w zaroślach nad drogą.

. . . zachwyt nad malowniczością tego ustronia.

— Ale są jeszcze polni śpiewacy: Rudziki, Białożytki, i wiele innych. Nie pierwszorzędni to wprawdzie artyści, ale każdy śpiewa jak umie, i w muzyce górskich odgłosów do ogólnej przykłada się harmonii.

— Ale ja tutaj w górach spodziewałem się czegoś oryginalnego, a pan mi wymieniasz pospolite ptactwo z równin, wyjąwszy Ogniczka.

— Cierpliwości! zapoznasz się pan z ptactwem halnem i turniowem: spotkamy je pewnie po drodze. Mamy iść przecież w krainy nagich turni. Na piargach szukaj różowego Mentla Pomurnika, *Tichodroma muraria*. Na halach przy szałasach, przebywa Ślinogórz *Rutycylla lithys*. Na wyżynach Płochacz alpejski, *Acentor alpinus*, i Jerzyk, jaskółka turniowa, *Cypselus melba*. Poznasz ją po wyciągniętych długich skrzydłach i ogonie, który w locie zwija, co jej nadaje kształt krzyża. Wśród lasów i nad potokami przebywa Pluszcz Kordusek, *Regulus cynicapilus*. Nuci z cicha, ale ma głos bardzo miły.

— Widzę, że pan niemniej od Bechsteina polubiłeś ptasią muzykę—rzekł śmiejąc się Witold. — W Muzeum tatrzańskiem widziałem sporo ptaków, alem się im nie przypatrywał.

— Muzeum posiada 408 ptaków i 909 okazów jaj i gniazd. Ma też 73 okazy zwierząt ssących. Wszystko to nabyte jest od Antoniego Kocyana, leśniczego w Zubercu, który pisał o ptakach tatrzańskich. Zajmuje się on stale faunistyką tatrzańską i jest najlepszym znawcą tego przedmiotu. Zbierali jeszcze i oznaczali okazy Ślósarski i Nowicki.

Dochodzili właśnie do miejsca, gdzie się dolina rozszerza, a z daleka widać kilka rozrzuconych szałasów. Witold założył binokle i rzekł:

— Widzę przy szałasach jakichś ludzi: spora nawet gromadka. Czy to nie jest czasem odpoczywający orszak baroneta?

— Zdaje mi się, że oni — odrzekł doktór, przymrużając oczy. — Ludno i zbrojno idzie Anglik na zdobycie róży bez kolców. Sir Warburton, Walter i dwaj przewodnicy mają strzelby.

Góralka w rańtuchu.

XVII.

MORSKI WĄŻ.

„Na koniku, okazale,
Pasterz jedzie z dolnych pól.
Tuż pod gwiazdy, na swe hale,
Jak w swem państwie jedzie król."
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Tamci spostrzegli ich zaraz i zdaleka witać zaczęli, machając kapeluszami. Górali było dziesięciu: dwóch do niesienia namiotu, czterech pod bagaże i trzech przewodników. Był i Obrokta z gęślikami. Sir Edward w serdaku i z kijem alpejskim w ręku, wyglądał na prawdziwego wodza wyprawy. Twarz jego zwykle spokojną jak z marmuru, na widok Henryka rozjaśniła błyskawica radości. W ruchu z jakim wyciągnął rękę do chłopca, było coś więcej niż uprzejmość, a w zapytaniu, czy zdrów jest po niedawnej z niedźwiedziem przygodzie, brzmiał jakiś ciepły ton. Ale powściągnął się natychmiast i odwrócił nagle, a oczy jego spotkały się z oczami małego hrabiego, który stał z boku, śledząc wyraz twarzy dziadka. Rzecz bowiem niesłychana: sir Edward, szydzący zawsze z obaw o zdrowie wnuka, interesował się teraz zdrowiem tego obcego w lichem ubraniu.

Powitanie wzajemne chłopców było bardzo sztywne. Henryk w skierowanem na siebie spojrzeniu Dawida, wyczytał źle ukrytą niechęć—ale policzył ją na karb niezadowolenia z wycieczki, do której wi-

docznie wciągnięto go wbrew woli jego własnej. Naturę swego rówieśnika, zrozumiał on już przy pierwszem spotkaniu w Kościeliskiej dolinie i trafnie go ocenił; zasmucił go natomiast brak profesora Stranda, umiejącego tyle ciekawych rzeczy opowiadać. Baronet wyjaśnił, że profesor prosił aby na niego nie czekano, i obiecał stawić się przed południem na hali Królowej. Jeden z górali odezwał się że profesor zapewne urządził sobie wycieczkę na własną rękę, bo szukał wczoraj przewodnika — a drugi dodał, że widział nawet tego przewodnika, jak kupował pochodnie.

Gdy te słowa przetłomaczono sir Edwardowi, okazał zdziwienie, ale nie wątpił, że Strand dotrzyma słowa i stawi się na czas w oznaczonem miejscu.

— Bardzo byłoby mi przykro — dodał — gdybyśmy zostali pozbawieni tak miłego towarzysza.

Pochodnie jednak dały do myślenia wszystkim, chociaż malarz utrzymywał, że profesor miał już chyba dosyć grot Raptawickich. Doktór jednak był przeciwnego zdania.

— Ależ tak, tak — potwierdził — tu niedaleko jest Magora; on niezawodnie zboczył po drodze do groty w Magorze.

— To już nie rozumiem po coby tam lazł—mruknął Witold wzruszając ramionami—chyba nowego szuka guza!

— Co takiego przypuszczacie panowie? — dopytywał się sir Edward.

Doktór powiedział mu swoje domysły, a baronet zadecydował, żeby iść ku Czarnemu Stawowi, jak było postanowione—bo skoro Strand wyszedł o świcie z Zakopanego, to zapewne ułatwi się wkrótce ze wszystkiem i przyjdzie, a może już nawet jest na hali.

— Idźmy więc, żeby nie czekał na nas długo—dodał.

— Czy można zapytać pana, sir, jaki jest plan wyprawy?—zagadnął malarz.

— Z planem czekałem na was, moi panowie. Znacie te góry, więc lepiej odemnie potraficie wyznaczyć marszrutę. Jam tutaj obcy...

Wydało się Witoldowi, że przy tych wyrazach głos baroneta miał nienaturalne brzmienie.

— Z naznaczenia punktu zbornego na hali Królowej, wnoszę, że masz zamiar, sir, iść do Morskiego oka.

— Tak, ale idzie właśnie o wybranie drogi takiej, którąby nam dostarczyła najsilniejszych wrażeń.

— Najwspanialszych widoków—poprawił Walter.

— I pozwoliła znaleść różę bez kolców—nieprawdaż?—dodał malarz, a na ustach jego zabłąkał się szczególny uśmiech.

Warburton dostrzegł ten uśmiech i rzekł:

— Obiecałem sto funtów nagrody temu, kto ją pierwszy spostrzeże i mam nadzieję, że jeśli tylko róża ta rośnie na drodze do Morskiego oka, znajdziemy ją z pewnością.

— Nie chcę panu zaprzeczać, sir, ale na takich wysokościach róże nie zwykły się osiedlać.

— O, co do tego, jestem innego zdania. Może one w Tatrach rosną niżej, ale nie mów pan, że nie lubią się osiedlać na wysokościach. Widziałem róże w Ameryce północnej, na stokach gór, których wierzchołki wieczny śnieg pokrywa.

— Więc on był w Ameryce—myślał Witold—no, no!

— Oprócz jednej Australii, róże są wszędzie, i bynajmniej nie są niewytrzymałe na zimno. Rosną one w dzikich pustyniach Grenlandyi, Kamczatki i Islandyi; w Syberyi nawet znajduje się kilka ciekawych gatunków. Przywożono mi je do Rochdale ze wszystkich stron świata. Mam róże z Meksyku, Abisynii, Chin, Persyi, Egiptu. Nawet skraje Sahary posiadają jeden gatunek róży, rozweselającej pustynię białem kwieciem i zdobiącej wstęp do piaszczystego morza.

— Posiadasz pan róże z całego świata i róży bez kolców przyszedłeś u nas szukać!

— Przyszedłem ją znaleść — poprawił sir Edward, a uśmiechając się dodał:—Szkoda, że niema profesora, bo wziąłby z nami udział w naradzie.

— On także jest tu obcym—wtrącił Walter—i Tatry zna tylko ze strony naukowej.

— Masz słuszność: zresztą profesorowi nie idzie o wrażenia, tylko o Branchiopoda przebywającego jedynie w jeziorach. Idźmy więc tak, abyśmy jak najwięcej jezior spotykali po drodze.

— Właśnie najwięcej używana droga do Morskiego oka, wiedzie przez dolinę Stawów Gąsienicowych i dolinę Pięciu Stawów.

— Czy który z panów ma mapę?

— Oto jest — rzekł doktór, sięgnąwszy do kieszeni, i rozłożył ją na olbrzymim głazie, jak na stole.

Anglik pochylił się nad nią i patrzył uważnie, a malarz odezwał się:

— Jeżeli idzie o silne wrażenia i wspaniałe widoki, to radziłbym od Czarnego stawu wrócić do Zakopanego, a jutro przez Jaszczurówkę, Psią trawkę i Pańszczycę, iść na Krzyżne.

— Krzyżne? co to jest takiego?—zapewne szczyt jakiej góry?

— Jest to połączenie górskich szczytów, których ramiona tworzą krzyż. Widok jest stamtąd wspaniały na dolinę Pięciu Stawów, dokąd zejść można, i następnie przez Świstówkę dojść do Morskiego oka.

— Dodaj pan — zrobił doktorowi uwagę malarz — że po drodze zboczymy do Siklawy, największego w Tatrach wodospadu.

— Chciałem to właśnie powiedzieć — odrzekł Jakób — oraz że z Morskiego oka możemy wrócić do Zakopanego przez Zawrat.

— Tego nie radzę: ci co wracają przez Zawrat, często dostają zawrotu głowy. Co innego gdy się idzie pod górę, nie mając pod nogami przepaści! Zresztą, po co przebywać dwa razy dolinę Pięciu Stawów? Wracajmy lepiej przez Waksmundzką polanę. Trzeba żeby sir Edward miał różność wrażeń.

— Moi panowie: nie mamy się co sprzeczać, którędy wracać będziemy. Przy Morskiem oku możemy odbyć powtórną naradę. Plan wasz podobał mi się. Prowadźcie mnie na Krzyżne: ale oświadczam, że wracać się nie będę. Nie zwykłem nigdy zawracać z raz wytkniętej drogi. Hasłem rodu Warburtonów z Rochdale, jest: naprzód!

Baronet wypowiedział to ze stanowczością, a Jakób dodał:

— A więc musimy iść do Morskiego oka przez Zawrat, bo przejścia na Krzyżne niema.

Warburton zmarszczył brwi, jak człowiek nie znoszący oporu, ale nie raczył już zrobić żadnej w tym przedmiocie uwagi. Spojrzał tylko na zegarek i rzekł:

— Już dziesiąta, nie traćmy czasu, panowie. Nasi przewodnicy niecierpliwią się.

Ruszono po drodze kamienistej, bystro w górę wiodącej — którą niegdyś wożono rudę z kopalni w Magorze — napotykając po drodze ślady zarzuconych sztolni.

Głos żałosny, przeciągły, przeszył powietrze, głos jakiejś samotnej ptaszyny.

— To gazda szałaśny—rzekł przewodnik, zowie się Slinogórz.

Mały hrabia szedł obok swego guwernera pogrążony w myślach, a na jego twarzy pojawił się wyraz dotąd tam nie bywały, wyraz skupienia. Rzucał od czasu do czasu ciekawe spojrzenia na swego rówieśnika, z którym rozmawiał w tej chwili jego dziadek. Tak życzliwego wyrazu twarzy, tak dobrotliwego uśmiechu nigdy u niego nie widywał! On się bał tego posępnego starca, drżał przed bystrym, nawskroś przenikającym wzrokiem. Głos baroneta, ilekroć doń przemawiał, był zawsze surowy, a teraz ten sam głos brzmiał łagodnie, przyjacielsko, jakby ten ubogi, skromnie ubrany chłopak był mu równy! Matka miała słuszność, gdy go ostrzegała, że ktoś obcy może się wkraść w łaski despotycznego starca. Czyżby on właśnie miał być tym obcym? Trzeba się zatem mieć na baczności, ale i gdyby tak być miało, on, Davy, nigdy temu nie przeszkodzi; nie potrafi pozyskać jego serca i nie będzie nawet usiłował. Jakkolwiek był leniwy, zepsuty, rozpieszczony, ale miał swoją

dumę, a duma ta czyniła mu wstrętnemi upokarzające zabiegi, które nawet, jak sądził, byłyby bezużyteczne, bo przenikliwy dziadek odgadłby ich cel natychmiast. On, Davy, mógł tylko patrzeć i czekać, nic więcej. Mimo to, czuł wzrastającą niechęć do Henryka. Na tę wycieczkę szedł z wielkim przymusem, z wyraźnej woli matki; nie zachwycał się więc pięknością otoczenia, a zły jego humor wzrastał co chwila. Nie przyzwyczajony do chodzenia, zmęczył się bardzo prędko i ciągle siadał, co niecierpliwiło baroneta. Walter musiał go nieustannie zachęcać.

— Siadać na wycieczce, jest to szukać zmęczenia i bólu nóg — mówił do niego.—Górale nigdy nie siadają, chyba przy wieczornem już ognisku przed spaniem.

Henryk za to grzeszył w inny sposób, bo bezustannie wysuwał się naprzód, zbierał kwiaty, czepiając się skał, zaglądając w szczeliny i wyszedłszy poza ścieżkę, zmuszony był wracać. Przewodnik raz po raz wołał:

— Wrócić się, wrócić, szkoda czasu! Przewodnika trzeba słuchać! — a Jakób dodawał:

— Kto oszczędza sił z rana, zyskuje drugą parę nóg wieczorem.

Im wyżej wstępowali, tem coraz szerszy widok odsłaniał się przed nimi na góry okoliczne, zwłaszcza na Giewont. W jakimkolwiem bowiem kierunku idzie się na wycieczkę z Zakopanego, wszędzie jak duch zjawia się stary Giewont, ukazując swoją szczerbę.

Gdy skręcili na ścieżkę, którą już wygodnie iść można ku hali Królowej, doktór pokazał Warburtonowi baniaste wzniesienie na środku góry i miejsce, gdzie się znajduje grota Magory. Ale przy grocie nie było widać nikogo. Za to niżej spostrzegli dwa czarne ruchome punkta. Punkta te rosły, zbliżając się i przybierały ludzkie kształty. Jeden zaczął zdaleka poruszać chustką. Nie było już wątpliwości, że za chwilę cała wyprawa znajdzie się w komplecie. Orszak zatrzymał się, czekając na profesora, a sir Edward popatrzywszy przez lunetę, spostrzegł że Strand niesie jakiś duży okrągławy przedmiot i oddawszy szkło do ktorowi, zapytał co sądzi, że to być może. Jakób popatrzył i przyznał, że nie wie. Przedmiot ten wygląda na kamień, ale nie jest nim na pewno, bo profesor niesie go zbyt swobodnie; a kamień takiej objętości, potrzebowałby większego wysiłku przy wstępowaniu na górę.

Z kolei wziął lunetę malarz i zadecydował, że to musi być jakiś przedmiot cenny, skoro mając przewodnika przy sobie, nie oddał mu swego ciężaru. Może bryła złota ukryta niegdyś przez zbójników w jaskini! Bądź co bądź, musi to być coś osobliwego, bo uczony Strand przystaje co chwila i spogląda na to z uwagą, a okulary ma zsunięte na czoło, jak zwykle, gdy jest w uroczystym nastroju.

— Może profesor znalazł w grocie jezioro, a w niem swego Branchiopoda — odezwał się Henryk.

— Co znowu! w Magorze niema jezior, a Branchiopod jest małym skorupiaczkiem.

— Jeżeli jest tak małym skorupiaczkiem, to może właśnie nie można go było ująć inaczej, tylko z większym z przedmiotem na jakim osiadł. Ale jeżeli pan utrzymuje, że w Magorze niema jezior...

Gdy już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło profesora od krawędzi skały, gdzie znajdował się orszak baroneta, Witold któremu ten przedmiot zagadkowy nie dawał spokojności, zawołał:

— Co pan takiego zdobyłeś, panie profesorze! Od kwadransa obserwujemy pana i nie możemy zgadnąć.

Uczony Strand czerwony od zmęczenia, popatrzył na obecnych i przemówił z tłumionem wzruszeniem:

— Znalazłem czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego!

I podniósł do góry niekształtny, poczerniały czerep — przyczem postawa jego wyprowadzona tym ruchem z równowagi, zachwiała się i byłby się stoczył na dół, gdyby go idący za nim przewodnik nie podtrzymał. Górale też na skinienie baroneta podbiegli, pochwycili profesora i prawie wnieśli na górę. Był zmęczony i ledwie dyszał, a ubranie jego znajdowało się w bardzo smutnym stanie i nosiło ślady chodzenia na czworakach. Włosy też były w okropnym nieładzie, a żyły na głowie i czole mocno nabrzmiały. Szedł zaprędko i siły jego wyczerpały się.

— Znalazłem ją w grocie Magory, w bocznej pieczarze, między odłamami lodu—mówił, oddychając ciężko. — Prawda, że piękny okaz?

I podał baronetowi, który obejrzawszy, oddał z kolei doktorowi mówiąc:

— Hm, zapewne że jest to cenna zdobycz, jeżeli istotnie należała do zwierzęcia, któremu ją pan przypisujesz. Co do mnie, nie znam się na tem. Ale siądźże pan czemprędzej, bo widzę że zaledwie możesz utrzymać się na nogach.

Górale skupili się koło profesora, przyglądając się ciekawie i wyrażając głośno swoje zdania. Jeden dowodził, że to łeb barana, inny że cielęcia, a doktór oglądający czaszkę, zagadnął doktora Stranda, czy słyszał o odkryciu Rotha.

— Jakiem odkryciu? mów pan!—zawołał z ożywieniem.

— Staraniem Towarzystwa Tatrzańskiego prowadzi się systematyczne badanie jaskiń. Otóż Roth znalazł w jednej z pieczar kości dwudziestu ośmiu gatunków zwierząt, pomiędzy któremi, oprócz gatunków dziś jeszcze w Tatrach i na Podhalu żyjących, znajdowało się wiele

takich, które obecnie tylko mroźne okolice podbiegunowe zamieszkują, mianowicie kości Renifera...

— Renifer w Tatrach! — zawołał Henryk ze zdumieniem — tegobym nigdy nie przypuścił!

— Kości Zająca bielaka, dwóch Lemingów — wyliczał dalej Jakób — Pardwy i zaginionego Niedźwiedzia jaskiniowego, do którego, jak pan utrzymujesz, ta czaszka należy.

— Te zwierzęta żyły tu w okresie lodowym — rzekł profesor z ożywieniem, a wypierane stopniowo z ociepleniem się klimatu, z dawniejszych siedzib, cofały się ku północy i zatrzymały dopiero w mroźnych okolicach podbiegunowych. Ale ślady tej fauny przechowały się tutaj dotąd, bo do niej zaliczyć należy Kozicę, Świstaka, Sorka alpejskiego i Smużkę, żyjące tu obecnie.

Doktór mówił dalej:

— A profesor Wierzejski znalazł w jednem z jezior szczególnego skorupiaka, zwanego Zadychwą, który oprócz Tatr znanym jest jedynie w Skandynawii i Grenlandyi.

Strand pobladł ze wzruszenia i zerwał się na równe nogi.

— Ale w którem, panie, w którem? Mów na miłość Boską! To mój Branchiopod, którego szukam!

W zapale chwycił obiema rękami za kamizelkę doktora i trząsł nim gwałtownie.

— Domyślałem się tego — odrzekł Jakób z uśmiechem. — Ale ostrożnie, bo mi pan podrzesz ubranie.

— Domyślałeś się i nic nie mówiłeś! A cóż za człowiek z pana! Masz serce z kamienia!

— Z tego powodu profesor Wierzejski uważa to zwierzątko za arktyczne.

— Ależ naturalnie! naturalnie!

— Przypuszcza, że w okresie lodowym było ono pospolitem w Europie, że wyginęło wskutek ocieplenia się klimatu, a przechowało się po dziś dzień jako niemy świadek wielkiego, dawno minionego zjawiska, jedynie w Tatrach, znalazłszy w chłodnej wodzie tych jezior przyjazne dla swego istnienia warunki.

— Tak, ale w którem? w którem?—wołał profesor coraz głośniej, trzęsąc jeszcze mocniej doktorem—mów pan, jeżeli masz Boga w sercu!

— Nie pamiętam, wierzaj mi pan.

Profesor opuścił ręce i obrzuciwszy Jakóba pełnem wzgardy spojrzeniem, wyrzekł, trzęsąc się z oburzenia:

— Nie pamiętać miejsca zamieszkania Branchiopoda! I to ma być człowiek!...

I ukrył twarz w dłoniach, pogrążony w rozpaczy.

— Ależ panie profesorze, pociesz się pan—uspokajał go Warburton, dotykając jego ramienia. Jesteśmy w drodze do Pięciu Stawów; będziesz pan mógł czynić poszukiwania, i jeżeli tylko pański Branchiopod istnieje rzeczywiście, niezawodnie go znajdziemy.

I wyjąwszy cygarnicę, dodał:

— Mam przy sobie wyborne cygaro: zapal je pan; to orzeźwia i uspokaja. Niech co chcą, mówią lekarze o szkodliwem działaniu tytoniu na organizm: ja utrzymywałem zawsze i utrzymuję, że dymek cygara spędza troski z czoła i myślom daje skrzydła. Czy masz pan zapałki?

— Mam — odrzekł Strand, biorąc cygaro i sięgnął do kieszonki kamizelki, a nie znalazlszy ich na zwykłem miejscu, zapuścił rękę w kieszeń surduta i cofnął ją natychmiast ze wstrętem.

— Co panu jest?—zapytał baronet—coś pan tam znalazł?

— Nic, nic — bąkał zmięszany — to tylko... to jest... myślałem, że to zapałki...

— Ej, czy nie żaba weszła panu do kieszeni? Okazałeś wstręt tak widoczny... a pamiętam z czasów pobytu pańskiego w Rochdale, że o mało nie złamałeś nogi w parku, obawiając się nastąpić na żabę.

— Jeżeli tak, to ja pana od niej oswobodzę — powiedział Jakób, chcąc zanurzyć rękę w kieszeń profesora, ale ten odskoczył jak oparzony, wołając z gniewem:

— Nie dotykaj mnie pan! Niech się nikt nie waży mnie dotykać!

Niespodziany ten wybuch u łagodnego i flegmatycznego z natury człowieka, zdziwił wszystkich. Spoglądali na siebie, nie umiejąc wytłomaczyć sobie przyczyny, a uczony Strand ochłonąwszy nieco, dodał jakby usprawiedliwiając się.

— Nie czułem nigdy wstrętu do żab, ani do najlichszego stworzenia, bo wszystkie mają cel swego istnienia i są dowodem mądrości Bożej, a jeżelim okazał przestrach w parku Rochdale, to dla tego jedynie, że nie chciałem wyrządzić krzywdy nieszkodliwemu zwierzątku.

— Doktór Strand ma tylko wstręt do niewiast, choć także są dowodem Bożej mądrości—wtrącił Witold z uśmiechem.

— I do wszystkiego co ma z niemi związek — dodał Jakób, a niewinne te wyrazy bez złośliwej wymówione intencyi, widocznie zaniepokoiły uczonego. Spojrzał niechętnie na obu przyjaciół i odwróciwszy się, ruszył w drogę, nie troszcząc się o resztę orszaku. Czaszka niedźwiedzia jaskiniowego, z którą nie chciał się rozstać, sprawiała mu niemało kłopotu.

— Moi panowie—rzekł półgłosem baronet do doktora i malarza—nie mówcież nigdy profesorowi o kobietach, bo widzicie, że mu to psuje humor.

— Ciekawy jestem, co on znalazł w kieszeni—szepnął Witold.

— Widocznie coś takiego, czego nie chce nam pokazać — odrzekł Jakób. — Może jest to jakaś zdobycz naukowa, mającą do czasu pozostać tajemnicą, i o której dopiero dowiemy się kiedyś z dzienników.

— Ej, nie — powiedział Witold — na twarzy profesora pojawił się wyraz takiego wstrętu, gdy cofał rękę, jakby się dotknął przypadkiem gadu jadowitego.

— W istocie, to bardzo dziwne—szepnął Warburton.

Na halę Królowej wiedzie ścieżka wijąca się nad krawędzią przepaści. Miejscami jest tak wązka, iż wędrowcowi zdaje się, że się na niej obie jego nogi nie zmieszczą, ale idąc przekonywa się, iż mogą wygodnie obok siebie postępować. Widok jest stamtąd na dolinę Jaworzynki, leżącą na dnie przepaści niby obrazek uroczy. Mały hrabia gdy się do tego miejsca zbliżył, zbladł, trząść się zaczął i w żaden sposób nie mógł się odważyć go przekroczyć. Próżno przekładał mu przewodnik, że „droga łatwa i babsko stuletnie wlazłoby na nią“ — Dawid słuchać nie chciał. Ani obawa gniewu dziadka, ani uspokajające przedstawienia Waltera, ani zapewnienia doktora, że tędy góralki jeżdżą konno z obońkami [1]) napełnionemi mlekiem, nic nie pomogły. Odwrócony plecami od przepaści, rękami przypiął się do skały i wołał, że nie pójdzie dalej za nic w świecie, że chce wracać do Zakopanego, i wśród tego lamentu został zdradziecko przez owo drażliwe miejsce przeciągnięty; jeden z górali go popchnął, drugi naprzód pociągnął. Gdy poczuł że niebezpieczeństwo minęło, odetchnął i lękliwem spojrzeniem obrzucił twarze obecnych, a to co na nich wyczytał, pokryło mu twarz ciemnym rumieńcem, zwłaszcza że ścieżka teraz nie wydawała się mu tak wązka jak przed chwilą. Odczuł całą śmieszność swego postępku, i miał ochotę się rozpłakać, ale spojrzawszy na Henryka biegnącego naprzód wesoło, powstrzymał gwałtem łzy i z zaciśniętemi ustami szedł w milczeniu, poddając się losowi. A gdy obejrzawszy się jeszcze na ową drogę fatalną, zobaczył jadącego tamtędy na koniku górala, z obońkami, z fajką w zębach i niedbałą swobodą na ogorzałej i durnej twarzy — gorycz zalała jego serce.

. .. jeżdżą konno z obońkami.

[1]) Naczynia drewniane.

Zeszli na halę Królowej pokrytą prześliczną zielonością, niby poszystym kobiercem. Pragnienie ujrzenia prędzej turni, których brzegi wychylały się zdala—rosnąc powoli i ukazując płaty śniegu leżące na ich ostrych źlebach—dodawało im sił, choć byli zmęczeni. Wreszcie wśród malowniczo rozrzuconych złomów, bujną otoczonych kosodrzewiną, odsłonił im się prawdziwie majestatyczny widok. Przewodnik wskazując ręką, mówił:

— Ta góra długa na lewo z granią czarną, to Koszysta wielka, a przy niej bliżej Buczynowe turnie. Między niemi jest Krzyżne. Zaraz przy niej jest druga, żółta kieby siarka, co ma wierzch trójkanciasty, to się nazywa Żółta turnia, dla tego że na kamieniu rośnie taki żółty porost, jak siarka. Te dwa czuby przy sobie nazywają się Granaty, bo przed wschodem słońca są całe czerwono umalowane. Ten wierch środkiem wyszczerbiony, to Kozi wirch, bo się kozy po nim często spinają. Dalej Zawrat: tamtędy się idzie do Morskiego oka. Ta na przodku dzieląca Czarny Staw od Pięciu Stawów Gąsienicowych, nazywa się Kościelec, bo do kościoła podobna.

— A gdzie jest Czarny Staw?

— Czy widzicie ten kamienisty wał, co idzie od Żółtej turni do Kościelca? Za nim jest Czarny Staw. Przypatrzcie się państwo stawom: widać tu ich zwierciadła.

— Raczej zwierciadełka—szepnął Henryk.

Profesor nie słuchał. Z roztargnieniem rozglądał się, szukając śladu lodowców.

Nasyciwszy oczy wspaniałym widokiem, wędrowcy ruszyli ścieżką na dół ku szałasom, gdzie zwróciły ich uwagę duże głazy granitowe, rozsypane po zboczu wapieniowej góry.

Profesor przystanął i patrzał na nie zamyślony. Warburton zatrzymał się także i rzekł:

— Co te granity robią na wapieniu? Jakim sposobem bryły tak potężne dostały się tutaj? Chyba poprzenosiły je tu jakieś bajeczne olbrzymy?

— To jest ślad lodowca!—odrzekł profesor.—Głazy te z przeciwległego grzbietu nie mogły się dostać inaczej, jak po lodowcu, który niegdyś zaścielał całą dolinę Gąsienicową.

— Ot, co to jest być uczonym—wtrącił malarz.— Profesor Strand z głazów odczytuje dzieje tej krainy z przed wielu tysięcy lat, a my patrzymy na nie i nic nie widzimy. Dla nas martwe, nieme, dla niego są księgą pełną treści.

— To prawda — myślał Henryk. — Jakim to potężnym skarbem jest wiedza! Ona daje klucz do wszystkich tajemnic. Człowiek uczony jest jasnowidzącym.

— Ślady lodowców spostrzegam tu wszędzie — mówił Strand dalej—w postaci wygładzeń po skałach, szram i głazów narzutowych.

Doktór odezwał się:

— Uczeni badacze utrzymują, że w okresie lodowym po obu stronach Tatr, południowej i północnej, zarówno doliny, jak i boki gór pokryte były potężnemi lodowcami, które u podnóża ich łączyły się z sobą i zachodziły daleko poza dolinę Nowotarską.

— Tak jest — odrzekł Strand — zostawiły one bardzo wymowne ślady swego istnienia. Lodowce Tatr z dolin staczały się aż na wyżyny podtatrzańskie, a każda dolina posiadała swój własny. Z tych czasów pozostały tylko owe płaty śniegu kryjące się pod głównym grzbietem Tatr, pod osłoną skalistych turni.

— Proszę pana — zapytał Henryk, słuchający bardzo uważnie— wszakże lodowce ze śniegu powstają?

— Nie inaczej.

— Dla czego więc tworzą się tylko w górach, chociaż zimą śnieg pada także na równinach?

— Śnieg gromadzący się na wyniosłych szczytach i grzbietach gór w porze letniej, topnieje na powierzchni, a woda z topnienia tego pochodząca, przesiąka do wnętrza. Że zaś ciepłota na takich wysokościach spada na noc do zera, więc woda owa marznie i w ten sposób śnieg zamienia się bezustannie w zlodowaciałą masę.

— Ale jakim sposobem lodowce mogą odbywać wędrówki? przecież to nie są żywe, zdolnością ruchu obdarzone istoty!

— Obsuwają się one nieustająco po pochyłej powierzchni gór i spuszczają powoli w doliny, wypełniając je w postaci wydłużonych języków. Im silniejsze jest nachylenie gruntu, a grubość lodowca i jego ciężar większe, tem i ruch szybszy.

— A więc gdy lodowiec spuści się w dolinę, to wtedy już tam zostaje, nieprawdaż?

— O, nie; ruch nie tylko nie ustaje wtedy, gdy dno doliny przybiera położenie poziome, ale popychany z góry, ciągle powiększającym się ciężarem masy zlodowaciałej, wznosi się czasem nawet do znacznej wysokości i przesadza mniejsze przeszkody, jak nierówności dna i skaliste zapory tamujące mu drogę.

— A jaka jest szybkość tego pochodu?

— W Alpach ruch lodowca wynosi 20 do 30 centymetrów na dobę.

— To jest 92 metry rocznie — liczył Henryk — ruch bardzo powolny.

— Bo też lodowce nie są zjawiskiem jednej chwili — odrzekł Strand—lecz do rozwoju swojego potrzebują długiego przeciągu czasu.

— A co się staje z lodowcem, gdy zawędruje w niskie okolice?

— Jeżeli te okolice są dość ciepłe, to daje początek rzekom.

— Myślałem, że rzeki powstają tylko ze źródeł podziemnych.

— I źródła podziemne nie z ziemi biorą początek, ale z wód deszczowych, które przesiąkają w ziemię i krążą pod jej powierzchnią, jak to ma miejsce na Kalatówkach, gdzie przyłożywszy ucho do ziemi, słyszeliśmy doskonale ich szmer.

— A jeżeli kraj, przez który posuwa się lodowiec, jest zimny i lód nie zamieni się w rzekę, to co się wtedy dzieje?

— W takich krajach lodowiec schodzi aż do morza: tam koniec jego ułamuje się i spuszcza jak okręt na wodę. Tak powstają góry lodowe.

— To te lodowce zatem muszą być olbrzymie?

— Bywają czasem długie na kilkanaście kilometrów, a grube na metrów kilkaset.

— Lód chyba posiada twardość kryształu, przy tak straszliwem ciśnieniu. Proszę pana, czy mogę pana jeszcze o jedno zapytać?

— I owszem, mój młody przyjacielu, pytaj o co chcesz.

— Powiedział pan niedawno, że głazy, które tu widzimy rozrzucone, są śladami lodowca. Cóż to ma jedno do drugiego?

— Bo lodowce na grzbietach swych unoszą rumowisko skalne, które się z góry na dół nasypało. To się zowie „moreną". Po stopnieniu lodowca, rumowisko takie osiada na gruncie.

Jakób przerwał.

— U nas rozsiane kamienie polne są takiemi rumowiskami przyniesionemi ze Skandynawii na grzbietach lodowców, które dawniej, gdy na świecie było zimniej i wilgotniej, rozciągały się od Skandynawii aż do nas i pokrywały cały kraj, oraz równiny Niemiec i północnej Rosyi.

— Jakto, te lodowce szły przez morze?

— Morze nie dzieliło wtedy Szwecyi i Norwegii od reszty Europy. Półwysep ten stanowił jedną całość z lądem stałym.

— Dla czego jednak kamienie polne są po większej części okrągłe?

— I to ma swoją przyczynę: Znaczna część okruchów skalnych wpada w szczeliny, powstające w lodowcu bezustannie w skutek nierówności podłoża, po jakiem się posuwa. Że zaś lodowiec topnieje od spodu, a przyrasta u góry świeżo spadłym śniegiem, więc okruchy skalne strącone przez wicher lub lawiny, tym sposobem dostają się na sam spód i przygniecione całym ciężarem masy zlodowaciałej, wystawione są na niesłychanie silne tarcie przy ruchu lodowca. Kruszą się one, obcierają o siebie wzajem, przybierają postać palcowatą, wieloboczną lub okrągłą; wygładzają się, lub ulegają porysowaniu, a znaki są tak charakterystyczne, że odrazu poznać je można.

— Jeżeli to jest tak straszliwy ciężar, cóż się dzieje z dnem, po którem szoruje lodowiec?

— Ulega częściowemu uszkodzeniu. Jeżeli owe głazy i odłamy skalne trafią na litą skałę, gładzą ją i rozcierają, rysują nawet i tworzą w niej znaczne zagłębienia, lub wyrównywują dna, usuwając progi i zapory. Tak samo obchodzi się lodowiec ze skalistemi bokami doliny: obcierając je bezustannie, odrywa ich kawałki i zostawia na nich szramy i wygładzenia, które nawet po zupełnem zniknięciu lodowca, długo się przechowują.

— Więc lodowce zmieniają postać gruntów?

— O, dokonywają one jeszcze większych rzeczy; materyał morenowy gromadzący się na spodnim końcu lodowca, wpływa najbardziej na zmianę charakteru miejscowości, gdyż tworzy potężne wały kamieni, progi, powstrzymuje w biegu górskie potoki, powoduje częściowe zalanie dolin i staje się powodem powstawania jezior. Jeziora tatrzańskie powstały właśnie w dawnych miednicach głazów, naniesionych przez lodowce.

— Ale gdy śnieg stopniał i zamienił się w wodę, to wreszcie i woda powinna była wyparować.

— I parowała też ciągle, ale w atmosferze jest niewyczerpane źródło wody, ciągle oddające ziemi napowrót to, co z niej uchodzi w postaci pary.

Strand umilkł i zaczął znowu przyglądać się swojej czaszce, a Henryk mówił sobie, że podczas gdy on patrząc na zwały lodowe, widział tylko kamienie, profesor miał przed oczyma wielkie kataklizmy i widział je tak dokładnie, jakby się działy wczoraj. Podczas gdy on patrząc na czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego, widział tylko czerep, profesor miał przed oczyma zwierzę żywe, jego obyczaje i warunki w jakich istniało. Czy też on znajdzie swego Branchiopoda? Ale gdzie jest róża bez kolców? Jeżeli jej nie było w dolinie Jaworzynki, ani pod kopą Magory, ani na początku hali Królowej, to już i przy Stawach Gąsienicowych chyba jej nie będzie! O! ileż dałby za to, żeby zdobyć tę różę dla sir Edwarda! Taki był dobry dla niego, tyle życzliwości okazał mu dziś przy powitaniu! Wypytywał o babunię i siostrzyczkę. Rzecz dziwna, że obcego człowieka interesują te szczegóły!

Nagle Dawid idący trochę naprzód, cofnął się gwałtownie, wołając:

— Wąż, wąż!

— Gdzie? co? — pytali wszyscy na wyścigi i cały orszak zatrzymał się.

Chłopiec blady, przerażony, wskazał między głazami, w miejscu gdzie od wielkich świerków padał cień, a ziemia pokryta była obficie igliwiem, pełzającego węża. Jasno-popielaty, gruby na palec, a długi

przeszło na dwa łokcie, dziwny ten wąż nie miał wcale głowy i posuwał się naprzód ruchem falistym: ciało jego usiane było cienkiemi kreseczkami, a każda kreseczka miała na sobie czarny punkcik.

Malarz, który widział żmije tatrzańskie w Muzeum Chałubińskiego, utrzymywał, że to być musi jakiś nieznany gatunek, a Jakób rzuciwszy okiem na węża, zawołał:

— Pleń!

... falistym ruchem posuwając się nieznacznie.

I obejrzał się na profesora, który tak silnego doznał wrażenia na ten widok, że aż upuścił czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego.

— Ta to pleń—powtórzyli górale, a przewodnik dodał:

— Kilka lat temu Wala z Sieczką spotkali plenia przy Stawach Gąsienicowych, skąd podlazł z lasu.

— Ja go dwa roki temu spotkał pod Reglami -- odezwał się drugi przewodnik.

— Pleń, pleń, co to znaczy — dopytywał się malarz — nieukrywający wstrętu.—Do jakiegoż gatunku należy to dziwne stworzenie bez głowy i oczu?

— Jest to jeden z najosobliwszych objawów w świecie zwierzęcym, zwłaszcza owadzim—odezwał się Strand.—Ten wąż pozorny jest nieprzeliczoną gromadą beznożnych gąsieniczek muchy Ziemiorki, *Sciara militaris*, które instynktem wiedzione zlepiają się z sobą, a utworzywszy węża, pełzają w cieniu lasów. Przypadek nadarzył nam sposobność ujrzenia tego rzadkiego zjawiska, za którem ubiegają się uczeni różnych narodowości; bo moi państwo, pleń rzadko się pojawia, a że dziwnym zbiegiem okoliczności pojawienie się jego poprzedzało zawsze jakieś katastrofy dziejowe, jakieś wojny, więc ludzie drżeli na jego widok, upatrując w nim proroka przepowiadającego rozlew krwi. Gdyby pleń zjawiał się rok rocznie, ludzie przyzwyczailiby się do niego, ale że czasem nie słychać o nim przez kilka, lub kilkanaście lat, więc sam jego widok zabobonnym strachem przejmuje ludzi. I nic dziwnego: widok nieprzeliczonego, zwartą kolumną idącego wojska gąsieniczek, mógł nasunąć myśl o wojnie. Był czas, że brano go za jedno z „wężem morskim“ o którym od dawna błąkały się po lądach i morzach legendy.

— Pleń ta, widzicie, nikomu nie zrządza żadnej szkody—odezwał się przewodnik — ludzie nasi plenia zbierają, suszą, posypują nim sąsieki, stajnie, izby, bo chleb, widzicie trzyma się domu takiego.

— Czy pleń pojawia się tylko w Tatrach?—zapytał Warburton.

— Bywa w Beskidach, bywa i pod Bochnią. Widział go też ks. Jundziłł gdzieś w okolicach Niemna, czy Wilii. Pojawia się on w niektórych krajach północnej Europy, a także w Niemczech i Tyrolu. Kraje gorące prawie go nie znają; pleń nie znosi upału i światła słonecznego, lubi cień i chłód, a pojawia się zwykle tam, gdzie jest dużo igliwia rozsypanego.

Wszyscy przypatrywali się temu niezwykłemu zjawisku, a wąż pełzał ciągle falistym ruchem, posuwając się nieznacznie.

— Może to pleń bywał przyczyną w wiekach średnich tylu bajek o wężu morskim—odezwał się malarz.

— Jestem prawie tego pewny—odparł Strand.

— Jakim sposobem one się tak mocno z sobą trzymają?—zapytał Henryk.

— Lepka ciecz na powierzchni ciała każdej gąsieniczki spaja wszystkie tak silnie, że pleń niejako jedno tworzy ciało.

— Ale jeżeli te gąsieniczki są beznożne, jakim sposobem posuwają się naprzód?

— Pochód jest wynikiem posuwania się naprzód wszystkich gąsieniczek razem. Każda z nich bowiem ślizgnie po towarzyszkach so-

bie najbliższych; wyprężając co chwila przód ciała i posuwając tył za sobą, posuwa się tym sposobem o jeden milimetr, a jedna prześciga drugą w kierunku pochodu. Przez to ustawicznie zmieniają swe położenie; wierzchnie cisną się pod spód, a spodnie wychodzą na wierzch. Mają one zawsze przewodniczki i co te przedsiewezmą, tamte, jakby za poprzedniem porozumieniem, naśladują. Dowództwo nie jest stałe. Każda może przewodzić, skoro tylko dotrze do spodu, a przewodniczki nie różnią się niczem od innych.

— Jestto więc coś nakształt republikańskiego ustroju.

— Jaka jest szybkość tego pochodu? — zapytał Witold.

— Możemy to łatwo sprawdzić: te na które tu patrzymy, uszły w pięciu minutach dwa cale drogi, więc na godzinę stóp dwie, a na całą dobę czterdzieści ośm. Zatem dla oddalenia się o ćwierć mili, potrzebowałyby czterech miesięcy.

— A jednak patrząc na ruch plenia, zdaje się, że się prędzej posuwa.

— W istocie, takie czyni wrażenie.

— Jaki jednakże jest cel tych pochodów?

— Tego stanowczo orzec niepodobna. Uczeni bardzo się już nad odgadnięciem tego biedzili, ale napróżno. Jestto przedziwna właściwość, jakiej żadne inne zwierzę nie posiada, a cel jest dotąd i może pozostanie na zawsze tajemnicą, do której klucz spoczywa w ręku Boga, ukazującego nam w pleniu jeden ze Swych cudów. Co jednak zadziwia najwięcej u tych wątłych gąsieniczek, to ich wytrwałość. Wyobraźcie sobie, że one pół dnia, dobę nawet, idą bez odpoczynku, a zachowują się jak karne i dobrze wyćwiczone wojsko.

— Ileż w tej armii, którą widzimy przed sobą, może być żołnierzy?—zapytał Warburton.

— Co najmniej piętnaście tysięcy.

Przewodnicy nieradzi tak długiemu zatrzymywaniu się podróżnych, zaczęli naglić do drogi, bo słońce szło coraz wyżej — ale doktór Strand jął kręcić się i trzeć czoło z widocznem zakłopotaniem, aż baronet zapytał, co go tak niepokoi.

— Chciałbym—rzekł—zabrać z sobą plenia.

— Zabrać z sobą — zapytał zdumiony Anglik — a na cóż panu to potrzebne? Czy z jego pomocą chcesz znaleźć swego Branchiopoda?

— Chcę zobaczyć jak pleń zachowuje się w niewoli. Krzywdy mu przez to żadnej nie uczynię. Furaż dla tego wojska, stanowią cetynki [1]) świerkowe, korzonki i mech, a tego mu w drodze nie zbraknie.

---

[1]) Iglice.

Warburton pokręcił głową, ale nie sprzeciwiał się. Przewodnik zaś wziął od jednego z górali koszyczek z zapasami, przełożył jego zawartość do torby, wyłożył koszyk gałązkami, nasypał próchnicy i cetynek, poczem ostrożnie ciupagą jął zgarniać węża do koszyka. Nasypał znowu próchnicy na wierzch, przykrył wiekiem, ku wielkiemu zadowoleniu profesora, poczem orszak ruszył w dalszą drogę.

— Nie przypuszczałem, że na zdobycie róży bez kolców, będę szedł w piętnaście tysięcy wojska—rzekł, śmiejąc się baronet.

Wkrótce znaleźli się na hali, wśród licznej osady pasterzy i pasterek: między szałasami błądziły krowy i kozy, a juhas i juhaska wyprawiali skoki. Ale turyści nasi nie mieli czasu na to patrzeć. Napiwszy się mleka kwaśnego, ruszyli dalej ku Czarnemu Stawowi. Szli przez tak zwaną Suchą wodę, to jest łożysko potoku, którego nie widać, bo płynie gdzieś pod głazami. Słychać tylko jego szum i chwilami błyska z pod kamieni żywe srebro. Przewodnik prowadził ich teraz drożyną wyrobioną w zboczu góry i ukazał z dumą wysokie kopulaste drzewo z długiemi, jedwabistemi frendzlami iglic, mówiąc:

Limba, *Pinus cembra.*

— Limba!

Na ziemi leżało sporo błyszczących, jakby polituro-wanych szyszek, pod łuskami których były drobne ziarna orzeszkowate. Chłopcy nakładli w kieszenie ile się zmieściło, górale bowiem powiedzieli im, że są jadalne. Spróbowawszy, przekonali się że smakują jak migdały, a doktór dodał, że z drzewa limbowego i z kory jego, otrzymywany bywa balsam, zwany „karpackim.“

— Niegdyś — mówił — były w Tatrach całe lasy limbowe, a teraz z tych lasów zostało już tylko kilkanaście drzew, które też troskliwą otoczono opieką, aby je od zagłady uchronić. Limbę zowią także Cedrem

Goryczka żółta, *Gentiana lutea.*

sybirskim. Towarzystwo Tatrzańskie przez sześć lat wysiewało nasiona limby, sprowadzone z Syberyi i Insprucku, do czego szkółka założona została w Rostoce. Jest nadzieja, że kiedyś znowu piękne te drzewa tutaj się rozmnożą: teraz jednak tak ich jest mało, że się to nawet w pieśni odbija:

„Mówiło mu dziewczę, zalało się łzami:
Jasiu najmilejszy, nie chodź z zbójnikami.

Nie przystawaj ku nim, huzary cię chwycą.
Będziesz ziąbł na mrozie po pod szubienicą.

Głowiczkę ci zetną, zaryją cię w grobie,
Siwe moje oczy wypłaczę po tobie.

Jak się za jastrzębiem cień po ziemi włóczy,
Tak za tobą wszędy lecą moje oczy.

Kie mie ty odejdziesz, cóż mi hań zostanie,
Będę jak ta limba samiutka w polanie."

Między głazami, w pobliżu limb, rosły na wysmukłych silnych łodygach żółte Goryczki, z których jedną wyrwał przewodnik, i pokazując gruby korzeń, mówił że jest lekarstwem na różne choroby żołądkowe i niemoce ogólne ciała. Grubością łodyg tak się różniły od innych goryczek, że zdaleka można je było wziąść za rośliny krzewiaste.

Henryk dopytywał się raz po raz gdzie jest ów Czarny Staw, a górale swoim zwyczajem odpowiadali ciągle: „nie prec", ale Stawu nie było, choć już widzieli amfiteatr gór otaczających go i domyślali się, że jest blizko. Zasłaniał go przed oczyma idących zwał kamieni, zostawionych przez lodowiec. Trud dał się im już uczuwać. Szli między głazami i kosodrzewiną, a szkielety białych uschłych świerków, porosłych brodaczem, raz po raz zastępowały im drogę, niby duchy umarłych. Zaczęli wstępować na wał, i szyba jeziora wyglądającego jak szmaragd w oprawie szarego marmuru, odsłoniła się w całej okazałości.

Spinka góralska.

XVIII.

ŻYWE KRYSZTAŁY.

„Głos odradza się cudownie,
Gada w echu dusza gór,
Stoją skały jak warownie,
Okłębione dymem chmur."

Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Górale pozrzucali z pleców swoje ciężary i zabrali się żwawo do ich rozpakowywania. Porozpościerali oni pledy na gałęziach kosodrzewiny, sposobiąc dla strudzonych podróżników miękie, uginające się lekko posłania, nie ustępujące sprężynowym ma:eracom. Towarzysze baroneta rzucili się na nie z rozkoszą, on tylko sam nie kwapił się do spoczynku; wodził wzrokiem po gładkiej szybie jeziora, nad którem piętrzące się Granaty, Czarne ściany i Kościelec, podobny kształtem do fasady gotyckiego kościoła, szczególnie dziki nadawały mu charakter. Profesor Strand chciał natychmiast rozpocząć swoje poszukiwania, ale widząc wszystkich pomęczonych i przewidując opór, postanowił uzbroić się w cierpliwość i czekać. Tymczasem usiadł za przykładem innych, a usiadłszy, ocenił przyjemność wypoczynku—bo przewodnik urządził mu z gałęzi kompletny fotel, z miękiem dla pleców oparciem.

— Ciekawy jestem, od czego pochodzi ciemna barwa tej wody— odezwał się Strand. — Słońce nie łatwo przedostaje się przez otaczające je półkolem kolosy, które też cień na jezioro rzucają.

— Musi tu być głębia niezmierna — szepnął baronet. — Czy wiadomą jest głębokość tego jeziora?

. . . na gałęziach Kosówki.

— Wszystkie stawy tatrzańskie pomierzył Eugeniusz Dziewulski—odrzekł Jakób—ten tu pod Kościelcem dochodzi do 47 metrów głębokości. Co zaś do rozległości, zajmuje trzecie miejsce w rzędzie stawów tatrzańskich. Czy wasza Miłość zwraca uwagę na dziwną przezroczystość tej wody?

— Zastanowiła mnie już ona—powiedział Warburton;—do głębokości kilkunastu conajmniej metrów, widać głazy wyścielające dno przy brzegach.

...i szyba jeziora odsłoniła się w całej okazałości.

— Wszystkie jeziora o dnie granitowem mają wodę nadzwyczaj czystą – wtrącił Strand. — Rozbiór chemiczny wody jezior tatrzańskich wykazał bardzo małą ilość składników mineralnych rozpuszczonych, stałych. Jest ona miękka, jakby dystylowana i temu to zapewne brakowi kwasu węglowego, należy głównie przypisać ubóstwo stawów w rośliny i zwierzęta; to też mieszkańcy stawów są prawie wszyscy mikroskopijnie drobnemi istotami.

— No, i zbyt zimno jest także dla wszelkich innych stworzeń w tej wodzie, mającej na powierzchni 11, a na dnie tylko 5 stopni Celsiusza—odezwał się Jakób —tylko pański arystokratyczny Branchiopod, którego przodkowie sięgają okresu lodowego, może się tu czuć dobrze i nie dostać kataru.

— Branchiopod, ach! — zawołał Strand, zrywając się i usiadł natychmiast, czem pobudził wszystkich do wesołości.

Dawid bujający się na posłaniu z kosodrzewiny, jak na fotelu z biegunami, raz po raz zwracał głowę w stronę ogniska, przy którem kręcili się górale: nęciły go dolatujące stamtąd zapachy. Jerry, zapasawszy fartuch, smarzył jaja z szynką, a Bahleda, przewodnik doktora i malarza, odgrzewał w żelaznym rondelku bigos, w który zaopatrzyła ich na drogę panna Katarzyna. Z kotliczków buchała para. Henryk wydobył z koszyka serwetę, kilka talerzy, noże, łyżki, widelce, rozłożył nakrycie na mchu, położył chleb — a wziąwszy oplataną flaszkę z wódką przywiezioną z Miratycz, oraz srebrny stary kubeczek i napełniwszy go po brzegi, podał Warburtonowi.

— Może wasza Miłość raczy sprobować naszej litewskiej nalewki—powiedział uprzejmie.

— I naszego bigosu—dodał Witold, posuwając ku niemu dymiący rondelek.

— I owszem—odrzekł Warburton, rzuciwszy przelotne spojrzenie na butelkę, na której drobnem kobiecem pismem widniał napis: „Żubrówka“, a obok niego data.

Wziął w rękę kubek, i gdy go niósł do ust, nozdrza mu się rozdęły jak u rumaka stepowego, gdy poczuje w blizkości zapach burzanów. Wypiwszy, przypatrzył się kubkowi i puścił czarkę w kolej. Witold nie spuszczający z niego oczu, zauważył że na twarz baroneta z lewej strony, wystąpił mały, ceglasty rumieniec.

— Patrz pan—szepnął do Jakóba—patrz tylko na niego. W dolinie Kościeliskiej pił stary tokaj jak wodę, szklanka po szklance, a kieliszek nalewki litewskiej poszedł mu do głowy!

— To mocniejsze niż koniak i whisky—odrzekł doktór.

Baronet nałożył sobie sporo bigosu na talerz, ale nim jeść go zaczął, długo przypatrywał się łyżce, którą mu podano. Była to okrą-

gława, srebrna, dobrze już zdarta łyżka z cyframi i herbem zaledwie widocznym.

Witold, który widocznie obrał sobie angielskiego magnata za przedmiot do studyów, wkróce trącił znów łokciem Jakóba.

— Czy widzisz jak zawija polski bigos?

— Nic dziwnego: po takiem wygłodzeniu! Jestem pewny, że gdyby się znajdował na Wschodzie, zajadałby tak samo smarzoną w miodzie szarańczę.

— Hm; ja jednak znam taką potrawę, której żaden Anglik nie przełknie.

— Nie wątpię, jeżeli to będzie jakaś obrzydliwość!

— Bynajmniej: ulubiony w moich rodzinnych stronach przysmak.

— Czy można wiedzieć, co takiego?

— Zobaczysz pan jutro lub pojutrze, bo sam ją przyrządzę.

— Nie wiedziałem, że pan posiadasz zdolności w tym kierunku. Ale patrzaj, jak drugi Anglik zawija bigos!

— Walter? o, to jest Anglik pół krwi: odezwały się w nim instykta dziada. Ale mały hrabia za to jeść nie chce.

Dawid sprobowawszy bigosu, odsunął talerz i wziął się do szynki; nie w smak mu były sarmackie potrawy i wódka litewska, od której krztusił się przez kwadrans. Strand jadł i pił wszystko co dawano, myśląc ciągle o Branchiopodzie; posilał się prawie machinalnie, i nie zwracał uwagi na naturę tego co połykał.

— Jak panu smakuje nasza narodowa potrawa, sir? — zapytał Witold, zwracając się do Anglika.

— Wyborna — odrzekł zapytany, nakładając sobie powtórnie na talerz—ostry jej smak orzeźwia i posila.

— Wielki nasz poeta, Mickiewicz, w słynnym swoim poemacie p. t. „Pan Tadeusz“ daje przepis przyrządzania bigosu.

— Wiem—odrzekł z roztargnieniem—znam ten przepis.

— Znasz go sir?—zawołali obaj jednocześnie.

— Tak — odrzekł obojętnie — czytałem „Pana Tadeusza“ w przekładzie miss Ashurst Biggs.

Dawid, myślący tylko o jedzeniu, patrzał z litością i lekceważeniem na Henryka, który posiliwszy się, wyjął z puszki swoje rośliny, i zajął się przekładaniem ich bibułą, z wielką starannością rozprostowując kwiaty i liście. Drwiący ten wyraz twarzy małego hrabiego, dostrzegł baronet, pochwycił go w przelocie i zasępił się. Nie uszło to jego uwagi, że chłopcy nie przylgnęli do siebie, jak to było tajemnem jego życzeniem, ale nawet stronili jeden od drugiego. Podczas wycieczki szli z osobna i nie rozmawiali prawie wcale.

Gdy podano czarną kawę i cygara, profesor wypił spiesznie gorący napój wielkiemi łykami, jakby pragnął coprędzej opróżnić filiżankę; wstał, wyjął ze swego tłomoczka sieć zaopatrzoną w ołowiankę i wziąwszy swego przewodnika, wsiadł na tratwę stojącą tam zawsze dla użytku turystów. Gdy odbijali od brzegu, doktór wołał za nim, ostrzegając aby pamiętał o głazach olbrzymich, wyścielających dno, między które ołowianka zapadać się będzie i zaczepiać. Wszyscy życzyli mu szczęśliwego rezultatu polowania, a malarz rozweselony pił nawet zdrowie Branchiopoda.

Stadko Kozic ukazało się na stoku Żółtej turni i szło wzdłuż grzbietu niby sznur paciorków. Witold, zapalony myśliwy, złościł się że nie mógł użyć swej fuzyi. Trafić kozła, sprawiłoby mu wielką przyjemność, ale miał nadzieję, że zdarzy się jeszcze coś grubszego. Wyciągnął górali na rozmowę i dowiedział się, że może spotkać Rysia, którego uważano już za wytępionego, ale w ostatnich piętnastu latach ukazał się na nowo w Tatrach. Z lasów zachodził on w kosodrzewinę, a nawet w turnie, czyhając na bydło lub kozice. Bahleda odezwał się.

— Ryś to jako wielki kot, tylko pasiasty, zły w ślepiach. Na rysia chodziłek ze skoły; jeszcze mie leśnicy brali, com im psa prowadził. Dali mi psa na łańcusek, a pies tak sie ku rysiowi wydzierał, że i mnie za sobą ciągnął w górę po przechylinie Giewontu, aż przyseł pies pod drzewo; hań na gałęziach ka sie rozodzom, siedział ryś skulony i błyskał ślipiami. Mnie strach obujon, ale takem pomyślał: zawsze bestya prędzej hipnie na psa, nie na mnie, a strzelcy przyjdom. Ale czem przyśli, ryś z drzewa hipa a pies za nim. Poburzył, poonacył ślady tak, co potem wszyscy straśnie sie gniewali, a ryś zginął w Kalatówkach. Futro rysie jest piękne, i Janosik miał z niego kołpak, ale Wydra daje też piękne futro, warte strzału, a zachodzi potokami aż w głąb Tatr i ubito ją raz przy Morskiem Oku. Co można często ubić, to Kunę!

Kuna leśna.

Henryk odezwał się, że słyszał iż w Tatrach żyje Gronostaj i zapytał starego Wali, przewodnika baroneta, czy go kiedy widział.

Na to odezwał się Roy, drugi Warburtona przewodnik.

— Co nie miałek widzieć? widziałek gronostaja raz w życiu: w dolinie Dziury. Małe to jak scur, ale ładniuśkie takie co cud! a zgrabne, kie chłopak na weselu. Gładki miało kozusek bieluśki, a ogonek mały, prosty, czarny. Warciutko uciekał po sajtach [1]), kie ta woda płynie dołu.

[1]) Kłody drzew zwalonych.

Chciałek ja go chycić, ale nie było drugiego coby pomógł. Kieby był drugi, byłby je nagonił, cobykmy je dostali w rękaw od cuhy, a tak uciekł po pod skole, i tylek go uwidział.

Gronostaj.

— A Dzik pokazuje się w tych stronach? — zapytał Witold. — Zdałaby się nam na wycieczcze pieczeń z dzika!

— Dzika świnia przychodzi z węgierskiej strony na naszą od Orawy, ale nie często ta do nas zagląda.

— Była tu niegdyś zwierzyna grubsza jeszcze, ale wyginęła — rzekł Jakób — były podobno Żubry, Łosie i Koziorożce.

— Profesor zapuszcza ołowiankę — odezwał się Warburton, śledzący ruchy tratwy na jeziorze — chwila ważna dla niego. Panowie, wypijmy jeszcze węgierskiego za pomyślne odszukanie Branchiopoda!

Propozycya chętnie została przyjęta.

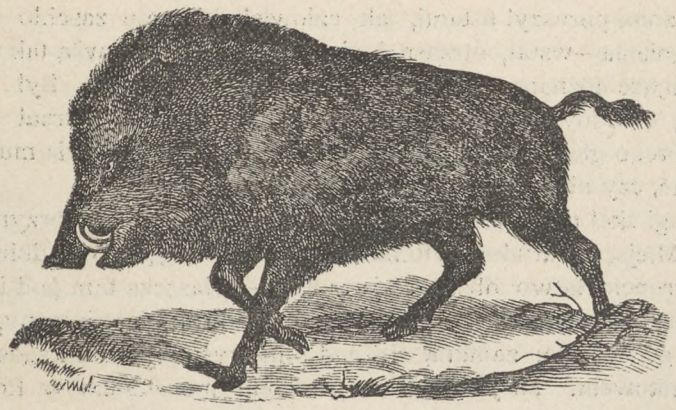

Dzik.

— Brawo, doskonale, wypijmy! — wołano, a gdy kieliszki napełniły się, wszyscy podniósłszy je w górę, wołali:

— Niech żyje profesor Strand! Wiwat Branchiopod!

Echa górskie odpowiedziały: Wiwat! wiwat! wiwat! coraz ciszej, coraz słabiej.

Profesor pochylony nad ołowianką, nie zwracał na to uwagi, wzrok jego śledził pilnie zanurzającą się sieć.

Wino rozweseliło umysły; Witold mający piękny barytonowy

głos, zanucił znaną pieśń, która wkrótce zamieniła się w chór, bo przyłączyły się do niej głosy Jakóba i Henryka.

„Wilia naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilia w miłej kowieńskiej dolinie,
Śród tulipanów i narcyzów płynie,
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów.
Od róż kraśniejszy i od tulipanów".

Warburton cały w słuch się zamienił, a oczy niezwykłym zajaśniały mu blaskiem. Pieśń obca widocznie trafiła mu do serca, bo po twarzy jego przebiegł cień wzruszenia; palce zanurzone w skręty brody, plątały się jakoś.

Śpiew i muzyka ustały, a Warburton słuchał jeszcze. Wreszcie przetarł czoło, poruszył ustami, jak człowiek któremu zaschło w gardle z pragnienia—wstał, otrząsnął się, a rysy przed chwilą tak wymownie malujące doznane wrażenia, kamieniały mu powoli. Był znowu spokojny, chłodny, dumny i posępny. Przez chwilę patrzał na jezioro, którego głębia pociągała go siłą tajemniczą i przyszła mu ochota spróbować, czy nie uda się obejść go dokoła.

Brzegi skał prostopadłe, wyglądały jak skrzesane olbrzymim toporem. Miejscami trudno było nawet postawić nogę; po gładkim a pochyłym gruncie, łatwo obsunąć się mogła—zwłaszcza tam pod Kościelcem, gdzie woda jest czarna jak noc. Jeden krok nierozważny, a wieczna noc go ogarnie: zamkną się nad nim kryształy wód i spocznie na dnie granitowem. Miejsce we wspaniałem mauzoleum w Rochdale, gdzie czekał na niego sarkofag obok sarkofagu syna, pozostanie puste, bo żadna siła nie dobędzie zwłok z głębokości 47 metrów. Tak łatwo byłoby nadać temu pozór przypadku... Skończą się wszystkie troski, wszystkie cierpienia, umilknie nawet to, co najwięcej sprawia męczarni, wyrzut sumienia—ten robak co leżał przyczajony na dnie duszy przez lat dziesiątki, a teraz coraz więcej podnosi głowę i wgryza mu się w serce!... Ale kto dokończy rozpoczętego przez niego dzieła? Kto się zaopiekuje robotnikami jego fabryk, jego zakładami dobroczynnemi, ochronami, szkołami? Czy Dawid? Nie; ten wyrośnie na paniczyka z płytkim umysłem i pustą głową... Myśl, że byt instytucyi które stworzył, od niego zależy, że jest potrzebny dla szczęścia i spokoju tysięcy, powstrzymywała go dotąd od skończenia wszystkich rachunków z ży-

ciem—ale i to tylko złudzenie: nikt nie może sobie powiedzieć, że jest niezbędnym dla najukochańszych nawet osób. Śmierć człowieka jest jak ów kamień rzucony w wodę, który wpadając zatacza zrazu kręgi tak szerokie, że całą powierzchnię poruszy, a potem kręgi te stają się coraz mniejsze, mniejsze, mniejsze, potem zaledwie widoczne – i znowu jezioro staje się gładkiem jak zwierciadło. On sam stracił syna i żyje, choć myślał że nie przetrwa tego ciosu.

Usiłował sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawi wieść o jego śmierci. Jest poważany, ceniony, uwielbiany, obsypany zaszczytami. O, gdyby ci wszyscy co głoszą jego chwałę, zajrzeli na dno jego serca... gdyby znali jego przeszłość, może cofnęliby się od niego ze wstrętem! I pomyśleć tylko, że sumienie jego spało przez lat tyle, jak umarłe, a teraz, co dzień, co godzina, przypomina mu o swojem istnieniu, wołając nań coraz głośniej: Jesteś zbrodniarz!

I jakby na urągowisko, śnią mu się dawne sny młodości... i czy to powietrze Tatr tak na niego działa, czy wielka ilość znajdującego w niem ozonu, ale pierś oddycha szerzej, krew szybciej krąży w żyłach, i chociaż w synu utracił wszystkie nadzieje, czuje chwilami że mógłby jeszcze odrodzić się, mógłby jeszcze żyć i kochać. Ale nie! musiałby zburzyć gmach wzniesiony pracą całego życia, i okupiony drogo wyrzeczeniem się przeszłości. Musiałby przyznać się przed sobą samym, że zbłądził i zawrócić z drogi na jaką wszedł w młodości? Nie, nie! jego duma nie zniesie takiego upokorzenia: umrze samotny jak żył, zamknięty w sobie i niedostępny. Trzeba być z innego metalu, aby giąć się tak łatwo: żelazo nie jest woskiem. Niechaj zawraca z drogi, kto chce! on, pójdzie naprzód, zawsze naprzód, jak każe godło starożytnego rodu Warburtonów na Rochdale. Stworzył sam sobie swoją dolę, i sam ją będzie znosił. Jest panem swego życia i ma prawo zrobić z niem, co mu się podoba. A więc naprzód, naprzód!

— Ostrożnie sir, bo pan wpadniesz! Niech wasza Miłość trzyma się więcej na prawo; brzeg tu jest wysoki i pochyły — odezwał się tuż za nim nizki i łagodny głos Waltera, który śledził uważnie Warburtona—i odgadując intuicyą serca, co się dzieje w jego duszy, szedł za nim krok w krok i odezwał się w samą porę, gdy baronet stawiając nogę na wąskim cypelku, zachwiał się i uchwycił instynktownie skały.

Warburton drgnął, a brwi jego ściągnęły się gniewnie.

— Odejdź, jeżeli się boisz—odrzekł sucho—i zostaw mnie samego.

— Nie boję się, sir i zostaję z panem— odrzekł łagodnie.

— A gdybym cię prosił, żebyś odszedł?

— Nie usłuchałbym.

Błyskawica gniewu strzeliła z oczu baroneta. Czuł, że młodzieniec go odgadł.

— Co to znaczy? — zapytał ostro. — Czy lady Chester kazała ci mnie pilnować? Jesteś bardzo łaskaw, ale uwolnij mnie od swej obecności! Wiesz, że nie znoszę oporu.

Młodzieniec zbladł.

— O, sir! — przemówił głęboko dotknięty — czy zasłużyłem na te słowa!

Taka boleść brzmiała w jego głosie, że Warburton który miał dobre serce, wyciągnął natychmiast do niego rękę.

— Przebacz mi — rzekł — jestem dziś rozdrażniony. Moja młodość stanęła mi przed oczyma, gdy razem z dziadem twoim... Zapomnij ostrych słów moich! Wiem że tylko życzliwość spowodowała twój opór... Nie od dziś czuję, żeś do mnie przywiązany.

— Całem sercem, sir!

— A ja ci niczem za to nie odpłaciłem... I teraz oto, w tej chwili, zaciągnąłem nowy dług wdzięczności względem ciebie. Chcę ci go spłacić otwartością. Posłuchaj: pozbądź się tego uczucia, bo nie jestem go wart. Gdybyś wszystko wiedział, nie dziwiłbyś się temu co mówię. W tej piersi bije nędzne, samolubne serce!

Odwrócił się i usiadłszy na złomie granitu, patrzył na tratwę posuwającą się środkiem jeziora: za nią posuwała się przyczepiona do niej sieć z ołowianką, znacząc jaśniejszy ślad na powierzchni wody.

Młodzieniec stał jak wryty w ziemię: wstrząśnięty był do głębi. Pierwszy to raz ten niedostępny, dumny, zamknięty w sobie starzec, odsłonił przed nim cierń tkwiący w ranie; pierwszy raz zajrzeć pozwolił do głębokich duszy tajników, gdzie nikomu dotąd zaglądać nie było wolno. On, przywiązania jego nie godzien?... O, nie, nigdy! Patrzał przecież zbliska oddawna na jego życie, na troskę o biednych i nieszczęśliwych, na pracę bez wytchnienia, z zupełnem o sobie zapomnieniem. Nie, stokroć nie! serce które nazwał nędznem i niegodnem miłości, jest tylko nieszczęśliwem..! I w tej chwili, gdy żelazny człowiek ukazał mu chwilę słabości, kochał go jeszcze więcej, bo dowód to że cierpi za winy młodości i chce je wynagrodzić, choć pragnienie to jest jeszcze w nim nieświadome. Jego tajemnica... młodzieniec tajemnicy tej oddawna się domyślał—i utwierdzał się w swych domysłach codzień, co godzina.

Popatrzył na siedzącego w zadumaniu baroneta, i oddalił się zwolna ku miejscu, gdzie odpoczywali uczestnicy wyprawy. Teraz już mógł się oddalić spokojnie, bo i tratwa profesora zmierzała ku baronetowi.

— Sir Edwardzie!—wołał uczony Strand—siadaj pan z nami: odbędziesz miłą przejażdżkę po dystylowanej wodzie, i doznasz cokolwiek innego wrażenia, niż ciągle stąpając po lądzie.

Przewodnicy wysunęli naprzód wiosła, aby uchronić tratwę od uderzenia mogącego ją zatopić, i tak zwolna podsunęła się pod skałę, u stóp której siedział baronet.

— A cóż Branchiopod—zapytał Warburton—czy jest?

— Nie — odrzekł z westchnieniem Strand; — trzy razy zapuszczałem siatkę dość głęboko: znaleźliśmy różne ciekawe istoty, ale niema między niemi Branchiopoda. Musi być w innym, wyżej położonym stawie.

— Walterze! — zawołał, oglądając się sir Edward — chodź, siadaj z nami.

— A czy ładunek nie będzie zaciężki? — zatroszczył się profesor.

Ale przewodnicy uspokoili jego obawy, mówiąc że znacznie więcej osób zazwyczaj tu siada.

Baronet wstępując na tratwę, zwrócił się do uczonego z żartobliwem pytaniem:

— Jakże będzie teraz panie profesorze? Zapowiedziałeś żeby żaden z nas nie zbliżał się do ciebie, a przestrzeń jest tak mała, że trudno nam, doprawdy, trzymać się w przyzwoitej od pana odległości.

Profesor zmięszał się i dotknął mimowolnie ręką kieszeni surduta. O, z jakąż rozkoszą zatopiłby w głębinach to co się tam znajdowało, ale nie mógł niestety! Nie był sam, a za nic w świecie nie dopuściłby się tego przy świadkach. A przytem, przedmiot ten choć nie należał do rodzaju ryb, pływałby na powierzchni wody jak ryba i niema sposobu go zatopić. Westchnął, a baronet któremu żal się zrobiło uczonego Stranda, wybawił go z kłopotu zapytaniem o faunę jezior.

— Ciekawa jest niesłychanie fauna jezior górskich—odrzekł z ożywieniem profesor, gdy tratwa znowu odbiła od brzegu. — Są w nich jakby trzy sfery towarzyskie, trzy światy: inne gatunki zwierząt i roślin, pod wielu różniących się względami, żyją przy brzegach, inne w środku, a inne jeszcze w głębinach. Ztąd też podzielono je na faunę przybrzeżną, śródjeziorną i głębinową. Zwierzęta żyjące pośrodku, zmuszone do ustawicznego unoszenia się na wodzie, i nie znajdując przedmiotu na jakimby spocząć mogły, wydoskonaliły sobie w wysokim stopniu narzędzia pływne, a natomiast utraciły narzędzia czepne, któremi obdarzone są pokrewne im gatunki przybrzeżne. Gęstość ich ciała zbliżyła je do gęstości wody, co im nietylko ułatwia ruchy, ale i utrzymuje bez trudu w każdej głębokości. Największy zaś przymiot tych stworzeń stanowi doskonała przezroczystość ich ciała; chroni je bowiem wybornie od napaści wrogów. Te istnie kryształowe zwierzątka, stają się niewidzialnemi, jak duchy. Na terytoryum przez nich zamieszkiwanem, panuje wielka swoboda, ale niema co jeść, bo tylko najniższe roślinki, czyli wodorosty, stanowią cały ich pokarm.

— O, to dziękuję za przymiot niewidzialności—wtrącił Walter.

Profesor mówił dalej:

— Muszą one skrzętnie uwijać się po olbrzymich obszarach wody, odbywać dalekie wycieczki w głębiny i ku brzegom, by głód zaspokoić. W głębokich jeziorach alpejskich napotykano je jeszcze w głębi 100 do 150 metrów, gdzie już panuje zupełna ciemność. W dzień kryją się w głębszych warstwach, w noce spokojne wypływają na powierzchnię wody; unikają światła, bo je razi, a u niektórych zauważono zupełny zanik oczu. Natura ich przystosowała się do warunków życia; pozbyły się organów niepotrzebnych.

— Powiedz pan raczej, że organa nieużywane, osłabły i stopniowo niedołężniejąc, coraz więcej zanikały.

— Gdy słyszę o zwierzętach, wyobrażam sobie zaraz ryby, a co najmniej raki—odezwał się Walter;—a jakaż jest pańska menażerya?

— Oh, ryby, co pan mówisz! Oneby poumierały z głodu w tej wodzie dystylowanej. Ryby w tym kraju przemieszkują w strumieniach, a co do jezior, znajdują się podobno tylko w jednem jedynem Morskiem Oku, które też dla tego Rybiem się nazywa. W mojej menażeryi niema zwierząt kręgowych ani na lekarstwo: mój zwierzyniec, to malutkie **Pierwoszczaki, Skorupiaki i Robaki**, to Wrotki, Małże, Mszywioły, Rozwietliki, Widłonogi. Najliczniej reprezentowane są Skorupiaki mikroskopowe, czyli Raczki.

— Bardzo to wszystko pięknie, ale chciałbym widzieć owoc pańskiego połowu, wiedzieć co jest w sieci.

— Chcesz pan wiedzieć! — zawołał zachwycony — dobrze: patrz pan! Pokażę panu żywe kryształy, te cudowne zwierzątka, niewidzialne w wodzie.

I sięgnąwszy ręką do sieci, zaczerpnął garść ziarn przezroczystych, podobnych do ziarn gotowanego sago: były to owe żywe kryształy, *Cladocera*, których przezroczystość pochodzi od galaretowatej osłony otaczającej zwierzątko. Sypał przez palce na wodę owe żywe kryształy, zwracając wolność złowionym zwierzątkom. Nagle kryształy owe spadając, zajaśniały blaskiem niezwykłym, rzekłby kto, że zmieniły się w dyamenty i rubiny, a jezioro stanęło w ogniu. Walter wykrzyknął:

— O, co za cudowne zjawisko! Patrzcie, patrzcie!

A tam na brzegu, ci co spoczywali na kosodrzewinie, zerwali się także, i słychać było okrzyk jeden.

— O o o o!

Przewodnicy opuścili wiosła i patrzyli także: było to, co zowią „żagnieniem gór.“ Żółta turnia, Kościelec, Granaty, Kozi Wirch, pokryły się ciemną purpurą. Pożar obejmował je kolejno, w miarę jak

słońce posuwało się ku zachodowi. Odbicie tego zjawiska w przezroczystej toni jeziora sprawiało, że żeglarze mieli wrażenie jakby płynęli po krwawej łunie. Zachwyt odebrał mowę patrzącym: podziwiali ten obraz w milczeniu i słychać było tylko plusk wioseł. Ale oto w oczach ich purpura pociemniała i zmieniła się w fijolety. Olbrzymi szmaragd w oprawie z szarego marmuru, przeszedłszy kolejno przez wszystkie barwy: rubinu, granatu, ametystu, zagasł nareszcie równie szybko jak się zapalił, i łono jego stało się znowu czarne, straszne i tajemnicze.

XIX.

POGROM.

„Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte:
Zostało jedno wielkie rusztowanie
Zbitych granitów, grzbiety rozpostarte".
Asnyk. Noc pod Wysoką.

Roy, przewodnik.

— Czy wasza Miłość każe rozbić namiot? — zapytał Jerry swojego pana, gdy wysiadł na ląd.

Warburton popatrzył na niebo, na jezioro, i rzekł, zwracając się do towarzyszy:

— Panowie! Czarny Staw jest pierwszym naszym etapem: złożmy naradę co do dalszej podróży, bo od niej zależeć będzie, czy mamy tu nocować.

— Zdawało mi się, sir, że pan masz zamiar iść do Morskiego Oka — odezwał się Strand.

— Tak, ale różne drogi do niego prowadzą.

— Stąd tylko jedna, przez Zawrat—przemówił doktór;—tam nad brzegiem jeziora a potem w górę, około Zmarzłego Stawu.

— Ja chcę iść do Morskiego oka przez Krzyżne. Mówiliście, że do Krzyżnego trzeba koniecznie iść przez Jaszczurówkę, Psią trawkę i dolinę Pańszczycy; chciałbym wiedzieć, gdzie jest owa Pańszczyca?

— Tu za Żółtą turnią, która dolinę Pańszczycy od doliny Czarnego Stawu dzieli.

— Tak blisko? A co to za szczyty widać na lewo?

— To Krzyżne.

— Więc gdy mamy je tuż pod ręką, chcesz pan abyśmy wracali się do Jaszczurówki, i stamtąd dopiero zaszli je z innej strony! Po co? Zamiast wracać, chodźmy przez Żółtą turnię w poprzek.

Malarz i doktór zamilkli, spoglądając po sobie, a Obrokta dowiedziawszy się o co idzie, powtórzył wolę baroneta przewodnikom, którzy obstąpiwszy go, jęli mu się z taką przyglądać ciekawością, jakby go po raz pierwszy widzieli. Roy i Wala trudniejszemi szlakami chodzili z Chałubińskim, ale Chałubiński był młodszy! Spostrzegł baronet że jest przedmiotem podziwu, ale i lekceważenia, i brwi ściągnął.

— Tędy nikt nie chodzi—odezwał się Witold.

— Jedna racya więcej, abyśmy poszli — odrzekł z pewną niecierpliwością; — jeżeli panom kierunek ten się nie podoba, to idźcie drogą wygodniejszą. Ja tędy pójdę i zaczekam na was na Pańszczycy.

— Pójdziemy z panem —rzekł Witold, a Jakób powtórzył to samo.

Co do profesora Stranda, temu było wszystko jedno którędy miał iść. Wszystko też było jedno Henrykowi, nie lękającemu się trudów, ale co do Dawida, ten umierał ze strachu i męczył Waltera prośbami, aby odradzał dziadkowi drogę przez tę okropną górę.

Tatar, przewodnik profesora odezwał się, że jeżeli już pan Anglik koniecznie chce, to iść można spodem Żółtej turni na Dubrowiska, przez groblę; ale drugi zaraz przerwał, że to przejście bardzo niewygodne i że lepiej będzie iść przez Żółtą turnię i Małą Koszystą. Na tem też stanęło.

Nikt już nie odezwał się z protestem.

Nocleg przy Czarnym Stawie okazał się koniecznym i baronet kazał rozbić namiot. Henryk ciekawie przypatrywał się tej czynności, którą Jerry chciał dyrygować, ale zanim zdołał porozumieć się z góralami na migi, namiot już stanął. Wszyscy co chodzili na wyprawy z Chałubińskim, umieli się doskonale z namiotem obchodzić i sprawili się zręcznie i szybko. W szczelinach umocowali drążki zakończone żelaznemi ostrzami, i do nich przymocowali sznury. Gdy stanęły ściany i dach, Jerry rozesłał na ziemi wojłok, urządził posłania z gałęzi kosodrzewiny i okrył kobierczykiem, a na nim położył poduszki gumowe, które nadął powietrzem. Znalazł się nawet stolik składany. Namiot był z płótna żaglowego nieprzemakalnego, więc choćby deszcz spadł w nocy, nikt nie potrzebował się obawiać przemoknięcia.

Wszystko było gotowe do noclegu, ale nikomu jeszcze spać się nie chciało. Dawid byłby chętnie położył się pierwszy, ale go wstyd brał; panowie rozmawiali paląc cygara, a górale zaczęli dorzucać kosówki na ognisko; gdy stos wielkim buchnął płomieniem, Obrokta wziął skrzypki i przygrywać zaczął, a górale puścili się w taniec, każdy na swoją rękę i zabrzmiała piosenka:

„W murowanej piwnicy
Tańcowali zbójnicy;
Kazali se pieknie grać
I na nóżki spozierać.“

Warburton patrzył z uśmiechem, chwaląc dzielność tego ludu oraz jego „fantazyę“ i rzekł:

— Przed wyjazdem moim z Anglii, czytałem „Kartki z podróży“ Wiktora Tissota, znanego autora „Podróży po krainie miliardów.“ Kreśli on w swych kartkach obraz zakopańskiego proboszcza i mówi o jego pracy cywilizacyjnej wśród tego ludu. Otóż Tissot słyszał od wspomnionego proboszcza, że w kilka lat po jego osiedleniu się, Zakopane było kilkakrotnie napadane przez zbójników. Gdy raz napadli na pewien dom i napotkali silny opór, po zamianie kilkunastu strzałów, cofnęli się jakby nigdy nic, śpiewając, i odeszli poprzedzani przez swoją muzykę. Nie jestże to najoryginalniejsza w świecie fantazya? Czy słyszał kto co podobnego? Czy w którym kraju zbójcy kiedykolwiek napadali ze śpiewem i muzyką?

— Góral jak posłyszy muzykę, już mu się usta nie zamykają od śpiewu, a nogi na miejscu ustać nie mogą—wtrącił Jakób.

— Ksiądz Stolarczyk był niezwykłą postacią — odrzekł na to Witold. — Gdy wszedł na niewielką ubogą ambonę, zdawało się, że ją zgniecie swoim ciężarem, ten olbrzym sześć stóp wysoki! Krzykliwym, rubasznym głosem wykładał prawdy wiary; nie unikał dosadnych, często ryzykownych porównań: u niego człowiek staczał się ku grzechom „jak wóz puszczony z Giewontu“, a „zakon Boży, to nie pomiotło, co stoi w kącie“—i „Pan Bóg nie dawał sobie w kaszę dmuchać.“

Podobne zwroty z początku raziły, ale wsłuchawszy się w nie, znajdowało się w nich nietylko wiarę i pokarm zdrowy, ale siłę i poezyę.

Na to odezwał się doktór:

— Mój dobry znajomy, pan A. Z., mówił mi, że nie zapomni nigdy kazania księdza Stolarczyka o Sądzie ostatecznym. Mówca przedstawiał słuchaczom, jak Anioł Gabryel zadął w trąbę. Na jego głos powstają zmarli z grobów, by stanąć przed trybunałem Najwyższego. I oto otwierają się mogiły zakopańskiego cmentarza, i oto powstaje procesya nieboszczyków: Krzeptowskich, Sieczków, Gąsieniców, Walów, którzy z krzyżem i pieśnią ciągną w przestwory niebieskie. A po drodze spotyka ich druga procesya z Chochołowa, z Poronina, z Szaflar, z Czarnego Dunajca. Ojcowie witają dzieci, bracia siostry, żony mężów, przyjaciele przyjaciół — każdy trwożny, jaki go wyrok czeka, po której stronie postawi go Anioł Pański. I te procesye spotykają inne;

pochod olbrzymieje, aż nareszcie słychać pieśń serafickich chórów i widać jasność wielką.

Było coś Dantejskiego w tym opisie ostatniej wędrówki, choć Danta nigdy nie czytał proboszcz zakopański. Posiadał on nadzwyczajną siłę obrazowania, co choć z wszelkiego kunsztu wyzuta, ciągnęła, przykuwała uwagę, a grozą tamowała oddech. Cóż dziwnego, że tłum słuchaczy chylił głowy jak łan zboża przed wiatrem, i że kruszyły się serca nietylko prostacze.

— Pan A. Z. opisał to nawet później, zaraz po śmierci księdza Stolarczyka, w jednej z gazet — zaczął znów malarz — i nic nie przesadził. Ja także znałem księdza Stolarczyka; słyszałem różne jego mowy i jedną mowę pogrzebową. Zaczął od tego, że siedząc pewnego wieczora na ganku, usłyszał dolatujące go krzyki hulaków z karczmy i zapisał sobie ich nazwiska, a tam wysoko Święty Piotr zapisał także na drugą rękę. „Wiem—mówił—że ci co tam byli, przyjdą do mnie i prosić będą, żeby ich wykreślić. Ale cóż, choć ja wykreślę, to Święty Piotr nie wykreśli!“ I zaczął przedstawiać pijaństwo w całej jego ohydzie. Myślałem że nieboszczyk był pijakiem, ale przeciwnie, był to człowiek trzeźwy, pijakiem za to był syn. I proboszcz jął go tak hańbić publicznie, tak gromić, i naprzemian roztkliwiać, że ogromne jak dąb chłopisko, upadło z rykiem na kolana, a nazajutrz wyprzysięgło się w kościele uroczyście wódki.

Powodowany dobrem sercem, niejednokrotnie na grabarzy lub służących kościelnych, przyjmował dawnych zbójników, dając im chleb u siebie na starość z litości. Kiedy pewnego razu rozeszła się wieść, że stary zbójnik Mateya, zapowiada zrabowanie kasy parafialnej, ksiądz Stolarczyk poszedł osobiście w góry na spotkanie Matei i zawarł z nim układ, mocą którego zbójnik przyrzekł zostawić pieniądze kościelne w spokoju, a ksiądz, nie wypominać go publicznie z ambony.

— Mądrość wężowa, o której mówi Pismo Święte — wtrącił Warburton.

— Uczonym nie był — podjął doktór znowu: — odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, i to stanowiło cały jego podkład literacko naukowy, ale miał znajomość psychologii góralskiej, siłę słowa i czynu, co połączone z głęboką wiarą i miłością ludu, stanowiło tajemnicę niezwykłych skutków jego działalności. Nic piękniejszego za Tatrami nie uznawał, i miał góralską duszę. Bójki z Liptakami gromił za rozlew krwi, groził karami piekielnemi, a swoją drogą powtarzał z zadowoleniem: „A taki nasze chłopcy znowu Liptaków zmogły!“

Mrok coraz więcej zapadał. Warburton wodzący zadumanym wzrokiem po posępniejącej coraz bardziej dolinie Stawów Gąsienico-

wych, dojrzał z daleka kilka drobnych światełek, i zapytał o ich znaczenie.

— To pasterze, co mają owce przy stawach, palą w szałasach— odrzekł Witold.

— Sąż oni tam bezpieczni od napaści dzikich zwierząt?

Doktór powtórzył przewodnikowi pytanie, a ten odrzekł:

— Czemu nie, bezpieczni: czasem tylko niedźwiedź kozę rozszarpie, albo ryś zaczai się jak kot, zadusi kilka owiec, opije się krwi; porwie co może i umyka. Orzeł też lubi napadać jagnięta, jeśli głodny. Dawniej chadzały przy stawach wilki, ale dziś już ich niema.

Dawid, gdy o dzikich zwierzętach posłyszał, uczuł ciarki chodzące po skórze; Henrykowi też zrobiło się niemiło, ale uspokoiła go myśl, że zwierzęta unikają ognisk, a wiedział że górale mają zwyczaj podsycać ustawicznie ogień na noclegu.

Chłód ciągnął od wody, ten i ów szczelniej otulił się pledem; Warburton zawołał o gorącą herbatę, a Jakób odezwał się:

— Szałasom pasterskim niegdyś groziło jedno poważne niebezpieczeństwo: zbójnicy odwiedzali ich koleby [1]) i wybierali tam daninę składającą się z serków i bryndzy. Zwykle gotowali barana w owczem mleku i raczyli się tym przysmakiem wraz z bacą i juhasami. Bacowie nie bardzo krzywo patrzyli na podobnych gości, bo sami radzi zbijali— wreszcie co napadnięty baca dziś oddać był zmuszony, jutro mógł zdobyć w cudzym szałasie. Wzajemnie się przeto jeden drugiego strzegli, i trzeba było wielkiej zręczności i dowcipu, żeby podejść ostrożnego kolegę, uprawiającego te same talenta. Między innemi były epizody następujące: Baca w biały dzień przychodzi do sąsiedniego szałasu kraść owce i pozostawia w ukryciu swoich juhasów. Nie można zamiaru przemocą dokonać, bo w szałasie znajduje się baca z juhasami, nawet w liczbie przeważającej; potrzeba więc podejść przeciwnika, doskonale zgadującego cel tych odwiedzin. Przybyły zatem udaje najszczerszą życzliwość i powoli wciąga bacę i jego juhasów do zabawy i tańca, a tymczasem na boku pozostawieni pomocnicy, zabierają owce jedna po drugiej. Naraz rozbójniczy baca spostrzega, że jego juhas za mało się ku ziemi pochyla, że mu widać kapelusz, który może plan całej wyprawy zdradzić. Nie przerywając tedy tańca, daje przestrogę komu należy, improwizując dwuwiersz:

„Uniżaj się, uwyszaj się, bo ci kłobuk widno;
Hrubszom chwostu, bakiesistom, uwijaj się śmiżno.“

---

[1]) Szałas.

Co znaczy: schylaj się, bo ci kapelusz widać, wybieraj owcę grubszego ogona, bo taka tłustsza, okazałą; uwijaj się żwawo.

Rabujący skorzystali z przestrogi, a rabowani nie domyślili się na razie znaczenia śpiewki. Baca nabawiwszy się u sąsiada, powrócił na swoją halę, gdzie już znalazł skradzione owce, gdy tymczasem okradzeni nie zaraz szkodę spostrzegli.

Malarz odezwał się:

— Zbijanie często było połączone z pewnego rodzaju dowcipem i humorem. Pewnego razu zbójnicy dowiedzieli się, że karczmarz posiadający piękne woły, wyjechał na kiermasz, pozostawiając żonę w domu. Przychodzą tedy w nocy, ale zamiast w prostacki sposób woły zabierać, przybywają z muzyką i karczmarkę wraz z jej służbą wyprowadzają w taniec. Podczas zabawy zbójnicy ostrzegają o niebezpieczeństwie, jakie wołom zagraża, śpiewając:

„Tańcujże se tańcuj, karczmareczko tłusta;
Na jutro, na rano, komóreczka pusta.“

Rozbawiona kobieta nie miała czasu zastanowić się nad tą przestrogą, i dopiero nazajutrz rano brak wołów wyjaśnił znaczenie piosenki. Podczas zabawy, wspólnicy tańcujących wyprowadzili woły, które sowicie opłaciły koszta hulanki.

— Już to z dowcipu słyną tatrzańscy górale — podjął znów Witold—jak również ze swobodnego umysłu. Chałubiński, który znał górali dobrze, zawsze podziwiał ten dowcip delikatny. Opowiadał on chętnie różne ich odezwania się i figle, Towarzystwo górali i rzeźwe powietrze wierchów, wybornie mu służyło. Często gdy był słaby i mizerny, szedł w góry na kilka dni i wracał zdrów, wyglądający tak świetnie, jak gdyby nigdy nie chorował.

Warburton zadumał się na te wyrazy.

— To prawda — rzekł — powietrze tych gór jest przedziwne i posiada jakąś moc cudowną: ja sam odczuwam jego wpływ rzeźwiący na sobie. Przyjechałem tu niezupełnie zdrów i z każdym dniem czuję się innym, silniejszym.

Zapalił cygaro i gęstym kłębem dymu się osłonił.

Doktór Strand pozornie tylko słuchał tego wszystkiego, i co chwila w głębokie wpadał zamyślenie. A gdy świeże gałęzie smereczyny dorzucone na ogień, jasnym objęły się płomieniem, podszedł do ogniska i wyjąwszy mapę z kieszeni, rozłożył ją na gładkim, szerokim kamieniu i zaczął się w niej uważnie rozpatrywać.

— Czego pan chcesz się tutaj doszukać?—zapytał go doktór.

— Hm, na mapie tej widzę oprócz Czarnego Stawu jeszcze cztery inne w tej dolinie. Są one tu oznaczone wyraźnie. W jednym tylko czyniłem dotąd poszukiwania, a kto wie, czy mój Branchiopod nie przebywa w którym z tych czterech!

— To są cztery niewielkie stawki: Dwoisty, Kurtkowiec, Suczy i Zielony, które turyści omijają, wiedząc że niema tam nic godnego zwiedzenia. Chcąc iść do tych stawów, trzeba zaraz z hali Królowej udać się na zachód w stronę przełęczy Liliowej. Pański Branchiopod pewnie potrzebuje większej przestrzeni i przyzwoitej głębi.

— Hm, co do głębi, tak; co do przestrzeni, niekoniecznie—odrzekł Strand.

— Musielibyśmy się wracać na niepewne, kiedy droga wypada nam obok olbrzymich jezior w dolinie Pięciu Stawów, daleko większą dających rękojmię co do znalezienia Branchiopoda.

Strand stał jeszcze przez chwilę wahający się i niepewny, wreszcie złożył mapę i schował do kieszeni.

Ilekroć górale dorzucili smereczyny na ogień, z cieni nocnych wychylały się olbrzymie profile skał, oraz mgły wieszające się na nich, i unoszące nad jeziorem. Jakób śledził je oczyma i rzekł:

— Przypomina mi się wiersz Tetmayera p. t. „Melodya mgieł nocnych przy Czarnym Stawie Gąsienicowym.“

„Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworzów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze.
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie.“

Wiersz ten wypowiedziany głosem poważnym i przejmującym, wywołał w słuchaczach odpowiedni nastrój. Henrykowi wydało się że mgły przybierają ludzkie kształty, a wężowe sploty ścielącej się tu gęsto Kosodrzewiny, to złe duchy czołgające się podstępnie przy ziemi.

Już wszyscy udali się na spoczynek, a profesor jeszcze się krzątał i nad brzegiem stawu pochylony coś robił.

— A chodźże pan spać — wołał na niego Warburton — co za dziwnie niespokojny duch mieszka w panu! Co tam robisz jeszcze u licha? Czy chcesz dokopać się znowu przedpotowego cmentarzyska?

Kosodrzewina.

— Zaraz, zaraz, sir Edwardzie, tylko muszę wprzód urządzić wygodne kwatery dla mojej armii.

— O jakiej armii pan mówisz?

— Czyż pan zapomniałeś, że wyprawie naszej towarzyszy piętnaście tysięcy wojska?

— Ach, pleń, zapomniałem o nim zupełnie; nawet nazwa tych osobliwych muszek wyszła mi z pamięci.

— *Sciara militaris* — powiedział Strand tonem okazującym zgorszenie, wobec takiego zapomnienia.

Nakładł gąsieniczkom świeżej próchnicowej ziemi, wydobytej ze szczelin między kamieniami, nasypał furażu z cetynek, ułożył je w miejscu wilgotnem, przykrył gałązką kosodrzewiny, a ukończywszy zadanie kwatermistrza, położył się w namiocie Warburtona i wkrótce zasnął. Śniło mu się, że zrobił znakomite odkrycie, przypatrując się gąsieniczkom przez szkło powiększające. Wszystkie *Sciara militaris* prze-

dzierzgnęły się w żołnierzy, wszystkie miały kapelusze stosowane i karabiny, i stanąwszy przed nim frontem, jednocześnie go salutowały.

Ale ranek przyniósł mu inne, całkiem niespodziewane odkrycie. Warburton i jego towarzysze obudziwszy się, nie znaleźli profesora, który swoim zwyczajem znowu się gdzieś zapodział. Walter przypuszczał, że poszedł naprzód; inni temu przeczyli, ponieważ jego torba podróżna i kij alpejski, leżały w namiocie. Warburton poszedł go szukać i znalazł siedzącego nad stawem przy głazie, gdzie były kwatery jego armii, tak zgnębionego, iż spojrzawszy nań, odgadł że spotkała go jakaś katastrofa. Włosy jego były w nieładzie, okulary zsunięte na czoło, ręce załamane.

— Co się stało u Boga, panie Strand—zawołał zaniepokojony wyrazem boleści, malującej się na twarzy uczonego.

— Pogrom, straszliwy pogrom! śmierć piętnastotysięcznej armii—jęknął z boleścią—katastrofa okropna!

— Gdzie, co? — zapytał, oglądając się dokoła i nie widząc nic niepokojącego.

Doktór, który tuż za sir Edwardem stał, spojrzał bystro na Stranda. Przyszła mu myśl, że poczciwemu profesorowi pomięszały się zmysły.

On zaś mówił dalej głosem żałosnym.

— Wszyscy żołnierze polegli na stanowisku, karnie i posłusznie, w imię poczucia obowiązku. Powodem tego pogromu i winowajcą, jestem ja .. Ach, uśmiercić piętnaście tysięcy żywych istot, to okropność! Patrzcie panowie.

I wskazał ręką na ziemię.

Zwróciwszy oczy za kierunkiem ręki profesora, zobaczyli teraz dopiero na kupce cetynek „węża morskiego", który wczoraj tak wszystkich przestraszył, zwiniętego w kłąb, ale nieruchomego. I gdy pochyliwszy się, przypatrywali się ciekawie, usiłując odgadnąć powód tej nieruchomości, profesor mówił dalej:

— Chciałem zbadać, jak pleń zachowuje się w niewoli, i dla tego wczoraj zabrałem go z sobą. Podróż do Czarnego Stawu odbył dobrze, bo miał poddostatkiem cetynek i próchnicy; zaledwie kilkanaście gąsieniczek wypadło. Wieczorem ułożyłem go w miejscu najwygodniejszem, spokojny, że przy powolnym ruchu, daleko nie zajdzie, chociażby nawet nocą w pochód ruszył. Ale gąsieniczki zaraz po wydobyciu z koszyka utworzyły plenia; ciekawy byłem co też uczynią, jeżeliby oba końce węża połączyły się i kijem złączyłem je z sobą.

Koło ruszyło w pochód, obracając się ciągle dokoła siebie: sądziłem, że to właśnie będzie najlepszy sposób zatrzymania go na miejscu, nie przeszkadzając zrazu ich wrodzonej chęci podróżowania. Dziś skoro pierwszy brzask się ukazał, przyszedłem tutaj, gnany jakimś niewy-

tłomaczonym instynktem, i oto patrzcie, co znalazłem! Cała armia martwa! Gęsieniczki maszerowały całą noc bez odpoczynku, w kółko, aż wyczerpane poległy na stanowisku, jako obraz posłuszeństwa i karności wojskowej. Gdyby kto był rozerwał koło, wojsko byłoby ocalone, bo jedna objąwszy natychmiast dowództwo, kazałaby im spocząć. Ale mój nieszczęsny pomysł wczorajszy, zgubił je. Błędne koło obracało się bez odpoczynku, aż stanęło u wrót śmierci! Gdym przybył, kilka z nich jeszcze ruszało się; więc chciałem te chociaż uratować, ale wkrotce znieruchomiały i spostrzegłem, że nic ich już nie ocali. Piętnaście tysięcy istot niewinnych, cieszących się wczoraj jeszcze życiem, a dziś martwych... i to z mojej przyczyny...! I jeszcze gdyby dla nauki był ztąd jaki pożytek! ale martwe wojsko wymknęło się moim badaniom... Popełniłem zbrodnię bezużyteczną.

— Widzisz pan, że nietylko kobiety są godne ukamienowania. Uczeni także nie są bez winy—zauważył Jakób.

Strand rzucił na niego spojrzenie pełne bolesnego wyrzutu, jakby chciał powiedzieć: Milcz szyderco!

— Trzeba im sprawić pogrzeb honorowy—powiedział malarz.— Hej chłopcy, chodźcie tu z ciupagami i wykopcie mogiłę dla dzielnych żołnierzy; a Obrokta niechaj zagra pieśń „rozwodną," przy której łzy łatwiej płyną i są mniej gorzkie!

Zabrzmiały skrzypki, zawtórowały im basy i przez chwilę słychać było tylko ową żałosną pieśń i stukanie ciupag o kamienie, między któremi szykowano mogiłę. Profesor sam zgarnął martwy krąg i przysypawszy próchnicą i zwirem, nakrył gałęziami kosodrzewiny i przycisnął kamieniem. Pieśń rozwodna brzmiała jeszcze długo z różnemi waryantami.

Gdy opuszczono miejsce katastrofy, by zasiąść w namiocie do śniadania, Strand, któremu przypomniał się sen dzisiejszej nocy i uroczysty pokłon jakim go pożegnały gąsieniczki, szepnął wzruszony:

— One mi chciały powiedzieć, jak niegdyś gladyatorowie mówili w cyrku rzymskim: Morituri te salutant, caesar!

XX.

NA FALACH MORZA.

„W tem dreszczu państwie, śnieg mi na czoło
Płonące pruszy. . .
Dumam; prócz mnie tu nigdzie w około
Żyjącej duszy!“
Felicyan. Odgłosy z gór.

Baronet postawił na swojem: szedł na Krzyżne przez Żółtą turnię. Powolne to posuwanie się pod górę, bez ścieżek ułatwiających wejście po żółtym, śliskim poroście, od którego góra ta wzięła swoją nazwę, było prawdziwem udręczeniem dla nóg wszystkich towarzyszów wyprawy.

Gdy zaczęli wchodzić, grad kamieni jął usuwać się z pod nóg a za kamieniami nogi, za nogami ręce. Wędrowcy przybierali położenie takie, jak wiejscy chłopcy, kiedy konie pasą, tylko że nie było im tak mięko jak na łące. Przewodnicy pomagali im wstawać, i pokazywali drogę idąc naprzód. Szli już teraz nie prosto, tylko w zakosy, zawracając ciągle, to od lewego, to od prawego boku, coraz wyżej, a wolniutko, co chwila odpoczywając. Profesor musiał oddać przewodnikowi do torby czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego, bo byłby ją rozbił na kawałki. Kto nigdy nie był w górach, nie ma wyobrażenia, co to jest iść po ścianie niemal prostopadłej, z wytężoną ciągle bacznością z nieustanną obawą stracenia równowagi.

Henryk, którego wszystko interesowało, rozglądał się po skalistej ścianie, a gdy napotkał jaką szczelinę, zaglądał w nią, mając na myśli

skarby zbójeckie i szukał znaków, po jakich podobno wtajemniczeni mogli do nich trafić. Naraz utkwił oczy w pewien punkt i zawołał.

— Panie Jakóbie, panie Jakóbie czy pan widzi?

— Gdzie? co?

— O o, tam — mówił wskazując ręką — tam ten ruchomy przedmiot na prawo. To pewnie ten ptaszek, o którym pan mówił w dolinie Jaworzynki.

Pomurnik, *Tichodroma muraria.*

Wszyscy przystanęli, Warburton także spojrzał w kierunku ręki chłopca i rzekł.

— Pomurnik!

Niewielki ten ptaszek z szarym łebkiem i brunatnemi skrzydełkami, pełzał do góry po skale, w odległości kilkunastu metrów od naszych podróżników — i nie zwracając na nich uwagi, wyszukiwał w szczelinach owadów, długim, cienkim, lekko zakrzywionym dziobkiem. Na tle szarej turni, żółtym nakrapianej porostem, byłby niewidoczny, ale zdradzały go żółte i białe plamki na skrzydełkach, w kształcie półksiężyców i czerwone piórka pod gardłem. Jedno skrzydło miał złożone, drugie rozpoztarte i w tej pozycyi posuwał się do góry. Davy którego także uderzył ten szczegół, zwrócił się do Waltera i zapytał:

— Jak on może utrzymać się w tej prostopadłej postawie? Gdyby fruwał z grani na grań, tobym rozumiał, ale on nie fruwa, tylko łazi!

Oblicze sir Edwarda, który dosłyszał to pytanie, rozjaśniło się. Spojrzał z odcieniem życzliwości na chłopca i powiedział.

— Ma do tego nogi palczaste, u których długi tylny palec jest opatrzony zakrzywionym pazurem.

Ten co był przedmiotem ogólnego zajęcia, szybkim lotem spadł na wystający u spodu turni zrąb skały — i odpocząwszy nieco, na nowo rozpoczął swoją wędrówkę do góry po zwaliskach piagru, napół podlatując, napół skacząc i trzepocząc przytem skrzydełkami.

— Gniazdo tego ptaszka bardzo trudno napotkać—mówił baronet dalej—bo je w niedostępnych rozpadlinach skał buduje. Raz jednak zdarzyło mi się je widzieć w Alpach. Kształt ma płaski i jest złożone z mchu, włókien, sierści, wełny i innych miękich materyałów.

— Widziałem Pomurnika na murach zamku Chillon w Szwajcaryi—odezwał się Witold.

— A ja na wysokości 2,900 metrów—rzekł baronet. Byli jednak tacy, co go znajdowali na wzniesieniu 3,000 metrów, na lodowcu, ścigającego nieliczne, znajdujące się tam owady i liszki. Widział to Saussure, słynny genewski badacz przyrody.

Gdy wreszcie stanąwszy na grzbiecie Żółtej turni, baronet ujrzał dolinę Pańszczycy, krainę gołych głazów i złomów granitowych, wielkich jak chałupy, przystanął i rzekł:

— Gdyby tu był Dante, niezawodnie wziąłby do swojego „Piekła“ obraz tej doliny. Co za przerażający majestat! Dzikość i groza tu panują: istna pustynia kamienna! Wyobrażam sobie co się tu dzieje, gdy czarne chmury zaciągną horyzont, błyskawice rozdzierają niebo, a huk gromów przez tysiąckrotne powtórzony echa, wstrząśnie tą piekielną otchłanią; gdy głazy strącane piorunami, odrywają się od szczytów i z łoskotem pędzą w przepaście. Przypominają mi się w tej chwili cztery wiersze z Pieśni XII-ej „Piekła“:

„Miejsce, którędy mieliśmy się spuszczać,
Było tak dzikie—i z powodu tego
Co się w niem działo, tak przerażające,
Że wszelki wzrok by od niego uciekał.“

A ten brak wszelkiej roślinności, prócz ciemnych porostów, przywodzi mi na myśl jeszcze jeden wiersz z Pieśni III-ej.

„Wchodzący, wszelką rzucajcie nadzieję!“

— Dante w swej wędrówce po Piekle nie miał nad głową jasnego błękitu—odezwał się Jakób—a gdzie go choć wązki skrawek dojrzeć można, tam jest nadzieja!

— To prawda rzekł Warburton, rozglądając się po niebie, na którem w tej chwili była jedna tylko mała chmurka. Pogodę mamy piękną, jak rzadko.

A ponieważ zaraz mieli zacząć schodzić na dół, baronet raz jeszcze ogarnął wzrokiem obraz, z którym się rozstawali i wskazując ku turniom otaczającym Czarny Staw, zapytał.

— Jak się zwie ta góra na prawo, podobna do stogu siana, ta co przewyższa iglicę Kościelca?

— Świnica—odrzekł Jakób—najwyższy to szczyt w tem pasmie. Jest tam na bardzo stromem zboczu wzniesione schronisko, przyczepione do skały niby gniazdo orle! Każdy kto je widzi, nie może wyjść z podziwienia, jakim sposobem ludzie zdołali tam wnieść materyał budulco-

wy. Wycieczka na Świnicę trudna: nie każdy się może na nią ważyć; ale widok wynagradza trudy. Szczyt jej bieli się śniegiem.

— Grono technologów z Krakowa niedawno było tam świadkiem wspaniałego widowiska — odezwał się Witold, przypatrując się przez lunetę.—Rozległ się huk potężny i jak grzmot potoczył się po górach. Przerażeni, spojrzeli ku Świnicy, skąd łoskot jeszcze dochodził, i oczom ich przedstawił się straszny i zarazem wspaniały widok. Z jednego ze skalistych szczytów tej góry obsunęła się olbrzymia masa śniegu i jak spieniony wodospad, leciała w przepaść, wlokąc z sobą mnóstwo kamieni i odłamów skalnych.

— O, co za ironia mówić o śnieżnym wodospadzie, gdy język z pragnienia przysycha do podniebienia — odezwał się Walter, ocierając pot z czoła.

— Napij się wina—rzekł baronet, podając mu flaszkę.

— Dziękuję sir, to tylko wzmaga pragnienie—rzekł młodzian, nie biorąc jej.

Cietrzew.

— Jak chcesz. Ale co tam czerni się w dole na lewo? Czy to las?

— Tak, to las w którym rosną pojedyńczo śliczne limby; las gdzie jagód soczystych ani kosówki nie brakuje, gdzie pokazują się czasem Głuszce i Cietrzewie.

Jarząbek.

— Słyszałem że trafia się i Jarząbek — wtrącił Witold.

— Oaza w pustyni..! Szkoda że zadaleko od nas.

— Jestto lepsza część doliny Pańszczyny, rzeczywista oaza w porównaniu z tą do której schodzimy, a która też bardzo właściwie zwie się Dziką doliną.

— Ale ja tu widzę u stóp naszych przed samą Żółtą turnią, nieco na lewo maleńkie zwierciadełko. Jeżeli to woda, to zdaje się być krwią zabarwiona.

— To jest Czerwony stawek tak zwany z powodu otaczających go granitów.

Przewodnik, obserwujący bacznem okiem chmurkę, na którą niedawno zwracano uwagę, rzekł naglące:

— Dalej panowie, w drogę, nie stójcie! trzeba się spieszyć, bo nas deszcz zleje.

— Gdzież to widzicie zapowiedź tego deszczu— zapytał Witold.

— Ot tam — odrzekł Wala, ukazując na chmurkę, która jak ptaszę niewinne z rozpostartemi skrzydłami, ważyła się nad nimi w powietrzu.

Witold wzruszył ramionami z niedowierzaniem, ale Jakób, znający zmienność aury w górach, nie przeczył. Przytem wiedział z własnego doświadczenia, że takie małe chmurki, podobne do rozciągniętych pasm waty, noszą ukryte w łonie zarody burzy.

— To dziwne—powiedział Jakób—przecież Babia góra dziś bez czepca!

— Babia góra widzicie, w tym roku do znaku ogłupiała—rzekł przewodnik—i nagle schwyciwszy doktora za rękę dodał szeptem:—Cicho..! zdaje mi się jakbym słyszał cupkanie kozie. Radbym aby ich ujrzeli, bo tu często kozy bywają. Ino niech się nie ruszają, bo to okrutnie płoche.

. . . przechodziło stadko kozic.

Ci co szli naprzód, także już stanęli i czekali.

— O, o, widzom ich, tam w źlebie!

Po grani Koszystej przechodziło poważnie stadko kozic. Wdzięczne ich kontury w ciemnych, sylwetkowych obrazach, rysowały się na jasnym horyzoncie. Przywódca stada, ogromny kozioł ze wspaniałemi rogami, stał w malowniczej postawie, nasłuchując. Podróżni stanęli bez ruchu, patrząc na piękne widowisko — ale Davy strącił przypadkiem kamień, który potoczył się z hałasem. Kozice spostrzegły ludzi i pierzchnęły między turnie. Przewodnik patrzył za niemi jak sadziły po głazach wzdłuż Koszystej, ogromnemi susami, i powiedział że kozic jest jeszcze w Tatrach mnóstwo i że tej zimy 17 zimowało na Giewoncie.

Na skałach zamykających zewsząd tę pustynię, miejscami bieliły się płaty śniegów, a wśród pustyni z jednej strony widać było usypisko jedno olbrzymie. Dosięgało ono grzbietu, który oddziela Koszystą, leżącą na wprost Żółtej turni, od urwistych turni Buczynowych. Ku temu usypisku wiódł ich przewodnik, gdy zeszli na dół przez morze gła-

zów. Stąpali po nich jak po zwaliskach lub dziko porozrzucanych progach, rozpalonych od słońca, które posuwało się coraz wyżej.

— Ach, istne piekło! — mruczał malarz — gdyby choć odrobina wody!

Woda szemrała między głazami wązkim sznureczkiem, miejscami chowając się pod ziemię, miejscami ukazując znowu. Witold ukląkł na ziemi i spragnionemi usty pił chciwie, a inni poszli za jego przykładem. Jeden tylko Warburton nie spieszył zaspokoić pragnienia. Rozpatrywał się pilnie dokoła i powiedział, zwracając się do Waltera.

— Tam gdzie między głazy nabił się drobniejszy zwir, kwiaty rosną i są rzadkie szmaty murawy. Pustynia ta, jak pustynia Sahara, ma swoje oazy: tam niżej jest las z kosodrzewiu. Zieloności choćby odrobina jest tak samo symbolem nadziei, jak najmniejszy skrawek błękitu.

I odwróciwszy się poszedł dalej, a Waltera serce uderzyło radośnie i szepnął do siebie.

— Dzięki Ci Boże, on mówi już o nadziei!

I patrzył za nim zamyślony, radując się, że baronet coraz bardziej odzyskiwał dawne zdrowie, humor i siły. W tem spostrzegł że sir Edward zatrzymał się, wziął fuzyę, zmierzył.. padł strzał i posypały się ze skał rumowiska, a echa dokoła jęły odgłos strzału powtarzać.

Głuszec.

Zanim Walter zdążył się spytać, do jakiej zwierzyny strzelił baronet, już przewodnik poskoczył i niósł ubitą zwierzynę. Był to Głuszec, duży piękny ptak. Otrzymał postrzał w same piersi. Henryk żałował ptaka, a Davy klaskał w ręce z radości, wołając:

— Będzie pieczyste!

Sir Edward opatrzył fuzyę, nabił ją na nowo i oddając przewodnikowi, rzekł:

— Niepotrzebnie zakłóciłem spokój tej pustyni, ale gdym ujrzał zwierzynę, zagrała we mnie żyłka myśliwska.

— Co on tu jednak robił na pustych rozpalonych głazach — zastanawiał się Witold. — Zazwyczaj głuszec lubi przebywać w kosówce.

— Toż las niedaleko — odrzekł Jakób; — głuszec jak i inne stworzenia turniowe, wie gdzie turyści zwykli odpoczywać i przychodzi szukać śladów jedzenia. W zeszłym roku ubito jednego w Roztoce.

Brzegiem usypiska, po ścieżce utorowanej obok skały, wdzierać się teraz musieli na wierzch owego grzbietu dzielącego Koszystą od Buczynowych turni. Henryk był bardzo strudzony, ale posuwał się ciągle

naprzód; Dawid gonił ostatkiem sił—tylko Walter zachęcał go ciągle do wytrwania i uspakajał. Chłopiec połykał łzy, których się wstydził i żałował po raz niewiem już który, że dał się namówić na tę wycieczkę.

— Z pewnością dostanę zapalenia mózgu—skarżył się półgłosem—głowa mię boli i pulsa biją w skroniach! Tchu mi brak!

— Wszyscy tego doznają przy wchodzeniu na góry, zwłaszcza w taki dzień gorący, jak dzisiaj- perswadował Walter.

— W gardle mi tak zaschło, że z trudnością przełykam ślinę. Czy nie ma pan czasem wina przy sobie?

— Nie mam: niezadługo staniemy na szczycie, to będziesz pił wino.

— Ach, mój Boże, ja już nie wytrzymam dłużej! Mam gorączkę z pewnością, bo mi się kręci w głowie.

— To tylko dla tego, że nie jesteś przyzwyczajony do chodzenia. Bądź spokojny, z tego się nie choruje; gdybyś nawet chwilowo zasłabł, mamy z sobą doktora.

Dawid przypomniał sobie uwagę, usłyszaną na Starej Polanie o uprzejmości malajskiej, i skrzywił się.

— Jak się wyśpisz pod gołem niebem — mówił Walter dalej— wstaniesz jutro zdrowy jak ryba. Powietrze górskie jest cudowne: człowiek nieraz upada z trudu, zdaje mu się że dalej iść nie zdoła, tymczasem chwila wytchnienia rodzi nowe siły i rozprasza ślady zmęczenia.

Dawid westchnął: właśnie spanie pod gołem niebem nie uśmiechało mu się wcale, Myślał o swem łóżku, które nigdy jeszcze nie ciągnęło go z taką siłą jak w tej chwili. Jakież ono było miękie, jakie wygodne! Ale nie bardzo miał czas zastanawiać się nad tem, bo musiał ciągle patrzeć na ziemię; jeden krok nieostrożny, a mógł stoczyć się na dół. Szli tak z dobrą godzinę; wreszcie u samej góry pochyłość zmiejszyła się i wędrowcy odetchnęli swobodniej. Jeszcze kilkanaście kroków, i oczom ich odsłonił się widnokrąg, którego piękna nie mogli w tej chwili ocenić w całej rozciągłości, bo padli prawie na ziemię wyczerpani.

Chmury targane wichrem przepływały nad nimi: po piekielnym upale, owionął ich chłód lodowy. Wiatry są nieodstępnymi towarzyszami górskich szczytów; przewodnicy więc, nie pytając podróżnych, czy chcą lub nie, wkładają im zazwyczaj serdaki, i zalecają aby się szczelnie zapinali. Nasi znajomi też ani się spostrzegli, jak zostali ubrani ciepło i pookrywani, i jak każdemu wciśnięto w rękę czarkę wina. W Dawida, gdy czarkę wychylił, lepszy duch wstąpił i obejrzał się ciekawie dokoła. Czoło jego było zlane potem, włosy przylgnęły do skroni, ale w oczach odmalowało się zdumienie i podziw.

— Jesteśmy na wzniesieniu 2,164 metrów nad poziomem morza — odezwał się Strand, ocierając jedną ręką pot z czoła, a drugą zapinając się szczelnie pod szyją, a Jakób dodał:

— W całych Tatrach niema miejsca mogącego iść z Krzyżnem w porównanie; widzi się bowiem ztąd obraz Tatr taki, jak z najwyższego szczytu, bez trudów i niebezpieczeństw, z jakiemi się wchodzi na inne szczyty. I my nie bylibyśmy ani w części tak wyczerpani gdybyśmy się tu dostali zwykłą drogą, przez Jaszczurówkę i Psią trawkę.

Warburton, przytrzymując kapelusz, który mu wiatr chciał zerwać, udał że nie słyszy tej przymówki i zrobił uwagę, że widnokrąg jest olbrzymi.

— Nawet dwa widnokręgi: ku północy na Zakopane, Podhale, Beskidy i najbliższy grzbiet Koszystej...

— W dali na Pieniny i Spiską Magorę – wtrącił Witold.

— A ku południowi na głębię Tatr... Pod stopami naszemi rozciąga się dolina Roztoki, Pięć Stawów z Siklawą, z całem ich otoczeniem i piętrzącem się naokoło pasmem najwyższych Tatr.

— A co to za kolos tam w pośrodku nad wszystkiemi piętrami gór panuje? — pytał Warburton nastawiając lunetę — pokrywają go śnieżne płaty.

— To król Tatr, Garłuch! Ztąd przedstawia się on w całym majestacie; niewiele osób zdołało wejść na jego szczyt, z którego widzieć można czterdzieści jezior.

— Wspaniały ma orszak ten monarcha, ale ileż w Tatrach jest wszystkich jezior?

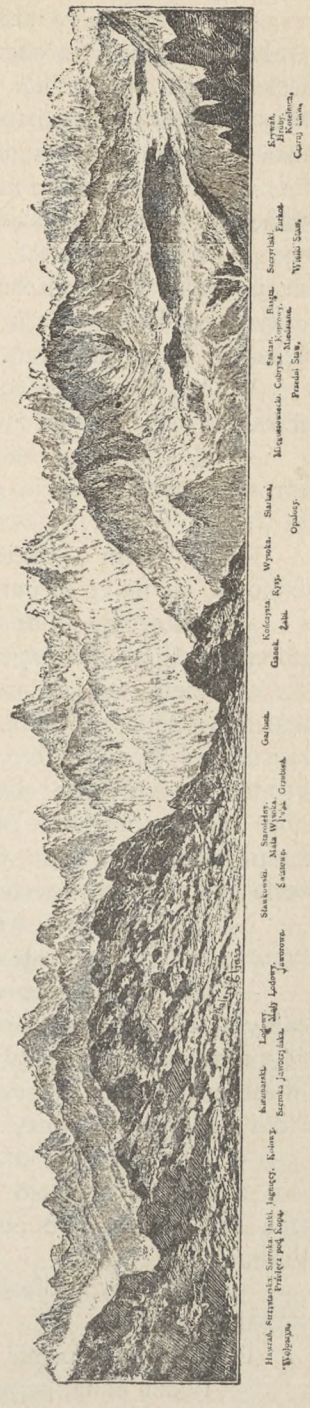

— Około stu. Liczba ich była niegdyś większa, i te które przetrwały dotąd, były obszerniejsze i głębsze. Ogromne złomy granitu zaścielają ich dna i brzegi. Otaczające je szczyty bezustannie łupią się i kruszą; sama woda ściekająca w szczeliny skał i marznąca potem, rozsadza je i czyni spustoszenia na wielką skalę. Przyjdzie czas, że te na które w tej chwili u stóp naszych patrzymy, znikną kiedyś zupełnie, jak zniknęły inne, których ślady widzimy w kotlinach gór, wskutek powolnego podnoszenia się ich dna przez sypiące się do nich odłamy skał. Górny koniec doliny Kościeliskiej, Miętusia, Mała Łąka, Kondratowa, Buczynowe, Dolina Pięciu Stawów, były niegdyś wielkiemi jeziorami większemi od dzisiejszych.

Witold, okazujący od kilku minut już wielkie zniecierpliwienie, zerwał się na te słowa i zwracając do Jakóba, zapytał:

— Mój doktorze, wiem że zabrałeś z sobą podróżną apteczkę, bo sam widziałem, jakeś ją pakował. Czy nie masz w niej czasem trochę waty?

— I owszem — odrzekł Jakób — jest wata karbolowa i gaza opatrunkowa, ale na co to panu? Czyś się skaleczył?

— Potrzebuję jej do zatkania uszów! Pan, wraz z uczonym profesorem, obaj jak puszczyki bezustannie przepowiadacie zagładę. Ilekroć wejdziemy na jaki szczyt, i serce raduje się pięknością tego świata, zaraz na wyścigi, to jeden, to drugi, wygłasza *Memento mori*. Do licha! przestańcież mówić o tem, co będzie za parę tysięcy lat i żyjcie chwilą obecną! Podziwiajcie cuda ręki Bożej, i cieszcie się że macie sposobność na nie patrzeć! Stoicie przed krajobrazem tak cudownym, jakiemu podobnych mało na świecie, słońce świeci wam jasno, niebo macie nad głowami czyste...

— Niezupełnie — wtrącił Warburton — była dotąd jedna mała chmurka, a teraz jest całe stado.

— Odrzućcie precz całą waszą wiedzę, i stańcie się na chwilę zwyczajnymi ludźmi! Oto przed wami cała potęga czarów górskiej przyrody: niebotyczne szczyty i niesłychane przepaście, rysujące się w najfantastyczniejszych liniach i kształtach, a między niemi ogromne zwierciadła stawów, niby oczy nieruchomą patrzące źrenicą.

— A jednak oczy te zamkną się kiedyś na wieki... — szepnął profesor z uporem i wpadł swoim zwyczajem w zadumę, a Witold, któremu czasem złośliwe myśli przychodziły do głowy, powiedział do Warburtona:

— Trzebaby profesora ożenić: może wtedy mniej czarno będzie patrzał na życie.

I dotykając ramienia zamyślonego, dodał:

— Budzę pana, panie Strand.

— W jakim kolorze?—zapytał Jakób, widząc że profesor spojrzał na mówiącego doń wzrokiem mętnym, jakby się ze snu przebudził.

— W błękitnym.

Uczony Strand na te słowa zmięszał się mocno i lękliwem spojrzeniem obrzucił obu przyjaciół, ale nie dojrzawszy snać nic niezwykłego, uspokoił się.

— Wieje tu lodowy wiatr—rzekł Jakób — włóżcie panowie jeszcze pledy na serdaki.

Walter zanim o sobie pomyślał, obejrzał się za Dawidem, ale ten był starannie okryty. Troska o zdrowie nie opuszczała go ani na chwilę.

— Ciekawym, dla czego tu na szczycie jest tak zimno — odezwał się Henryk, otulając się szczelnie serdakiem. Na dole był upał trudny do zniesienia, a im wyżej wstępowaliśmy, tem więcej chłód czuć się dawał.

— Bo tu promienie słońca zamało ogrzewają powietrze.

— A dlaczego ogrzewają je zamało?

— Bo jest nadzwyczaj rozrzedzone.

— Nie rozumiem. Przecież to samo powietrze jest tam na dole!

— Tak, ale tam powierzchnia ziemi ogrzana przez zetknięcie z promieniami słońca, oddaje atmosferze ciepło wzięte od niego, tak jak piec ogrzewa pokój, w którym się znajduje. Więc im dalej od ziemi, tem zimniejsze być musi powietrze.

— Przecież góra stojąca wśród atmosfery, jest też cząstką powierzchni ziemi!

— Zbyt mały to piecyk, aby mógł ogrzać dostatecznie otaczające go warstwy górne powietrza. Jej ciepło rozprasza się prawie bez śladu, i górne massy pozostają zimne. Dla tego to na pewnej wysokości, wyżej tak zwanej linii śnieżnej, leżą wieczne śniegi.

— Czy linia śnieżna wszędzie na jednej wysokości leży?

— O, nie! Na górach krajów gorących, w pobliżu Równika, bardzo wysoko; obniża się zaś w miarę oddalania się od niego, a w stronie Bieguna dochodzi do poziomu morza.

— A tutaj, w Tatrach?

— W Tatrach linia śnieżna leży w lecie na wysokości 2,000 metrów.

— Co mnie jeszcze zachwyca w Tatrach — odezwał się Warburton — to zieloność tak młoda i świeża, że choć już połowa Lipca, zdaje się że jest dopiero koniec Maja. Ale widzę, że szczyty które się tutaj schodzą, są prawie jednakowej wysokości. Krzyż jest dość prawidłowy.

— Kozi wirch i Granaty, to jedno ramię—rzekł Jakób.

— Wołoszyn i Buczynowe, to drugie ramię — dodał Witold.— Wielka Koszysta stanowi przedłużenie krzyża.

— A my stoimy w środkowym punkcie—powiedział Warburton.— Dziwne są wasze góry, moi panowie: wznoszą się one ostremi iglicami niby strzeliste wieże katedr gotyckich, chcące modlitwą przebić niebiosy; lub stoją groźne i poszarpane, niby tłum ludu, co rozdarłszy na sobie szaty, skamieniał z rozpaczy. Albo złączywszy się razem, krzyżem się kładą przed Panem, jak ten, na którym stoimy; albo biją w oczy zdaleka olbrzymim sarkofagiem ze zwłokami rycerza, jak stary Gewont w Zakopanem. Mają one swój odrębny charakter i swój wyraz. Dziwne góry i dziwny kraj?

Witold rzucił szybkie spojrzenie na Jakóba, słuchającego tych słów w zadumaniu, i szepnął:

— W tem wszystkiem co powiedział sir Edward, najdziwniejszym jest on sam właśnie.

— A to dla czego?

— Bo punkt widzenia, z jakiego patrzy na Tatry, nie jest angielski. Patrzy nie jak cudzoziemski turysta, ale jak psycholog, który odczuwa przejawiającą się w krajobrazie zbiorową duszę. Tajemniczy ten człowiek widoczniej ulega przemianie. Powiedziałbym, że pod wpływem tatrzańskiego powietrza, zaostrzyły się jego zmysły. Gdy tu przybył, był twardy jak głaz, i zdawało się że rozumie to tylko, czego się dotknie - a teraz słyszy tchnienia milionów, unoszące się w powietrzu i rozumie wymowę kamieni. Wie pan, co tu obwijać w bawełnę: on nie jest Anglikiem. Lew wielkobrytański inaczej czuje.

— Może jest Irlandczykiem!

— Ach, pan jesteś szczególniej uparty: a co znaczył ów chleb z ajerem, co żubrówka, którą częstowaliśmy go! Czy nie widziałeś, jak rozdął nozdrza, wciągając w siebie jej zapach.

— To niczego nie dowodzi.

— Mam ja jednak swój sposób, którym cię chyba przekonam uparty człowieku!

Wziąwszy teczkę, usiadł na kamieniu i zaczął szkicować kontury krajobrazu.

— Co to za wodospad tam w dole, płynący szeroką srebrną wstęgą? zapytał Warburton, patrzący ciągle przez lunetę.

— To jest wodospad najwspanialszy i największy w całych Tatrach, zwany Siklawą. Tworzy go upływ tego oto wielkiego środkowego stawu, największego także ze wszystkich jezior tatrzańskich, i spada w dolinę Roztoki.

— Widzę, widzę jak wstęga ta zwiesza się wprost z jeziora. A jak błyszczą te skały! Widzę wszędzie porozwieszane na nich tysiące nitek srebrnych.

— A, bo gdziekolwiek leży plat śniegu, tam bezustannie sączy się z pod niego woda.

Warburton nie mógł oderwać oczu od wspaniałego widoku, wreszcie odejmując lunetę od oczu i wskazując ręką na łańcuch gór, powiedział.

— Poza takim murem granicznym, ludy mogły żyć szczęśliwe i bezpieczne od wszelkiej napaści: warownia to niezdobyta. W jaki kształt układa się rzeźba Tatr?

— Na granicy między Galicyą a Węgrami, rozłożyły się w kształcie olbrzymiego łuku, wydętego lekko ku północy, góry Karpaty. W zachodniej części tego blisko półtora tysiąca kilometrów długiego pasma, Tatry panują nad całym górzystym obszarem, niby olbrzymia wyspa skalista, wynurzająca się z pośród stężałych fal wzburzonego oceanu. Rozpostarte potężnym łukiem, oparły się obiema końcami o Dunaj. Wody północnych stoków Karpat skupiły się w trzy strumienie i rozbiegły w różne świata strony: z Wisłą poszły do morza Baltyckiego, a z Dniestrem i Prutem do Czarnego. Dwie wielkie rzeki, Dunajec i Wag i wiele pomniejszych strumieni i górskich potoków, wypływają z łona Tatr spiesząc ku tym rzekom, a z niemi w dwie przeciwne strony świata, na Południe i Północ.

— Tę wyspę skalistą otaczają w kształcie dwóch wideł, cztery wielkie doliny: Dunajca, Orawy, Wagu i Popradu, przyjąwszy te cztery rzeki za granice obszaru Tatr — dodał Witold.

— Oto co się zowie mówić jasno: zdaje mi się, że mógłbym narysować mapę Tatr. Jak też wielką przestrzeń obejmuje sama ta wyspa skalista?

— Sześćdziesiąt mil kwadratowych powierzchni.

— Straszył nas przewodnik deszczem, a tymczasem nad nami ciągle jaśnieje najpiękniejsza pogoda.

— Ale tam w dolinach deszcz może padać. Znajdowałem się nieraz w Tatrach w takiem położeniu, że nademną było słońce i najpiękniejsza jaśniała pogoda, a niżej szalała burza z deszczem i piorunami, a czarne chmury czołgały się u stóp naszych. Byliśmy nad chmurami, jak duchy.

— Wrażenie być musiało niezwykłe. Ale co pan tak patrzy w przepaść?

— Widzę że Krzyżne powoli od dołu mgły obejmują.

— Prawda; gdy tu weszliśmy, nie było ich!

— Są tacy, którzy wiele po Tatrach chodząc, mówili że „mieli wspaniałe chwile przypominające stworzenie świata, a mianowicie odłączenie wody od lądów i światła od ciemności.“ Ale czy panowie widzicie że i z doliny Pięciu Stawów mgły zaczynają się wysuwać? Prze-

powiednia naszego przewodnika sprawdzać się zaczyna. Żeby tylko te mgły nie zmieniły się w ulewę i burzę!

— Dziwna rzecz jednak... w powietrzu jest cicho i spokojnie!...

— Unoszą się coraz wyżej i wyżej, zasłoniły przepaście i są już u naszych stóp. Zdaje mi się, że jesteśmy zawieszeni w powietrzu.

W tej chwili Henryk zawołał:

— O Boże, co się dzieje, patrzcie, patrzcie!

Nad niemi był błękit jasny, czysty, i słońce w całym blasku promieni, a dokoła, jak daleko okiem zasięgnąć, na wszystkie strony, białe, równe, nieprzejrzane morze mgły. Ani śladu dolin lub gór—tylko z morza tego sterczały granitowe szczyty, niby wyspy wynurzające się z głębi fal. Szczyty szare, ciemno-błękitne, szafirowe, odrzynały się ostro, cudownie odbijając od opalowych fal. Zdawało się, że na tem morzu bezbrzeżnem lada chwila pojawi się okręt z rozpuszczonemi żaglami.

— Ach!—zawołał w uniesieniu Witold—brakuje tylko łodzi i wiosła. Co za cudowne zjawisko!

Nikt nie odpowiedział: wszyscy skamienieli. Mowa ludzka za słaba jest na wyrażenie dzieł Bożych w całej ich wielkości i potędze! Walter patrzał na Warburtona. Kamienny ten człowiek miękł. Morze mgieł porywało go ku sobie gdzieś w bezgraniczny przestwór. Coś go ciągnęło, aby się puścić na jego fale. Wreszcie odezwał się:

— Możemy sobie powiedzieć, że i my przeżyliśmy taką chwilę jak przy stworzeniu świata!

Dawid patrzał, a w twarzy jego widać było zdumienie i podziw. Dusza jego uśpiona, przebudziła się.

— Ale tu jest zanadto wietrzno — rzekł Warburton, otulając się bardziej, gdy mgły opadać poczęły. — Zejdźmy cokolwiek niżej.

Punkt zetknięcia się tych szczytów na Krzyżnem, jest równinką około 300 kroków obejmującą. Poniżej równinki, w zagłębieniu osłoniętem od wiatru, stoi szałas sklecony z desek, gdzie podróżni zazwyczaj odpoczywają i nocują. Była tam już przygotowana herbata: nalewano ją właśnie. O kilkanaście kroków od szałasu, przy ognisku z kosówki, Jerry piekł polędwicę zabraną z Zakopanego, i gdy panowie schodzili ze szczytu, oznajmił z powagą, że podano do stołu. W miejscu osłoniętem skalistą granią, na rozłożonym obrusie było kompletne nakrycie na sześć osób. Zabrano się do jedzenia, a choć nie stało sałaty z Lodowego potoku, jednakże pieczeń smakowała bardzo zgłodniałym turystom. Zastąpiła sałatę musztarda.

Przy jedzeniu mówiono o potrawach spożywanych pod różnemi szerokościami geograficznemi, i upodobaniach cechujących różne narody.

Warburton oświadczył, że najprzedniejszem podług niego pieczystem, jest mięso Lwa, zwłaszcza młodego. Probował też mięsa Tygrysa, ale jest twarde i łykowate. Indyanie jednak spożywają je chętnie, wierzą bowiem że daje ono spożywającym zręczność i siłę tego zwierzęcia. Strand odezwał się na to, że Indyanie i plemiona afrykańskie jadają za przysmak mięso Słonia, i zapytał sir Edwarda, czy w czasie swego w Indyach pobytu, nie spotkał się z tą potrawą.

— Owszem—odparł Warburton—spotykałem się nieraz, ale zapewniam pana, że jest twarde i niesmaczne; przedziwnym za to smakiem odznacza się galareta z nóg słoniowych. Powiem jednak, że z potraw egzotycznych, najpodobniejszem jest do wołowiny i wieprzowiny zarazem, mięso Nosorożca. Polowałem na te zwierzęta na bagnach indyjskich, gdzie przeważnie żyją, karmiąc się roślinami. Co jednak szczególniejszem powodzeniem cieszy się u nas w Anglii, to mięso Kangurów. Przywożą je do nas z wyspy Tasmanii i Nowej Holandyi. Jeżeli panowie raczycie odwiedzić mnie kiedy w zamku Rochdale, poczęstuję was zupą z ogonów kangurów, jest bowiem wyborna, oraz mięsem Foki, które choć z pozoru niezbyt apetyczne, bo cokolwiek czarniawe, zaleca się wielką strawnością i pożywnością.

— O — rzekł Strand, krzywiąc się — czego też ludzie nie jadają! Zoolog Wallace zaleca potrawę z mięsa małpiego, i porównywa je z zającem, a we Włoszech i na Florydzie jadają słowiki pieczone; potrawki z krasek i kosów, uchodzą tam za przysmaki najwykwintniejsze, jak niegdyś za czasów Nerona. Chińczycy nie są wybredni w jedzeniu; koty, psy, jastrzębie, orły, sowy, bociany, szczury, myszy polne i węże, stanowią ich pożywienie; jedzą też robaki, gady i płazy, które służą również za lekarstwo.

— Psie mięso stanowi jednak u nich największy specyał — przerwał Warburton—i w istocie ma ono smak bardzo delikatny.

Witold, słuchający Anglika z coraz większem zdziwieniem, szepnął do Jakóba:

— Ten człowiek obszedł całą kulę ziemską... prawdziwy „Żyd wieczny tułacz!“ Wiesz pan co? Mnie się zdaje, że legendowy Ahasverus, co od śmierci Chrystusa Pana przebiega ciągle ziemię, nigdzie nie mogąc znaleść spoczynku, to on!

— W każdym razie zamiłowany podróżnik. Słyszałeś, że nie wzdragał się żadnych potraw próbować, a fakt, że zajadał ze smakiem chleb z ajerem i chłodnik litewski, naprowadziły cię na nieprawdopodobne domysły.

— A jednak ja stoję przy swojem, i przyrządzę mu potrawę, która...

— O czem panowie mówicie?—zapytał baronet.

— Witold wyznał mi, że zna się cokolwiek na tajemnicach sztuki kulinarnej, i obiecuje nam dać dowody swego talentu.

— Ach i owszem; prosimy bardzo! Może pan przyrządzi nam deser?

— Dobrze, ale dopiero przy Morskiem Oku.

— Niech i tak będzie.

— Mniejsza o deser — rzekł Strand — ale przydałaby się bardzo filiżanka czarnej kawy.

— Rad jestem, że mogę w tej chwili spełnić pańskie życzenie — rzekł Warburton uprzejmie. — Mój Jerry umie ją wybornie przyrządzać: nauczył się tego, towarzysząc mi w licznych podróżach po Wschodzie. Pijam ją często, bo przekonałem się, że najlepiej podnosi strudzone siły i krzepi. Gotuje on ją po turecku, razem z cukrem i przekonacie się zaraz panowie, jak wyborny ma smak i aromat.

Gdy to mówił, wiatr przyniósł podróżnym zapach najprzedniejszej mokki, a Jerry zjawił się z tacką, na której było sześć maleńkich filiżaneczek, i z maszynką — a podając kolejno, każdemu nalewał z osobna. Maszynka miała kształt lejka, szerokim otworem odwróconego do góry—i gdy się wszyscy temu dziwili, Warburton wytłómaczył, że idzie właśnie o to, żeby się kawa nie ustawała, tracąc przytem aromat, i dla tego nalewa się wraz z gąszczem, który ustawa się dopiero w filiżance.

— Kawa powinna mieć trzy przymioty — dodał: — być czarną jak smoła, gorącą jak piekło i słodką jak miód.

— W istocie, przyznać muszę, że tak aromatycznej jeszcze nie piłem—powiedział Strand, z widoczną pijąc przyjemnością.

Jerry podał cygara i zapytał swego pana, czy każe rozbić namiot.

— Zależy to od tego, gdzie będziemy nocowali — odpowiedział.— Czy panowie zgadzacie się na nocleg w dolinie Pięciu Stawów?

— Co do mnie, nie mam nic przeciwko temu — odrzekł Jakób— chociaż szkoda, że nie zobaczymy ztąd wschodu słońca.

— A co do mnie, sir, powiem że noc w dolinie Pięciu Stawów jest straszna — dodał Witold.—Panująca tam cisza i groza, niezbyt miłe w dzień czynią wrażenie, a cóż dopiero w nocy!

— A pan, panie Strand?—zapytał, zwracając się do profesora.

— Zgadzam się na wszystko, co panowie postanowicie.

— A więc zanocujemy tutaj — rzekł baronet. — Czasu przed sobą mamy dosyć. Nikt nas nie goni, ani nikt nie czeka... Używajmy więc w pełni tej rozkoszy, jaką nam daje chwila obecna. Podziwiajmy widowiska dawane nam przez naturę, i wsłuchujmy się w jej odgłosy! Mamy namiot i szałas, mamy żywność, wino, przyjemne towarzystwo, mamy nawet orkiestrę i tancerzy, i możemy na prędce bal urządzić.

Mamy doktora, na wypadek, gdyby który z nas zachorował; malarza, który może nas malować i uczonego, który nam będzie wszystkie zjawiska przyrody tłomaczył. Słowem, mamy wszystko co nam potrzeba, i więcej nawet!

— Czy wasza Miłość nie czuje się zmęczonym?

— Czuję znużenie, ale nie jestem wyczerpany. Może dla tego, że chodzę wolno i odpoczywam stojący: nie jak wy, co idziecie prędzej odemnie, ale za to często siadacie, lub jak profesor, odbywający ciągle awanturnicze wycieczki. Trzymam się przysłowia, które tu w Zakopanem posłyszałem: „Kto oszczędza nóg z rana, zyskuje drugą parę nóg wieczorem“.

Tak spoczywając i rozmawiając, trochę chodząc po trzech ramionach Krzyżnego, doczekali się zachodu słońca i podziwiali efekta świetlne. Szczyty gasły jeden po drugim, ale na zachodzie długo się jeszcze paliły w purpurze, a potem w łunie pomarańczowej, która powoli rozlała się w morze ogniste. Po tem morzu, stada prześwietlonych obłoczków pływały, jak stada mew szybujących za okrętem, a na wschodzie rysował się już blady sierp księżyca w orszaku gwiazd zaledwie widocznych. Dopiero gdy na zachodzie ostatnie promienie zagasły, mewy rozpierzchły się, a gwiazdy zaczęły ostro migotać. Podróżnicy śledzili jeszcze mgły, zaciągające wartę w dolinie Pięciu Stawów, aż je mroki zaległy wypełniwszy szczeliny i załomy skał. Wśród ciemności, jaskrawo odbijał żywy płomień ogniska, podsycanego kosówką.

Górale pokończywszy wszystkie przygotowania do noclegu, obsiedli ognisko, a sylwetki ich wyraziste, rysujące się w czerwonem świetle płomienia, śmiałe, buńczuczne, mogły stanowić przedmiot do obrazu. Gwarzyli oni między sobą o tym posępnym gościu zamorskim, co szukał po górach marnego kwiatka. Ale że płacił dobrze, że im do herby dolewać kazał araku, więc szli z nim chętnie, i szliby na koniec świata.

Ogień przygasł, goście powiedzieli baronetowi dobranoc i opuścili namiot, a górale dołożywszy kosówki, jeden po drugim pozawijali się w czuhy, obrócili plecami do watry i posnęli. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że po trudach całodziennej wycieczki zasypiają twardo. Górale śpią czujnie: bo jeżeli ogień przygaśnie, budzą się wnet i dorzucają kosówki.

Profesor, oraz Walter i Dawid nocowali z baronetem w namiocie, reszta w schronisku.

Spinka góralska.

XXI.

ZACZAROWANE KLEJNOTY.

„Gra w pozłocie zielonawej,
Roztoczony wachlarz gór.
Błękitnieją na niej stawy
Jakby oczy pawich piór."
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

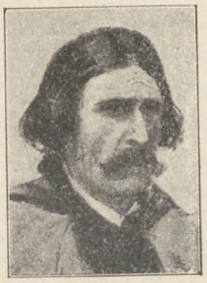

Tatar, przewodnik.

Gdy Warburton nazajutrz obudził się i wyszedł z namiotu, na niebie błyszczały jeszcze gwiazdy, we wszystkich zagłębiach skał i dolinach było szaro, a mgły i opary czołgały się nizko po ziemi i stawały po kątach niby duchy ciemności. Tylko od strony Koszystej wstawała jasność jakaś blada, opalowa, a za nią szedł brzask bramujący złotem brzeżki obłoków i rozlewał się coraz szerzej po niebie.

Na mchu leżał gruby szron, a chłód był tak ostry, że Warburton aczkolwiek wytrzymały na zimno, sczelniej się pledem osłonił. Taki sam szary był świt i takie niebo gwiaździste i taki szron na liściach, przed wielu, wielu laty, w owym pamiętnym dniu, gdy opuszczał dom rodzinny w tajemnicy przed rodzicami przekradając się cicho jak złodziej przez dziedziniec, z tłomoczkiem na plecach, żeby go kto nie zobaczył, aż do płotu, gdzie czekał na niego jego przyjaciel — tak samo jak on, rzucający chatę rodzinną.

Tyle od tego czasu widział wschodów słońca, tyle przeżył — i niewiadomo czemu dziś właśnie tak żywo stanęło mu to przed oczy... I dla czego? O, te wspomnienia!

A brzask rozlewał się coraz szerzej, pobladły od niego gwiazdy, pobielały opary i poczęły się odsłaniać wnętrza dolin, których boki ciemnym pokryły się szafirem, a szczyty zbłękitniały.

Zarumienił się szczyt Gerlachu, jakby go kto we krwi umaczał i zaczęły po nim przebiegać drżące światełka: za Gerlachem jak za królem Tatr, jęły czerwienić się końce wszystkich iglic, niby pochodnie zapalające się kolejno, a przebijające po nich drżące blaski, malowały na różowo wielkie płaty śniegów. Pożar ogarniał szczyty coraz szerzej i szerzej, a trzy zwierciadła stawów błyszczały jak klejnoty. Słońce w palecie swojej dla każdego inne barwy znalazło: jedno błyszczało jak srebro, drugie jak szmaragd, a trzecie jak szafir. Odsłoniły się wszystkie gór tajemnice: cała dolina Pięciu Stawów widna była jak na dłoni, i rozlała się po niej łagodna niebieskość.

Z zadumy zbudziło Warburtona głośne ziewnięcie: odwrócił się: stał za nim profesor w serdaku, okryty derką, w którą udrapował się zamiast pleda.

— Dzień dobry, sir—przemówił drżąc—dyablo zimno! Założę się, że musi być kilka stopni mrozu. Jaki obfity szron wszędzie!

— Słońce go roztopi i ogrzeje nam prędko powietrze. Patrz pan jak brzask posuwa się coraz dalej. Ale co pan tak drżysz?

— Ach, bo jestem pod wrażeniem większego jeszcze zimna w jakiem przebyłem noc całą. Byłem na lodowcu!

Sir Edward spojrzał na profesora zaniepokojony; Strand uśmiechnął się.

— Jestem zupełnie przytomny—rzekł tonem uspokajającym— ale miałem sen, sen piękny, wspaniały! Widziałem Tatry w epoce lodowej.

— Aa, to ciekawe!

— Góry pokryte były śniegiem i lodem, a słońce wschodzące jak teraz oto, miało promienistą aureolę, niby zorza północna. Góry te pozbawione były wszelkiego życia: wśród turni panowała grobowa cisza, której nie przerywały nawet szumiące po skałach strumienie; miejsce ich bowiem zajmowały lodowce. Na wszystkich piętrach dolin nie było stawów, najpiękniejszej Tatr ozdoby, tylko z pod ostatnich krańców lodników wybuchały strumienie zamąconej startem materyałem moreny podstawowej [1]). Na niższych pasmach zieleniły się lasy iglaste, wśród których żyły stada kozic, jeleni, sarn, dzików, Po wysokich miejscach Reny skubały mchy, a w jaskiniach i u brzegu lasów czaiły się drapieżne zwierzęta, jak niedźwiedzie i wilki jaskiniowe, lisy polarne

[1]) Odłamy skał tworzące na lodniku pasy i wały, i posuwające się z nim razem w dolinę.

i koty dzikie. Między niemi przebiegały tu i owdzie zające alpejskie, norniki i od czasu do czasu słychać było odzywające się przeciągle świstaki.

— A gdzież był pański Branchiopod? Czy nie objawił się panu we śnie?

— Na lodowcu, naturalnie, ale nie mogłem go dojrzeć. Przeczuwałem tylko.

— A człowiek? Czy nie widziałeś go pan wcale?

— Owszem, krył się w jaskini, odziany skórą niedźwiedzia, lub z kawałkiem skały w ręku polował na dzikie zwierzęta. Widziałem jednego, jak siedząc przy rozpłatanym dziku, wydobywał szpik z rozłupanej kości i zajadał jako największy przysmak. Ale co za przenikliwe zimno!

— Okryj się pan lepiej; niezadługo już słońce posunie się wyżej i cieplej nam będzie. Nie dziwię się teraz że pan tak zmarzłeś, gdy wiem, że powracasz z epoki lodowej. Ale gdzież to nasi górale?

— Widziałem ich na dół biegnących po smereczynę, to i przy ognisku niezadługo rozgrzać się będzie można. A jak to herbata smakuje w takich okolicznościach! Ach, to nektar prawdziwy, którego nic zastąpić nie zdoła. Gdzież to Walter i Dawid? Czy nie wstali dotąd?

— Śpią jeszcze; nie budziłem ich, bo bardzo pomęczeni. Nasi towarzysze z szałasu także jeszcze nie nie wstali, i my tylko sami jesteśmy świadkami tego wspaniałego wschodu słońca.

— Myślałem że będę pierwszym, a pan mnie uprzedziłeś, sir. Ale co to jest, ktoś śpiewa!

Z rozpadliny położonej o kilkadziesiąt stóp niżej wydobywał się głos chłopięcy, głos miły dźwięczny i łagodny. Śpiewaka nie było widać, tylko śpiew płynął w powietrzu.

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądz pochwalon Boże wielki,“

Warburton mocniej pledem się otulił: Strand zauważył, że zadrżał. Obaj zwrócili się mimowolnie w stronę skąd śpiew pochodził, i zobaczyli że górale wracający z pęczkami smereczyny, poklękali przy szałasie i poodkrywali głowy. Śpiew teraz zabrzmiał chórem:

„A człowiek, który bez miary,
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił!“

Warburton uległ halucynacyi: wydało mu się że słyszy głos sygnaturki wiejskiego kościołka, wzywający na mszę poranną—z nad łąk i stawów odzywające się głosy fujarek pastuszych i klekot bociana, ą po nad topolami leci stado dzikich gęsi. Zobaczył zieleniejące się łany zboża i krzyż przy drodze.

— Jaki ten sir Edward niewytrzymały na zimno— myślał Strand, przypatrując wu się:—pobladł nawet trochę.

Baro et zwrócony ciągle w stronę skąd śpiew pochodził, patrzył szklanym wzrokiem w przestrzeń, a głos oddalał się coraz więcej, aż ucichł zupełnie.

Goryczka przejrzysta, *Gentiana fridiga.*

— Wczoraj, gdy pan strzeliłeś do głuszcza, ze szczytu Żółtej turni nad doliną Pięciu Stawów, echa długo grały, powtarzając odgłos strzału.

— A tak— odzekł baronet, budząc się jakby ze snu. Możemy się o tem przekonać: przyniosę panu fuzyę.

I wszedł do namiotu, a Strand patrząc za nim, rzekł do siebie:

— Temu człowiekowi coś jest.

Henryk oczarowany widokiem wschodu słońca i orzeźwiony rannem wstaniem, schodził coraz niżej po pochyłości Wołoszyna, upatrując róży bez kolców. Przypatrywał się mchom i porostom barwnym, na których leżał szron. Wziął z sobą puszkę pana Jakóba i kładł do niej napotkane rośliny, chcąc zrobić przyjemność swemu przyjacielowi. Jakoż poszczęściło mu się: znalazł Goryczkę przejrzystą, której duże, żółtawo-białe korony, ozdobione były błękitnemi paskami.

Mech od szronu błyszczał milionami dyamentów, a widok ten przypomniał chłopcu wszystko co słyszał o skarbach chowanych przez zbójników w rozpadlinach skał, o drogich kamieniach które garściami brać było można, o „dukatach mierzanych kotliczkiem“. Wyczytał gdzieś, że Staszyc jeszcze twier-

dził, iż górale przechowywali między sobą pisma, w których wyraźnie oznaczone były miejsca, gdzie skarby takie odnaleść było można —oraz że pisma te przekazywali z pokolenia w pokolenie.

— O, gdyby mi się udało znaleść taki skarb — myślał chłopiec— jakże byłbym szczęśliwy! Bieda raz na zawsze opuściłaby nasz dworek, a dziadunio popłaciłby długi i rozpogodziłby czoło wiecznie zasępione i stroskane.

Wtem zdało mu się, że spostrzega jakieś znaki na wystającym załomie skały mocno spękanej, jakieś hieroglify. Serce mu zabiło; zbliżył się i usiłował odgadnąć, czy to znaki zrobione ręką ludzką, czy też przypadkowe, pochodzące od spękania. Tak, to chyba znaki—jakieś trójkąty, jakieś hieroglify!... Kto wie, a może tu jest skarb ukryty, może tu gdzie znajduje się jaka rozpadlina!

Rozpadlina była jeszcze niżej, tuż pod granią, a mech rosnący tam obficie i nie zgnieciony, dowodził że nie dotykały go stopy niczyje, ani ścieżki nie było w pobliżu. Słońce świeciło wprost w tę rozpadlinę. Henryk położył się na ziemi, zapuścił wzrok i o mało nie krzyknął z radości i zachwytu. W rozpadlinie było pełno szmaragdów i dyamentów, tylko po nie sięgnąć!

Wyciągnął drżącą rękę, ale co to jest? Czary chyba! Zjawisko znikło, jak tylko padł na nie cień ręki. Zmięszany, cofnął się i patrzał znowu: drogie kamienie były na dawnem miejscu, skrzyły się tysiącem blasków i wabiły kusząco, a były tak blisko, tak blisko! Zapuścił znowu rękę, ale wydobył tylko garstkę mchu zroszonego obficie, nic więcej. Ogarnęło go przerażenie.

— To jakieś zaczarowane klejnoty — szepnął — skoro za dotknięciem mej ręki zamieniają się w prosty mech. Albo też to sprawa ducha nieczystego! Dziadunio zawsze powtarza, że tylko zapracowane pieniądze, nabyte są uczciwie i że innych dotykać się nie godzi; a ja chciałem łatwo się wzbogacić i korzystać ze skarbów pochodzących z nieczystego źródła, zdobytych może kosztem krwi ludzkiej, wydartych gwałtem i przemocą!

Ale choć strach zabobonny go ogarnął, ciekawością niepowściągnioną wiedziony, zapuścił znowu wzrok w rozpadlinę. Skarby znajdowały się na dawnem miejscu.

— To już napewno sprawa złego ducha—szepnął i przeżegnał się.

W tem posłyszał przerażający świst, który już słyszał raz na szczycie Bystrej, i głos żałosny:

— Kia! kiach!

Jednocześnie jakieś ogromne skrzydła zaszeleściały w górze i spostrzegł duży cień nad sobą; nie zdołał jednak podnieść głowy, bo

coś spadło nań jak piorun i jakieś szpony wbiły się w skórę jego serdaka, włosem odwróconą do góry.

Straszny krzyk wydobył mu się z piersi. W pozycyi w jakiej się znajdował, leżąc twarzą do ziemi, nie mógł się nawet bronić. Instynktem wiedziony, wysunął ręce w tył chcąc zostawić serdak na pastwę, ale ostre szpony wbiły mu się przez futro w ubranie i kaleczyły ciało. Krzyczał więc tylko z całej siły, czując że olbrzymie skrzydła zaczęły się poruszać, że ptak usiłuje unieść go w powietrze.

. . . Ogromne skrzydła zaszeleściały w górze.

Ale w tejże chwili padł strzał. Henrykowi zamroczyło się w oczach i stracił przytomność.

Warburton nimo swoich sześćdziesięciu kilku lat, biegł z góry jak młodzieniec z dymiącą fuzyą w ręku, a za nim towarzysze podróży i górale. Nad samym brzegiem przepaści, o dwa kroki od niej upadł orzeł, trzymając jeszcze w szponach zemdlonego chłopca.

— Gdyby strzał pański spóźnił się o kilka sekund, byłoby już zapóźno — przemówił Jakób, nie śmiejąc powiedzieć sobie, że już jest zapóźno. Chłopiec miał głowę skrwawioną, padając uderzył o kamień — a myśl, że panna Katarzyna z ufnością powierzyła go jego opiece, przejęła go dreszczem trwogi.

Oswobodził go ze szponów ptaka—który w pierś trafiony, konał powoli, patrząc gasnącym wzrokiem na słońce—i uklęknąwszy przy Henryku, rozpiął ubranie, przyłożył ucho do piersi i rzekł:

— Żyje!

Potem obejrzał go starannie na wszystkie strony i oświadczył że nie ma nic stłuczonego, a rana na plecach z której sączyła się krew i skóra rozcięta na głowie, były nieszkodliwemi skaleczeniami. Zawołał o wodę i bryzgnął mu kilkakrotnie na twarz.

Chłopiec otworzył oczy: pierwszą osobą na którą padł wzrok jego, był Anglik. Henryk popatrzył nań zamglonemi oczyma; nie odzyskał jeszcze przytomności i nie wiedział gdzie się znajduje — wydało mu się że jest na wsi, w Miratyczach. Skinął ręką, a gdy baronet pochylił się nad nim, objął go za szyję i szepnął:

— Oh, dziaduniu, żeby dziadunio wiedział, jaki ja miałem sen okropny! Śniło mi się... Ach to pan, sir Edwardzie, przepraszam pana!

Drobne ręce opadły, a oczy chłopca zamknęły się znowu. Zemdlał powtórnie.

Oblicze baroneta zmieniło się w jednej chwili. Śpiżowy ten człowiek poruszony był do głębi, a choć te słowa wymówione były w obcym dla niego języku, serce zmartwiałe uderzyło mu pod dotknięciem dziecinnej pieszczoty. Wyprostował się i patrząc na doktora, rzekł:

— Uderzenie jednak mogło być silniejszem niż się panu zdaje: Czy nie obawiasz się pan wstrząśnienia mózgu?

— Zdaje mi się, że tego niema: jest tylko stłuczenie, w połączeniu z wielkiem wzruszeniem nerwowem. Uszkodzeń żadnych; puls nieco podniesiony, ale serce funkcyonuje dobrze. Przytomność jest, skoro pana poznał, chociaż omylił się na razie. Jutro będzie zdrów.

I wziąwszy powtórnie wody, bryzgnął mu znowu w twarz kilkakrotnie. Za każdym razem chłopiec wstrząsnął się, wreszcie otworzył oczy, powiódł dokoła wzrokiem przytomnym i przypomniał sobie wszystko. Usiłował się podnieść, ale nie mógł. Baronet podłożył mu rękę pod plecy i oparł jego głowę na swych piersiach.

— Dziękuję—rzekł—jaki pan jesteś dobry, sir!

— Przytomność zupełna, nie będzie mu nic — rzekł stojący przy nim Witold.

— Jak to było?—zapytał Henryk po chwili—czy ja spadłem?

— Niby tak?

— A co się stało z orłem?

— Leży u twych stóp, sir Edward go zastrzelił.

— Uratował mi życie — szepnął chłopiec i serce zabiło mu gorącą wdzięcznością. Chciał się odwrócić, żeby spojrzeć na baroneta, ale nie mógł—i poruszywszy się, jęknął.

— Czy boli cię co?—zapytał doktór.

— Boli mnię trochę ręka lewa i głowa, ale czuję, że to nic wielkiego!

— No, to jesteś zuch!

Henryk uśmiechnął się. Na żądanie Warburtona przeniesiono go do jego namiotu. Chłopiec chciał iść o własnych siłach, ale nie mógł utrzymać się na nogach i o mało nie zemdlał znowu. Gdy już leżał na łóżku sir Edwarda, doktór opatrzył mu rany, zrobił kompres i dał kieliszek tokaju, zaleciwszy żeby postarał się zasnąć, co też wkrótce nastąpiło.

Warburton siadł w nogach posłania chłopca i zagłębiwszy palce w skrętach swej brody, jak to było jego zwyczajem, w głębokich myślach się pogrążył. Badał on sam siebie: stało się z nim bowiem coś dziwnego w chwili, gdy ręce dziecka objęły miłośnie jego szyję. Pancerz lodowy pokrywający jego serce, pękł. Czuł że mógłby pokochać tego chłopca głęboko, namiętnie, że już go kochał nawet, że mógłby rozpocząć nowe życie, gdyby... gdyby... to dziecko mógł mieć na osłodę dni swoich. Tak, gdyby... ale wiedział dobrze, że to jest niemożebnem.

Patrzał na podkrążone oczy, na które długie rzęsy rzucały jeszcze większy cień, na twarz bladą, ściągłą, na małe delikatne usta, zaciśnięte wyrazem znamionującym siłę woli—i dopatrzył podobieństwo do swojego syna, gdy ten był jeszcze pacholęciem. A im więcej patrzał, tem więcej znajdował tego co chciał znaleźć... Gdyby mu go oddano, zrobiłby go dziedzicem Rochdale i jednym z najpierwszych panów Anglii: jego idee, zamiary, znalazłyby spadkobiercę. Ale nie dadzą mu go, to pewna, i umrze jak żył, samotny...

Białe delikatne czoło Hernyka tak szlachetne miało zarysy, taką tchnęło słodyczą, że Warburton, który nie znał słabości, nie mógł powściągnąć chęci przesunięcia ręką z pieszczotą po jego gęstych, bujnych włosach. Chłopiec poruszył się i uśmiechnął przez sen, ale się nie obudził.

U drzwi namiotu stanął profesor i chciał coś mówić, ale Warburton położył palec na ustach, wskazując na chłopca i podszedł ku niemu.

— Sir—rzekł Strand z ożywieniem, a na twarzy miał gorączkowe rumieńce — dowiedziałem się, że Branchiopod znajduje się w stawie Dwoistym pod Kościelcem.

— Doprawdy? — zapytał Warburton, daleki myślą w tej chwili od wszystkich skorupiaków.—Więc cóż pan zamierzasz przedsięwziąść?

— Zabieram z sobą dwóch górali i idę natychmiast. Co za szczęście, że spotkałem przyrodnika, idącego tędy do Morskiego Oka! I pomyśleć, że byłem tak blizko Branchiopoda przy Czarnym Stawie! Bo wie pan, ten Dwoisty jest w dolinie Stawów Gąsienicowych. Jest ich tam pięć, o czem nam wtedy mówili przewodnicy. Chciałem tam iść przecież, aleście mi odradzili. Żałuję żem uległ: nie przeczuwałem, że znajduję się tak blisko tego, czego szukam.

— W istocie, to dziwne—rzekł, uśmiechając się baronet.

— Wszystko wynikło z nieporozumienia. Przewodnicy mówili mi, że w tej dolinie jest aż pięć stawów, a ja myślałem, że Czarny Staw jest jednym z pięciu w dolinie Pięciu Stawów. A to dlatego, że zgubiłem gdzieś moją mapę.

— Zgubiłeś ją pan?

— Ach — rzekł, machnąwszy ręką, a w myśli dodał: — wszystko przez tę przeklętą wstążkę!

— Więc kiedyż pan powrócisz?

— Nad wieczorem, jeżeli mi nie wypadnie tam zanocować.

— Mamy więc czekać na pana?

— Eh, nie, bobyśmy się wzajemnie krępowali. Spotkamy się przy Morskiem Oku.

— Weźże pan z sobą dostateczną ilość żywności na dwa dni, dla trzech ludzi. Niech Jerry pana we wszystko co potrzebne, zaopatrzy. Pamiętajcie przedewszystkiem o koniaku.

— Już ja sam będę o wszystkiem pamiętał. Do widzenia.

— Do widzenia—rzekł Warburton i spuściwszy zasłonę namiotu, usiadł napowrót.

Ale szelest obudził Henryka. Otworzył oczy, i widząc że ktoś jest przy nim, a nie mogąc rozeznać rysów z powodu zmroku panującego w namiocie, zapytał:

— Kto tu jest?

— Ja—odpowiedział baronet—czy boli cię co?

— Boli mnie tylko jeszcze głowa. Czy ja długo spałem?

— Z godzinę.

— Więc pan nie odchodził odemnie wcale?

— Siedziałem przy tobie, Harry.

— Jakiż pan dobry! A ja winienem panu życie... Gdyby nie pan, orzeł byłby mnie uniósł i poszarpał w kawały, albo też roztrzaskałbym głowę o skały.

— To bardzo prawdopodobne, mój młody przyjacielu: jesteś taki szczupły i lekki, że mógłby cię unieść.

— Jak ja się panu odwdzięczę? Od dwóch tygodni szukam wszędzie róży bez kolców, ale jej dotąd nie spotkałem. Gdybym ją mógł zdobyć dla pana! Jestem pańskim dłużnikiem... Co mam zrobić, żeby choć część długu spłacić?

— Jeżeli ci już tak bardzo idzie o to, żeby mi nie być dłużnym, to ..

Warburton zawahał się.

— To co? — zapytał chłopiec — co? niech pan powie, niech mnie pan nauczy, co mam robić!

— Uściskaj mnie.

— Z całego serca, sir!

Usiłował się podnieść, ale Anglik pochylił się nad nim; chłopiec zarzucił mu ręce na szyję, tuląc twarz gorącą do jego twarzy, a starzec przycisnął go do piersi namiętnie. Czuł przy sercu swem bicie dziecięcego serca i zapomniał o wszystkiem. Ale po chwili opamiętał się i odsunął go zlekka od siebie, mówiąc:

— No, dosyć: leż teraz spokojnie!

A gdy Henryk usłuchał, Warbuton zmienił mu okład i usiadłszy przy nim rzekł.

— Profesor Strand opowiedział mi dziś swój sen: widział Tatry w epoce lodowej. A tobie, Harry, czy śniło się co dzisiaj?

— W nocy nie, ale teraz mi się śniło.

— O czem.

— O domu.

— Opowiedz mi jak to było.

— Dobrze: ale szkoda, że pan nie rozumie po polsku, bo mi jest trudno wyrażać się w obcym języku.

— Nic nie szkodzi, mów jak umiesz.

— Śniło mi się, żeśmy z babunią Kasią wracali do domu: bryczka zajeżdża przed ganek, furman trzaska z bata. Wybiegają wszyscy: gospodyni, stary włódarz Antoni i wołają:—Przyjechali! Wreszcie dziadunio wychodzi w szlafroku, z fajką w ręku. Ach, co było radości! Mój dziadunio jest tego samego wzrostu co pan, i ma także brodę, a nawet, nawet trochę podobny.

Wsparł się na ręku i przypatrywał chwilę Anglikowi. Zawsze mu się wydawało, że dostrzega w nim jakieś rysy znajome, że jest do kogoś podobny, ale teraz dopiero nagłe światło rozświeciło jego umysł. On jest podobny do dziadka! Rysy jego miały ten sam charakter twardy i nieugięty—ta sama zaciętość w składzie ust i ich zaciśnięciu, te same wypukłości nad oczami. Tylko że ten ma włosy rudawe, napół ze srebrnemi pomieszane nitkami, a tamten zupełnie już białe. W wyrazie twarzy tego przeważała wyniosłość i duma, a w twarzy tamtego smutek i troska. Ten trzymał się prosto, a tamtego przygarbiły nieszczęścia swoje i cudze, praca i ubóstwo.

— Cóż dalej?—pytał Anglik.

— Dziadunio zaprowadził nas do jadalnego pokoju, i zasiedliśmy do stołu, a przy tem nakryciu, gdzie zawsze stoi puste krzesło, siedział jakiś pan z twarzą zasłoniętą jedną ręką.

— Co mówisz o nakryciu „gdzie krzesło zawsze stoi puste?“ Co to znaczy?

Chłopiec zawahał się.

— Widzi pan, mój dziadunio miał brata, który bardzo, bardzo dawno zniknął z domu i nigdy nie wrócił. Otóż... zawsze się spodziewa,

że on wróci i każe kłaść dla niego nakrycie. Ludzie mówią że to dziwactwo, ale dziadunio trwa przy swojem.

Warburton bardzo się zamyślił.

— I przyszła stara Urszula, co wypiastowała obydwóch dziadków i babunię Kasię, i bardzo była przywiązana do tego co uciekł, bo go wykarmiła. Objęła tego gościa z zasłoniętą twarzą, i zaczęła go ściskać i całować, płacząc z radości.

— To ona żyje jeszcze!— szepnął baronet.

Henryk spojrzał nań ze zdumieniem.

— To pan słyszał o naszej Urszuli, kiedy się pan pyta czy żyje?

— Nie, ale sam mówiłeś, że „wypiastowała twych dziadków", musi być więc bardzo stara!

— A, prawda!

— Cóż więcej?—pytał Anglik.

— Więcej nic, obudziłem się właśnie. Mnie tu jest bardzo dobrze w Tatrach, i szczęśliwy jestem, żem widział tyle pięknych rzeczy, ale mi już tęskno do dziadunia i do wszystkich, i do wioski naszej. Bo żeby pan wiedział jak u nas ślicznie! Bory są przeważnie liściaste, łąki po pas, jezioro czyste jak kryształ. Dworek nasz jest mały, kryty słomą, ale ganek przed nim na dwóch słupkach obrośnięty chmielem i groszkiem pachnącym. Za dworkiem świronek i ogrody, a za ogrodami las i drzewa w nim ogromne; a jak szumią!

— I jezioro?—zapytał Anglik.

Chłopiec znowu spojrzał zdziwiony.

— A pan skąd wie, że tam jest jezioro?

— Mówiłeś przecie, że „jezioro czyste tak kryształ."

— Prawda! Jezioro widać z ganku i przedziela je od dworu łan zboża; nazywa się Świteź. Przy domu jest pasieka, a w niej pszczoły: dziadunio sam się niemi zajmuje. Cały rząd uli stoi pod parkanem. Na dziedzińcu jest gołębnik, nieco na prawo studnia z żórawiem, a za wrotami droga wysadzona szeregiem topoli: na jednej, tuż przy stodole, bocian ma gniazdo.

Warburton przysłonił oczy ręką i słuchał. W opowiadaniu dziecka zobaczył cały obraz wyraźnie: dworek z gankiem, gołębnik, lipę, dziedziniec, jezioro, las i topole.

— Cóż więcej?—pytał — gdy chłopiec umilkł:

— Pana to nie nudzi?

— Nie, przeciwnie, bardzo mnie zajmuje.

— Za drogą, po prawej stronie jest stary drewniany kościołek, po lewej cmentarz. Na cmentarzu są groby pradziadków. Prababka, widzi pan, umarła ze zmartwienia, gdy dziadek starszy zniknął.

Warburton wstał.

— Grób jest murowany—mówił chłopiec dalej i są przy nim róże, ale z kolcami. U nas nie rosną wcale róże bez kolców!

— O, wiem—szepnął Anglik z goryczą i już o więcej nie pytał.

Cisza zapanowała w namiocie.

XXII.

ENERGIA DAWIDA.

„Ilekroć złą myśl w duszy, dobra przezwycięża
Tylekroć Święty Michał strąca z niebios węża."
Mickiewicz. Zdania i uwagi.

Zasłona u namiotu poruszyła się i wszedł i doktór, niespokojny jeszcze o swego pacyenta. Znalazłszy go nadspodziewanie dobrze, zaproponował wypicie czegoś gorącego a posilnego, Henryk prosił o bulion. Posłano więc Jerremu rozkaz, aby go ugotował, ale ten wkrótce przyszedł z oznajmieniem, że bulionu niema.

— Jakto?—zapytał baronet marszcząc brwi—czyż nie kazałem ci, abyś zabrał wszystko co potrzeba? Wiesz, że ja zawsze pijam bulion w podróży.

— Zabrałem, sir, ale profesor Strand wziął go z sobą, mówiąc że czyni to z woli waszej Miłości. Nie wziął jednak ani rondelka, ani łyżki, ani soli, ani masła, nic!

— Ach, co za roztargniony człowiek! Jakże on wyżyje samym bulionem?

— Przewodnik jego za to wziął butelkę koniaku, bochenek chleba i łokieć kiełbasy. To wystarczy dla trzech: a ja mu włożyłem do torby garść herbaty i dwa funty cukru.

— Bardzo dobrze, ale co my teraz zrobimy bez bulionu! Rosół z orlego mięsa, może byłby niezły, ale niepodobna jeść go bez włoszczyzny.

— Mam włoszczyznę suszoną w puszkach—rzekł Jerry.

— Oh, sir, dziękuję—rzekł szybko Henryk—wolę się wyrzec rosołu.

— Ja się podejmuję sporządzić napój bez mięsa, mogący rosół zastąpić do pewnego stopnia, choć w smaku niczem przypominać go niebędzie—odezwał się Jakób.

— Doprawdy?—zapytał ucieszony Warburton.

— Tak jest, niech tylko Jerry przygotuje rondelek.

Nie upłynęło pół godziny, a Jakób wszedł z filiżanką gorącego białego napoju, przypominającego aromatem zapach storczyków, w połączeniu z zapachem migdałów.

— Co to jest?—zapytał baronet, przypatrując się zawartości filiżanki z ciekawością. Czy przypadkiem nie salep?

— Zgadłeś sir, to jest salep, napój bardzo używany na Wschodzie, zwłaszcza w Persyi, we wszelkich wypadkach niemocy. Zrobiłem go z cebulek storczyków, cukru i roztartych ziarn limby; to łagodzi, wzmacnia i uspakaja. Sprobuj Henryku!

— Ach—zawołał chłopiec—więc to pan w Jaworzynce na salep zbierał cebulki storczyków? A ja myślałem, że dla zasadzenia w ogrodzie i dziwiłem się, że je pan z sobą zabiera na wycieczkę.—I skosztowawszy, dodał:—Doprawdy, że to wcale nie złe, a nawet smaczne!

— To też i do przysmaków na Wschodzie używa się bulw storczyków; jest w nich bowiem mączka pożywna.

— Nie wiedziałem, że storczyki są jadalne.

— Nie wiedziałeś? A wanilia!

— Więc to także storczyk?

— Jest to storczyk, pnący się i czepiający gałęzi drzew, a strączki jego czyli torebki nasienne, zawierają właśnie ową wonną substancyę, tak powszechnie lubioną.

— Ale dlaczego pan tam na łące pomijał storczyki plamiste, chociaż są piękniejsze?

— Bo nie wszystkie są przydatne na salep.

Gdy Henryk wypróżniał filiżankę, Jakób zmienił mu okład i zapytał:

— Teraz, kiedyś się już posilił, powiedz nam, po co u licha schodziłeś tam na dół i kładłeś się na ziemi? Widziałem cię zdaleka, jakeś zaglądał w jakąś dziurę.

Chłopiec opowiedział, jak upatrywał na wszystkie strony róży bez kolców; jak mu się przypomniały legendy o skarbach zbójeckich, pochowanych jakoby w pieczarach, do których wskazują podobno drogę odpowiednie znaki na skałach; jak mu się wydało, że znaki te spostrzega. Jak napotkawszy w pobliżu tych znaków rozpadlinę, położył się na ziemi, zajrzał w nią i zobaczył naprawdę skarby, ale gdy rękę po nie wyciągnął—zniknęły, i to się kilka razy powtórzyło. Wreszcie wyraził przypuszczenie, że to chyba były czary—bo gdy sięgnął po skarby, znalazł tylko garstkę zwyczajnego mchu.

— Czy słońce świeciło prosto w rozpadlinę?

— Tak jest, wpadał do szczeliny wązki promień.

— Jakichże drogich kamieni było tam najwięcej?

— Szmaragdów.

— Te skarby były złudne—odrzekł Jakób—a ten mech zowie zowie się Świetlanka, *Schistotega osmundacea*. Rośnie on w rozpadlinach granitowych lub łupkowych, na gliniastym gruncie grot, na wilgotnych zwietrzałych płytach kamiennych, niekiedy nawet w wypróchniałych pniach drzewnych. Piórkowaty ten mech wyrasta z nagromadzenia włókienek, zwanego splątkiem, rozpościerającego się po ziemi. Z włókien wznoszą się jakby gałązki z graniastemi skupieniami komórek, a każda komórka opatrzona jest kilkoma pęcherzykami zieleni, po stronie zwróconej ku ciemnemu wnętrzu pieczary. Zawartość komórki jest całkiem przezroczysta, zarówno jak i pokrywająca ją błonka. Nieliczne promienie słońca wdzierające się do pieczary, padają równolegle na kulistą ściankę komórki i załamując się w niej, odbijają się od jej ścian, jak od zwierciadła wklęsłego. To światło odbite od zielonego tła, wpada do oka wędrowca i łudzi je, lśniąc szmaragdowo.

— A więc Świetlanka nie świeci własnem światłem, tylko przez odbicie?—zapytał Henryk.

— Tak, światło to pożyczane, ale jest wiele roślin świecących samoistnie.

— Sięgałeś po szmaragdy: chciałbyś więc być bogatym?—zapytał sir Edward.

— O, chciałbym!—odrzekł chłopiec gorąco.

Oblicze baroneta zasępiło się.

— A więc i ten pragnie złotego runa—pomyślał z goryczą—i ten także...

Ale jednocześnie przyszła mu myśl, że to może da mu sposobność zdobycia tego dziecka dla siebie. Z kolei przypomniał mu się Dawid i zapytał doktora o niego — a dowiedziawszy się że wyszedł na spacer z Witoldem i Walterem, poszedł ich szukać. Po wyjściu baroneta, doktór powiedział:

— Mój chłopcze kochany, nie szukaj róży bez kolców na Krzyżnem, bo róże tu rosnąć nie mogą. Jest to kraina nagich wirchów, gdzie ścielą się tylko porosty nadające skałom czarny i żółty kolor, trawy, i nieco kwiatów, jak Urdzik, Runek, Jaskier lodowy i Goryczka przejrzysta, którą się tak zachwycałeś. Widziałeś, że nawet kosodrzewinę na ogień przyniesiono z dołu.

— Pan mówi o „krainie nagich wierhów:“ czyż góry podzielone są na krainy, w stosunku wysokości swej do poziomu morza?

— Tak, mój przyjacielu: człowiek wchodzący na wysoką górę jest w podobnem położeniu, jak podróżnik odbywający wyprawę w kierunku bieguna północnego. Im wyżej wstępuje, tem większy znajduje ubytek ciepłoty, i że się tak wyrażę, coraz inny klimat, a w miarę zmiany klimatu, inne rośliny i zwierzęta. Na nizinach roślinność jest najbogatsza, a im wyżej się wstępuje, tem zastęp roślin bardziej się zmniejsza; stopniowo ogranicza się do gatunków odporniejszych na zimno, aż wreszcie na szczytach życie zupełnie ustaje.

— Więc my tu na Krzyżnem jesteśmy jak podróżnicy na dalekiej Północy! – rzekł Henryk zachwycony.

— A tak: krainy obejmują pasy równoległe, począwszy od Podtarza, aż do najwyższych szczytów. Znakomity botanik Kotula podzielił Tatry na siedem krain.

— Zatem jakby siedem oddzielnych klimatów?

— Właśnie. *Pierwsza* poczyna się od 700 metrów nad poziomem morza: kraina uprawna. Rośnie tam owies, ziemniaki i lasy świerkowe. *Druga* 1000 metr. kraina dolnych Regli: lasy świerkowe, buk i jodła. *Trzecia* 1561 m. kraina górnych Regli: lasy świerkowe.

— A czwarta kraina panie?

— *Czwarta* kraina kosodrzewia zbitego, 1789 m.: kosodrzew i limba. *Piąta* kraina, kosodrzewia rozrzuconego 1960 m.: kosodrzew niski rozrzucony. *Szósta*, kraina nagich wirchów, 2250 m.: mchy, porosty, wierzby czołgające się. *Siodma* kraina płatów śnieżnych, 2263 m. wzniesiona nad poziom morza: porosty.

Naturalnie, że ścisłej granicy oznaczyć niepodobna, i że rośliny niższych krain, trafiają się i w krainach wyżej położonych, ale większość ich rozmieszczoną jest wedle tego określenia: takie naprzykład szarotki znajdują się w krainie dolnych Regli i nagich wirchów. Świerk rośnie w kilku krainach, ale w miarę wznoszenia się, traci siłę, pienność, zwarcie drzewostanu. Piękna jego w niższych krainach strzała, staje się stożkowatą; wreszcie jako krzewiasty, o słojach zbitych, obrosły mchami brodatemi, karłowacieje. Tu się zaczyna pano-

wanie kosodrzewiny, której gęste zielone kiście ścielą się po ziemi i skałach; wszędzie widać usiłowanie roślin, przystosowania się do warunków życia. Wierzba, będąca pięknem w krainie roli uprawianej drzewem, maleje w miarę wziesienia nad poziom morza, czołga się, nareszcie dochodzi do rozmiarów drobniutkich, do mirtu podobnych, oplatających skałę przy samej powierzchni.

— A przecież rośliny nie mają rozumu!

— Nie mają rozumu, ale Bóg dał im instynkt, którym się kierują. Trawy tak bujne po łąkach, układają się na halach w zbite murawy — na których wypasają się trzody owiec, jak również i rośliny halne. Wyżej 1789 metrów przerywa się już pokrycie z kosodrzewiu: krzaki te maleją coraz bardziej, wreszcie sterczą nikłe i porozrzucane na wysokości 1960 metrów. Skały coraz więcej zajmują powierzchni; odłamy ich i okruchy, wielkie zasypują przestrzenie, a wśród nich rosną kępy pysznych kwiatów halnych. Głazy okrywają żółte lub szare porosty, a w miejscach cienistych rosną mchy czarne. Jeszcze wyżej giną mchy; w szczelinach leży śnieg wieczny, roślinność staje się coraz uboższa, wreszcie zostaje trochę roślin naczyniowych. Śniegi wieczne, drobne roślinki jednokomórkowe zabarwiają na czerwono, lub na kolor zielonawo-żółty. Tu jeszcze obok płatów śnieżnych, podróżnik znaleść może malutkie roślinki różnobarwnie kwitnące, jak Urdzik, Runek, Jaskier lodowcowy, które i tutaj na Krzyżnem spotykamy.

— A my w jakiej krainie znajdujemy się w tej chwili?

— W krainie nagich wirchów, na wysokości 2164 metrów.

— W jakiejże krainie rosną róże?

— W krainie górnych Regli, aż do krainy kosodrzewia zbitego.

— Więc na na wierchach róży bez kolców nie znajdziemy?

— Nie.

— I czy sir Edward wie o tem?

— Przypuszczam że wie: bo to jest człowiek wysoko wykształcony i amator botanik.

— Ach, rozumiem teraz, dlaczego pan z panem Witoldem uśmiechaliście się, gdy mówił że idzie na zdobycie róży bez kolców w 15,000 wojska. Zatem wyprawę tę baronet przedsięwziął tylko dla przyjemności chodzenia po górach?

— Nietylko, bo o ile schodzić będziemy w krainę kosodrzewia zbitego i górnych Regli, sir Edward może szukać swojej róży.

— Czy pan wie, panie Jakóbie, że ja go z początku posądzałem, iż skarbów zbójeckich szuka, a róża jest tylko pozorem do osłonięcia prawdziwych zamiarów!

— O, ty dzieciaku! on jest tak bogaty, że wszystkie skarby nagromadzone przez zbójników, nie stanowią nawet dziesiątej części jego fortuny.

— Biedny człowiek! — szepnął chłopiec z westchnieniem — a jednak te wszystkie miliony nie mogą mu dać szczęścia!

— Jego Miłość prosi na obiad — odezwał się Jerry, ukazując się we drzwiach namiotu.

— Do widzenia Henryku — rzekł Jakób wstając, a chłopiec znużony długą rozmową, przymknął oczy.

Warburton zauważył przy obiedzie, że Dawid jest dziwnie chmurny i roztargniony. Odpowiadał monosylabami i jeść nie chciał, pomimo że dziadek łaskawiej się do niego odzywał, niż zazwyczaj. Walter widział nawet że chwilami połykał łzy. Ale gdy baronet kazał mu aby ranionego odwiedził, wstał posłuszny i udał się do namiotu.

Nim wszedł, stał przez chwilę u wejścia i patrzył: Henryk leżał na posłaniu dziadka, zajmował jego miejsce, a widok ten wzburzył wszystką krew apatycznego chłopca. Ugryzł go wąż zazdrości. I gdy Henryk, zbudzony szelestem, uśmiechnął się na widok Dawida, a zapomniawszy o okazywanej mu niechęci, przyjaźnie wyciągnął do niego rękę, mały hrabia zaledwie jej dotknął końcami palców.

— Dziadek mi kazał tu przyjść — odezwał się, tłumiąc gniew— więc jestem mu posłuszny, ale wiedz że nie uczyniłbym tego z własnej woli. Zresztą, i ty zapewne nie dbasz o niczyją uprzejmość, wobec jawnie okazywanych względów Jego Miłości, pana na Rochdale.

Henryk poczerwieniał. Czuł instynktownie, że w słowach Dawida kryje się jakaś złośliwość, ale nie dorozumiewał się intencyi, ani odgadywał do czego zmierza.

— Nie wiem co chcesz przez to powiedzieć — odrzekł, podnosząc się na łokciu—proszę się jaśniej tłomaczyć.

— Doprawdy? — podchwycił z ironią Davy — widzę że Polacy są bardzo niedomyślni! A jednak dla nikogo z uczestników wyprawy nie jest tajemnicą, że sir Warburton obdarza cię łaską wyjątkową.

Wyraz „łaska“ ubódł do żywego dumnego chłopca.

— Co pan chcesz powiedzieć przez ten wyraz „łaska?“ — zapytał drżącym głosem. — Sir Edward jest dla mnie bardzo dobrym i umiem cenić przyjaźń, którą mi ofiarował, ale „łaski“ jego nie potrzebuję.

Mały hrabia jął się śmiać złośliwie.

— Przyjaźń! ha, ha, ha! dobry sobie! Przyjaźń jednak wielkiego pana, mającego ćwierć miliona funtów rocznego dochodu, coś znaczy dla takiego jak ty hołysza.

— Więc przypuszczasz... że ja... staram się...

— Wkraść w jego łaskę? A naturalnie! Ten bohaterski czyn z niedźwiedziem w grotach doliny Kościeliskiej, to szukanie róży bez kolców, ta przygoda z orłem, wszystko jest obliczone na to, żeby stary...

— Dosyć, panie hrabio!—zawołał z oburzeniem Henryk, a krwawe wypieki uderzyły mu na twarz — ani słowa więcej! Kocham i szanuję sir Edwarda, i nie pozwolę aby w mej obecności wyrażano się o nim w ten sposób! Widzę że przyszedłeś tu po to jedynie, żeby mnie znieważać. Wyjdź proszę!

I wyciągnął rękę w kierunku wyjścia z giestem rozkazującym.

— To ty sobie idź stąd — krzyknął ze złością Davy—ty bohaterze w wytartem ubraniu! Ja tu jestem u siebie.

— A, prawda — odrzekł chłopiec słabym głosem—masz racyę; to ja powinienem stąd odejść, aby dalszych obelg uniknąć.

Podniósł się na łóżku, ale zamroczyło mu się w oczach. Zebrał wszystkie siły, dźwignął się, i upadł na ziemię zemdlony.

— Do licha! — mruknął Dawid — zdaje mi się, że przeholowałem; on widać naprawdę chory!... Zawsze mi zarzucają wszyscy brak energii... raz się na nią zdobyłem, i masz! Co tu począć? dziadek gotów zrobić mi awanturę... A znów nie można go tak zostawić!

Wychyliwszy się z namiotu, zobaczył dziadka idącego na spacer na grzbiet Koszystej, a Jakób zbierał na skałach mchy i układał do puszki. Davy zbliżył się doń nieśmiało i oświadczył, że Henrykowi zrobiło się słabo, a gdy doktór natychmiast do niego pospieszył, zaczął doświadczać wyrzutów sumienia połączonych ze strachem, aby rzecz się nie wydała.

Gdy Warburton powrócił z przechadzki, zdziwił się niezmiernie ujrzawszy pustkę w namiocie: Henryk leżał w schronisku, a na zapytanie baroneta o przyczynę, oświadczył doktór, że chłopiec prosił o przeniesienie go, nie chcąc zajmować dłużej miejsca sir Edwardowi, potrzebującemu także wypoczynku. Dawid który drżał ze strachu o siebie, nie widząc żadnej zmiany w obejściu dziadka, odetchnął.

— No — rzekł do siebie — to jakiś porządny facet! bo gdyby mnie był oskarżył przed starym, dostałoby mi się dopiero!

Nie domyślał się nawet, jak ciężką walkę stoczył z sobą Henryk, przemilczawszy prawdę, przed dopytującym się usilnie o przyczynę baronetem — któremu na razie chciał wszystko wyznać, zraniony głęboko w swej dumie i rozbolały. Ale zwyciężył się: wrodzona szlachetność wzięła górę.

XXII.

PRZYGODA WARBURTONA.

„O wieczorze trzoda wraca,
Postrachami, ćmi się las.
Przy ognisku siedzi baca
Złote guzy wbija w pas."
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

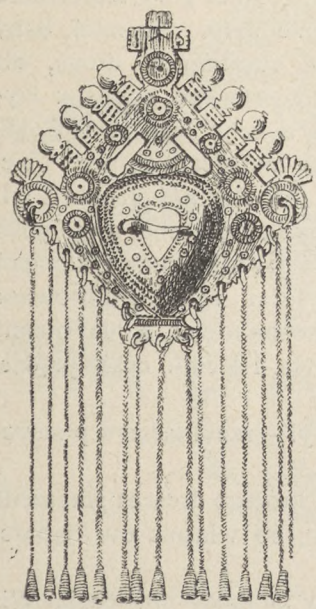

Godziny mijały, a profesor nie wracał. Noc zapadła, a choć niebo iskrzyło się milionami gwiazd, choć góry ukazywały się w cudownem oświetleniu księżycowem, przysłaniane raz po raz gazą obłoków przejrzystych, nikt nie został pod gołem niebem, nawet Witold, choć odczuwał piękno natury jako człowiek ukształcony i jako artysta. Wszyscy strudzeni chodzeniem i doznanemi wrażeniami, przespali noc całą jak zabici. Spodziewano się Stranda zrana na śniadanie, ale nie przybył. Czekano do południa, wstrzymywano się z obiadem, wreszcie wszyscy przyszli do przekonania, że poszedł inną drogą do Morskiego Oka. Warburton żałował niezmiernie, iż ubył mu miły towarzysz podróży, ale sam przyznał, że niema co czekać dłużej, zwłaszcza iż Henrykowi rana nie dolegała i oświadczył, że może puścić się w drogę. Zwinięto namiot, spakowano bagaże, baronet jednak zwlekał aż do zachodu słońca,

spoglądajac raz po raz w stronę Stawów Gąsienicowych, skąd mógł pojawić się profesor.

Jakób powiedział Walterowi, że w kieszeni Stranda, do której łagodny ten człowiek tak energicznie bronił dostępu, musi się znajdować jakaś ważna tajemnica. Zeszedł go bowiem przypadkowo w chwili, gdy stojąc nad tą samą rozpadliną, w której Henryk widział zaczarowane klejnoty, zagłębił rękę do kieszeni coś z niej wyjmując, jakby chciał ukryć w owej rozpadlinie. Ale gdy spostrzegł że ma świadka, wsunął wyjęty przedmiot napowrót do kieszeni, i mocno zaczerwieniony szybko się oddalił.

Dało to wiele do myślenia Walterowi, ale odgadnąć nie mógł, coby to było. Przypuścili do sekretu Warburtona, lecz i ten także nie wiedział, jak to sobie tłomaczyć. Wszystkim wydało się to bardzo dziwne i niezgodne z dotychczas wyrobionem pojęciem o charakterze uczonego Stranda. Witolda nie było przy tej rozmowie.

To koza spada ze szczytu!

Słońce ubrało szczyty w purpurę i fijolet i poczynało kryć się za góry, a profesora jak nie było tak nie było. Na znak dany przez Warburtona, ruszono w drogę, ale przedtem użyto umówionego sygnału: wystrzelono z fuzyi, a echo tego strzału, jak szmer dźwięcznych metalicznych pereł obiegło góry dookoła. Sir Edward słuchał z widoczną przyjemnością tego echa, a oto powstał jakiś szmer i łoskot i rumor kamieni. Na stromej pochyłości, ścieżką utorowaną przez potok, sunął jakiś kłąb tajemniczy: koziołkował, a nie można było zrozumieć co to jest, bo zbyt odległe było, i leciało coraz prędzej według praw ciężkości.

— To koza dzika spada ze szczytu skały!— rzekł jeden z przewodników.

— A może człowiek!—szepnął Henryk, którego dreszcz przeszedł.

— Ej, nie, to koza — potwierdził Jakób, bo właśnie ów kłąb dobiegłszy do dna, beknął śmiertelnie.

— Przekonamy się o tem, gdy staniemy na dole—powiedział Witold; ale jeden z górali, ciekawy co to było takiego, zbiegł naprzód, zsuwając się szybko na dół. Miejscami czepiał się grani rękami, miejscami zsuwał się w siedzącej postawie po gładkim mchu, wstrzymując szybkość jazdy wysuniętem naprzód ostrzem ciupagi. Henryk przypatrując się temu, rzekł:

— Zdaje się że zejść stąd niepodobna, tak przepaścistą i stromą wydaje się ta droga, a widząc tego górala, możnaby wnosić że to tylko zabawka!

— Nie jest to zabawka, ale skała też nie tak stroma i przepaścista jak się zdaje, skoro ludzie tędy chadzają. Cała rzecz w tem, aby się nie bać i stąpać śmiało, choć bacznie i ostrożnie. Zresztą — dodał, patrząc na śmiertelnie zbladłego Dawida — mamy wybornych przewodników i jesteśmy pod ich opieką zupełnie bezpieczni.

Ale uspokajające te wyrazy, nie sprawiły spodziewanego wrażenia. Mały hrabia stanąwszy nad brzegiem przepaści, ku której miał zstępować, schwycił się obiema rękami ręki Waltera, i nie chciał w żaden sposób ruszyć się z miejsca.

— Nie chcę, nie chcę, nie pójdę za nic w świecie! — wołał z płaczem—spadnę jeszcze i zabiję się jak ta koza. Ja chcę wracać do domu! Niech który z górali odprowadzi mnie do Zakopanego. Dość już mam tej zachwalanej wycieczki!

Wierzba zielna, *Salix herbacea.*

I zarył się nogami w ziemię, jak dziecko uparte, gdy nie chce się dać oderwać od niańki. Ani perswazye i zachęta, ani obawa gniewu dziadka, nie mogły nic dokazać. Warburton słyszał, co się dzieje z chłopcem, ale udawał że nic nie wie; ciekawy był jak też Davy sobie poradzi. Wreszcie widząc, że coraz większym opanowany jest strachem, odwrócił się i zapytał spokojnie:

— Chcesz więc wrócić do Zakopanego, Dawidzie?

— Tak — odrzekł drżący i zdziwiony łagodnością głosu dziadka.

— Nie będę się temu sprzeciwiał, ale przypomnij sobie, że wejście na Krzyżne było także strome, i że zejście z niego do doliny Pańszczycy będzie niemniej trudne, jak zejście do doliny Pięciu Stawów. Chodźże i sam się przekonaj.

I pociągnął go na kraniec skały. Droga tam była bardzo stroma i patrząc z góry, zdawała się równie trudną do przebycia jak tamta, choć nieco była krótsza.

— Wybieraj—rzekł baronet: — tędy, albo tamtędy. A może wolisz zostać na Krzyżnem z przewodnikiem i czekać na nasz powrót? Ale nie mogę ci powiedzieć, jak długo bawić będziemy przy Morskiem Oku. Wreszcie, teraz czy później, zejść trzeba!

Słowa te otrzeźwiły Dawida. Wolał już iść razem ze wszystkimi, niż z samym tylko z góralem, lub przepędzić dzień albo dwa w siedzibie orłów. Zdecydował się.

— Gdyby profesor chciał abyśmy na niego czekali, odpowiedziałby nam wystrzałem—powiedział Witold—bo wziął z sobą rewolwer. Zdaje mi się, że możemy iść.

— Idźmy—rzekł Warburton.

Góral prowadził Dawida za rękę z jednej strony, a z drugiej przewodnik podał mu koniec swojej ciupagi i kazał go się trzymać. Schodząc, mały hrabia przekonał się, że jest to wprawdzie trudne, ale nie niemożliwe. Spoglądał on z zazdrością na Henryka, idącego swobodnie, i nie tracącego na humorze pomimo że się poślizgnął kilka razy. Goryczą też napełniały jego serce żarty górali, których nie rozumiał i przypuszczenie, że się bawili jego kosztem. Nie przyzwyczajonego do chodzenia, nogi bolały okropnie w kolanach i wciąż zbierało mu się na łzy. Gdyby się nie wstydził, wybuchnąłby głośnym płaczem.

Wierzba połyskująca, *Salix retusa.*

Ale mylił się Davy, przewodnicy są wyrozumiali na takie rzeczy: nie śmieją się z trwożliwych podróżników, ale biorą ich w troskliwą opiekę, na krok nie odstępując.

Gdy zaczęli się spuszczać, Jakób pochylił się i zawoławszy na Henryka, pokazał mu między rumowiskiem skalnem, roślinkę ścielącą się przy ziemi, o wątłych, bardzo gałęzistych pieńkach. Listki jej były sztywne, okrągławe.

— Czy wiesz co to jest? — zapytał — Wierzba!

— Wierzba? — zawołał ze zdziwieniem Henryk.

— Tak, Wierzba zielna *Salix herbacea*, jedna z najmniejszych, która nawet nieraz około śniegów na wysokości 6,000 do 7,000 metrów wyrasta. Przypatrz jej się.

O kilkadziesiąt kroków dalej, znaleźli jeszcze dwa inne osobliwe gatunki: wierzbę połyskującą, *Salix retusa* i wierzbę siatkowatą, *Salix reticulata*, jedną z najpiękniejszych wierzb alpejskich.

Słońce już się skryło oddawna: mrok osiadał na skałach, a opary czołgające się po ziemi, stawały się już szarawe. Zdaleka widać było rozrzucone szałasy. Gdy stanęli na dole, ujrzeli u stóp skały ofiarę katastrofy: młodę koźlę było prawie odarte ze skóry, miało pokaleczoną głowę i całe krwią płynęło — a góral oświadczył z żalem, że nie było nawet co wykroić na pieczeń.

Wierzba siatkowata, *Salix reticulata.*

— Wystrzał nasz nasz niemało narobił szkody—odezwał się baronet—niejeden cypel runął od niego, niejeden kamień stoczył się z góry, niejedno zadrżało drzewo, niejedno stworzenie się przeraziło. To biedne koźlę, choć nie zostało ranione strzałem, od niego zginęło. I nietylko wystrzał sprawia takie rzeczy: czasem wykrzyknięte w górach imię drogiej osoby sprawia to samo, że skały od niego lecą w przepaść, bo każdy odgłos w górach, wstrząsający powietrze, jest niebezpieczny.

Jakób zadumał się na te słowa: „imię drogiej osoby...“ Jakież imię mieć mógł na myśli ten człowiek zagadkowy? Czy syna utraconego? Co on kochał jeszcze, jeżeli całą miłość ześrodkował w swym następcy i utracił z nim wszystko? Czyżby?... Ale nie, nie czas jeszcze na to!

— O czem pan tak myślisz?—zapytał Walter—widząc że Jakób przystanął i zadumanym wzrokiem patrzy w ponurą dolinę Pięciu Stawów.

— Powtarzam sobie w myśli słowa, które wyrzekł Asnyk, patrząc ze stoku Wysokiej w tę dolinę — odparł zapytany.

„Geniusz tych wyżyn surowy i groźny,
Powstał z przepaści mierząc mnie oczyma.
Swego oddechu dał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nademną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,

I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem pierś ludzką przygniata.
Samotność, w której milczącym ogromie,
Człowiek swą słabość poznaje widomie.
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem bezlitośnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem, nieujętem."

— Słowa piękne — ale czemu je pan powtarzasz, skoro nie lubisz tej doliny.

— Tak, nie lubię jej, ale lubię poezyę! — odrzekł zapytany.

Zbliżali się ku szałasom: w jednym palił się ogień. Zdaleka było słychać dzwonki owiec i rozmowę pasterzy. Wszystko było tak, jak to Witkiewicz opisał w swej książce. „Na Przełęczy". Tak samo kudłaty pies wybiegł naprzeciw nich i zajadle ujadał—i tak jak tam, zaraz go odwołano. W powietrzu tak samo unosiła się ostra woń wełny owczej i nawozu, a przez szpary okrąglaków, z których zbudowany był szałas, przebłyskiwało światło ogniska i widniał dym uchodzący otworem z przodu:

— Pijałem już nieraz mleko na hali - rzekł Warburton—ale nie byłem w szałasie; wejdźmy, jeżeli nam pozwolą.

— O tem nie trzeba wątpić — powiedział Jakób—górale tatrzańscy są gościnni.

Na brzegu szałasu siedział stary góral ten sam chyba, którego Witkiewicz tak dosadnie odmalował—ta tylko była różnica, że ten reperował błyszczący pas bacowski, gdy tamten kurzył bezczynnie fajeczkę. Twarz jego poczerniała od słońca, wyglądała jak dobrze wysuszony pargamin, a czoło ogołocone z włosów, błyszczało jak bronz polerowany. Przy ciemnym kolorze skóry widne były białka dużych, wypukłych oczów, błyszczące i ruchome, mimo spokojnego pozoru postawy. Światło ogniska padające z wnętrza szałasu, oświecało jego sylwetkę.

— To ktoś starszy—zauważył Henryk.

— To baca—powiedział Jakób.— Jest on nad juhasami, niby ojciec, niby wódz.

Baca patrzył na zbliżających się gości, nie zmieniając postawy. dopiero gdy stanęli tuż przed nim, mówiąc: „Niech będzie pochwalony"—podniósł się i zaprosił ich do wnętrza.

Koło ogniska, płonącego w pośrodku szałasu, siedzieli juhasy, a zdziczałe ich twarze i błyszczące oczy, nie budziły zaufania. Na ziemi leżały całe pnie drzew i trawił je ogień, a dym dobywał się z nich

gryzący i uchodził otworami. Był tam pieniek spory, były całe polana drzew i dwa duże kamienie.

— Niech se siednom — rzekł baca, wskazując im miejsce z giestem conajmniej pana zamku; a gdy zasiedli, dorzucił na ogień smereczyny i ognisko jasnym buchnęło płomieniem.

Warburton, jak niegdyś w ową noc burzliwą na Starej Polanie, tak i tu oswoiwszy się nieco z dymem, jął się uważnie rozglądać po otoczeniu: ujrzał na ziemi stare drewniane naczynie do mleka, oryginalny

... wiszący nad ogniskiem na jadźwidze.

łyżnik, piękne czerpaki wiszące na kołkach, z otworami na palce, wreszcie olbrzymi kocioł wiszący nad ogniskiem na jadźwidze [1]) i potworną w arzęchę, która mu przypomniała scenę czarownic z „Makbetha". I gdy łem spostrzeżeniem podzielił się z Witoldem, ten uśmiechnąwszy się, odrzekł, że Witkiewicz porównał ją do łyżki czarownic Słowackiego w „Balladynie", gdzie jest także podobna scena jak w „Makbecie" i nazwał „wytwornie piękną." Zaczął on rysować tę warzęchę, jak również czterozębne widły i torbę pasiastą, wiszącą z niemi razem na kołku— a gdy baronet zrobił uwagę, że nic w niej osobliwego niema, odrzekł, że torba ta jest ważnym sprzętem patryarchy dobytku, otoczonym legendą. Witkiewicz w swem dziele „Na Przełęczy" opowiada, że z torbą taką przed wiekami, przybył przodek całego prawie ludu zamieszkują-

[1]) Gruby, mocny kawał drzewa z korzenia smerekowego, na jednym końcu w hak zagięty, służący do wieszania na belce kotła z mlekiem.

cego zakopańską dolinę, od Kościelisk do Poronina i dalej aż na stoki wzgórz północnych. Wtedy nie było tu nikogo, tylko lasy czarne i grzęzkie młaki zalegały kraj pusty. Po zacienionych potokach pluskało się ryb mnóstwo i wszelka wodna zwierzyna; nie było ani polan, ani wsi, tylko las, że „ledwie do nieba co można było pożreć,“ Był chyba jaki płony [1]) narodek—bo gdy przybysze obdarli się w podróży, i uszyli sobie z torb pasiastych cuhy, nazwano ich „Gąsienicami.“ Jestto najpotężniejszy ród i sławę swego legendowego, starożytnego pochodzenia, dzieli jedynie z Walczakami. Wszystko co nie jest Gąsienicą albo Walczakiem, to „ludzie ze świata“ [2]). Arystokracya rodowa tutaj, w szałasach, jest dumniejszą ze swego pochodzenia, niż gdzieindziej w zamkach z tytułów i herbów.

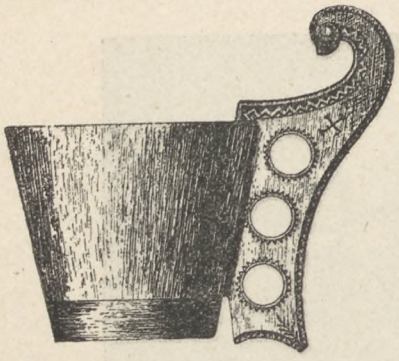

. . . piękne czerpaki do mleka.

— A jeżeli pochodzenie Gąsieniców i Walczaków takie dawne, to bezwątpienia Warburtonowie z Rochdale powinniby im podawać strzemię, gdyby górale tutejsi nie jeździli oklep, bez siodła, jak to sam widziałem — wtrącił z uśmiechem baronet: Witold mówił dalej:

— Witkiewicz, który już dobrze poznał te stosunki, utrzymuje jeszcze, że każdy góral nazywa się podwójnie, albo i poczwórnie: wołają go Jaś, pisze się Krzeptowski, mówi się Sabała, a poza tem jest wielkie wspólne nazwisko, Gąsienica. Niewielu Gąsieniców pisze się Gąsienicami: naprzykład wołają „Józek“, pisze się Gąsienica, mówi się „z pode drogi“. W miarę zwiększania się rodu i bardziej powikłanych stosunków pokrewieństwa, nazwiska zmieniają się, i w mowie potocznej ani urzędzie, nikt nie używa dawniejszej nazwy, ale każdy wie, że jest Gąsienica i jest z tego dumny.

— A co za wspaniałą spinkę mosiężną u koszuli, ma ten arystokrata okryty owczą skórą! toż to keljnot prawdziwy! Zapytaj go pan, czyby mi jej nie sprzedał?

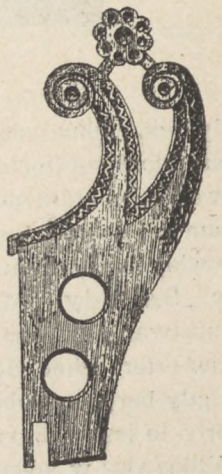

. . . z otworami na palce.

---

[1]) Lichy,

[2]) Obcy przybysze.

Witold spełnił życzenie baroneta, ale otrzymał odpowiedź odmowną. Za to goniec [1]) ofiarował swoją za papierka: kupił ją w Ratułowie, gdzie dawniej takie spinki wyrabiano. Baronet przypatrując się jej uważnie, powiedział że podobne ozdoby widywał w Indyach i wyraził przypuszczenie, że ów przybysz z pasiastą torbą mógł pochodzić ztamtąd. Na to odezwał się Jakób, że jest w gwarze góralskiej kilkanaście wyrazów mających egzotyczne pochodzenie; mianowicie „watra“ ogień, jest czysto indyjskim wyrazem.

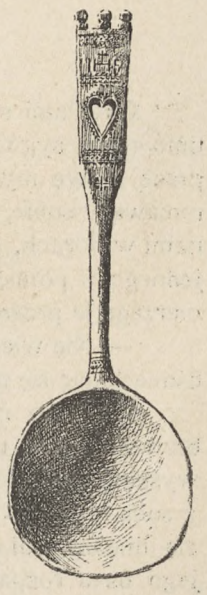

... do łyżki czarownicy.

Na prośbę sir Edwarda, Witold odrysował mu spinkę bacy. Ten ostatni wyniósł żętycy i smacznego sera, który bardzo smakował gościom, a baronet natomiast poczęstował go cygarem. Obrokta nie mogący wytrzymać bez smyczka, wydobył skrzypce z torby i zaczął grać, a juhasy zerwali się do tańca, który trwał dotąd, aż oczy zaczęły błyskać, a twarze im pobladły. Warburton wreszcie wstał, mówiąc że ma już dosyć na dziś fantazyi tatrzańskiej, zwłaszcza że namiot jego już jest gotowy.

Witold i Jakób z Henrykiem, mieli nocować w jednym z pustych szałasów. Powiedziano sobie dobranoc, przyczem sir Edward uścisnął serdecznie dłoń Henryka. Spostrzegł on, że chłopiec dawniej chętnie trzymający się jego boku, unikał go teraz, i był jakby onieśmielony; przywykł do jego towarzystwa i brak jego ciągle odczuwał. Miłą mu była twarz, przypominająca rysami i słodyczą, twarz Ryszarda; miłym świeży, dźwięczny głos chłopca, jego rozumne pytania i odpowiedzi znamionujące inteligencyę i serce.

Wszyscy już spali, a Warburton zasnąć nie mógł, myśląc ciągle o Henryku. Przygoda z orłem, uścisk dziecka, wstrząsnęły nim do głębi, a przytem myśl jedna nie odstępowała go. Posiadać tego chłopca, który do niego lgnął, który go się nie bał tak jak wszyscy—i pokochałby go może jak syn własny... O jakżeby on opromienił jego starość! Szlachetny, odważny, rozumny, byłby to prawdziwy Rochdale, godny dziedzic jego imienia i jego planów. Ma nawet do niego pewne prawo: uratował mu życie, a oprócz tego, on jest przecież...

Ale nie dadzą mu go, to pewno: chybaby porwał go siłą, a i wtedy

[1]) Zaganiacz.

pytanie, czy on sam dałby się wziąść... ma charakter i dla tego właśnie jest mu tak drogim.

W szałasie skrzypki jeszcze grały, przytupywanie i śpiew dochodziły aż do namiotu.

„Baca nasz, baca nasz,
Tęgich chłopców na zbój masz,
Jeszczebyś ich lepszych miał,
Żebyś im sera dał.“

Chwilami słychać było gdzieś w pobliżu przeciągłe świsty, niby umówione sygnały. Zastanowiło to baroneta: przebiegła mu nawet przez głowę myśl o napadzie na namiot, ale ją zaraz odsunął, przypomniawszy sobie, co słyszał o Świstakach. Zwierzątka te, żyjące rodzinami w norach, mają zwyczaj, podczas pasenia się na halach, stawiać jednego z pomiędzy siebie na straży, a ten w razie niebezpieczeństwa, ostrzega je przeraźliwem gwizdnięciem.

— Nie wiedziałem, że i na noc zaciągają wartę — rzekł do siebie, uśmiechając się mimowoli—czyżby czuły blizkie niebezpieczeństwo?

I czy to rzeczywistość była, czy złudzenie, ale świst jeden zabrzmiał mu w uszach jakby sygnał trwogi, a że zasnąć nie mógł, więc wyszedł z namiotu, żeby się trochę przejść, ale przez ostrożność wziął z sobą broń. Noc była piękna, jasna, spokojna, a księżyc przesuwając się między obłokami, otaczał je rąbkiem złocistym. W tem doleciało jego uszu rozpaczliwe, gwałtowne beczenie owiec: w zagrodzie zrobił się ruch jakiś i popłoch, a z szałasu wyleciał goniec, zaczął machać rękami i krzyczeć.

Muzyka w szałasie ucichła, a w świetle księżyca ujrzał Warburton zwierzę wielkości pośredniej między lisem a wilkiem, mające ruchy pantery, oczy świecące w ciemności jak dwa węgle żarzące, i pendzelki sterczące na uszach. Pomykało w tę stronę, gdzie stał, unosząc jagnię.

— Ryś — szepnął Anglik, dopuściwszy go na niewielką odległość i wystrzelił.

Zwierzę ugodzone zachwiało się, upuszczając swój łup. Warburton wypalił po raz drugi, i... chybił. Ryś zerwał się z sykiem i jednym susem skoczył mu na piersi, wytrącając tym niespodzianym ruchem fuzyę z ręki i zatapiając zęby w jego szyję Warburton uczuł straszny ból i jął gwałtownie odrywać napastnika lewą ręką, szukając jednocześnie prawą noża w kieszeni — ale noża nie było, a rozwścieczone zwierzę przypięło się doń jak pijawka, wpijając mu coraz mocniej pazury

w ciało przez ubranie. Ale pomoc przybywała: jakieś drobne stopy bardzo prędko biegły w tę stronę, Anglik uczuł się nagle odepchniętym w tył. Coś małego, zwinnego jak kula, usiłowało wsunąć się między niego i zwierzę, jakieś drobne ręce jęły odrywać pazury zwierzęcia, a głos znany i drogi dla ucha cudzoziemca, wołał z płaczem.

— Na pomoc sir Edwardowi, na pomoc! Chodźcie, prędzej, prędzej! Ach Boże!

... Ryś — szepnął Anglik.

Zwierzę szarpane za nogi i ogon, odwróciło się i chwyciło za rękę Henryka, a Warburton skorzystał z tej chwili, żeby się od napastnika oswobodzić. Pięścią uderzył potężnie w łeb rysia, a uderzenie to obezwładniło zwierzę. Biegli też już górale z płonącemi drzazgami, z ciupagami—i dobili go w jednej chwili. Towarzysze baroneta, którzy teraz nadbiegli, znaleźli już rysia nieżywego.

Warburton wyjął chustkę z kieszeni, i otarłszy szyję ze krwi, obejrzał się za Henrykiem, który stał na uboczu. Teraz gdy nic nie groziło sir Edwardowi, uważał się za niepotrzebnego i nie chciał zwracać na siebie uwagi. Czuł mocny ból w zranionej ręce, ale więcej jeszcze bolała go obelga rzucona mu wczoraj przez Dawida.

Widział, jak doktór wziąwszy płonącą drzazgę z ręki juhasa, odpiął guzik koszuli baroneta pod szyją, obejrzał ranę — i słyszał jak mówił że pomoc przyszła w samą porę, bo chwila jeszcze, a ryś mógł przegryźć arteryę, do czego brakowało tylko kilku sekund. Uczuł się dumny i szczęśliwy, że miał sposobność odwdzięczenia się temu, co go uratował ze szponów orła. A teraz odejdzie, nie czekając podziękowania, i mały hrabia nie będzie mógł powiedzieć, że usiłuje się wkraść w łaski jego dziada!

I trzymając się cienia padającego od skał, przesuwał się zwolna ku szałasowi, w którym nocował z Witoldem i Jakóbem, ale dojrzało go bystre oko sir Edwarda, który pochwycił go za rękę.

— Doktorze — zawołał — obejrzyj rękę tego dziecka: on musi być raniony! Co to znaczy Harry, dlaczego się kryjesz?

A gdy Jakób obejrzawszy rękę chłopca oświadczył, że skaleczenie jest nic nie znaczące, baronet zapytał:

— Powiedz mi młodzieńcze, jak się to stało, żeś mi przybył z pomocą?

— Usłyszałem dwa wystrzały, a wiedziałem że nikt prócz waszej Miłości i pana Witolda, nie ma fuzyi przy sobie; pan Witold zaś spał z nami w szałasie, Przypuszczałem jakiś wypadek i...

— I przybiegłeś najpierwszy... i miałeś odwagę z gołemi rękami rzucić się na drapieżnego napastnika, broniąc mnie! O Harry, jesteś prawdziwym mężczyzną! Dziękuję ci.

I uścisnął mocno dłoń chłopca. Miał gorące pragnienie przycisnąć go do piersi, ale je powściągnął. Zbyt wielu było świadków tej sceny, a przytem... zaczynał się lękać sam siebie.

Henryk szalał z radości: spełniło się to, czego zawsze najgoręcej pragnął: był mężczyzną, tytuł ten głośno mu przyznano.

Chciał odpowiedzieć, ale niespodzianie spotkał się ze wzrokiem Dawida, który w tej chwili stanął obok dziadka. Zbudzony ze snu wystrzałami, zdjęty ciekawością, przywlókł się teraz za innymi i pewnie świadkiem był ostatniej sceny. Słowa zamarły Henrykowi na ustach: odwzajemnił milczącym uściskiem dłoni za uścisk, i cofnął się.

Zaciągnięto rysia do ogniska szałasu, i wszyscy podziwiali jego piękne centkowane futro, pendzelki oryginalne na uszach i ogonie, oraz jego podobieństwo do kota. Górale i juhasy chwalili odwagę i przytomność umysłu Henryka, a Davy słuchając tego, gryzł wargi niecierpliwie. Śledził on każdy ruch dziadka, i żadne spojrzenie skierowane w stronę chłopca, nie uszło jego uwagi. Matka rzuciła mu w duszę ziarno podejrzenia, i ziarno to bujnie teraz kiełkowało. Przyznawał swemu rywalowi odwagę, podziwiał go nawet, ale go niecierpiał.

Doktór mówił o zajadłej naturze rysia:

— Jestto drapieżnik srogi i krwi chciwy: morduje ptactwo i zwierzynę, której tylko dopadnie. Zjawia się cicho, jak cień, a szybki jest jak błyskawica. W oka mgnieniu nadusi owiec bez liku, opije się krwi i znika. Malowniczo wyraża się o nim Witkiewicz, że „wlatuje jak ptak na wierzchołki drzew, i na najstromsze skały, a rzuca się bez namysłu w przepaście, jakby u miękich swych łap miał skrzydła.“ Czas jakiś mniemano, że rysie w górach już zostały prawie wytępione, ale w ostatnich latach kilkunastu, pokazały się na nowo w Tatrach. Z lasów zachodzą one w kosodrzewinę i turnie, czatując na bydło i kozice. Często zaczaja się ryś na gałęzi, czatuje cierpliwie na łup przechodzący, i rzuca się nań z nienacka. Ostry wzrok jego, zjednał mu nazwę „ostrowidza.“ Wierzono nawet niegdyś, że mur na wskroś przejrzeć może, że siłą wzroku zabija.

Krótką chwilę zabawił w zagrodzie, zdążył jednak zadusić trzy owce, a jednę żywą i napół poranioną upuścił, gdy go strzał baroneta dosięgnął. Liczny orszak Warburtona, miał zapewniony na jutro obiad z upolowanej w ten sposób baraniny.

Baca na razie sposępniał z powodu poniesionej straty, ale wkrótce rozmarszczył czoło, bo traf szczęśliwy nagodził mu gości, mogących stratę w dwójnasób wynagrodzić, jak ze wszystkiego się domyślał. Spoglądał on chciwie na piękne futro rysia, które można było korzystnie sprzedać w Nowym Targu; sir Edward więc mu je podarował, rysie bowiem futro nie trudne jest do nabycia w Londynie, dokąd skóry tysiącami przywożą z Ameryki.

— U nas piękne to futro niegdyś bardzo ceniono — odezwał się Witold — panowie nosili rysie kołpaki, a szlachta okrywała się w zimie wilczurami. Po lasach bywały rysie i wilki, a i w Tatrach ich nie brakowało. Szły one zwykle za rysiem, i żywiły się tem co zostawił, ogryzając kości; to też górale mówią o rysiu, że jest nad wilkami „jako oficerz przy wojsku.“

Rana Warburtona była dość głęboka, ale żartował sobie z niej, zaledwie pozwoliwszy ją opatrzyć; o Henryka natomiast troszczył się bardzo. Zauważył, że mimo serdecznego zbliżenia, jakie między niemi nastąpiło, chłopiec od wczoraj stał się wobec niego nieśmiałym i prawie go unikał. To mu dało do myślenia, ale na razie nie zastanawiał się nad tem dłużej. Co innego chodziło mu po głowie, gdy przewracając się na posłaniu, nie mógł zasnąć.

Dawid, leżał cicho w namiocie, rozmyślając nad słowami matki, gdy baronet, który myślał że Davy usnął, odezwał się z cicha.

— Czy śpisz Walterze?

— Nie, sir.

— Czy uważasz, że Harry przypomina kogoś rysami twarzy i ruchami?

— Tak jest, sir, przypomina Ryszarda, ale jest od niego szczuplejszy.

— Aa? więc tak rzeczy stoją — szepnął chłopiec, zaciskając pięście. — Matka miała racyę!

Uszko od czerpaka.

XXIV.

W DRODZE DO WODOGRZMOTÓW.

„Konwie stoją pod szałasem;
Niby w lilijach, mleko w nich."
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Wala, przewodnik.

Sir Edward miał nadzieję, że profesor znajdzie się w dolinie Pięciu Stawów i razem pójdą w dalszą drogę, bo tędy był główny gościniec do Morskiego Oka, ale nadzieja ta omyliła. Minął ranek, nadeszło południe, a uczonego Stranda nie było. Warburton okazywał pewne zaniepokojenie, ale uspokojono go zapewnieniem, że przewodników wziął wytrawnych, więc nic złego stać mu się nie może.

Już mieli wyruszać w dalszą drogę, gdy zwrócił ich uwagę tentent wbiegających owiec. Asystowali więc przy udoju i byli świadkami wyrobu sera. Przypatrywali się jak baca mleko z gieletów [1]) wylewał do wielkiej stągwi, cedząc je przez płachtę nakrytą gałązką smereczyny, co mu odrębny nadawało zapach; jak wlewał do niego jakiś mętny płyn wygotowany z cielęcego żołądka, mającego własność ścinania mleka, a poczekawszy czas jakiś, obmył w wodzie ręce, obrosłe czarnym długim włosem i zanurzył je w mleku po łokcie. Przed bacą stał młody chłopak, trzymając za dwa rogi płachtę przypiętą do pasa. I on, i baca,

[1]) Naczynie drewniane z pałąkiem, służące do dojenia owiec.

i goście, przyglądający się tej czynności, głębokie zachowywali milczenie. Nareszcie Warburton z uśmiechem rzekł do Witolda.

— No, nie bardzo to apetycznie wygląda i chyba pański przyjaciel i entuzyasta, posiadający zarazem talent Hogartha i Rembrandta, nic już poetycznego w tem nie znalazł.

... Asystowali więc przy udoju.

— Przeciwnie, sir — odrzekł Witold — Witkiewicz utrzymuje, że chwila w której baca zanurza ręce w mleku, jest chwilą uroczystą. Gdy się to działo w jego obecności, wydawało mu się, że ten stary, z łysem czołem człowiek, okryty skórą białej owcy, z mosiężną dziwnego kształtu spinką na piersiach, odprawia jakiś tajemniczy obrządek, a młody służy mu do niego. I dodał: „Kto zgadnie, czy w nim samym ta nagła przemiana zachodząca w mleku, to powstawanie sera, nie przedstawia się jako zjawisko cudowne, którego przyczyny leżą poza kresem ludzkiej wiedzy!“ A gdy baca wydobył z kotła ogromną bryłę śnieżystego sera, wydała mu się ona na tle czarnego osmolonego wnętrza chaty, jak „jasny krąg księżyca.“

— W tem oświetleniu rzeczywiście obraz inaczej się przedstawia — powiedział baronet. — Co to jest być poetą!

Baca istotnie wydobył w tej chwili bryłę sera, włożył ją w płachtę, trzymaną przez chłopaka i zawiesił żeby ociekła, a wziąwszy czerpak poczęstował gości świeżą żętycą. Pili ją wszyscy prócz Dawida, który zaledwie dotknąwszy ustami, odsunął napój ze wstrętem. Tymczasem

ser ociekł, baca zdjął z kołka płachtę, odwinął, i ukrajawszy płat sera, podał gościom. Wszyscy jedli go z apetytem, bo ser świeży posiada smak delikatny, który traci w miarę jak ser starzeje się, a z nim razem jełczeje tłuszcz zawarty w mleku, nabierając ostrej woni i szczypiącego smaku.

— O ile widok z Krzyżnego przykuwa do miejsca, o tyle dolina Pięciu Stawów przerażające martwotą swoją czyni wrażenie — powiedział Witold, gdy wyprawa ruszyła w dalszą drogę. — Z góry zwierciadła stawów mienią się srebrem, szmaragdem i szafirem, a tu są czarne i posępne. Wielki staw przy którym stoimy i ciemność wód jego, wynikająca zapewne ze straszliwej jego głębi, dreszczem przejmuje! Nie jestem nerwowy, ale bez żalu opuszczę tę dolinę śmierci: czarne paszcze potwornych olbrzymów ziejące strachem, i mgły, co się ich czepiają, jak cienie!

— Staw Wielki, jest największym ze wszystkich stawów w Tatrach — odezwał się doktór. — Obejmuje on 63 morgi powierzchni i ma 78 metrów głębokości: mierzył go Dziewulski. Kościół Panny Maryi w Krakowie, z wysoką wieżą z której brzmią hejnały, schowałby się cały w toniach tego jeziora, i tylko szczyt wieży z koroną, sterczałby po nad wodą.

— Z jakiej przyczyny to właśnie jezioro jest głębsze od innych?— zapytał baronet.

— Wody trzech stawów spływają do niego, i stąd dopiero, jak ze wspólnego zbiornika, spadają potokiem po skale do Roztoki, tworząc Siklawę. Z ogromnym hukiem stacza się ten potok w przepaść, zamieniając się w parę. Gdy słońce świeci, tęcza pojawia się raz po raz na tle wodospadu. Spieniona woda wynurza się z otchłani i szumi dalej po skałach, na których w Lipcu jeszcze leżą śniegi, a w końcu dzikim parowem spływa w dolinę Białki. Stanąwszy na skale u ujścia z Wielkiego stawu, widzieć można Siklawę w całej okazałości.

— Widzieliśmy ją z Krzyżnego: wyglądała jak mieniący się srebrny, dyamentami nasadzony pas — rzekł Warburton — ale pojdziemy przypatrzeć jej się z bliska i stanąć u jej stóp. Słyszałem, że to jest najwspanialszy wodospad w całych Tatrach! Ale wiecie co panowie? Ten Wielki staw z fantastycznemi zarysami otaczających go skał, podobny jest do wielkiego basenu, w którym olbrzymy skamieniałe przyszły obmywać stopy przed jakimś wielkim w wieczność pochodem!

Okrążywszy północnym brzegiem staw Wielki, przybyli nad upływ wód po skale. Doszli do miejsca gdzie się ścieżka dzieli, jedna prowadzi na Świstówkę, a druga wiedzie w dół do Siklawy. Witold przystanął i rzekł, zwracając się do baroneta:

— Wasza Miłość porównywa te stawy do olbrzymich basenów, a hr. Władysław Tarnowski porównał je do olbrzymiego amfiteatru, w którym widzowie skamienieli z przerażenia. Stojąc tu na tem miejscu, i mając przed oczyma z jednej strony „dolinę śmierci“, a z drugiej w dole Siklawę spadającą w przepaść, takim uczcił ją wierszem:

„Po gruzach gruzów skalnych stąpam od Roztoki.
U stóp mych się rozsiadły wszystkie czary ziemi:
Bory—w dolinach nitki zdrojów z skały swemi;
W dali niebieski Beskid kryje się w obłoki.
Tu, acz droga nużąca jak droga żywota,
Masz widok, jakim szatan kusił Zbawiciela,
Cudem cudów arcydzieł harmonii, wesela!
A wtem spojrzysz za siebie—tam? Tatrów Golgota!
Staje ci przed oczyma szereg wierchów dziki,
Jak amfiteatr świata—bez życia, bez śpiewu:
Środkiem przestrzeń martwoty—świat głazów, świat dziwu,
A nad głazami krążą orły pustelniki!
To przestwór Pięciu Stawów—Stygijskie chodniki...

Dzicz! i bryły na bryłach chaosem ciśnione—
Wzdłuż i wszerz się rozlega—a środkiem przestrzeni,
Pięć Stawów w głazach lśnią się zwierciadły ciemnemi,
Milczą tajemnie—w koło życia pozbawione!
Tu mgieł wielkie królestwo, świat przerażający!
Jeden staw z drugim fale mimo głazów łączy,
Aż wraz grzmią w otchłań, z szczytów Siklawy strącone!...

O Siklawo! w twe piany huczące, szalone,
Milcząc pogląda pielgrzym—i rozmyśla—życie!...
Ono przegrzmi i runie—jak mgły rozpędzone.
Pielgrzym u piersi matki natury, jak dziecię:
Zmysły utopił w obraz jej—odbieżał ciała,
I duchem się rozemdlał w wszechświata rozkwicie!...
Słucha górala—niemy wśród tych skał jak skała!...“

Warburton zadumał się.

— Od chwili gdy przeszliśmy Żółtą turnię — rzekł, wodząc okiem po skałach — zdaje mi się ciągle, że czytamy nowy a nieznany rozdział „Boskiej komedyi“ i że lada chwila ujrzę zstępujące w przepaście ze szczytów, postacie Wirgilego i Danta. Szkoda że niema z nami profesora! Choć to przedewszystkiem naturalista, patrzący na wszystko z punktu widzenia naukowego, ale ma duszę niepospolitą, umie odczuwać rzeczy wielkie i jest wrażliwy na piękno.

— Jeżeli tylko piękno to nie jest rodzaju żeńskiego—wtrącił, śmiejąc się Walter.

— Nawet i wtedy — odrzekł z przyciskiem Witold, którego oddawna swędził język, żeby się podzielić z towarzyszami tem co wiedział.

Wszyscy to za żart wzięli, a Warburton rzekł:

— Właśnie to jedno mam mu do zarzucenia, że go w rodzaju żeńskim nie uznaje wcale. Taki uczony człowiek, a taki niesprawiedliwy i uprzedzony w tym jednym, jedynym względzie.

— Oh, sir, mylisz się pan! Doktór Strand nie jest wcale tak uprzedzonym i niesprawiedliwym, jakim się wydaje i za jakiego chce uchodzić. Utrzymuję, że jest on wszelkiego piękna wielbicielem, a szczególniej żeńskiego. Mam na to dowody.

— Nie uwierzę temu nigdy — powiedział Warburton.—Strand ma naturę prawą i uchodzi za takiego, jakim jest rzeczywiście!... A... jakież są pańskie dowody?

— Czy wasza Miłość przypomina sobie pomięszanie profesora, gdy raz do bardzo zamyślonego Jakób odezwał się, że go „budzi w kolorze błękitnym?“

Baronet pomyślał chwilę.

— Tak jest, przypominam sobie.

— A potem znowu takie samo zmięszanie, gdyś mu powiedział, sir, że myśli „o niebieskich migdałach.“

— I to także pamiętam.

— A pamiętasz, sir, nagły gniew profesora w drodze do Czarnego Stawu, gdy Jakób żartem chciał sięgnąć ręką do kieszeni jego surduta?

— Ach naturalnie! Dziwiliśmy się wtedy wszyscy gwałtownemu uniesieniu tego cichego i łagodnego zawsze człowieka.

— Człowieka, nie mającego w sobie żółci, można to śmiało powiedzieć—wtrącił Walter.

— I wszyscy wtedy mówiliśmy, że profesor musi przy sobie mieć coś, czego nam nie chce pokazać; że jednem słowem, na dnie jego kieszeni spoczywa tajemnica, którą profesor ukrywa przed nami, i obawia się aby przypadkiem na jaw nie wyszła. Sir Edward nawet wtedy wyraził przypuszczenie, że profesor dokonał odkrycia naukowego, którego nie chce rozgłaszać przed czasem, a o którem zapewne wkrótce dowiemy się z gazet.

— Istotnie, takie zrobiłem przypuszczenie i trwam przy niem dotąd.

— Otóż ja... zbadałem tę tajemnicę! Wiem co profesor ukrywa przed nami.

— Zbadałeś pan?—zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Dokładnie.

— I cóż on tam chowa?

— Jestto... — rzekł, spoglądając po wszystkich ze złośliwym uśmiechem—jestto... wstążka błękitna!

Wysłuchano tych słów ze zdumieniem.

— Eh — rzekł Warburton, machnąwszy ręką z lekceważeniem — to niczego nie dowodzi. Profesor pewnie używa jej zamiast sznurka do wiązania swych notatek.

— Wątpię; wstążka ta bowiem ułożona jest w pełną wdzięku fantazyjną kokardę.

— Nieprawdopodobne—powiedział znów baronet—hm, czyżby... nie, to być nie może! Profesor jest prawdą uosobioną, pocóżby miał grać z nami komedyę?

— Po co? dla lepszego zamaskowania prawdziwego stanu rzeczy—rzekł rozweselony Witold, który sam nie wierzył w to co mówił.— Pojmujemy, sir, że w tym wieku... Ale rzeczy takie zdarzają się czasem... Serce nie sługa!

— Ależ, moi panowie, profesor Strand jeszcze nie tak stary—ujął się za nim Walter—nie ma lat sześćdziesięciu i mógłby się ożenić, tylko jego zaniedbana toaleta lat mu dodaje.

— Nie, nie! — powiedział Warburton — w każdym razie uczucie u Stranda nie objawiałoby się w sposób tak sentymentalny. Nie mogę się pogodzić, z tem co słyszę. Ale jakże pan doszedłeś do swego odkrycia?

— Czy dawno dowiedziałeś się o tem?—zapytał Jakób.

— Wczoraj, gdy profesor wybierał się do Dwoistego i pochylony pakował swój tłomoczek, układając troskliwie ołowiankę do badania dna jezior, spostrzegłem coś błękitnego wyglądającego z tylnej kieszeni jego surduta, w tej chwili nieco odstającej. Wsunąłem ostrożnie rękę i obejrzałem tę jedwabną tajemnicę. Pachniała irysem.

— Rzecz dziwna—pomyślał—Walter—lady Chester używa tych perfum... Ach, wiem już, to wstążka zgubiona przez Fanny w grotach Raptawickich.

— Obejrzawszy, włożyłem napowrót...

— I profesor tego nie spostrzegł?

— Nie: nazbyt był zajęty myślą o blizkiem spotkaniu z Branhiopodem; poruszył się tylko niespokojnie i zapytał: „Co pan tam robisz?“ Ja zaś odpowiedziałem: „Czynię poszukiwania naukowe na pańskiem terytoryum.“

— I nie domyślił się co to znaczy?

— Wcale. Wzruszył tylko ramionami z politowaniem, jak się czyni w obec posłyszanej niedorzeczności.

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— A czy wasza Miłość miałby za złe profesorowi, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdyby się ożenił?

— Ach, winszowałbym mu pierwszy—powiedział śmiejąc się— ale to rzecz tak nieprawdopodobna, że i myśleć o tem niema co!

— Może to położyłoby kres jego ustawicznym roztargnieniom, gdyby znalazł się przedmiot skupiający stale jego uwagę. Pewnie nie wybrałby się więcej w drogę bez rondelka do gotowania bulionu—odezwał się Jakób.—Ja tak samo jak sir Edward, nie jestem skłonny do takich przypuszczeń, ale przyznaję, że zachowanie się profesora czasami było dziwne. Fakt jest, że na wzmiankę o kolorze błękitnym, okazywał zaniepokojenie i wkrótce potem zawsze szukał samotności. Opowiadałem przecież panom, że wczoraj widziałem jak stojąc nad rozpadliną skalną, w której Henryk widział zaczarowane klejnoty, sięgnął ręką do kieszeni, jakby chcąc z niej wyjąć jakiś przedmiot i obejrzał się, a widząc że nań patrzę, cofnął rękę, tak samo jak wtedy na hali Królowej, i zaklął.

— A co!—zawołał tryumfująco Witold.

— Co? Strand! ten łagodny człowiek?—zapytał Warburton, niedowierzając własnym uszom.

— Tak, ten łagodny, zaklął potężnie!

— Moi panowie—odezwał się baronet — to co pan Jakób mówi, nie zgadza się z tem co utrzymuje pan Witold. Gdyby profesor nosił w kieszeni jakąś... dajmy na to, pamiątkę, nie chciałby jej rzucać w rozpadlinę skalną.

— Ja też nie powiedziałem że ją chciał rzucić, tylko sądzę, że...

— Że co?

— Że chciał spojrzeć na przedmiot, należący do damy jego myśli.

— Nie—zawołał Warburton—nie róbcie z niego średniowiecznego rycerza! Ja sobie przypominam, że gdy Strand w drodze do Czarnego Stawu zapuścił rękę w kieszeń, szukając zapałek do cygara, które mu wtedy ofiarowałem, cofnął ją natychmiast z takim wstrętem, jakby się dotknął gadu jadowitego. Czy nie prawda, panowie?—zapytał zwracając się do Waltera i Jakóba.

Obaj przyznali, że tak było rzeczywiście — i że w całej tej sprawie jest coś niezrozumiałego. Warburton zrobił przypuszczenie, że ktoś poprostu figla urządził profesorowi z tą wstążką, ale nie wiedział kogo podejrzewać.

Górale spoglądali po niebie, nie dobrze tusząc o pogodzie, bo białe jak wata obłoczki snuły się po niem i rozdzierały o szczyty; że jednak między niemi widne były duże szmaty błękitu, więc jakoś nie

wszyscy temu wierzyli. Nagle jeden z górali zawołał: „leje!“ i wszyscy poczuli na twarzach drobny deszczyk, który nagle tak gęsto padać zaczął, że osłonił jakby mgłą cały tabor.

— Wróćmy się do schroniska—zaproponował Walter—i przeczekajmy burzę!

— Nie—rzekł Warburton—ktoby tam zważał na deszcz! Doświadczyliśmy już różnych wrażeń w tej podróży, ale nie doświadczyliśmy jeszcze burzy, bo tej na jaką patrzyliśmy spokojnie z okna groty w dolinie Kościeliskiej, nie odczuliśmy bezpośrednio. Co innego jest znajdować się wśród burzy na otwartem powietrzu, w łonie gór! Widzę właśnie że nadciąga, słyszę echa dalekie gromów, i myślę że przyjdzie tu wkrótce do nas. Rad jestem że się z nią spotkam! Idźmy, panowie, idźmy! Czy się boicie?

— Co do mnie, nachodziłem się dość po wycieczkach, zawsze w deszcz i burzę—rzekł Witold.—Znam się z nią.

. . . Był to Świstak stojący na czatach.

— Dla mnie też nie nowina—odrzekł doktór;—trochę się zmoknie, ale od czegoż ogień?

— Szczególna ochota! — mruknął Davy pod nosem. — Jestem pewny, że z tej sławnej wycieczki przyniosę do domu tyfus albo malaryę!

— Bądź spokojny—szepnął mu z cicha Walter—malarye i tyfusy nie rosną na szczytach, jak kwiaty halne. A kto przywozi malaryę z równin, to ją prędko gubi w czystem górskiem powietrzu.

Namiot i cięższe bagaże, wysłano naprzód do Morskiego Oka, przez Świstówkę. Ponieśli je górale, którym polecono nocleg przysposobić dla wszystkich.

Deszcz padał, a znajomi nasi szli tak żwawo, jakby to była najpiękniejsza pogoda. Była to droga nie droga, po złomach po płasz-

czyznach wklęsłych, usypanych ogromnemi granitami, zwalonemi jedne na drugie. Nie zawsze dało się stąpić z kamienia na kamień: trzeba było zejść z jednego nie bez trudności i wejść na drugi nie bez obawy — bo kamień tak czasem stoi czy leży, że stąpiwszy nań wyrusza go się z równowagi i coprędzej trzeba go uwolnić od ciężaru. Przeciągły świst dał się kilkakrotnie słyszeć; Henryk obejrzał się i ujrzał zwierzątko wielkości średniego psa, stojące na tylnych łapach, wyprężone jak świeca i rozglądające się niespokojnie. Był to Świstak stojący na czatach.

Rozpoczęło się schodzenie bokiem przepaści, w którą upływ wód spadał, po skale obślizgłej od deszczu, przy szamotaniu się z wichrem, który wziął się z kądciś z góry i chciał ich w przepaść wtrącić. Każdy patrzał tylko przed siebie, nikt nie śmiał spojrzeć na bok, żeby wychyleniem się, nie stracić równowagi. Przewodnicy ze zręcznością nadzwyczajną, podbiegali to tu, to tam, podając rękę lub wskazując kędy lepiej stąpić. Davy ślizgał się ciągle. Włosy nie dość krótko nad czołem przycięte, oczy mu zasłaniały, a piękny kostyum turystowski, zmieniony już do niepoznania kilkodniową wycieczką, krępował mu ruchy przy schodzeniu w dół więcej jeszcze, niż przy wchodzeniu na Krzyżne. Biedny chłopiec ciągle potrzebował pomocy górala, a strach śmiertelny chwilami oddech mu tamował. Dziadek był dla niego bardzo dobrym i kilkakrotnie mu rękę podał, pomagając w miejscach niebezpiecznych, ale to go nie pocieszyło. Z zazdrością spoglądał on na swego rówieśnika i jego ruchy swobodne, w wygodnej, prostej odzieży. Czuł się nieszczęśliwym, i serce mu gorycz zalewała.

. . . szalone podskoki płynących w dół potoków.

Deszcz na chwilę ustał, ale dolina Roztoki wyglądała stąd szaro — niemal mroczno. Zasłona wprzód gęsta, w przejrzystą zmieniła się gazę — lecz

dzikość straszna okolicy, straszniejszą się jeszcze zdawała. Pogruchotane ogromne urwiska, zwalone na płaszczyznę skalistą nad Roztoką, połamane drzewa, szalone podskoki i kamienisty łomot płynących w dół potoków, wszystko dawało miejscowości tej pozór wejścia do piekieł i Warburton odezwał się, że tak chyba będzie wyglądała ziemia w dzień Sądu ostatecznego.

Nikt mu nie odpowiedział i dalej stąpali znów wśród deszczu ulewnego, po głazach drżących od huku grzmotów, których echa tłukły się po szczytach prawie bezustanku, pobudzane ciągle wznawiającemi gromami.

— Wiecie co, panowie—odezwał się—ja nie żałuję słońca i pogody: to jest straszne ale i przepyszne zarazem! Czuje się potężną siłę, mogącą zmiażdżyć w jednej chwili. Ten coby tu spadł, nie doleciałby do końca: woda by go zabiła.

— Spodziewam się — rzekł Witold — kamień wrzucony do Siklawy, wylatuje jak piłka w powietrze.

— Ja spadnę niezawodnie!—myślał Dawid cały drżący i uchwycił się mocno ręki przewodnika.

— A jednak trochę słońca przydałoby się—odrzekł Jakób—bo inaczej nie będziesz miał, sir, dokładnego wyobrażenia o Siklawie, z samego tylko szumu i huku potoku rzucającego się w przepaść. Tu jest jakby mała platforma. Stańmy i odpocznijmy trochę.

Słońce ulitowało się nad podróżnikami. Deszcz na chwilę ustał, a ono wyjrzało z za chmur i spotęgowało wrażenie, wytwarzając tęcze w rozpryskujących się falach kropli. Dumne czoła gór w koło sterczące i niemniej dumne choć u stóp ich leżące głazy i złomy, buchały parą. W dolinie pod niemi wstawały tumany, okrywały białym rańtuchem ziemię, wznosiły się kłębami ku podróżnym, obwijały ich i wyższe ponad nimi szczyty, mgłą nieprzebytą i spadały znów deszczem na posłanie z którego wstały. Byli tedy w łonie chmur, w legowisku piorunów. Zdawało im się, że grzmot ich z ust wychodzi, że to ich oczy błyskawice ciskają. Naprawdę zaś nie mówili nic z sobą, a widzieli tylko o parę kroków.

— Czy wasza Miłość życzy sobie zejść na dół do Roztoki, czy też wrócić na górę? Skąd dwie drogi prowadzą do Morskiego Oka: jedna przez Roztokę druga przez Świstówkę i Opalone.

— Przedstawcie mi korzyści jednej i drugiej, abym wiedział co wybrać.

— Idąc przez Swistówkę, można zobaczyć Morskie Oko z góry, z wielkiej wysokości; a idąc dołem, można w Roztoce odpocząć w schronisku i osuszyć się, coby nam się bardzo przydało, bo jesteśmy przemoknięci do nitki, a następnie...

— Dają tam dobrą jajecznicę—wtrącił Jakób.

— Roztoka... czy to tam, gdzie Witkiewicz czytał góralom Odyseję Homera?

— Tam właśnie. Do Morskiego Oka jest stamtąd tylko godzina drogi.

— A przez Swistówkę?

— Trzy godziny.

— O, to coś znaczy! Wypoczęlibyśmy dwiema godzinami wcześniej.

— A przytem w Roztoce są do widzenia Wodogrzmoty.

— Wodogrzmoty?

— Woda tej tu Siklawy rozbija się po wyniosłych skałach, i spada w czeluście. Wyżłobiła tam ona sobie w skale głęboki parów: jestto dzieło wielu wieków! Przyroda przystroiła parów ten mchami, bujną trawą i różnego gatunku krzewami! Długo te wspaniałe wodospady były niedostępne; pasterze tylko tam się zakradali, opowiadając o dziwach i przepaściach, w których gubił się potok huczący i zwano go „Wodogrzmotem."

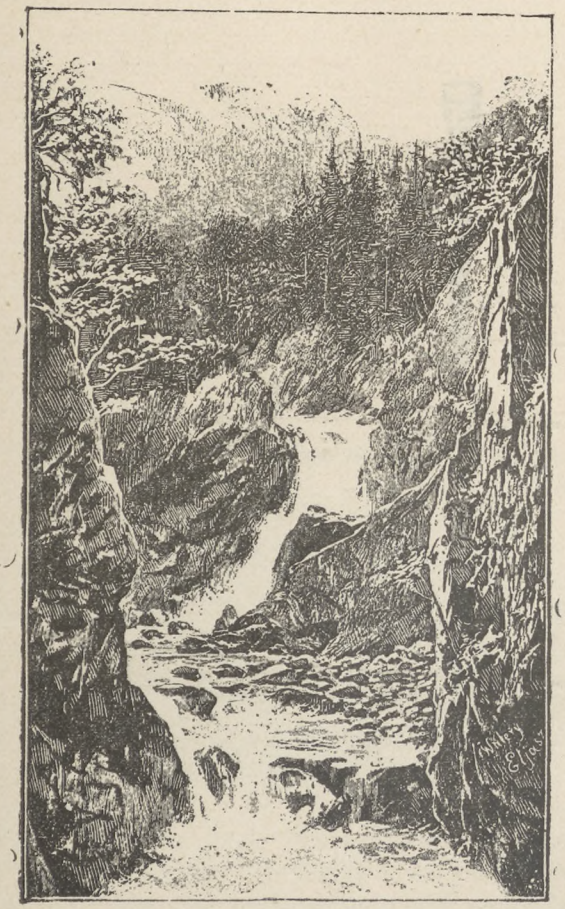

. . . zwano go „Wodogrzmotem".

— Trudno o wyrażenie dosadniejsze i więcej malownicze—rzekł Jakób.

— Dopiero po wyrobieniu ścieżki, wyszły na jaw ukryte dotąd piękności; a że ich odkrycie wypadło jednocześnie ze sprowadzeniem zwłok Mickiewicza z Francyi od Krakowa, więc goście w Zakopanem

zebrani na wiecu, uchwalili nazwać te wodospady ku czci wielkiego wieszcza, jego imieniem. Wodogrzmoty noszą odtąd nazwę „Wodospadów Mickiewicza“, o czem objaśnia podróżnych wmurowana w skalistą ścianę tablica.

Warburton słuchał zadumany i wybrał drogę w dół. Davy odechnął: będzie mógł nareszcie ogrzać się i odpocząć.

Nóż zbójnicki.

XXV.

BRANHIOPOD.

„Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia.“
Mickiewicz. Puszcza litewska.

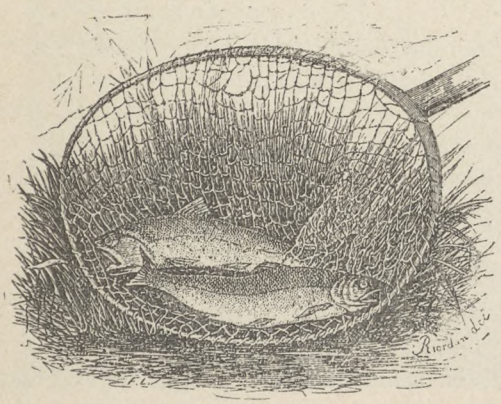

Deszcz ustawał i kapał znowu, gdy wyprawa Warburtona zwiedziwszy Wodogrzmoty, dążyła do Morskiego Oka, pragnąc ujrzeć je jeszcze przed zachodem słońca. Jednocześnie inna gromadka turystów do tego samego celu dążyła ścieżką spuszczającą się z Opalonego w dolinę. Górale spoglądali ciągle ku górze, gdzie gęste mgły wisiały, ale nie wypowiadali swoich obaw. Podróżni zmęczeni, dopytywali się raz wraz czy daleko jeszcze to Morskie Oko i otrzymywali odpowiedź, że „nie prec“; że „zaraz za tym brzeżkiem“, że „tuż, tuż“—w miarę jak zmniejszała się odległość, dzieląca ich od celu podróży. Wreszcie gdy przybyli do miejsca, gdzie zapytawszy po raz setny może: czy daleko to Morskie Oko? usłyszeli odpowiedź:

— Ady już som przy niem: oto Rysy na lewo, a na prawo Mnich. Morskie Oko tu za tym wałem z kamieni. Chodźcie prędzej, bo nic nie zobaczycie! Czy widzicie jak się mgły przewalają przez szczyty?

Wstąpili na wał i stała się rzecz niepojęta: zasłona z mgły nieprzebitej opadła w mgnieniu oka i zasłoniła przed niemi jezioro.

— Jesteśmy u Morskiego Oka, ale go dziś nie zobaczymy, i kto wie czy zobaczymy jutro—powiedział Witold—Bóg spuścił na nie zasłonę. Ale co robić? Gdy niema na to sposobu, pozostaje tylko rezygnacya!

... ścieżką spuszczającą się z Opalonego.

We mgle, która ich otoczyła, usłyszeli nagle głos:

— Gdzież jest do licha to Morskie Oko?— i ujrzeli przed sobą ręce rozkrzyżowane szukające drogi, jakby po omacku.

— Doktór Strand!—zawołali jednocześnie Walter i Warburton.— Jakąż pan drogą szedłeś żeśmy się nie spotkali?

— Przez Świstówkę; i całą dolinę Morskiego Oka, które teraz gdzieś się podziało, z dwoma jeziorami, widziałem już ze szczytu Opalonego.

— Toś pan szczęśliwszy od nas! A czy słyszałeś nasze wystrzały?

— Słyszałem, ale nie miałem czem na nie odpowiedzieć.

— A rewolwer?

— Zostawiłem go przy Dwoistym.

— Że też pan zawsze musisz coś zgubić. A Branchiopod jest?

— Jest! jest!—zawołał tryumfująco profesor—o, patrzcie!

Przyjaciele uczonego słyszeli tylko głos, nie mogąc dojrzeć wyciągniętej dłoni przez mgłę, która gęstniała — ale w tejże chwili posłyszeli brzęk szkła i jęk bolesny, rozdzierający.

— Co się stało?—zawołali biegnąc ku niemu.

— Branhiopod! ach, Branhiopod!—wołał żałośnie profesor.—Upadł mi słoik i pewnie się stłukł. Co za nieszczęście! cały trud stracony... i gdzie on jest? Nic nie widzę, ani nie mogę namacać!

— Pomożemy panu szukać. Ale jakże się to stało, żeś go upuścił?

— Jak? poprostu upadłem! Ach, mgła przeklęta!

— Panie profesorze — uspakajał go doktór — nie rozpaczaj pan, rzecz jest do powetowania. W tej chwili istotnie nic nie znajdziemy, ale jutro rano będziemy szukali. A gdyby poszukiwania nasze nie zostały uwieńczone skutkiem, lub sloik okazał się stłuczonym, pański przewodnik pójdzie do Dwoistego i przyniesie panu powtórnie ten cenny okaz.

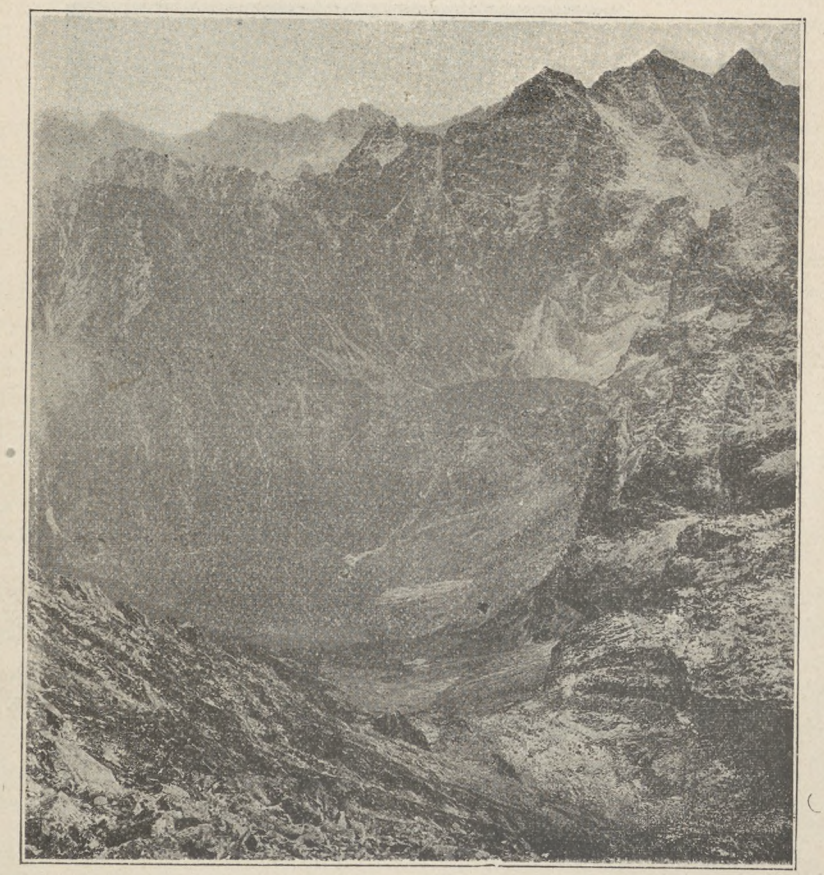

. . . widziałem już ze szczytu Opalonego.

Słowa te ukoiły nieco boleść profesora: dał pokój bezużytecznemu szukaniu i z rezygnacyą szedł wraz z innymi do schroniska. Obrokta mimo mgły zaczął grać Orawskiego marsza, i przy dźwiękach muzyki wstąpili na ganek położonego tuż nad wodą schroniska, po omacku, nie widząc prawie jeden drugiego. Było tam ludno i gwarno: goście siedzący przy stołach, różnemi mówili językami, a najwięcej po czesku

i po węgiersku. Z sieni widać było płonące w kuchni ognisko, i gospodarującego przy nim gazdę. Przy kominie krzątało się kilka góralek, z rondlami i garnkami w rękach. Ale Obrokta nagle Orawskiego marsza przemienił na pieśni „drobne“, i przeszedł w rytm tańca góralskiego. Tego tylko trzeba było góralom: zapomniawszy o trudach odbytej dopiero wycieczki, puścili się w taniec z dziewczętami.

... Puścili się w taniec z dziewczętami.

Przewodnik otworzył drzwi do izby na prawo i Warburton z Dawidem wszedł pierwszy, a wszedłszy, stanął u progu zdziwiony. Przy stole siedziała lady Chester. Przywiódł ją tu niepokój o syna, z którym nigdy jeszcze nie rozstawała się na tak długo. Ujrzawszy wchodzących, rzuciła się ku chłopcu i porwawszy go w objęcia, zaczęła ze łzami ściskać i całować, jakby go już miała za straconego i niespodzianie odzyskała.

— Moje dziecko najdroższe! myślałam że cię już nie zobaczę! — wołała w przerwach między jednym uściskiem a drugim.—Nie mogłam się doczekać waszego powrotu i wyjechałam na spotkanie. To już

czwarty dzień, jak mi cię zabrano! Przybyłam tu konno: co za okropna droga! Jakże, czyś nie chory? Czy nie boli cię głowa? Musisz być okropnie strudzony...

I odsuwając go na chwilę od siebie, żeby mu w oczy spojrzeć, zawołała ze zgrozą.

— Fe, w jakimże stanie ubranie twoje! Wyglądasz jak obdartus.

Istotnie, trudno było poznać Dawida: przymizerniał trochę, opalił się od wiatru i słońca, wskutek czego stracił chorobliwą cerę, ale piękne jego ubranie podarte było i zablocone, a z butów wyłaziły palce.

— Cicho, cicho, mateczko — szeptał chłopiec, wysuwając się delikatnie z jej objęć, bo go wstyd było tych pieszczot, i dodał cicho:— Mama nie przywitała się z dziadkiem.

— Ach, przepraszam, sir — poprawiła się spiesznie lady, mocno zakłopotana.—Jak zdrowie ojca?

— Doskonale, Alicyo: ruch, trud i górskie powietrze, to najlepsi lekarze. Nigdy nie byłem zdrowszym! Przypatrz się Dawidowi: teraz przynajmniej jest trochę podobniejszy do mężczyzny, i stracił swoją babską cerę. Z początku szło mu ciężko i tchórzył ciągle; ale potem zebrał się na odwagę i nie źle szedł. Ale tobie skąd tak nagle przyszła ochota do wycieczki?

— Chciałam zobaczyć was prędzej — rzekła zarumieniwszy się— i przyjechałam na spotkanie. Ach, co za droga! Opisać jej nie zdoła żadne pióro...

— A więc zachwyciły cię jej piękności?

— Ale gdzież tam! Co może być pięknego w dzikości? To jest dziki kraj, a na każdym kroku niebezpieczeństwo czyha na człowieka. Wszystko olbrzymie, straszliwe, przejmujące dreszczem przerażenia. Nie wiem co ludzie widzą tu pięknego! Szwajcarya zupełnie co innego; cywilizowani ludzie przynajmniej mogą tam bezpiecznie podróżować. Na każdym kroku jest hotel zaopatrzony we wszystkie wygody i restauracya.

— Najpiękniejsze miejsca opatrzone są poręczami, wszędzie stoją ławki wygodne do spoczynku, a na każde zawołanie zjawia się kelner we fraku i białych rękawiczkach — dokończył baronet: — szkoda że nie tam pojechałaś! Znając twe gusta i twoje usposobienie, odradzałem ci podróż w Tatry i naprawdę, dotąd nie zgaduję, dlaczego uparłaś się towarzyszyć mi?

Lady przygryzła usta.

— Sądziłam, że znajdę tu coś piękniejszego, że jest coś prawdy w tym rozgłosie, jaki się rozszedł po świecie o Tatrach. A przytem...

— Przytem, przytem... dokończ.

— Chciałam korzystać z twego towarzystwa, ojcze.

— Jestem ci niezmiernie obowiązany — odrzekł zimno — i umiem cenić twoją ofiarę. Ale, pozwól Alicyo: towarzysze moi chcą się z tobą przywitać.

Panowie powitali milady głębokim ukłonem, na co ona łaskawem skinieniem głowy odpowiedzieć raczyła, obrzuciwszy krytycznym wzrokiem suknie każdego. Znajdowały się one w nader smutnym stanie! Nie były to stroje do salonu, ale też miejsce w jakiem zamieniano ukłony, nie przypominało wcale salonów; była to wielka kwadratowa izba niezbyt czysta, z prostemi ławami, stołem i tapczanami, na których leżały sienniki napełnione słomą.

Jej własna toaleta zato była bez zarzutu: miała na sobie szewiotowy szlafroczek koloru olive, prześlicznie odbijający od alabastrowej cery, i jakby dopiero co przyniesiony z magazynu. Osoba tak wykwintna jak milady, nie puszcza się w podróż w jednej sukni. Przyjechała w pięknej granatowej amazonce, z którą deszcz, kosodrzewina i ostrze skał, obeszły się nielitościwie, bo teraz oto zawieszona na żerdzi, suszyła się przy ognisku. Suknia ta w pięknych fałdach zwieszająca się z konia, zaczepiana ciągle o gałęzie świerków i krawędzie skał, psuła w drodze humor wielkiej pani, i dała powód do tem większego na kraj utyskiwania. Przewodnik tłomaczył jej jeszcze w Zakopanem, że „do gór taka parada nie potrzebna“, ale go nie zrozumiała. Ujął więc za ogon jedną ręką, a drugą za nóż, pokazując na migi, że trzeba ogon uciąć. Wzięła to jednak za obrazę i aż poczerwieniała z irytacyi. Dał więc pokój, ale uśmiechał się z politowaniem, gdy owa wspaniała ozdoba z licznemi walczyć musiała z przeszkodami i ostatecznie została tak haniebnie sponiewierana przez deszcz ulewny.

Jedwabne wyłogi szlafroczka ozdobione guziczkami z massy perłowej, sznury wiążące go w pasie w fantazyjny węzeł, koronki u szyi i przy rękawach, pantofelki ze złoconej skórki, wszystko to byłoby na miejscu w apartamentach zamku Rochdale, ale tutaj zbyt wielkim uderzało kontrastem, wobec prostego urządzenia izby i ścian niepierwszej czystości, pokrytych setkami podpisów i rysunków, niekoniecznie pięknemi.

O wygodzie nikt tu nie marzył, każdy był rad, jeżeli mniejszy natłok podróżnych pozwolił mu zaspokoić niezbędne potrzeby: to jest wyspać się jako tako, osuszyć, oczyścić i posilić. Nocleg na twardym tapczanie, z siennikiem napchanym słomą, wydawał się rozkosznym spoczynkiem, strudzonym długą wycieczką turystom, a i to nie zawsze mieć było można; bo gdy w schronisku zebrało się dużo gości, nie wszyscy mieli tapczany. Sypiano wtedy na podłodze, na gałęziach kosodrzewiny, byle pod dachem, co też już wielką było wygodą, zwłaszcza gdy deszcz lał. Później przy Morskiem Oku zbudowano hotel, który

niedawno się spalił, i teraz turyści znowu po dawnemu w schronisku nocują. Wykwintną lady, całe to otoczenie napełniało wstrętem i słabo jej się robiło od zapachu owczej skóry, wydzielającego się z przemokłych serdaków, parujących przy ognisku, a dla uszów nieznośnym był gwar rozmów, wołania, śmiechy, bieganina przewodników—i góralska, rozdzierająca uszy muzyka.

Szczęśliwym trafem, prócz lady Chester i jej towarzyszki Fanny, nie było żadnej innej damy tego dnia przy Morskiem Oku; cała więc jedna izba mogła być do jej rozporządzenia, a Fanny postarała się ją, o ile to było możliwe, przyozdobić. Stała tam już srebrna podróżna gotowalnia, ława była okryta kocem, a tapczan skórą białych kóz angorskich, z którą milady nie rozstawała się w podróży. Część stołu nakryto cienką białą serwetą, a ze srebrnej maszynki spirytusowej unosiła się przepyszna woń kawy. Lady Chester potrzebowała koniecznie ulubionym napojem wzmocnić nerwy. Ofiarowała filiżankę sir Edwardowi, zapraszając też przez grzeczność jego towarzyszy, ale nie skorzystali z zaproszenia, tłomacząc się że już kazali przygotować sobie herbatę. Z rozmowy dowiedzieli się, że milady przybyła do Morskiego Oka na dwie godziny tylko przed niemi i widziała jeszcze niezasłonięte mgłą jezioro, ale nazwała je w rozdrażnieniu dziurą i wyraziła zdumienie, że ludzie odbywają do tej dziury tak utrudzające pielgrzymki.

Sir Edward przedstawił lady Chester Henryka. Jej lordowska mość na ukłon chłopca odpowiedziała zaledwie dostrzegalnem, protekcyonalnem skinieniem głowy i wziąwszy lornetkę, przypatrzyła mu się uważnie. Inaczej wyobrażała sobie pogromcę niedźwiedzia: w tym szczupłym, bladym chłopczyku, skromnie trzymającym się na uboczu, licho odzianym, nie było nic bohaterskiego — nic takiego z czego mogłaby się obawiać rywalizacyi dla swego syna. Nie wyglądał też na intryganta. Gdy lornetkę odjęła od oczu, twarz jej nieco poweselała.

Towarzysze baroneta pożegnawszy milady, cofnęli się do drugiej izby, a sir Edward wypiwszy kawę oddalił się także i matka została sam na sam z synem. Wtedy Davy zachowujący dotąd spokój, wybuchnął.

— O, mamo! czemu mama nie kazała mnie hartować? Czemu ja nie umiem znosić trudów i niewygód jak inni? Dlaczego jestem tchórzem? Czemu mi się kręci w głowie, gdy patrzę w przepaść? O, mamo, mamo, gdyby mama wiedziała, ile ja znosiłem upokorzeń, ile się nałykałem wstydu! Nawet górale śmieli się z mego niedołęstwa. Ten przybłęda był zręczniejszy, wytrwalszy i mężniejszy odemnie, i lepszy nawet... tak mamo, lepszy, bo ja go skrzywdziłem, a on się nawet nie poskarżył przed dziadkiem! Ubogie to, licho ubrane, ale dumne jak książątko, i zdaje się niedbać o nic, nawet o łaskę starego!

Słowa syna zdumiały i przeraziły lady Chester; on jej czynił wyrzuty? On! słychane rzeczy!

Wzięła go na egzamin, wyciągnęła z niego słowo po słowie, historyę całej wycieczki i ogarnął nią silny niepokój; dojrzała poważne niebezpieczeństwo. Gdy słuchała, często rumieniec gniewu i oburzenia występował jej na twarz; często wargi gryzła niemal do krwi, a z ust wyrywało się nawet ciche francuzkie przekleństwo. Cały jej temperament hamowany zwykle wysiłkiem woli, ujawnił się przytem. Chodziła po izbie krokiem gorączkowym, z załamanemi rękami, przemyśliwając co robić, jak niebezpieczeństwu zaradzić. Tysiączne projekta przychodziły jej do głowy, ale co jeden to wydawał się trudniejszym do wykonania, co jeden to więcej szalonym. Sir Edward ma prawo darzyć łaskami, kogo mu się podoba; jest nieograniczonym panem swej woli, i może też obdarzyć majątkiem obcego chłopca—skoro jest bez rodziny, jak się zdaje. Ale w tem cała rzecz, czy istotnie jest bez rodziny? Po co on tu wreszcie przyjechał? czego szuka? Kto jest ten chłopiec, którego tak pokochał? Może właśnie ten chłopiec...

Nagle uderzyła się w czoło: gdzież miała rozum? Należało zbadać stosunki tego chłopca. Co to za rodzina, zkąd? Po co tu przybyli i jak długo zabawią?

I jak zwykle osoby nerwowe, u których wyobraźnia powiększa wszystko do olbrzymich rozmiarów, tak ona uprzytomniwszy sobie w tej chwili twarz Henryka, szukała w niej podobieństwa do rysów sir Edwarda, i wydało jej się że znalazła. A ponieważ gwałtowne temperamenty potrzebują się zawsze wypowiedzieć, i znajdują w tem ulgę, więc gdy Fanny weszła, lady Chester wyrzuciła z serca cały swój gniew na przybłędę wkradającego się w łaski możnego cudzoziemca i cały swój żal do sir Edwarda, że może mieć skłonność do kogo innego, prócz jej syna. Miała jednak tyle przezorności, że nie wyspowiadała się przed nią ze swych domysłów, choć nie taiła obaw co do materyalnych skutków tej skłonności.

Młoda dziewczyna, częsty świadek nerwowych wybuchów milady, wysłuchawszy, odrzekła spokojnie iż zdaniem jej, milady przesadza niebezpieczeństwo. W podróżach często zawierają się znajomości powstają sympatye nie mające głębszego na przyszłość znaczenia; przypadkowi przyjaciele rzadko się potem spotykają w życiu. Sir Edward wreszcie jest tak bogatym, że niejednego może hojnie obdarzyć jeszcze mu dużo zostanie. Trzeba też liczyć na jego szlachetność.

Szlachetność... prawda! o tem nie pomyślała lady Alicya, a znała go przecież, wiedziała że był szlachetny i wspaniałomyślny!

I przenosząc się od rozpaczy do nadziei, równie prędko jak się w niej była pogrążyła, zaczęła snuć różowe marzenia na przyszłość.

Nie chciała jednakże już widzieć tego wieczora baroneta, znała bowiem bystry wzrok jego i obawiała się, aby nie wyczytał z jej oczów, co się działo w duszy; kazała mu więc oznajmić że się czuje niezdrową i musi się położyć.

Skromny tapczan w schronisku okryty wykwintną bielizną z irlandzkiego płótna, zamienił się w eleganckie choć twarde cokolwiek posłanie. Mała srebrna westalka, bez której milady nie ruszała się nigdzie, wydzielała subtelne wonie; zapachu owczej skóry nie było już w izbie ani śladu. Znalazł się i romans francuski, którym leżąc już usiłowała uspokoić wzburzony umysł.

Fanny rozebrawszy milady, przygotowawszy wszystko co jej było potrzeba, postawiła przy łóżku mały srebrny dzwoneczek i wyszła na ganek dla odetchnienia świeżem powietrzem. W sieni spotkała profesora, którego wyraz twarzy uderzył ją. Malowała się na niej desperacya i zniechęcenie.

Na sztywny jego ukłon, dziewczyna miłym odpowiedziała uśmiechem, lubiła bowiem szczerze doktora Stranda, i czuła dla niego wdzięczność za rozbudzenie w niej zamiłowania do nauk przyrodniczych, datującego od czasu, gdy jako dziecko jeszcze, towarzyszyła mu w jego wycieczkach nad jezioro. Spytała więc troskliwie co mu jest, czy nie chory?

Ale profesor w mniemaniu, że wszyscy już wiedzą o jego przygodzie, wziął to pytanie za chęć naigrawania się z cudzej boleści i odrzekł ze złością, że „kobietom nic do tego co mu jest; że żadna nie ma prawa wtrącać się w jego sprawy osobiste. Że wreszcie „szyderstwo z człowieka poważnego, nie przystoi osobie dobrze wychowanej, i nie spodziewał się tego po miss Fanny, która niegdyś wcale znośną była dziewczynką.“ W końcu dodał, zapalając się coraz więcej: że „mogłaby się wstydzić takiego postępku, choć coprawda, nie powinien się temu dziwić, bo po kobiecie wszystkiego spodziewać się można.“

To powiedziawszy, cofnął się i trzasną drzwiami.

Fanny osłupiała ze zdziwienia. Nie tyle zdumiały ją niesprawiedliwie posłyszane obelgi, ile wybuch gniewu człowieka, który zdawał się nie mieć kropli żółci w sobie — człowieka zawsze cichego i nieśmiałego w Rochdale, ożywiającego się jedynie wtedy, gdy była mowa o faunie głębinowej. Oczy jego zawsze przygasłe, błyskały iskrami gniewu, twarz pałała. Co mu się dziś stało? Go było przyczyną tej przemiany?

A profesora Stranda, zaledwie znalazł się za drzwiami, któremi tak odważnie trzasnął, opanowało straszne przygnębienie i wstyd... Czuł że postąpił jak żak, że ubliżył kobiecie, że stracił panowanie nad sobą—

i to go strasznie upokorzyło. Należał do tych natur spokojnych i flegmatycznych, które rzadko unoszą się gniewem, ale gdy im się to nareszcie zdarzy, bywają wtedy straszne. Taka chwila przyszła na niego. Ale bo też co za przewrotność! Wiedzieć o katastrofie i pytać się z uśmiechem kłamanego współczucia, co mu jest! O, te kobiety, te kobiety! co za wcielenie fałszu i obłudy!

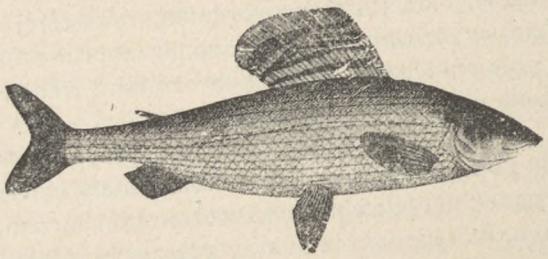

Lipień.

Fanny nie dała za wygranę. Jęła się dopytywać Dawida i dowiedziała się o przyczynie złego humoru profesora, a dowiedziawszy się, przebaczyła mu z całego serca jego porywczość — choć pozornie, aby go ukarać, udawała jeszcze obrażoną; bawiły ją zwłaszcza jego nieśmiałe spojrzenia, w których wyczytać było można wyrzut sumienia. Ułożyła ona sobie szlachetną zemstę. Rozpytawszy się dokładnie, w jakiem mniej więcej kierunku upadł słoik, postanowiła nazajutrz czynić poszukiwania na własną rękę. A nużby jej się udało znaleść Branchiopoda całego i żywego... co za tryumf! Co za upokorzenie dla biednego uczonego, że zostałby pokonany przez niewiastę!

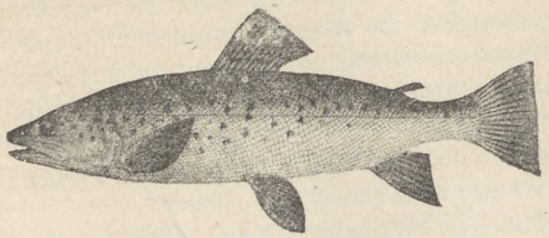

Pstrąg.

Oprócz Davego, na ten raz przekładającego sen nad kolacyę, wszyscy uczestni wyprawy zasiedli w drugiej izbie do stołu, gdzie kucharz Jack, podał na wieczerzę Lipienie duszone z włoszczyzną, obłożone kartofelkami i Pstrągi na sposób tatrzański w cieście smażone, które wybornie smakowały zgłodniałym wycieczkowiczom. Potem wniósł na dużym półmisku wspaniałego Łososia, złowionego w Morskiem Oku, z sosem tatarskim. Warburton okazał zdziwienie na widok tej wykwintnej potrawy!

— Co widzę? — zawołał — morska ryba tutaj! Zbyt wielka odległość tego zakątka górskiego od morza i brak kolei żelaznej, nie pozwala przypuszczać aby została zkąd inąd sprowadzoną, zwłaszcza

w czasie gorącego lata. Słyszałem że istnieje jakaś legenda, o łączności podziemnej tego jeziora z morzem. Czyżby to było prawdą?

— Legenda rzeczywiście istnieje — odrzekł Witold—i znajdowała wiarę nawet u inteligencyi. Mówiono że jakiś kupiec znalazł tutaj szkatułkę zgubioną podczas morskiej podróży, a Stanisławowi Augustowi przyniesiono nawet odłamki z belek znalezionych na powierzchni Morskiego Oka, mających być szczątkami rozbitego gdzieś na morzu okrętu. Okruchy te wystawione były w zamku królewskim w Warszawie na widok publiczny, a rząd austryacki wydelegował nawet Komisyę naukową do badania Karpat, która przedsiewzięła sprawdzić wiadomości o komunikacyi morza z jeziorami tatrzańskiemi.

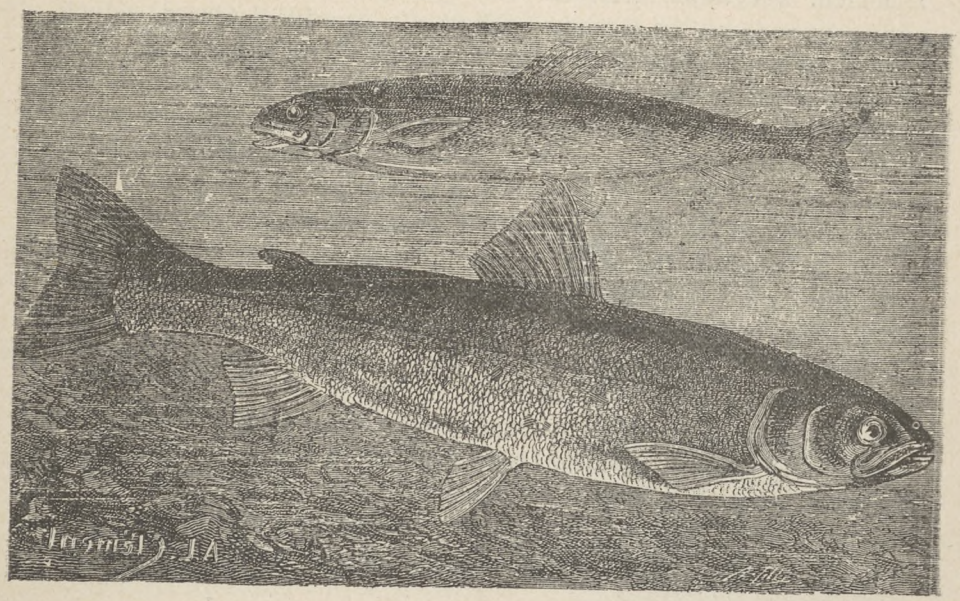

Łososie.

— Morskiemi oczami zwano wszystkie stawy tatrzańskie — wtrącił doktór—było ich aż sto dwadzieścia!

Doktór Strand, którego to zaczęło interesować, odezwał się:

— Gdyby jezioro łączyło się z morzem, musiałoby ulegać przypływom i odpływom.

— Tak też twierdził jeden z członków Komisyi, nawet zatknął znak na brzegu Ciemnosmereczyńskiego [1]) jeziora; ale nazajutrz nie zna-

[1]) Jeziora Ciemnosmereczyńskie leżą między turniami Mięguszowieckiego szczytu, Cubryny i Koprowego Wierchu.

lazł żadnej zmiany. Woda ani się podniosła, ani opadła. Osądził więc, że legenda nie jest oparta na rzeczywistości.

— Byli jednak tacy, co twierdzili że te odpływy i przypływy, widzieli. Górale mianowicie utrzymują, że wody Morskiego Oka w pewnych porach podnoszą się do góry, a w pewnych na dół opadają. Staszyc tłomaczył to podniesienie skutkiem nawalnych deszczów i roztopień śnieżnych. Wówczas wody Morskiego Oka wznoszą się nagle, dopóki nie przebiorą grzbietu pozostałego z rozwalonej ściany, a w całej szerokości kilkuset stóp przewalając się tamtędy, wyglądają jak ogromna rzeka, na kilka stóp wysoko i szeroko lecąca w Rybie jezioro.

— Zdaje mi się, że mogę państwu dowieść prawdziwej łączności z morzem wszystkich morskich oczu tych gór — odezwał się Strand — i wyjaśnić rodowód tej legendy. Sięga ona czasów bardzo odległych, czasów owych, o których panowie Raciborski i Limanowski, tak piękną ułożyli opowieść; prawdopodobnie okresu lodowego, gdy wszystkie niziny i doliny zalane były morzem. Przechowuje się podobno dotąd na Podhalu tradycya, że woda spłynęła tu dopiero przez przebicie skał w Pieninach. W ten sposób zbiorniki wód w tych górach, mogły się łatwo wydać ludziom zamieszkującym wówczas jaskinie, cząstkami morza łączącego się pod ziemią z jeziorami, zwłaszcza że nie znali prawa fizycznego o równowadze płynu w naczyniach łączność z sobą mających. Ztąd też pewnie powstała nazwa Morskiego Oka.

— Tradycya o morzu spotyka się i u ludów w innych górach zamieszkujących—wtrącił Warburton.

— Że łączność ta nie istnieje, dowiódł tego niedawno znakomity przyrodnik polski, Eugeniusz Dziewulski, który pomierzył większe jeziora tatrzańskie. Mierzył on głębokość tego jeziora z całą dokładnością i badał dno jego za pomocą przyrządu wynalezionego przez profesora Dybowskiego, przy mierzeniu Bajkału. Wasza Miłość pewnie o nim nie słyszał?

— Wiem, wiem, Dybowski, znakomity przyrodnik i podróżnik. Rozpisywał się o nim w swoim czasie *Times*.

— Otóż przyrząd ten puszcza się z ciężarkiem na dno, a jest zaopatrzony w metalową szczękę z kolcami, dla chwytania tego co się na dnie znajduje. Dziewulski więc używając tego przyrządu, nietylko zbadał głębokość jezior, ale pozbierał muł znajdujący się na dnie, a z mułem i różne żyjątka, które znowu zdeterminował profesor Ślósarski.

— Jakąż tedy znalazł głębokość?

— Rozmaitą. Największa wynosiła około pięćdziesięciu metrów, a mierzył je w różnych miejscach. Zdjął bowiem dokładny plan dna jeziora i podzielił na siedem równych części, które badał w odległościach stumetrowych.

— Ale owa komunikacya podziemna z morzem, znajdować się może w miejscu, którego nie dotknęła ołowianka —wtrącił Henryk.

— Kiedy on nietylko wzdłuż, ale i wszerz jezioro przemierzył.

— Co też owa szczęka metalowa złowiła na dnie?

— Okrzemki, Korzenionóżki i trochę mułu.

— Bardzo lichy połów...

— Skutkiem tego jeziora tatrzańskie są bezrybne, a to, przy którem znajdujemy się obecnie, jest jedyne w którem poławiają się pstrągi i łososie, i dla tego też zowie się Rybiem.

— A więc lipienie, które widzimy jeszcze na stole, nie pochodzą z Rybiego?

— One poławiają się w potokach.

— Towarzystwo Tatrzańskie zaprowadziło prawidłowy chów łososi i pstrągów — wtrącił Jakób. — W tym celu zarybiony był Dunajec oraz inne rzeki i stawy tatrzańskie. Doświadczenie pokaże, o ile się powiedzie ta hodowla.

— Ale nie dowiedziałem się dotąd, pomimo waszej długiej rozprawy, moi panowie, zkąd wzięła się tu na stole morska ryba, której szczególnym jestem amatorem. Dowiedliście, że Morskie Oko nie ma komunikacyi z morzem; więc pytam po raz trzeci, skąd się tu wzięła? bo o pstrągach wiem, że żyją w górskich potokach i posuwają się aż do stawów. Czem tedy żyją, nie pojmuję, gdy niema nic do jedzenia!

... Przeskakują wodospady.

— Tak znowu źle nie jest: nad wodą latają owady, i te są w powietrzu chwytane przez zwinne pstrągi, wyskakujące z wody rzutem dobrze wymierzonym, jak nietoperz lub jaskółka; tutaj zaś łowić mogą gąsienice i poczwarki. Co do łososia, nie jestto stały mórz mieszkaniec, ale ryba wędrowna. Żyje w wodzie morskiej i słodkiej. Na wiosnę ciągnie z morza Baltyckiego i Niemieckiego do Renu, Elby, Wezery, a u nas do Wisły i jej przytoków, to jest Dunajca z Białką, Sanu, Skawy, Bugu. Wodospady, tamy i inne zapory, napotkane na drodze, przeskakuje i idzie coraz dalej pod wodę, aż ku źródłowiskom rzek. Tutaj czas jakiś przebywa, tu składa ikrę na dnie wody w dołek, który sam wygrzebawszy, następnie zagrzebuje starannie. Po dokonaniu tego,

wracają łososie jedne po drugich do morza, o ile ich rybacy nie wyłowili. Młode rodzą się w rzekach, ale kiedy płyną niemi do morza, niewiadomo: to tylko pewne i to jest ich cechą szczególną, że podrósłszy w morzu, wracają składać ikrę w te same rzeki, w których się zrodziły.

— Między zwierzętami często się zdarzają takie objawy patryotyzmu—rzekł Strand.

— Ludzie mogą sie od nich niejednego nauczyć—dodał Jakób.

Warburton podniósł się i rzekł:

— Wybaczycie panowie że się oddalę, jestem bardzo znużony. Nie mówię wam dobranoc, bo wkrótce zapewne podążycie za mną. Do widzenia.

Przy stole zapanowało milczenie.

— Co się stało sir Edwardowi?—zawołał Witold, gdy Warburton oddalił się.—Tylko co mówił, że łosoś jest jego ulubioną potrawą, a gdy tę potrawę podano, zaledwie jej dotknął, już odchodzi... A doprawdy, że kucharz ją wybornie przyrządził. Prawdziwe arcydzieło!

Przysunąwszy półmisek, nałożył sobie sporą porcyę na talerz i dodał:

— Ale ja jutro na obiad przyrządzę potrawę, która nie wiem czy smakować będzie Anglikowi.

— Co! pan się zna na kucharstwie? — zapytał Walter zdziwiony.

— Tak, trochę...

— Czy można wiedzieć, co to będzie takiego?—zapytał Jakób.

— Zobaczysz pan jutro.

I zaczął z cicha pogwizdywać, co było u niego oznaką dobrego humoru—wreszcie dodał:

— Szkoda, że sir Edward nas opuścił: chciałem opowiedzieć państwu legendę o Morskiem Oku.

— Opowiedz nam pan, opowiedz—wołali wszyscy — prosimy bardzo.

— Ale i na nas już czas spać: odłóżmy opowiadanie do jutra—drożył się Witold, czem jeszcze więcej wszystkich zaciekawił.

— Powieść chyba nie będzie długa—wtrącił Walter—więc wypijmy jeszcze po jednej szklaneczce.

— Zgoda—rzekł malarz, biorąc butelkę, a gdy wszystkim napełnił kieliszki, tak mówić zaczął:

— Gdzie teraz wznoszą się góry i skały, poprzerzynane wąwozami, rozciągał się niegdyś kraj równy, żyzny, pokryty łanami złocistego zboża, kwiecistemi łąkami i zielonemi lasami. Cała ta ziemia bogata, aż po granicę węgierską, była własnością możnego polskiego pana, który się zwał Morski. Był on wdowcem i miał córkę jedyną cudnej urody; miłował ją nad życie, otaczał dostatkami, nie odmawiał niczego. Młoda dziewica mieszkała w zamku wspaniałym, przechadzała się po ogrodach przepysznych, pełnych najrzadszych owoców i kwiatów, stroiła się w kosztowne szaty i klejnoty.

Wśród tych bogactw i tego przepychu, brakło jej tylko jednego najszacowniejszego skarbu: opieki i troskliwości macierzyńskiej. Ojciec, choćby najlepszy, nie jest w stanie dziewczęciu matki zastąpić. Czuł to pan Morski i ciężko wzdychał, ilekroć przypomniał sobie zacną towarzyszkę, którą przed laty utracił. Tymczasem córka dorosła; sława niepospolitej jej urody rozniosła się po całym kraju—mnóstwo też młodych panów zajeżdżało na zamek pana Morskiego, pragnąc pozyskać rękę pięknej jego córy. Ojciec jednak nie spieszył się z wyborem: każdemu odpowiadał, że dziewczę jeszcze za młode.

Panna Morska wyszła raz na jagody do lasu w towarzystwie służebnych swych dziewcząt, a ponieważ pogoda była piękna, wesoła gromadka zapędziła się za daleko, zabłądziła i nie wiedząc o tem, przekroczyła granicę węgierską. Na Węgrzech panował wówczas młody i urodziwy książę; ten właśnie wyjechał był na łowy do lasu, spotkał dziewicę zbłąkaną, powitał z uszanowaniem—i z rycerską grzecznością do granicy odprowadził, drogę wskazał, przy pożegnaniu zaś powiedział, że wkrótce o nim posłyszy.

Książę rozmiłował się srodze w pannie Morskiej: chociaż nie była ani królewną, ani księżną, postanowił ją wziąść za żonę. Wyprawił też niezwłocznie posłów do polskiego pana, prosząc o rękę córki; ani wątpił, iż przychylną odpowiedź otrzyma: był przecież księciem udzielnym. Ale pan Morski posłów z niczem odprawił: powiedział im, że córki swej jedynej za Węgrzyna nie wyda, choćby był królem, nietylko księciem, gdyż pragnie ją widzieć żoną rodaka.

Zdziwił się książę i zasmucił; nie stracił jednak wszelkiej nadziei. Sam z licznym orszakiem pojechał na zamek pana Morskiego, wziął z sobą dary bogate dla ojca i dla córki, kłaniał się i prosił pokornie, aby mu piękną dziewicę oddano za żonę. Lecz i tym razem otrzymał takąż samą odpowiedź; pan Morski darów nie przyjął, córkę zamknął i nawet gościowi nie pokazał; poprzysiągł też uroczyście, że nie wyda jej nigdy za Węgrzyna, bo chce mieć zięcia swojaka. Książę ze smutkiem odjechać musiał.

Pannie Morskiej podobał się urodziwy młodzieniec, a może więcej jeszcze ujęło ją wysokie jego dostojeństwo. Była córką możnego i bogatego pana, lecz zapragnęła zostać księżną panującą; płakała więc i narzekała na srogość ojca, błagała gorąco, aby od postanowienia odstąpił i pozwolił jej węgierskiego księcia zaślubić! Ale on tem więcej się uparł, ofuknął ją po raz pierwszy w życiu z gniewem wielkim, zabronił myśleć o Węgrzynie i zagroził że ją przeklnie, gdyby ważyła się kiedykolwiek wolę jego przełamać.

Aż oto w tym czasie król polski rozesłał wici po całym kraju, wzywając wszystkich, kto w Boga wierzy, na wielką wojenną wyprawę przeciw Tatarom. Pan Morski był mężnym rycerzem: wnet hufiec zbrojnych wystawił i stanął na jego czele. Nim odjechał, obawiając się o bezpieczeństwo swego zamku, córkę odwiózł do klasztoru i powierzył opiece pobożnych zakonnic. Potem wyruszył w pole za królem.

Wojna trwała bardzo długo, pan Morski nie wracał i nie dawał znać o sobie. Tymczasem młoda jego córka nudziła się w murach klasztornych, tęskniła za pięknym światem, za lasami zielonemi, za kwiecistemi łąkami, za śpiewem ptasząt i szmerem strumieni. Pewnego wieczora, gdy siedziała sama jedna w swojej celi, a zakonnice wszystkie modliły się na chórze, drzwi skrzypnęły z cicha i weszła nieznajoma staruszka. Była to żebraczka, która wprosiła się za kratę klasztorną i przypadkiem niby do panny Morskiej trafiła.

Ale staruszka ta znała się na różnych czarach; przysłał ją książę węgierski, aby urok rzuciła na piękną dziewicę, którą postanowił wbrew woli ojca poślubić. Żebraczka, obdarzona hojnie przez panienkę, prosiła ją aby pozwoliła sobie powróżyć; ta chętnie na to przystała, chcąc się nieco rozerwać. Wróżka wzięła rękę dziewczyny, wpatrywała się w nią długo, kiwała głową i tak mówiła:

— Piękna panienko, czeka cię los bardzo świetny i szczęśliwy. Opuścisz wkrótce ten klasztor; nie na mniszkę ty jesteś stworzona! Będziesz panią wielką, zamieszkasz w pałacu wspaniałym, w komnatach złocistych, zasiądziesz na książęcym tronie. Małżonek twój przyszły, młody, urodziwy książę, proch zmiatać będzie przd stopami twemi, obsypie cię złotem, klejnotami, bogactwem wielkiem. Nigdy nawet we śnie nie marzyłaś o takiem szczęściu, jakie czeka ciebie.

Gdy wróżka tak mówiła, panienka przypomniała sobie księcia węgierskiego, który to dziewosłębów przysyłał do zamku jej ojca; nie wątpiła, że małżeństwo to postanowione jest w wyrokach przeznaczenia. Stara wróżka czarodziejka urok na nią taki rzuciła, że odtąd ciągle o młodym księciu myślała i wydawał jej się najpiękniejszym i najlepszym ze wszystkich ludzi na świecie. Dnie upływały, ojciec nie wracał, dziewczyna nudziła się sama jedna w ktasztorze, tęskniła i wzdychała.

Przyszła wróżka raz i drugi: wpuszczano ją łatwo do klasztoru, bo umiała się ułożyć i udawała pobożną pielgrzymkę. Tym razem już nie wróżyła panience; ale gdy nikt nie widział, wyjęła z pod ciemnego płaszcza kosztowną skrzyneczkę, złotem okutą, otworzyła ją, a panna Morska aż wykrzyknęła z podziwu. W skrzyneczce były takie przepyszne perły i korale, jakich nigdy w życiu nie widziała. I powiedziała jej stara wróżka, że to młody książę węgierski przysyła te dary wraz z pozdrowieniem narzeczonej swojej i ma nadzieję wkrótce ją nazwać swoją małżonką: oznajmiły mu to wróżki przeznaczenia.

Panienka przypomniała sobie wprawdzie, że ojciec przekleństwem jej zagroził, gdyby wyszła za cudzoziemca przeciw jego woli; lecz uroki wróżki wielką miały siłę: coraz rzadziej myślała o ojcu, coraz częściej o pięknym węgierskim księciu. Aż pewnego dnia stanął u furty klasztornej mnich sędziwy, z kijem pielgrzymim w ręku i o jałmużnę prosił. Zakonnice nie przeczuwając zdrady, wpuściły go do wnętrza i kazały dać posiłek w refektarzu.

Tym mnichem-pielgrzymem był przebrany książę węgierski. Gdy zakonnice modliły się na chórze, on pannę Morską odszukał i namówił, aby z nim wyszła pokryjomu z klasztoru. Owa wróżka, czarodziejska, wierna jego sługa, dała mu zioła usypiające; więc książę obsypał niemi psy, co strzegły klasztoru, a tak niepostrzeżony przez nikogo panienkę uprowadził. W pobliżu stały konie w pogotowiu pod strażą masztalerza; książę zrzucił habit mnicha, w przepysznym rynsztunku wskoczył na konia, pannę posadził przed sobą i pomknął cwałem do Węgier. A tam w kościele czekał kapłan ze stułą i tegoż dnia jeszcze panna Morska księżną została.

Sprawdziły się zrazu słowa wróżki: książę miłował małżonkę swoją, i wszelkich starań dokładał, aby była szczęśliwą. Osadził ją w przepysznym pałacu koralowym, lśniącym od złota i klejnotów. Cały dzień księżna młoda pląsała po łąkach kwiecistych, a wieczorem wróżki śpiewały jej pieśni urocze i do snu ją kołysały. Młode małżeństwo żyło zgodnie i szczęśliwie, wszystko im się wiodło, mieli dziatek siedmioro ślicznych i zdrowych; w kraju ich panował dobrobyt, zboże pięknie rodziło, nigdy przez te lata nie przytrafiła się klęska żadna, ani grad, ani powódź, ani pożar.

Upłynęło lat z dziesięć, o panu Morskim nie było słychu. Dawno już wojna się skończyła, rycerze do domów popowracali; o nim wieść się rozniosła, że zginął z ręki Tatarów. Córka przywdziała żałobę, dobytek po ojcu zabrała i zapomniała zupełnie o groźbach i przekleństwach.

Aż dnia pewnego niespodzianie powrócił stary pan Morski z niewoli tatarskiej. Zajechał do zamku swego; poznała go służba, witała pana z radością, bo dobrym był zawsze dla sług. On zaraz o córkę

spytał, więc mu powiedziano, że księżną jest węgierską i mieszka niedaleko w pałacu koralowym.

Pobiegł tymczasem któryś ze sług wiernych do księżny i dał jej znać o powrocie ojca. Zlękła się nieco, lecz sądziła że dziś, po tylu latach, ojciec zapomni dawnych postanowień i przebaczy. Więc spiesznie na czarne szaty żałobne, włożyła klejnoty i do ojca iść chciała na zamek. Lecz zaledwie wyszła, spotkała go przed swoim pałacem i witać poczęła czułemi słowy. Stary pan Morski podniósł groźnie prawicę w górę, nogą o ziemię uderzył i pałac koralowy rozsypał się w gruzy, a on wymówił słowa przekleństwa:

— Oby ten Węgrzyn twój i całe mienie jego przemieniło się w kamień!

Księżna przerażona, przywołała dzieci swoje i z płaczem rzewnym objęła kolana ojca, błagając go o litość, a on z większym jeszcze gniewem wykrzyknął:

— Rozpłyń się we łzach swoich, a dzieci te niech w nich potoną! Aniś ty córka moja, ani one moje wnuki!

I wnet spełniło się straszliwe przekleństwo ojcowskie. Pola, lasy, łąki, pałace i wioski, wszystko znikło — natomiast dzikie skały i głazy zaległy całą okolicę. Przerażenie ogarnęło księcia, przebrał się za mnicha, jak niegdyś, gdy do klasztoru podstępnie się zakradał i umknąć chciał do swojej węgierskiej stolicy. Lecz w jednej chwili zmartwiał i skamieniał, a postać jego do tej pory stoi tu nad jeziorem niewzruszona i „Mnichem“ się zowie.

Księżną patrzała na to i zalewała się gorzkiemi łzami; zgromadziła dziatki dokoła siebie i wielkim głosem wołała wróżek swych, czarodziejek, na ratunek. Lecz moc ich nie była w stanie zażegnać ojcowskiego przekleństwa. Zbiegły się przelęknione i drżące, każda chwyciła na ręce jedno dziecko i uciekała z niem z tych miejsc okropnych; ale skały i głazy rosły pod ich stopami i zagradzały im drogę. Posiadały więc wszystkie, bezsilne i smutne, czekając śmierci—bo widziały, że niema tu dla nikogo ratunku.

Dzieci płakały i żałośnie wołały matki, ona kolejno przybiegała do nich i tuliła je, a z oczu jej łzy lały się strumieniem —lały się bezustanku, spływały w doliny i powstało z nich siedem stawów. W każdym stawie jedno dziecię zatonęło. Wówczas księżna zapłakała tak rzewnie, że wypłakała oczy. Jedno stoczyło się z wysokiej skały i wpadło do głębokiego stawu, który też stąd nosi nazwę Morskiego Oka. Nakoniec i sama księżna wpadła w staw inny, a że czarne szaty miała na sobie, więc woda zabarwiła się od nich i staw Czarnym się zowie.

— Takie podanie opowiada lud tatrzański o swoich skałach i stawach, dodał Witold skończywszy opowiadanie — i sięgnął po kieliszek.

Walter słuchający z wielkiem skupieniem, odezwał się:

— W tem opowiadaniu jest dużo poezyi i tragizm wielki, a jak nić czerwona, przebłyskuje piękna zasada, którą stoją narody: Przy swojem stać i swoje miłować.

Gdy towarzysze baroneta wracali do izby przeznaczonej na nocleg, baronet nie spał jeszcze, bo w ciemności błyszczał ogień jego cygara. Że jednak nie odzywał się wcale, więc udali że tego nie spostrzegają i zachowywali się jak mogli najciszej.

Wieszak od łyżnika.

XXVI.

KOBIETA BEZ ZŁOŚCI.

„Kobieta puch marny! kobieta niebianka!
Kobieta to cacko! to raju mieszkanka!“
Krakowowa. Kobieta.

Szaro jeszcze było, gdy goście nocujący w schronisku zaczęli wstawać. Trzask ognia, rozmowy górali, bieganina, wszystko wskazywało że dzień się zbliża. Lady Chester, której różnorodne myśli długo nie pozwalały zasnąć i zaledwie się teraz zdrzemnęła, została wczesnym ruchem przebudzoną i jęła po francuzku wyrzekać na barbarzyński kraj, na brak spokoju, na twardość łoża, i wzdychała swoim zwyczajem za Szwajcaryą, hotelami w których się czuje Europę, oraz na dziwactwo baroneta, którego niewiadomo co pociągnęło do pół Azyi.

Fanny nie próbowała przeczyć, bo uważała to za rzecz bezużyczną, a nieużytecznych rzeczy unikała z zasady. Zrobiła tylko w myśl milady nawiasową uwagę, że szkoda iż dostojna pani na ten rok sprzeniewierzyła się Alpom. Ale uwaga ta rozgniewała ją jak dotknięcie bolącego miejsca rozpalonem żelazem. Rzuciła nienawistne, podejrzliwe spojrzenie na towarzyszkę i umilkła, poczem wznowiła narzekania na niewygodne poslanie. Młoda dziewczyna z anielską cierpliwo-

ścią kilkakrotnie odwracała i przekładała poduszki. Wreszcie gdy zaczynało świtać, i goście ze schroniska wysypali się gromadnie na ganek, zrobiło się ciszej i milady po dwukrotnem zażyciu bromu, usnęła. Fanny, którą od wczoraj nie odstępowała myśl o Branhiopodzie, postawiła przy łóżku pani dzwonek i wysunęła się na palcach z izby.

Zgromadzeni na ganku turyści, pili przy stołach gorącą herbatę, otulając się w płaszcze i pledy, bo chłód przenikał do kości. Rozmawiali półgłosem, jakby się bali kogoś śpiącego przebudzić—tylko łyżeczki brzęczały o szklanki. Jeziora nie było jeszcze widać: leżała na niem mgła, czyli jak górale mówią „szmata“, biała, ciężka — zasłaniała wszystko dokoła i zdawała się być nieruchomą. Była ona tak gęsta, że odbijała na sobie odblask ogniska palącego się na kominie, wprost drzwi wchodowych. Przy ognisku tem skupieni przewodnicy palili papierosy, gazda gotował wodę w kotliczkach na herbatę, a wszyscy przypatrywali się ciekawie Witoldowi, jak trzymając rondel w jednej ręce, a w drugiej łyżkę, uwijał się koło komina, pożyczywszy fartucha od Jerrego.

Choć w powietrzu była cisza, jednakże niektórzy z siedzących na ganku uczuwali na twarzy leciutkie powiewy wiatru, i wyrażali nadzieję, że on wzmoże się i rozpędzi mgłę. Rozmawiając półgłosem, sprzeczali się—czy jezioro zostanie odsłonięte, czy nie—a Jack i Jerry, zrobili zaraz naprędce zakład.

Świt zbliżał się coraz wyraźniej: przez szmatę przebiegło lekkie drżenie i znowu zaległa na niej nieruchomość. Wtem z boku, przeleciała przez szmatę błyskawica, za nią druga i trzecia — co jedna to dłuższa; przeglądały przez mgłę jakieś blaski, jakby kto zapalał pochodnie: widnem było, że się coś dzieje za tą zasłoną, jakby w świątyni... coś tajemniczego, niezwykłego, i patrzących brała ciekawość co to takiego. Nagle stało się coś dziwnego: szmata rozdarła się na poły, i połowy obie jęły się drzeć na strzępy, odsłaniając kawałkami szybę jeziora, a strzępy jak stado ptaków, wzlatywały ciężko w górę, chwiejąc się, ważąc, i jakby siły do lotu wyższego nie miały, czepiały się skał, opadały, wznosiły się znowu, aż posiadały nad szczytami turni.

Wszyscy powstawali, przypatrując się temu dziwnemu, ciekawemu zjawisku, w którem co sekunda niemal, to była zmiana. Słońce nie oświeciło jeszcze powierzchni wody, boki pozostawały w cieniu, tylko po przez szczerby skał, ukośnie, szedł promień coraz dłuższy, a za nim jeden, drugi, dziesiąty, od zapalonych szczytów, i kładły się na stawie niby struny harfy olbrzymiej, po której żwawo uwijały się pstrągi. Patrzący wstrzymywali oddech, jakby czekali na mającą się ozwać pieśń, którą każdy słyszał w swej duszy przy wtórze monotonnego szumu wody. Wreszcie na harfie tej położył się zielonawy cień, a w miarę jak słońce idąc coraz wyżej, rozjaśniało ściany turni, bladła harfa, aż

rozpłynęła się jak mgła—cień ustępował ku brzegom jeziora, które też okrążył; środek zajął ciemny granat, mieniący się chwilami szafirem, a w szafirze tym przeglądały się ściany, jak w najczystszem zwierciadle. Wystąpiły teraz na jaw tysiączne szczegóły niewidzialne dotąd: źleby, skarpy skalne, paprocie, krzaki kosodrzewiny, smreki i piękne ciemno zielone limby.

. . . boki pozostawały jeszcze w cieniu.

Warburton patrzał, pijąc całą duszą poezyę tego widoku, a w oczach jego widniał zachwyt. Zapomniał o wszystkiem, a widział przed sobą tylko grę barw zmieniających się ustawicznie, świateł i cieni. Ktoś się za nim poruszył: obejrzał się. Był to Witold, który już fartuch odpasał i przyglądał się wraz z innymi.

— Powiadają, że niema dwóch listków na drzewie, zupełnie podobnych do siebie—przemówił młodzieniec—i ja powiem, że w górach żaden dzień nie jest do drugiego podobny, a malarz i poeta, znajdą zawsze coś nowego do wyśpiewania lub namalowania. Kilka razy widziałem wschód słońca przy Morskiem Oku, i zawsze miałem niespodziane wrażenie. Gdy Witkiewicz tu był, zasłona z mgły nie rozdzierała się tak na poły, jak dzisiaj. Nad szczytami rozpięte było niebo jasne, nikłe, blade; świat wyglądał jak gdyby mdlał i konał. Nad wodą płynęła lekko

mgła, która uchodząc za biegiem wody, skryła się po lasach, uniosła nagle po nad smereki i ciągnęła znów w górę ku Morskiemu Oku, jakby

. . . Słońce idąc coraz wyżej, rozjaśniało ściany turni.

ptak górą wracał z nocnego żerowiska do swego gniazda, którem jest cała kotlina jeziora. Wielkie białe skrzydła tego ptaka pływały bez szumu ważąc się nad głębią wody: nagle jakby porwane przerażeniem

uniosły się w górę po płaszczyznach ścian pionowych, zwijały znów, roztaczały i rozpraszały, uniesione prądem powietrza gdzieś po za skałami. Ogniki na szczytach rozpalały się tak jak dziś, a gdy olbrzymi snop światła wytrysnął z za ciemnych skał i upadł na brzeg jeziora w stronie Rysów, wszystko dokola ściemniało, woda jeziora zamroczyła się, jakby zatopiła się z niej noc bezksiężycowa, lasy zczerniały i tylko tam u przeciwnego brzegu wysunięty skrawek ziemi świecił jak elektryczne ognisko. To było słońce: ono stopiło kryształy szronu i drgało w ciężkiej rosie zalewającej mchy i trawy i korony limb, które jak białe płomienie zapalały się, gdy ich dotknęła pożoga słonecznych blasków.

— Jest wielka siła w tem malowaniu — wtrącił Warburton—i plastyka taka, że się widzi własnemi oczyma cały obraz, inny od tego jaki mamy przed oczyma, ale równie piękny.

— W Morskiem Oku widzi on naprawdę podobieństwo do oka, zwłaszcza przy blasku słońca. Otoczone jasnemi gruzami granitów niby białkiem, z czarną w środku źrenicą, rozchodzącą się do brzegów przezroczystemi tonami seledynowemi, z tym połyskiem słonecznym, zdaje się patrzeć w niebo, z pod szarej skał powieki.

. . . Mnich skamieniały odbywa pokutę.

— To prawda—przyznał Warburton—zdaje mi się że pański kolega w sztuce widzi to samo co ja w charakterze tych gór: tragedyę, której ślady odgadujemy w ich potężnej rzeźbie. Byliśmy u sarkofagu Gewontu, u ramion krzyża na Krzyżnem i teraz oto widzimy jak Mnich skamieniały ciężką odbywa pokutę, jak Morskie Oko niestrudzoną źrenicą patrzy w niebo, i pewnie płacze licznemi strumieniami.

Witold bystro spojrzał na mówiącego.

— On wszędzie widzi duszę—odrzekł—przedmioty martwe pod jego wzrokiem żyją: limba trzyma się jeziora i nie śmie iść w górę; smereki nie schną ale umierają, jedna tylko woda zdaje się być trwałą jak wieczność!

Tu opowiedział Warburtonowi legendę o Morskiem Oku, której tenże wysłuchawszy, rzekł:

— Legenda ta ma w sobie dużo poezyi i jest wysoce tragiczna, jak zresztą całe otoczenie tego jeziora i cała droga od Pięciu Stawów. Niewątpliwie działy się tu niegdyś straszne rzeczy pod działaniem ognia i wody, ale w osnowie legendy krystalizują się pięknie pewne uczucia, pewne pojęcia tego ludu. Teraz gdy ją znam, zdaje mi się że Mnich ten kamienny naprawdę ludzkie ma kształty, i że ziemia wasza patrzy na mnie wymownemi oczyma swych jezior.

— Liczba tych jezior coraz się zmniejsza. Sto lat temu jeszcze Staszyc widział za Mnichem staw Czarny, z którego dzisiaj pozostała tylko martwa kotlina, niby „oczodół po wyłupionem oku“, jakby powiedział Witkiewicz. Takich oczów bez źrenicy jest więcej w Tatrach.

— O jaką to granicę Węgry spór z wami wiodą?

— O Morskie Oko.

— Zatem o to jezioro!

— Tak, środkiem chcą przeprowadzić granicę. W sprawie tego kawałka gruntu, nieraz już krew się polała. Węgrzy budowali schroniska na spornym gruncie, a górale rozbierali je: bywały bójki z żandarmami węgierskiemi i niejeden padł trup.

— Cóż będzie dalej?

— Sprawa oparła się o parlament i ma pójść pod sąd polubowny. Prawa nasze opierają się na starych dokumentach, jakich przeciwnicy nie mają. Rozjątrzenie na Węgrów jest ogromne.

— Dla czego Morskie Oko zowie się jeszcze Rybiem?

— Dlatego że się w niem ryby poławiają. Ale tam oto pod Rysami jest drugie jezioro, zwane Czarnym Stawem; idzie się do niego kwadrans pod górę. Jest ono zupełnie martwe; żadne istoty żyjące nie zaludniają jego wód. Czy wasza Miłość życzy sobie je zobaczyć?

— Ależ naturalnie, moi panowie: toż to wielka osobliwość! Gdybym poprzestał na Rybiem, byłbym w położeniu tych, co będąc w Rzymie, nie widzą Papieża.

— A więc po śniadaniu siądziemy na tratwę i popłyniemy do drugiego brzegu?

— Dobrze. Ale gdzie to jest profesor...

Urwał. Rozległ się huk wystrzału.

— Co to jest? — zapytał, marszcząc brwi. — Komu przyszło do głowy kłócić spokój tak pięknego poranku?

Witold dostrzegł na drugiem brzegu jeziora lekki dymek, unoszący się nad wodą i coś przytem pluskającego, co potem znieruchomiało i rzekł:

— Wydrę ubito.

Z zarośli wyszedł wysoki, barczysty góral i wyciągnął zwierzynę na piasek.

— Nie wiedziałem, że wydry tu przebywają—rzekł baronet.

— Tak: zachodzą one potokami aż w głąb Tatr. Po raz to drugi już ubito wydrę w Morskiem Oku. Zwierzątko to poluje tu czasem na ryby.

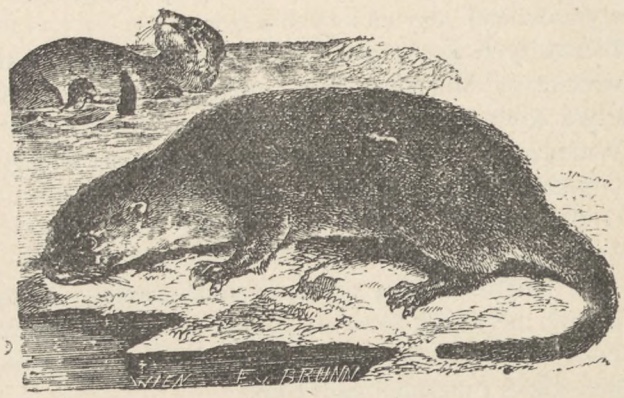

Wydra.

— Ale gdzie to jest profesor Strand?—zapytał znowu Warburton, oglądając się.—Nigdzie go jakoś nie widzę. Czyżby spał jeszcze?

— Ja go już przed godziną widziałem ubranego—rzekł Witold.

— Gdzież on być może zatem? Chodźmy go szukać, bo przecież nie pojedziemy bez niego.

O kilkadziesiąt kroków od schroniska, między złomami granitu poruszało się coś, ale nie można było dojrzeć, co takiego, zwierzę czy człowiek. Chwilami to coś zatrzymywało się, lub stało nieruchome, niepewne, wahające: postępowało naprzód i cofało się — od czasu do czasu pochylając się bardzo, lub kładąc na ziemi. To coś przypominało z kształtów uschły smerek, takie to było chude i kościste, tylko kapelusz zdradzał, że to człowiek. Ale i kapelusz wkrótce gdzieś zniknął, a zdala w słońcu połyskiwała ogołocona z włosów głowa ze sterczącemi po obu stronach kosmykami włosów. To doktór Strand, obojętny na piękność wschodzącego słońca, szukał między głazami swego Branchiopoda. Mało sto razy—eh, i więcej, nachylał się kolując obok miejsca, w którem, jak mu się zdawało, słoik z rąk mu się wysunął podczas upadku; mało sto razy złudzony podobieństwem, cieniem padającym od słońca, wyciągał rękę i zawodził się. Rozsuwał gałęzie kosodrzewiny, krzewy i mech, żeby poznawszy swoją omyłkę, z rozpacz-

liwą energią nanowo rozpocząć poszukiwania. Laskę gdzieś zatracił, okulary zsunęły mu się z nosa — jednak mniejsza o kapelusz i okulary, byle tylko Branchiopod się znalazł! Ale słońce zaczynało już złocić wązkim rąbkiem brzegi turni, a Branchiopoda nie było.

Pot spływał mu z czoła, odkryta łysina była cała czerwona, a żyły na niej nabrzmiały jak sznurki granatowe. Ręce podrapane już miał do krwi; grzbiet od ciągłego nachylania się bolał tak, że profesor nie mógł go wyprostować; kolana były bardziej zmęczone niż przy schodzeniu ze Świstówki—a może to raczej Świstówka w nich się odzywała! Gdyby choć na chwilę zwrócił uwagę na otaczający go świat, gdyby się choć raz obejrzał, zobaczyłby że oprócz niego, ktoś jeszcze między głazami się pochylał i także czegoś szukał; ale nasz uczony wzorem wszystkich uczonych, nie widział nic prócz tego co chciał widzieć, a czego napróżno upatrywał od kilku godzin. Nareszcie zdala błysnęło coś jak szkło między gałęziami kosówki. Profesor rzucił się gwałtownie ku temu świecącemu przedmiotowi, a nie mogąc go dosięgnąć, rękę pomiędzy kosodrzewinę zapuścił, i zaczepiwszy palcami nie bez trudności o słoik, wyciągnął go — ale o rozpaczy, był to słoik od konserw z angielską etykietą, rzucony tam widać przez turystów cudzoziemskich!

Biedny profesor jęknął boleśnie. W tem posłyszał za sobą ruch między gałęziami kosodrzewiny, oraz szelest sukni kobiecej i słodki dźwięczny głos zabrzmiał tuż przy nim.

— Dzień dobry, panie profesorze!

Dr. Strand struchlał: był to głos Fanny, Fanny wczoraj tak ciężko przez niego obrażonej z powodu nieszczęsnego Branchiopoda, a którą to winę okropnie wyrzucało mu sumienie. Wstyd odebrał mu mowę :był tak pomięszany, że zupełnie nie wiedział co odpowiedzieć, a słodki głos zabrzmiał znowu tuż przy nim z odcieniem figlarności i tryumfu.

— Czy to jest pański Branchiopod?

Profesor odwrócił się nagle, jak iskrą elektryczną tknięty. Fanny stała przed nim w niebieskiej płócienkowej sukni, rysującej wdzięcznie jej kształtną kibić, w dużym kapeluszu słomkowym, od którego padał cień na jej śliczną twarzyczkę, lekko zarumienioną. Patrzała na niego z uśmiechem, trzymając w wyciągniętej ręce słoik jego własny z Branchiopodem pływającym w spirytusie, którego ani kropla się nie wylała, jak to wskazywał nienaruszony korek. W drugiej ręce trzymała kapelusz profesora, jego laskę i okulary. Twarzyczka Fanny wyrażała wesołość, radość i tryumf.

Profesor niemal skamieniał na ten widok: taka wspaniałomyślność, taka wielkość duszy, wprawiła go w osłupienie.

— I to *pani* znalazłaś? *pani* szukałaś mej zguby? Byłaś tak dobrą dla mnie... czy to podobna, miss Fanny, czy to nie sen? A ja panią obraziłem tak ciężko!

— To też zapragnęłam się zemścić, i jak pan widzisz, udało mi się!

Profesor chciał powstać, ale nie mógł: wyciągnął tylko rękę po słoik, mówiąc:

— O, miss Fanny, zemsta tak szlachetna, tak wzniosła, w tak marnej, tak przewrotnej istocie, jak niewiasta... to jest... jest... chciałem powiedzieć...

— To prawda—odrzekła—ale widzisz pan, my przewrotne istoty umiemy jednak szanować uczonych, a ja się cieszę serdecznie, że mogę choć tę drobną przysługę wyświadczyć wielkiemu człowiekowi! Oto pański kapelusz—dodała, kładąc mu go na głowę, bo słońce dogrzewało — a oto laska i okulary.

Ale profesor nie brał laski ani okularów, które mu dziewczę podawało. Patrzył na nią szeroko otwartemi oczyma, a piękna jej postać wydała mu się anielską.

— O miss Fanny! — zawołał z uniesieniem — pani jesteś najrzadszym okazem zoologicznym, o jakiego istnieniu wątpiłem... to jest, chciałem powiedzieć, rzadkim gatunkiem, a raczej odmianą, to jest właściwie...

— Niech się pan nie trudzi wywodami, jakie miejsce należy mi dać w klasyfikacyi naukowej — odrzekła ze słodyczą — bo wiem, że w oczach pańskich nie mam ani setnej części tej wartości, jaką ma Branchiopod! Nie jestem niestety zabytkiem lodowej epoki, ale pomimo to pamiętam rzeczy dawne, gdy pan był bardzo dobry dla mnie, a ja byłam jeszcze małą. Pozwalał mi pan sobie towarzyszyć w wycieczkach nad jezioro w Rochdale, i rozmawiał ze mną dużo i z dobrocią wtedy, gdy nikt prawie na sierotę żadnej nie zwracał uwagi... I widzi pan, że „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło.“ Gdybyś się pan był wczoraj na mnie nie rozgniewał, kto wie czy Branchiopod znalazłby się teraz!

— Więc pani nie gniewasz się, przebaczasz mi? O miss Fanny, jestem upokorzony wielkością duszy pani. Jesteś aniołem!

Profesor mówiąc to, był ciągle jeszcze w klęczącej postawie. Wtem posłyszał za sobą zbliżające się kroki kilku osób, oraz ciche szepty, i tuż nad uchem zabrzmiał mu wesoły głos Witolda.

— A, to tak panie profesorze? grasz przed nami rolę śmiertelnego wroga niewieściego rodu, a w tajemnicy przed nami czcisz na kolanach boginię Psyche: czy się to godzi!

— Zapewnie państwo już po słowie – odezwał się Jakób, tłumiąc wesołość—winszujemy panu z całego serca! Sir Warburton niezawodnie nie odmówi swego zezwolenia. Jak to dobrze, żeś się pan przekonał do kobiet! Życie samotne, licha warte! Niema jak dobra żona. Stare nasze przysłowie polskie powiada: „Dobra żona mężowi korona“

— A naturalnie — odrzekł Warburton, śmiejąc się — co do mego pozwolenia, niema najmniejszej wątpliwości; jestem szczerze z tego dumny, że tak uczony człowiek wejdzie do mej rodziny!

Profesor zerwał się jak piorunem rażony. Zapomniał zupełnie, że pozostawał jeszcze dotąd na kolanach i że ta postawa właśnie potwierdzała domysły świadków tej sceny. Śmiertelna bladość twarz mu pokryła, a w oczach odmalowała się zgroza i przestrach.

— Miss Fanny—odezwał się z ukłonem Witold, którego najwięcej rozweselił ten widok — afekt szanownego profesora jest poważny i nie od dziś datuje: Trzeba pani wiedzieć, że profesor od dwóch tygodni nosi na sercu błękitną wstążkę, którą pani zgubiła w grotach Raptawickich, jak drogą relikwię, i krył się z tem pięknem uczuciem, jak ze zbrodnią!

— Ależ panowie, klnę się doprawdy, że... — wyjąknął nieszczęśliwy profesor.

— Nie zapieraj się pan i nie wstydź — rzekł Witold, wyciągając profesorowi z tylnej kieszeni kawałek błękitu — afekt tak idealny, dziś, w wieku na wskroś prozaicznym, zaszczyt panu przynosi!

Fanny patrzała ze zdziwieniem, na ów corpus delicti. Istotnie, była to jej wstążka, zgubiona w grotach Raptawickich!

— Tak, tak, kochany profesorze--dokończył Warburton—jestem szczęśliwy żeś przezwyciężył swój wstręt do niewiast i że będę mógł nazwać cię swoim kuzynem.

Dr. Strand spuścił głowę: wiedział on, że żadne wypieranie się, żadne tłomaczanie na nic się tu nie przyda, bo wszystko świadczyło przeciwko niemu. Któż uwierzy w jego niewinność w obec tej nieszczęsnej wstążki, którą szatan chyba rzucił na jego drodze i której dotąd, mimo tylokrotnych usiłowań, pozbyć się nie zdołał! Ale kto to wyszpiegował i jakim sposobem! Nikt inny, tylko ten łobuz Witold. Nawet wobec Fanny wszystko było stracone! Jakże śmiesznym wydawać jej się musi, jak zuchwałym, on, starzec prawie, noszący barwy młodego dziewczęcia, niby rycerz średniowieczny!... Nie śmiał oczu podnieść, ani na nią, ani na baroneta, ani na innych świadków tej sceny. Trzymał w rękach słoik z upragnionym Branchiopodem, nie widząc go nawet. Czuł, że jest zgubiony w opinii wszystkich, zgubiony niepowrotnie.

Fanny ze współczuciem patrzała na nieszczęśliwego człowieka, a domyślajac się, że stał się, jak zwykle, ofiarą własnego roztargnienia i mimowoli wpadł w pułapkę, uczuła żal do obecnych, że bawili się kosztem jej starego przyjaciela — i zwracając się doń, przemówiła serdecznie.

— Panie profesorze, niech się pan uspokoi: ja wcale nie myślę iść za mąż. Mój opiekun nie bierze tego wszystkiego na seryo i ci pano-

wie tylko żartowali. Z mojej to winy stała się ta przykra dla pana omyłka: powinnam była pomódz panu zmienić niewygodną pozycyę, gdy właśnie nadchodzili.

— Tak, kochany profesorze, nie będę pana zmuszał do zaślubienia mej kuzynki, skoro jej nie chcesz, nie obawiaj się; ale za to, skoro masz już swego Branchiopoda, chodź z nami. Jedziemy wszyscy na drugą stronę jeziora, bo chcemy się dostać do Czarnego Stawu, znajdującego się tam wyżej. Tratwa gotowa do przewozu. A ty, Fanny, czy chcesz także pojechać?

— Nie mogę sir, milady jeszcze nie wstała.

— Biedne dziecko!—powiedział ze współczuciem baronet.—Spiesz się pan, panie profesorze, bo jedziemy zaraz.

Profesor nie odpowiedział: przybity i zgnębiony, powlókł się ku schronisku i zniknął w sieni.

— Gdzież pan idziesz? — wołał za nim Warburton — siadamy na tratwę!

Strand pokazał słoik z Branchiopodem, dając tem do zruzumienia, że musi tę cenną zdobycz w bezpiecznem miejscu zachować.

Warburton, Jakób, Witold, Henryk i Walter z Dawidem, któremu jeszcze kleiły się oczy, weszli na statek, gdzie już znajdowało się kilkunastu podróżnych: dwóch Węgrów i kilku Czechów. Siadłszy na ławie rozmawiali, czekając na profesora.

— Zdaje mi się, że nasz uczony ma do nas urazę za żart—powiedział baronet.

— Nie nasza wina żeśmy go zastali w pozycyi tak... wymownej— odrzekł, śmiejąc się Jakób.—Niech tylko przyjdzie do nas, a przeprosimy go; to dobry człowiek i jestem pewny, że nie będzie długo chował w sercu urazy. Zresztą uspokoiła go już miss Fanny, i wie że mu hymen nie grozi. Hm... niech mi jednak kto wytłomaczy, co znaczyła ta wstążka z którą nie rozstawał się od dwóch tygodni?

— Roztargnienie, nic innego tylko roztargnienie—powiedział Warburton.

— Może ją uważał za przedmiot stroju damy przedhistorycznej — wtrącił śmiejąc się Witold.

Ze środka jeziora zniknęła ciemność, a dno jego, jakby oświetlone lampą elektryczną, rzucało do koła promienie, patrząc na podróżnych wielką, pełną blasku źrenicą. Czekano na profesora, ale upływały minuty, kwadranse, a on nie nadchodził. Współpasażerowie niecierpliwili się i przewoźnicy chcieli już odbijać, bo dużo jeszcze osób czekało na przewóz, tratwa zaś była tylko jedna na usługi turystów, ale Warburton zatrzymał jeszcze statek i posłał Henryka do Stranda. Chłopiec wrócił po chwili sam, mówiąc, że profesor prosi aby odpłynęli bez niego, a on

wkrótce pośpieszy do nich brzegiem jeziora: woli bowiem dostać się tam lądem niż wodą.

— Skąd się wziął profesorowi ten wstręt do wody! — powiedział kręcąc głową baronet.

— Pewnie się na nas pogniewał—odrzekł Jakób.

Wiosła plusnęły i tratwa odbiła od brzegu; miała ona kształt podłużny i dwie baryery po bokach, aby siedzący na ławach, przechyliwszy się przypadkiem, nie wpadli w wodę. Współpasażerowie zaczęli rozmawiać półgłosem, czyniąc różne uwagi. Węgrzy, gorętszym obdarzeni przez naturę temperamentem, wyrażali głośno swój zachwyt. Czesi z większem odzywali się umiarkowaniem, ale widać było po nich, że Morskie Oko wielkie na nich zrobiło wrażenie. Baronet milcząc palił cygaro.

Jeden z Czechów zaczął mówić z zapałem o Karkonoszach, o Lesie czeskim i o Szumawie, i narzekać że wszędzie gęsto leżą siedziby niemieckie. Tatry nazwał „Alpami słowiańskiemi" i dodał, że tu Czech czuje się więcej swojsko niż we własnych górach, bo przynajmniej z Niemcami nie spotyka się na każdym kroku. Ztąd przeszła rozmowa na Jellinka rozkochanego w Tatrach i umiejącego budzić miłość między swymi do Alp słowiańskich, a Jakób, wielki miłośnik poezyi i muzyki, ujął sobie bardzo Czechów, unosząc się nad pięknością ich pieśni narodowych, a mianowicie nad pieśnią: „Kde domow muj".

Henryk, którego uwagi nie uszedł żaden szczegół, patrząc na płaty śniegu w szczelinach skał, miejscami zaróżowione, skorzystał z przerwy w rozmowie i zwrócił się do Jakóba, pytając skąd pochodzi czerwona barwa śniegu.

— Słońce—mówił—umalować go jeszcze nie mogło, bo cień właśnie pada na niego w tej chwili. Czyżby tam były jakie żyjące istoty? Ja myślałem, że tak wysoko jest już kres życia roślinnego i zwierzęcego.

— Nie—odrzekł doktór—życie, acz słabe, jest tam jeszcze. Śnieg wieczny, zabarwiają na czerwono owe drobne roślinki, o których ci mówiłem na Krzyżnem. Zwą się one: Pierwotniak krwawy, *Haematococcus lacustris Rfski*; a znowu inne, *Chlamydomonas fluorovirens*, barwią na kolor zielonawo żółty. Jednokomórkowe, te roślinki, wyglądają jak kuleczki. A co do zwierząt, to po śniegach wiecznych napotkać można Pchlicę śniegową *Deegeria nivalis*. Pchły te jednakże nie kąsają.

— Choćby i chciały kąsać, to niemają kogo—mruknął Witold.— Uprawiają one cnotę z potrzeby—a Henryk odezwał się:

— Słyszałem, że tam pod Mnichem istnieje rozpadlina, a w niej skarby zaklęte.

— A ja sądzę—odrzekł Walter—że w skałach tych są naprawdę

skarby, nie koniecznie zaklęte, ale rzeczywiste, pod postacią kruszców i minerałów, które z czasem dopiero zostaną odkryte.

Witold uśmiechnął się z goryczą i zacytował wiersz Mrozowickiej:

„Bogataś ziemio nasza,
Ój bogata!
Złotą się strzechą świeci
Każda chata;
Szmaragdy cichych lasów—
Wód kryształy—
Kwiatów dyademy żywe
Cię przybrały.
A pereł masz najwięcej,
Jasna pani;
Z ócz naszych tobie płyną
W ciągłej dani!“

Warburton słuchał: snać niski, melodyjny głos Witolda sprawiał mu przyjemność, bo słów w obcym dla niego mówionych języku, rozumieć nie mógł. Walter zapytał go o coś, ale zamyślił się tak bardzo, że go nie słyszał. Utkwił wzrok nieruchomo w wody jeziora i nie uważał, że cygaro zgasło mu zupełnie. Muzyka zaczęła stroić instrumenta, a Warburton przeniósłszy wzrok z powierzchni wody na brzeg jeziora, zatrzymał go na jakimś przedmiocie i wskazując ręką w tym kierunku, zapytał.

— Czy to nie profesor Strand? Patrzcie panowie! Zdaje mi się, że wyszedł ze schroniska i idzie brzegiem.

— Nie—odrzekł Jakób — profesor nie nosi góralskiego kapelusza z czerwonem piórem, ani cuhy.

— To Sabała!—zawołali górale.

— Sabała?—zdziwił się baronet — więc on tu jest? Nic o tem nie wiedziałem!

— Przyszedł dziś w nocy, a teraz idzie pod skałę mówić pacierz.

— A prawda—powiedział Walter—klęka, zdejmuje kapelusz i ciupagę kładzie przy sobie na ziemi. Przeżegnał się.

— Sabała jest po swojemu nabożny—rzekł Jakób—i po swojemu pojmuje Pana Boga. Wyobraża Go sobie jako bogatego gazdę, a podobieństwo to doprowadza do najdrobniejszych szczegółów. Pan Bóg według Sabały ma ubranie góralskie, a więc nosi też torbę góralską, a w niej składak [1]), ma w niebie chałupę całą cyfrowaną, z ławami po pod

---

[1]) Nóż składany.

okna bogato rzeźbionemi; osobliwie piękny jest sosrąb. Gazdostwo ma duże, to też pomagają mu w zarządzie aniołowie, „boby se ta sam rady nie dał". Jako mądry gazda, chodzi, dogląda roboty i zachęca do pracy. Matkę Boską przedstawia sobie też, jako nadzwyczaj dobrą i sprawiedliwą gaździnę, która wszystkiemu roztropnie na czas zaradzić umie i nawet trudny podział sprawiedliwie uskutecznić potrafi. Raz spiesząc się bardzo do doktora Chałubińskiego, który mu u siebie stawić się przykazał, wstąpił na chwilę do kościoła i zmówił tylko pacierzy dwa, a zmówiwszy je, tak ofiarował:

„Okwiarujem tyż ten paciorek Najświęcej Panience Maryjce, Paniezusowi i Świętemu Janowi patruniowi. Ale ik tyz bars piknie przypytujem, bo tez paciórecków ino dwoje, a ik do podziału troje—haj. Tu by trza zmówić dla Świętego Jana jeden, a tam pan Wielkomożny będzie się ciskał ze mnie nima. Ale wiem co robiem. Ja też to okwiarujem Najświęcej Panience Maryjce, a Ona ta sickik dobrze do równości podzieli i nikomu krzywdy nijakiej nie zrobi, haj."

Warburton uśmiechnął się i nie spuszczał oczu z postaci białowłosego starca, klęczącego ciągle ze złożonemi rękami, a Henryk odezwał się:

— Sabała daje nam przykład. Zaśpiewajmy także jaką pieśń pobożną, na podziękowanie Panu Bogu za ten cudny wschód słońca, który nam dano było oglądać.

— Dobra myśl—odrzekł Jakób, spojrzawszy przelotnie na Anglika—sprobujmy! I zaśpiewał.

„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi!
Do Ciebie Ewy wygnańcy wołamy,
Zmiłuj się, zmiłuj, zmiłuj się nad nami."

Umilkły instrumenta, do głosu Jakóba, który miał piękny alt, przyłączyły się głosy Henryka i Witolda, tenor i bas. Pieśń na trzy głosy płynęła po wodzie czysta i spokojna, wstrząsająca melodyą prostą a głęboką, niby korna prośba dzieci wznosząca się przed tron Ojca, stopniowo coraz wyżej i wyżej, a wysokie ściany skał nie pozwalające rozpraszać się dźwiękom daleko, dawały tej oryginalnej sali koncertowej doskonałą akustyczność.

„Do kogóż wzdychać mamy nędzne dziatki,
Tylko do Ciebie ukochanej Matki
U której serce otwarte każdemu,
A osobliwie nędzą strapionemu.

Zasłużyliśmy, to prawda, przez złości,
By Bóg nas karał plagą surowości,
Lecz kiedy ojciec zngniewany siecze,
Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze",

Anglik drgnął przy pierwszych dźwiękach pieśni, a potem na twarzy jego rozlała się kamienna nieruchomość. Walter siedzący przy nim dotknął z lekka jego ręki: była zimna jak lód.

— Sir Edwardzie—przemówił łagodnie—cygaro znów panu zgasło.

— A... prawda - rzekł, jakby ze snu przebudzony—i z roztargnieniem zapytał.—Czy daleko jeszcze do brzegu?

— Już nie daleko.

— A profesor Strand?

— Nie widać go nigdzie.

— Nie widzę także Sabały.

— Skończył pacierz i wrócił pewnie do schroniska.

Spinka góralska.

XXVII.

POWRÓT PRZEZ JEZIORO.

„Lśnią nabrzmiałe wodospady,
Jak pałace z tęcz i szkła.
Siadł na skale kobziarz blady
Nad nim słońce, niżej mgła."
Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Muzyka zabrzmiała znowu, i przy dźwiękach zbójeckiego, tratwa przybiła do brzegu. Wysiadłszy na ląd, Warburton oglądał się jeszcze za profesorem, chcąc go koniecznie dojrzeć nad brzegiem jeziora, ale naprózno wzrok wytężał—nie było go widać.

— Dziwna rzecz — mówił — Strand taki zawsze gorliwy do wycieczek, zwłaszcza do zwiedzania jezior, dziś się opóźnia wbrew swemu zwyczajowi. Henryku, co robił profesor, gdy chodziłeś do niego?

— Siedział przy stole i pisał.

— Pisał?...

— Zapewne robił opis naukowy swego Branchiopoda — wtrącił Witold—z obawy, aby na wypadek jakiego z tym skarbem nieszczęścia, zachować sobie wierny jego portret.

— Ależ pisać w takiej chwili, gdy przyjaciele na niego czekają, to doprawdy dziwactwo! — rzekł wzruszając ramionami Warburton.

Ścieżką, pomiędzy kosodrzewem i limbami, wchodzili teraz na górę, mając po prawej stronie ścianę Mięguszowieckich turni, a po lewej głośno szumiący wodospad Czarnego Stawu. Wody odpływają

. . . pomiędzy kosodrzewem a limbami wchodzili na górę.

ztąd do Rybiego po stromych ścianach granitowych, tworząc cały szereg kaskad, coraz niżej położonych. Jakób idący przy ścianie, zatrzymał się i opierając na niej rękę rzekł do Henryka:

— Czy przypominasz sobie, co ci mówiłem na Krzyżnem o krainach roślinnych?

— Doskonale.

— I o krainie nagich wirchów?

— Powiedział pan, że rosną w niej mchy i porosty żółte, czarne lub szare, pokrywające głazy.

— A więc przypatrz się dobrze tej skalistej ścianie, bo masz tu na niej różne rodzaje Mchów i Porostów: Oto jest *Cetraria islandica*, mech Islandzki, a tu niżej *Hypnum rutabulum*, mech gałązkowy, lubią cy miejsca wilgotne i cieniste. A tam wyżej porost *Roccelia tinctoria*, czyli Naskalnik farbierski; ten wydaje bardzo poszukiwaną w handlu błękitną farbę zwaną lakmusem. Najobficiej wyrasta on na skalistych wybrzeżach wysp Kanaryjskich.

Porost islandzki, *Cetraria islandica.*

Mech gałązkowy, *Hypnum rutabulum.*

— No, no, nie wiedziałem, że to taki porost osobliwy—rzekł, przypatrując się Henryk — ale mech islandzki i gałązkowy widuję w lesie zakopańskim, w dolinach i pod Reglami, a także ten tu, co wygląda jak choinka dla lalki, *Polytrychum*.

— Mówiłem ci przecież, że granice krain roślinnych zachodzą jedne na drugie. Tu dalej *Cladonia rangiferina*, służąca za pokarm reniferom, w krainach podbiegunowych. A tu oto na korze drzewa *Xylographa*, Drzewopis, tworzący dziwaczne arabeski, podobne do liter chińskich. Jeżeli chcesz poznać wszystkie mchy tatrzańskie, obejrzyj zbiór Chalubińskiego w Muzeum.

Po upływie trzech kwadransów ujrzeli ramiona krzyża żelaznego, który tu na skale postawił w r. 1823 biskup tyniecki, Ziegler — i posłyszeli słowa następujące, wymówione znanym, starganym głosem:

— Okwiarujem też ten paciorek Panu Jezusickowi — okwiarujem i polecam, jakby kciał przyjońć; a jak nie, to sie tez ta ś Nim nie sprzecom.

Naskalnik farbierski, *Rocelia tinctoria.*

Porost reniferowy, *Cladonia rangiferina.*

— Sabała! — zawołał Witold rozweselony szczególnym charakterem tego pacierza. Tylko jeden Sabała może się tak modlić! Dawna buta zbójecka z tych słów wygląda!

— Jego głos—wtrącił Jakób.

— Ale Sabałę przecież zostawiliśmy przy schronisku, modlącego się nad brzegiem jeziora!

— A jednak uprzedził nas tutaj! Dobre ma nogi filozof tatrzański. Witajcie Sabała! Jak się to stało, żeście tu przybyli prędzej od nas, kiedyśmy was widzieli niedawno przy schronisku?

Postać odpoczywająca pod krzyżem podniosła się, i Sabała zaczął witać uprzejmie przybyłych, machając kapeluszem. Na twarzy jego nie znać było znużenia, na ustach spoczywał uśmiech napół wesoły, napół figlarny, a z pod sennych powiek błyszczały źrenice czarne, przenikliwe, gęstemi przysłonięte brwiami. Odpowiedział że przy schronisku „zmówił“ paciorek, a tu go przyszedł „okwiarować“ — a szedł laskami świerkowemi rozpostartemi na stoku góry i zbitemi gąszczami kosówki, więc go nie widziano z tratwy.

Stojącym u stóp tego krzyża przedstawiła się obszerna kotlina z czarnem zwierciadłem jeziora, nad którem wznosiły się ostre skały Żabiego i Rysów.

— Oto jest Czarny Staw — powiedział Jakób — głębokość straszliwa! Zapuszczano w nie ołowiankę do 77 metrów i nie znalazła oporu.

— Ha, to może jest coś prawdy w legendzie, że Morskie Oko łączy się z morzem — wtrącił Henryk. — Jakże te wody okropnie czarną mają barwę! Istna otchłań śmierci...

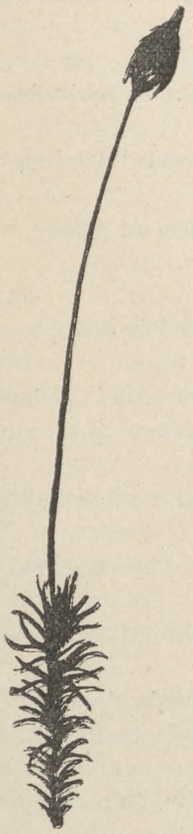

Pławnik.
Politrychum commune.

— Dla tego też nazywają go Czarnym Stawem. Pochodzi ta właściwość z wielkiej jego głębi, oraz z małej ilości światła, jaką pochłaniać może, z powodu wysokich i bardzo blizkich ścian okolicznych turni. Słońce w lecie świeci tu tylko od dziesiątej rano do czwartej po południu; a o szóstej przed wieczorem panuje już zmrok zupełny.

Henryk słyszał od górali, że Sabała umie czasem odgadywać rzeczy przyszłe, a że nie odstępowała go myśl o róży bez kolców, więc zbliżył się do starca i uścisnąwszy dłoń jego serdecznie, przemówił tonem proszącym.

— Mój Sabała, ludzie gadają, że wy umiecie różne rzeczy naprzód przepowiadać. Powiedzcież mi, czy ten pan z za morza znajdzie tu w górach naszych kwiatek, którego szuka: różę bez kolców?

Sabała bystro spojrzał w stronę cudzoziemca i rzekł:

— A co ja ta mogem wiedzieć co bedzie! Dawniej jak jesce niebościyk Paniezus zył, to ludzie wiedzieli co będzie—haj.

A widząc że go otoczyła gromadka turystów, tak zaczął:

— Jaze sie raz wybrał Świenty Pieter i Paweł z Paniezusem, coby ludziom pomódz na przednówku i nasiać im grzybów—haj. Pieter seł przodke, kopał dołki, a tymczase torbke zawiesił se ino tak na cienkim patycku suchym, na sęcku jakim — haj, abo tez prasnon na ziem.

Drzewopis, *Xylographa.*

Po descu było, toż to sie Paniezus zgniewał, ze sie zwalała i tak Pietrowi Świentemu pada:

Wies co, Pieter? jakoz ja mam blogosławić, coś ty w dołek wsuł, kiek sie zgniewał!

Cemu ty nie zawiesis torby, jako sie patrzy na sęku—na smreku—wysoko—haj, tak coby nie spadowała? Cemu sęków hrubych nie wbijas, hę?

Jaz Świenty Pieter Paniezusowi tak pada:

Panie Jezusiku! jakoz ja torbe mam wiesać, kieby trza sęki większe wbijać.

Na coz bedem wbijał, kie hnetki jom wziąść musem i dalej nieść.

Paniezus mu zaś tak pedział:

Widzem, ze Paweł tez nie zagrzeba dołków, jako sie patrzy, ino coby sie zbyć.

A Paweł Paniezusowi tak pada:

Na coz ja mam dobrze siemie grzebść, kie jak bedzie rosło, to se weźnie i dziure zrobi, coby wysło—haj.

Cekojcies—pedział se Paniezus. Pokiwał nad nimi ręcami i pedział:

Teraz juz zaden ze Świętyk nie bedzie wiedział nic, co sie jutro bedzie robić—haj.

A ludzie nie bedom wiedzieć dnia ani godziny śmierzci swojej ani nicego.

Temu to wej cłek nie bedzie Panu Bogu bez rozumy przechodził i nie bedzie wiedział, co bedzie jutro—haj!

I zwracając się do Anglika, jak gdyby tenże mógł go zrozumieć, dodał:

— To prawda prosem piknie ich Miłości. Oni widzieli może, ze w lesie som jak dzisiak sęcki na smerekach, co ik Świenty Pieter nawbijał i torbe z siemieniem na nik wiesał—haj.

A Henrykowi, który smutny trochę stał przy nim, że o róży bez kolców nic się nie dowiedział, szepnął na ucho:

— Zje [1]), cegoz by nie miał znaleść fiotka! Dyć w nasyk górach fiotków je moc, jakik ino wto kce. Nie trapcie sie. Najdzie, jak ino bedzie kciał.

Warburton kazał sobie opowiadanie Sabały przetłomaczyć na język angielski, i wysłuchawszy z uwagą, rzekł:

— Sens moralny tej bajki jest, że człowiek powinien obowiązek pełnić gorliwie i dokładnie, choćby mu się to wydawało zbytecznem. Lenistwo wrodzone jest ludzkiej naturze i świadomość rzeczy przyszłych działałaby w tym razie niemoralnie, dopomagając do rozwielmożnienia

---

[1]) Wyrażenie góralskie, znaczące to samo co „eh!“

się tej brzydkiej wady. Trud daremny w jednym kierunku, zawsze prawie opłaca się w innym. Gdybym od chwili wstąpienia na ziemię tatrzańską, wiedział gdzie się znajduje róża bez kolców, nie szukałbym jej przez trzy tygodnie, chodząc z wami moi panowie po górach i nie oglądałbym tylu cudów natury; bo mając cel osiągnięty, leniłbym się może wędrować tylko dla przyjemności. A co za tem idzie, nie korzystałbym z waszego miłego towarzystwa, i nie przeżyłbym tylu pięknych, wzniosłych chwil, przypominających, jak słusznie ktoś powiedział: „stworzenie świata i oddzielenie wody od lądów.“

Zadumał się i dodał ciszej, jakby do siebie.

— W duszy mojej, w miarę jak ze szczytów tych gór spoglądałem, odkryłem także świat inny, o którego istnieniu nie wiedziałem...

Słowa te wielkie zrobiły na towarzyszach jego wrażenie. Pierwszy to raz ten człowiek tajemniczy przyznawał się głośno do innego świata!

Sabała wyjął z rękawa swoje gęśliki i zaczął grać, a Anglik jakby ocknąwszy się, jął się rozglądać po wybrzeżu jeziora, powtarzając z widocznem zaniepokojeniem:

— Co to jest, że Stranda dotąd niema!

Tak się przyzwyczaił do towarzystwa zacnego profesora, że teraz ciągle mu go brakowało.

— Pewnie płynie ku nam — rzekł Jakób. — Tratwa zabrała ładunek podróżnych i właśnie w tej chwili odbiła od lądu.

Warburton podniósł do oczu lornetkę, którą miał zawieszoną na pasku rzemiennym, i popatrzywszy przez nią, opuścił rękę z wyrazem zniechęcenia.

— Niema go tam... czyżby się tak zagłębił w pisaniu, że o nas zupełnie zapomniał? Nie, to niepodobna! Coś zajść musiało, jakaś nieprzewidziana przeszkoda. Panowie! Czy nie mielibyście nic przeciwko temu, żebyśmy wrócili do schroniska piechotą, brzegiem jeziora? Na tratwę czekać nie mamy interesu, bo doktora Stranda nie wiezie. Idźmy brzegiem, może go spotkamy. Może wlazł gdzie w szczelinę skalną, i rozpływa się nad jakim napotkanym ślimakiem!

I podał lornetkę Jakóbowi, który popatrzywszy przez nią, rzekł:

— Na ławie, zasłanianej ciągle przez pochylającego się wioślarza, siedzi ktoś podobny do doktora Stranda. Zdaje mi się że to on.

— A więc zaczekajmy.

Ale zanim tratwa przybiła do brzegu, Jakób spostrzegł swoją omyłkę; Stranda nie było między podróżnymi. Że zaś Sabała, doskonałym obdarzony wzrokiem, zapewniał „że nikt stokiem góry nie idzie, bo onby go dojrzał z pewnością“, więc zdecydowali się wszyscy, powrócić

tak samo jak przybyli, to jest przez jezioro. Zapraszali do towarzystwa Sabałę, lecz ten wracać jeszcze nie chciał. Poproszono go zatem, aby w razie, gdyby się tam zjawił profesor, powiedział mu jak wszyscy trapili się o niego.

Słońce już było wysoko, a jezioro przybrało barwę ciemno zieloną, gdy wiosła popychające tratwę z powrotem, pruły jego fale. W powietrzu była taka cisza, że jadący słyszeli szmer spadających ze skał nitkami do jeziora, drobnych strumyków, które sączyły się z pod płatów śnieżnych. Czesi, widocznie oczarowani pięknością otoczenia, porozumieli się półgłosem i śpiewać chórem zaczęli:

Kde domov muj?
Voda hučí po lučínach,
Bory šumí po skalinàch,
V sadě stkví se jara květ,
Zemsky raj to na pochled;
A to je.ta kràsnà země,
Země česká, domov muj!

Kde domov muj?
V kraji znàš li bohumilém
Duše útlé v tèle čilem,
Mysl jasnou, vznik a zdar,
A tu silu vzdoru zmar?
To je Čechu slavné plémě,
Mezi Čechy domov muj!

Co w dosłownem tłomaczeniu znaczy:

Gdzie jest mój kraj?
Wody huczą po dolinach,
Bory szumią po wyżynach,
W sadzie lśni się wiosny kwiat,
Jednym rajem tutaj świat.
Ach, to jest ta piękna ziemia,
Ziemia czeska, to mój kraj!

Gdzie jest mój kraj?
Czy wy znacie przyjaciele,
Tę myśl jasną to wesele,
Silne ciało, zdrowy duch,
Wieczną pracę, wieczny ruch?
To jest Czechów sławne plemię.
Tam wśród Czechów jest mój kraj!

Gdy pieśń ucichła, Warburton przysłuchujący się jej z widoczną przyjemnością, pierwszy złożył ręce do oklasku, a reszta słuchaczy poszła za jego przykładem. Czesi z uśmiechem zadowolenia dziękowali za tak gorące przyjęcie, a Witold pochylając się do ucha Jakóba, szepnął:

— Teraz my zaśpiewajmy cośkolwiek, wybitnie swojski mającego charakter.

Jakób skinął głową, i zabrzmiał mazur dziarski, ognisty i wspaniały.

Anglik zadrżał. Twarz jego łagodnie uśmiechniętą śmiertelna bladość powlekła; przymknął oczy, a palce wplątane w skręty brody, zacisnęły się ruchem kurczowym, jak wtedy, w Kościeliskiej dolinie, gdy słuchał bajki Sabały.

— Czy on śpi? — zapytał cicho Henryk, pochylając się do ucha Jakóba—czy może zrobiło mu się słabo? Oczy ma zamknięte, a taki blady!

— Nie, moje dziecko — odpowiedział szeptem doktór—on ma widzenie.

— Widzenie! jakto? Czy pan chce przez to powiedzieć, że on widzi różę bez kolców, czy może syna, którego tak kochał i utracił?

— On widzi swoją matkę!...

Pieśń ucichła, słuchacze grzmiącym oklaskiem dziękowali, tylko ręce Anglika nie poruszyły się.

— Nie przypadło mu do gustu — pomyślał Henryk, i zrobiło mu się bardzo przykro.

Warburton podniósł powieki: były one czerwone i nabrzmiałe jakby od łez palących, które spłynąć nie mogły, a w oczach migotały błyskawice. Patrzył przed siebie jak nieprzytomny, a po palcach trzymających brodę, przebiegało lekkie drżenie.

— Czy pan nie chory, sir? — zapytał Walter, którego oczu nie uszła zmiana w twarzy sir Edwarda.

— Nie, mój drogi, ale chłód idzie z jeziora. Zimno mi.

— Już przybyliśmy—odrzekł młodzieniec. — Trzeba żeby pan zaraz wypił kieliszek wina.

Henryk słuchał zdziwiony.

— Zimno mu w taki upał...—rzekł do siebie—to dziwne!

XXVIII.

POTRAWA WITOLDA.

„Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem,
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.“
Mickiewicz. Puszcza litewska.

Lady Chester w uroczym negliżu stała na ganku wraz z Fanny i zdaleka witała wracających, poruszając chusteczką — a gdy przybyli, przemówiła z emfazą do baroneta, wskazując na jezioro.

— Vraiment, que c'est splendide!

— A, nareszcie podobało ci się coś w tym kraju — odrzekł z uśmiechem, witając ją serdeczniej niż zwykle, i zaraz zapytał o profesora.

— Jakto! czyż go tam nie było? — odparła zdziwiona — myślałam że jest z wami!

Zdziwienie i niepokój odbiły się na twarzy baroneta. Udał się natychmiast do izby gdzie profesor nocował, ale ani jego samego nie znalazł, ani żadnych śladów jego bytności. Zniknął nawet słoik z Branchiopodem i czaszka niedźwiedzia jaskiniowego.

Rozpytywano górali, z których jeden utrzymywał, że profesor od dwóch godzin opuścił schronisko i poszedł lewym brzegiem jeziora, a drugi że widział go na prawym brzegu, jak wstępował pod górę na Opalone — gazda zaś twierdził, że się pytał o drogę na Rysy. Baronet zniecierpliwiony różnością zdań, kazał przywołać Walę, przewodnika

d-ra Stranda, który najlepiej powinien był to wiedzieć—lecz pokazało się, że przewodnik także zniknął.

Wszystko to było dziwne i niezrozumiałe dla każdego, a Fanny była widocznie zmartwiona i zaniepokojona nieobecnością starego przyjaciela, dla którego charakteru, rozumu i pracowitości niezmordowanej, miała prawdziwe uwielbienie.

Podano obiad bardzo obfity i mający cechę czysto miejscową: rosół z pływającemi w nim listkami mięty, na sposób góralski, a do tego półmisek z czemś, co przypominało do złudzenia włoską „polentę", a co było kluską z mąki kukurydzowej. Górale nie lubią klusek drobnych, jakie się robią na całym ziem polskich obszarze, ale sypią mąkę na wrzącą wodę, i tworzy się z tego jeden kawał ciasta, który po ugotowaniu używają do mleka lub rosołu. Zowie się to „bryja". Panowie bardzo tę potrawę chwalili, zwłaszcza że była obficie polana świeżem masłem; tylko lady Chester, skosztowawszy, skrzywiła się bardzo i oświadczyła, że choć to po włosku wygląda, ale po azyatycku smakuje. Rosołu z miętą także nie tknęła.

Po zupie był majonez z łososia, następnie pstrągi z naturalnym sosem, a potem jeszcze pieczeń z kozicy z kompotem z poziomek.

— Pierwszy raz jem pieczeń z kozicy — odezwał się Walter— i dlatego mięso jej wydaje mi się trochę mdłe. Sarna lepiej by dziś smakowała.

— Szkoda, że niema sałaty — dodał Jakób — przy niej każda pieczeń jest dobra. Ale sarn, jeleni, nawet dzików nie brakuje w Tatrach; polować jest na co!

— A czy są Lisy i Borsuki?

— Lisów prawie niema, czasem przychodzą w odwiedziny z Węgier; borsuki zaś pojawiają się tylko w kniejach.

Borsuk.

Warburton, jedzący bez apetytu, położył widelec i zapytał, spoglądając w stronę Witolda.

— Obiecywałeś nam pan deser własnej roboty. Kiedyż nareszcie ujrzymy to arcydzieło?

— Chyba już dziś—wtrącił Jakób — bo widziałem, że mój przyjaciel wstał najraniej z nas wszystkich, i opasany fartuchem Jerrego, stał przy ognisku z rondlem w jednej ręce a łyżką w drugiej i coś przyprawiał.

— A ja słyszałem jakieś tłuczenie w moździerzu i widziałem pana Witolda, jak przedmiot jakiś tajemniczy niósł do strumienia — dodał Walter.

— Do strumienia? a to w jakim celu? Pstrągi tatrzańskie nie jadają deserów.

— Wody strumienia użyłem w braku lodu — odrzekł skromnie malarz.

— Jeżeliś pan lody przyrządził, to miałeś myśl szczęśliwą — odezwała się milady, spoglądając nań łaskawie: — gorąco jest nie do wytrzymania!

— Nie pani, to nie są lody.

— Zaciekawiasz nasz pan — powiedział baronet — nie wystawiaj zbyt długo na próbę naszej cierpliwości!

Witold podniósł się i wyszedł, a po jakimś czasie powrócił, niosąc okrągłą salaterkę z pokrywą w jednej ręce, a w drugiej niewielki dzbanek, napełniony jakimś białym płynem. Gdy salaterkę postawił na stole, podniósł pokrywę i ukazała się galareta czerwonej, matowej barwy. Warburton spojrzawszy na nią, poruszył się cały i zawołał:

— Kisiel!

Wykrzyknik ten wprawił wszystkich w zdumienie: Witold rzucił tryumfujące spojrzenie na Jakóba, który uszom własnym nie wierzył. Walter, Dawid i obie panie, patrzeli na sir Edwarda, nie rozumiejąc przyczyny wykrzyku; Henryk był zdumiony. Po twarzy Warburtona przemknęło lekkie pomięszanie.

— Waszej Miłości znaną jest ta potrawa? — zapytał Witold z najniewinniejszym uśmiechem.

— O, tak — odrzekł niedbale — jadłem ją u pewnego księcia litewskiego, który przepędził sezon zimowy w Londynie.

— I... jakże smakowała?

— Nie źle. Co to jest w dzbanku, czy mleko migdałowe?

— Wie, że do kisielu używa się mleko, uważasz pan — szepnął do Jakóba Witold i odrzekł:

— Za mało miałem migdałów, więc dodałem donich ziarn limbowych i roztarłszy je na kamieniu, zrobiłem improwizowaną orszadę.

— Ale skąd wziąłeś żórawin, które przecież w Tatrach nie rosną?—szepnął Jakób.

— Ale sok żórawinowy można mieć wszędzie. Właściciel restauracyi pod Różą, sprowadza go na kisiele dla swego Litwina, któremu piecze także chleb z ajerem.

Warburton popatrzył chwilę w oczy mówiącemu i przysunął sobie półmisek. Wziął sporą porcyę i podlał mlekiem, jak człowiek z potrawami tego rodzaju obeznany. Jakób i Witold jedli także ze smakiem, a i Henryk też nie dał się prosić, mając przed sobą ulubioną sobie potrawę. Całe za to angielskie towarzystwo z wyjątkiem baroneta, poprzestało na skosztowaniu; lady Alicya nawet wyraziła się, że tylko

w barbarzyńskim kraju może coś podobnego zjawić się na stole, i kombinacyę cierpko kwaśnego soku z mąką i mlekiem osłodzonem, nazywać deserem.

Walter rzucił okiem na jezioro i rzekł:

— Tratwa znowu płynie ku nam pełna osób, może profesor jest z niemi. To nawet bardzo prawdopodobne, bo widzę Sabałę, który nam obiecywał upatrywać go na stoku góry.

— Ależ to niemożliwe, jeżeli widziano go wstępującego na Opalone.

— Kiedy nikt nie wie napewno. Każdemu się tylko zdaje: bo jeden twierdzi że go widział w stronie Miedzianego, a drugi, że w stronie Rysów.

Zdala dochodził dźwięk gęślików i pieśń Sabały:

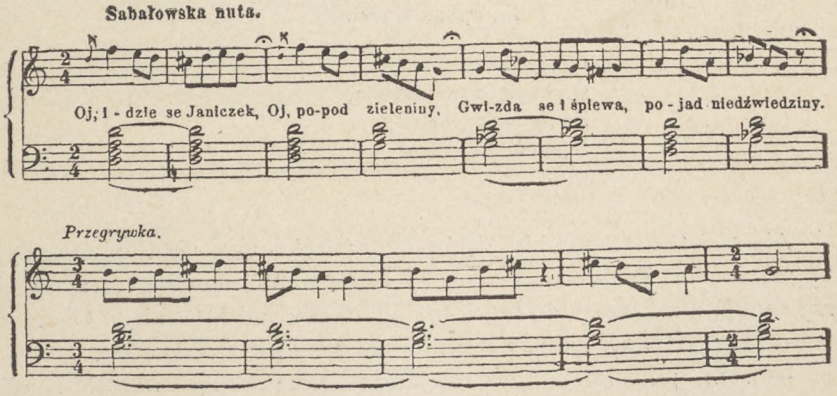

Lady Alicya wzruszyła ramionami na tę muzykę, a baronet wyraził się że nic równie oryginalnego nie słyszał.

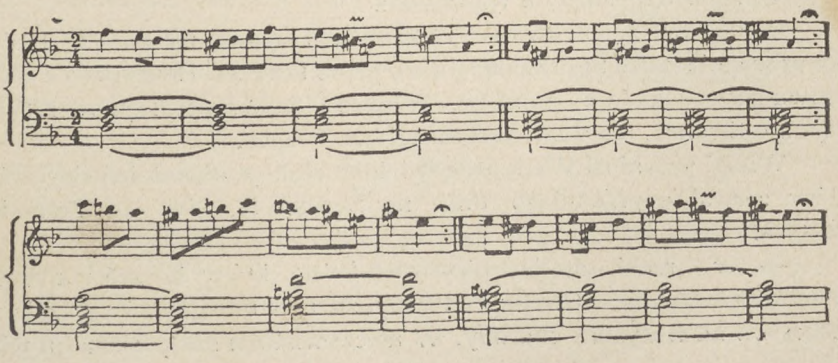

„Oj, jeseć mie matusia,
Oj w korytku lulała;
Wtedy juz nad mojom
Skórom narzekała.

Oj, Sablicek zbójnicek,
Oj, siekierecka siostra!
Nie jedna dusycka
Przez niom w niebo posła.

Oj, łapali Sabałe,
Oj, po zielonych bukak,
Ale se wybronieł,
Miał siekierke w rukak.

Oj, pedziała mi ziena,
Oj, ze to moja wina;
Jaze mnie złapali,
Na wysokiej hali.

Oj, dyć se mnie dostali,
Oj, hociaj z tak wysoka,
Bo po mnie posłali
Z pikom zabijoka.“

Ale nim tratwa przybiła do brzegu, przekonano się że płonne było przypuszczenie Waltera. Profesora nigdzie nie spotkano, a Sabała utrzymywał stanowczo, że musi już być daleko od Morskiego Oka.

— Czy dziś wrócimy do Zakopanego?—zapytał Walter.

— Ach, przecież już jest zapóźno na taką drogę!—odrzekł Jakób.

— Tak, ale moglibyśmy nocować w Roztoce.

— Nie możemy wracać bez profesora Stranda—odezwał się Warburton.—Jeżeli poszedł na Rysy...?

— To jutro dopiero wróci.

— Albo dziś późnym wieczorem.

Po obiedzie spacerowano i rozmawiano siedząc na ganku. Lady, jak przy stole, tak i tu przyglądała się przez lornetkę Henrykowi i snać znowu się uspokoiła co do niego, zwłaszcza że baronet trapiony niepokojem o Stranda, mało zwracał uwagi na chłopca.

Witold przyniosł Warburtonowi duży piękny, okaz żółtej Goryczki, który zerwał poprzedniego dnia na Świstówce, idąc do Morskiego Oka.

— Sir —rzekł—oto jest *Gentiana lutea*, której korzeń ma cenne własności lecznicze. Górale się bardzo za nim ubiegają, i uważają za lekarstwo na wszystkie choroby. W rzeczywistości zaś posiada on wła-

sności ściągające i pomocne zwłaszcza na wszelkie niedyspozycye żołądka. Korzeń ten namoczony w winie działa energicznie i wzmacniająco.

Jaskier lodowcowy, *Ranunculus glacialis*.

— Dlaczego mi pan to mówisz?—zapytał Warburton, który o tych własnościach goryczki żółtej słyszał już przy Czarnym Stawie Gąsienicowym.

— Mówię na wypadek, gdyby panu, jako nieprzyzwyczajonemu do naszych potraw litewskich, zaszkodził mój deser.

Baronet utkwił w nim przenikliwe spojrzenie i odrzekł po chwili milczenia:

— Bądź pan spokojny: mam strusi żołądek. Nie takie ja rzeczy jadałem w moich podróżach naokoło świata. Ale co to za kwiatki masz pan zatknięte w dziurkę od guzika? Czy to nie Jaskry czasem?

— Zgadłeś sir, to Jaskry lodowcowe, *Ranunculus glacialis*, mieszkańce wysokich turni, rosnące na gnejsach. Zerwano je na Miedzianem.

— Ach, to cenna zdobycz: czy możesz mi pan jeden ofiarować?

— I owszem, służę panu. A tu oto Gwiazdosz alpejski, *Aster alpinus*: niech panu także służy. Wyrasta on na szczytach, na halach i wzdłuż biegu Dunajca.

Gwiazdosz alpejski. *Aster alpinus*.

Zwierciadło jeziora było ciche i nieruchome, ale po niebie pływały obłoczki waty, o których niedobrze wróżyli górale. Gdy nastał zmrok, ujrzano nad Morskiem Okiem pod Rysami, światełko i pokazano je zaraz baronetowi.

— To niezawodnie Strand daje nam znak, żebyśmy tratwę po niego przysłali i dlatego zapalił ognisko—zawołał ucieszony Warburton.

Przypuszczenie było prawdopodobne. Gdy tratwę szykowano, Witold zawołał na górali:

— Spieszcie się, bo tylko patrzeć jak deszcz lunie! Nawet płomień ogniska nie idzie prosto ku niebu, tylko nachyla się ku ziemi.

— Ja pojadę! — zawołał Henryk i wskoczył na tratwę, która już odbijała od brzegu.

W tej chwili posłyszano echo dalekiego grzmotu.

— Prędzej, prędzej — naglił doktór, niezbyt rad oddaleniu się chłopca.

— Popłyniemy prędko, bo ładunek lekki—odpowiedziano z promu.

Warburton ścigał oczyma oddalający się szybko statek i powiedział do Jakóba:

— Nieroztropnie postąpiliśmy, puszczając tego chłopca.

— Niech się wasza Miłość nie obawia — odrzekł — Henryk jest pod opieką doświadczonych przewodników: burza jest jeszcze bardzo daleko i może wcale nie przyjdzie do Morskiego Oka, a gdyby nawet przyszła, to sądzę że nasi żeglarze zdołają ją uprzedzić. Gdy ładunek jest lekki, tratwa szybko płynie. Czy widzisz, sir, jak się zwija? Leci jak strzała!

— Ale czy pan nie widzisz, że powierzchnia jeziora marszczyć się zaczyna? Czego to jest dowodem? Wiatr się zrywa: może być wypadek!

— Bądź pan spokojny, sir: jezioro nie jest morzem.

— Na jeziorach także powstają bałwany, a między skałami żegluga nie zawsze jest bezpieczna. Ja sam pływałem po wszystkich morzach świata i oswojony jestem z burzami, a raz o mało nie poszedłem na dno z moim yachtem, na jednem z jezior szkockich. Pan mnie chcesz uspokoić, a widzę że się sam niepokoisz. Profesor jest bezpieczny przy ognisku, i co najwyżej, zmoknie, a wątły ten statek może się rozbić o skały, jeżeli wiatr się powiększy. Lepiej byłoby zawrócić tratwę.

— Zapóźno — odrzekł Jakób — już dosięga środka jeziora, i jeżeli dalej tak dobrze pójdzie, wkrótce przybiją do lądu.

Paprocie bujnie rozrosłe pod cieniem smereków i kosówki, jęły poruszać zlekka koronkowemi liśćmi, a potem wyraźnie chwiać się i kołysać, a ruch ten udzielił się także tłumowi drzew, jakby ożywił go nagle prąd jakiś tajemniczy.

— Wiatr chłodny przeciąga z północy — odezwał się Warburton po chwili milczenia — czuję go na twarzy. Czy pan widzisz, jak marszczy powierzchnię jeziora?

Jakób dostrzegł ten objaw wprzód jeszcze, zanim Anglik zwrócił mu na to uwagę i wzmógł się jego niepokój. Dostrzegł nawet coś więcej: na grani Mięguszowieckiej zjawiła się mgła kłębiąca się szybko z góry na dół w długie pasma — snać tam u góry walczyły z sobą dwa prądy powietrzne. Nie spuszczał z oczu tych pasm, patrzył jak się nawijały i rozwijały, chwilami przędąc znów nić tak cienką, że pękała wisząc w powietrzu niby strzępy babiego lata. Nareszcie duży kłąb zawisł nad jeziorem i stanął nieruchomy. Doktór odetchnął.

— Uspokaja się—rzekł—tratwa też już przepłynęła trzy czwarte drogi.

Lecz zaledwie wymówił te wyrazy, kłąb biały wiszący nad jeziorem, zakręcił się jak w tańcu szalonym, a woda zaczęła się bałwanić, wydając charakterystyczny szum. Grzmot i błyskawica w kilkanaście sekund po nim następująca, były sygnałami zbliżającej się szybkim krokiem burzy.

— Już są niedaleko brzegu—szepnął baronet — oby tylko szczęśliwie udało im się wylądować! Ale widzę że deszcz zacina z północy.

Deszcz szedł jeszcze prędzej niż burza, i zaledwie Anglik wypowiedział tę uwagę, puścił się drobny ale tak gęsty, że mgłą przesłonił jezioro. Gromadka turystów stojących dotąd na ganku i śledzących także z zajęciem kierunek tratwy, przeniosła się ztamtąd do izby. Został tylko baronet ze swoim orszakiem—i pomimo próśb lady Alicyi, opuścić nie chciał swego stanowiska. Odeszła urażona, spostrzegłszy że jej przestrogi i uwagi niecierpliwią go tylko.

Zziębnięty, przemokły, z brodą przez wiatr targaną, stał oparty o baryerę, usiłując przebić wzrokiem zasłonę z mgły i nasłuchując. Ale nie widział nic prócz gęstych nitek deszczu, a do uszu jego dochodził tylko szum rozkołysanej fali.

Jakób, naradziwszy się na stronie z Witoldem, wziął z sobą dwóch górali, i odwróciwszy serdak włosem do góry, a kapeluszowi nadawszy formę grzyba, poszedł z nimi brzegiem jeziora, pomimo że Walter utrzymywał, iż żeglarze do tego czasu już wylądowali i znaleźli pod skałą schronienie. Dla własnego spokoju potrzebował cośkolwiekbądź przedsięwziąść. Wyrzucał sobie, że nie przewidział tego co się stało i puścił Henryka, za którego bezpieczeństwo ręczył pannie Katarzynie.

Grzmoty odzywały się w krótkich po sobie odstępach, a szybko następujące po nich błyskawice wskazywały, że burza jest tuż. Przy ich oślepiającem świetle widać było wzburzone fale jeziora, a nieopodal przeciwległego brzegu, jakiś drobny przedmiot miotany bałwanami jak łupina orzecha.

Warburton cierpiał: serce biło mu przyspieszonem tętnem. Teraz dopiero poznał, jak bardzo pokochał to dziecko.

— Ten wątły statek lada chwila rozbije się o skały — odezwał się do Waltera—a wtedy o ratunku niema nawet co myśleć!

Młodzieniec patrzył ze współczuciem na sir Edwarda, zgadując co się dzieje w jego duszy. Nie próbował on go nawet nakłaniać, aby się schronił przed deszczem do izby, bo wiedział że to nie zdałoby się na nic, ale przyniósł płaszcz wyksatynowy i zarzucił mu na ramiona.

— Ufam przezorności przewodników — powiedział z pozornym spokojem:—są to ludzie bardzo zręczni i oswojeni z jeziorem i jego ka-

prysami. Doktór poszedł brzegiem z góralami i zrobi wszystko, co tylko będzie trzeba. Reszta jest w mocy Boskiej: trzeba czekać!

Warburton milczał. Czekać, stojąc bezczynnie z założonemi rękami, gdy tam ktoś drogi jego sercu jest w niebezpieczeństwie... to nie tak łatwo, jak się zdaje! Nie wypowiedział jednak głośno tego, co myślał. Zrobił tylko uwagę, że wiatr się wzmaga i dodał po chwili:

— Wyślij jeszcze dwóch górali, Walterze. Niech idą prawym brzegiem, póki się nie spotkają z tamtymi co wyszli z doktorem. A każ im wziąść pochodnie!

Walter spełnił niezwłocznie ten rozkaz, choć uważał go za zbyteczny, wobec wyprawy doktora idącego lewym brzegiem.

Gdy ta rozmowa toczyła się na ganku, lady Alicya wzburzona do najwyższego stopnia, z wypiekami na twarzy, przebiegała izbę wzdłuż i wszerz. Oczy jej błyszczały gorączkowo, a z ust padały oderwane wyrazy.

— To nadzwyczajne! niesłychane! żeby tak troszczyć się o obcego, niedawno poznanego chłopaka, choć wszyscy mu z kolei powtarzają, że jest pod dobrą opieką, że nic mu się nie stanie. Sir Edward go kocha, to widoczne! O, ja znam, znam tę twarz marmurową, i nieodgadnioną jak księga zamknięta. Patrzę na nią już od lat tylu, i nauczyłam się w niej czytać. Widziałam jak przebiegł po niej spazm bólu, gdy patrzył na jezioro... I ktoby się tego był spodziewał po tym twardym i niedostępnym człowieku!.. A, mały intrygant! — wyszeptała przez zaciśnięte wargi—jakże głęboko wkradł mu się do serca!

Davy słuchał w ponurem milczeniu wybuchów matki: Fanny odważyła się przemówić, że chłopiec nie wygląda na intryganta, ale lady przerwała jej gniewnie, tupnąwszy nogą:

— Nie broń go! Może on temu nie winien, może jest nawet szlachetny, ale ja matką jestem i cierpię!... Cierpię, że sir Edward, który miał zastąpić ojca Dawidowi, pokochał dziecko nie moje!

I wznowiła znowu swoją wędrówkę po izbie, powtarzając:

— W tem coś jest.. w tem coś jest!

Zagłębiwszy się w myślach, przypomniała sobie różne rzeczy, różne drobne na pozór okoliczności, na które w swoim czasie nie zwracała uwagi, a które teraz w jej oczach nabierały znaczenia; wątek myśli snuł się coraz dalej, przypuszczenia nabierały cech prawdopodobieństwa, a drobiazgi rosły do wielkich rozmiarów. Ten powzięty nagle zamiar podróży w Tatry, dla szukania róży bez kolców...— tu zaśmiała się ironicznie — ta zwiększona niechęć do Davego i zapowiedź oddania go bezwłocznie do Eton, to wreszcie okrutne oświadczenie, że nie posiada nic, prócz tytułu i zamku myśliwskiego..

Rozmyślania te przerwało stąpanie wielu par nóg ludzkich, wbiegających gromadnie na ganek ze śpiewem i muzyką. To turyści zaskoczeni przez burzę w wycieczce do Morskiego Oka, przybywali do schroniska, a górale których fantazya nigdy nie odstępuje, wiedli ich jakby na przekorę burzy, tańcząc i śpiewając—choć z jednych i drugich woda się lała strumieniami, tak byli przemokli, a może właśnie dla tego—bo góral utrzymuje, że „człowieka wesołego nie ima się chorość."

Na tę rozbawioną hałastrę spadł niespodziany grom: Warburton wybuchnął strasznym gniewem i nakazał milczenie. Zrobiła się cisza jak makiem zasiał. Przelęknieni górale cichym szeptem rozpytywać zaczęli, co się tu stało? Wtem posłyszano trzask przerażający i bulgotanie, jakby gotującej się wody. To piorun uderzył w jezioro, a przy oślepiającem świetle błyskawicy, ujrzano na samym środku tratwę podrzucaną bałwanami, pracujących energicznie wiosłami przewoźników i chłopca klęczącego ze złożonemi rękami.

— Modli się — szepnął z cicha baronet i uczuł że go coś dławi w gardle.

— Chwała Bogu, że są daleko od skał — przemówił Walter — nie grozi im rozbicie! Może też wiatr uciszy się tymczasem i szczęśliwie przybiją do brzegu.

Górale zbici w kupę rozmawiali po cichu, ale widocznie narada do żadnego nie doprowadziła rezultatu, bo jeden za drugim usuwali się do kuchni, gdzie zasiedli przy ognisku. Turyści też obsiedli stół w izbie, pijąc herbatę i rozmawiając półgłosem. Wszyscy zdaleka omijali tego gniewnego, posępnego starca, co stał na ganku jak posąg, groźny i nieczuły na deszcz, zimno i wiatr.

Długo jeszcze rozświecały scenę ognie błyskawic i warczały echa piorunów, wreszcie deszcz ustał i mgły ustąpiły, ale nic dojrzeć nie było można, bo noc zapadła. Jezioro było jak otchłań czarna, głęboka i straszliwa, a nad nią gdzieniegdzie niby gwiazdy błędne, migotały światła pochodni. Z otchłani tej do ucha Warburtona dochodził tylko monotonny szum rozkołysanej fali—wreszcie zapanowała przerażająca cisza: wiatr ustał.

Po jakimś czasie posłyszano ostrożne, jakby lękliwe stąpanie, i przy ognisku w kuchni zrobił się lekki ruch: jeden z górali wrócił z wiadomością że obeszli cały prawy brzeg i tratwy dotąd nie spotkali, ani tych którzy wyszli z Jakóbem — ale on sam przy brzegu widział pływające wiosło. A choć to powiedziane było bardzo cicho, i w języku niezrozumiałym dla Anglika, domyślił się ich znaczenia. Przesunął ręką po po czole i rzekł do Waltera.

— Powiedz im, że pójdą jeszcze raz ze mną. Mam przeczucie, że znajdę rozbitków. Niech zapalają pochodnie!

Ale młodzieniec, który już stracił nadzieję, jął przedstawiać baronetowi, że jego obecność opóźni tylko odszukanie zaginionych, bo przewodnicy będą sobie uważali za obowiązek przedewszystkiem czuwać nad bezpieczeństwem jego osoby. Ten wzgląd skłonił go do odstąpienia od zamiaru. Kazał jednak góralom oznajmić przez Waltera, że sto funtów nagrody otrzyma ten, kto odnajdzie tratwę i przyprowadzi do schroniska. Wysokość nagrody wprawiła w zdumienie wszystkich, a zwłaszcza lady Alicyę, do której zaraz doszła ta wiadomość.

Wszyscy górale, ilu ich było w schronisku, ruszyli na poszukiwania z Sabałą na czele. Teraz światełka pochodni migotały znowu na obu brzegach. Wołano, strzelano z fuzyi, nareszcie wszystko ucichło. Warburton, któremu już było za chłodno na ganku, wrócił do izby i siadłszy przy oknie, pił herbatę w milczeniu. Świt szary tak go zastał.

Gdy pierwsze brzaski dnia pozwoliły dojrzeć jezioro i zarysy otaczających go skał, wyszedł na ganek z przyjaciołmi. Powierzchnia wody była spokojna, gładka jak atłas, nigdzie śladu tratwy ani ludzi... cisza przerażająca i pustka. Nareszcie rozległy się miarowe odgłosy uderzenia siekier w drzewo, a po krótkiej przerwie dźwięki wesołe orawskiego marsza.

— To gęśliki Sabały—rzekł Walter—dobry znak!

Po prawej stronie jeziora jest kilka małych skalistych zatok: z po za jednej najgłębszej, od strony Mnicha, ukazała się tratwa napełniona ludźmi, a wiosła pruły szybko powierzchnię jeziora. Warburton podniósł lunetę do oczu i dojrzał między płynącymi Henryka i Jakóba, ale profesora nie znalazł. Napróżno zatem szukano go wczoraj z narażeniem życia.

Wszyscy wylegli na ganek: Polacy, Węgrzy, Czesi, miss Fanny, nawet lady Alicya się zjawiła — nareszcie posłyszano plusk wioseł, a potem uderzenie o brzeg. Henryk wyskoczył najpierwszy i znalazł się odrazu w objęciach sir Edwarda, który wyciągnął do niego ramiona.

— Doprawdy, sir -- zabrzmiał tuż przy nim głos lady Alicyi drgający nietajonem wzburzeniem—tak się pan troszczysz o tego chłopa, tyle mu okazujesz dobroci, że możnaby myśleć iż to jest pańskie dziecko!

— Tak jest — odrzekł po angielsku — nie omyliłaś się pani, moje dziecko, moja krew!

Był to za silny cios dla kobiety, żyjącej tylko jedną myślą—zapewnieniem dziedzictwa synowi. Spojrzała błędnym wzrokiem na baroneta, zachwiała się, wyciągnęła obie ręce do klamki drzwi wchodowych, lecz nie zdążyła ich uchwycić i padła bez zmysłów na ręce Fanny.

— Doktorze —zawołał Warburton — prędzej, chodź pan, prędzej! Lady Alicya zemdlała!

Zrobiło się na ganku zamięszanie, przeniesiono zemdloną do izby, gdzie kilkakrotne bryzgnięcie zimną wodą przywróciło jej przytomność. A może więcej jeszcze przyczyniła się do tego troskliwość serdeczna niemal sir Edwarda, który troszczył się bardzo o synową i rozmawiał z nią z taką dobrocią, jakby jej chciał wynagrodzić słowa któremi ją zranił tak boleśnie.

Na ganku tymczasem słuchano opowiadania o przygodach żeglarzy. Już byli bliscy wylądowania, gdy bałwan odrzucił ich ku środkowi jeziora, gdzie też usiłowali się utrzymać, chroniąc tratwę od rozbicia o skały. Gdy wicher uciszył się, wylądowali i wciągnęli tratwę do zatoki, ale zgubili wiosła—i tam pod skałą we wgłębieniu przesiedzieli do świtu. Widzieli światła nad stawem i domyślili się, że ich poszukują: wołali, krzyczeli, ale głosy ich tonęły w szumie bałwanów; wystrzałów i hukania nie słyszeli. Górale nareszcie odkryli ich schronienie i przesiedzieli z niemi do świtu. Wiosła sporządzili sobie ze zrąbanych świeżo smereków.

Kilku górali o świcie udało się pod Rysy, gdzie widziano wczoraj płonące ognisko, ale nie znaleźli tam żadnych śladów bytności profesora. Trochę zwęglonej kosodrzewiny, próżna butelka i nic więcej. Warburton, który wyszedł znowu na ganek i tych szczegółów się dowiedział, zatrwożył się bardzo.

— Więc powiedzcie mi gdzie jest dr. Strand?—zapytał, spoglądając po wszystkich.

Jakby w odpowiedzi na to wezwanie, gazda pojawił się przed nim z listem w ręku i rzekł:

— Ten stary pan, co wczoraj rano wybierał się na Rysy, odchodząc kazał to oddać panu Anglikowi, ale moja baba położyła na okapie komina i zapomniała.

Warburton rozerwał kopertę, i wyjąwszy z niej ćwiartkę papieru, pomiędzy kartki której włożona była wstążka błękitna, czytać zaczął:

„Dostojny i Kochany Przyjacielu. Z ciężkiem sercem przychodzi mi przesłać Ci to pożegnanie — tak miło mi było korzystać z Twego światłego towarzystwa i Twej serdecznej gościnności—ale konieczność zmusza mnie do tego... Nie mogę z wami zostać po tem co zaszło, gdyż byłbym krępowany ciągłą obecnością tych panów, którzy widzieli mnie w pozycyi, upoważniającej do różnych przypuszczeń... Nie śmiałbym też spotkać się z miss Fanny, w oczach której mnie ośmieszono! Panu jednak, sir Edwardzie, wyznaję — i proszę o powtórzenie tego zacnej miss — że wstążka jej nie znajdowała się nigdy na mojem sercu, oraz że nie domyślałem się nawet do kogo należała. Powiedz jej, że znalazłem ją przypadkiem tylko w grocie Mylnej i włożyłem w roztargnieniu do kieszeni, mniemając żem ją odrzucił na stronę. Wró-

ciwszy z Doliny Kościeliskiej, powiesiłem swój surdut wycieczkowy na kołku, i nie kładłem go aż wybierając się znowu na wyprawę do Morskiego Oka. Że wstążka znajduje się w kieszeni, dowiedziałem się sam ze zdziwieniem dopiero na hali Królowej. Racz powiedzieć, sir, miss Fanny, że ten przedmiot jej toalety, przez cały czas życie mi zatruwał—bo zapominałem o nim gdy byłem sam i miałem sposobność go się pozbyć, a przypominałem sobie tylko chwilami w obecności waszej, gdym tego nie mógł dokonać, bez obawy narażenia się na wnioski prowadzące do posądzenia mnie o uczucia i zamiary, jakich nigdy nie miałem. Kilka razy, już, już chciałem wyrzucić tę nieszczęsną wstążkę, ale zawsze młodzi towarzysze pańscy, jeden lub drugi, przeszkodzili mi nie w porę!

Proszę oddać tę przeklętą wstążkę miss Fanny, i powiedzieć, że to ona mnie stąd wypędziła... Życzę jej, aby znalazła człowieka godnego siebie, który jej potrafi dać szczęście, na jakie w zupełności zasługuje. Co do mnie, czuję że nie zdołam nigdy przełamać mego wstrętu do kobiet! Branchiopoda mego zabieram z sobą i odchodzę. Nie szukajcie mnie, bo uczynię wszystko co jest w mojej mocy, aby zatrzeć swoje ślady—ale odchodzę z sercem zranionem, gdyż mi było z wami bardzo dobrze! Ten dwutygodniowy pobyt w Tatrach uważam za najszczęśliwszy w mojem życiu, gdzie oprócz Branchiopoda, znalazłem rzadki okaz, o jakiego istnieniu wątpiłem, *kobietę bez złości* w osobie zacnej miss, która za wyrządzoną jej przezemnie najniesłuszniej niegrzeczność, dobrocią anielską mi zapłaciła. Sam nie wiem, jakieby miejsce znaleść dla niej w klasyfikacyi naukowej i jakim ją nazwać terminem? chyba *Femina angelica*! Tem większą było to dla mnie niespodzianką, że okaz ten rzadki nie przechował się z epoki lodowej, ale znalazł w dzisiejszem zepsutem społeczeństwie. Żegnam Cię, kochany Przyjacielu, serdecznem uściśnieniem dłoni, i proszę oświadczyć lady Alicyi moje uszanowanie."

Skończywszy czytanie, Warburton rzekł.

— Jutro, skoro świt, niech górale rozbiegną się na wszystkie strony wiadomemi sobie drogami, dla odszukania profesora Stranda. Postaram się uspokoić go, że nie grożą mu wcale kajdany Hymenu, i że nikt z nas naprawdę nie posądził go o afekt do niewiasty.

— I przeprosimy go uroczyście - dodał Witold.

Baronet pogroził mu palcem i rzekł poważnie.

— To pan nawarzyłeś tego piwa!

XXIX.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

„Za wodospadem, gdzie ściana
Drży popękana,
Gniazdko dla siebie usłała
Ptaszyna mała;
I tam wśród mchów spowinięta,
Tuli pisklęta.“
Felicyan. Odgłosy z gór.

Uroczym zakątkiem jest dolina Strążyska: nie tak przygniatająca ogromem i gotyckiemi kształty kamiennych wieżyc, jak Kościeliska, ale jednak wspaniała i pełna powabów. Jeżeli Kościeliska jest świątynią, której charakter najlepiej się maluje, gdy w niej zamiast organów, pioruny grają hymny, a przyświecają błyskawice—to Strążyska kościołem, w którym ptaszki i pastuszkowie do mszy śpiewają. Tam Bóg i Sędzia Najwyższy przejmuje czcią pełną bojaźni, a tutaj łagodny przebaczający Ojciec budzi w sercu nadzieję i otuchę. Tam czarne smereki bramują ściany skaliste, niby wieńce żałobne, między któremi tu i owdzie błyszczą czerwone korale jarzębiny, jak duże krople krwi widne zdaleka, a tutaj gromady buków, młodych i starych, rozweselają ciemne tło świerkowych lasów, jasną między niemi błyskając zielenią. Kościeliska posiada olbrzymią nawę, wyniosłe wieże i liczne po bokach kaplice, ale nie posiada chrzcielnicy tak wspaniałej jak Strążyska pod Giewontem, który jej daje tło imponujące, a przybrane w roślinność tak

bogatą, tak bujną, że przypomina fantastyczne powieści o lasach dziewiczych, a dla botaników jest kopalnią prawdziwą. Jeżeli wreszcie Kościeliską dolinę nazwano „perłą Tatr“ najpiękniejszą, to Strążyska słusznie mieć winna nazwę „perełki.“

Brzegiem potoku, ścieżką wydeptaną między kamieniami, szedł Henryk w nowem ubraniu z szarego płótna góralskiego, uszytem ręką babuni Kasi, i w kapeluszu z góralskiej słomy z dużem rondem. Towarzyszył mu Król, pastuszek Ślimaka. Gazda miał na Reglach pastwisko, a Król pasał tam krowy i wygrzewał się w słońcu, lub zbierał poziomki, maliny i grzyby. Teraz zostawiwszy krowy swoje na stoku Regli, i nasłuchując odgłosu ich dzwonków, zaprowadził Henryka do doliny, i objaśniwszy go jak ma iść dalej, którędy się kierować i co omijać, wrócił do swoich krówek, a po chwili zdaleka słychać było jego piosenkę wesołą:

„Chłopiec ci ja, chłopiec
Zbójeckiego rodu,
Pójdę paść owieczki,
Nie będę marł głodu.

Chociem se chudobny
Alem se ślebodny;
Chodzę po ślebodzie
Jak rybka po wodzie.

Śpiewam sobie śpiewam,
Chocia ja nic nie mam;
Ptaszkowie śpiewają,
Chocia nic nie mają.“

— Kwiatula, gwiazdula, uu, hu, hu, hu!

Henryk słuchał i przytem rozglądał się uważnie po obu stronach, upatrując róży bez kolców. Doktór powiedział mu, że krzak ten rośnie w krainie dolnych Regli, niema nic więc niepodobnego w przypuszczeniu, że rośnie w Strążyskach. O, jakże byłby szczęśliwym, gdyby mu się znaleźć ją udało! Mało oczu nie wypatrzył, mało sto razy już myślał, że ją znalazł, i spostrzegł że się myli. Dokoła niego rosły przecudne Paprocie: koronkowa Paproć samicza, *Anthyrium filix max*; pajęczej delikatności Matki Boskiej włoski *Adianthum capillus Veneris*; wdzięczna Zanokcica skalna, *Trichomanes*; Skalipka południowa, *Woodria hyperborea*—słowem, całe królestwo paprociowe, znane pod ogólną nazwą *Felice*. Rosły śliczne Skalnice, Nieśmiertelniki, Zawojki i cała rzesza kwiatów znanych mu już z Kościelisk, bo tu był ten sam grunt wapienny

sprzyjający ich rozwojowi i te same warunki istnienia — wilgoć, którą piły chciwie, unoszącą się nad strumieniem i skraplającą na ich liściach. Znalazł Goryczkę żółtą, znaną mu już z wycieczki do Morskiego Oka i Czarnego Stawu; i całą gromadę goryczek niebieskich, w różnych gatunkach, a między niemi Goryczkę rzęsowatą, *Gentiana ciliata* i tę najpiękniejszą, *Gentiana acaulis*. Niewielki jej kwiatek wyrasta przy samej ziemi i dla tego może zowią ją Goryczką krótkołodygową. Kto jej nie widział, nie ma wyobrażenia o cudownej piękności jej szafiru! Są to prawdziwe klejnoty, rozsypane po ziemi. Niech się schowają przed niemi Bławatki, Powoje, Dzwoneczki i wszystkie odcienie błękitów. *Gentiana acaulis* jest jak wspomnienie nieba na ziemi i powinnaby mieć przydomek, *angelica*. Wedle zdania botaników, żywość barw kwiatów górskich pochodzi ztąd, że w rozrzedzonem powietrzu, słońce silniej świeci i przygrzewa. Dalej Henryk znalazł mnóstwo storczyków lilijowych i białych, pachnących tak cudnie, że choćby się nie wiedziało o ich obecności, domyśleć się jej można po zapachu i wyśledzić, nawet gdy się kryją między wysokie kłosy traw i listowie paproci. Szarotki patrzyły nań z wysoka, wabiąc ku sobie śnieżną bielą i promienistym kształtem. Mógł je był dostać bez wielkiego trudu, ale nie sięgał po nie: rwał tylko to co było najbliżej — i miał już sporą wiązkę kwiatów, ale nie cieszyły go one tak jak dawniej; smutny był i zamyślony, więc nie jeden cenny okaz uszedł jego uwagi. Babunia powiedziała mu wczoraj, że niedługo już w górach zabawią, a to odebrało mu humor i przywiodło tutaj, w nadziei, że przed odjazdem jeszcze znajdzie różę bez kolców.

Paproć samicza. *Anthyrium filix mas.*

W powietrzu bujały nitki pajęczyny, przyczepione do gałęzi smereków, nanizane kropelkami rosy, i błyszczały w słońcu, a Henryk my-

ślał z westchnieniem, że jego nadzieja jest jak ta nitka pajęcza lśniąca tęczowemi blaskami, która pęknie i zgaśnie, zanim on dojdzie do końca doliny.

— Jest wszystko, prócz tego, czego szukam—myślał z żalem, patrząc na bogactwo kwiecia pokrywające stoki.—Gdzie jesteś, o różo bez kolców? Różo alpejska, gdzie jesteś? Pokaż mi się!

Matki Boskiej włoski
Adianthum capillus Veneris.

Zanokcica skalna.
Trichomanes.

Uczuł lekki powiew na twarzy i cóś mu przeleciało koło ucha. Spojrzał: fruwał przed nim wspaniały Motyl, *Doritis Apollo*, znany mu z Muzeum tatrzańskiego, a barwne jego skrzydełka lśniły w słońcu tysiącem blasków. Henryk zachwycony ścigał go oczyma i spostrzegł, że motyl frunął na drugą stronę potoku, nad urwisko i usiadł na jakimś krzaku. Przysłonił ręką oczy żeby lepiej widzieć i spostrzegł go, doznawszy przytem nadzwyczajnego wzruszenia. Krzak na którym siadł

motyl, był to krzak róży około pięciu stóp wysoki, okryty kwiatem przepysznej, różowej, prawie purpurowej barwy.

Skalipka południowa, *Woodria hyperbórea.*

Chłopiec nie namyślając się, rzucił kilka kamieni w wodę i po tak zaimprowizowanym moście przeskoczył na drugą stronę, a serce biło mu jak młotem z pragnienia i niepewności, czy to naprawdę ta, której szukał. Ale to ona była, *Rosa alpina*! Gałązki jej ciemno-brunatne, nie miały kolców, tylko mały, delikatny meszek.

— Dzięki Bogu! mam ją, mam!—szeptał ze wzruszeniem. — Jakże się sir Edward ucieszy!

Drżącemi rękami zerwał dużą, okrytą kwiatem gałązkę, i zdjąwszy kapelusz założył za wstążkę, którą był opasany. Myślał chwilę, czyby nie wykopać krzaka z korzeniami, ale nie miał z sobą łopatki żelaznej, którą możnaby go wyjąć z gruntu bez uszkodzenia — a przytem, sir Edward może zechce sam dopilnować wyjęcia z wszelkiemi ostrożnościami, aby krzak zniósł bez przeszkody długą podróż po lądzie stałym i po morzu. Do końca doliny, nie miał już Henryk po co iść dzisiaj. Pragnął czemprędzej wręczyć baronetowi cenną zdobycz, i zawrócił z powrotem do Zakopanego.

Goryczka rzęsowata, *Gentiana ciliata.*

Szedł ku wyjściu doliny krokiem lekkim, szybkim, bo radość przypięła mu skrzydła. Zaledwie uszedł ze sto kroków, ujrzał kogoś śpiącego w cieniu drzewa. Zdaleka widniały piękne buty ze sztylpami, błyszczące w słońcu, bronzowa aksamitna kurtka i nowy tyrolski kapelusz z piórem, zieloną wstążką opasany. Obok leżał kij alpejski, lornetka na pasku rzemiennym i para pięknych rękawiczek z mankietami, jakich używa się do konnej jazdy. Z tych wszystkich oznak sportowej elegancyi, Henryk domyślił się Dawida, zanim jeszcze zobaczył twarz jego, okoloną puklami jasnych, widocznie fryzowanych włosów: Spał z ręką podłożoną pod głowę, na miękiem posłaniu z mchu, a sny jego niewesołe być musiały, bo czoło marszczyło się chwilami, a twarz przy-

bierała wyraz frasobliwy. O parę set kroków wyżej, na stoku góry, Walter z puszką przewieszoną przez ramię i łopatką w ręku, zbierał rośliny. Nieopodal pod drzewami pasły się dwa piękne, osiodłane wierzchowce.

Niespodziany widok chłopca, który go niedawno tak ubliżającem dotknął podejrzeniem, zmroził odrazu radość Henryka, a myśl o niesprawiedliwości, jakiej doznał, zalała serce jego gniewem i goryczą. Chociaż lubił bardzo Waltera, z którym się poprzyjaźnił w drodze do Morskiego Oka, nie chciał się z nim teraz spotykać, gdyż to doprowadziłoby do spotkania z Dawidem, którego nie lubił — więc wolał oddalić się niepostrzeżony. A przytem, miał jeszcze inny powód: nie chciał aby wiadomość o znalezieniu róży bez kolców, doszła do sir Edwarda wprzód zanim on mu ją doręczy — i naprzód się cieszył widokiem jego radości i zdziwienia. Dotknął ręką swego skarbu, jakby się bał żeby mu go kto nie odebrał—i chciał się szybko oddalić.

Storczyk, *Orchis nigritella.*

Odchodząc, rzucił przelotne spojrzenie na śpiącego Dawida, przyczem dojrzał w oddaleniu kilkunastu kroków od głowy jego, ruch traw i paproci — a że wiatru najlżejszego nie było, więc ruch ten niczem nieusprawiedliwiony, zastanowił go — i przystanął. Z pod kępy Wrzosów i drżączki wysunęła się niewielka płaska głowa, opatrzona dwojgiem bystrych wypukłych oczu, pozbawionych powiek, a potem wązki, szary, łuskami pokryty, czarno centkowany grzbiet, przedłużający się powoli i posuwający ku śpiącemu coraz bardziej, ruchem falistym.

Goryczka krótkołodygowa.
Gentiana acaulis.

— Żmija— szepnął chłopiec stru-

chlały—żmija jadowita. Ślimak mówił, że jadowite są szaro nakrapiane, a ta jest właśnie szara!

Patrzał przez chwilę jak zahypnotyzowany, na walcowate, beznogie ciało żmii, spodem białawe, a z wierzchu czarniawo-brunatnym oznaczone rysunkiem, wyglądającym jak zygzak piorunu na brunatnej chmurze—a serce mu biło jak młotem. Żmija przysuwała się coraz bliżej: miała może więcej niż metr długości, i już była tuż przy Dawidzie. Podniosła głowę, otworzyła paszczę, wysunęła długi, niewielki, na dwa cienkie końce rozdzielony język—jeszcze chwila, a ukąsi śpiącego... Ukąszenia żmii bywają śmiertelne...

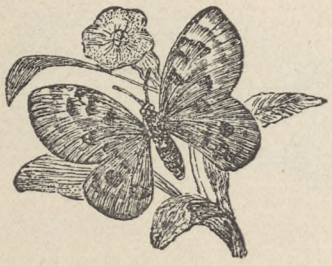

Motyl. *Doritis Apollo.*

Henryk oprzytomniał: wyciągnął rękę z siekierką i metalowem jej ostrzem uderzył w łeb żmiję, która drgnęła pod ciosem niespodzianym i zwinęła się w kłębek. Jeszcze kilka uderzeń, i gad legł martwy — ale ruchy te obudziły Dawida, bo kilka drobnych kamieni stoczyło się przytem po pochyłości na dół, do strumienia. Zerwał się napół przestraszony i zawołał z gniewem:

— Kto u dyabła ośmiela się mi przeszkadzać? — A nie widząc nikogo, rzekł do siebie z głośnem ziewnięciem.—Pewnie krowa potrąciła kamienie idąc wyżej ku górze. A szkoda, tak smacznie spałem!

— To ja—odezwał się Henryk tuż za nim.

Dawid odwrócił głowę i podparłszy się na łokciu, rzekł ze złością:

— To ty, *mały* Polaku? Czyż nie dość masz miejsca w Strążyskach, że ci przyszła ochota tutaj, koło mnie, urządzać sobie głupie zabawy ze zrzucaniem kamieni, i przeszkadzać mi spać?

I dodał szyderczo:

— Ale gotów jestem przebaczyć ci, jeżeli mnie przeprosisz i powiesz, że ci się to tylko przypadkiem zdarzyło.

Henryk popatrzył na zarozumiałego panicza z politowaniem i odrzekł.

— Mylisz się *wielki* Angliku, wcale cię przepraszać nie będę. Dowiedz się, że nie zrobiłem tego przypadkiem.

Dawid osłupiał. Pierwszy to raz usłyszał, że ktoś otwarcie przyznawał się, iż chciał go obrazić. Nic podobnego nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy, i nie mogło się pomieścić w jego płytkiej głowie, nawykłej do otoczenia, spełniającego skwapliwie wszystkie jego zachcianki i kaprysy. Począwszy od matki, a skończywszy na służbie, wszyscy prócz dziadka ulegali mu. Pierwszą gorzką lekcyę upokorzenia wziął na

drodze do Morskiego Oka — a teraz dosłał niespodzianie drugą. Nie wierzył uszom własnym, ale czekał. Widząc zaś, że Henryk nie dodaje ani słowa dla złagodzenia wrażenia słów wypowiedzianych, wykrzyknął ze złością:

Róża alpejska. *Rosa alpina.*

— Na to trzeba być gburem!

Krew zawrzała w żyłach Henryka, ale powściągnął się i rzekł spokojnie:

— Gburem jest ten, kto drugich znieważa bez powodu. Ty, panie hrabio, na Krzyżnem już dowiodłeś, że ci się ten tytuł prawnie należy.

Dawid poczerwieniał. Chciał odpowiedzieć nowem grubjaństwem, ale przypadkiem wzrok jego padł na gałązkę róży zatkniętą za opaskę kapelusza Henryka i zbladł.

— Co to jest?—zawołał—róża z gładką gałązką! Czy to nie jest czasem róża bez...

— Nie omyliłeś się: to jest Róża bez kolców, *Rosa alpina*.

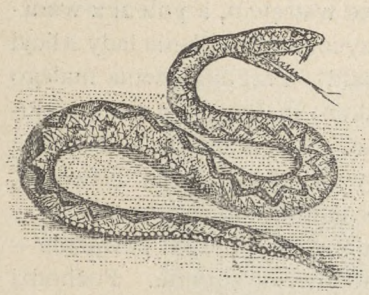

Żmija Grzmiel, *Pelias berus*.

— A więc ty ją znalazłeś! — zawołał, zaciskając pięście ze złością.— Jakiż zły duch stawia cię zawsze na mojej drodze! To ja byłbym ją znalazł, skoro już jestem w tej dolinie. A nawet... nawet zasługa znalezienia, mnie się raczej należy, bo widziałem niedaleko stąd krzak róży. Może to ta sama! Powiedz mi gdzie ją zerwałeś?

— Jeżeliś krzak widział, to nie potrzebujesz o to pytać — odpowiedział Henryk, wiedząc doskonale, że mały hrabia skłamał.

Davy przygryzł wargi.

— Chciałem wiedzieć, czy to ta sama — tłomaczył się zmięszany, — czy też zerwałeś ją z innego krzaka. Ty jesteś mojem nieszczęściem! Od czasu jak przyplątałeś się do nas, sir Warburton niechętnie na mnie patrzy i stał się jeszcze więcej surowym i niesprawiedliwym, niż był dawniej; a odkąd zacząłeś wyjeżdżać przy każdej sposobności z czynami bohaterskiemi, uważa mnie za skończonego niedołęgę! Zapowiedział nawet żebym się niczego po nim nie spodziewał, że pracą będę musiał zdobywać sobie byt i stanowisko. Słyszysz? *niczego* po nim, mającym tyle pieniędzy, że nie wie co z niemi robić! A teraz—dodał, patrząc zazdrośnie na gałązkę róży — teraz, gdy mu zaniesiesz kwiat, za którym napróżno upędza się od trzech tygodni, podbijesz serce starego do reszty!...

I śmiejąc się nienaturalnie, dodał:

— Gotów cię jeszcze uczynić swoim spadkobiercą! A choć jesteś dumny jak książę i powiedziałeś na Krzyżnem, że nie dbasz o łaskę baroneta, jednakże...

— Nie kończ! — zawołał oburzony Henryk — ubliżasz sir Edwardowi i mnie! Czyż nie rozumiesz, że...

— Nie przerywaj mi! — zawołał Dawid z uniesieniem — muszę ci raz wszystko wypowiedzieć: Słyszałem na własne uszy, jak dziadek mówił do pana Waltera, że jesteś podobny do mego ojczyma, Ryszarda, którego on kochał do szaleństwa. Dobry początek, nieprawdaż? A potem, gdyś pojechał na tę waryacką wyprawę tratwą, po tego dziwaka Stranda, i burza powstała na jeziorze, stary o mało nie oszalał z obawy o ciebie... a gdyś powrócił, porwał cię w objęcia i ściskał jak własnego syna! A wiedz, że gdy się nie ma następców w prostej linii, prawa an-

gielskie nie bronią przelać majątku na obcych, nawet na cudzoziemców! Nie wiem coś ty za jeden i skąd się tu wziąłeś, ale matka moja utrzymuje, że dziadek musi mieć krewnych w waszym kraju!

Henryk słuchał tych zwierzeń zrazu ze wstrętem, a potem z wzrastającem zdziwieniem. A więc to była przyczyna zemdlenia lady Alicyi przy Morskiem Oku? Tego się oni obawiali! Przypuszczenia małego hrabiego były poprostu bezsensowne, ale skoro matka i syn mają podobne obawy, powinien usunąć się zupełnie. Nakazuje mu to sumienie i honor—a przytem, nazbyt szczerze przywiązał się do sir Edwarda, aby chciał wnosić kąkol nieporozumienia w jego kółko rodzinne.

— Posiadasz pan bardzo bujną wyobraźnię — rzekł poważnie— skoro w twej głowie wylęgły się podobne przypuszczenia. Pochodzi to pewnie stąd, że masz za dużo czasu i myślisz ciągle o pieniędzach. Ja ich nie mam, ale je sobie w przyszłości zdobędę, bo lubię pracować. Nie liczę na żadne spadki, ani ich pragnę. Zrozumiałbyś to, gdybyś, zamiast myśleć ciągle tylko o sobie, patrzył uważniej na drugich. Nie mam bynajmniej zamiaru mięszać się w twoje sprawy familijne i jeżeli gałązka róży może usunąć twoje obawy, to weź ją sobie!

To mówiąc odczepił ją od kapelusza i oddał Dawidowi,

— Jakto! — zawołał tenże zdumiony — więc ty... naprawdę... chciałbyś...

— Chcę, żeby sir Edward posiadł to czego pragnie, a czy ja mu dam tę gałązkę, czy kto inny, to wszystko jedno: cel zostanie osiągnięty. Żegnam cię, widzimy się po raz ostatni.

I zmieniwszy pierwotny zamiar, zawrócił w głąb doliny, którą teraz postanowił zwiedzić do końca, bo nie miał już powodu spieszyć się z powrotem.

Dawid pozostał sam, zdziwiony niespodziewanem rozwiązaniem sprawy, z gałązką róży w ręku, a wstyd palił go jak rozpalone żelazo. Dwie plamy czerwone wystąpiły mu na policzki, głowa pochyliła się pod ciężarem doznanego upokorzenia... Czuł całą niedelikatność swego postępowania i zgnębiony był wspaniałomyślnością przeciwnika.

Po drugiej stronie strumienia zstępował ze stoku Walter obładowany obfitą zdobyczą. Puszka jego tak była pełna roślin, że nie dawała się zamknąć i jeszcze ręce obie miał niemi zajęte. Skinął na Davego, żeby mu przyszedł z pomocą w dźwiganiu tych zbiorów. Mały hrabia podniósł się, postąpił kilka kroków i nagle krzyknął odskakując ze wstrętem. Nastąpił na coś miękiego i śliskiego. Była to żmija nieżywa, a na głowie jej widne były ślady uderzeń siekierki. Leżała w miejscu, gdzie kamienie toczące się na dół zbudziły go ze snu.

— O Boże! — zawołał Dawid przerażony — to on zabił tę żmiję i ocalił mnie, a ja mu się odpłaciłem tak haniebnie! I nic nie powie-

działł!... nie raczył się nawet tłomaczyć, gdy napadłem na niego, że mi przeszkadza... Pogardza mną, to widoczne. Jestem okropnie ukarany bo muszę go szanować i... podziwiać! Jakiż on dumny i szlachetny ten mały Polak, a ja, jakżem zły i samolubny... O, Boże, Boże!

...i ostremi zakończone wieżycami.

Henryk szedł prędko nie oglądając się, i przystanął dopiero na kładce rzuconej przez strumień, gdy był pewny że już nie dosięgnie go oko niczyje. Stanął i spojrzał przed siebie. Z lewej strony miał rąbanisko, między którem stały samotnie pojedyńcze jodły i świerki, w głębi Giewont, a w dole nad strumieniem wspaniałe, rozłożyste buki zasłaniające dalszą drogę. Na prawo, piętrami wznosiły się ściany skaliste, poszarpane i ostremi zakończone wieżycami, które górale zwą „kominami", upatrując podobieństwa do zwierząt i ludzi: do sowy do mnicha, a nawet do Matki Boskiej. Henryk zatrzymał wzrok na tej ostatniej i zdało mu się, że w smukłej kamiennej postaci rozróżnia istotnie rysy Matki

Zbawiciela z Dzieciątkiem Jezus na ręku—a do złudzenia tego dopomagały jeszcze małe przejrzyste obłoczki, przepływające u jej stóp. Patrzył, patrzył, a wszystka gorycz, uczucie doznanej niesprawiedliwości, żal i ból, spłynęły do serca które wezbrało i rozpłakał się. Taki był szczęśliwy niedawno, taki dumny, a teraz!... Sir Edward nie dowie się nigdy, kto znalazł różę bez kolców, ani jak bardzo pokochało go wdzięczne serce polskiego chłopca!...

Buk.

— Ach, czemuż sir Edward nie jest ubogim! — westchnął —mógłbym wtedy śmiało okazać mu co czuję, i nie wzbudzałbym niczyjej niechęci.

Usłyszał w górze ostry świst przecinający powietrze, i ujrzał ptaszka z długiemi, łukowato wygiętemi skrzydełkami i widełkowato podwiniętym ogonem. Rdzawo czarne miał piórka, a pierś białą. Płynąc z szybkością strzały w powietrzu, przybierał chwilami kształt krzyża, odbijającego ciemnym konturem od jasnego nieba.

— Jerzyk, czyli jaskółka turniowa! — zawołał Henryk, ścigając oczyma wdzięczne ptaszę i zobaczył jak przysiadłszy na występie skalnym, zaczęła leźć do góry, podpierając się sterówkami, jak dzięcioł ogonem. Chwytała przytem w lot owady, upędzając się za niemi wysoko.— Musi tam mieć gdzieś gniazdko — myślał — chciałbym je widzieć! Jerzyk podobno jest pobratymcą Salangany, owej jaskółki z Jawy, słynącej z gniazd jadalnych.

Była chwila, że żałował iż oddał różę Dawidowi, ale potem powiedział sobie, że dobrze zrobił i że nie mógł inaczej postąpić. Wstał i szedł znowu dalej, a gdy doszedł do polany, gdzie były szałasy i pasło się krów kilka, zobaczył na środku wielki głaz podobny z kształtów do Sfinksa. Przystanął i jął mu się ciekawie przypatrywać.

Jodła.

— Czytałem gdzieś podanie, że Sfinks przebywający na skale pod Tebami, zadawał każdemu przechodniowi zagadkę, a nie umiejącego rozwiązać takowej, połykał. Myślę że mi żadnej nie zada, i że nie będę połknięty. Sir Warburton to także rodzaj Sfinksa... Bo też to dziwny człowiek: bogaty jak król, a zdaje się nie przywiązywać żadnej wagi do pieniędzy, i nawet wyraża się o nich z gorzką ironią. Gdy mnie na Krzyżnem, spytał czy chciałbym być bogaty, i odpowiedziałem mu że tak, uważałem że popatrzył na mnie z politowaniem... Wydało mi się nawet, że straciłem coś w jego pojęciu. Jego postępowanie to prawdziwa zagadka, nietylko dla mnie ale dla wszystkich. Pan Jakób i pan Witold myślą tak samo jak ja, bo widzę często, że gdy on powie coś niespodzianie, patrzą na siebie jakby to była zagadka, której nie mogą rozwiązać.

Z jednego, bliżej Sfinksa położonego szałasu, wyszedł doktór, a spostrzegłszy Henryka, zawołał zdziwiony.

— Ty tutaj chłopcze? A to niespodzianka! Jak się masz, mój kochany? Pewnie przyszedłeś szukać róży bez kolców. I ja o niej myślę od rana, ale nie spotkałem jej dotąd. Może ty będziesz szczęśliwszy. „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.“ Jakże tu sam trafiłeś?

— Pastuszek drogę mi pokazał.

— Ale masz jakiś smutek w oczach: co ci jest?

— Mam swoje zmartwienia...—odrzekł.

— O! jest nawet liczba mnoga? Czy można wiedzieć, jakie?

— Dziadunio napisał wczoraj, żebyśmy wracali do Miratycz, bo nie może nam przysłać pieniędzy. Mieliśmy zabawić tutaj całe dwa miesiące, a pewnie za jaki tydzień wyjedziemy!

— A tobie góry do serca przypadły, nieprawdaż? Sir Edward też nową projektuje wyprawę, w której mógłbyś wziąść udział. Przytem

przykrą ci jest myśl rozstania się z baronetem, z którym się tak bardzo zaprzyjaźniłeś?

— To prawda — odrzekł szczerze chłopiec. — Mnie samemu jest dziwno, że mogłem tak... tak przywiązać się do obcego człowieka i jeszcze cudzoziemca; ale gdy pomyślę, że go już więcej nie zobaczę, to mi się na płacz zbiera. Bo czy nie prawda, panie, jaki on jest dobry! Interesuje się wszystkiem co mnie obchodzi. Wypytuje się o naszą wioskę, o interesa, o babunię Kasię, o Marysię...

— A babunia, czy nigdy nie wyraziła życzenia poznania sir Edwarda?

— Nie powiedziała tego ani razu, ale widocznie spodziewa się jego odwiedzin, bo ile razy kto drzwi otworzy, zrywa się jakby kogoś oczekiwała, czy obawiała się czego. Gdy wróciliśmy od Morskiego Oka, musiałem jej szczegółowo opowiedzieć nasze przygody, a każde słowo sir Edwarda kazała sobie po kilka razy powtarzać. A potem...

— Cóż było potem?

— Potem modliła się długo i... widziałem że płakała. Babunia jest jakaś niezdrowa: chciałem właśnie dziś iść do pana i prosić, aby ją pan odwiedził. Źle sypia w nocy, zamyśla się często tak, że nie słyszy co się do niej mówi, jest jakaś niespokojna, zdenerwowana i zdaje mi się nawet że zmizerniała.

— Dobrze: dziś będę u was, i zobaczę zarazem jak się ma twoja siostrzyczka. A cieLie co dziś skłoniło do spaceru w Strążyskach?

— Mówili mi pasterze, że widzieli tu różę bez kolców.

— Chciałeś więc ją zdobyć dla sir Edwarda, zanim wyjedziesz z Zakopanego.

— Tak jest—odrzekł z westchnieniem.

— Szukaj więc, pomogę ci.

— Dziękuję panu—odrzekł z pewnem wahaniem — ale to już niepotrzebne. Znalazłem ją.

Doktór spojrzał na chlopca zdumiony.

— Znalazłeś i nie chwalisz się tem przedemną? a wyglądasz taki strapiony i chmurny, jakby cię spotkało nieszczęście! Jabym głośno wołał: Victoria! i potrząsałbym z daleka gałązką zdobytą jak chorągwią, a ty milczysz Henryku! Co to znaczy?

— To znaczy, że moją zdobycz oddałem dobrowolnie komu innemu.

I opowiedział doktorowi całe swoje zajście z Dawidem.

— Postąpiłeś jak prawdziwy gentleman—odezwał się Jakób, wysłuchawszy uważnie.—Jak wyglądała żmija?

— Była szara. Wzdłuż grzbietu miała nakreślony pasek czerniawy, w zygzak połamany i czarne centki po bokach.

— A więc to była żmija jadowita, tak zwany Grzmiel; jest ona jedynym u nas w Europie środkowej, wężem jadowitym i nie mniej od psa wściekłego szkodliwym dla człowieka i zwierząt. Na nizinach Grzmiele przebywają, pośród zarośli; a w górach, na miejscach skalistych i zboczach. Zęby żmii stanowią broń odporną i zaczepną, straszniejszą niż zęby wilka. Nie ma ona żądła, jak mylnie sądzą niektórzy, ale dwa zęby ostre i śpiczaste, wychodzące z górnej szczęki. Zęby te mają wewnątrz otwory łączące się z gruczołkami jadowemi, i przez nie to jad spływa do rany, gdy kąsając ciśnie na gruczołki. Ranka od ukąszenia żmii, wygląda jak ukłucie szpilki, i tem jest niebezpieczniejsza, im czulsze jest miejsce zranione; im żmija silniejsza, jad obfitszy, a pora gorętsza. Gdyby nie twoja przytomność umysłu, Davy przypłaciłby swój sen w Strążyskach ciężką chorobą, a może śmiercią, bo ukąszenie żmii często bywa śmiertelne. Ale jedna rzecz mnie dziwi: żmija unika człowieka i tylko wtedy gdy ją podrażni, przygniecie, lub nadepcze, nadyma się, syczy i kąsa. Gdzież Walter był wtedy?

— O kilkadziesiąt kroków wyżej, między smerekami: zbierał rośliny.

— Hm, to dziwne: więc ani Davy jej nie podrażnił, bo spał, an Walter, bo znajdował się gdzieindziej.

— Widziałem, jak krowa właśnie przeszła tamtędy.

— A więc sprawdziło się tu przysłowie: „ślusarz zawinił, kowala powieszono.“ Krowa musiała nadepnąć żmiję, a ona chciała się zemścić na Dawidzie.

— Jakie są objawy zakażenia krwi jadem żmii?—zapytał Henryk,

— Skutki jadu objawiają się niekiedy już po kilku minutach: mianowicie gwałtowny ból i spuchnięcie ukłutej części ciała, słabość, nagłe opadnięcie z sił, zawrót głowy i mdłości. U osób dorosłych, ukąszenie zwykle kończy się chorobą, u dzieci czasem śmiercią.

— A jak trzeba ratować ukąszonego?

— Wymyć ranę jak najspieszniej, a gdyby była głębszą, należy ją wykroić lub wypalić, aby krew dobrze odchodziła, przytem ostrożnie wyssać, podwiązać miejsce zranione po wyżej rany, aby przeszkodzić obiegowi krwi w ukąszonem miejscu; wreszcie zawezwać jak najspieszniej lekarza. Rzadko zdarzają się wypadki ukąszenia, ale się zdarzają; należy przeto żmiję znać i mieć się przed nią na ostrożności. Obok zwyczajnej żmii, jak ta którą widziałeś, zdarzają się okazy miedziste i czarne, bez paska grzbietnego.

— Proszę pana, ciekawy jestem czem żmije się żywią?

— Myszami i w tem są pożyteczne, na równi z innemi myszojadami. Dopadniętej myszy zadaje żmija ranę śmiertelną, potem puszcza ją, czeka aż padnie i dopiero martwą połyka.

— A czy tutaj w górach jest tyle myszy, żeby je mogły wyżywić?

— O, są: jest Koszatka *Myoxus dryas*, rzadka w kraju naszym i pojawiająca się jeszcze w Tatrach, Orzesznica *Muscardinus avellanarius*. Jest też tu pewna mała myszka należąca do osobliwości tatrzańskich, bardzo rzadka w Europie: zwie się Smużką, *Sminthus subtilis* i żyje po lasach.

Koszatka, *Myoxux Dryas.*

— Biedne myszki mają tu dużo nieprzyjaciół—rzekł Henryk—bo i krwiożercze Łasice podobno zawzięcie na nie polują. A jakich wrogów mają żmije?

— Jeż, borsuk, tchórz, myszołów; na równinach pawie i bociany. Walka między jeżem a żmiją, ciekawy przedstawia widok. Jeż rozwija przy jej chwytaniu szczególną zręczność, tak, że żmija nim zdoła dosięgnąć zębami przeciwnika, już pada jego ofiarą. Nie może ona do niego dostąpić, bo kolce ją kłują, a nim upatrzy miejsce mniej zabezpieczone jego ciała, zwinny jeż tymczasem schwyci ją za kark i ubezwładni. Jeżeli już odpocząłeś Henryku, to chodźmy dalej.

Smużka.
Sminthus subtilis.

— Czy możemy w Strążyskach spotkać jakie dzikie zwierzęta?

— Dlaczego nie? możemy, naprzykład dzika, który tu czasem zachodzi z Kościelisk.

— O, to mi się nie uśmiecha! Nie mamy z sobą broni, a jest przecież dawne myśliwskie przysłowie: „Jeżeli idziesz na niedźwiedzia, gotuj łóżko; jeżeli na dzika, gotuj mary,“ bo jedno uderzenie kłem, rozpruwa brzuch psu lub człowiekowi i wydobywa wnętrzności.

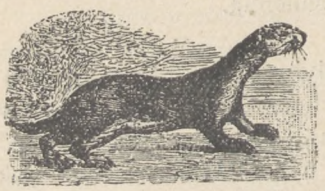

Łasica.

— No, tak źle z nami nie będzie—odrzekł Jakób z uśmiechem — dzik wychodzi na żer o zmierzchu; w dzień opuszcza rzadko legowisko, chyba wypłoszony umyślnie. Możemy też spotkać wydrę bo te zwierzątka lubią wszystkie miejsca, gdzie jest dużo wody — a słyszałem, że je widziano w tej dolinie i w Kościeliskach. Jest też tu ulubione miejsce zamieszkania puchaczy, bo tu znajduje się dużo drzew starych i rozłożystych, a one na takich najchętniej się osiedlają. Ale i puchacze dopiero o zmroku wychodzą na łowy, a we dnie chowają się w kryjówkach.

Idąc, przechodzić musieli kilkakrotnie przez strumień po sterczących z wody kamieniach, to na jednę to na drugą stronę, lub po zwalonych kłodach drzew przepyszną okrytych roślinnością.

— Wody tu istotnie dużo i widzę nawet migające pstrągi. Wydra ma na co polować—powiedział Henryk.—Ale co to za halas słychać?

— To huk wodospadu lecącego ze skały 40 stóp wysokiej. O patrz! czy widzisz?

— Widzę, widzę! Ponad wodospadem wznosi się lesista dolina, a Giewont daje jej wspaniałe tło. Co za oryginalny a uroczy zakątek!

— Dzika to i pusta, zasłana rumowiskami kotlina; leżą w niej grube płaty śniegu zlodowaciałego. Prawdziwa tam kopalnia dla botaników! Wejście na nią bardzo trudne, ale ja wejść muszę, bo spodziewam się znaleść kilka roślin, których mi właśnie brakuje. Ty Henryku posiedź tu sobie przy wodospadzie i zaczekaj na mój powrót.

Jeż.

Henryk zgodził się na propozycyę. Usiadł na zwalonym pniu drzewa i patrzył na rozpryskującą się pianę, która jak pyłek delikatny unosiła się w powietrzu, a promienie słońca padając na nią ukośnie, zmieniły ją w gazę złocistą. Wszystkie mchy i paprocie, perliły się od tego pyłku, niby dyamentowym posypane piaskiem. Chłopiec zdjął kapelusz, i z rozkoszą napawał się miłym chłodem i pięknością widoku.

Wtem coś niezwykłego zwróciło jego uwagę. Posłyszał gdzieś w bliskości śpiew ptaszyny, słaby, cichy, ale bardzo miły. Upatrywał pilnie śpiewaka, nigdzie jednak dojrzeć go nie mógł: wkrótce też śpiew ucichł. Za to w miejscu gdzie woda najbardziej była skłębiona, ujrzał wśród wiru i piany trzepoczącą się drobną ptaszynę. Myślał że tonie, bo chwilami niknęła zupełnie pod wodą; zerwał się więc i pospieszył na jej ratunek—ale o dziwy, ptaszek wyleciał z toni jak piłka, do góry i na nowo rzucił się w nurt spieniony. Widocznie była to tylko kąpiel dla przyjemności, a nie żaden nieszczęśliwy wypadek.

— A to dopiero! Co za siła i zręczność w tej maleńkiej ptaszynie—pomyślał zachwycony i zaintrygowany mocno Henryk. — Słyszałem że siła wody spadającej z takiej wysokości, może zabić człowieka któryby dostał się w jej nurty, a ptaszek igra z nią bezkarnie!

I patrzył co dalej będzie, a ptaszek dokazywał cudów zręczności i odwagi, jakby się przed nim umyślnie popisywał tem co potrafi. Wyprawiał sztuki niesłychane: przecinał lotem kryształ spadającej kaskady, i krył się za jej zasłoną, a gdy Henryk oddech wstrzymywał, z ciekawości i obawy, co się z nim stało, zjawiał się niespodzianie, jakby

igrając. Nareszcie przysiadł na wystających z wody głazach. Teraz chłopiec mógł zauważyć, że piórka jego miały rdzawą barwę.

. . . ale ptaszek ani myślał o spoczynku.

— Zmęczył się — pomyślał Henryk — pewnie będzie odpoczywał i suszył piórka w słońcu.

Ale ptaszek ani myślał o spoczynku, tylko zmienił sposób zabawy: wskoczył jak żaba w strumień i trzymając skrzydła cokolwiek rozstawione, spacerował po jego dnie, zanurzony zupełnie, i szukał czegoś pomiędzy wyścielającemi je drobnemi kamykami. Po upływie kilkunastu sekund ptaszek wychylił główkę nad wodę, a potem znowu się zanurzył.

— Jak to drobne stworzenie może tak długo wytrzymać bez powietrza—myślał Henryk — to dla mnie niepojęte! Panie Jakóbie! — zawołał, widząc spuszczającego się ze skały doktora — jak to dobrze, że pan idzie! Dzieją się tu niesłychane rzeczy!

I podbiegłszy ku niemu, opowiedział całą historyę, wszystko czego był świadkiem i co go zdumiewało. Jakób odrzekł mu na to:

— To jest właśnie Pluszcz Kordusek, *Cinclus aquaticus*, o którym wspominałem, gdyśmy z panem Witoldem szli do Jaworzynki dla spotkania się tam z sir Edwardem. Charakterystyczną jest jego cechą, że przez gęste, zbite piórka tej ptaszyny, woda nie przesiąka wcale; dla tego to po wyjściu z niej, nie potrzebuje wcale suszyć ubrania.

— A co znaczy to spacerowanie pod wodą z rozstawionemi skrzydłami?

— Właśnie w tem rozstawieniu skrzydeł jest cała sztuka: ptaszek chowa tam sobie pewien zapas powietrza—a spacery jego podwodne mają swoją przyczynę: poluje on tam na taką zwierzynę, jak różne skorupiaki, owady, poczwarki, gąsienice przyczepione do korzeni roślin, lub kłód zalegających strumienie.

— Uważałem, że gdy przeciął lotem kryształ kaskady, nie było go widać dłuższą chwilę.

— Pewnie zajrzał do domu.

— Do domu? A czyż on tam mieszka?

— Pluszczyk buduje sobie zawsze gniazda przy wodzie, i buduje tak blisko, że pryskające krople ciągle je zraszają. Czasem nawet pod osłoną wodospadów, a tutaj najpewniej tak jest. Lubi też dziury przy brzegach po wypadniętych kamieniach, mosty i koła opuszczonych młynów.

— A to szczególne! Cóż za nadzwyczajna rozmaitość jest w świecie zwierzęcym!

— I w roślinnym, mój chłopcze i w świecie minerałów, wszędzie gdzie rzucisz okiem! Patrz, co za bogatą zdobycz przyniosłem z pod Giewontu.

I siadłszy na pniu drzewa, zaczął dobywać kolejno swoje skarby, rozkładając jedno obok drugiego.

— A co to pan ma za słoik w puszce?—zapytał Henryk, gdy szkło z pomiędzy kwiatów błysnęło.

— Ach, to jest Jaszczur plamisty, *Salamandra maculosa*. Złowiłem go dziś w Jaszczurówce. Przypatrywały się memu polowaniu, lady Chester i miss Fanny, które tam codzień jeżdżą do kąpieli. Milady pytała mnie, czy nie mam jakich wiadomości o profesorze Strandzie.

— Jakto! więc się nie znalazł?

— Nie, wszelkie poszukiwania okazały się daremne.

— To dziwne!

— No—rzekł nareszcie doktór, spojrzawszy na zegarek — już dziewiąta, czas wracać! Ja też potężnie głodny jestem, bo oprócz szklanki mleka na hali przy Sfinksie, nic jeszcze dziś w ustach nie miałem. Witold rysuje grupę chat z wielkim jaworem przy ulicy Kościeliskiej: umówiliśmy się, że gdy stąd wrócę, pójdziemy razem na śniadanie. Czy chcesz iść ze mną?

Jaszczur plamisty, *Salamandra maculosa*.

— I owszem—odrzekł chłopiec.

Lecz przykrą mu była myśl, że wracając, będzie musiał przechodzić obok róży bez kolców, sam jednak nazwał to dziecińśtwem i powtórzył sobie, że jest mężczyzną. Jednak gdy się zbliżali do tego miejsca, zwrócił się nagle do doktora, i rzekł z rumieńcem na licu:

— Proszę pana, ja... ja lubię chodzić różnemi drogami, bo one dają nowe wrażenia. Pójdę tędy przez górę, na stok Regli. Król pasie tam krowy naszego Ślimaka: on mnie tu przyprowadził, więc wskaże mi drogę na Kościeliską do jaworu, gdzie rysuje pan Witold. Ja tam wkrótce będę. Czy dobrze?

— Dobrze, mój chłopcze—odrzekł Jakób, patrząc nań z serdeczną życzliwością. — Słuchaj, wiesz że jestem twoim przyjacielem: powiedz mi szczerze przyczynę, dla której rozdzielasz się ze mną tutaj właśnie?

— Bo — odrzekł chłopiec z lekkiem wahaniem — możebym uległ pokusie i zerwał gałązkę róży alpejskiej; a skoro oddałem ją Dawidowi, zrzekłem się wszelkich praw do niej i nikt nie powinien wiedzieć, że to ja ją znalazłem.

— Domyślałem się tego—odrzekł Jakób, i rozłączyli się. Pod Reglami na zboczy Strążysk, rozległo się wołanie:

— Gwiazdula, Kwiatula, kanyś ty? A hej! Cielusia, pójdzi, pójdź!

A gdy na to wezwanie odpowiedziały dzwonki przybliżających się krów, zabrzmiała piosenka:

„Ojcze mój, ojcze mój,
Gołąbeczku siwy,
Po tela mi dobrze,
Po kielaś mi żywy.“

— Uhu, hu, hu, huuuu...

Głos ten w półkrzyku, pół śpiewie, począwszy od najwyższego tonu, spadał kaskadą coraz niżej, przeskakując w biegu po dwa tony. Sprawiało to wrażenie takie, jakby do olbrzymiej metalowej urny wpadała perła i zatoczywszy krąg, spoczęła na dnie, napełniwszy dźwiękiem długo nie cichnącym, naczynie. Pasterze tatrzańscy lubują się w sposobie wydawania odgłosów i wsłuchują się z rozkoszą w powtarzające je echa — a im pierś młodsza, silniejsza, a głos czystszy, tem wspanialszy efekt. Chcąc być słyszanymi jak najdalej, krzyczą z całej siły; dla tego też głosy ich wcześnie bywają przekrzyczane i tracą miększe tony. Ile jest dolin w amfiteatrze gór otaczających Zakopane, wszystkie stają się urnami, w które duchy gór rzucają dźwięczne perły, naśladując człowieka, a strumienie huczące po kamieniach, i dzwonki krów, grają akompaniament.

„Jeszcze mie matusia
Na ręku nosiła,
Już mi się, już mi się,
Szabliczka wróżyła.

Kowal konia kuje,
Ja se gwer pucuje,
Kowal konia okuł,
Ja se masieruje.“

Typ górala.

XXX.

PROMIEŃ SŁOŃCA.

„Przez złotawych pyłów rój skrzydlaty
Siany w poniewierce,
W tłach z szafirów, dnieją tkane w kwiaty,
Drżące łąk kobierce".
Felicyan. Odgłosy z gór.

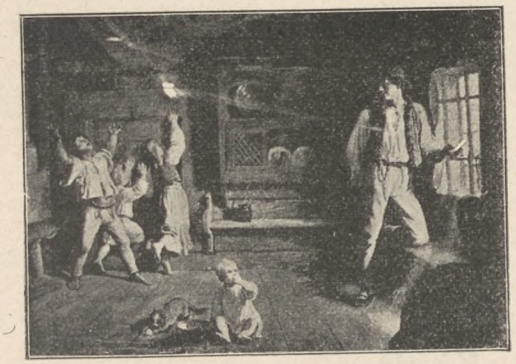

Jakób szedł, rozmyślając nad wypadkami dni ostatnich.

— Teraz—mówił do siebie — gdy do Warburtona dojdzie wieść że panna Katarzyna wyjeżdża z dziećmi, żelazny starzec zdobędzie się na jakiś krok stanowczy... bo że pokochał chłopca duszą całą, to dla nikogo już nie jest tajemnicą.

Minął buki, modrzewie i jodły stojące poważnie przy drodze do Strążysk, minął świerkowy lasek, spuszczający się w dół ku polom, a tak był zamyślony, że nie widział ani bogactwa grzybów rozesłanych po ziemi, ani świeżych kretowisk, ani barwnych porostów na drzewach, ani mchów i paproci w których był rozmiłowany. Z po nad wału usypanego z kamieni, pracowicie z pól wyzbieranych, wychylały się dzikie róże, badyle malin i jerzyn, i listowie borówia. Wysmukłe osty i okazałe Tamaryszki, rosły tu rozległemi i zwartemi kępami, a między niemi pachniała górska Bylica, błyskały żółte kwiaty Dziurawca. Owa-

dy brzęczały w słońcu wesoło, a w powietrzu, jak stado motyli, fruwały stada delikatnych puszków, ważąc się zwolna, wznosząc i opadając. Jakób wyciągnął rękę i jeden taki puszek pochwycił.

— Oto posłaniec Boży!—mówił przypatrując się ziarneczku, małemi opatrzonemu skrzydełkami.—Ma to żagielek przymocowany do łódki maleńkiej, i pływa po morzu powietrznem bezpiecznie i swobodnie, a gdzie spocznie, tam nowa wyrasta roślina. Takie to drobne, takie na pozór słabiuchne, a niesie błogoławieństwo Stwórcy, łąkom, lasom i polom. Zdaje mi się, że to ziarnko Dmuchawca.

Kret.

Puścił je, gonił chwilę oczyma za maleńką łódeczką, a gdy zniknęła, szepnął:

— Jak te nasionka w powietrzu, tak wrażenia płynęły powoli w duszę Warburtona, zasiewając tam mimo jego wiedzy i woli, myśli i uczucia, a każde puszczało korzenie... Widziałem jak kiełkowały, jak wydawały nawet kwiecie. Teraz czas na owoce!

Bylica górska, *Artemisia.*

I przebiegł w myśli dzieje tych kilku tygodni, począwszy od spotkania z Anglikiem na Starej Polanie, aż do przejażdżki na tratwie przez Morskie Oko.

— Nie, nie można już dłużej wątpić, kim jest ten człowiek. Żelazna jego powłoka już się skruszyła, ale ostatki dumy walczą w nim jeszcze z przemożnem a potężnem uczuciem. Dziś lub jutro, wszystko się rozstrzygnie!

Już był na Kasprusiu, na wązkiej kamienistej drodze, gdzie dwa wózki góralskie, z trudnością tylko minąć się mogą. Z lewej strony, wśród łanów zboża, rozsiadły się domostwa wygodnie, a z prawej wisiały nad głębokim parowem, po którego dnie woda sączyła się z cichym, jednostajnym szmerem. Przy chacie Soboński, gdzie okna były otwarte, przystanął.

— Tu—myślał—mieszka ten, co uporczywie sam siebie nazywa realistą, a którego Witold słusznie zwie poetą: Władysław Matlakowski, człowiek, którego wątłe ciało trzyma duch silny, pełny miłości dla ziemi rodzinnej i dla górskiej przyrody.

Spojrzał w okno: na środku pokoju był stół zarzucony książkami i papierami, oraz dwa krzesła góralskie; w głębi, przy ścianie, łóżko, a na łóżku leżał w ubraniu poeta-realista. Piękna, sympatyczna twarz, blada była i zmęczona — płowe, jedwabiste włosy przylgnęły do skroni. Powieki miał przymknięte, jakby spał, a szczupła wychudzona ręka trzymała ćwiartkę papieru i ołówek:

. . . rozsiadły się domostwa.

— Choroba postępuje — myślał Jakób ze smutkiem—on jest widocznie słabszy, niż przed tygodniem, gdyśmy się z nim spotkali przy chacie Kuby, idąc do Czarnego Stawu.

W tem posłyszał odgłos drobnych dziecięcych stóp, biegnących w tę stronę: do pokoju wpadła dwójka jasnowłosa, chłopczyk kilkoletni i maleńka dziewczynka, wołając:

— Tatusiu, słońce, słońce!

Chory dźwignął się z łóżka w jednej chwili: na ustach jego pojawił się uśmiech, a oczy goniły za blaskiem zapełniającym boczną witry-

Parzenica.

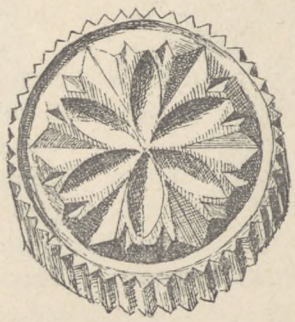

Wyciskadło do sera.

nę, gdzie leżały parzenice i wyciskadła do sera, a promień słońca zachodzący z boku, uwydatniał doskonale ich wklęsły rysunek.

Matlakowski przysunął sobie krzesło do okna i zaczął pilnie rysować piórkiem na ćwiartce sztywnego papieru, a w twarzy jego odmalowała się skupiona uwaga. Dzieci stojące za nim, przypatrywały się robocie ojca z ciekawością.

— Nie wiedziałem że pan jesteś także i artystą — odezwał się Jakób, który dotąd stał niepostrzeżony.

— Ach, to pan, kochany panie Jakóbie!—Widzisz, zostałem rysownikiem z konieczności. Tyle rysunków potrzeba do mej książki „Z d o b i e n i e l u d o w e n a P o d h a l u“..! a choć Witkiewicz dużo mi pomógł, dostarczywszy kilka ważniejszych rycin, nie jest to jeszcze wszystko, czego potrzebuję. Nauczyłem się umyślnie rysować piórkiem, bo tylko delikatne pióro może odtworzyć dokładnie te rysy, niby naiwne, a w rzeczy samej subtelne i artystyczne. A że nie znam wcale perspektywy, bo nie uczyłem się nigdy rysować, więc korzystam z każdego promienia słońca w mieszkaniu, żeby przy jego pomocy odtworzyć przedmiot tak, jak go widzę i tym sposobem odnajduję perspektywę.

— Wielka to siła woli i wielkie umiłowanie przedmiotu—powiedział Jakób, patrząc nań z podziwem graniczącym z uwielbieniem.

— Spieszę się—dodał smętnie—bo niewiele mam czasu przed sobą a chcę żeby to co robię, dobrze było zrobione. Akademia Umiejętności obiecuje mi to wydać.

— Wyświadczysz pan prawdziwą przysługę sztuce polskiej i etnografii.

— Ale wiesz pan, to moje porządkowanie motywów tutejszej ornamentyki, nie zadawalnia mnie, jako oparte na czysto zewnętrznej zasadzie. Bez porównania ciekawszą byłaby systematyka na podstawie porównawczej, z uwzględniem materyałów, jakie badania nad ludoznawstwem świata całego i zabytkami sztuk pięknych u starożytnych ludów, nagromadziły. Zestawienie motywów ornamentacyjnych, i motywów muzycznych różnych czasów i różnych ludów, byłoby niezmiernie ciekawe.

— I to z czasem będzie zrobione—wtrącił Jakób.

— Co zaś do zasługi, to tu bez porównania więcej odemnie zrobił Witkiewicz, jako wpływowy pisarz i artysta. Przez swoje stosunki z inteligentną publicznością, potrafił w wielu obudzić ufność, że ta chłopska sztuka to nie żart, ale rzecz poważna. Szafował hojnie rysunkami, planami, radami i szczepił dziwną nowość chłopską wśród panów. A z drugiej strony, dając rysunki i lepiąc modele z gipsu, z gliny, wpływał na rzeźbiarzy i stolarzy, wskrzeszając w nich zamierające już przekonanie, że rzeczy po ich przodkach, to piękne rzeczy, nie „staroświeckie dziady“— nie „brzydź“, ale rzecz cenna, żywa, mająca przyszłość. Budził na no-

wo miłość ku swojemu, słabnącą przez obcowanie z „blademi twarzami“ z Warszawy i Krakowa.

— Dosadnie się pan wyrażasz.

— Pobyt i nauka w szkole rzeźbiarskiej, mającej oczy tylko na renesans lub greczyznę, paczyły też u rdzenia zdrowy, wrodzony zmysł ludowy, który potrafił wydać tak bujny kwiat sztuki.

Zakaszlał się i lekkie rumieńce wystąpiły mu na twarz.

— Krzewić, krzewić należy jak najwięcej, między „dólskiemi panami“ tę sztukę. Pomyśl pan tylko, co za wspaniałą jadalnię można stworzyć, przenosząc żywcem prawie góralską świetlicę! Dajcie powałę z rzeźbionym sosrębem i sosrębikami, z deskami w szatkownicę z różnobarwnego drzewa, dajcie fazy głębokie i malowanie w polichromię. Przytwierdźcie do ściany obiegającą pokój listwę polichromowaną, jak tu bywa i bogato rzeźbioną, do stawiania na niej talerzy, srebra i porcelany. Dajcie spodem wykładanie, boazeryę ryzowaną w tutejsze łyżniki, i meble obmyślane na tutejszych wzorach, a będziecie mieli jadalnię swojską, wywierającą wspaniałe wrażenie. Na środku, postawcie tutejszy stół jaworowy, zamaszysty, z szeroko rozstawionemi nogami, ze stolnicą wykładaną hebanem, ciemną oliwką, lub ciemnym orzechem, a zobaczycie jaki to efekt zrobi!

— Sir Edward Warburton odgadł widocznie myśl pańską, bo taką właśnie jadalnię zamówił w szkole snycerskiej, dla swego zamku w Rochdale, i zamierza ją najprzód wystawić w Londynie, w Kesington palace.

— Czy tak? - zawołał Matlakowski, a modre jego oczy żywym zajaśniały blaskiem—rad jestem! bardzo rad jestem, że pokażemy cudzoziemcom nasz własny styl! Bo pan nie wiesz może, że oprócz mnie i Witkiewicza, Gerson i Maszyński wpadli na ten sam domysł, że sztuka i budownictwo podhalskie, jest dawnym polskim stylem, który na równinach zaginął, wypierany ciągłym napływem cudzoziemskich nowości, cudzoziemskiej mody, a tu jedynie przechował się jeszcze w dawnej czystości. Tatry są skarbnicą, której zawartość jedynie dlatego ocalała przed barbarzyńskim zalewem zagranicznej tandety, że chronił ją mur wysoki i niedostępność.

— Sądziłem że pan przyznajesz góralom szczególne uzdolnienie do odczuwania i wytwarzania piękna, a z tego co słyszę, wypada, że je tylko dobrze umieli w swej skrzyni przechować.

— O nie! —zaprzeczył z żywością—nietylko to. Gdyby nie mieli wrodzonego poczucia piękna, skrzynia opróżniłaby się zwolna. Oni mają wrodzone poczucie artystyczne, to też piękno ciągle w nich żyje i ciągle się odradza. Na równinach nigdzie nie było takiego upodobania do zdobienia wszystkich otaczających przedmiotów, jak tutaj. Oni

zdobią nawet orczyki do wozów, nawet grabie, kośniki, maglownice i kijanki do prania, wszystko czego się tylko dotkną. Styl podhalański jest stylem polskim, ale Podhalanie, to lud wybrany!

Grabie góralskie.

Jakób uśmiechnął się.

— Tak jest, wybrany, obstaję przy tem: lud, którego cudowna przyroda, pełna blasków królewskich, tak już ukształtowała, że rodzi się artystą. Nigdzie może na świecie, nie znajdziesz pan tego poczucia proporcyi w najprostszych linijach, tej harmonii, która prostą ławę, niezdobną nawet, czyni miłą dla oka.

Jakób patrzył na zapał mówiącego, zapał który i jego począł ogarniać i rzekł:

— Ale ja kradnę panu słońce, a ono już niezadługo z tego okna ucieknie; powinienem odejść.

— Nie, nie, zostań pan jeszcze. Takeś mnie ucieszył tem, co mi powiedziałeś o Angliku, że się czuję nawet rzeźwiejszy i zdrowszy. Ale, ale, czy widzieliście willę Gnatowskiego?

— Nietylko widzieliśmy, ale pokazaliśmy Anglikowi.

— Ten człowiek zrobił ważny krok naprzód: zbudował dom w stylu czysto podhalańskim. Byli tacy co przed nim tego próbowali, jak Chrostowski, ale tamten ściągnął do swej Koleby, wszystko co tylko było pięknego lub etnograficznie ciekawego, zastosowawszy wiernie mnóstwo szczegółów do ozdoby mieszkania i sprzętów. Czy pan uwierzysz, że Gnatowski wielkim kosztem kazał odlewać kafle w Krakowie i kuć żelazo wedle starych góralskich wzorów!

— Dobry użytek robi z pieniędzy!

— Dobry i rozumny: oby więcej było takich, jak on! Pawlikowski też chce budować dom na Kozieńcu. Widziałeś pan plan? Nie? cacko, powiadam panu. Oto jest! Istny klejnot góralski! Nieprawdaż?

— Istotnie — odrzekł przypatrując się rysunkowi Jakób. — Ale twierdzenie że styl podhalański jest stylem polskim, to domysł trafny, choć nie poparty dowodami.

— Jakto nie poparty? Podobne budowle są w Piotrkowskiem, w Czeladzi, choć tak rozległy szmat ziemi dzieli od Tatr tę osadę. Są tam odrzwia półokrągłe nabijane kołkami i wiązania, tak zwane *psy*, po bokach, i pazdury i szczyty domów. Są podobne odrzwia na Szlązku, a w Krakowie i Lwowie odkrywają dziś sosręby ze staremi zbójnickiemi gwiazdami. Coraz to odnajdują się nowe ślady, nowe wykopaliska, przywalone przez wieki całe renesansem i gotykiem. Jakichże pan

chcesz jeszcze dowodów? Niema góralskiego stylu: jest tylko styl staropiastowski, styl polski!

— Kiedy tak, więc może i lud tutejszy nie jest okruchem walącej w różnych epokach przez Karpaty nawały ludów, ale rasą czysto polską, rasą lechicką, przechowaną w owej skrzyni, zamczystej wspólnie ze skarbami sztuki?

— Takie moje przekonanie: to jest rasa polska przechowana w swej pierwotnej czystości; tak jak w niektórych zakątkach Grecyi, przechował się jeszcze jasnowłosy typ dawnych Helenów. Rasa to przepysznej budowy, kształtna i urodziwa, jak chyba nigdzie na świecie! Popatrz pan tylko na ich ręce i nogi, przyjrzyj się ich dumnej postawie, ich zręcznym ruchom, sposobowi ich chodzenia. Cuha zdobi górala z równym wdziękiem, jak Rzymianina zdobiła jego toga, a ich obuwie, ma w sobie coś klasycznego!

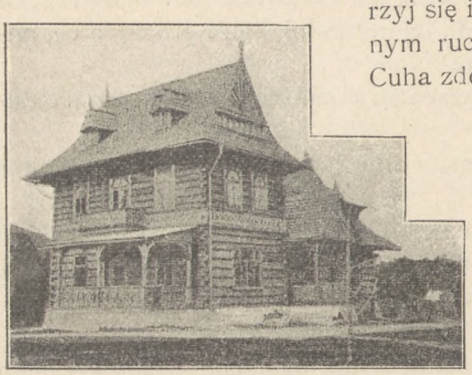

. . . w stylu czysto podhalańskim.

— Szkoda że tego Witold nie słyszy, bo on nazywa pana poetą. Idę właśnie do niego. Naznaczyliśmy sobie spotkanie na Kościeliskiej przy jaworze, który on rysuje.

— Znam, znam ten jawor! Wspaniały okaz. Ale nie nazywajcie mnie poetą: ja jestem realista. Uśmiechasz się pan? Doprawdy że nie żartuję. A zkąd wracasz, jeżeli wolno zapytać?

— Ze Strążysk. A pan, czy nie wolałbyś wyjść na świat, zamiast tu siedzieć i rysować? Tak tam pięknie!

— O, wiem. Piękno rozlane dokoła, tak ciągnie oczy, że je trudno oderwać.

— Czy pan znasz wiersz Konopnickiej, o tej pięknej dolinie, p. t. „W g ó r a c h“.

— Nie wiem, może znam, może nie znam. Powiedz pan jak się zaczyna, to sobie przypomnę.

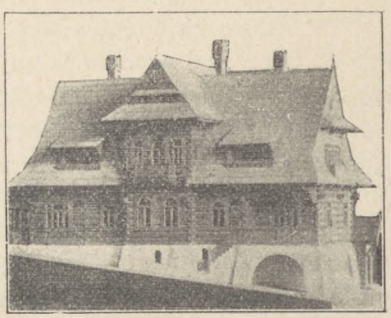

... istny klejnot góralski.

Jakób mający wyborną pamięć, zwłaszcza do poezyi, tak zaczął:

„Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął—i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego majestatu. Smereki zielone
Zaplotły jej koronę szmaragdów na skroni,
A kształty jej przepysznie zielonego ciała,
Niby grecka draperya, mgła lekka owiała.
U spodu szaty, jako taśma złotem szyta,
Mienią się górskie pólka jęczmienia i żyta;
A przepaska Dunajca modra, falująca,
Z pod piersi, szumiąc, spada i o stopy trąca.
Nagie ramię kamienne, wyciągnięte w górę,
Podtrzymuje zachodu królewską purpurę.
I jako karyatyda strop niebieski dźwiga,
Aż blednie i w pomrokach lilijowych zastyga".

— Piękne to—odezwał się Matlakowski, gdy Jakób umilkł — ale rzeczywistość stokroć piękniejsza! Tu są takie cuda, jakich żadne pióro, ani żaden pendzel nie odtworzy... i to wszędzie, na każdym kroku. Oczy pomykają po ziemi za cudną zielonością oliwkową, złotawą lub bronzową, za pluszową miękością mchów, z pod której widać czerwone kapelusze Mucharów, albo zielone Gołąbki. Pnie pogrubiałe od porostów, a z ran ich toczy się srebrna żywica; konary obrosłe szaremi brodami .. Świecą się mokre kamienie, pnie błyszczą od wilgoci. Chłód i mrok rozkoszny, orzeźwiający...

— Więc wyjdź pan, nie siedź tak w czterech ścianach — nalegał Jakób.

— Jabym dzień cały siedział na dworze, ale widzisz pan, mało mam czasu... trzeba korzystać, póki jest jeszcze trochę sił... Muszę się spieszyć, bardzo spieszyć, a tyle mam jeszcze do zrobienia! Nie skończyłem dotąd mego studyum o „H a m l e c i e", a teraz te rysunki! Gdy moje „Z d o b i e n i e" wyjdzie z druku, chciałbym się wziąść do zamierzonych oddawna Pamiętników, i opisać ptaki krajowe. Mam już do tego sporo zgromadzonego materyału: tylko ułożyć i opracować. Ręce się aż palą do roboty, tyle jej jest, a tu czas ucieka!

Popatrzył na promień słońca posuwający się coraz dalej i dodał:

— Pozwolisz pan, że przy panu narysuję tę parzenicę, zanim mi słońce ucieknie. Ale nie odchodź jeszcze, proszę. Czy ten wasz Anglik długo tu pozostanie?

— Nie wiem. Przypuszczam że jeszcze z parę tygodni.

— Namówcie go żeby zimę przepędził w Zakopanem. Bo jeżeli tutaj lato jest urocze, to zima poprostu czarująca! O! kto nie widział tego bogactwa blasków i łun, tej gry kolorów, począwszy od opalów aż do najciemniejszej purpury, w pośród olśniewającej białości pokrywa-

jącej ziemię, temu żaden język tego nie wypowie! I nie wiadomo co jest piękniejsze: ranek czy wieczór, pogoda czy niepogoda?

I pochyliwszy się nad papierem, zaczął znów pilnie rysować.

— No, już chyba pogoda piękniejsza—rzekł uśmiechając się Jakób.

— Niekoniecznie—odparł podnosząc znów głowę.—Wyobraź pan sobie najsubtelniejszą mgłę, niby gazę przysłaniającą góry, słońce i niebo. Nie mgła to jednak, tylko pruszy drobniutki śnieżek, tak drobny, że nie dojrzy go ludzkie oko. Ale pod słońce, w blasku promieni iskrzy sie powietrze tysiącami iskierek: jedne lecąc szybko, niecone wietrzykiem, znaczą ślad, jak komety; inne lecą wolniuchno, przewracając się, migocąc i ginąc w przestworzu, jak żagiewki, które lokomotywa czasem wśród nocy wyrzuca, tylko nieskończenie drobniejsze. A w tym dżdżu delikatnych kryształów, które dają pojęcie o pyle kosmicznym, które stoją na granicy rzeczy widzialnych, widnieją sennie białe lasy smerekowe, polinijowane, w czerni i bieli. A wieś w dali, kościół, gaje i drogi, wyglądają jak fantazya, w tej niby mgle, niby pyle przetopionym w wielką jasność.

— I pan powiadasz że jesteś realistą!

Rumieńce na twarzy mówiącego pociemniały: zakaszlał. Mówienie męczyło go, ale w oczach widniał coraz większy zachwyt i zapał.

— W zimie miewa się tu ciągłe wizye—mówił dalej. Wszystko bywa zatopione w mlecznym oparze nasiąkniętym światłem, a z tej powodzi świetlnej atmosfery, wynurzają się zaledwie dostrzegalne dla oczu kontury gór i są jak widziadło, jak obraz bezcielesny zawieszony w powietrzu, jak ułudne marzenie! Z pośród tej nieujętej bieli, wydziela się gdzieś jaskrawo oświetlona grań, brzeżek turni, lub płasienka upłazu, po których łagodnie ześlizgują się promienie. Nad górami także opar, a u zenitu niebieszczy się przeczyste, szafirowe niebo i śle odblask drugiemu szafirowi na ziemi. Każdy wzgórek, stok każdy modeluje się tak cudownie, takim niebieszczy się kolorem w cieniu, a bieli na wypukłości, że oczu oderwać nie można od gry światła i cienia.

— Świetnym pan jesteś malarzem! Odtworzyłeś krajobraz zimowy Tatr z taką plastyką, jakbym na niego patrzył. Gdyby Warburton pana słyszał, zachwycilby się, on co zachwyca się siłą słowa i pięknemi opisami Witkiewicza.

— A czy on rozumie po polsku?

Jakób zawahał się.

— Tłomaczy mu się na angielskie.

— A więc namówcie go żeby został, bo nigdzie na świecie nie zobaczy tego co tutaj! Czy pan widziałeś wczorajszy zachód słońca? Było to coś nadzwyczajnego, coś że się tak wyrażę, biblijnego. Pomrok ogarnął wieś i wisiała nad nią wielka chmura, oparta brzegami na ota-

czających dolinę zakopańską górach. Naraz nad Osobitą, przy samej ziemi, po zachodzie słońca, trzema wąziuchnemi szczelinami, przedarły się trzy wielkie strugi czerwonej zorzy, jak promienie z głowy Mojżesza i oblały purpurą falisty, pogarbolony spód chmury. O, jak cudowny i pełen uroku jest ten świat górski! jak pięknem jest życie!

Jakób poczuł coś nakształt kurczu w gardle. Ten człowiek mówiący z zapałem o piękności życia, niedługo już miał się niem cieszyć. Jakób lekarz także, widział to po jego krótkim oddechu i podkrążonych oczach, po ręce z wychudzonemi palcami, wspierającej się na papierze. A pomimo uciekającego życia, tyle w nim było zapału, takie pragnienie pracy twórczej, takie rozległe plany!

Łzy mu nabiegły do oczu, i niechcąc okazać wzruszenia, pożegnał się szybko i odszedł. Matlakowski podniósł głowę i czas jakiś smętnie patrzył za odchodzącym, a potem zwrócił oczy na Giewont w którego szczerbę teraz zaglądało słońce wskazując południe, i na cudowny krajobraz pławiący się w tem świetle. Cała jego twarz zajaśniała, w oczach odmalował się zachwyt, a usta wyszeptały z cicha.

„Na tym kawałku ziemi, Bóg położył dłonie".

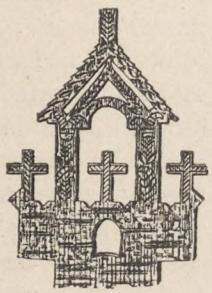

Wieszak do łyżnika.

XXXI.

KASIA SOBCZAKOWNA.

„Idzie steczką Podhalanka,
Na jej licach róże dwie.
Rwie jagody, rwie do dzbanka,
Jak poeta myśli rwie".

Deotyma. Piosnka w Karpatach.

Doktór nie znalazł przyjaciela pod jaworem: szedł więc dalej, oglądając się na prawo i na lewo, pewien, że musi być gdzieś blisko. Przed nim, między krzakami malin, szła jakaś postać niewieścia z dzbankiem do którego zbierała słodkie rubinowe jagody. Ruchy jej miały jakiś wdzięk poważny, ale twarzy nie można było dojrzeć, bo ją osłaniała chusteczka. Jakóbowi, którego ciągle wyprzedzała, znudziło się już patrzeć na granatową spódnicę, zasłaniającą mu cudną zieleń pokrytą kwieciem i chciał zejść w bok z malinowej krainy na łączkę niebieszczącą się tysiącami Dzwoneczków, gdy posłyszał wołanie:

— Tutaj, doktorze, tutaj, chodź pan i siadaj! Obstalowałem już śniadanie.

Głos wychodził z góralskiej zagrody, otoczonej drzewami i znamionującej gospodarstwo zamożne, porządnie utrzymane. Chata była stara, bardzo nawet stara, jak pokazywały szerokie płazy ścian i żelazne kraty w oknach, oraz staroświeckie odrzwia, kołkami nabijane. Jakób zauważył że i w tej zagrodzie wyprzedziła go granatowa spódnica.

Przed chatą był ganek, a na ganku przy stole siedział Witold z jakiemiś papierami w ręku.

— Zbrzydło mi już jedzenie w restauracyach—powiedział do Jakóba, witając go—i uprosiłem tej oto gaździny—dodał, wskazując na starą już góralkę, która w tej chwili przyniosła dwa nakrycia—żeby nam dała śniadanie. Będzie mleko zsiadłe i jaja. Czy zgadzasz się pan na to?

— Ja, najchętniej: jestem głodny i spragniony, ale gaździny proszę, aby położyła jeszcze jedno nakrycie: za chwilę przyjdzie tu trzeci gość.

— Któż to taki?

— Henryk, którego spotkałam w Strążyskach. Cóż to pan czytasz?

— Ach, to cała historya! nawet byś się pan nie domyślił. Jesteśmy w domu poetki tatrzańskiej, Kasi Sobczakówny.

— Czy ta stara co nakrywała stół?

— Nie, to jej matka: ma ona trzy córki, z których najstarsza posiada dar poetycki.

— No, no, ciekawym.

— Posłuchaj pan tylko — rzekł Witold oto „Śpiewki o górach“ — i czytać zaczął.

Niemasz ci to, nie masz, jak po górach chodzić.
Gdyby jak najtaniej przewodnika zgodzić.
W Kościeliskach jest z początku jedna góra mała,
Jakby z kamiennych ziarnek ułożona cała.“

— Aha, jarec — przerwał Jakób. Witold czytał:

„Jest tam domek dla wygody pięknie sporządzony,
Przy nim źródło: z niego woda płynie na trzy strony.
Jedna góra w Kościeliskach, zowie się Pisana,
Już ona od niejednego siekierką ciosana,
Na niej wyrysują swe imiona goście;
Dochodzi się do niej po drewnianym moście.
Z pod niej, bystrym woda strumieniem wypływa.
A za Bramką także piękne góry stoją,
Żadnych się piorunów i wichrów nie boją.
Bardzo przykra droga na ten wirch Czerwony,

Dzwonek.
Campanula.

Kto na nim chce stanąć, musi być spocony.
Oj Czerwony Wirchu, oj ty gruba góro,
Niejedno już ciebie rysowało pióro!
Ty Czerwony Wirchu w lecie się zielenisz,
A w późnej jesieni jak lis się rumienisz.
Jest tam za Giewontem dosyć duże Piekło,
Żadne doń czarcisko jeszcze dusz nie wlekło.
Stój sobie Giewoncie, nie przykrzyj stać sobie,
Ty jeszcze zostaniesz, a ja legnę w grobie.
Oj ślicznyś Giewoncie, piękny w pośród lata,
W kwiaty ozdobiony, jakby pana jaka."

— No, wcale nieźle — przerwał Jakób — przenośnie nawet poetyckie są.

„Jedna góra pod Giewontem podobna do mnicha.
Druga także lata stoi, jek żebraczka licha;
Mnich pasący owce, żebraczka klęcząca,
Ze złożonemi rękami jałmużny prosząca.
A jeszcze się pod Gewontem Siklawa znajduje,
Tam to pięknie szumna woda z kamieni zlatuje.
Pod Małą Świnicą jest grota, we grocie
Na te dziwy, patrzeć wszyscy śpiesznie chodźcie?
W Kalatówkach także strumień wody płynie,
A bardzo szumiący wytryska ze ziemie.
W Magorze jest grota, także do niej idą,
Jak nie mają świecy, mało widzieć będą;
Są tam dosyć wielkie kamieni kawały,
Dawno z tych gór kiedyś naodlatywały.
Kamiennego mleka jest tam bardzo wiele,
Tam góry sklepione tak, jakby w kościele.
W Gąsienickich stawach zawiele kamieni,
A najwięcej się tam kosówki zieleni;
Tam się pasą krowy i owce się paszą,
Do domów górale od nich mleko znoszą.
Oj ty Czarny Stawie, dużo wody w tobie
Bardzo kamienista droga jest do ciebie!
Od Czarnego Stawu strumień wody płynie,
Pięknie się rozlewa w Stawiańskiej dolinie.
Oj ty Czarny Stawie! mieścisz wyspę w sobie,
Jakby jaki pomnik na wspaniałym grobie.
W Czarnym Stawie góry widać bardzo ładnie.
Tak się odbijają jakoby w zwierciadle.
Oj, ty Czarny Stawie, szeroki, głęboki,
Wedle ciebie stoi Kościelec wysoki.
Bez Zawrat jest droga bardzo uciążliwa,
A kto niecierpliwy, to sobie przeklina.

W Zawracie przewodnicy państwu dla wygody,
W Zamarzniętym stawie wyrębują schody.
Oj przykry Zawracie, ja spoglądam na cię,
Bardzo cie się boję, gdy przy tobie stoję;
Myślę iść na ciebie i na twoim progu,
Za bezpieczne wejście podziękować Bogu."

— Widać, że Kasia czytała Pana Tadeusza—wtrącił znów Jakób.

„Kto chce iść na Zawrat, stanąć w samym progu,
Niech weźmie żywności, by nie umarł z głodu.
Tam nigdzie nie kupi, nigdzie nie dostanie,
Aż przy Pięciu Stawach u juhasów stanie.
Tam dostanie mleka i serków nieco zjeść,
Jak ma co w swej torbie, niechaj się naje dość,
Bo tu jeszcze owej nie koniec podróży;
Niechaj spojrzy na niebo czyli się nie chmurzy.
A te Pięciu Stawy wszystkie są w jedności,
Bardzo wiele idzie patrzeć na nie gości:
Nie układam wierszków o tem Morskiem Oku,
Bom jeszcze do niego nie zrobiła kroku.
A wielka Koszysta, bardzo rozłożysta,
Więcej było na niej osób, jako trzysta,
A Mała Koszysta dosyć jest wspaniała;
Zieleniuchną trawą porośnięta cała.
Gdy w górach zaśpiewam, piękne echo słyszę,
Choćbym była smutna, zaraz się ucieszę."

— Czy już koniec?—zapytał doktór, gdy Witold umilkł.

— Jest jeszcze dopisek własnoręczny Odyńca. Sędziwy poeta przyjeżdżał w Tatry w r. 1881. Doszła do niego wieść o poetce tatrzańskiej, więc zapoznał się z nią, a odczytawszy jej wiersz, dopisał zakończenie, zachowując tę samą formę i te same zwroty.

„Gdy człowiek spojrzy na góry, a potem na siebie,
Podnosi serce ku Temu, co króluje w niebie;
Obaczy olbrzymie góry i maleńkość swoję,
Bo ludzie są wedle tych gór, jakoby pszczół roje.
Oj wy góry olbrzymie, oj góry wspaniałe,
Kiedyś i wy będziecie poruszone całe.
Ale póki Ten co stworzył, w gruzy was nie zwali,
Niechaj każdy co was widzi, Pana Boga chwali.

* * *

Naskładałam pięknych wierszków, nie wiem co z nich będzie,
Może się wyśmiewać będą ludzie ze mnie wszędzie.
Ale ja się nie obawiam niczyjego śmiechu,
Śpiewać na cześć Panu Bogu, niema ludziom grzechu.
Ja o pochwałę nie dbam i nie stoję wcale,
Ale tylko tak jak mogę, Pana Boga chwalę."

* * *

— Na ten raz koniec: jest to zdaniem mojem bardzo dobre i poniekąd charakterystyczne Tatr opisanie. Kto gór tych wcale nie widział, może z wiersza Kasi powziąść o nich jakieś wyobrażenie. A pan, doktorze, co mówisz na tę poezyę?

— Uderza mnie przedewszystkiem brak góralskich wyrażeń, tak malowniczych, tak trafnych i dosadnych, że niczem się zastąpić nie dadzą. Widzę nawet, że poetka tatrzańska starannie ich unika!

— Ja jej mam za dobre, to staranie się o poprawność języka. Jej bracia górale nie troszczą się o to wcale, że jest jeszcze inny świat za górami, a ona poczuwa się do łączności z tymi, co na równinach mieszkają.

— Nie znam jej, ale zdaje mi się, że pan masz za wysokie o niej pojęcie: Kasia Sobczakówna nie rozumuje, ani kieruje się poczuciami tego rodzaju, jakich się pan domyślasz. Ona chce być mędrszą od swoich, i dlatego gardzi gwarą góralską, i usiłuje mówić tak jak mówią panowie z równin, którzy piękny, bogaty język polski zanieczyścili cudzoziemskiemi śmieciami.

— Alboż pan w tych „Śpiewkach o górach" znalazłeś jakie śmiecie?

— Nie, bo to dopiero początek, ale powoli przyswoi je ona sobie. Co pan tam jeszcze trzymasz w ręku.

— Inne poezye Kasi: „Zawrat w zimowej porze", „Widok po Tatrach", „Do śmierci" i „Oracyę przedślubną", napisaną dla drużby. Sława Kasi jako poetki, znaną jest nietylko w Zakopanem, ale i dalej na Podhalu i świeci całej wsi jak pochodnia, u której bracia górale w uroczystych chwilach przychodzą zapalać swe karkoski.

— A kimże będzie Sabała, jeżeli nazywasz pan Kasię „pochodnią."

— Sabała jest słońcem tatrzańskiem!

— A, to co innego! Ale proszę, pokaż mi pan te drugie poezye. Dziękuję. Zobaczymy co w nich jest.

„Widok po Tatrach".

„W pięknym poranku, wśród letniej pory,
Gdy człowiek wejdzie na szczyty, góry,

Ciekawem okiem rzuci dokoła,
Zachwycony podziwem w zdumieniu zawoła:“

— A co, czy nie mówiłem? W „Śpiewkach o górach“ były przynajmniej zwroty góralskie:

„Oj czerwony Wirchu, oj ty góro gruba,
Jutro będzie na cię przewodnikiem Kuba.“

— A tutaj już i zwrotów góralskich niema, ale czytajmy dalej:

„Kto napiętrzył kamienie, pagórki wysoko?
Kto kopał przepaście i rowy głęboko?
Kto upiększył kwieciem łąki i doliny,
Posadził na stromych pagórkach krzewiny?“

— To jest nawet dość gładkie i przypomina Karpińskiego. Kasia musi mieć jego hymny w książce do nabożeństwa.

„Czyj przemysł rzeźbił w granitach, groty, rozpadliny?
Kto napełnił wodą stawy i głębiny?
Kto te piękności, te cuda natury,
Tak hojnie porzucił między skały, góry?
Takiemi widoki serce się porusza.
Dziwnie błogiem uczuciem przepełniona dusza,
W głębi serca swego odpowiedź znajduje:
Bóg, Stwórca wszystkiego nad wszystkiem króluje,
Ten, który mówimy, że On mieszka w niebie,
A jednak w każdym przedmiocie daje widzieć Siebie,
On potęgą Swoją wzniósł wysokie granity,
Wlał wody w doliny i obciosał szczyty.
Wielkość Jego głosi strumyczek szemrzący,
Ptaszek na gałązce i kwiatek pachnący,
Dla kogoż Panie i Wielki Boże,
Stworzyłeś tak wielkie piękności? Może
Dla ciebie człowieku nikczemny i mały,
Byś poznał Moją wielkość i szukał Mej chwały.“

Przebiegł oczyma „Oracyę góralską“, ale już jej nie czytał głośno.

— Coraz lepiej, a raczej coraz gorzej! To nie góral przemawia jako drużba, ale jakiś ojciec w komedyi mieszczańskiej. Kasia wszedłszy na błędną drogę, już się za siebie na swoje góry nie ogląda, tylko

brnie coraz dalej, wlokąc za sobą miejscami wiersz niesłychanej długości, bo aż szesnasto-zgłoskowy. Jest to po prostu ciężkie. Nie dorównała „panom dólskim“, a straciła swoją góralszczyznę. Chciała być mądrą i stała się przemądrzałą. Pierwszy jej wiersz najlepszy, bo jest naturalny i tkwi w nim cząstka poezyi rodzimej, a te drugie pozornie lepsze, są coraz słabsze.

— O! bo pan bardzo jesteś wymagającym, i w swem umiłowaniu góralszczyzny dochodzisz do przesady! Co pan chcesz od prostej juhaski, umiejącej zaledwie czytać i pisać?

— Chcę właśnie żeby zrzuciła pychę z serca i śpiewała po góralsku: chcę żeby jej piosnki były jak dzikie kwiaty halne; żeby w nich szumiały smereki, huczały strumienie i pachniała kosówka. Że nie innego zdania był Antoni Edward Odyniec, dowód najlepszy w tem, iż swój dopisek do wiersza Kasi utrzymał w podobieństwie do jej piosenki, zachowując tę formę wiersza i te same zwroty. Gdyby sądził inaczej, przemówiłby tu językiem „panów dólskich.“ Poezyi góralskiej nie do twarzy jest w długiej ogoniastej szacie szesnasto-zgłoskowego wiersza; ona musi chodzić krótko, aby jej to nie przeszkadzało szaleć w zawrotnym tańcu zbójeckim i przeskakiwać przepaście. Powinna być lekka a dziarska i energiczna, jak te oto piosenki:

„Liptowskie zahory to nasze komory,
Bukowe listeczki, nasze poduszeczki,“

Albo też:

„Spotkali zbójnicy Janosika w lesie,
Tak go się spytali, czy pieniążki niesie:

Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?
Na wysokiej horze, zacięty w jaworze.

Panowie, panowie, dobre buty macie,
Prędzej je zedrzecie, niż nas połapacie.

Jęczą góry jęczą, bo Janiczka męczą;
Nie tak jęczeć będą, gdy go wieszać bedom!

Zabili Janiczka pod zieloną turnią,
Płakała dziewczyna, jaże góry dudnią.

Doliny, doliny, dałbym was wyzłocić,
Żeby mi się chciały młode lata wrócić.“

— Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę, że długa szata właśnie łatwiej może unosić się nad przepaściami, jak ptak ważyć się w powietrzu i nad szczytami płynąć, lub jak mgła błyszczeć kolorami tęczy

gdy ją słońce przenika? Ale gdzież ona jest, ta poetka—dodał, oglądając się niecierpliwie.—Prosiłem starej Sobczakowej, żeby nam ją tu przysłała.

— I jajecznicy coś długo nie widać—wtrącił Jakób—ani przyobiecanego mleka z kartoflami. A ja jestem taki wygłodzony, że zjadłbym wilka!

Jakby na wezwanie, w progu domostwa ukazała się dziewczyna niemłoda, lat trzydzieści kilka mająca. Wysoka, dobrze zbudowana, odziana w czarny wełniany kaftanik i granatową spódnicę — tę samą, którą Jakób widział ciągle przed sobą w malinach—czerwonym przysłoniętą fartuchem. Duży wywinięty kołnierz od koszuli, podwiązany u szyi wstążką czerwoną, rzucał odblask na twarz smagłą, o cerze świeżej, zdrowej, ze złotawym odcieniem. Włosy kruczej czarności nie były splecione w dwa warkocze, ale spięte szpilkami. Rysy niezbyt regularne, rozjaśniał wyraz oczu bardzo bystrych i inteligentnych. Jednym rzutem oka objęła przybyłych i przysłoniwszy oczy powiekami, zeschodziła powoli ze stopni ułożonych z kamieni pod progiem.

— Przyznam się panu, że jestem rozczarowany—szepnął Jakób półgłosem.—Oczekiwałem malowniczego góralskiego ubioru i warkoczy spadających na plecy, a nie tej brzydkiej tandety. To nie góralska Muza, to pospolita mieszczka!

— Ona podobno ubiór góralski uważa za „płony“ dla siebie.

— Pozdrawiamy cię Kasiu—przemówił Witold, przypatrujący się jej z wielką ciekawością.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus—odrzekła dziewczyna tonem delikatnego napomnienia, że taki a nie inny jest zwyczaj witania się w tym kraju, przyczem wcale nie podniosła oczu. Obaj mężczyźni zrozumieli nauczkę.

— Niech będzie na wieki—odrzekli spiesznie, używając znanej formuły góralskiej.

— Ten pan jest doktorem—przemówił Witold, wskazując na przyjaciela;—zbiera tu rośliny lecznicze, a ja maluję góry wasze. Obaj pochodzimy z tego samego kraju, co pan Odyniec, którego znałaś. Czytamy twoje wierszki, Kasiu!

I zrobił jej miejsce obok siebie, w mniemaniu że Kasia przysiądzie na ławce, ale omylił się. Dziewczyna obrzuciła obu szybkiem, błyskawicznem spojrzeniem, i przeszła obok nich poważna, pod ścianą poprzecznie stojącego budynku gospodarskiego, gdzie w cieniu jaworu stał jej kołowrotek—a siadłszy na stołku, jęła snuć przędziwo tak pilnie, jakby nikogo więcej prócz niej na dziedzińcu nie było. Panowie zdziwieni spoglądali na siebie w milczeniu, tylko warczenie kółka było słychać i szum płynącego za chatą, w głębi parowu, strumienia.

— Poetka tatrzańska z góry nas potraktowała—odrzekł zainteresowany Witold, i wyjąwszy notatnik zaczął ją szkicować.

— Zdaje się, że ona nię dba wcale o nasze uznanie—odrzekł Jakób z uśmiechem.—Góralom tutejszym w ogóle nie łatwo jest imponować. Jedynym człowiekiem, który im imponował, był ksiądz Stolarczyk, a później dr. Chałubiński, choć już mniej; ale już o Sienkiewiczu, który tu dużo czasu spędza i o Matejce który tutaj bawił, mówią prawie jak o równych sobie. Słońce tu w górach ma na palecie swojej kolory tak żywe i bogate, tak ciągle zmienia obrazy, że to co pan namalujesz, nie może ich zadziwić, ani zachwycić. Czy patrzałeś wczoraj wieczorem na Tatry w oświetleniu księżyca?

— Patrzałem, i widok ten całą noc nie dał mi zasnąć, bo chciałbym go odtworzyć na płótnie, a nie wiem czy zdołam! Po dniu upalnym, temperatura tak opadła wieczorem, że choć nie spojrzałem na termometr, sądzę, że musiał być przynajmniej jeden stopień mrozu. Inaczej nie umiem sobie wytłomaczyć, czemu mgła unosząca się nad łąkami, stała się nagle przejrzysta i błyszczała jak srebro... nie, jak dyamenty! i skrzyła miliardami iskier, co stać się tylko może za przyczyną mrozu.

— I księżyca — dodał Jakób.—Oświecał on szczerbę Giewontu w taki sposób, że widmo śpiącego rycerza na ciemnym sarkofagu z Regli, sprawiało potężne wrażenie; a owa gaza z mgły, która się między niem a łąkami rozpostarła, wzmagała jeszcze to złudzenie. Czarodziejskie widowisko zniknęło wtedy dopiero, gdy księżyc schował się za chmury. Nic podobnego nie widziałem w mojem życiu!

— Ani ja—dodał Witold.

Kasia nie widząca pozornie nic prócz kądzieli którą była zajęta, zwolniła bieg kołowrotka, i odezwała się nie patrząc w stronę ganku.

— Tak bywa często na jesieni i w zimie: wtedy Giewont śpi okryty białym całunem.

— Słyszysz jak ona mówi poprawnie?—zauważył Witold, rysując ciągle.—Powiedziałbym nawet: poetycznie.

— Wolałbym żeby była powiedziała „rańtuchem", byłoby to naturalniejsze—odrzekł doktór.

— A jak ma być wicher halny i słońce czerwono zachodzi za Gubałówkę, a czarne chmury kotłują się nad szczytami, to tak wygląda, jakby się przy umarłym paliły gromnice i szedł od nich swąd i dym— mówiła dalej Kasia, kręcąc spokojnie nitkę w palcach, a kołowrotek zawarczał znowu.

— Ona umie patrzeć.—szepnął Witold.

— A kiedy wiatr weźmie dąć, a gorącym oddechem parzyć, ciskać kamieniami, huczeć, ryczeć, to jakby duszę dyabli do piekła brali!

Stara Sobczakowa ukazała się teraz, niosąc w jednej ręce miskę pełną kartofli tłuczonych, z których szła woniejąca para, a w drugiej

. . . z drzewa bukowego, pięknie rzeźbionych.

dzieżkę pełną mleka—i jęła dużą blaszaną łyżkąn akładać na talerz, oblewając śmietaną obficie. Ułatwiwszy się z tem, zniknęła na chwilę i zjawiła się znowu z dzbankiem malin i pieczywem, które przyniosła na talerzach z drzewa bukowego, pięknie rzeźbionych.

— Gaździno—przemówił Jakób—czy córka wasza Kasia siedzi wciąż przy kołowrotku?

— Nie—odrzekła stara—ona i płótno robi i kilimki, a państwo bardzo chwalą, że ładne. Umie, widzicie, dobierać kolory tak, żeby były przyjemne do patrzenia. Jedzcież, przyniosę wam jeszcze masła co dziś jest narobione.

— Bóg zapłać, gaździno.

Kasia podniosła oczy od roboty, rzuciła bystre z pod powiek spojrzenie na mówiącego—przyczem kąciki jej ust lekko drgnęły—i opuściła je znowu. Pomyślała sobie snać, że „nauka w las nie poszła".

— Jajecznica też będzie wnet; idem urwać szczypiorku. A ten trzeci wasz pan, co miał przyjść, ka? Jakosiś go nie widać.

— Już jest—odrzekł Jakób, spoglądając przez drzewa na drogę.— Bywaj Henryku, bywaj! My tu jesteśmy i czekamy na ciebie ze śniadaniem,

Chłopiec przyspieszył kroku: przechodząc koło Kasi, zdjął kapelusz, pochwalił Pana Boga i wkrótce znalazł się przy stole, serdecznie powitany przez Witolda, który mu zaraz opowiedział w czyjem znajduje się domostwie, i kim jest dziewczyna siedząca przy kądzieli. Jakób ze swej strony podsuwał mleko i kartofle—ale chłopiec słuchał z roztargnieniem, a jadł bez apetytu. Gdy zaś przyniesiono jajecznicę, nie dał się na nią skusić, pomimo, że wyglądała bardzo zachęcająco. Jakób zauważył, że Henryk jest jakiś blady i nieswój.

Gruszyczki, *Pyrola.*

— Co ci jest?—zapytał troskliwie.

— Eh, nic—odrzekł smutnie.

— Czy spotkałeś się z kim?

— Spotkałem w lesie sir Edwarda. Szukałem tam właśnie tych ślicznych Gruszyczek *Pyrola*, co pachną jak róża i konwalia razem, ale znalazłem tylko kilka między mchem i paprociami: widocznie już przekwitają. Otóż... sir Edward spostrzegł mnie pierwszy i zapytał...

— O cóż takiego cię zapytał?

— Zdziwi się pan bardzo, jak się pan dowie: zapytał czy chciałbym z nim jechać do Anglii?

Łyżka wypadła Jakóbowi z ręki: takie przypuszczenie nie postało ani na chwilę w jego głowie. Spojrzał na Witolda, ale ten był tak zajęty rysowaniem, jakby nic nie słyszał: uśmiechnął się tylko.

— A ty, co mu odpowiedziałeś na to?

— Odpowiedziałem, że bardzo lubię podróżować i chciałbym poznać kraj, w którym on mieszka, ale wiem że to nigdy nie nastąpi, bo mój dziadunio nie ma na to środków; a gdy ja sam dorosnę, nie będę jeździł po świecie, tylko osiądę na rodzinnym zagonie, i będę gospodarował razem z dziaduniem.

— A on co na to?

— Zapytał mnie czy bardzo jesteśmy biedni... i ja opowiedziałem mu wszystko szczerze, jak jest: wszystkie kłopoty dziadunia, wysiłki i zmartwienia.

— A on?

— Słuchał ze spuszczoną głową, zapuściwszy palce w skręty

swojej brody; — patrzył w ziemię, jakby mu to co mówiłem, było przykrem.

— Wierzę bardzo—mruknął Witold.

— A potem podniósł głowę, utkwił we mnie wzrok przenikliwy, jakby mnie chciał przejrzeć do głębi i zapytał, czy kocham go choć trochę. Odpowiedziałem, że pokochałem go tak prawie jak mojego dziadunia, a on rzekł:—A więc jedź ze mną: będziesz miał pieniędzy ile zechcesz, piękne ubranie, konia własnego. Poślę cię do szkoły w Eton. a potem do uniwersytetu w Cambridge. A gdy dorośniesz, daruję ci zamek wraz z ziemią i lasami i zrobię cię baronetem.

— O, ho, ho!—odezwał się Witold, podnosząc oczy od rysunku.

— Ach, panie, gdym to usłyszał, zapomniałem gdzie jestem i wydało mi się, że ubrany w szaty wspaniałe przechadzam się po pysznych komnatach, i widzę szeregi służby kłaniającej mi się do ziemi i nazywającej „panem baronetem"; że przed bramą zamku stoi przepyszny rumak arabski, okryty pięknym czaprakiem i grzebie nogą z niecierpliwości, a masztalerz trzyma go za uzdę. Wszystkie złe duchy mnie opanowały: zapomniałem o Miratyczach, o dziadku, o babuni i o siostrzyczce, i mogłem był stać tak długo na miejscu, snując obrazy przyszłości coraz piękniejsze, ale przebudził mnie głos sir Edwarda, pytający:—Jakże, czy pojedziesz ze mną? — Jakto, spytałem, więc pan chce żebym ja został Anglikiem?

Witold położył ołówek i patrzył na chłopca.

— Rzecz naturalna, mój mały — odpowiedział — nazywałbyś się Warburtonem na Rochdale.—To mi do reszty wróciło przytomność, przypomniała mi się rozmowa z Dawidem w Strążyskach, a serce wezbrało żalem do sir Edwarda i zawołałem:—O, sir, powiedziałeś mi pan w dolinie Kościeliskiej, że masz dla mnie szacunek, a mogłeś przypuszczać, że wyrzeknę się kraju i rodziny dla tytułu i zamku! Wolałbym być bogatym, niż biednym, to prawda, ale za żadne skarby nie wyrzekłbym się praw moich do ziemi, której dziadek broni kosztem nadludzkich wysileń. Pieniądze nie dają szczęścia! Pan podobno bogatym jesteś jak król, a czyż pan czuje się szczęśliwym? Kto swoich opuszcza w niedoli, ten jest...

— O—szepnął Witold—to ciekawe.

A on zbladł i podnosząc rękę przerwał mi, mówiąc:— Nie kończ.. zgaduję co chcesz powiedzieć. Nie domyślasz się nawet dziecko, jak okrutne są twoje słowa!

— Rzeczywiście—wtrącił Jakób.

— Przebacz, sir, jeżeli okazałem się niewdzięcznym za twoją dla mnie dobroć—przemówiłem, bo mi się go czegoś żal zrobiło.—Pokocha-

łem pana z całego serca, i... choć się rozstaniemy, nie zapomnę nigdy o panu, ale propozycyi pańskiej przyjąć nie mogę. Gdybym ją przyjął, nie byłbym wart żeby mi pan podał rękę. I pan pewnie jesteś tego samego zdania co ja, i chciał mnie pan tylko wypróbować, nieprawdaż?

— Cóż odpowiedział ci na to sir Edward? — zapytał Jakób wzruszony i przejęty.

— Odpowiedział mi:—Tak jest Harry. Sądzę nawet, że gdyby ten. co opuścił swoich w niedoli, chciał kiedy powrócić, swoi nie poznaliby go, a święta ziemia rodzinna, nie chciałaby go nosić! — W głosie jego gdy to mówił, był taki smutek bezdenny, że aż mi się chciało zapłakać. Przypomniałem sobie tę bajkę, którą on opowiadał w Kościeliskach, o człowieku co się urodził na skalistej wyspie, i poszedł w świat szukać szczęścia, ale zgubił natomiast swoją duszę — i pomyślałem sobie, że to może historya prawdziwa, że ten ktoś jest mu bliski i zawołałem:—O, nie, nie, czyż pan nie pamięta historyi o Synu marnotrawnym? Jeżeli pan zna tego człowieka co się urodził na wyspie skalistej, niech mu pan powie żeby wrócił, a znajdzie to co utracił. Takie mam przeczucie!

— A sir Edward?

Sir Edward słuchał zamyślony i powiedział tylko: — Tak powiadasz Harry? dobrze, powiem mu to. Potem zapytałem go, czy się na mnie nie gniewa, bo mi się tak znowu serce ścisnęło, że o mało się nie rozpłakałem, a on wyciągnął rękę i położywszy ją na mej głowie, powiedział ze wzruszeniem: — Niech ci Bóg błogosławi chłopcze!— a potem dodał:—Pozostań zawsze takim, jakim jakim jesteś. Potem odwrócił się i odszedł, a ja zostałem sam i płakałem. Bardzo mi przykro żem go zasmucił, ale nie mogłem inaczej postąpić.

Gdy Henryk skończył, obaj przyjaciele milczeli, spoglądając tylko na siebie, a Henryk mówił dalej:

— Ale czego nie umiem sobie wytłomaczyć, to gniewu babuni Kasi.

— A więc i ją spotkałeś?

— Spotkałem ją idącą z Marysią do kościoła i opowiedziałem jej co mi się zdarzyło. A babunia, pan ją zna, taka zawsze łagodna, taka dobra, że zdaje się iż nie ma kropli żółci w sobie, rozgniewała się tak bardzo, że aż twarz jej zrobiła się czerwona, a oczy zaczęły ciskać błyskawice, te dobre, kochane szare oczy! Czy pan przypuścił kiedy, że ona się potrafi gniewać?

— Ani na chwilę; czy jej wszystko opowiedziałeś dokładnie, i powtórzyłeś słowa, które Sir Edward wypowiedział na końcu?

— Jakże jej mogłem wszystko powtórzyć, kiedy mnie wysłuchać nie chciała do końca! Trzęsła się cała z gniewu i zapytała tylko w którą stronę poszedł baronet. Chciałem iść za nią, ale mi zabroniła. Nigdy jeszcze nie widziałem jej taką, jak dziś, ani słyszałem u niej tak ostrego głosu!

Typ góralki.

XXXII.

LIST Z ANGLII.

„Gdy się twa dusza jak dolina położy,
W tenczas po niej jak rzeka popłynie duch Boży".
Mickiewicz. Myśli i zdania.

Panna Katrzyna szła tak szybkim i energicznym krokiem, że Marysia nadążyć za nią nie mogła. Dziewczątko przyzwyczajone było do tego, że babunia chodzi powoli, że omija starannie większe kamienie, i rada korzysta ze ścieżek wydeptanych w trawie; to też dziś nadziwić się nie mogła, co się babuni stało i czemu się tak spieszy, i objawiała głośno swoje zdziwienie; ale panna Katarzyna wbrew zwyczajowi nie, zwracała uwagi na słowa wnuczki. Szła prosto przed siebie przez błota i kamienie, przez kretowiska w które zapadały jej nogi — ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń i z wypiekami na twarzy, wyprostowana i bez śladów zwykłego przygarbienia, więc wyższa niż zazwyczaj i groźna jakaś, a wspaniała. Nie wiedziała napewno dokąd udał się Anglik po rozmowie z Henrykiem, ale przeczucie wiodło ją w stronę kościoła.

Nowy kościół w Zakopanem był wtedy dopiero pod dach wzniesiony, a nabożeństwa odprawiały się w starym, drewnianym kościołku wystarczającym w zimie dla pobożnych parafian, ale zaszczupłym w lecie, gdy tłum gości napłynął do Zakopanego. To też dla księcia kardynała Dunajewskiego, przed dwoma dniami przybyłego tu, urządzono na cmentarzu kościelnym ołtarz polowy, żeby nabożeństwo mogło być widziane przez rzesze, które na wieść o tem, tłumnie z gór-

skich wiosek przybywały. Kościół od drogi oddzielony parkanem z desek, nie miał ogrodzenia w głębi cmentarza od strony parowu, gdzie grunt obniżał się coraz więcej tarasami. Po drugiej stronie tego parowu widniały łagodne piaskowzgórza Gubałówki, wznoszące się niespełna tysiąc stóp nad wsią, mniej dzikie, niż amfiteatr gór od północy okrążających Zakopane, i łagodnym rysunkiem przypominające więcej charakter Alp włoskich. Płaskowzgórza te pokryte lasami, pastwiskami, polami uprawnemi w pasy lub szachownice, urozmaicone tu i owdzie kępami drzew, płynącym z góry strumieniem i chatami z rzadka porozrzucanemi w opłotkach, były prawdziwą rozkoszą dla oczu spragnionych łagodniejszych widoków. Na samym szczycie Gubałówki, w punkcie środkowym stoi wyniosły, żelazny krzyż, postawiony przez Chałubińskiego, podczas pierwszej jego bytności w Zakopanem, w r. 1873. Miejsce na którem stoi kościołek, oddziela od wzgórza wiodącego na Gubałówkę, rzeczka w dole płynąca, nazwana Cichą wodą. Ludzie przebywali ją po bardzo wązkim mostku z poręczą, lub po kładkach bez poręczy. Mostek był tuż za plebanią, a ścieżka wiodąca na Gubałówkę, widniała z daleka, niby biała wstążka.

... Przeczucie wiodło ją w stronę kościoła.

Ołtarz przybrany młodemi smerekami i wieńcami z jedliny, ozdobiony czerwonym owocem jarzębiny, malowniczo wyglądał, ze wszech stron odsłonięty, kąpiący się w powietrzu i słońcu, na tle malowniczych wzgórz Gubałówki. Wczoraj tu na tem miejscu, biało było jakby od śniegu, od cuh góralskich i rańtuchów góralek, a fale głów ludzkich chyliły się raz po raz, jak kłosy przed wiatrem. Dziś wieńce nieco przywiędły, ale nie straciły zieloności, trawa na cmentarzu zasłana była jedliną, między którą dużo leżało porzuconych kwiatów — a z tej smereczyny, z tych liści, z tych kwiatów, unosiła się w powietrzu balsami-

czna woń żywicy, Lawendy, Mięty i wonnych kwiatów halnych. W ołtarzu był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zwrócony twarzą do Giewontu; na białym obrusie stał krzyż, a obok niego dwa cynowe świeczniki.

Takich obrazów pewnie nie widuje się w Anglii: Babunia Kasia przystanęła na chwilę przy dzwonnicy, jakby dla złapania tchu i przestąpiła wrota ogrodzenia.

— Ach, co tu ślicznych goryczek leży i dzwonków, astrów i storczyków! — zawołała Marysia. — Babuniu, ja sobie tych kwiatów trochę nazbieram, to potem w domu włożę je do wody i odżyją, czy dobrze?

— Idź—rzekła panna Katarzyna z roztargnieniem.

Dziewczynka pobiegła i schylając się co krok, jęła zbierać leżące kwiaty, a potem pociągnęły ją kwiaty żywe pod parkanem rosnące i utonęła wśród krzaków Dziewanny, Bylicy górskiej i paproci. W białej, w niebieskie paski sukience, wyglądała sama jak kwiatek wśród zieleni.

. . . zwrócony twarzą do Giewontu.

Ołtarz był cały w słońcu, a posrebrzany krucyfiks stojący na nim, kąpał się w jego blaskach. Panna Katarzyna stanęła we wrotach patrząc na ten obraz i zobaczyła po chwili, że na trawę przed ołtarzem padł długi cień i zarysowała się sylwetka mężczyzny. Serce gwałtownie zakołatało w jej piersiach: z profilu, z kształtu ostro ściętych ramion odgadła, a raczej przeczuła, czyja to była sylwetka. Cień przesunął się dalej i rozpłynął w świetle, a przed polowym ołtarzem stanął mężczyzna wysokiego wzrostu, w szarym płaszczu z surowego jedwabiu i kapeluszu Panama z dużem rondem. Twarzy jego nie było widać,

bo stał odwrócony plecami do wrót, tylko z boków wyglądał rudawy zarost, napół zmięszany ze srebrem. Mężczyzna odkrył głowę i stanął przed obrazem Matki Zbawiciela.

Marysia z pękiem kwiatów w dłoni przybiegła do panny Katarzyny, i pokazując paluszkiem na nieznajomego, wyszeptała:

— Babuniu, to ten stary pan co mnie przyniósł na ręku do domu, kiedy był wicher halny: wie babunia, ten co ratował moje króliki!

— Cicho, dziecko, cicho — szepnęła, kładąc palec na ustach— odejdź stąd! zostaw mnie samą.

Dziewczynka spojrzała zdziwionemi oczyma na babkę i na nieznajomego, i posłusznie odeszła w przeciwną stronę, gdzie w cieniu i chłodzie daleko przyjemniej było zbierać kwiatki. Panna Katarzyna okrążyła kościół, a przesuwając się jak duch pod jego ścianami, cicho i bez szelestu, stanęła przy ołtarzu w świetle słońca.

Mężczyzna podniósł głowę i cofnął się w tył gwałtownie, przed tem niespodzianem zjawiskiem, a w rozszerzonych jego źrenicach odmalował się przestrach.

— Aa, poznałeś mnie jednak panie baronecie? — odezwała się, wymawiając zwolna i dobitnie każdy wyraz.—Po trzydziestu pięciu latach rozłąki, poznałeś, choć zostawiłeś w domu młode, jasnowłose dziewczątko, a widzisz teraz przed sobą starą, posiwiałą kobietę!... Trudno jednak pozbyć się zupełnie pamięci, nieprawdaż? I ty jesteś innym, niż byłeś wtedy, gdy z tak okrutną obojętnością uszedłeś potajemnie z rodzicielskiego domu! Niema w tobie ani odrobiny podobieństwa do mego starszego brata: Anglikiem jesteś od stóp do głów, a jednak poznałam cię i poznałabym między tysiącem, choćbyś stokroć odmienił swą postać, po braku serca i egoizmie! Wszystko poświęciłeś dla siebie: kraj, rodzinę, nawet honor!

— Dosyć! na miłość Boską!...—wyszeptał.

— Do jakiego Boga się odwołujesz, ty, coś własnego zapomniał? Nie mogę cię nienawidzieć, boś ocalił życie moich dzieci: nie mogę cię przekląć, bo jedna krew w nas płynie, ale mogę cię prosić: Edwardzie, jeżeli pamięć przeszłości niezupełnie wygasła w twojem sercu, jeżeli masz choć odrobinę jeszcze sumienia i litości, błagam cię, oddal się stąd! Szukasz róży bez kolców? Idź po nią gdzieindziej, u nas wszystko ma kolce: kwiaty i owoce i chleb, wszystko! słyszysz? Tym chlebem ościstym nie chciałeś się dławić i dla tego nas opuściłeś, a matka nie przeżyła twej ucieczki!

Baronet jęknął.

— Nie dość, że sam uszedłeś, ale chcesz jeszcze teraz uprowadzić dziecko! Gdzież jest kres twego zbrodniczego egoizmu? Ostrzegały

mnie przeczucia, ale im nie wierzyłam, a gdy maleńka opowiedziała mi o swej przygodzie podczas wichru halnego, myślałam, to jest... miałam nadzieję, że cię odzyskamy... i szalona radość chwilami powstawała w mojem sercu...

Tu łzy puściły się jej z oczu.

— Inaczej byłabym zabroniła Henrykowi iść z tobą, a nawet kazałabym mu zdaleka omijać twoje ślady, bo one są przeklęte... Przekupić go chcesz, żeby się nas wyrzekł, obiecujesz mu bogactwa... Trądem zarażasz duszę dziecka, kusicielu!

— Dosyć—przerwał, podnosząc głowę—dosyć, przez litość! Pozwól mi przemówić. Obwiniaj mnie o co chcesz, nazwij nawet zbrodniarzem, będę milczał. Ale nie mów żem ci chciał zabrać dziecko, bo jesteś w błędzie! Serce Henryka, to czyste złoto, a ja się tylko chciałem przekonać, czy próbę ognia wytrzyma. Chciałbym go mieć, to prawda, ale drżałem z obawy, żeby mi nie uległ, bo choć sam jestem wielkim grzesznikiem, miłuję dobro i mam cześć dla cnoty. On wytrzymał: wychowałaś go dobrze. Silny, dzielny charakter! Szkoda żeś nie słyszała naszej rozmowy, nie byłabyś w tej chwili tak okrutną!

— Dzięki Ci Boże!—szepnęła panna Katarzyna.

— Dziecko to nieświadomie mówiło mi prawdy nie mniej gorzkie od tych, które ty mówisz w tej chwili. Ale wiedz, że ani ty, ani on, ani rodzice nasi, gdyby żyli, nie mogliby sądzić mnie surowiej, niż ja sam siebie sądzę! Nie myślę się wcale uniewinniać: Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! — mówił, uderzając się w piersi. — Byłem pyszny, byłem samolubny, i... słaby. Ojciec chciał żebym umiłował ubóstwo, żebym tak jak on jadł chleb czarny, a mnie ten chleb stał się wstrętnym i zląkłem się walki z nędzą, a przytem... dusił mnie brak powietrza!

— Nieszczęśliwy! Odpowie za ciebie przed Bogiem przyjaciel twój, Dowmund. To był twój zły duch!

— Nie potępiaj go—rzekł smutnie Warburton—ja to raczej byłem jego złym duchem. On umarł wkrótce na nostalgię, a ja byłem od niego silniejszy: Powiedziałem sobie, że muszę zostać bogatym i postawiłem na swojem. Pracowałem bez wytchnienia, czyniłem wysiłki niemal nadludzkie, i powiodło mi się, a gdym zaślubił córkę angielskiego magnata, który nie miał męzkiego potomka, ten mnie adoptował i wraz z nazwiskiem przelał na mnie swoje dochody i tytuły. Lecz z chwilą gdy zrzuciłem starą skórę, zaczęły się wyrzuty sumienia. Czasem, gdy ptaki wędrowne przynosiły wieści z dalekiego kraju i odzywały się znajomym mi klekotem, serce mi uderzało żywiej, a w duszy budziły się jakieś niepokoje, jakieś tęsknoty i pragnienia, które wołały głosem bez słów: wróć! wróć!

Odetchnął.

— Alem je siłą woli uciszył, a potem stłumiła je radość z narodzin syna, którego kochałem nad życie, a bieżąca chwila niosąca z sobą tysiączne sprawy i interesa, pochłonęła mnie całego i zatarła do reszty wspomnienia przeszłości. I byłem poniekąd rad, że się tak stało. Zdwoiłem energię i działalność, bo miałem cel w życiu: budowałem przyszłość świetną dla syna. Szczęście tłoczyło się do mego domu drzwiami i oknami, a wszystkiemi strumieniami płynęło obficie złoto, i sypały się na mnie zaszczyty, chociaż nie wyciągałem po nie ręki. Ale syn mój umarł nagle, i zachwiał mi się grunt pod nogami.

— Bóg nie błogosławi takim, którzy poczynają bez Boga—rzekła panna Katarzyna – a najpiękniejsze kwiaty schną i więdną w ich rękach.

— Szukałem w pracy lekarstwa i ukojenia; ale go nie znalazłem: szukałem go w brataniu się z cierpiącymi, ocierałem łzy ludzkie i sypałem złoto na wszystkie strony, ale to nawet nie dało mi zapomnienia. Byłem szanowany, podziwiany, nazywano mnie „człowiekiem żelaznym“ i wielbiono moją siłę woli, a nie wiedziano, że rdza trawi żelazo... Osierocony i samotny, z sercem wystygłem i skurczonem z bólu, nie miałem się gdzie ogrzać!

— Biedny!—szepnęła.

— Lata całe borykałem się z tym bólem i przebiegłem wszystkie niemal kraje świata, nie odpoczywając nigdzie długo, bo wszędzie było mi źle... i jak „Żyd wieczny tułacz“, słyszałem ciągle głos wewnętrzny, wołający: idź dalej, idź dalej! Wreszcie instynkt jakiś poszepnął mi podróż w Tatry, o których wiele mówiono i pisano w Anglii, i gdzie też miałem nadzieję znaleźć roślinę, której nie znalazłem w Alpach, ani w Pyrenejach. Teraz widzę, że był to tylko pozór, żeby się zbliżyć do was, pozór w który sam mocno wierzyłem. Zdawało mi się, że mogę się na to odważyć, i że dawny człowiek zupełnie już umarł we mnie... Gdy mnie powietrze rodzinne owiało, zimny byłem i czułem się prawie dumny z tego, że mam serce z granitu, bo tacy jak ja nie zawracają z raz obranej drogi. Alem przeliczył swoje siły. Pierwszego zaraz wieczora spotkałem w chacie góralskiej obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, taki sam jak ten, przed którym matka nasza uczyła nas pacierza, a widok ten piorunujące sprawił na mnie wrażenie. Lodowa powłoka poczęła się odtąd rysować. Z każdym dniem przybywało więcej tych rysów, a od chwili gdy zobaczyłem w dolinie Kościeliskiej modlącego się Henryka, przeszłość chodzi ciągle za mną jak żywa, snuje obrazy dni dawno minionych, umarłych wskrzesza, i sen z powiek odgania! Jakby na urągowisko, słyszę pieśni ptaków wędrownych, które przylatywały do mnie za morze, a na które dawniej bywałem głuchy... Uczepiły się mnie i wszystkie szarpią mi

serce, wołając chórem: Wróć, wróć, wróć! A serce moje tłucze się w piersiach jak ptak, o pręty klatki, i lecieć chce do nich, a z niemi razem wysoko, do słońca, i bije rozpacznie skrzydłami... Aż oto w takiej chwili, ty stajesz przedemną z twarzą mej matki i masz dla mnie same słowa potępienia, gdy ja przebaczenia łaknę, gdy ogrzać się pragnę przy was... bogaty nędzarz! Nie jestem już ten sam, com tu przybył: ognisko przy którem grzałem się dotąd, stało mi się obce, a widzę z twoich słów, że i przy mojem rodzinnem niema już dla mnie miejsca. Utraciłem prawo do niego!

— A więc wróć! wróć! — zawołała, wyciągając do niego obie ręce—zapomnijmy o latach rozłąki, wszakże sam chcesz tego!

Baronet zdławionym głosem zawołał:

— Chcę głodu, chłodu i trudu w pocie czoła, chcę jeść wasz chleb ościsty i złożyć kości na waszym cmentarzu. Chcę tego, chcę! Tęsknota mnie zabija!

Upadł na kolana i pochylił głowę tak nisko, że aż czoło oparło się na trawie, a ręce obie wyciągnęły się, jakby chciały ogarnąć uściskiem tę ziemię, której się wyrzekł niegdyś, a do której teraz pragnął się przytulić, i łkanie gwałtowne wstrząsało całem jego ciałem. Gość dawno niewidziany, łzy, obfitym polały się strumieniem i niewstrzymane płynęły, niosąc ulgę stwardniałemu od zgryzoty sercu. Stwardniałość ta tajała, miękła, a z nią razem zmniejszał się ciężar gniotący tę niepospolitą, ale zbłąkaną duszę.

Panna Katarzyna patrzyła na siwą głowę dumnego magnata, tarzającą się w pyle, a serce jej kochające wezbrało wielką dla niego litością. Cała jej dawna miłość odżyła dla tego brata, który oskarżywszy się z win popełnionych, kajał się teraz przed Bogiem i przed nią. Był jej w tej chwili tak drogim, jak niegdyś.

— Edziu — przemówiła, klękając przy nim. — Bogu niech będą dzięki, żeśmy cię odzyskali. Wstań i pociesz się. Matka ci przebaczyła przed śmiercią, a Marcin ciągle miał nadzieję, że powrócisz. Miejsca twojego przy ognisku rodzinnem nie zajął nikt... Czeka cię ono. Pójdź zasiąść przy niem!

A gdy Warburton wstał i usiadł na kamieniu pod ścianą kościoła, objęła rękami jego głowę i przytuliła do piersi, płacząc z radości, a on szeptał:

— Byłem martwy, a teraz żyję: mogę płakać!...

Marysia trzymając oburącz pęk kwiatów, zapędziła się do babuni, i stanęła niepewna czy iść dalej, czy się cofnąć, ale sir Edward skinął na nią.

— Jak się masz maleńka? — rzekł, wyciągając do niej rękę — czy poznałaś mnie?

— A jakże, pan przecie ratował moje króliki.

— Jestem twoim dziaduniem — powiedział, gładząc jej włosy z czułością. — Czy będziesz mnie kochała?

— O, będę — odrzekła, i gdy ją wziął na kolana, objęła go za szyję, jak niegdyś podczas wichru halnego, i dotknęła delikatnie ustami jego policzków.

Zamyśliła się ona bardzo nad tem co się zdarzyło, ale nie pytała o nic—i gdy ją posadził na ziemi, wróciła do poprzedniego zajęcia, odgadując przeczuciem serca, że ten nowy dziadunio i babunia Kasia, mają sobie wiele do powiedzenia.

A brat i siostra siedząc przy sobie, przytuleni jedno do drugiego, jak niegdyś w Miratyczach, nad jeziorem, ręka w rękę, gdy on był dorosłym prawie chłopcem a ona trzynastoletniem dziewczątkiem, jęli opowiadać sobie wzajemnie dzieje tych długich lat rozłąki, i łzy płynęły z oczu obojga. Tak byli zatopieni w rozmowie, że nie słyszeli iż ktoś w pobliżu wymówił kilkakrotnie imię sir Edwarda.

W bramie cmentarnej ukazali się Henryk, Witold i Jakób. Chłopiec ujrzawszy babunię Kasię siedzącą obok baroneta i trzymającą jego rękę w obu dłoniach, stanął jak wryty.

— Heniu! — zawołała Marysia, biegnąc ku niemu — ten stary pan co mnie i moje króliki przyniósł na ręku, wtenczas kiedy był wicher halny, to nasz dziadunio!

Chłopiec patrzał nie wierząc własnym oczom, ale w wyrazie twarzy babki wyczytał, że siostrzyczka mówiła prawdę.

— O, sir!—zawołał, rzucając mu się na szyję — czy to być może? Jesteś więc tym, którego u nas zawsze wyglądano? Mogę więc kochać cię swobodnie?

— Mów po polsku, chłopcze — odrzekł, przyciskając Henryka do piersi—bo jak widzisz, jestem naprawdę twoim dziadkiem! Nie chciałeś ze mną jechać do Anglii, więc ja zdecydowałem się pojechać z wado Miratycz.

— O, co za szczęście —szeptał chłopiec, całując jego ręce—co za szczęście! Panie Jakobie, panie Witoldzie, chodźcie tu, chodźcie! Wielka nowina: mam dziadka!

— Ja się tego dawno domyślałem — odezwał się Jakób, ściskając rękę Warburtona.

— I ja także—dodał Witold.—Ale sir, Walter z Dawidem szukają pana wszędzie.

— Czyżby się co stało mej synowej? — zapytał zaniepokojony, i podniósł się.

— Nie sądzę — odrzekł Witold—tylko podobno wnuk pański znalazł w Strążyskach różę bez kolców.

Dawid blady, wzruszony, zmięszany obecnością tylu osób, których nie spodziewał się znaleść tu razem, zbliżył się do dziadka i oddając mu gałązkę otrzymaną od Henryka, przemówił głosem drżącym:

— Sir, oto jest *Rosa alpina*, ale nie ja ją znalazłem, tylko ten mały Polak—dodał, wskazując na swego rywala.—Ja mu pozazdrościłem tej zdobyczy, ja go skrzywdziłem niegodnem posądzeniem i on mi ją ustąpił!... Okazał się wspaniałomyślnym i szlachetnym, bo obraziłem go ciężko po dwakroć, a on ani razu nie poskarżył się przed tobą. A dziś, gdyby nie on, umarłbym może, bo zabił żmiję jadowitą skradającą się do mnie, podczas gdy ja spałem, i nie powiedział mi nawet o tem!

— Brawo Henryku — zawołał sir Edward — jestem z ciebie dumny, mój chłopcze! A i ty Dawidzie lepszym jesteś niż myślałem, skoroś się zdobył na odwagę powiedzenia prawdy, skoroś się przyznał publicznie do błędu! Cieszy mnie to, bo widzę że grunt jest w tobie prawy.

Dawid, który ciężką z sobą przedtem stoczył walkę, postanowił być uczciwym do końca i wyciągając rękę do Henryka, rzekł:

— Przebacz mi, jeżeli możesz i pozwól się kochać, bo nie śmiem cię prosić żebyś mnie także... pokochał choć trochę.

Henryk ujęty szczerością tych słów, wyciągnął do niego ramiona i obaj chłopcy uściskali się serdecznie.

— Jest ważna wiadomość, sir — odezwał się Walter, usuwając nieco Davego i wskazując na niemłodego człowieka w podróżnem ubraniu.—Oto pan Chwoyko, Słowak, ogrodnik z Osieka. Przybył dziś z Węgier. Spotkał się on z doktorem Strandem nad jeziorem Szczyrbskiem, gdzie tamten zapuszczał ołowiankę.

— A więc Strand jest na węgierskiej stronie?— zapytał z ożywieniem Warburton.

— Tak. Otóż profesor pamiętający ciągle, że sir Edward pragnie posiadać różę bez kolców, dowiedział się że pan Chwoyko jedzie do Zakopanego, i wymógł na nim słowo, że natychmiast po przybyciu przedstawi się waszej Miłości, ma bowiem ważną wiadomość do zakomunikowania. Pan Chwoyko hoduje róże błękitne.

— Co!—zawołał zdumiony Warburton — róże, których tajemnicę hodowli znali tylko Maurowie hiszpańscy i o których pisał d'Orbessan, że je widział na własne oczy, choć nikt mu nie wierzył? To niepodobna!

— Tak wasza Miłości — rzekł, kłaniając się nizko przybyły— posiadam te róże i żadnych tajemniczych środków nie używam do ich otrzymania. Sprowadziłem je z Serbii, gdzie rosną na bagnach i trzęsawiskach. Róże te silnej budowy, są bezbronne. Na ich łodydze pojawiają się z początku małe, czerwone kolce, ale te odpadają później: kolor listków jest fijołkowy.

Warburton popatrzył przez chwilę na mówiącego, a potem powiódł wzrokiem po otaczających i rzekł:

— Moi panowie, to czego szukałem, przyszło za późno; nie pragnę już r ó ż y b e z k o l c ó w! Zgrzeszyłem ubiegając się za nią całe życie... Chrystus wieńczony był koroną z cierni... Odtąd będę hodował tylko róże z kolcami.

Słowa te, jakich nikt nie spodziewał się usłyszeć, zdumiały słuchaczy. Nikt nie pojmował co to znaczy.

Sir Edward smutnie się uśmiechnął.

— Jestem przytomny—odrzekł—a to co mówię, jest owocem dojrzałego namysłu. Niemniej okaz *Rosa alpina* znaleziony przez Henryka, zostawiam sobie na pamiątkę, bo dzięki „róży bez kolców", której szukałem w tych górach, kwiaty nadziei kwitną na nowo w mojem sercu!

— Gdzie jest Jego Miłość? — wołał zdaleka Jerry, biegnąc zadyszany i przepychając się przez wszystkich, otaczających baroneta.— Kuryer z Londynu przywiózł list do Waszej Lordowskiej mości!

— Co to znaczy?—zapytał Warburton, spojrzawszy na grooma z brwią ściągniętą i wziął list z jego ręki.—Jak on mnie nazwał..!— i rzuciwszy okiem na pismo, szepnął:—Od lorda kanclerza.

Koperta była duża, a na niej śmiałym, zamaszystym charakterem, adres następujący:

„Do Jego Lordowskiej Mości Baroneta Edwarda Warburtona, pana na Rochdale."

Płomień przebiegł po twarzy sir Edwarda. Złamał pieczęć, otworzył kopertę i i czytał:

„Kochany Lordzie. Jej Królewska Mość, Najjaśniejsza Królowa Wielkiej Brytanii i Cesarzowa Indyi, w nagrodę za szczególne usługi wyświadczone Królewskiej Rodzinie, oraz za obywatelską pracę nad polepszeniem bytu robotników w Twych posiadłościach i zakładach fabrycznych, tytuł Lorda Panu nadała i zrobiła Cię dożywotnim członkiem Izby Lordów. Pozwól żebym Ci tego pierwszy powinszował i zarazem uczynił zapytanie, czy nie zechciałbyś przyjąć teki ministra handlu? Brakuje nam tu Ciebie bardzo, kochany Lordzie; mamy różne kłopoty, a Ty nie troszczysz się o nas i siedzisz bez końca w jakiejś górskiej wiosce! Potrzebujemy bardzo rad Twoich co do nowego bilu, jaki ma być uchwalony i wyglądamy Twego powrotu.

Życzliwy przyjaciel,

Salisbury."

Skończywszy czytanie, Warburton stał zadumany z listem w ręku i tłum go myśli otoczył. Był u szczytu powodzenia: majątek, sława, władza, garnęły się do niego. Trzeba tylko jednego jego słowa, a wielkie państwo odczuje siłę jego ręki! Niegdyś na losy ludów wpływała

żądza podbojów; dziś przeważnie wpływają czynniki handlowe i ekonomiczne, bo one stanowią kwestyę ich bytu—a interesa jednego narodu, oddziaływają jak drgania świetlne, na sprawy innych, w dalekim promieniu. One są gruntem na którym rodzą się gromy wojen i gałązki oliwne pokoju. Jeśli stanie u steru rządu, miliony ludów na obu półkulach, poczują wpływ jego na sobie. Znał słabe i silne strony lwa wielkobrytańskiego, i w oka mgnieniu, w genialnym umyśle tego człowieka zarysował się plan potężny, mający na celu wzmożenie potęgi ekomicznej Wielkiej Brytanii. Cła protekcyjne, zdobycie nowych dróg wywozu, i cały szerg pomysłów, jeden od drugiego śmielszych, świetniejszych, przesunął się przed oczyma jego duszy.

— Kiedyż wracamy do Anglii, milordzie?—zapytał Walter, zgadujący kierunek myśli Warburtona, z wyrazu jego twarzy.

Lord ocknął się jak ze snu zbudzony.

— Nigdy, Walterze — odrzekł stanowczo:—Anglia nie zobaczy mnie więcej.

— Jeżeli pan wracasz do swoich to i ja z panem, milordzie, bo i mnie ciągnie rodzinny kraj mego ojca—rzekł młodzieniec.

— Nie, Walterze, nie teraz jeszcze: ty musisz mnie w Anglii zastąpić. Będziesz towarzyszył lady Chester do Rochdale, i pomożesz jej w wychowaniu Dawida, aby nauczył się rozumnie używać majątku, jaki mu zostawię. Dopiero gdy on dojdzie do pełnoletności, powrócisz jeżeli zechcesz, a ja powitam cię z radością, jeżeli żyć jeszcze będę. Zrobię cię teraz moim pełnomocnikiem z nieograniczonem prawem zarządzania, w sposób, jaki uznasz za dobry. Trud to nie mały, obowiązki ciężkie i rozległe, ale wiem że to zrobisz dla mnie, bo znam twe przywiązanie! I ja też mam coś dla ciebie. Wiem, że pokochałeś Fanny, i że ona ci sprzyja. Żeń się więc, oddaję ci ją za żonę!

Nikt z obecnych nie był przygotowanym na to co usłyszeli; lord Warburton szybko powziął postanowienie i nie tracąc czasu zaraz je w czyn wprowadzał. Gdy on umilkł, zagłębiwszy swoim zwyczajem palce w skręty brody, nikt się nie odzywał. Wśród ciszy słychać było tylko z daleka dzwonki krów, a z bliska dźwięk gęślików i piosenkę:

„Z orawskiego zamku [1]) chłopcy spozierają,
Czy się pod Tatry buczki [2]) rozwijają".

[1]) W zamku orawskim więziono zbójników.
[2]) Buki.

Lord Edward powrócił z rodziną do Miratycz i zasiadł na dawnem miejscu przy stole, gdzie lata całe, puste nakrycie czekało na niego. Pan Marcin tryumfował, a stara Urszula witała ze łzami radości tego, którego pragnęła jeszcze ujrzeć przed śmiercią. Swój olbrzymi majątek podzielił na trzy części. Zamek Rochdale wraz z ziemią i przyległościami, zostawił dla Dawida; kopalnie i fabryki darował pracującym w nich robotnikom, a kapitały zachował dla siebie i użył na podniesienie gospodarstwa i rozwój jego w Miratyczach, oraz na kształcenie dzieci. Walterowi darował domy w Londynie, a Fanny hojnie wyposażył. Odkąd zamieszkał na wsi i przestał nazywać się Warburtonem na Rochdale, czuł się zupełnie szczęśliwym—jedna tylko myśl zasępiała mu czoło, jeden jeszcze węzeł wiązał go z Anglią: grób Ryszarda. Chciał jego ciało sprowadzić do Miratycz i pochować na skromnym wiejskim cmentarzu obok swych rodziców, ale porzucił tę myśl, bo Ryszard zrodzony z matki Angielki, i nie znający rodzinnej mowy ojca, był Anglikiem, i ziemia Miratycz byłaby dla niego obcą.

Sabała umarł w r. 1894 dnia 8 Grudnia dożywszy lat 83, i spoczął na cmentarzu obok doktora Chałubińskiego i księdza Stolarczyka. Pogrzeb miał wspaniały: trumna jego poszła do ziemi spowinięta w dywan wyszyty rękami pań zakopańskich, w parzenice i gwiazdy zbójnickie. Maska zdjęta zaraz po śmierci, zachowała jego piękne, oryginalne rysy, które już tylokrotnie utrwalano na płótnie i w marmurze. Doktór Matlakowski umarł w roku 1895 na wsi, w Zbijewie, zostawiwszy po sobie dzieło, p. t. „Zdobienie i sprzęt ludowy na Podhalu“, którem zbudował prawdziwy pomnik sztuce góralskiej i zachował ją na wieki od zatraty.

Zakopane, od czasu gdy sir Edward Warburton szukał w Tatrach róży bez kolców, bardzo się rozwinęło. Coraz mniej widzi się brzydkich szablonowych domków, bo mieszkający tam stale Stanisław Witkiewicz, pracuje nad tem, aby nowo wznoszone, zachowywały prawdziwy styl podhalański. Niektóre, będące połączeniem różnych moty-

wów tego oryginalnego budownictwa, są tak piękne, że im się dziwują cudzoziemcy, i z czasem styl ten znajdzie właściwe sobie stanowisko między stylami europejskiemi, nie niższe od szwajcarskiego a może nawet wyższe. W Danii i w Szwajcaryi saskiej, oraz w Austryi nad jeziorem Gmünden, stoją już pierwsze domy w stylu podhalańskim, a staraniem d-ra Benni fabryka porcelany w Sévres, zaczęła wyrabiać serwisy na wzór modeli rzeźbionych naczyń góralskich. Marzenie Matlakowskiego spełniać się zaczyna.

W Zakopanem, nowy kościół z kamienia został już ukończony; wewnętrzne w nim ozdoby, wszystkie składają się z motywów góralskich, począwszy od świeczników, a skończywszy na ołtarzu i konfesyonałach. Prawdziwem zaś arcydziełem jest kaplica Gnatowskich. Są to dzieła tak oryginalne, tak piękne, że opisywać je trudno.

Jedźcie i oglądajcie!

KONIEC.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Str.
I.	Gość zamorski	
II.	Co w tem jest?	17
III.	We mgle	32
IV.	Przy blasku słońca	44
V.	Portret bez rysów	52
VI.	Doża wenecki	80
VII.	Skarby tatrzańskie	97
VIII.	Baśń Sabały	112
IX.	Błękitna wstążka	122
X.	Srebrny szlak	135
XI.	Fantazya tatrzańska	145
XII.	Zdobycz profesora Stranda	164
XIII.	Tęcza na ziemi	181
XIV.	Nitka zerwana	196
XV.	Dujawa	207
XVI.	Dwaj poeci	221
XVII.	Morski wąż	242
XVIII.	Żywe kryształy	261
XIX.	Pogrom	274
XX.	Na falach morza	284
XXI.	Zaczarowane klejnoty	300
XXII.	Energia Dawida	312
XXIII.	Przygoda Warburtona	319
XXIV.	W drodze do Wodogrzmotów	331
XXV.	Branhiopod	345
XXVI.	Kobieta bez złości	364
XXVII.	Powrót przez jezioro	379
XXVIII.	Potrawa Witolda	384
XXIX.	Róża bez kolców	401
XXX.	Promień słońca	422
XXXI.	Kasia Sobczakówna	432
XXXII.	List z Anglii	446

Biblioteka Narodowa
Warszawa
300010234668 98

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
815166